

# FRAZA

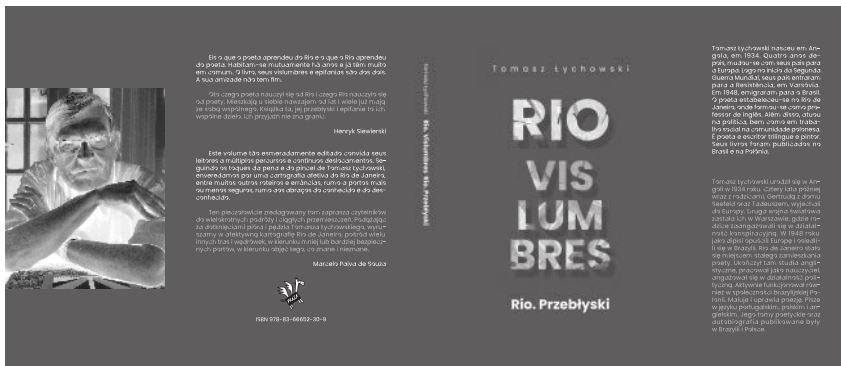
POEZJA PROZA ESEJ

nr 3 (125) 2024



PORTRETY: Josef KROUTVOR, Ksenia NIEKRASOWA, Joanna SARNECKA, Wiersze, proza, dziennik: Bartonezz, BIELSKA, Blandiana, BRAKONIECKI, Czarnocki, CZIGRIN, Dmitroca, FROŃSKI, Hunia, JESIENIN, Kołodziej, KUSIBA, Mandelsztam, MASTERNAK, Matuszkiewicz, MICHAŁOWSKI, Pogorzelski, POLAŃSKA, Purdy, SIKORA, Skałbania, SZUBA, Szweda, Wysocki, ZARĘBIANKA. Szkice o Miłoszu, Karpowiczu, Rymkiewiczzu, Stasiuku, Wańku. Plakaty do *Iwony księżniczki Burgunda*, tkaniny Sangeety GUPTY.

# Nowości „FRAZY”



Tomasz Łychowski, *Rio. Vis Lumbras / Rio. Przebłyki*, wybór, opracowanie i redakcja redakcja Anna Dworak i Anna Jamrozek-Sowa, ilustracje Tomasz Łychowski, przedmowy: Marcelo Paiva de Souza, Anna Dworak, Agata Sulikowska-Dejna, Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Frazy”, Rzeszów 2024, ss. 119.

*Ten pieczołowicie zredagowany tom zaprasza czytelników do wielokrotnych podróży i ciągłych przemieszczeń. Podążając za dotknięciami pióra i pędzla Tomasza Łychowskiego, wyruszamy w afektywną kartografię Rio de Janeiro, pośród wielu innych tras i wędrówek, w kierunku mniej lub bardziej bezpiecznych portów, w kierunku objęć tego, co znane i nieznanne.*

Marcelo Paiva de Souza

Cena 40 zł



Motta:

Istnieje trzecie oko –  
wszystkowidzące oko –  
rzeźbiarzom darowane,  
poetom i malarzom:  
ono wyłowi to,  
co chowa się za światłem,  
co skrywa się przed światem,  
czego nie nazwie słowo...

Ksenia Niekrasowa,  
przełożyła Lila Helena Metryka

A  
bez drzew  
koron i korzeni  
niebo oderwałoby  
się  
od  
ziemi

Jerzy Bartonezz



© Copyright by Stowarzyszenie  
Literacko-Artystyczne „Fraza”  
Rok XXXII nr 3/2024 (125)  
PL ISSN 1230-4832  
Nr indeksu 332593

Redaguje zespół:  
Magdalena Rabizo-Birek – redaktorka naczelna,  
Anna Jamrozek-Sowa, Iwona Misiak, Janusz  
Pasterski, Jan Wolski, Matylda Zatorska  
(sekretarzynie redakcji)

Współpracownicy:  
Jan Belcik, Marek Kusiba (Kanada),  
Kazimierz Maciąg, Antoni Matuszkiewicz  
(Czechy), Ryszard Mścis, Elżbieta Rokosz,  
Krystyna Walc, Piotr Wojtaszek

Projekt okładki:  
Antoni Nikiel

Recenzenci naukowci:  
Dr hab. prof. UŚ Ewa Bartos (Uniwersytet Śląski),  
dr hab. prof. UWM Joanna Chłosta-Zielonka  
(Uniwersytet Warmiński-Mazurski),  
prof., dr hab. Jerzy Madejski (Uniwersytet  
Szczeciński), prof. dr hab. Tomasz Mizerkiewicz  
(Uniwersytet im. A. Mickiewicza w Poznaniu),  
dr hab. prof. UJ Dorota Siwor (Uniwersytet  
Jagielloński)

Adres do korespondencji:  
„Fraza”, ul. Rejtana 16 C, p. 107,  
35-310 Rzeszów  
e-mail: fraza@ur.edu.pl  
„Fraza” w Internecie  
<http://fraza.ur.edu.pl>  
<https://www.facebook.com/profile.php?id=100088752245399>  
[https://www.instagram.com/kwartalnik\\_fraza/](https://www.instagram.com/kwartalnik_fraza/)  
(prowadzi Piotr Wojtaszek)

Wydawca:  
Stowarzyszenie  
Literacko-Artystyczne „Fraza”  
35-310 Rzeszów  
ul. Rejtana 16 c, p. 107  
Nr konta: PKO BP I O / Rzeszów  
89 1020 4391 0000 6602 0043 7079

Numer zamknięto: 31.10.2024 r.

Prosimy o teksty w wersji elektronicznej.  
Materiałów niezamówionych nie odsyłamy.  
Zastrzegamy sobie prawo do zmiany tytułów  
i skrótów.

Korekta:  
Iwona Misiak, Krystyna Walc, Matylda Zatorska

Skład i łamanie  
KORAW

Druk:  
„Bonus Liber”

## Spis treści

### PORTRETY

Berisz WEINSTEIN, Rajsze (fragmenty) przełożył Marek Tuszewicki .....	4
Grażyna BOCHENEK, Rajsze znaczy Rzeszów .....	26
Josef KROUTVOR, Wiatr, Stare przegrody, Zaszłyte łożki, Bodensee, Czas odwilży i darów, Siřem, Poselstwo deszczu, Galicja, Hold dla Oty Pavla, Próba w remizie, przełożył Antoni Matuszkiewicz .....	30
Antoni MATUSZKIEWICZ, Przyjaciel, z którym się nie znam .....	37
Josef KROUTVOR, Co to jest liryka użytkowa?, Liryka i dokument, przełożył Antoni Matuszkiewicz ..	41
Ksenia NIEKRASOWA, *** To nie niebo..., *** Księżyce, O sobie, *** Jak mam pisać ...	
Rysunek, Źródło, *** Na niebie cisza... Ballada o pięknie, Ślepiec, przełożyła Lila Helena Metryka .....	50
„Jak zmieścić na skrawku papieru niebo?”. Krótko o życiu i twórczości Kseni Niekrasowej (Lila Helena METRYKA) .....	55
Joanna SARNECKA, Pan Rahman rzuca kostką, Statek, Prawie Solaris .....	57
Konrad SIKORA, Imaginarium ruchu. Przestrzenie literackie Joanny Sarneckiej .....	65

### WĘDROWAĆ, POZNAWAĆ, ROZMAWIAĆ

Andrzej SZUBA, Postscripta .....	78
Małgorzata SKALBANIA, <i>Makroud</i> .....	80
Sangeeta GUPTA, Rozśmieszaj, Decyduję się istnieć, Życie minęło, Czy wiesz (2), Zaufaj procesowi, *** Podziel się..., Wymieniliśmy się, Zrobilesz mi to, Może, przełożyła Krystyna Lenkowska .....	90
Arkadiusz MORAWIEC, Między „piękną całością” (1983) a „wysypiskiem śmieci” (1995–2008): <i>Rozmowy polskie...</i> Jarosława Marka Rymkiewicza .....	95
Ana BLANDIANA, Zegar bez godzin, Pomiedzy chwilami, Biało na białym, Odwaga, Bursztyn, przełożyła Matylda Sokół .....	106
Mariusz KALANDYK, Czesław Miłosz jako Prekursor .....	109
Zofia ZARĘBIANKA, *** Pamiętałam..., Genealogia, Kruchość, *** Przerzedziały..., *** Z wielkim..., *** Nie zatrzaszuj się..., Recepta, Muśnięcie, Przecież, Nawet.....	121
Anita FRANKOWIAK, (Samoświadomościowe) obrazy Europy Wschodniej i Azji w prozie Andrzeja Stasiuka .....	127
Osip MANDELSZTAM, *** Nazwy miast..., Achmatowa, przełożył Maciej Froński .....	143
Adam OCHWANOWSKI, Dlaczego tłumaczę poezję Jesienina i Wysokiego .....	144
Sergiusz JESIENIN, *** Niwoliniu rymów..., przełożył Adam Ochwanowski .....	146
Włodzimierz WYSOCKI, Zdarzenie w restauracji, Pieśń o żołnierzu, co nie powrócił z boju, Dajcie psom mięsa, O czym ja rozmawiał z tobą mam..., Nie lubię, przełożył Adam Ochwanowski .....	147
Adam LIZAKOWSKI, Kalifornijska sosna i brzoza chicagowska. O korespondencji Czesława Miłosza i Tymoteusza Karpowicza uwagi osobiste .....	152
Jewgenij CZIGRIN, <i>Griffonnage</i> , *** Słońce już zaszło..., Do muzyki Alessandra Marcella, przełożył Maciej Froński .....	165
Konrad SIKORA, Autobus linii 134 .....	167
Jekatierina POLAŃSKA, Wiatr, *** Petersburskie anioły..., *** Dokoła zdrada..., przełożył Maciej Froński .....	174
Piotr MICHAŁOWSKI, Czas niszczarki .....	176
Zbigniew DMITROCA, Wariacje Zadurowskie, Wariacje Mandelsztamowskie .....	181
Fryderyk HUNIA, Skopać ogródek i posadzić drzewko .....	185
Magdalena BIELSKA, <i>Dead Net Cord</i> .....	197
Iwona MATUSZKIEWICZ, „Duch bowiem jest wolnym wędrowcem” .....	199
Antoni MATUSZKIEWICZ, Lam Quang My, Zenga, *** Mielibyśmy..., *** Widzieliśmy..., Cud św. Sebalda .....	208
Katarzyna SZWEDA, do zobaczenia, przestrzeń na znak, widocznie .....	212

Zbigniew MASTERNAK, Trzy historie z życia pisarza .....	214
Maciej FRŃOŃSKI, Tychy, Andersa, klonów złote liście..., Dubne, Maskonur, Kalesony .....	232
Marek KUSIBA, Szatkowanie. Podróże z Andrzejem Bobkowskim (dokończenie) .....	234
Al PURDY, Artyka: Cmentarz Eskimosów, Drzewa na kole podbiegunowym Arktyki, Psia pieśń, przełożył Waldemar Kontewicz .....	245
Kazimierz BRAKONIECKI, Bretania/Breizh/Paryż 2004 .....	253
Jerzy BARTONEZZ, Smak wiersza Ewy Filipczuk, Osobowo Przemysł–Szczecin, Klasyka .....	268
Marek POGORZELSKI, Upadek .....	271
Hubert CZARNOCKI, *** Kto będzie..., Puste dłonie, Życie .....	298
Janusz PASTERSKI, Zaciekawienie i namysł .....	300
Ryszard KOŁODZIEJ, Historyk, Kiedy..., Maria Kleofasowa, Pocztówka z Szanghaju, Pocztówka z Bangkoku, Przeblyski .....	302

#### FRAZY OSOBISTE

Antoni MATUSZKIEWICZ, Chelmsko, Ilkony, Kościół w Rzeszowie .....	306
Grzegorz STRUMYK, Łatanina 45 .....	310
Roman SABO, Góry .....	312
Katarzyna TURAJ-KALIŃSKA, „Do tych pagórków...” .....	317
Teresa TOMSIA, Portret poetki w porannym świetle .....	324
Jacek UGLIK, Wyjmij mi to z czaszki .....	329

#### SZTUKA

Ks. Paweł BATORY, Ryby i ludzie. Plakaty <i>Iwony, księżniczki Burgunda</i> .....	331
---	-----

#### O KSIĄŻKACH

Jacek UGLIK, Święty pulap (M. Świetlicki, „Daleko wysunięta placówka liryczna...” Nie stąd. <i>Wiersze</i> ) .....	336
Jan BELCIK, Listy z przyszłości (M. Despotović, <i>Listy z niepewnej przyszłości...</i> ) .....	338
Tomasz PYZIK, Równoległe ścieżki istnienia (M. Bieszczad, <i>Pasaże</i> ) .....	340
Kazimierz MACIĄG, Pytania „dzieci poranka” (A. Kamiński, <i>Dzieci poranka</i> ) .....	342
Piotr WOJTASZEK, Rysio muzykant (A. Tamowska, <i>Wniebogłos</i> ) .....	344
Janusz PASTERSKI, Planeta Czesława Miłosza (A. Lizakowski, <i>Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?</i> ) .....	346
Maria ZIELONKA, Irlandia jak Polska? (M. Abramowicz, <i>Irlandia wstaje z kolan</i> ) .....	348

#### KRONIKA

W kolorze indygo – wystawa Sangeety Gupty (Anna BARAN) .....	352
Terytorium wiersza po raz drugi (Jan BELCIK) .....	358

AUTORIZY „FRAZY” .....	359
ZAPROSIŁI NAS .....	372
PUBLIKACJE NADESLANE .....	374
KOMUNIKATY .....	378

#### W galerii „Frazy”:



Wiesław Grzegorzyc

#### Plakaty do *Iwony księżniczki Burgunda* Witolda Gombrowicza

nakład 300 egz.

„Frazy” jest piśmie redagowanym społecznie, a wszystkie dochody z pisma przeznaczamy na wydawanie nowych numerów. Dziękujemy wszystkim autorom za nieodpłatne udostępnienie zamieszczonych w numerze tekstów i ilustracji.

#### RADA NAUKOWA „FRAZY”:

Joanna Chłosta-Zielonka (Uniwersytet Warmiński-Mazurski, Olsztyn), Elwira Grossman (University of Glasgow), Bogumiła Kaniewska (Uniwersytet im. A. Mickiewicza, Poznań), Marlis Lami (Universität Wien), Renata Makarska (Johannes Gutenberg-Universität Mainz), Małgorzata Mikołajczak (Uniwersytet Zielonogórski), Arkadiusz Morawiec (Uniwersytet Łódzki), Anna Nasiłowska (IBL PAN, Warszawa), Tomasz Swoboda (Uniwersytet Gdański), Tamara Trojanowska (University of Toronto), Maria Zadencka (Stockholms universitet)

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury, Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie, budżetu Gminy Miasto Rzeszów



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego



rzeszów  
stolica innowacji



KULTURA  
W RZESZOWIE

# PORTRETY

Berisz Weinstein

## RAJSZE

(fragmenty)

*Dla ciebie, Rzeszowie, ta pierwsza strona –  
litery elegii,  
którą własnoręcznie spisał twój syn:  
Gdyż poza uświęconym Bożym Mianem – ku pamięci –  
nic po tobie nie zostało.*

## Ojczysta ziemia

1.

Wszystko, co zrodziła galicyjska ziemia,  
w tobie odnajdę, rodzinny Rzeszowie.  
Bo gdy Żydzi błogosławią twój księżyc<sup>1</sup>,  
inaczej lśni z ich powodu nocne niebo.  
Oto latarnicy rozpalają światła;

---

<sup>1</sup> Uświęcenie księżycy (hebr. Kidusz lewana) – comiesięczne błogosławieństwo dziękczynne odmawiane po zakończeniu szabatu przed widocznym księżycem począwszy od trzeciej nocy po nowiu aż do pełni.

dzieci nudzą się zimą w chederze<sup>2</sup>.  
W naturze mełamedów<sup>3</sup> leży zamęczać nauką  
chłopców młodych, chłopców swawolnych.  
Do tego ciężki jest cheder reb Mojszego Arie –  
rebe<sup>4</sup> grzmi nad paraszą Miszpatim<sup>5</sup>  
i recytuje ją na okrętkę:  
*Ajin tachat ajin* – oko za oko;  
*Szen tachat szen* – ząb za ząb<sup>6</sup>.  
A szorstki jest reb Mojsze jak miesiąc elul<sup>7</sup>  
w tygodnie Wa-etchanan<sup>8</sup>, Szofetim<sup>9</sup> i Ha-azinu<sup>10</sup>.  
Nawet ucząc pieśni *Akdamut*<sup>11</sup>  
reb Mojsze Arie wyciąga się, napina,  
gniew sływa po nim całym – po jego brodzie, pejsach –  
i tylko w kłojzie<sup>12</sup> płata z chłopcami figle.

Mełamedzi mieszkają pomiędzy besmedreszami<sup>13</sup>.  
Pełno tu chederów niby w getcie.  
Takie ulice wyglądają jak z bajki, z legendy.

---

<sup>2</sup> Cheder (hebr. izba) – tradycyjna szkoła religijna dla chłopców w wieku od ok. 5 do 13 lat zazwyczaj prowadzona w prywatnym mieszkaniu nauczyciela (mełameda, rebege).

<sup>3</sup> Mełamed (hebr. ten, który uczy) – nauczyciel w chederze.

<sup>4</sup> Rebe (hebr. Rabi, mój mistrz) – tytuł honorowy przynależny tradycyjnie nauczycielom Prawa. W Europie Wschodniej używany był też w stosunku do mełamedów oraz przywódców chasydzkich (cadyków).

<sup>5</sup> Tygodniowa lekcja Tory odczytywana w synagogach na przełomie stycznia i lutego, a także przy kilku innych okazjach (m.in. w trakcie święta Pesach). Składa się na nią fragment Ks. Wyjścia 21:1–24:18.

<sup>6</sup> Ks. Wyjścia 21:24.

<sup>7</sup> Miesiąc kalendarza żydowskiego wypadający na przełomie sierpnia i września, poprzedzający tzw. Wielkie Święta (Nowy Rok, Jom Kipur), a przez to zdominowany przez nastrój duchowego przygotowania do Bożego sądu.

<sup>8</sup> Tygodniowa lekcja Tory odczytywana w synagogach na przełomie lipca i sierpnia. Składa się na nią fragment Księgi Powtórzonego Prawa 3, 23–7, 11. Zawiera m.in. tekst dziesięciu przykazań.

<sup>9</sup> Tygodniowa lekcja Tory odczytywana w synagogach pomiędzy świętami Rosz ha-Szana a Sukot (przełom września i października). Składa się na nią fragment Księgi Powtórzonego Prawa 11, 26–16, 17.

<sup>10</sup> Tygodniowa lekcja Tory odczytywana w synagogach na przełomie sierpnia i września. Składa się na nią fragment Księgi Powtórzonego Prawa 32, 1–52.

<sup>11</sup> *Akdamut milin* – szeroko rozpowszechniony pijut w języku aramejskim skomponowany w XI w. W tradycji aszkenazyjskiej recytuje się go z okazji święta Szawuot.

<sup>12</sup> Kłojz – dom studiów podobny do besmedreszu, jednak utrzymywany ze środków prywatnych.

<sup>13</sup> Besmedresz (hebr. bet ha-midrasz) – dom studiów, miejsce przeznaczone do regularnego studiowania Prawa, mogące jednocześnie służyć codziennej liturgii (były zaopatrzone w zwoje Tory), ale także spotkaniom towarzyskim, posiłkom czy odpoczynkowi.

Boże, jak mocno bije chłopięce serce,  
 gdy wraca z chederu zimową nocą  
 i napotyka po drodze rozświetlone choinki!  
 Tak wielka trwoga mu towarzyszy.  
 Przerażają zasłyszane opowieści.  
 Latarenka ucznia rzuca cię na ośnieżoną drogę,  
 zasypane dachy milczą na mrozie  
 a chłopiec z latarenką mija niebezpieczeństwa –  
 z paraszy Wa-jigasz<sup>14</sup>, z Wa-jechi<sup>15</sup> czy z Szemot<sup>16</sup>,  
 z Pięcioksięgiem, Gemarą<sup>17</sup>, z przestraszonym obliczem,  
 a mróz szczypie chłopięce stopy.

Długa droga prowadzi do chederu ulicą Zieloną,  
 trzeba iść przez Mikoškę, przez Wołę;  
 przez podwórze Kurza<sup>18</sup> – przez kamienie, cegły  
 i przez drzewa cmentarne – zaśnieżone szubienice.  
 W chłopcu budzą się zasłyszane historie:  
 o synagodze, która bez mezuzy<sup>19</sup> nocą stoi otworem;  
 gdzie zmarli zachodzą przebrani w tałesy<sup>20</sup>  
 a jeden z nich rozwija zwój Tory.  
 Biada chłopcu, który bez tales-kotn<sup>21</sup>  
 przechodziłby w pobliżu w porze północnej!  
 Gdyby ktoś wezwał go po imieniu do synagogi<sup>22</sup>,

<sup>14</sup> Tygodniowa lekcja Tory odczytywana w synagogach na przełomie grudnia i stycznia. Składa się na nią fragment Księgi Rodzaju 44, 18–47, 27.

<sup>15</sup> Tygodniowa lekcja Tory odczytywana w synagogach na przełomie grudnia i stycznia. Składa się na nią fragment Księgi Rodzaju 47, 28–50,26.

<sup>16</sup> Tygodniowa lekcja Tory odczytywana w synagogach na przełomie grudnia i stycznia. Składa się na nią fragment Księgi Wyjścia 1, 1–6, 1.

<sup>17</sup> Gemara – jedna z dwóch (obok Miszny) części Talmudu, zawierająca rabiniczne komentarze objaśniające prawno-religijne dyskusje mistrzów poprzednich pokoleń.

<sup>18</sup> Tego miejsca nie udało się zidentyfikować.

<sup>19</sup> Mezuzza – umieszczany na odrzwiach zwitek pergaminu zawierający fragmenty Księgi Powtórzonego Prawa (6, 4–9; 11, 13–21), w tym modlitwę Szema Israel. Według tradycji mezuzy miały chronić domostwo przed różnego rodzaju niebezpieczeństwami (m.in. chorobami, demonami), ale zazwyczaj nie wieszano ich na synagogach.

<sup>20</sup> Tałes (hebr. talit) – żydowski szal modlitewny.

<sup>21</sup> Hebr. talit katan (hebr. mały tales) – wariant tałesu noszony na gołym ciele, zwykle pod ubraniem, z widocznymi węzełkami cicit.

<sup>22</sup> Żydy aszkenazyjscy wierzyli, że nocami zmarli Żydzi gromadzą się na modły w budynkach głównych synagog. Jeśli przyzwą do odczytania lekcji Tory kogoś z żyjących, to znak, że człowiek ten nie dożyje świtu.



trzeba uczynić zadość przestrogom babć:  
zajść z rozkołatnym sercem do rabina,  
a rabin dotknie go swoim tałesem i laską,  
każe spokojnie wrócić do synagogi,  
odmówić błogosławieństwo nad zwiniętą Torą,  
wówczas wszyscy zmarli będą się go bać...

Strach wracać zimową nocą z chederu.  
Szyby zasnuwa mroźny las.  
W ciemności bursztynowe oczy obcych psów  
błądzą za chłopcem przemierzającym uliczki.  
Rozjaśnia mu się twarz, stawia pewniejsze kroki,  
dotarłszy do rozświetlonego Rynku.  
Sklepy w piętnastym dniu miesiąca szwat<sup>23</sup> pachną  
chlebem świętojańskim, daktylami i pomarańczami.  
Błyszczą jasno podarki ślubne: lichtarze,  
menory, balsaminki i kielichy kiduszowe.

Po mieście hulają wiatr i mróz,  
ulice hartuje śnieg,  
odbijając błękitem światło latarni.  
Sanie fiaków dzwonią dźwięcznie,  
przemierzają bystro główne ulice,  
ciągnięte przez rozgrzane, spocone konie.  
Chłopcom z chederu mija smutek,  
gdy ruszają w ślad szybkich sań  
na podkowach i łyżwach,  
czy na podkutych drewnianych skrzyniach.  
Od śniegu, ślizgania się i dzikiej gonitwy  
ich twarze płoną młodzieńczym rumieńcem,  
a od pięści i razów nabiegają siniakami –  
biada chłopcu, który wróci do domu zraniony,  
z głową lub ramieniem obwiązany chustą.

---

<sup>23</sup> T'u bi-szwat – piętnasty dzień miesiąca szwat, dzień poświęcony wyznaczający w Ziemi Izraela koniec zimy i początek pory deszczowej. Wypadał na przełomie stycznia i lutego, a więc w czasie głębokiej zimy.

Zimne, odrętwiałe, żylaste siedzą ponure matki  
 przy zaśnieżonych koszach zmarzniętych owoców –  
 wydobywając z garnków ciepłą, swojską woń.  
 Jasny śnieg rzuca blask na ich sine dłonie.  
 Lżejsze, zgrabniejsze zdają się galicyjskie córki.  
 Szmer spokojnych spacerów, dumnych, eleganckich  
 dobiega z bogatej ulicy Pańskiej – wzdłuż całej długości –  
 okolice wypełnia zaś szlachecki, polski,  
 donośny szczebiot dziewczęcych rozmów.

2.

Dniem czy nocą, jesienią czy zimą,  
 stoi otworem do świata Wielki Kłojz.  
 Jego drzwi nie mają rygla ani zamka  
 a w przedsionku beczki z wodą  
 służą minjanom<sup>24</sup> do obmywania dłoni.  
 Ściągają tu ludzie z różnych zakątków świata:  
 kupcy z Jasła, kupcy z Lublina,  
 drobni handlarze z Tarnowa, z Sącza,  
 podróżni z Kołomyi czy ze Stryja  
 i zwykli włóczędzy chodzący po miastach,  
 śpijący na bóżniczych ławach.

Dniem czy nocą, jesienią czy zimą,  
 płoną tu ociekające woskiem świece jorrajtowe<sup>25</sup>.  
 Ludzie – stąd czy z obcych stron –  
 siedzą skuleni, zatopieni w księgach,  
 przygryzając brody w zamyśleniu nad tekstem  
 i paląc wyrwane włosy nad płomieniem lampki.  
 Na stołach leżą rozrzucone księgi,  
 wytarte na błysk od intensywnego studiowania  
 przez licznych gości otwartego kłojzu.  
 Zimą na modlitwy o świtanie  
 przychodzi do kłojzu reb Hersz Jankew,  
 przemarznięty po wizycie w łaźni – nabożnie.

<sup>24</sup> Minjan – kworum modlitewne dziesięciu dorosłych mężczyzn.

<sup>25</sup> Świece zapalane z okazji rocznicy śmierci (jid. Jorrajt).

Przychodzi z woreczkiem tefilin<sup>26</sup>, o lasce,  
twarz kryjąc w wysokim kołnierzu.  
Wiatr sypie mu pod stopy śnieg,  
rozwiewa, rozpościera poły płaszcza.  
Z trudem przemierza drogę,  
oddychając ciężko porannym powietrzem.  
W kłojzie wreszcie się ogrzewa.

Po przejściu przez śnieg i mróz – w kłojzie  
rozwiązuje reb Hersz Jankew białą torbę  
i mokrymi, sztywnymi palcami wyciąga  
tefilin, tałas i świece.  
Wszystko to kładzie na pustym pulpicie.  
Tak prowadzi się reb Hersz Jankew – o brzasku,  
gdy jeszcze świecą nocne latarnie.

Miasto jest stare, cmentarz obszerny,  
reb Hersz Jankew odmawia kadisz<sup>27</sup> u boku sierot.  
Zapala świece po zmarłych w samotności,  
którzy nikogo nie pozostawili na świecicie.  
Przestrzega tak każdego jorcajtu, za dnia i nocą,  
i modli się ze wszystkimi minjanami,  
aby broń Boże nie przegapić jakiegoś kadiszu.

## Dni powszednie

1.

W Rzeszowie handel bywa ubogi, bywa bogaty i wielki.  
Dni dobrze zacząć od ubicia interesu.  
Zimą czy latem trwają jarmarki.  
Schodzą tkaniny, nafta, przyprawy,

---

<sup>26</sup> Tefilin – modlitewne filakterie ze skóry koszerne zwierzęcia zawierające ustępy Księgi Wyjścia (13, 1–10; 11–16) i Księgi Powtórzonego Prawa (6, 4–9; 11; 13–21), zakładane na czoło i lewe ramię podczas codziennych modłów.

<sup>27</sup> Kadisz (hebr. Święty) – modlitwa wysławiająca Boga odmawiana tradycyjnie w intencji zmarłych. Istnieje szczególnie wariant kadiszu odmawiany przez syna po śmierci rodzica (kadisz sierocy).

pasmanteria, zboża, sól kamienna,  
aż chłopci na wszystko wybaluszają oczy.  
Jeden rodzaj handlu wybija się szczególnie,  
na Mikoście, wzdłuż całej długości.  
Żydzi o pobożnych brodach, Żydówki w czepcach  
targują się o łokieć i o kwartę,  
póki zysk nie urośnie do całego grosza.  
Zimą stoją w workach, zawinięci w onuce,  
a na kramach żarzą się, tłą się rozgrzane garnki,  
by mieć czym rozgrzać stopy, twarze i ciała.  
Garniec z „obiadem” ostygł i wyzimniał;  
zamarzł, odstawiony i zapomniany,  
w trakcie jarmarku nie ma czasu na jedzenie.

Na targowicy i na Woli  
trwa intensywny handel końmi i wołami;  
trwa intensywny handel trzodą, krowami i cielętami.  
Handlarze koni, czerwoni, wysocy.  
Handlarze trzodą – zdrowi, barczyści.  
nogi zanoszą ich daleko  
a potrafią godzinami przesiedzieć w szynku;  
barki mają przetarte od noszenia skór.  
Krowim i końskim łajnem – sianem i owsem –  
pokryte są Wola, targowica.  
Tu handluje się szczerze, z ręki do ręki.  
Koni próbuje się na cygański sposób,  
liczy się im zęby i puszcza w galop.  
Za konie, które nie utykają, nie są ślepe,  
składa się od razu wysokie asygnacje.  
A za konie suche, wynędzniałe,  
płaci się półdarmo jak za padlinę,  
za radą pośredników i znawców.

Młodzieńcy wolscy to rzeźnicka krew.  
Przestają na placach targowych dni i noce,  
by ich wynająto do spędu młodego bydła.  
Serca mają twarde i silne,

cielęta noszą zawieszane przez kark,  
i gnają woły w pośpiechu.  
Zawsze mają przy sobie sznury i kije,  
nie brak im niczego z rzeźnickich narzędzi;  
obnoszą się z różnorakimi nożami  
służącymi do ściągania skór i do żyłowania,  
a dni spędzają w rzeźniach i w jatkach.

Na Woli bydłęta dopada żalność.  
Te, które są młode, ledwie ustoją,  
leżą na słomie z zawiązanymi nogami.  
spoglądają głupimi ślepiami, drżą w milczeniu;  
nie wiadomo, czy ze strachu, czy z rozpaczki.  
I tylko sami młodzieńcy z Woli  
potrafią zrozumieć ten spokojny, bydłęcy smutek.  
Zlituj się Boże nad owcami i bydłem,  
które wpadają żywcem w ich ręce!

2.

Trudno jest pojąć ból chłopskiego serca,  
gdy zostaje wieczorem na targowicy sam.  
Pewnego razu wiejski Żyd zamarudził do późna,  
gdy pognął na sprzedaż ostatnią krowę  
i z drżeniem serca oddał ją rzeźnikowi.  
Z tą krową pożegnał się jak z człowiekiem,  
cicho przełykając płynące łzy.  
Płacząc przeliczył ubogą zapłatę  
i tak stał przygnębiony na opustoszałym placu.  
Nie poszedł jednak jak goj do szynku,  
aby zapić zgryzotę po bydłęciu,  
lecz podłamany udał się do reb Szlojmeego Lejbla,  
ponieważ sam studiował Gemarę, Zohar,  
i na wsi trzymał uczonego zięcia –  
a ziemię orał pobożnie, z wiarą,  
i żył sobie tak wśród kmieci – bez żydowskich sąsiadów.

I taki właśnie Żyd wpada raz do wolskich młodzieńców,  
pocieszają go, częstują szczerze.

Zawiązują oczy sprzedanemu bydłociu,  
aby nie wychudło, nie padło z tęsknoty.  
Chociaż młodzieńcom z Woli nie brak ojców,  
którzy stoją z furmankami przy stacji kolejowej –  
lubią jednak takich pobożnych, wiejskich Żydów.  
Serca ich nieraz przepelnia litość,  
by odprowadzić krowę z powrotem na wieś  
i nocą przywiązać po środku stodółki,  
by Żyd myślał, że to prorok Eliasz ją zwrócił.  
[...]

## Dziedzictwo pokoleń

[...]

7.

Gdy dni robią się zimowe i ponure,  
śnieg zasypuje ulice, kroki  
Chanele zdają się wieczorami przykrzejsze.  
Nie ma zbyt wiele czasu na interesy,  
zmrok zapada pospiesznie.  
Chanele zamyka sklep jak przed szabatem,  
aby nie spóźnić się na powszednie modły:  
zawsze ma za kogo zapalić świecę,  
wysłuchać Kadiszu samotnych sierot  
i jak reb Hersz Jankew, po każdym powtórzyć: amen.

Teraz, gdy piątek jest krótki,  
krew jakoś szybciej płynie w żyłach,  
w obawie przed czymś, nie wiesz czym.  
To zadziwiają cię przygotowania Chanele do szabatu.  
W czwartek szykuje rybę, chały.  
Miasto powoli pustoszeje po dniu targowym,  
pachnie miesiącem kislew, tewet, szwat.  
Chanele nie czuje już ziemi pod stopami,  
unosi się między szabatem i Bogiem.

Wśród pośpiechu piątkowego handlu  
porzuca nagle swój sklep  
i zrzuca z siebie kupieckie odzienie:  
drobne w kieszeniach i wiązkę kluczy,  
wszystkie rzeczy stają się niepotrzebne.  
Najważniejszą micwą jest przygotowanie szabatu.  
Nad każdą potrawą, nad czulentem, nad chałami,  
nad wszystkim, co Bóg podarował na szabat,  
Chanele odmawia swoje zaklęcie – na cześć szabatu!

Świeczniki ślubne błyszczą,  
stoją na stole przygotowane i skrzą się.  
Ciepły biały obrus rozłożony  
pachnie dwiema przykrytymi chałkami.  
Płonie w oczach Chanele zmierzch,  
spogląda na kalendarz, na cyferblat  
i co chwila wygląda przez okno.  
Piątek zapada żmudnie, sino  
i wieczór przejmuje wino, świeczniki,  
gdy Chanele zapala babcine świece.  
Jej twarz, jej ręce jaśnieją  
Bożym ogniem ze świeczników,  
za sprawą błogosławieństwa nad szabatem.

8.

W szabat Chanele nie mówi zbyt wiele.  
Nie chce rozmawiać o sprawach powszednich.  
Przesiaduje przy zimowych oknach  
i zagłębia się w nową porcję Tory.  
Sidury i grube kobiece książki  
leżą na parapecie w wysokich stertach –  
a do każdej używa innych okularów:  
tych do szerokiego Cene u-rene,  
tamtych do Barchi nafszi, do tchines,  
a do szyby odmawia Boże Abrahama.

Tyle tęsknoty jest w jej głosie,  
gdy odczytuje z tajcz-chumesz księgę Szemot.  
Śpiewa, wielbi i żali się:  
– „Oto dzieci Izraela,  
które wyszły z Egiptu.  
Każde ze swoim dobytkiem,  
siedemdziesięcioma duszami Jakuba.  
Józef już był w Egipcie.  
Umarł tak jak jego bracia.  
Pokolenie o siedemdziesięciu duszach.  
Ale dzieci Izraela przybywało,  
mnożyli się i roili,  
i stali się bardzo, bardzo potężni,  
a ziemia zapełniła się nimi...”  
Chanele czyta melodyjnie fragment na szabat,  
a karty księgi kryje wieczorny smutek.

9.

Chanele, oto istota szabatu,  
kobieca modlitwa tego domu.  
Gdy na zewnątrz zapalają się latarnie,  
Na twarzy Chanele maluje się przygnębienie.  
Siwa, pobożna, babcino stara,  
opowiada Chanele przy szabatowej szybie  
o pradziadku, jej ojcu reb Lipie.  
Pamięta go jedynie jak przez sen.  
Nieustannie siedział wśród ksiąg,  
zagłębiając się w Bogu i kabale;  
zawsze studiował kryjąc się przed światem.  
Był, opowiada Chanele, wysoki i szczupły,  
brodę miał rzadką i mizerną,  
twarz zamyśloną z nadmiaru studiów.  
W szabat wychodził na pole  
badać tajemnicę świata –  
i mówić do siebie, do nieba, do trawy,  
poczuć na ziemi oddech Boga.



Chanele pamięta jak przez sen:  
Tak jak dziś, w szabat, przy Boże Abrahama,  
jej ojciec, jak zawsze świątecznie wystrojony,  
w ciemnym jak mrok sztrajmlu,  
z kawałkiem chały wychodził na trzecią ucztę.

- - - - -

Więcej Chanele nie chce opowiadać,  
ponieważ nie wszystko mieści się w żydowskiej głowie.  
Jej serce, oczy robią się ciężkie i zimne,  
i zaraz zmienia temat.  
Ale ile by nie myślała,  
nie zdoła pojąć, jak człowiek  
może tak nagle wyjść niby do jakiegoś lasu  
i więcej z trzeciej uczyty nie powrócić,  
lecz pozostać w mieście legendą.  
[...]

## Sznur pereł

*Awromowi – jedynemu  
żyjącemu wnukowi Racele –  
poświęcam.*

1.  
Racele,  
sznur pereł tego miasta.  
Niska, o suchej, żółtawej twarzy  
i sercu, które karmi się dobroczynnością.  
Nie spędza czasu na psalmach jak jej siostra Chanele,  
nie płacze jak jej siostra Chanele,  
lecz pielęgkuje w sobie cnotę miłosierdzia  
i często zachodzi do domów ubogich.  
Położnicy przynosi ciepły posiłek,  
ubogiej pannie młodej – lnianą tkaninę na prześcieradło.  
Każdy nędzarz i biedak jest na jej głowie,  
zapuszcza się na ich uliczki,

a w czwartki odwiedza bogaczy,  
zbierając na wdowy, na sieroty,  
niewiele mąki, mięsa czy chały,  
wszystko na cześć szabatu.

Sama będąc kobietą dobrego pochodzenia,  
nie wstydzi się Racele chodzić po domach –  
a mieszkania otwierają się przed nią,  
gdzie tylko zapuka.

Chodzi z torbą, fartuchem,  
Zbiera bieliznę, ubrania i buty;  
podarki dla ubogich panien.  
Jak by nie była słaba,  
włóczy się z jednej ulicy w drugą.  
Tylko te dobre uczynki  
przydają jej sił, by iść dalej.

Zimą, w godzinach modlitwy wieczornej,  
nigdy nie ma jej w domu.  
Śnieg pada, zasypuje wszystko,  
a Racele z pieniędzmi na węgiel, na drwa,  
spaceruje po Woli, po uliczce Garncarskiej;  
ledwie brodzi w śniegu przez ulicę Różaną.  
Latarnie blednieją w gorączce,  
nad Racele zapada zmrok.  
Ciało owinięte wełnianym szalem  
nie pozwala się porwać zawodzącej wichurze.  
Jej sługa cień podąża wraz z nią uparcie –  
i tak wiedzeni jedną misją  
niosą niewiele ciepłej strawy, by pocieszyć czyjąś duszę.

2.

Materiały krawieckie to towar Racele.  
Handluje z dziedzicem, z chłopem.  
Walenty, dobry goj,  
pomaga jej rozstawiać deski  
i wynosić towar z domu.

Wszystko wrzuca na grzbiet  
i związuje sznurem.  
Pochylony pod ciężarem towaru,  
kroczy ciężko w ślad za Racele  
i rozkłada materiały na jarmarku.  
W każdy wtorek i piątek  
przychodzi do Racele goj Walenty.

Mikośka, gdzie rozstawia się deski,  
jest dla przekupek, dla drobnych handlarzy.  
Dla takich, którzy nie mają sklepów  
albo na starość parają się handlem,  
aby nie pozostawać na utrzymaniu dzieci.  
Racele jest zasuszona, sina,  
Majerl skulony i siwy,  
od stania na chłodzie owinięci szmatami  
i od śniegu, który zdaje się przenikać do krwi.  
A jaki jest, mówiąc z przesadą, zarobek?  
Chłop trzy razy się zastanowi,  
zanim w końcu poprosi o metr materiału.  
Jaki zysk ma być z tego,  
na co ma wystarczyć?  
Na korzec ziemniaków, na kopę jaj.  
Zdrowie jest ważniejsze, drogie,  
wrzeszczy Racele na swojego Majerla.

Zimą, w dni targowe,  
interesy Racele wyglądają inaczej:  
Wyczekują końca tygodnia  
i żyją na własny rachunek.  
Trochę się nudząc, trochę biedując,  
Majerl włóczy się do późna  
od sklepu bławatnego do sklepu  
i rozlicza się z kupcami.  
Sprawdza, gdzie tkwi okazja,  
jakie wzory lepiej schodzą,  
i niczym u siebie w domu –  
siada na cudzej ładzie,

żartuje i tupie nogami.  
W sklepie płomyk migocze  
i gaśnie przez wiatr z zewnątrz.  
Zimą, pomiędzy minchą a maariw,  
tak mija kupiecki czas wujowi Majerlowi.

3.

Przychodzi miesiąc adar, wiatr ustaje,  
z gzymsów i dachów ścieka mróz,  
wieczór to tęższe, to mięknie  
w dni słoty i błota –  
aż nadchodzi Wielki Piątek.  
Na Rynku pojawiają się „święte” obrazy –  
drżącej ciotki Marii<sup>28</sup>,  
przybitego Jezusa,  
konającego na gwoździach  
pomiędzy ziemią, człowiekiem i niebem,  
z przebitą piersią,  
z raną broczącą krwią  
po ukrzyżowanym człowieku-bogu.

Na Rynku zalega rozdeptana słoma  
ciężka od rozpuszczonego śniegu.  
Na workach, na stołkach rozstawionych  
leżą kościelne towary  
a Rusini śpiewają swe pobożne pieśni.  
Ślepcy, żebracy, kaleki  
kłęczą jak księża, kłęczą jak zakonnice  
z oczami utkwionymi w blasku świecy –  
i wyciągają w psalmach ręce do klientów,  
by upraszać miłosierdzia.  
Chłopki chylą się nisko  
i szepczą coś do ucha,  
by się za kogoś modlić, błagać –  
i za modlitwę wręczają monetę.

---

<sup>28</sup> Maria matka Jezusa w potocznym jidysz zwana była niekiedy „ciotką Marią”, zaś wobec Jezusa używano imienia Jojzl (zdrobnienie od Jojsef – Józef).

Na takim jarmarku pachnie ostrą cebulą,  
koralami, świecami, śledziem i czosnkiem.  
Żydzi wystawiają towarów w bród:  
skóry, cholewki, bransolety,  
a na rozciągniętych drążkach  
kołyszą się wszystkie rodzaje butów.  
Ludzie są zajęci handlem,  
targują się, wrywają sobie towar z rąk,  
ktoś kradnie, ktoś błogosławi, ktoś inny przeklina,  
a chłopci z portfeli wyciągają istne skarby.  
W huk, wrzasku, ścisku  
robi się ciasno od kieszonkowców.  
Kupcy się złoścą, denerwują,  
popędzają klientów i przez to cierpią.

Od powietrza ciężkiego od handlu  
I od tłumów chłopów w mieście  
jarmark zdaje się przemieszczać,  
jakby ziemia się pod nim ugiwała.  
Tłumy ciągną, a nad głowami  
przybyłych sterczą kosa i bicze.  
Rynek pełen handlarzy i kupujących  
jest ciasny na rzut kamieniem.  
*Miszenichnas adar marbim be-simcha*<sup>29</sup>,  
szczęśliwy miesiąc obfituje w dobra.  
[...]

##### 5.

To dopiero Melawe Malka<sup>30</sup> w wieczór po szabacie.  
Zwyczaj, który pozostawił reb Majerl Kohen  
a Racele przestrzega tego dziedzictwa z dumą.  
Gdy kto przyjdzie do niej na wyjście szabatu,  
naogłada się i nasłucha.

<sup>29</sup> Hebr. „Gdy przychodzi miesiąc adar, wzrasta nasza radość” – cytat z Talmudu (Taanit 29a) stanowiący popularny element pieśni śpiewanych przy okazji święta Purim.

<sup>30</sup> Melawe Malka (hebr. „Pożegnanie Królowej”) – dodatkowy posiłek spożywany po hawdali, a przez chasydów nawet późno w nocy lub nad ranem. Według kabały dodatkowa dusza, jaka spływa na Żyda w szabat, nie odchodzi aż do czasu zakończenia pożegnania święta.

Dom radosny, jasny, swojski,  
pełen jest ciotek, wujów i wnuków.  
Ubrani są na poły powszednio, na poły świątecznie,  
a w zimowych szybach kwitną mrozem drzewa  
i ciepło rozpływa się od cygar i wszelkich fajek.  
Żywo i swojsko parzy czajnik herbatę.

Goście siedzą przy stole podniesieni na duchu,  
Świątecznie napinają się brzuchy mężczyzn  
z ich zegarkami i łańcuszkami na kamizelkach –  
i nie przestają rozmawiać,  
czy to o genealogii, czy o swatach.  
Jeden drugiego stara się przekonać –  
a twarze kobiet nabierają rumieńców,  
gdy komuś zdarzy się powiedzieć o kimś złe słowo.  
Uwznioślona przepychem Melawe Malka  
mała ciocia Racele promienieje.  
Gościnna gospodyni w świątecznej sukni,  
z jej oblicza bije radość.  
Jej chude ciało jest chodzącym dobrem  
I niczego innego u niej nie znajdziesz –  
a bierze stąd siłę by chodzić,  
by żadnego biedaka, broń Boże, nie pominąć.  
Roznosi lniany materiał na prześcieradła,  
by utrzymać ubogich przy życiu.  
Racele – najbardziej ukryta sprawiedliwa w Rzeszowie,  
to postać cichej cnoty,  
dziedzictwo Baal Szema<sup>31</sup>.  
[...]

---

<sup>31</sup> Baal Szem Tow (Izrael, syn Eliezera z Międzyboża) – na poły legendarny inspirator ruchu chasydzkiego.

## Ziemia i miecz

[...]

6.

Wyrosły mapy z nazwami  
krajów, miast, rzek i twierdz.  
Rzeszów zmienił się nie do poznania:  
we wszystkich oknach, we wszystkich niszach,  
stanęły portrety Hötzenborfa i Hindenburga<sup>32</sup>,  
łopotały niemieckie i austriackie flagi –  
a w klapach marynarek, w kapeluszach,  
prawie każdy nosił przypięte guziki  
z dwoma cesarzami w czas wojenny:  
Franciszkiem Józefem z brodą  
i surowym cesarzem Wilhelmem u boku.  
Dzieci całymi dniami biegały  
podziwiać jak niezwykle cudo  
maszerujące wojsko – naprzód  
posłuchać muzyki granej przez kapele.  
Niby piasku albo gwiazd na niebie,  
tytu żołnierzy paradowało z przewieszonymi, zimnymi szablami,  
które podnosili na widok  
generałów i oficerów.  
Największy strach budziły karabiny.  
Tak oto idą się bić,  
bo nawet król węgierski Karol  
siedzi teraz w okopie.

Wśród wozów, kurzu i pyłu,  
za mężczyznami jadącymi konno,  
na pół złamane, na pół zgięte,  
wloką się ich żony z czerwonymi oczami,

---

<sup>32</sup> Franz Conrad von Hötzenborf (1852–1925) – feldmarszałek i szef sztabu armii austro-węgierskiej. Paul von Hindenburg (1847–1934) – feldmarszałek armii niemieckiej, późniejszy prezydent Niemiec.

całują siodła i żołnierskie ostrogi.  
Powozy i bryczki z zaopatrzeniem  
kopcą pod niebem jak piece,  
a rzeźnicy stojący jak kiedyś pod jatkami  
poganiają i skórują zarżnięte bydłeta,  
obcinają łby padłym koniom.  
Zapach końskiej juchy bije z kotłów  
i tak jadą daleko za miasto.  
Boże, na wszystkich czeka spowiedź,  
gdy już dotrą do pola:  
Żydzi owiną się tałesami  
i staną przed rabinem polowym jakby martwi.  
Pobłogosławi ich, rzeknie dobre słowo,  
żeby ocaleli i pozostali przy życiu;  
aby broń Boże nie zginęli w ogniu...

7.

Wilgotne, jesienne niebo.  
W dal wloką się przerażone pociągi;  
wagony mają zbrojone karabinami.  
Żołnierze z okien, z dachów,  
śpiewają żwawe żołnierskie pieśni,  
lecz pogrążają się w rozpacz.  
Jadą za nimi generałowie.  
Jadą za nimi szpitale,  
stajnie i nieme konie  
tęskniące za ziemią –  
wszystko mija jak błysk,  
jarzy się jedynie płomyk za ostatnim wagonem.

Lasy robią się głębsze, ciemniej pociągi,  
cicho gasną szyby.  
Front stoi w deszczu i błocie,  
toną w nim przybyte regimenty.  
Pola otoczone drutem kolczastym,  
ziemia jest ciężka i martwa:  
Nad głowami latają odłamki i granaty,  
żołnierze do szturmów nakładają bagnety.



W dolinie leżą porzucone, martwe konie  
zastrzelone wraz ze swymi jeźdźcami –  
całe sterty ciał.  
Ściśnięci jako na fotografii rodzinnej,  
wielu z nich jeszcze żyje, poruszają rękami  
macając ziemię w poszukiwaniu wody,  
a ich karabiny rdzewieją od krwi.  
Można się tu potknąć o martwe ciała,  
każdy śni o żonie, dziecku, domu.  
W oddali dudnią lufy armat,  
ojcowie i synowie zasypywani żywcem.  
Umiera świat  
na bitewnym polu.

8.

Trudno było rozpoznać Rzeszów:  
Zerwano szyldy ze sklepów,  
wyniesiono towary z magazynów,  
w środku nocy zamurując piwnice.  
Oznacza to, że „Wańka” już minął Lwów  
i oblega twierdzę przemyską.  
Prawie zajął linie kolejowe  
i wkrótce zagrozi Rzeszowowi.  
Austria będzie się musiała zebrać w pośpiechu,  
uciekać przez góry do Czech.

Rzeszów ogarnęła noc i strach,  
to było zupełnie inne miasto.  
Na wszystkich drzwiach zawisły ciężkie kłódki  
a babki z psalmami w oczach  
przez całą noc błagały Najwyższego,  
by udało się wszystko po cichu ukryć;  
żeby stróż o niczym nie wiedział.  
Każdy dom wyglądał jak po przejściu rabusiów,  
gdy wyniesiono srebra i księgi,  
opróżniono wszystkie pokoje.  
Najdroższe przedmioty zakopano w ziemi.  
[...]

10.

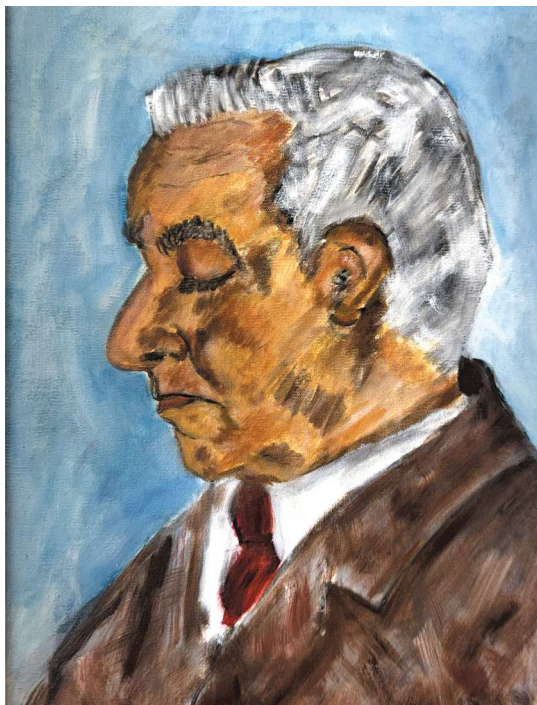
Pociągi ze Lwowa przestały kursować –  
rzeszowski dworzec całymi dniami  
okupują wśród ścisku i krzyków matki z dziećmi.

Nie da się precyzyjnie, nie da się wyjść,  
pozostaje stać w miejscu jak ten głaz.  
Pociągi jadące do Krakowa  
są już ostatnimi, zmierzają w jedną stronę.  
Wojsko się przemieszcza, mają pierwszeństwo podróży,  
zajmują dachy i przejścia w wagonach –  
a biletu i za złoto nie kupisz.  
Jak bydlętami wagony napchane są ludźmi –  
zamiast „czterdziestu osób lub sześciu koni”,  
jakby zalał je ludzki potop.  
Aż żal było patrzeć:  
ktoś pchał się z pakunkami, laskami, pościelą –  
depcząc dzieci niby martwe przedmioty –  
pod nogami plątali się nieszczęśliwi starcy.  
Płacz, skowyt jak w rzeźni.  
Dzieci błakają się jak zgubione owce,  
pogubieni ludzie nie mogą się odnaleźć.  
Pociągi odprawiane są w pośpiechu.  
Kto nie zdąży na peron,  
błaga, niby biblijny Samson, by je szlag trafił,  
by wagony rozpadły się na miejscu.

Jak płonący stryżek wiszący ponad ziemią  
zbliżali się Rosjanie z impetem do Rzeszowa –  
i wkrótce oblegli miasto artylerią.  
Austriacy zniszczyli Most Lwowski  
i przed wycofaniem Rzeszów zbombardowali –  
od eksplozji domy się trzęsły,  
szyby w oknach wylatywały.  
Ludzie utknęli na dworcu.

Przez pożary, płomienie, krzyki  
odechciało się Chanele i Zewulonowi zostawać,  
i jakby zrządzeniem losu dotarli na kolej  
i odjechali ostatnim, niemrawym pociągiem.  
[...]

Przekład jidysz i komentarze judaistyczne  
Marek Tuszewicki



Israel Bernbaum,  
portret Berisza Weinsteina

## Grażyna Bochenek

### RAJSZE ZNACZY RZESZÓW

Rajsze to nazwa miasta Rzeszów w języku jidysz, ale również tytuł poematu poświęconego żydowskim mieszkańcom miasta z początku XX wieku. Dzisiejsi mieszkańcy rzadko znają słowo Rajsze, choć w minionych wiekach społeczność żydowska w Rzeszowie (nazywanym niekiedy z sarkazmem Mojżeszowem) była liczna i stanowiła od niemal osiemdziesięciu procent na początku XIX wieku do około trzydziestu procent przed wybuchem II wojny światowej. Blisko 80 lat po zakończeniu wojny oraz po Zagładzie często nie pamiętamy, że jedno miasto przez długie lata zamieszkiwali obok siebie wyznawcy chrześcijaństwa oraz judaizmu i miało ono dwie równoważne nazwy – Rzeszów oraz Rajsze.

Poemat *Rajsze* także nie jest znany poza wąskim gronem regionalistów i badaczy literatury żydowskiej. Powstał daleko za oceanem, w amerykańskim Nowym Jorku, a jego autor, Berisz (Berish) Weinstein, napisał go w języku jidysz. Został wydany w 1947 roku, na przełomie roku 1950 i 1951 ukazało się jego tłumaczenie na język hebrajski, jednak do tej pory nie było ani przekładu na język angielski, ani na język polski. Odbiorcami utworu przez długie lata pozostawali więc w większości Żydzi, w szczególności ci zainteresowani nostalgicznym obrazem miasta, które przestało istnieć jako żydowski shtetl, a pozostało wyłącznie w pamięci nielicznych ocalałych z Zagłady.

Berisz Weinstein mieszkał w Rzeszowie do początku lat dwudziestych XX wieku. Jako data i miejsce jego urodzin często podawane są 18 marca 1905 roku i Rzeszów. Jak jednak wynika z kwerendy Mateusza Bieniasza<sup>1</sup>, nazwisko poety nie występuje w księgach rzeszowskiego Izraelskiego Urzędu Metrykalnego pod tą datą. Bardziej prawdopodobna jest data podana na portalu JRI-Poland, mianowicie rok 1902 oraz miejscowość Stropko Sarsch na terytorium Węgier (zapewne to dzisiejszy Stropkov – miasto w Słowacji). Dodatkowo, Berisz Weinstein pojawia się tam pod nazwiskiem panieńskim matki – Gerhard. Jako adres rodziny w Rzeszowie w roku 1910 wskazana jest ulica Matejki 6.

Po tym, jak jego ojciec Jacov Lipa Weinstein wyemigrował do USA, matka Chaja wyjechała z młodszym synem do swojej rodziny na tereny dzisiejszej Słowacji, starszy Berisz został pod opieką babci Chany (w poemacie Chanele) oraz jej siostry Racele. W rzeszowskiej żydowskiej Księdze Pamięci<sup>2</sup>, napisanej po II wojnie

<sup>1</sup> M. Bieniasz, *Rodzina Weinsteinów*, „My Rzeszowianie”, <https://myrzeszowianie.pl/weinsteinowie/>.

<sup>2</sup> *Rzeszow Community Memorial Book*, „Yevishen.org”, <https://www.jewishgen.org/yizkor/rzeszow/rzeszow.html>.

światowej przez żydowskich mieszkańców Rzeszowa, znajdziemy kilka tekstów związanych z Beriszem Weinsteinem. Wynika z nich, że w czasie I wojny światowej rodzina mieszkała w Raichenbergu (ówczesna nazwa miasta Liberec w północnych Czechach), zaś po powrocie na teren niepodległej Polski Berisz miał być świadkiem pogromu, w którym brali udział żołnierze generała Józefa Hallera.

Jako osiemnastolatek wyemigrował do Wiednia, gdzie miał przez dwa lata ukrywać się przed austriacką policją, a w 1925 roku wyemigrował do USA, gdzie wkrótce przybyli także jego matka z młodszym bratem. Wnuczka Berisza Weinsteina, mieszkająca w USA Elicia Weinstein, precyzuje, że jej dziadek w Wiedniu znalazł się w sposób nielegalny, posługując się dokumentami należącymi do młodszego brata swojej żony, co miało wynikać z chęci uniknięcia poboru do wojska. Być może stąd wzięły się niejasności w jego dacie urodzenia<sup>3</sup>.

Jak czytamy w rzeszowskiej Księdze Pamięci, w Nowym Jorku w ciągu dnia młody Weinstein pracował „w dusznych sklepach, a nocami uczył się języka angielskiego na kursach dla imigrantów”, studiował też w Żydowskim Studium Nauczycielskim i poznawał żydowską poezję. Już w 1927 roku jego utwory poetyckie w jidisz zaczęły ukazywać się w prasie, między innymi w periodykach: „Leim Und Tzigel”, „Tzukunft”, warszawskich „Globu” i „Literarisze Bleter” wileńskim „Unzer Tog” i nowojorskim „Tog”. Opublikował książki: *Bruchwarz* (1936); poematy: *Reischa*<sup>4</sup> (1947), *Ameryka* (1955), *Hemelech Dawid's Giter* (1960); *Homeryade* (1964, w jidisz i hebrajskim), *Be-shere Lider* (1965), *Malka's ballad* (1967 w jidisz i hebrajskim) oraz *Berish Weinstein Book* (1967)<sup>5</sup>.

Informacje o poemacie *Rajsze* niełatwo odnaleźć. Aleksander Zyga napisał o nim w *Dziejach Rzeszowa*, że to jedyny poemat, jaki kiedykolwiek powstał o tym mieście, choć dotyczy głównie jego żydowskiej społeczności:

niewysokiego lotu poemat epicki Weinsteina stanowi pierwszą część zamierzonej przez niego trylogii autobiograficznej. Odtworzył w nim znane mu z dzieciństwa i lat młodościowych chasydzkie środowisko swojego rodzinnego miasta, przed I wojną światową będące centrum nauki religijnej. Słowem postawił w tym utworze pomnik rodzinnemu miastu i zamieszkującym je kiedyś współwyznawcom rzeszowskim<sup>6</sup>.

W rzeszowskiej Księdze Pamięci (która zresztą również nie jest przetłumaczona na język polski, ale składa się także z wersji rozdziałów w języku angielskim)

<sup>3</sup> *Rajsze czyli Rzeszów w poemacie Berisha Weinsteina*, „Rzeszowskie Historie”, <https://rzeszowskiehistorie.pl/2023/04/16/rajsze-czyli-rzeszow-w-poemacie-berisha-weinsteina/>.

<sup>4</sup> Spotkać można także zapisy Reische i Reyshe.

<sup>5</sup> Weinstein Berisz (Berish), „Sztetl. org”. <https://sztetl.org.pl/pl/biogramy/5646-weinstein-berisz-berish>.

<sup>6</sup> A. Zyga, *Rzeszów w zwierciadle piśmiennictwa* [w:] *Dzieje Rzeszowa*, t. III, red. F. Kiryk, Rzeszów 2001, s. 799. Autor podaje jako źródła swojej wiedzy *Antologię poezji żydowskiej (1868-1968)*, wybór, przekład i oprac. Z. Szeps, Londyn 1980, s. 247, oraz *Encyklopedię Judaica*, vol. 16, *Supplementary Entries*, ur. 2, Jerusalem bd. s. 409.

prof. Dov Sadan napisał, że w poemacie najlepiej przedstawiono Rzeszów chasydzki. Tylko zaznaczona w nim została obecność syjonistów i socjalistów. Mowa jest także o Żydach, którzy oglądają detektywistyczne filmy, łamią szabat i jedzą niekoszerne dania, ale są to obrazy marginalne – w centrum uwagi autora pozostaje życie społeczności chasydzkiej, widziane z perspektywy zwykłych rodzin.

W Rzeszowie o poemacie *Rajsze* opowiadał kilka lat temu kuzyn Berisza Weinsteina – Jacov Blasbałg. Jego ojciec, Abraham był jedynym wnukiem Racele (pomagającej siostrze Chanie w wychowywaniu Berisza), który przeżył Zagładę. Właśnie Abrahamowi (Awromowi) autor poematu *Rajsze* dedykował rozdział *Sznur pereł*, przedstawiający sylwetkę Racele. Jacov Blasbałg opowiadał, że po II wojnie światowej Berisz odwiedzał w Izraelu Abrahama i miał go przekonywać do używania na co dzień ojczyzkiego języka jidysz (właściwie „matczynego” – w jidysz jest on nazywany mameluszi, co oznacza język matki). Wówczas jednak w Izraelu obowiązującym, państwowym językiem był hebrajski. Starano się nie używać języka jidysz, który zbyt mocno kojarzył się z Zagładą<sup>7</sup>.

W Stowarzyszeniu Rajsze, które powstało w 2022 roku, chcemy poemat *Rajsze* przybliżyć mieszkańcom Rzeszowa oraz wszystkim zainteresowanym literaturą, szczególnie zaś poezją w języku jidysz. Znajomość tego utworu pozwoli nam lepiej poznać perspektywę żydowskich mieszkańców Rzeszowa oraz skonfrontować polską i żydowską opowieść o mieście, które przez wiele lat było wspólne. Da nam także możliwość samodzielnej oceny wartości artystycznej utworu, gdyż do tej pory byliśmy skazani na informacje o nim z drugiej lub nawet trzeciej ręki. Przede wszystkim zaś jesteśmy po prostu ciekawi tego legendarnego utworu. Rzeszów sprzed 100 lat, tajemniczy język jidysz, chasydzkie zwyczaje – to wszystko wydaje się niezwykle interesujące, niemal tak samo, a może bardziej, jak podróże w najdalsze zakątki świata.

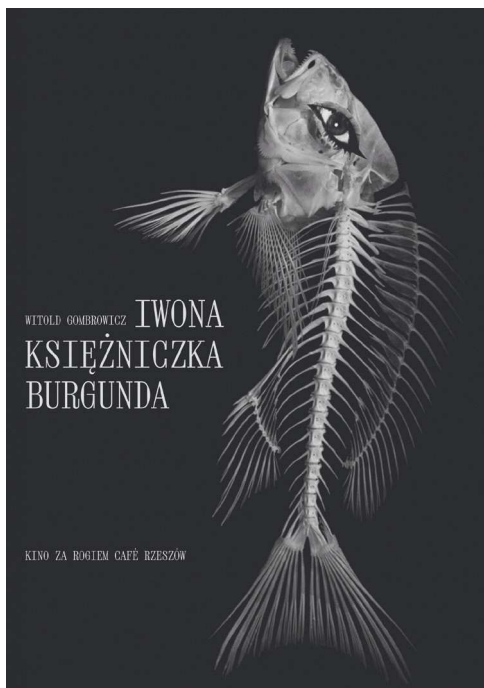
Realizacja naszego zamierzenia jest możliwa dzięki dotacjom z budżetu Miasta Gminy Rzeszów oraz przede wszystkim współpracy z doktorem Markiem Tuszewickim – znakomitym jidyszystą i historykiem z Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach 2023–2024 przetłumaczył on 160 stron poematu, a kolejne etapy jego pracy planujemy na lata 2025–2026. Już teraz jednak możemy poznawać i cieszyć się częścią przetłumaczonych fragmentów – przedstawiliśmy je na spotkaniach otwartych w 2023 i 2024 roku. Uczestniczył w nim (na żywo i online) doktor Tuszewicki, a fragmenty poematu w języku polskim czytała aktorka Teatru Maski Anna Kukułowicz.

Jak wynika z przetłumaczonych fragmentów, poemat *Rajsze* poświęcony jest przede wszystkim żydowskim mieszkańcom Rzeszowa z początku XX wieku, zwłaszcza najbardziej religijnej i ortodoksyjnej części tej społeczności. Dorastającemu w rodzinie chasydzkiej Beriszowi Weinsteinowi była ona najbliższa. Opisy

<sup>7</sup> *Rajsze czyli Rzeszów w poemacie Berisha Weinsteina*, dz. cyt.

domowego i wspólnotowego świętowania oraz portrety ważnych rabinów i cadyków przeplatają się z opowieścią o własnej rodzinie (wspaniałe fragmenty poświęcone babci Chanele, nieakceptującej „gojowskich” aspiracji swoich wnuczek) i relacjami z wydarzeń ważnych dla całego miasta: powodzi, wizyty cesarza Franciszka Józefa, poboru do wojska po wybuchu I wojny światowej. Cieszymy się bardzo, że „Fraza” publikuje fragmenty poematu *Rajsze* i mamy nadzieję, że niebawem będziemy mogli Państwa zaprosić do lektury całości tego dzieła.

Grażyna Bochenek  
Przewodnicząca Stowarzyszenia Rajsze



Monika Hanejko

## Josef Kroutvor

### WIATR

Dobrze jest mieć wiatr w plecy  
Ale wiatr może się obrócić  
I co wtedy?  
Nastawić twarz  
I zмагаć się o każdy metr  
Nic innego przecież nie pozostaje  
Wiatr to uparciuch  
A także gwałtownik  
Zagrzmie jak symfonia  
Łamie gałęzie i spustoszy las  
Ale potem wnet się poskromi  
I już jest z niego baranek  
Wiatr to żywioł  
Dobry przyjaciel i szorstki chłop  
Rozdmucha w sercu iskrę  
Marnie jest chwytać wiatr  
Wiatr jest swobodny  
Jak miłość  
Wiatr jest tułaczem  
Z Novohradeckich Gór

### STARE PRZEGRODY

Zabłądziliśmy  
Lecz błakamy się radzi  
Między zwierciadłami stawów  
Droga się wiję  
Wiedzie nas dalej i dalej  
Za głosem mosiężnego rogu  
Za lotem czapli siwej



Teraz pod wieczór  
W gęstym świetle jesieni  
Dęby są żółte i rude  
I zwierciadła odzwierciadlają  
Tylko wieczną krasę

## ZASZYTE OŁÓWKI

Zawsze pod ręką  
Żeby nie zapomniał  
Co przelatuje obok  
Ołówki i ołóweczki  
Przygotowane w kieszeni marynarki  
Leżą tam jak w żłóbku  
Jak w torbie mechanika  
Nigdy nie miałem odwagi  
Wyrzucić najmniejszego ogryzka  
Już mam ich pełne pudełko  
Są to moje pamiątki  
Moje złamane kopie  
Ułożone w prywatnym relikwiarzu  
Moje ołóweczki, ołówki i drzazgi  
Są zawsze ze mną  
Te, co wyleciały przez dziurę w kieszeni  
Gniotą mnie w boku  
I w prawym rękawie  
Przez pomyłkę zaszyte do podszewki  
Jestem przebity strzałami  
Jak święty Sebastian

## BODENSEE

Jaki masz kolor  
Pytam się jeziora  
Taki, jaki ma niebo  
Tak fala za falą zadaje pytania  
Jakby woda i niebo ot tak sobie gawędziły  
Trwa wieczność całą wieczność?  
Albo trwa tylko mgnienie?  
Tak fala za falą zadaje pytania  
Ot tak się wznosi zeppelin  
Nad jeziorem  
Leci, przeleci i odlatuje

## CZAS ODWILŻY I DARÓW

Wszystkie wzgórza były wówczas złote  
Staliśmy w świeżym śladzie  
I czekał nas zjazd  
Ta wspaniała jazda z góry  
Po miłość i przygodę  
Mieliśmy dobrze posmarowane  
I nie baliśmy się wcale upadku  
Do gór właśnie docierała wiosna  
Z wielką sławą  
Strumyki terkotały i rwały naprzód  
Jak mali ulicznicy  
Pozbywaliśmy się szalików, rękawiczek  
Wszystkie zmartwienia rzucali za siebie  
Niebiosa były modre  
jak pudełeczko kremu nivea  
Śnieg lśnił, oślepił  
Powietrze pachniało  
Świat pachniał jak krem do opalania  
A dziewczynom pachniały włosy  
W wilgotnym powietrzu stała woda

Po tęgiej zimie nastawał czas roztopów  
Sezon narciarski się kończył  
I my byliśmy ostatnimi gośćmi:  
Wariaci, ci romantycy i śnieżni tułacze!  
Chłopaki już czekali na dole  
Przy szosie posypanej żużlem  
Ale ja jeszcze zwlekałem  
Ponieważ czas także stanął na moment  
Korzystałem z tej chwili i z luksusu  
Rozejrzałem się po tym bożym świecie  
Który leżał przede mną jak dar  
Obserwowałem obłóści gór naprzeciwko  
I starałem się dopatrzeć jeszcze dalej  
Dostrzec coś w oddali za górami  
To, o czym nawet nie miałem pojęcia  
Ślad przede mną był wolny  
A chłopaki już czekali i wołali  
Ruszyłem z miejsca i jechałem  
Nie obejrzałem się nawet  
Z ostatnią mandarynką w kieszeni  
I kęsem czekolady  
Sunąłem w dół ku czarnej szosie  
Posypanej żużlem  
I wierzyłem, wierzyłem  
Że szczęście nie opuści mnie nigdy

## SIREM

*Jirkowi Daníčkowi*

Tylko ułamek sekundy  
Uchwycił ten moment szczęścia  
Franz Kafka się uśmiecha  
na fotografii z Ottlą  
Przyjechał pan doktor z Pragi  
Przyjechał geometra K.  
Szeptają sobie ludzie we wsi

I ukradkiem obserwują mężczyznę  
W ciemnym urzędniczym surducie  
Z kapeluszem na głowie  
Franz się uśmiecha i jeszcze nie przeczuwa  
Wszystkiego, co zakłócać będzie mu spokój:  
Gęganie gęsi i muczenie krów  
Może i ujadanie psa  
Ale przede wszystkim chrobot myszy  
To chrobotanie nie do zniesienia  
Jakie i dzisiaj budzi nasz lęk:  
Na placu stoi zrujnowany kościół  
Cmentarz się zamienił w śmietnisko  
I stara Zürau zamieniła się w ruiny  
Jest tutaj cisza, taka cisza  
O której się Kafce ani nie śniło  
Coś chrobocze cicho  
Tak nieznośnie

*(odwiedziny Siřemi 27.01.2018)*

## POSELSTWO DESZCZU

Ile macierzystych języków zna deszcz  
O czym szepczą nam deszcze  
Kiedy pada i pada...  
Z czego się nam zwierza ta mowa mów  
Przed czym nas ostrzega  
Dawna, pradawna i biblijna  
Mowa jeszcze nieulożona do słów  
A jednak przynaglająca aż do szpiku kości  
Słuchajmy uważnie  
Jaką pieśń śpiewa wiosenny deszcz  
Gdy zrasza ogrody, pole, ludzkie dusze  
Co grają organy w ulewie  
Jak grzmią chóry w oberwaniu chmur  
Co pobrzmiwa w hałasie deszczu  
Przed potopem

## GALICJA

Było sobie raz królestwo boże  
A radość zamieszkiwała właśnie tutaj  
I z całą tą biedą i brudem  
Tu mieszkaly i tańczyły dzieci boże  
Dziecinniejsze od swych własnych dzieci  
Oczekiwali mesjasza  
Zamiast mesjasza przyszła jednak wojna  
A po niej druga jeszcze straszniejsza  
Galicja została zmieciona  
Z powierzchni ziemi  
Cud się nie zdarzył

*(w związku z książką Jiřtego Langerera „Dziewięć  
bram” i zdjęciami Romana Vishniaca)*

## HOŁD DLA OTY PAVLA

Rzeka stała między brzegami  
Po zimie stężała, bez ruchu  
I nie chciało się jej jeszcze gadać  
O życiu  
Które płynie i ucieka jak woda  
Zastukaliśmy pałeczką w żelazną rurę  
Zawieszoną na trójnogu  
By wezwać przewoźnika  
Ani pies nie zaszczeakał  
Nad przeprawą spoczywała spiętrzona cisza  
Na odwiedziny było jeszcze za wcześnie  
Trwaliśmy w minutach pokoju z rzeką  
I milczeli  
Zwlekali z odejściem  
Tak jak zima

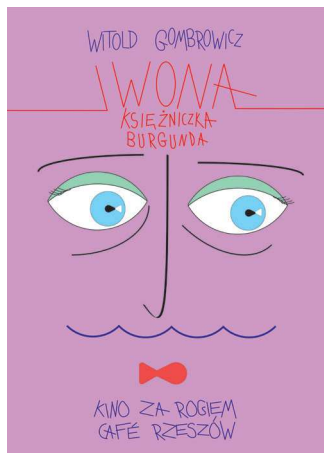
*(u Branovskiego luhu 4.03.2017)*

## PRÓBA W REMIZIE

Słucham  
Siedzę na cembrowinie studni  
I słucham  
Jakbym siedział w Rudolfinum  
Jest czwartek  
Muzykanci mają próbę  
Słucham  
Słyszę akordeon, Bohoušową trąbkę  
I śpiew  
Tutaj chłopcy jeszcze śpiewają  
Remiza żyje i gra  
Nikt się mnie nie zapytał  
Skąd jestem  
Na czym pan gra?  
Padło wtedy pierwsze pytanie  
Kiedy przyszedłem tutaj  
Z Pragi na wieś

Josef Kroutvor

Przełożył Antoni Matuszkiewicz



Amelia Błaszczyszyn

## Antoni Matuszkiewicz

### PRZYJACIEL, Z KTÓRYM SIĘ NIE ZNAM

To Josef Kroutvor, czeski pisarz i historyk sztuki. Prawie mój rówieśnik (urodził się w 1942 roku w Pradze). Odkryłem go poprzez swoje zainteresowanie Josefem Váchalem i jego poświęconą temu artyście książkę *Šumava a Josef Váchal* oraz systematyczny kontakt z radiem Vltava. Od razu ujęła mnie jego eseistyka, główny uprawiany przezeń rodzaj literacki, mocno ugruntowany w jego zawodowych zainteresowaniach, jakby organicznie narastający wraz z trzydziestoma latami jego zatrudnienia w Artystyczno-Przemysłowym Muzeum w Pradze, gdzie z czasem został kierownikiem działu grafiki użytkowej i fotografii. Mam na myśli nie tylko pracę ściśle muzealną, owocującą publikacjami naukowymi (m.in. *Pražský chodec. Dějiny českého plakátu 1890–1945* [*Praski przechodzień. Historia czeskiego plakatu 1890–1945*], 1985), ale i długotrwałe pozostawanie w aurze przedmiotów, ich formy i historii, skupione asystowanie milczeniu rzeczy. Także atmosferę koleżeńską i środowiskową wynikającą ze specyfiki tej instytucji i jej centralnego położenia w stołecznym mieście, muzeum jako miejsca spotkań ludzi o podobnych zainteresowaniach, swego rodzaju kulturalnej elity.

Wszystko to, poza stołecznością, znam z własnej muzealnej praktyki, choć bieg wydarzeń nie pozwolił mi wytrwać w tej pracy aż tak długo. Nastął rok 1980 i 1981, a ja po 13 grudnia znalazłem się gdzieś indziej. Ale i ten rys społecznej aktywności także jest nam wspólny. Kroutvor miał bardzo silne więzi z kulturą niezależną i współpracował z samizdatem (pisywał tam jako Josef K.), był też śledzony przez służbę bezpieczeństwa. Inna jeszcze, a bardzo istotna, zbieżność naszych biografii to zainteresowanie naturą, przede wszystkim górami. W jego wypadku pasmem Novohradzkich hor na południowej rubieży Czech, gdzie miał swój drugi dom, o którym tak pisał w eseju *Poloviční hory* [*Połowiczne góry*]:

Nie urodziłem się w tym magicznym trójkącie między Borovanami, Trhovými Svinami a Novými Hradami, a mimo to zapaściłem tutaj korzenie wystarczająco głęboko, aby ten kraj był mi bliski i drogi. Koło Jílovic, na końcu třebońskiej równiny, kraina zstępuje ku podgórzcu oddalonych Novohradzkich hor na horyzontcie. [...] Tutaj wiodły mnie drogi i tam w górach na czesko-austriackim pograniczu ponawiały się moje wycieczki, moje pielgrzymki, a także moje odkrycia. Chciałem poznać i zobaczyć wszystko, co latami było niedostępne, co znajdowało się w strefie pogranicznej, często za ścianą z drutów i pod nadzorem wież obserwacyjnych i patroli. [...] Novohradzké hory, kraj granicznych lasów, granicznych kamieni, zanikłych szklarskich osad, leśnych samotni, miejscowości, a także całych dwóch miasteczek,

przez lata przechodził z mojego pielgrzymowania do notatek, z zeszytów w kieszeni do mojego pisania<sup>1</sup>.

W jego twórczości literackiej przecina się więc metropolia i peryferia, usiane gęsto relikiami zrównanych z ziemią wsi (a trzeba tu dodać jeszcze podróże zagraniczne oraz naukowe pobyty w Besançon i Wiedniu). I jest coś jeszcze, co zbliża mnie doń wewnątrz, jakaś chrześcijańska z ducha pokora wobec świata. Wobec ludzi – i tych z praskich wernisaży czy annałów historyczno-artystycznych, i tych z leśnych ścieżek lub zadymionych gospód. Bardzo czeski rys świadomego siebie i swoich dziejów plebejusza. Wyzbytego agresywnego arywizmu, nietraktującego własnego talentu i sztuki instrumentalnie, jako narzędzia do stawania się kimś innym, co znamy także z postawy Bohumila Hrabala. Jest w tym wszystkim również nuta urzeczenia, reakcji wzmożonej wrażliwości i wiedzy na codzienność, jej pozorną pospolitość. Zaiste, trudno być pysznym, doświadczając co krok istnienia w jego zaskakującej nadzwyczajności.

Eseistyka Kroutvora jest ważną składową czeskiej refleksji literackiej przełomu tysiącleci i ustrojów, tudzież dokonującej się reorientacji geopolitycznej. Mam tu na myśli zwłaszcza jego sławną pracę *Střední Evropa: anekdota a dějiny – Europa Środkowa: anekdota i historia* opublikowaną przez „Świat Literacki” w przekładzie Jana Stachowskiego w 2019 roku, którą polski wydawca rekomenduje następująco:

Najgłośniejszy esej Josefa Kroutvora, wybitnego czeskiego eseisty i historyka sztuki. Opublikowany w 1979 roku w emigracyjnym miesięczniku czechosłowackim „Svedectvi” był obok eseju Milana Kundery *Zachód porwany czyli tragedia Europy Środkowej* najważniejszym czeskim głosem w toczonych w latach 80-tych dyskusji na temat wspólnej, środkowoeuropejskiej tożsamości krajów naszego regionu, a zawarte w nim uwagi i spostrzeżenia wciąż zachowują aktualność i pobudzają do refleksji.

Spośród innych publikacji eseistycznych Kroutvora można wymienić wydane w roku 1992 książki poświęcone Pradze i Wenecji, a także rzecz o symbiozie biografii artystycznych (np. Máchy, Váchala, Reynka, Demla) z przyrodą i pejzażem – *Klobouk, kniha a hůl [Kapelusz, książka i laska, 2009]*. Ta ostatnia praca nawiązuje do „wędrownego” nurtu w prozie czeskiej, przede wszystkim klasycznej opowieści *Kulhavý poutník [Kulejący pielgrzym]* Josefa Čapka z 1936 roku (inspirowanej postacią Josefa Floriana). Kroutvor pisze:

Na widnokręgu krainy pojawiła się krocząca postać. Czy jest to pielgrzym, tułacz, pasterz, podróżny? Nie wiemy. Czy to romantyk albo już nowoczesny turysta? Kto wie? I my musimy wybrać się w drogę, literacką podróż. Skąd, dokąd i dlaczego?

---

<sup>1</sup> J. Kroutvor, *Lesní eseje [Eseje leśne]*, Zlin 2019. Wszystkie przekłady z języka czeskiego są autorstwa Antoniego Matuszkiewicza [uwaga red.].



Nawet nie oczekujemy, że się zaraz dowiemy wszystkiego. Ostatecznie nawet nie chcemy się dopytywać. Przyczyną spotkania z pielgrzymem nie jest przecież nasza ciekawość, ale kęś wspólnej drogi. Z daleka już obserwujemy zbliżającą się postać i przyglądamy się nachyleniu ciała, sposobowi chodzenia, jej „rękopisowi”. Tam, gdzie droga się wiję, dojrzymy i kęś historii, i dowiemy się więcej, niż oczekiwaliśmy. Drogi poetów wiodą nas krainą, podróżujemy z nimi, lecz niekiedy wyruszmy na wędrowkę sami, na własną rękę. Mapa, książka i laska w dłoni pomogą nam zawsze znaleźć ten właściwy kierunek, a w końcu i drogę, i nić opowieści.

Uroczy, anegdotyczny jest również eseistyczny *Pražský kavárník* [Kawiarz praski] (2019), oparty na osobistym doświadczeniu, a także materiałach archiwalnych i kontekście kulturoznawczym wysokiej próby, dzięki kompetencjom autora dający czytelnikowi, ciekawemu czeskiej historii i obyczaju, o wiele więcej, niż zapowiada tytuł. Poznałem ją na początku jako lekturę radiową, w podobny sposób zaznajomiłem się ze wspomnieniami Kroutvora *Poletování jednoho ptáčka* [Pofruwanie jednego ptaszka] (2019, Nagroda Jaroslava Seiferta 2022). Esej jest ulubionym gatunkiem tego autora:

Esej jest punktem wyjścia. Kiedyś pokusiłem się zdefiniować eseja jako przygodę na pograniczu kilku kategorii artystycznych: literatury, historii sztuki, historii, ale też socjologii i psychologii. Interesują mnie wiadomości z różnych stron, lecz zawsze starałem się dać im określoną stylistyczną jakość, nie chciałem tylko dzielić się faktami. W Czechach, gdzie przeważa tradycja pozytywistyczna, autorzy patrzą na eseja trochę przez palce: nie jest to dla nich ani literatura, ani nauka. Zawsze mnie to raziło, ponieważ na świecie eseja jest doceniany i zaliczany do uznawanych gatunków. Nawet powiedziałbym, że te najciekawsze dzieła naukowe zostały napisane w formie eseju<sup>2</sup>.

Natomiast poezja Kroutvora pozostawała nieco w cieniu, także innych jego własnych dokonań. Nie dziwi zatem, że, dobiegając osiemdziesiątki, twórca przygotował programowy zbiór wierszy pod ostentacyjnie niepoetyckim (jeśli istnieją rzeczy czy pojęcia niepoetyckie), porządkującym tytułem *Řádkování*, czyli rubrykowanie, wersowanie, aluzji do struktur poezji i jedności z doświadczanym światem, także z ziemią, co podkreśla lekko zamglone zdjęcie pobrużdżonej roli na okładce. Tom opatrzony jest na licu okładki i stronie tytułowej określeniem *užitá liryka*, czyli liryka stosowana, liryka użytkowa, podobnie jak sztuka użytkowa. Co więcej, zamykają tę publikację dwa teksty eseistyczne o charakterze teoretycznym. Pierwszy, zapisany kursywą i bardziej osobisty, zaczyna się incipitem: *Co je to užitá liryka?*, drugi nazwany *Liryka a dokument* jest próbą (czyli esejem właśnie) ukazania tego typu wiersza na tle współczesnej poezji, nie tylko czeskiej, ale przedstawienie

<sup>2</sup> Fragment wypowiedzi dla międzynarodowego Festiwalu spisovatelů, który odbywa się w Pradze corocznie od 1991 r. Kroutvor był gościem honorowym w 2008 roku.

tego właśnie, rodzimego kontekstu wydaje się być szczególnie pożyteczne z punktu widzenia czytelnika polskiego, pozwala bowiem na pogłębione spojrzenie na czeską tradycję literacką, wyzbyte nieznośnych stereotypów. Także podsuwając nazwiska znaczące, a nieznanne. Zamykający całość spis treści imituje zeszyt w linie, w domyśle, być może, stronicie muzealnego katalogu... Warto w tym miejscu wspomnieć, że Kroutvor był swego czasu także autorem manifestu *Škola české grotesky* [*Szkoła czeskiej groteski*]. W przykładzie przytaczam obydwie wymienione eseje, jak również wybrane wiersze z tego samego tomu.

Antoni Matuszkiewicz



Marlena Cichosz



Jacek Ciejka

## Josef Kroutvor

## CO TO JEST LIRYKA UŻYTKOWA?\*

Charakterystykę poezji powszedniej, balansującej na granicy prozy poetyckiej i dokumentu, przejąłem przed laty od Ericha Kästnera<sup>1</sup>. Na sposób użytkowy pisało więcej autorów, choćby Benn, Brecht, ekspresjoniści, we Francji tak pisał Prévert. Wspólnym mianownikiem stała się tak zwana nowa rzeczowość. Codzienna poetyka ze skąpyimi rymami wpłynęła również na muzykę użytkową, *Gebrauchsmusik*, w której duchu komponowali Hindemith<sup>2</sup>, Orff<sup>3</sup>, Weill<sup>4</sup>, oczywiście i Honegger<sup>5</sup>, a początkowo także Martinů<sup>6</sup>... Pisze o tym Alex Ross w książce *Reszta jest halasem*<sup>7</sup>. U nas powszedniość zyskała na znaczeniu w twórczości plastycznej, przeniknęła do poetyki Skupiny 42, do poezji Jiřfego Kolářa<sup>8</sup> i Jana Hanča<sup>9</sup>. Ostatni z wymienionych był mi szczególnie bliski, drugi zeszyt jego *Události [Zdarzeń]* wydałem jeszcze w samizdacie. Powszedniość postępowała i w dogmatycznym okresie realizmu socjalistycznego jako tak zwana poezja zwykłego dnia. Ten meandrujący strumyczek bez wątpienia przyczynił się do lepszej, swobodniejszej atmosfery lat sześćdziesiątych. Potem jednak nastąpiły wydarzenia sierpnia 1968, a po nich nowe zakazy i doba normalizacji. Codzienna zwyczajność stała się na tyle banalna i niepoetycka, że „poezja dnia powszedniego” straciła sens. W przeciwieństwie do intymnej, subiektywnej, analitycznej liryki, liryka użytkowa jest kwestią syntezy. Czerpie z rzeczywistości i bliska jest anegdocie. Nastroje i emocje nie są tak istotne, istotniejsze są fakty, zdarzenia i komentarze. Retoryka, nadmiar metafor czy tajemnicze symbole nie należą do liryki użytkowej. Ceni się rzeczowość, jak

---

\* Eseje pochodzą z książki Josefa Kroutvora *Řádkování [Rozstaw]*, Archa, Zlín 2020. Przepisy oraz przekłady czeskich tytułów i fragmentów literackich, jeśli nie podano inaczej, są autorstwa tłumacza.

<sup>1</sup> Erich Kästner (1899–1974), pisarz i publicysta niemiecki.

<sup>2</sup> Paul Hindemith (1895–1963), kompozytor niemiecki.

<sup>3</sup> Carl Orff (1895–1982), niemiecki kompozytor i pedagog muzyczny.

<sup>4</sup> Kurt Weill (1900–1950), niemiecki kompozytor, współpracownik Bertolda Brechta.

<sup>5</sup> Arthur Honegger (1892–1955), kompozytor szwajcarski.

<sup>6</sup> Bohuslav Martinů (1890–1959), najwybitniejszy obok Leoša Janáčka kompozytor czeski XX w., twórca muzyki symfonicznej i teatralnej, także czternastu oper. Od 1940 roku na emigracji.

<sup>7</sup> A. Ross, *Reszta jest halasem. Słuchając XX wieku*, przeł. A. Laskowski, Warszawa 2011.

<sup>8</sup> Jiři Kolář (1914–2002), czeski poeta, twórca poezji eksperymentalnej i wizualnej, czolowy przedstawiciel awangardowej plastyki czeskiej, tłumacz i samizdatowy wydawca.

<sup>9</sup> Jan Hanč (1916–1963), czeski poeta i prozaik, autor krótkich opowiadań i prozy dziennikowej, w młodości lekkoatleta, reprezentant kraju w sprincie, trener i dziennikarz sportowy.

u holenderskich martwych natur pędzla starych mistrzów. Liryka użytkowa jest z wyglądu uboga, trzyma się ziemi, nie czaruje. Poetyka *hand made* jest minimalistyczna, autentyczna, tak trochę żartuje i stara się o pointę. Autor, który przyznaje się do liryki użytkowej, nie jest wizjonerem, raczej dokumentalistą. Rozumie i obserwuje. Nie jest opanowany „poezjowaniem”, nasłuchiowaniem podszeptów muzy. Jest zafascynowany lirycznym potencjałem rzeczywistości.

## LIRYKA I DOKUMENT

W XX stuleciu poezja doznała wielkiej przemiany, zrezygnowała z regularnych wierszy i przemieniła się w wolną mowę poetycką. Nowoczesna poezja złączyła się z nowoczesną sztuką plastyczną i nowoczesną muzyką, jazzem, filmem, fotografią, typografią... Wszystkie zmiany poetyckie odpowiadały zmianom stylu życia, nowym rytmom cywilizacyjnym i przyspieszonej komunikacji.

We Francji, która była przez czeską literaturę pilnie obserwowana, nową drogę otworzyła *Strefa Apollinaire'a*<sup>10</sup>, życiodajny strumień nowoczesnej poetyckiej mowy obrazów i słów. „Pasterko wieżo Eiffla nad ranem mostów pobekują stada”<sup>11</sup>, pyta się zaraz na początku poematu poeta i poszukuje niesentymentalnej odpowiedzi bez tradycyjnych metafor i symboli. Odpowiedź następnie przynosi płynąca wolno sekwencja obrazów, asocjacji, migawek i danych biograficznych, która przypomina raczej film dokumentalny niż wiersz. *Strefa Apollinaire'a* porusza się na granicy poezji i prozy, nie rozróżnia gatunków, porywa czytelnika wewnętrznym, fascynującym ruchem.

Nieprzypadkowo umieścił Apollinaire *Strefę* na początku legendarnego i kultowego zbioru *Alkohole*, *Strefa* była między innymi również sygnałem i manifestem modernizmu. Tekst francuski powstał w roku 1912, więc jeszcze przed pierwszą wojną światową, ale do uznania nowej poetyki dojdzie już po wojnie, w czasie pokoju. W roku 1919 wyszła *Strefa* i u nas, i to w wyjątkowym przekładzie Karla Čapka. Jak wystawa Muncha w Pradze w roku 1903 umożliwiła pojawienie się nowoczesnej czeskiej sztuki plastycznej i jak *Wielka kąpiel* Deraina, zakupiona przez Mánesa<sup>12</sup> za kilka setek zebranych po kawiarniach w roku 1910, zasadniczo wzmacniła nowoczesne dążenia zmierzające w kierunku kubizmu, tak i *Strefa* Apol-

<sup>10</sup> W czeskim przekładzie Čapka *Strefa* to *Pásmo* [pasm] i tym terminem, jeśli nie odnosi się bezpośrednio do utworu Apollinaire'a, jako bardziej odpowiednim w szerszym znaczeniu stosowanym w niniejszym tekście, będą się posługiwał w swoim tłumaczeniu (tą folklorystyczną nazwą określał też Stanisław Vincenz części swojej epopei) [uwaga tłumacza A.M.]

<sup>11</sup> G. Apollinaire, *Wybór pism*, wybór, wstęp i noty A. Ważyk, Warszawa 1980, s. 190.

<sup>12</sup> Josef Mánes (1820–1871), malarz i grafik, czołowa postać czeskiego romantyzmu. W eseju chodzi o noszące jego nazwisko stowarzyszenie wspierające sztuki piękne, istniejące w latach 1887–1956.

linaire'a wkroczyła do czeskiej poezji, wpływając na autorów i czytelników. Jej echa odnajdujemy w *Svatym kopečku [Świętej Górcze]* Jiřfego Wolкера<sup>13</sup>, w *Podivuhodnym kouzelníku* Vítězslava Nezvala<sup>14</sup>, do Apollinaire'a przyznawali się Jaroslav Seifert<sup>15</sup> i Karel Teige<sup>16</sup>.

Pierwsze powojenne, głodne lata są okresem anarchizmu, rewolucyjnych gestów, politycznych proklamacji i poezji społecznej. Nawet poeta nie chce znaleźć się poza swoją epoką, on także chce być świadkiem wydarzeń i mieć swój udział w biegu dziejów. Piękne słowa nie pomogą, poezja musi stać się czytelniejsza, zrozumialsza, musi być do dyspozycji tak jak gazeta. Poeci zaczynają zatem mówić zwyczajnym językiem, odsuwają się od estetyzmu i odkrywają poezję dnia codziennego. Nowoczesny poeta siedzi najczęściej w redakcji, pracuje w gazecie i oprócz tego pisze wiersze. Dziennikarstwo w naturalny sposób przenika się z poetyckimi obrazami, liryka z elementami dokumentarnymi.

W roku 1929 Josef Bartuška<sup>17</sup> wydaje *Město na hranicích [Miasto na granicach]*, Apollinaire'owskie pasmo komentujące życie młodego poety i jego dojrzewanie. Bartuška w swoich wspomnieniach cofa się aż do roku 1924, kiedy jako nauczyciel trafia do Českých Velenic. Marzy o miłości, podziwia uroki ziemi vitorazskiej i Novohradských hor<sup>18</sup>, przysłuchuje się nowym dźwiękom cywilizacji, jaką dlań reprezentuje przede wszystkim kolej. Przechadzka miastem kończy się na Rewolucnej třídzie 230, przed nowym miejscem zamieszkania. Następuje jeszcze nocne czuwanie, a nad ranem rozmowa z Jutrzenką. Poeta mówi rzeczowo, nie epatuje metaforami, wskazuje na piękno zwyczajnego życia. Podanie konkretnego adresu w końcówce wiersza ma swój sens, wiersz otrzymuje cechę dokumentu.

Lata trzydzieste będą różnić się od lat dwudziestych, budzą się masy i wciąż rośnie napór ideologii. Po okresie krótkotrwałego spokoju i powodzenia nadchodzi kryzys gospodarczy i społeczny, tłumienie racjonalności i wystąpienie podskórnych, irracjonalnych tendencji. Nie przypadkiem w roku 1934 założona zostaje Surrealistická skupina<sup>19</sup>, poezja ucieka do podświadomości, a mówiąc wprost, do podziemia. Pisze się także pasma, ale innego typu, teksty automatyczne, do poezji powracają symbole, wiersze ciemnieją aż do granicy zrozumiałości. Wojna i terror nazistowski

<sup>13</sup> Jiří Wolker (1900–1924), poeta czeski, Święta Górcza to pielgrzymkowe miejsce niedaleko Olomuńca.

<sup>14</sup> *Cudowny czarodziej* w przekładzie Andrzeja Piotrowskiego. Vítězslav Nezval (1900–1958), jeden z najwybitniejszych poetów czeskich XX w.

<sup>15</sup> Jaroslav Seifert (1901–1986), czeski poeta, dziennikarz i tłumacz, laureat Nagrody Nobla (1984).

<sup>16</sup> Karel Teige (1900–1951), awangardowy czeski krytyk, teoretyk sztuki i typograf.

<sup>17</sup> Josef Bartuška (1898–1963) czeski poeta, librecista, krytyk, malarz, grafik i fotograf.

<sup>18</sup> Teren Czech Południowych, na granicy z Austrią.

<sup>19</sup> Nazwa oficjalna to Skupina surrealistů v ČSR, założona w 1934 r. przez Vítězslava Nezvala i przez niego rozwiązana w 1938, w proteście przeciw antysowieckim poglądom innych członków, wynikającym z nieoficjalnych informacji z ZSRR. W niepełnym składzie funkcjonowała jednak do 1939 r. Na zaproszenie Skupiny występował w Pradze André Breton.

potwierdzi obawy i przecucia, nowoczesna sztuka uznana jest za *Entartete Kunst*, sztukę zwyrodniałą.

Za protektoratu<sup>20</sup> zawiązała się Skupina 42, społeczność malarzy, którym bliska była poezja dnia codziennego. Inny program w ograniczonym, wojennym czasie był nie do pomyślenia. Jak się jednak okaże, nie chodziło tylko o ciszę martwych natur i wędrowanie po peryferiach, obrazy i wiersze uchwyciły także nieco więcej swoim intymnym milczeniem. Do grupy z czasem przyłączyli się i poeci: Jiří Kolář, Jan Hanč, Ivan Blatný<sup>21</sup> i Josef Kainar<sup>22</sup>. Skupina 42 rozpadła się w roku 1948, oczywistą przyczyną była różnica poglądów politycznych. *Hledači něha* [*Czułość poszukiwania*], dalsze pasmo, wiersz Hanča włączony do pierwszego zbioru pod zwyczajnym tytułem *Události* [*Zdarzenia*], został wydrukowany, lecz oficjalnie już się nie ukazał. Nie ukazał się też drugi zbiór pod tą samą nazwą, ten tomik już sam Hanč przepisał na maszynie i dał do oprawy z przeznaczeniem dla swych najbliższych przyjaciół. Stał się w ten sposób jednym z klasyków czeskiego samizdatu, podobnie będą przepisywać swe wiersze Bohumil Hrabal, Egon Bondy<sup>23</sup> czy surrealiści.

Jednakże trójdzielny wiersz Hanča *Hledači něha* nie jest bynajmniej jedynym w tym zbiorze przykładem połączenia dokumentu z formą poetycką. Gdybyśmy zestawili ze sobą także krótsze utwory, powstawałyby następne pasma, gdybyśmy przejrzelі kolejne niewłączone i niewydane wiersze, znaleźlibyśmy na przykład *Pastorále pro foukací harmoniku* [*Pastorałkę na harmonijkę dmuchaną*], następne pasmo. Hanč całe życie pisał w zasadzie jedno długie pasmo. Ostatecznie jednak wiersze porzucił jako sztuczne twory, zwrócił się ku dokumentowi i prozie dziennikowej. Powstawały typowe Hančowe zeszyty, wzbogacane nalepianymi tytułami z gazet, hasłami, fotografiami, zatem współczesnym materiałem dokumentarnym. Hanč wybrał zdarzenie jako centralne pojęcie poetyki, odrzucił tradycyjne uczucia i nastroje, z jakich zazwyczaj rodzą się wiersze. Przesunął poetykę na teren rzeczowości, i to rzeczywistej codziennej rzeczowości, bliżej nowoczesnego życia.

Jeśli futuryści mogli jeszcze podziwiać fajerwerki wojny, to druga wojna światowa przekroczyła wszelkie wyobrażenia. Nie było czego podziwiać, jedynie odwagę ludzi, którzy sprzeciwili się nazizmowi. Powojenne odkrycie grozy obozów

---

<sup>20</sup> Protektorat Czech i Moraw (Protektorat Čechy a Morava, Protektorat Böhmen und Mähren), istniejąca od 16 marca 1939 do 8 maja 1945 roku na ziemiach czeskich niewłączonych bezpośrednio do Rzeszy jednostka administracyjna (formalnie autonomiczna) utworzona z rozkazu Hitlera.

<sup>21</sup> Ivan Blatný (1919–1990), poeta i tłumacz czeski, od 1948 r. na emigracji w Wielkiej Brytanii, współpracował z BBC i Wolną Europą. Od roku 1954 przebywał w zakładach psychiatrycznych, cierpiał na paranooidalną schizofrenię wynikającą z lęku przed porwaniem do komunistycznej Czechosłowacji.

<sup>22</sup> Josef Kainar (1917–1971), wybitny czeski poeta, dramaturg, dziennikarz, tłumacz, także plastyk i muzyk, po przewrocie komunistycznym w roku 1948 przedstawiciel kultury oficjalnej, od 1970 roku przewodniczący Związku Pisarzy Czeskich (SČS).

<sup>23</sup> Egon Bondy (wł. Zbyňek Fišer, 1930–2007), poeta, prozaik, filozof, czołowa postać czeskiego undergroundu, a zarazem współpracownik służby bezpieczeństwa. Jeden z głównych bohaterów *Czulego barbarzyńcy* Hrabala.

koncentracyjnych i maszyny masowej zagłady spowodowało szok. Wielu w konsekwencji zadało sobie pytanie, czy można jeszcze tworzyć poezję, czy człowiek ma jeszcze do tego jakieś estetyczne prawo. Przecież porażające fakty nie dawały najmniejszej szansy poezji, były wypowiedzią absolutną, jakiej przynależy tylko milczenie i cisza. Co więcej, druga wojna światowa się nie skończyła, mocarstwa się nie rozbroiły, Europa rozdzieliła się na Wschód i Zachód, i wkrótce rozpoczęła się zimna wojna. Tylko tak można sobie częściowo wyjaśnić okrucieństwo lat pięćdziesiątych, komunistyczny terror i lekceważenie godności ludzkiej. Śmierć Stalina i krytyka stalinowskiego kultu nie oznaczały jednakże końca totalitaryzmu, przyniosły tylko czasowe odprężenie stosunków politycznych i społecznych.

Z roku 1956 pochodzi samizdatowy zbiór wierszy *Život je všude* [*Życie jest wszędzie*], w którym znaleźli się Jiří Kolař, Josef Hiršal<sup>24</sup>, Bohumil Hrabal, Emil Juliš<sup>25</sup>, ale też Václav Havel i Josef Škvorecký. Zbiór skomponowali poeci Kolař z Hiršalem i dlatego możemy spokojnie zastąpić w tytule słowo życie słowem poezja. Można powiedzieć, że zbiór ten nawiązuje pod wieloma względami do poetyki Skupiny 42, do zwyczajności, która jednakże przekracza status peryferyjności. W roku 1956 wydany zostaje bibliofilsko tekst Hrabala *Hovory lidí* [*Rozmowy ludzi*] z dwoma rysunkami Kamila Lhotáka<sup>26</sup>, również byłego członka Skupiny 42. Najważniejszą osobowością spajającą to środowisko jest poeta Jiří Kolař, organizator, inspirator, wyznawca kierunku zwyczajności i otwartości poezji. W wierszu może znaleźć się cokolwiek, cokolwiek może stać się wierszem, poezja i życie są wszędzie.

Wiersze, jakie pisał Jan Zábřana<sup>27</sup> w latach pięćdziesiątych, które udało mu się opublikować dopiero w latach sześćdziesiątych, słusznie nazywał on „czarną liryką”. Chodzi o książkę *Utkvělé černé ikony* [*Trwale czarne ikony*] wydaną w roku 1965 oraz zbiory *Lynch* i *Stránky z deníku* [*Lynch* i *Kartki z dziennika*], obydwa wydane w roku 1968. Tak do *Utkvělých černých ikon*, jak i do *Lynchu* włączył obszerny wiersz *Lynch*, uważając go zapewne za kluczowy. Już początek wiersza, pasma, przypomina poetykę Skupiny 42: „W przydrożnych gospodach / i o dziesiątej rano / gdy rozładowujący przetrząsają wszystko, / jest jeszcze wielu mężczyzn między mężczyznami, / od węgla, oleju...”. Jest tu także obecna Hančowska melancholia człowieka, który stoi z boku i obserwuje zwyczajne, lecz mimo to pociągające życie. Pasma składa się także ze strzępów zasłyszanych zdań, rzeczywistość odciska się bezpośrednio w tekście jak w pieczętnym wosku.

<sup>24</sup> Josef Hiršal (1920–2003), poeta i tłumacz, wraz z Bohumilą Grögerovou, życiową partnerką i współautorką kilku jego książek (m.in. wybitnych memuarów *Let let* [*Lot lat*]) należał do czołowych postaci czeskiej poezji eksperymentalnej

<sup>25</sup> Emil Juliš (1920–2006), czeski poeta i autor prac plastycznych, w latach dziewięćdziesiątych XX w. laureat Nagrody Jaroslava Seiferta i Nagrody Państwowej w dziedzinie literatury.

<sup>26</sup> Kamil Lhoták (1912–1990), czeski malarz, grafik, wybitny ilustrator, także autor kilku książek, laureat austriackiej międzynarodowej Nagrody Herdera.

<sup>27</sup> Jan Zábřana (1931–1984), czeski pisarz, autor wierszy, opowiadań, powieści detektywistycznych, także ważnych dzienników. Tłumaczył wiele dzieł literatury angielskiej, amerykańskiej i rosyjskiej.

Poezja Zábřany to skomplikowany labirynt, wiele jest tu zakodowane, ukryte, ponieważ nie było wówczas możliwe wypowiedzenie się wprost. Prywatny dziennik, który latami pisał Zábřana, przelewa się w poezję. Zapewne to dobrze, że nie znamy wszystkich kluczy i podtekstów, nie byłaby to bowiem już poezja, a wstrząsający dokument, świadectwo nielekkiego losu poety. Czarna liryka towarzyszyła Zábřanie i po roku 1968, w latach normalizacji<sup>28</sup>. Cierpkości, goryczy i depresji nie pozbył się Zábřana nigdy, nie miał nawet na to szanse. W drugiej części zbioru *Lynch* umieścił pasmo *Malé město* [*Małe miasto*], zaszyfrowany okruczeństwa własnej przygody miłosnej i swojej biografii. Wiersz się rozwarstwa, słowa się nakładają, tekst się przykrywa aż do niezrozumiałości, jednak, mimo to, dowiemy się czegoś konkretnego. U łóżka Zábřany leży *Limb*<sup>29</sup>, książka Jiříego Kolařa, na zewnątrz się marznie, a mróz dosięga też duszy. Jest 25 lutego 1948: „Całą noc tarły się na szosach / czarne ryby rządowych samochodów...”. Kto zna wygląd taty 600, wie, o czym mówi poeta. W roku 1950 trafiła do więzienia matka Zábřany, następnie i ojciec, na wolność wychodzą dopiero w 1960 roku. Surowego materiału jest u Zábřany aż ponad miarę, życie poety wygląda tak, jak brzmi tytuł jednego z jego wierszy i pasma, *Večer krátkých filmů* [*Wieczór krótkich filmów*]. Dodajmy tylko, że chodzi o filmy dokumentalne, osobiste, autentyczne i niestylizowane, w żadnym wypadku propagandowe superprodukcje z ideologiczną fabułą.

Lata sześćdziesiąte, aż do sowieckiej inwazji w roku 1968, były bezwzględnie najszcześniejszym czasem. Darzyło się przede wszystkim kulturze, literaturze, sztuce plastycznej, filmowi i teatrowi. Nie tylko w Pradze, lecz i w mniejszych miastach zakładano „teatry poezji”, małe sceny z recytacjami i muzyką. Do ulubionych poetów należał Jacques Prévert, w programach pojawia się często jego antywojenne pasmo *Barbara*. Poeci, o ile nie służą ideologii, w zasadzie wciąż mają na uwadze powszedni kierunek poezji zwyczajnych rzeczy i codziennego dnia, duchowości jakby wcale nie było. Ostrożnie odżywają prądy surrealistyczne, wspomina się przedwojenną awangardę, czytelnicy poznają poezję amerykańskich beatników. Podczas reaktywowanych studenckich juwenaliów w roku 1965 Allen Ginsberg jest koronowany na króla, ale w konsekwencji wydalony z Czechosłowacji.

Sowiecka inwazja zakończy proces demokratyzacji i stłumi albo wprost zniszczy kulturalne dążenia lat sześćdziesiątych. Wyrzuca się książki, kończą „Literární nowiny<sup>30</sup>”, zamyka się teatry, tworzy tajne spisy nieodpowiadających władzy autorów, filmy trafiają na półki, wznowia działalność cenzura, dokonuje się wery-

<sup>28</sup> Normalizacja to okres w dziejach Czechosłowacji od inwazji wojsk Układu Warszawskiego w sierpniu 1968 r. do listopada 1989 (czyli tzw. „aksamitnej rewolucji”). Nazwa pochodzi z protokołu wymuszonego na delegacji czechosłowackiej w Moskwie, 27 sierpnia 1968 r.

<sup>29</sup> Właściwie *Limb a jiné básně*, Praha 1945. Tytuł to dosłownie kończyzna, gałąź, ale zarazem asocjacja z czyścicem (Limbus).

<sup>30</sup> Czeskie pismo społeczno-kulturalne, założone w 1927. W latach sześćdziesiątych ważny czynnik liberalizacji ustrojowej w Czechosłowacji. W roku 1969 zamknięte przez władze. Wznowione, ukazywało się w latach 1990–2020.



fikacji pracowników, szerzy się poczucie frustracji. I chociaż podczas normalizacji nie szło o życie, jak za protektoratu i w procesach lat pięćdziesiątych, był to okres męczący i długotrwanie deprymujący. Na emigrację zdecydowali się Škvorecký, Lustig<sup>31</sup>, zostali Hrabal, Vaculík<sup>32</sup> i oczywiście Havel. Po Karcie 77<sup>33</sup> i ingerencji służby bezpieczeństwa zasadnicza część czechosłowackiej kultury staje się dysydencka i buduje sobie własne terytorium poza oficjalnymi strukturami. Powstaje samizdat, rękodzielnicza działalność rozpowszechniająca teksty, które nie mają widoków na publikację. Jednak zainteresowanie poezją schodzi na plan dalszy, akcent spoczywa na publicystyce, pisze się felietony, komentarze kulturalno-polityczne, eseje. Poetyka zwykłego dnia kończy się na mizerii codzienności, czas nie sprzyja stylizacji i literaturze pięknej – jest spragniony informacji.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych siły kultury niezależnej były podzielone, istniała jako działalność emigracyjna i krajowy samizdat. W rzeczywistości chodziło raczej o naczynia połączone, z których jedno źródło czerpie z drugiego. Gdyby Škvorecký nie wydał w Toronto wierszy Ivana Blátneho, nie dowiedzielibyśmy się o nim także w kraju, dawno zniknąłby. Blátny zainteresował środowisko literackie, stał się ikoną i na nowo ożywił kwestię zaangażowania poety i sensu poezji. Poeta pisze, ponieważ musi, ponieważ nie może inaczej, ponieważ poezja jest jego mową. Emigracja, którą mu w kraju wypominali koledzy i przyjaciele, była dla Blátneho rozpaczliwym krokiem, przecież i on pisał po roku 1945 żarliwą, socjalistyczną poezję.

Wyjazd za granicę nie jest lekki, szczególnie ciężki jest dla poety, który traci rodzimy język, źródło mowy poetyckiej. Blátny trafi w końcu pod opiekę psychiatryczną. Szpital zapewni mu schronienie i stworzy możliwość pisania, choć bez perspektywy publikacji. Długich trzydzieści pięć lat śle Blátny swe efemeryczne teksty w nieznane, jak rozbitek na wyspie. W końcu jednak sprawa znajdzie się w odpowiednich rękach, zapieczętowane butelki zostają wyłowione z oceanu, przeczytane i wydane. Blátny znowu jest postrzegany jako poeta, nawet wyjątkowy poeta, jego poetyckie fragmenty działają jak objawienie. Poeta często wspomina, imiona i nazwy mają magiczne znaczenie, są to dokumenty minionego życia. Lecz niekiedy wspomina się zatnie i poeta powzdycha: „Troszeczkę pisać po czesku znów / brakuje mi czeskich słów / piór i łubinów / tych krótkich letnich dni...”. Zbiór

<sup>31</sup> Arnošt Lustig (1926–2011), czeski pisarz i publicysta pochodzenia żydowskiego, sławny przede wszystkim ze swoich utworów dotyczących wojny i Holocaustu (był więźniem kilku obozów koncentracyjnych). Wielokrotnie odznaczany (m.in. Nagroda Państwowa w 1967 r., Nagroda Karla Čapka w 1996, Nagroda Franza Kafki 2008). Był też nominowany do nagród Pulitzera i Bookera.

<sup>32</sup> Ludvík Vaculík (1926–2015), czeski pisarz, publicysta, czołowa postać czechosłowackiego ruchu dysydenckiego (autor manifestu *Dwa tysiące słów*), samizdatowy wydawca.

<sup>33</sup> Karta 77 (Charta 77), nieformalna inicjatywa krytykująca władze Czechosłowacji za nieprzestrzeganie praw obywatelskich, do czego zobowiązały się, podpisując dokument końcowy Europejskiej Konferencji o Bezpieczeństwie i Współpracy w Helsinkach. Do 1990 r. Kartę podpisało pomimo represji około 1900 osób.

Blátnego *Pomocná škola Bixley* [*Szkola specjalna Bixley*] stał się swego rodzaju inicjacją krajowego samizdatu, to było dokładnie to, czego potrzebowała czeska poezja. Blátny pisał niekończący się list do świata – pasmo, interesował się polityką, sportem, miał też poczucie humoru. Poetyki Skupiny 42 nigdy nie porzucił, ale dodawał do niej doświadczenie emigracji, nieznanne czeskiej liryce. Ivan Blátny nie był wariatem zamkniętym w zakładzie, poezja go leczyła, wzmacniała, a to z pewnością немало.

W roku 1984 Jaroslav Seifert otrzymuje literacką Nagrodę Nobla, choć poeetę zna jedynie krąg czeskich czytelników. Decyzja była raczej polityczna, nagroda miała wzmocnić czeskie środowisko dysydenckie i dodać narodowi prześladowanemu normalizacją utracone poczucie własnej wartości. Wkrótce, w styczniu 1986 roku, Seifert umiera, a jego pogrzeb, pod specjalnym nadzorem służby bezpieczeństwa, staje się cichą antyreżimową demonstracją. Z Seifertem jakby odchodziła wielka era intymnego liryzmu, związanego ze „wszystkimi urokami świata”, z poezją pastelowych kolorów, zapachów i uczuć. Poeta podziwiał kwitnące róże, nie wstydził się swoich uczuć i jeszcze poufałe przypijał sobie z muzami...

Jednak czytelników i miłośników poezji ubywa, nowe pokolenie daje pierwszeństwo kulturze muzycznej. W latach siedemdziesiątych nie zakłada się już teatrzyków poetyckich, lecz zespoły muzyczne, kapele, rodzi się underground, rozległa, niezależna kultura muzyczna. Ideowy przywódca undergroundu Ivan Martin Jirous, nazywany Magorem<sup>34</sup>, sam poeta, jeszcze przed Kartą 77, w roku 1975, zapisuje pierwszą informację o istnieniu nieoficjalnej, podziemnej kultury. W latach siedemdziesiątych często tworzy się wiersze w gospodarce, jeśli trafi się tam poeta i przysłuży się zabawie jakąś gierką słowną, przypowieścią czy piosenką. Tam, w gospodarach, U Svitáků, U Křížovnků, U soudku, na szlaku nocnych winiarni, kryją się początki późniejszej undergroundowej i dokumentarnej liryki Magora.

Po listopadzie 1989 i odnowieniu demokracji na lady księgarskie docierają setki nowych książek. Trzeba wydać to, co nie mogło się ukazać za normalizacji, uzupełnić zaległości, a także ucieszyć czytelników nowościami. W szerokiej ofercie księgarskiej nie brak książek poetyckich, lecz, prawdę mówiąc, nie ma wielkiego nimi zainteresowania, ludzie poszukują publicystyki, zajmują się faktami. Także dla wydawców poezja nie jest zyskownym towarem i, jeśli ją wydają, czynią tak dlatego, że są jej miłośnikami.

Nawet po przełomowych wydarzeniach poezja mocno się nie zmieniła, może tylko poszerzyła o drażliwe, intymne tematy, wcześniej będące tabu. Młodzi autorzy czytają swoje wiersze w kawiarniach, organizuje się festiwale, ale to nie wystarczy, by zrodził się wielki poeta. Publiczność wciąż jest zafascynowana

<sup>34</sup> Ivan Martin Jirous, Magor (1944–2011), czeski poeta, autor wierszy dla dzieci, historyk i krytyk sztuki, publicysta, czołowa postać kultury dysydenckiej w Czechosłowacji, menedżer sławnego zespołu rockowego The Plastic People of the Universe, kilkakrotnie więziony w czasach komunistycznych.

mediami, telewizją i filmami dokumentalnymi, na poezję po prostu brak czasu. Dlaczego pisać także poetyckie pasma<sup>35</sup>, gdy film dokumentalny oferuje mocną narrację, montaż autentycznych ujęć, z jakich się układa literacka opowieść. Filmowy dokument jest silnym magnesem, przyciąga i potrafi zogniskować rozproszoną uwagę dzisiejszych widzów.

Trzeba też powiedzieć, że dokument bez lirycznego śladu nie jest ciekawy i artystycznie wartościowy – brak mu czegoś. Dzisiaj nie potrzeba już szukać w poezji elementów dokumentalnych, dokument stał się oczywistością ery medialnej. Świat się zmienił, lecz poezja pozostaje i wciąż towarzyszy egzystencji człowieka.

Josef Kroutvor

Przełożył Antoni Matuszkiewicz



Julia Geru

<sup>35</sup> Kroutvor w zbiorze *Lesni eseje* (2019) zamieszcza także obszerne, dziesięcioczęściowe, epickie pasmo.

## Ksenia Niekrasowa

\* \* \*

To nie niebo,  
a tkanina,  
rozpięta między drzewami –  
niebieski brokat  
ze złotymi pszczołami  
i plejadą gwiazd  
na drewnianych sęczkach...

\* \* \*

Księżyc,  
niczym tarcza wahadła,  
kołysze się nad stepem,  
a step spoczywa, jak dłoń  
utrudzonej ziemi.  
Pośród stepu – blask ogniska,  
a dokoła – cisza,  
tuż przy ogniu chłopcy siedzą,  
opierając się plecami  
o niebo...

## O SOBIE

Zachciało się słońcu  
i ziemi –  
z żółtych liści  
i rosy –  
świerszcza, śpiewającego wierszem,



Ksenia Niekrasowa,  
rysunek Roberta Falka

dla świata stworzyć.

\* \* \*

Jak mam pisać swoje wiersze?  
Kartka taka mała.  
A losy człowiecze  
dosięgają niebios.  
Jak zmieścić na skrawku papieru niebo?

## RYSUNEK

Leżały pola pod śniegami...  
Zdało się, jakby ręka dziecka  
narysowała węglem chaty  
na jaśniejących bielą grzbietach;  
wąski paseczek rannej zorzy  
sokiem z żurawin pociągnęła,  
iskrzeniem śniegu ożywiła,  
ultramaryną cień rzuciła.

## ŹRÓDŁO

Gdy niewiara narasta we mnie,  
moje wiersze  
wydają mi się złe,  
słabnie ostrość mojego oka –  
wtedy z kolan  
zrzucam deskę,  
co za biurko mi służy  
i idę zbierać poezję  
wzdłuż gwarnych ulic.  
Omijam przechodniów,

którzy w drogich paltach  
idą butnym krokiem,  
twarze mają wyniosłe,  
usta jak ostrze brzytwy,  
a w oczach bezduszość.  
Czy nie lepiej  
pogadać ze stróżką?

\* \* \*

Na niebie cisza,  
pod niebem noc...  
Na naszym podwórku światło  
i mrok,  
i okna ośmiu pięter, jak pszczoły,  
błyszczą pozłotą  
szklanych skrzydeł.

## BALLADA O PIĘKNIE

U stróżki w suterenie  
na nocleg zostałam –  
w tym czasie pisałam o kwiatach –  
i niebieskie myśli,  
jak poranny śnieg,  
wirowały w moich słowach.  
Obudziłam się nocą –  
lampka pod sufitem...  
A pod ścianą łóżko –  
kołdrą czerwoną nakryte.  
Na nim starucha siedzi:  
w zielonym kaftaniku,  
w połatanej chustce,  
dłonie, jak bujne korzenie żeń-szenia,  
leżą na kołdrze czerwonej.

„Babciu –  
rzekłam do niej –  
kwiaty do dzieci są podobne,  
ale dzieci z wiekiem  
tracą delikatność,  
a kwiaty pozostają, jakie były,  
czy nie dlatego ludzie tak długo wpatrują się  
w kielichy kwiatów, dzieciństwo wspominając?”

Rano  
z niepokojem wstawałam:  
nocą coś tam nagadałam stróżce,  
gdzież jej rozumieć białe wiersze,  
wyśmieje mnie, mówiąc do przyjaciółek –  
jakaś nienormalna przyszła.

Wtem  
z ulicy weszła starucha,  
w rękach trzymała bukiet  
słonecznych, złocistych kulek,  
po chłopsku ściśniętych w garści.  
„Naści – powiedziała –  
za twoje dobre słowa”.  
Wzięłam kwiaty –  
i lza się połała...  
To coś nowego –  
pomyślałam.

## ŚLEPIEC

Po chodniku idzie ślepiec,  
a dokoła drzewa w kwiatach.  
Po omacku ręką bada  
kształt rzeźbionych gałęzi:  
to akacji drobne listki,  
a to kasztan jest falisty.

Kwiaty, niczym gwiazd igielki,  
dotykają jego ręki.  
Ciszej, moje wersy,  
nie szumcie mi w wierszach:  
człowiek pragnie poznać twarze rzeczy.  
Wojna mu zabrała oczy,  
więc spogląda swymi dłońmi,  
ma na palcach dziesięć źrenic  
i przed sobą świat ogromny.

Ksenia Nickrasowa  
Przełożyła Lila Helena Metryka



Ksenia Nickrasowa, obraz Roberta Falka



## Lila Helena Metryka

### „JAK ZMIĘŚCIĆ NA SKRAWKU PAPIERU NIEBO?”. KRÓTKO O ŻYCIU I TWÓRCZOŚCI KSENI NIEKRASOWEJ

Rosyjska poetka Ksenia Aleksandrowna Niekrasowa urodziła się 18 stycznia 1912 roku w Irbitskich Wierszynach w obwodzie permskim. Zmarła 17 lutego 1958 roku w Moskwie. Biografia Niekrasowej opiera się głównie na faktach przedstawionych przez nią samą, często zmienianych i mitologizowanych. Czasem opowiadała, że jej ojciec był inżynierem górnikiem, a mama gospodynią domową. Wedle świadectwa współczesnych ojciec Kseni był urzędnikiem na targowisku i zajmował się sporządzaniem umów kupieckich, a Ksenia wychowywała się u ciotki – siostry ojca. W autobiografii napisała: „Swoich rodziców nie pamiętam. Z sierocińca wzięła mnie na wychowanie rodzinna nauczycielka”. W późniejszych latach czyniła aluzje, że jest nieślubną córką cara Mikołaja II. Ktoś zażartował, że może Rasputina, a ona i ten fakt uznała za prawdopodobny.

Po ukończeniu szkoły podstawowej w Szadrinsku wstąpiła do technikum pedagogicznego w Irbicie. Kiedy przeniesiono je do innego miasta, wróciła do Szadrinska i w 1930 roku podjęła naukę na kierunku edukacji politycznej w rolniczym technikum pedagogicznym. Nie ukończyła go ze względu na zły stan zdrowia. W 1931 roku wyjechała do Moskwy, jesienią 1932 roku zamieszkała w podmoskiewskiej wsi w domu swojej dawnej nauczycielki. W 1935 roku ukończyła technikum edukacji politycznej i pracowała jako animator kultury w zakładach przemysłu ciężkiego na Uralu. W tym samym roku Rejonowy Komitet Komsomołu skierował ją na naukę do Moskwy. W 1937 roku debiutowała na łamach czasopisma „Oktiabr”. W latach 1937–1941 uczyła się w Instytucie Literackim w Moskwie, którego nie ukończyła z powodu wybuchu wojny.



Ksenia Niekrasowa,  
malował Wasilij Miniajew

Życie poetki nie rozpieszczęło. W młodości przeszła zapalenie opon mózgowych, co pozostawiło ślad na całe życie, między innymi miała problem z rękami i była niezdolna do pracy. Kiedy Niemcy hitlerowskie napadły na ZSRR w 1941 roku, została ewakuowana wraz z mężem (Siergiejem Wysockim, inżynierem górnikiem) i malutkim synkiem Tarasem do Azji Środkowej. W drodze, podczas bombardowania, Ksenia została ranna, a jej synek zginął. Ten fakt też nie był jednoznaczny. Poetka przedstawiała go i tak: „Synek zmarł z głodu w Taszkencie” albo: „Synek zmarł w Moskwie z powodu tyfusu”. Prawdą jest, że rodzina żyła w skrajnej nędzy. Mąż zapadł na chorobę psychiczną, a później zmarł. Ksenia żyła z jałmużny.

W Taszkencie poznała Annę Achmatową, która wysoko oceniła jej twórczość: „W życiu spotkałam tylko dwie kobiety-poetki: Marinę Cwietajewą i Ksenię Niekrasową” – napisała. W 1944 roku Niekrasowa wróciła do Moskwy. Pomimo rekomendacji Achmatowej i poparcia innych wybitnych twórców (m.in. Stiepana Szczypaczowa i Leonida Sobolewa), nie przyjęto jej do związku pisarzy, dopiero po śmierci została jego członkinią. Znalazła jednak przyjaciół wśród artystów: Roberta Falka i jego żony Andżeliny Szczekin-Krotowej, Ilji Głazunowa, Wasilija Miniajewa i innych. Malowali jej portrety, pisali o niej wiersze (Jarosław Smielakow, Boris Słuckij, Nikołał Głazkow, Jewgienij Jewtuszenko).

Nie chciano jej drukować, zarzucano, że pisze nie tak, jak powinien pisać poeta radziecki, wytykano dziecięcą naiwność, zmienność rytmu, grafomanię. Mówiono o niej: nawiedzona, niespełna rozumu. Wyśmiewano, bo nosiła nędzne ubrania. Mówiła prawdę w oczy, co nie wszystkim się podobało. Większość utworów napisała wierszem wolnym. Uważała, że niepodobna zmieścić całego bogactwa ludzkich przeżyć w sztywnych ramach wiersza regularnego. Obecnie jest uznawana za jedną z prekursorów wiersza wolnego w literaturze rosyjskiej.

Pierwszy tomik Niekrasowej *Noc na basztanie*, który zawierał tylko 14 wierszy, ukazał się w 1955 roku. Śmierć poetki poprzedziły dwa ważne dla niej wydarzenia: został podpisany do druku kolejny tomik wierszy *A ziemia nasza jest piękna*, otrzymała też klucz do swojego pokoju, co było nie lada sukcesem, bo żyła w biedzie i pomieszkiwała w różnych miejscach. Zbiorek *A ziemia nasza jest piękna* ukazał się w 1958 roku, miesiąc po śmierci poetki. W 1973 roku wydano *Wiersze*, a w 1976 roku *Moje wiersze*.

W Moskwie znajduje się archiwum Kseni Niekrasowej. Powstało dzięki staraniom ludzi, którzy troszczyli się o nią, miesiącami udzielali jej schronienia: rodzin malarza Roberta Falka i artysty Władimira Jachontowa. To oni przechowali wiele rękopisów poetki. Te rękopisy to nie notesy, nie bruliony, nie kartki, a bilety kolejowe, skrawki papieru zeszytowego, pokwitowania. Charakter pisma poetki, prawdopodobnie na skutek przebytej w młodości choroby, przypominał niewprawne pismo ucznia pierwszej klasy.

## Joanna Sarnecka

### PAN RAHMAN RZUCA KOSTKĄ

Takie tam krzaki na obrzeżach miasteczka. Słaba kryjówka. A jednak na początku nie było ich widać. Siedzieli w kręgu, otoczeni krzakami czarnego bzu na chwilę po kwitnieniu, kiedy białe zamienia się w zielone, a zielone powoli zmierza do czerni. My już to wiemy, znamy to, a jednak za każdym razem cieszy. No i teraz jesteśmy na polu z napisem: zielone. Piszę tak o tym, bo mi się to bardzo z grą kojarzy, całe to przemierzanie lasu, To oni rozgrywają partię, my jesteśmy kartami dodatkowymi, które wchodzą na moment do gry, kiedy trzeba, kiedy nie ma ruchu. I kładzie się nas na odpowiednim polu i odczytuje, co tam proponujemy. Tym razem: 3 razy damskie L, 2 razy męskie L i raz XL, herbata, zupa i potrzeby medyczne – PAINT KILLERS.

Wzięłam całą apteczkę. Kto wie, co tam kogo boli. No i ruszamy z wypchanymi po sufit plecakami. Maj dojrzewa. Po wiosennym szaleństwie powoli uspokajają się agresywna zieleń. Pogłębia się, tonuje. No, już dosyć.

W końcu zauważamy nieruchome sylwetki pomiędzy liśćmi. – Dzień dobry, cześć, cześć hello, marhaba i siadamy razem. Wszyscy młodziutcy, niektórzy jeszcze nastolatki, tylko on – jak ojciec tej dużej gromadki – starszy, z brodą, o bardzo, bardzo smutnych oczach. W rękę ma kartkę w foliowej koszulce. Trzyma przed sobą. Jak glejt jakiś: „Wpuścić, nie zabijać!” Siadam naprzeciwko niego. Zaczyna mówić, głos mu się trzęsie, w oczach stają łzy. Nic nie rozumiem, ale od czego mamy technologię. Okazuje się, że cała jego rodzina mieszka w Libanie w obozie dla uchodźców (kiedy to piszę, Izrael bombarduje Liban). Pięć córeczek, a wśród nich najmłodsza, trzylatka ze sprzężoną niepełnosprawnością. Pan Rahman, bo tak ma na imię, pokazuje zdjęcie dziecka i tłumaczy: – Ten dokument jest z UNHCR, to ta organizacja prowadzi obóz, ale tam są straszne wa-



Fot. Joanna Sarnecka

Joanna Sarnecka

runki, nie ma dostępu do leczenia, a żeby żyć, maleńka Leyla potrzebuje kilku operacji.

Pan Rahman zostawił więc za sobą kruchy spokój obozowych namiotów, uściskał żonę i córeczki, i z tą kartką ruszył w drogę w poszukiwaniu życia, świata, w których chore dzieci są leczone, głodni dostają jedzenie, w którym nie ma prześladowań, przemocy, bomb. Pan Rahman szuka raję. Zupełnie tak jak ja. Niestety, wciąż go nie znalazłam.

– Przykro mi – mówię – nie wiem, czy da się coś zrobić.

– Proszę, pomóżcie – mówi i wtedy odsłania rękawy koszulki, pokazuje ramiona. Skóra jest fioletowa, twarda i ciepła. Okazuje się, że przekraczał już granicę kilka dni temu, spotkał polskich pograniczników, pokazał im swój glejt, opowiedział o Leili i całej rodzinie. Wzięli go na placówkę i pan Rahman poczuł w sercu spokój. Tak, ci dobrzy ludzie w mundurach na pewno pomogą. W Europie każdy rozumie, że dzieci muszą mieć dom, co jeść, a chore dzieci się leczy. To przecież takie proste. Kiedy dojechali, zamknięto go na długie godziny w małym pomieszczeniu, a potem przyszedł facet w mundurze i dał mu do podpisania papier, w którym napisane było, że pan Rahman w ogóle nie chce tu zostać, że marzy o powrocie na Białoruś, gdzie już szczerzo go psami, że nie chce ratunku dla swojego dziecka, rzeka się prawa do życia i bezpieczeństwa dla siebie i całej rodziny. Nie chciał podpisać, ale wtedy mężczyzna w mundurze wziął metalową pałkę i bił, strasznie bił.

Pan Rahman chciał żyć, pewnie tak samo jak mężczyzna w mundurze. Byli w podobnym wieku, podobnego wzrostu. Tamten w mundurze, może tak, jak pan Rahman zaczął już łysieć i czuł się zmęczony, a jednak nie umiał zobaczyć w panu Rahmanie takiego samego mężczyzny po czterdziestce, z rodziną na głowie, który nawet jak nie chce, to musi zrobić wszystko, żeby to towarzystwo wykarmić, odziać, tak samo się o nich troszczy. A potem pan Rahman podpisał, bo chciał żyć. Wpakowali go do ciężarówki i wywieźli za druty, gdzie białoruscy mundurowi pobili go za ten powrót, a po kilku dniach znów podstawili drabinę i kazali iść. I tak się właśnie spotkaliśmy.

Ruszamy zatem znów, w tym samym kierunku, z nową, stępioną już doświadczeniem, nadzieją, że są w tym kraju jacyś ludzie. Rzucamy kostką. Na jakim polu staniemy tym razem. Umawiamy się z Służbą Graniczną pod kapliczką. Dwie nastolatki z Somalii, w chustach na głowach, siadają na ławce. Z tyłu wyglądają jak tutejsze babuszki. Pan Rahman siada pod drzewem, ale zaraz się kładzie, zasypia, potem zaczyna jęczeć, majaczyć. Ma gorączkę. Dzwonimy po pogotowie. Przyjeżdża po około półgodzinie i zabiera pana Rahmana z jego kartką, bezowocnym glejtem na życie, do szpitala. Zostają ze mną jego smutne oczy i fioletowe ramiona.

Następnego dnia dostajemy informację – Służba Graniczna zabrała pana Rahmana ze szpitala i wywiozła na druty. Cofasz się o dwa kroki. Pamiętaj, możesz poprosić o kartę pomocy, ale i tak o tym, czy dotrzesz na miejsce, zadecyduje los. Czarne na białym. Ruszaj, zanim skończy się gra.

## STATEK

Ludzie po pewnym czasie stają się puści w środku – pomyślało dziecko, siedząc na kuchennym taborecie i obserwując jednostajne ruchy matki. Między krojeniem mięsa a obieraniem warzyw, między dolewaniem wody do garnka a wsypywaniem przypraw pojawiał się refren: zaciągniecie się papierosem, kłęb dymu, odłożenie papierosa na pokrywkę od słoika. Słońce przesączało się przez szarawą zasłonę.

– Cholera – syknęła matka, kiedy popiół spadł na podłogę. Schyliła się i, robiąc małą łódeczkę z dłoni, zgarnęła do niej popiół i strząsnęła do zlewu.

– Co się gapisz – warknęła w końcu.

Dziecko wstało i wymaszerowało do pokoju obok, w którym ojciec i jego wielki jak wieloryb brzuch oglądali właśnie mecz.

– Daj coś słodkiego z kuchni – szepnął ojciec, nie odrywając oczu od ekranu.

Dziecko pomaszerowało do kuchni. W pomalowanej na biało szafce znalazło wafelki. Napis na plastikowym celofaniku brzmiał: „Wafelki waniliowe”, a obok otwierał swój kielich żółtawy kwiat. Dziecko powąchało opakowanie, ale zapach kwiatu nie przesączał się ze środka. Wzięło wafelki i powędrowało do pokoju, próbując minąć matkę tak, by nie trafić na jej trajektorię i tym samym nie zostać zauważonym.

– Dzięki. – Ojciec odpakował wafle i wcisnął sobie do ust dwa. Dziecko patrzyło chwilę ciekawe, czy brzuchowi też się coś dostanie. Ojciec czując, że jest obserwowany, oderwał wzrok od meczu. – No, czego tu, leć na podwórko.

Dziecko odmaszerowało. Ucho klatki schodowej zbiegało miękkiem wirem w dół.

– UU! – zawołało dziecko.

– UU – odpowiedziało echo.

– Czego się drzesz – zawołała dozorczytni, która właśnie wyszła przed drzwi z wiadrem i ścierką nawiniętą na szczotkę. Błaznane wiadro stęknęło, opuszczając bezradnie stalowe ucho. Plusk wody, rytmiczne po-

cieranie ścierką. Dziecko, schodząc niżej, zamknęło oczy. Okręt, tak, to na pewno okręt. Woda przelewa się przez burtę, chłopiec okrętowy myje pokład.

– Szybciej tam – woła bosman. – Szorować, bo nie będzie obiadu.

Schodek po schodku, schodek po schodku, zaraz znajdzie się w swojej kajucie, będzie sam, pośród szelestu map i zapachu morza. Spojrzy przez okrągłe okienko na błyskające co i raz ciałka ryb, na złoty deszcz rybnych ławic, a potem spocznie w swoim hamaku i zaśnie, a następny dzień to będzie właśnie ta chwila, kiedy na horyzoncie wyłoni się nowa Ziemia, inna od tej, jaką znali dotychczas, inni ludzie i zwierzęta będą inne, inne słońce i gwiazdy na nieboskłonie. Wszystko, wszystko ulegnie odmianie i już nigdy nie będzie takie, jak przedtem. Pożegna towarzyszy i pozostanie tam, na Ziemi, za którą od dawna tęsknił, której wypatrywał na mapach, którą w końcu wyśnił już nie raz w ciemne noce.

Na dworze jest takie miejsce, w kącie podwórka, pod wysoką ścianą z cegły. Za małym domkiem śmietnika, gdzie z kilku desek zrobiony jest okręt. Na okręcie fotel wyrwany z poloneza i stara kierownica od syrenki znaleziona na śmietniku. Do tego stara, pokręcona szafka, w której, w maleńkiej szufladzie, trzyma cenne instrukcje dotyczące nawigacji.

– Cała naprzód – komenderuje, wznosząc rękę w górę.

Marynarze posłusznie podciągają liny. W słońcu topoczą żagle białe jak świeżo uprana pościel. Dałby nawet głowę, że pachną krochmałem. Kiedy już okręt jest na morzu, można odpocząć i poczęstować marynarzy trunkiem. Bo teraz jeszcze wszystkiego jest w bród. Pewnego dnia na morzu zabraknie wina, a potem nawet woda stanie się rarytasem, który trzeba będzie skrupulatnie wyliczać. Załoga zacznie szemrać i kto wie, o czym marynarze będą szeptać wieczorami, leżąc już w swoich hamakach. Ale teraz nie ma co o tym myśleć. Teraz zaczyna się nowe, statek pełen jest jedzenia, po pokładzie chodzą kury i dziobią w poszukiwaniu robaków. Kucharz wieczorem wysypie im okruchy z kolacji, a rano podzielił się z nimi śniadaniem, za to one pewnego dnia wylądują w wielkim kotle. Na obiad będzie rosół. Wszyscy będą mieli tego dnia dobry humor.

– Obiad!

Czy to kucharz okrętowy? A gdzie gong? Gdzie załoga? Dziecko wysuwa się jak cień zza pobielonego śmietnika. Maj jest słoneczny w tym roku, ciekawy bez przeciska się przez szczelinę w murze. Małżowiną klatki w górę, aż pod wielkie, dębowe drzwi, spod których, jak dym, sący się zapach jedzenia. Za kwadratem stołu już siedzą i patrzą na niego wyczekująco. Trudno wejść w obszar tych spojrzeń, spodziewając się słów zamiast zupy i gestów na drugie danie. Lepiej wycofać się do łazienki.

Ręce można myć w nieskończoność. Zawsze znajdzie się na nich jeszcze coś wartego umycia. Miejsca między palcami, paznokcie, pomarszczona skóra na zgięciach palców, odcisk od długopisu. Ale z pokoju dobiegają już głosy niespokojnych noży i widelców. Nie ma co, trzeba iść.

Kotlet, ziemniaki i kapusta – to się u nas nazywa niedziela, dzień święty. Milczące żucie albo żucie z wyrzutami, szybkie połykanie, bekanie, pierdnięcia. Ojcu wolno wszystko. Jest tu bogiem. To jego niedziela. W poniedziałek idzie do zakładu i haruje. W piątek pije z kolegami, a w niedzielę je kotlety i pierdzi głośno na znak, że on tu rządzi.

Na deser jeszcze ciasto. Karpatka ze słodkim kremem. Pagórki smoczonych łusek odrywających się jak schodząca skóra. Miałby ochotę położyć twarz na tej suchej powierzchni i swoim ciężarem wycisnąć białą ropę kremu. A potem zlizywać go ze stołu, z rąk, z podłogi. Ale to zabronione. Matka kroi karpatkę fachowo. Skóra się łuszczy, a matka zawsze tak samo mówi, że potrzebuje jakiegoś specjalnego noża do karpatki, są tylko w Geant na promocji i że ona już tyle razy mówiła o tym, bo już następnym razem bez tego noża, to nie zrobi karpatki, bo ją to wkurza, że musi tak kroić, a to się rozwała. I ta skóra, która łuszczy się wszędzie jak łupież, krem na palcach, lizanie, nakładanie oblizanym palcem. Ojciec beka wesoło i nadstawia brzuch. Karpatkę jedzą razem.

A potem jeszcze kieliszek wódki, bo rano trzeba iść do pracy. Matka nalewa i siada mu na kolanach. Dają znaki:

– No idź, no idź już, już skończyła się impreza, już cię tu nie ma.

Dziecko odmaszerowuje. Małżowina. Uu, uu, z echem można nawiązać kontakt. Mówi się – ono odpowiada. Zawsze odpowiada i zawsze to, co się chce. Drzwi i światło dnia są popołudniem nieco bardziej pochylone. Statek czeka już w małym porcie. Żagle zwinięte, marynarze naprawiają drobne usterki. Czekanie. Ech, kiedy wreszcie można będzie odpłynąć. Wyciąga mapę i sprawdza położenie. To musi być już naprawdę niedaleko. Da sobie uciąć prawe ramię, jeśli dziś jeszcze nie zobaczą choćby skraju nowej Ziemi.

I nagle ciszę przerywają pierwsze takty marsza granego na trąbce. A za trąbką pojawiają się skrzypce. A dalej ciemnoskóry mężczyzna wyciąga rękę z czapką i woła coś w swoim języku. A potem zaczyna śpiewać tak smutno i rzewnie, jego trąbka i skrzypce próbują go pocieszyć, bo, zdaje się, mężczyzna opowiada o śmierci kogoś ważnego albo o miłości. I nagle słońce zakrywa ciemna chmura, podwórko ogarnia mrok, a z nieba sypią się pieniądze. Mężczyzna płacze i zawodzi, i co raz schyla się, zbierając drobniaki do czapki. A potem muzyka się kończy. Mężczyźni zapalają papierosy. Jeden z nich dostrzega statek.

– Ty, chłopak – woła, proponując papierosa, ale dziecko kręci głową. Mężczyźni naradzają się chwilę. A potem jeden z nich podchodzi do chłopaka:

– Podobało ci się?

Kiwanie głową to znak. Czy oni rozumieją go tak, jak ja? – myśli dziecko.

– A może ty chcesz zostać z nami? Śpiewać i grać? – W szerokim uśmiechu błyskają złote koronki. Mężczyźni są piękni i jakoś bezwstydnie starzy. A jednak ich ciała są silne, żyłaste i złote, jakby latem posmarowali się naftą. Spomiędzy pół rozpiętych koszul sterczą siwe włosy.

Szepeczą do siebie i śmieją się, a potem gaszą papierosy i znów zaczynają grać. Tym razem jest to rytmiczny fokstrot. Porywający i szalony. Kamienice zdają się oddychać w tym rytmie, poruszać się, drżeć. Gdzieniegdzie tynk się sypie, okna otwierają się i słońce znów błyszczy nad podwórkiem, a w słońcu złoty deszcz spada na mężczyzn i chłopca. Grają, śmieją się, podrygują, a potem wszyscy ruszają przed siebie, przez tunel bramy, ku ulicy, która pochłania muzykę, żuje ją jeszcze chwilę jak twardy kotlet, a potem przelyka i na podwórku znów zapada cisza.

Odplynęli.

## PRAWIE SOLARIS

Na niebie, jak dawniej, zapłonęły gwiazdy. Lubilem na nie patrzeć. Coś w nich było... Sam nie wiem, co. Stałem z zadartą głową i gapilem się, jak głupi. Dotarliśmy tu dawno, na tyle dawno, żeby nie pamiętać, kiedy. Na tyle dawno, żeby nie pamiętać prawie nic z czasu sprzed. Prawie. Bo został tylko strach i rozpacz, bo wydawało się, że już po nas. Zwijaliśmy się jako ludzkość. Słońce paliło niemilosierdzie. Ludzie umierali z głodu, pragnienia, zmęczenia, z braku nadziei. Wtedy międzynarodowe organizacje podjęły decyzję i wysłano nas na od dawna przygotowywaną stację kosmiczną „Druga Ziemia”, żebyśmy przetrwali, przeczekali, a potem wrócili i zaczęli wszystko od nowa, tylko lepiej.

Nie mieliśmy żadnej nadziei.

I oto jesteśmy tu już na tyle długo, żeby nie pamiętać dnia naszego lądowania. Straciliśmy rachubę czasu. Czym zresztą jest dzień na stacji kosmicznej? Czymś całkiem innym niż na dawnej Ziemi. Sterowana elektronicznie solarna lampa zapala się na szklanej tafli niskiego sufitu i imituje dzień. A po 12 godzinach wyłącza się i wtedy zapalają się jedynie dyskretne



diody w podłodze tak, żeby przez szklany sufit widać było najprawdziwsze gwiazdy – oto nasz jedyny kontakt z naturą. I jeszcze my, z naszymi zwiotczalnymi, napompowanymi sztucznym jedzeniem ciałami. Reszta jest techniką. Niczym więcęcej.

Ale żyjemy. Czasem całkiem dobrze. Spędzamy wieczory na opowieściach o tym i owym. Trochę wspominamy, ale z umiarem, za to dużo fantazjujemy. W dzień pracujemy. Podtrzymanie nas samych przy życiu nie jest proste. Do tego trzeba myśleć o rozwoju, o przyszłości. Stacja powinna się powiększać. Kto wie, może kiedyś dołączą do nas jakieś inne istoty, którym udało się przeżyć.

Dzień zaczął się zwyczajnie. Jak każdy poprzedni z setek poprzednich, ale ledwie rozbłysło na sztucznym niebie sztuczne słońce, zobaczyliśmy mały statek, czujniki zareagowały, otworzyły się włazy i mógł zadokować.

Mężczyzna wyszedł ze statku pewnym, mocnym krokiem. Nosił długi płaszcz i wysokie buty. Był przystojny, zadbany, nie to, co my – zarosnięci jak dzikusy. Dopiero to do nas dotarło – jak dzikusy – wyobrażacie sobie? Usiadł na kanapie w głównej przestrzeni bazy i zaczął opowiadać:

– Słuchajcie, możecie już przerwać misję. Ziemia wyregulowała parametry, z pomocą przyszli nam naukowcy. Trzeba było zrobić tu i tam porządek, bo walki o wodę i jedzenie stały się brutalną codziennością. Powoli, powoli wychodzimy na prostą. Mamy nowy rząd – bardzo porządni ludzie. Można na nich liczyć. Naprawdę swoje chłopaki – uśmiechnął się jowialnie. – Jak macie jakiś problem, powiedzcie, na pewno da się zaradzić trudnościom. Ale, poza wszystkim, czekamy na was na starej, nowej Ziemi!

Zapadła cisza. W końcu Anton nie wytrzymał i zaczął:

– I po to przyjechałeś? Żeby nam to powiedzieć?

– Żeby was zabrać do domu.

– Komu na tym zależy, żebyśmy opuścili stację? Komu? No, mów? – warknął Jan.

– Nikomu, zależy nam na was. Takich specjalistów, jak wy, ze świecą szukać.

– Specjalistów od czego? Od pierdzenia w kosmiczny stołek chyba – zaśmiał się Anton.

Milczałem. Czulem strach. Wylot na stację kosmiczną był dramatem. Na zawsze rozstawaliśmy się ze światem, który znaliśmy i kochaliśmy, z bliskimi, którzy, o ile jeszcze nie umarli, skazani byli na zagładę, a teraz mamy tam wrócić i cieszyć się życiem? Trudno mi było sobie to wyobrazić.

– Kochani, pakujcie walizki, tam na Ziemi każdy z was za tę trudną misję dostanie piękne mieszkanie i dożywotnią rentę. Także hulaj dusza,

piekła nie ma! – krzyknął i zaśmiał się jakoś nadmiarowo i sztucznie. Aż pomyślałem: może to zjawa? Może już nam się w głowach pomieszało.

Anton wstał i wyszedł. Za nim Jan. A potem Mary i Katrin, i zostałem sam z nowym Ziemianinem, z Ziemianinem czystym, najedzonym i trochę podejrzanie nieprawdziwym.

– Co z wami? Ludzie? – zakrzyknął w stronę odchodzących.

– Zamknę za tobą włącz – powiedziałem. – Do widzenia.

Patrzył na mnie przez jakiś czas jakby nie rozumiał. Bo i pewnie nie rozumiał. Kto zrozumiałby bandę świrów, która przecież przez lata marzyła o powrocie. Ale lata minęły. Stacja kosmiczna stała się naszym domem. Z Ziemi pozostały obrazy gwałtów i śmierci, pocerniałe twarze bliskich, strużki krwi w kącikach ust dzieci. I sucha, wypalona ziemia. Nie, dziękuję, nie skorzystam.

Podniósł się i bez słowa odszedł do swojego statku. Odleciał. Zamknąłem za nim włącz i wróciłem do swoich codziennych obowiązków. Wieczorem, kiedy spotkaliśmy się przy kolacji, nie wspominaliśmy o tej wizycie. Być może, tak jak ja, moi towarzysze i towarzyski w głębi serca zastanawiali się, czy wszystko to im się nie przywidziało. Ale nie mówiliśmy o tym. Po co? Każdy schrupał proteinowego batona i oddał się do swojego pomieszczenia. Na niebie, jak dawniej, zapłonęły gwiazdy.

*Granica polsko-białoruska, zima 2023*

Joanna Sarnecka



Fot. Joanna Sarnecka

Joanna Sarnecka

Konrad Sikora\*

## IMAGINARIUM RUCHU. PRZESTRZENIE LITERACKIE JOANNY SARNECKIEJ

Moja dusza jest jak pasterz,  
Zna wiatr i słońce  
I daje się prowadzić Porom Roku,  
Podąża i patrzy.

F. Pessoa, *Strażnik trzody (I)*<sup>1</sup>

Kiwaj się, ruszaj się, ruszaj. Tylko tak mu umkniesz. Ten, kto rządzi światem, nie ma władzy nad ruchem i wie, że nasze ciało w ruchu jest święte, tylko wtedy mu uciekniesz, kiedy się poruszasz.

O. Tokarczuk, *Bieguni*<sup>2</sup>

Powrót do prozy Joanny Sarneckiej, zwłaszcza w ważnym momencie myślenia przestrzenną, jest szczególnym doświadczeniem lekturowym. Bałem się otworzyć zbiór opowiadań *Dawno temu teraz* zaraz po zamknięciu *Dziennika uciekiniera*, bez chwili oddechu<sup>3</sup>. Jeszcze ciekawszym doświadczeniem jest myślenie tymi tekstami, gdy za oknem krąży burza i tak bardzo gra interwałami, że trudno wyznaczyć porę mocniejszego uderzenia. Nadchodzi nagle i wali prosto w myślące jestestwo.

Wszędzie wydarza się ruch – jakaś para idzie ulicą i kuli się pod niewielkim parasolem, zaczyna deszcz, chmury biegną po niebie – można jeszcze długo wymieniać. W tym wszystkim jednak najbardziej rzuca się w oczy człowiek. Krople deszczu ani liście nie przyciągają aż tak wielkiej uwagi myślenia potocznego, myślenia od razu, *ad hoc*. Wielu zapewne chciałoby, żeby ten porządek nieco poprzestawiać, postawić na pierwszym planie swoje przemyślenia o nie-ludzkich aktorach, na przykład liściach.

---

\* Mgr Konrad Sikora, Uniwersytet Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie; ORCID: 0000-0002-94835476.

<sup>1</sup> F. Pessoa, *Strażnik trzody (I)* [w:] tenże, *Poezje zebrane. Alberto Caeiro*, przeł. G. Borowski, Kraków 2020.

<sup>2</sup> O. Tokarczuk, *Bieguni*, Kraków 2022, s. 291.

<sup>3</sup> Teksty Joanny Sarneckiej cytuję w tekście głównym, opatrując je skrótami i numerami stron według następującego porządku: *Dziennik uciekiniera*, Gdańsk 2017 (Du); *Dawno temu teraz*, Świdnica 2022 (Dtt).

Chcę oddać głos dwóm aktorom – wyobraźni i ruchowi, którzy w kooperacji tworzą światy literackie Sarneckiej. Bez wyobraźni ruch pozostałby tylko zwyczajną zmiennością, której nikt się nie przygląda, nikt o nic jej nie pyta. Bez ruchu wyobraźnia kamieniałaby szybciej niż za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. By dostrzec sensowność w ruchu, trzeba nadać ruchowi sens. Najwięcej dodaje mu byt, który da się wprowadzić w ruch, a jeszcze więcej byt, który wprawia w ruch inne byty. Zarówno w *Dzienniku uciekiniera*, jak i w *Dawno temu teraz* spotykamy mnóstwo bytów w ruchu. Jedne są mniejsze, inne większe (pod względem gabarytów i ważności). Największym i najważniejszym jest osoba głównej bohaterki, w wielu miejscach na tyle wyraźnie zarysowana, że można o niej powiedzieć, iż jest alter ego autorki. Kim ona jest? Jak można ją najtrafniej określić? Jako nomadkę? A może jednak uciekinierkę, nawiązując do tytułu pierwszej książki Sarneckiej? Można również pomyśleć o figurach pasterza/pasterki lub tytułowych bohaterach powieści Olgi Tokarczuk *Bieguni*. Nie zamierzam szukać jednej alegorii. Interesuje mnie myśl w ruchu, być może taka, która będzie biegać, skakać, wskakiwać w głąb tej czy innej metafory, podejmować ryzyko. Zresztą każdy ruch wydaje się być ryzykiem.

Człowiek szukający swojego miejsca w świecie, wyprowadzony w pole przez swoje nadzieje, szuka zasady istnienia ruchu. Do wyboru ma: wieczne wędrowanie z krótszymi bądź dłuższymi przystankami i niepewny żywot nomady, ciągłą ucieczkę od czegoś lub do czegoś, przeczekiwanie i dalszą gonitwę, biegownicze nastawienie, kierowane imperatywem ruchu przeciw złu, rolę pasterza, postaci motywowanej wyższymi racjami, wiodącej inne byty z miejsca na miejsce, by podtrzymać życie. Szukam formuł pozwalających mi zrozumieć moje ruchy, zwłaszcza pożegnanie z miastem, rozciągnięte w czasie, ale rodzące się już w intelekcie i materii.

Ruch materializuje się w śladach. Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak tymi śladami podążać. Spokojną wędrówkę zapewnia medium najspokojniejsze: literatura. Ruch nie może być zrozumiany na szybko, z punktu widzenia jakiejś artystycznej mrzonki, niedającej możliwości zatrzymania się w biegu. W świecie, gdzie wszystko biegnie, warto się czasami zatrzymać, żeby ruch nie poczuł się panem życia i śmierci. Zatrzymać się wobec niego, jeszcze raz się wczytać w słowa i do-wyobrazić to, czego w nich nie ma. Przyjrzeć się ruchowi – oto imperatyw na początek wędrówki.

## 1.

Najważniejsze to zrozumieć ruch egzystencjalny. Ten proces, który mówi o życiu rozumiejącym, bo – jak zauważa Karl Jaspers w swoich analizach myśli Sřrena Kierkegaarda i Fryderyka Nietzschego – w filozofowaniu chodzi o to, by w istocie człowieka dostrzec jakieś substancjalne wydarzenie<sup>4</sup>. Bohaterka *Dzien-*

<sup>4</sup> K. Jaspers, *Rozum i egzystencja. Nietzsche a chrześcijaństwo*, przeł. C. Piecuch, Warszawa 1991, s. 16.

*nika uciekiniera* raz po raz doświadcza wydarzeń, w których próbuje znaleźć coś substancjalnego dla własnej egzystencji:

Patrzę przez okno i nie czuję już wyraźnej granicy między domem a tym, co poza. Białe, senny krajobraz wzywa mnie do siebie i chce, żebym wierzyła, że od dawna na mnie czeka, że mnie zaprasza w swoje gościnne objęcia, że za mną tęskni i nie może doczekać się chwili, kiedy spotkamy się, blisko, jak najbliższej przytuleni i od-dani (Du 130).

Znane wyobraźni granice bytowania przebiegają między tym, co domowe i tym, co na zewnątrz. Tu jest przestrzeń oswojona, tam bardziej dzika. Tu – jak pisze ks. Józef Tischner – dom chroni przed niszczycielską siłą żywiołów<sup>5</sup>, tam człowiek jest wystawiony na ich działanie. Tym jednak bohaterka się nie przejmuje. Zamiast lęku ma w sobie poczucie symbiozy: nie egzystuje jako człowiek w przyrodzie, ale jako przyroda – jeden z jej elementów, ważny tak samo, jak inne. Dochodzi do zrozumienia tego na pewnym etapie opowieści, nie bez trudności. Dzięki nim jednak doświadcza transgresyjności istnienia. Jest otwarta na przekraczanie granic, może dlatego, że już u progu opowieści zamyka jeden etap, otwierając tym samym drugi: „Zamykanie za sobą drzwi bywa trudne. [...] Miała przed oczami wieczór w sytuacji, która chciała mnie uwieść, zatrzymać tu. Dobre pożegnania to te, które otwierają przed nami tęsknotę niczym okno. Już. Od teraz” (Du 5). Transgresyjność niesie ze sobą jeszcze tęsknotę, jedno z najbardziej dramatycznych uczuć towarzyszących (niezakorzenionemu) człowiekowi w ruchu.

Dramat transgresji rozgrywa się zawsze wtedy, gdy w obszarze tęsknoty prócz bliskiego nam miejsca pojawia się bliska osoba. W byciu między działa szczególna siła egzystencjalno-dramatycznego oddziaływania: „Między tym i tam-tym życiem, między starym a nowym domem, pomiędzy końcem jednej historii i początkiem całkiem jeszcze nieznaną stanąłeś ze swetrem w rękę, dla mnie. – Uważaj na siebie – powiedziałeś” (Du 6). Bliski pojawia się na początku drogi, która zaraz stanie się końcem. W punkcie, w którym nie powinno się czuć żadnego przywiązania, istnieje wciąż jakaś relacja z domem, niełatwa, budząca tęsknotę, a ponadto człowiek i rzecz są odąd inaczej obecni w przestrzeni. Bohaterka *Dziennika uciekiniera* nie porzuca rzeczy. Jeśli chce się być w symbiozie z przestrzenią, trzeba przyjmować wszystko, co się w niej znajduje, nawet jeśli rozpoznajemy wśród elementów przestrzeni byt-przeciw-nam, czyli coś, co utrudnia egzystencję i nie pozwala wykonać ruchu. Wtedy taki byt trzeba oswoić.

## 2.

Dom jest równocześnie bytem i przestrzenią dla innych bytów ożywionych i nieożywionych. Zwykle się mówi, że to obszar pierwotnej swojskości, tak de-

<sup>5</sup> J. Tischner, *Filozofia dramatu*, Kraków 2011, s. 225.

finiował tę przestrzeń ks. Tischner. W przypadku bohaterki obu próz, Joanny, ta konstatacja nie jest możliwa, bowiem żaden z jej domów nie jest pierwotny, nie stanowi pierwszego doświadczenia domu, w którym się dorastało i który traktuje się jako punkt odniesienia. Dla Joanny o wiele ważniejsze niż dom rodzinny są obecne domy, a jeszcze bardziej walka o dom. Wędrując od jednego do drugiego, próbując zakorzenić się w jakimś miejscu, zdaje się przeżywać chwile niemożliwości. Osiedlenie się w jej przypadku jest niemożliwe. Aktualna sytuacja egzystencjalna nie pozwala na bezruch. Musi być w ruchu. Powietrze wokół niej musi drzeć. *W dawno temu teraz* Joanna przemyka między mglistymi garbami Beskidu Niskiego i na początku lektury książki trudno powiedzieć, w którą figurę się wpisuje: nomady, bieguna, pasterza, czy tytułowego uciekiniera z pierwszej książki Sarneckiej. Mam wątpliwości co do tej ostatniej figury, podaję w wątpliwość nomenklaturę autorki. Mam jednak powód, którym jest definicja domu Aleksandry Kunce:

Dom, jako miejsce miejsc czy jako miejsce właściwe, jest pomyślany poza dyktaturą swojskości i zamknięcia, poza tym, co użyteczne, gdyż istnieje w korespondencjach wertykalnych i horyzontalnych, wyprowadza poza siebie, koncentrując jednocześnie w sobie to, co dośrodkowo, „promieniście” dochodzi z zewnątrz. Tu wkrada się to, co zewnętrzne i niepojęte. Dom, będąc na uboczu, staje się duchowym centrum<sup>6</sup>.

Ta ekologiczna konstatacja mówi bardzo wiele o domu w prozie Sarneckiej. Jego położenie „poza dyktaturą” czyni go przyjaznym. „Miejsce miejsce” nie może przecież zagrażać czy zakłócać egzystencji. Co innego żywioł, ale nie dom. Tymczasem domy, do których zagląda Joanna, choć aspirują do bycia jej centrum, mają w sobie jakiś niepokój, przychodzący wraz z otwarciem drzwi: „Ja wiem, że tu w otwartej przestrzeni łatwiej oddychać, a tam, w domu, pamięć wciąż na nowo bada pustkę. Światło wydobywa brak” (Du 13). Dom jest dla bohaterki Sarneckiej zamkniętą przestrzenią, która chroni przed żywiołami, ale nie chroni przed pamięcią i rozrząsaniem tego, co jest, albo – jak w tym przypadku – tego, czego nie ma.

Podróżowanie między domami to zostawianie w nich części siebie. Opowieść o Magdalenie, wpleciona w osobiste poszukiwania bohaterki, wpisuje się w tę szczególną sytuację egzystencjalną, którą Karl Jaspers nazywa transcendowaniem – zмирzaniem ku granicy wraz z odpychaniem przedmiotów niebędących egzystencją<sup>7</sup>. Odejście z domu jest jego odpychaniem:

Dom wciąż jeszcze jest jej pełen. Zapachy, niewidzialne fluidy, cienie sytuacji, odciski jej ciała, wszystko to jest i nie daje się zmyć szczotką. Żaden płyn nie usunie z domu jej. Ale kiedy ona odejdzie, co się z tym wszystkim stanie? Ktoś,

<sup>6</sup> A. Kunce, *Źródło i dom. Przyczynki do ekologii* [w:] T. Sławek, A. Kunce, *Oikologia. Powrót*, Katowice 2020, s. 161–162.

<sup>7</sup> K. Jaspers, *Filozofia*, t. 2: *Rozjaśnianie egzystencji*, przeł. M. Żelazny, Toruń 2020, s. 30.

kto zamieszka w domu, będzie deptał ślady jej stóp, bezwstydnie kochał się tam, gdzie ona, znacząc przestrzeń sobą. Nowy ktoś zatrze jej obecność, zamaże nowymi śladami (Du 26).

Egzystencja Magdaleny skupia się na utracie. Wie, że „kawałek jej zostanie tu na zawsze. Obawia się straty. Obawia się bólu, żaloby. Boi się, że zmiażdży ją tęsknota, a upragnione nowe od początku będzie pokryte pleśnią niedoskonałości” (Du 26). Ruchliwa egzystencja musi liczyć się z ryzykiem działania dialektyki opartej na opozycji stare–nowe. Tęsknota, ów afekt właściwy istotom przywiązującym się (nie tylko do innych, ale również do przestrzeni), stanowi *spiritus movens* ruchliwej egzystencji.

Dla człowieka podlegającego temu prawu dom będzie odpowiadał duchowemu centrum. Nie można jednak zapomnieć, że to centrum może być tak samo tymczasowe, jak wszystko inne. Tymczasowość nie oznacza przy tym tracenia wszystkiego raz na zawsze. Widzieliśmy to na przykładzie Magdaleny, która pozostawiała swoje ślady w domu. Tymczasowość oznacza tu nie tyle przemijalność, ile doraźność i wpisanie w konkretny czas. Trudno powiedzieć, czy ruchliwa egzystencja posługuje się kairosem, czy chronosem. Joanna też coś zostawia w meandrach czasu. Postępuje tak, jak radzi Jaspers, ale jej ruch wokół domów czasami zmusza ją do powrotów do tego, co porzucone. W ten oto sposób wraca do rodzinnego domu: „Noc w pokoju z dzieciństwa. Na stosie gratów z poprzedniego życia. Pod głową garnki, w których gotowałam codzienność. Kiedyś, gdzieś. Ślady zburzonej domowej kaplicy. Ale jestem. Znowu to czuję. Z pustyni powracam, by zobaczyć to, co opuściłam” (Du 40). Zawsze coś się opuszcza, jeśli chce się wprawić w ruch swoją egzystencję. To rzeczywiście skok, jak pisał Jaspers. Nie jest to jednak ruch dla samego ruchu, on ma cel: „Nie szukać przynależności. Być tylko w sobie” (Du 41). Oderwanie się od świata, wyzwolenie od przynależności jest bardzo trudnym wyzwaniem rzuconym samemu sobie.

Joanna wykonuje ten skok. Gwałtowny, rozciągnięty w czasie ruch konfrontuje ją z figurą domu, od której nie może się uwolnić. Myślenie bohaterki jest przede wszystkim myśleniem miejscami i o miejscach, ale to dom jest „miejscem miejsc”. W topograficznym rozumowaniu ujawnia się niezwykła uważność bohaterki-narratorki: „Myślę o wszystkich miejscach, które znam, które lubię. Jak bardzo się zmieniły, odkąd jesień ustąpiła zimie” (Du 83). W egzystencjalnej ruchliwości ważna jest uważna obserwacja, skupiona na naturalnych przemianach. Jest ona ważną aktywnością osoby w ruchu. A dom podlega zmianom nie tylko jako miejsce, ale również jako pojęcie. Co więcej, w „orwellowskim świecie, w którym żyjemy” (Dtt 42), nie tylko podlega naturalnym zmianom, ale jest czymś skrajnie niepewnym. Choć pragnienie domu często materializuje się w nie do końca stabilny sposób (to przecież problem jego wynajmowania i tymczasowości), nie chodzi o jego ściany, a wartości.

Dom stanowi szczególną przestrzeń aksjologiczną<sup>8</sup>. Kategoria swojskości, przez ks. Tischnera postrzegana jako coś pierwotnego, przez Kunce negowana, wydaje się być jednak istotna. Dlatego Joanna w *Dawno temu teraz*, opowieści, która stanowi kontynuację *Dziennika uciekiniera*, umiarkowanie cieszy się z kupna własnego domu:

Trudno się cieszyć. Bo niby już jest to wymarzone, własne miejsce, ale czy jest faktycznie? Czy kiedykolwiek w pełni będzie nasze? Czy zawsze już przyjdzie nam się tłumaczyć i pisać podania do Agencji Nieruchomości Rolnych z prośbą o wybaczenie, że nie jesteśmy rolnikami, a nasz mały ogródek i jedna samotna koza zadają kłam rolniczemu etosowi, w który wierzy już chyba tylko agencja i ten idiota, co wymyślił ustawę (Dtt 43).

Nasz egzystencja, podobnie jak dom, nie należy tylko do nas. Człowiek ze swoim domem, jakkolwiek by go definiował, podlega polityce. Ona rości sobie tak wielkie prerogatywy, że człowiek, nawet ten, któremu udało się zamieszkać w domu, nie czuje się bezpieczny. Stałe zagrożenie niesie ze sobą poczucie uwięzienia. Człowiek nie może permanentnie żyć w tym stanie. Pragnienie wolności jest jedną z podstawowych emocji wpisanych w pojęcie domu. Jeśli w tym miejscu nie ma wolności, trudno nazwać go domem. Ks. Tischner pisze, że w domu człowiek doświadcza sensownej wolności<sup>9</sup>. Sensownej, czyli takiej, która będzie nadawać sens istnieniu, pozwalać na budowanie siebie. Między ludzkim ja a domem istnieje szczególne podobieństwo. Joanna, szykując się do opuszczenia kolejnego domu, uzmysławia sobie: „Pamiętam opustoszałe wnętrza, które tak domagało się obecności” (Du 199).

Człowiek wypełnia dom sensowną obecnością. Sensowną dlatego, że w domu wiedzy egzystencję, którą stara się rozjaśniać na różne sposoby, walcząc z zależnościami tego świata (polityką, ekonomią i wieloma innymi dziedzinami wdzierającymi się przez każdą szparę). Ludzkie Ja też potrzebuje wypełnienia obecnością. Trudno powiedzieć, co będzie się składać na tę obecność. Jedno jest już pewne: Ja jest również domem dla *Self* (siebie)<sup>10</sup>. Szczególna troska o *Self*, ową kruchość cząstkę naszego bytu, wydaje się istnieć w egzystencjalnym ruchu. Nie chodzi w nim przecież o przemieszczanie się między domami ani o tymczasowe pomieszkiwanie. Skok, będący strategią rozjaśniania egzystencji, uprawiania Ja w ruch, i ma ważny cel. Właściwym domem egzystencji jest bowiem marzenie. Właściwym

<sup>8</sup> Dywagacje na temat domu i domostwa mają bardzo rozbudowaną tradycję filozoficzną i jeszcze dłuższą historię. O tym, jaką dom niesie ze sobą wartość, pisał m.in. przywołany już Tischner, wpisując swoją filozofię dramatu w myślenie egzystencjalistów i fenomenologów. Warto uwagi są również prace Tadeusza Ślawka, Aleksandry Kunce i zespołu pracującego nad *oikologią*.

<sup>9</sup> J. Tischner, *Filozofia dramatu*, s. 225.

<sup>10</sup> Posługując się utrwalonym w humanistyce pojęciem *Self*, które jest już zdomowione w polskiej literaturze naukowej, co pozwala potraktować je jako leksem polski, a co za tym idzie, poddać je rodzimej deklinacji. Warto przywołać znakomite studium Romy Sendyki *Od kultury „Ja” do kultury „Siebie”*. *O zwrotnych formach w projektach tożsamościowych*, Kraków 2015.



domem *Selfu* jest Ja marzące. Marzenia są najbliższe procesowi nadawania sensu. Są projektami Ja, stanowią podwaliny pod kruchą budowlę podmiotu, ale nie potrafią jednak istnieć bez ruchu.

## 3.

Poruszając się w przestrzeni, zostawiamy ślady. Ich sposób istnienia zajmuje myśl jeszcze bardziej niż dom, ale ma z nim również wiele wspólnego. Ślad łączy się z ruchem, z czymś, co było, ale już tego nie ma, zatem także, może przede wszystkim, z czasem. Barbara Skarga dostrzegła wielki problem z definicją pozornie łatwego terminu, jakim jest ślad. Nie będę relacjonować dyskusji o tym pojęciu. Moją uwagę przyciągnęła konstatacja autorki *Tercetu metafizycznego*, która napisała, że chodzi jej o „ślad, który jest w nas, w każdym indywidualnym człowieku, który zatrzeć trudno, a może w ogóle jest nie do zatarcia, niemniej coś zawsze znaczy, stanowiąc element naszego bycia, dostatecznie trwały i dostatecznie silny, by to, co nazywamy naszą sobością, kształtować”<sup>11</sup>. Ruch egzystencjalny prowadzi wędrującego Ja od śladu do śladu, naznaczając je. Nie wyczerpuje się jednak w zbieraniu i odczytywaniu śladów ani w byciu naznaczonym. Podróżując, zostawiamy ślady. Ktoś później przyjdzie i będzie chciał je odczytać:

Nie ma śladu. Pamięć została wyczyszczona. Zniknął dom, fortepian, zniknęła skórzana kanapa, kominek i widok za oknem (brzozy tak pięknie lśniły w słońcu). Nie zostało nic. Przeszukuję archiwa, szukam śladów, znaków, palimpsestów, naskalnych rycin – nie ma. Pozostała wypalona pustka, dziura, luka, którą nawet wyobraźnia boi się wypełnić.

Wędruję nową drogą, pośród nowego krajobrazu i myślę – dlaczego tak się stało? Dlaczego tak źle zniosłam tę zmianę? Co stało się w pamięci? Jaka rana została rozdarta, gdzieś wewnątrz mnie? (Du 28–28).

Bohaterka spogląda w siebie. Jej świadomość pozostawiania śladów i ich zanikania tworzą sytuację dramatyczną ruchliwej egzystencji. W Joannie rozpoznajemy Jaspersowskie *wszechogarniające*<sup>12</sup>. Jej relacje ze śladami, zarówno tymi, które są tu obecne, jak i tymi, które zniknęły i można je przywołać wyłącznie w pamięci albo podjęć wysiłek imaginacji, angażują wszystkie trzy rodzaje wszechogarniającego: istnienie empiryczne, świadomość w ogóle i ducha. Najważniejsze pragnienie, na jakie Jaspers zwraca uwagę, wyjaśniając znaczenie tego pojęcia, to „wyjść poza siebie, stanąć na zewnątrz samych siebie, aby dopiero tak przyglądając się sobie zobaczyć, czym jesteśmy”<sup>13</sup>. Przyglądanie się (nie tylko) sobie jest niezbęd-

<sup>11</sup> B. Skarga, *Ślad i obecność*, Warszawa 2002, s. 73–74.

<sup>12</sup> Jaspers analizuje *wszechogarniające* w drugim wykładzie cyklu *Rozum i egzystencja* (tegoż, *Rozum i egzystencja. Nietzsche a chrześcijaństwo*, przeł. C. Piecuch, Warszawa 1991, s. 46 i następne).

<sup>13</sup> Tamże, s. 47.

nym komponentem ruchliwej egzystencji. Dopełnia ono sensu skoku, ryzyka, jakie podejmuje Ja, przekraczając granice.

Przedmiotem poznania *wszechogarniającego* jest ślad. Myślę tu o każdym śladzie, nie tylko o tym, który pozostaje w pamięci, wryty głęboko w świadomości człowieka. Tak samo ważne, jak te pamięciowe i świadomościowe, są odnajdywane w przestrzeni ślady Drugiego. W ten sposób można spotkać go w szczególnej sytuacji. Joanna zauważyła: „Są tu twoje ślady. Podrapania na mnie, moje popękane od tego ciało. Pokiereszowana twarz. Wszystko to boli i zamienia się w jątrzącą ranę. To ty. Wymygam cię, wyplukuję, chcę zapamiętać, odwrócić się i odejść, ale nie. Ból to najlepsza pamiątka” (Du 96). Intymność doświadczenia odbitego na ciełe mówi w rzeczywistości o traumie. Pojawiają się blizny. Wiele śladów rozrzuconych przez ruchliwą egzystencję rani – to jeden z potencjałów śladu. Ale nie jedyny.

Wracam do historii Magdaleny z *Dziennika uciekiniera*. Znajdowała ślady innych, ale najgłębiej odczuwała sens domów: „Ktoregoś wieczora dociera do niej, że jej dawny dom zniknął, że nie ma go już w sobie, w pamięci trudno jej wywołać obraz, rozkład pomieszczeń, kolory, zakrzywienia. Nowy dom całkiem nią zawładnął, nie zostawiając miejsca na pamięć” (Du 28). W grze ze śladami potrzebna jest pamięć. Bez niej trudno cokolwiek rozpoznać, trudno też zostawić je tak, by miało jakąś treść. Jeśli zapominamy o domu, każdy ślad zwietrzeje i zniknie. Dlatego każde miejsce oferuje pamięci wiele śladów, a każdy z nich ma coś do powiedzenia. By je odczytać, trzeba podróżować. Nie można się zatrzymać. Opowieść pojawia się w ruchu i bez niego nie może istnieć. Dlatego przyłgnęła do kobiety w ruchu, której jeszcze nie potrafię określić. Widzę ją, jak przemyka między przestrzeniami, jak poddaje się ruchowi i, niczym Jaspersowski *Duch-wszechogarniające*, wprawia w ruch idee, które oświetlają wszystko i łączą się ze sobą<sup>14</sup>. Opowieści mają tę samą siłę: oświetlają wszystko i łączą się ze sobą, ponieważ są śladami Drugich, podmiotów, które były tu wcześniej, ale czas i ruchliwa egzystencja przeniosły je w inne egzystencjalne miejsce, albo w nie-miejsce, przestrzeń-imaginarium, niesprawdzalną empirycznie. Pozostaje opowieść, która czeka na to, aż ktoś ją odkryje, usłyszy, zapamięta i opowie, posyłając dalej w świat.

Za każdym razem, gdy Joanna myśli o jutrzejszym poranku i kolejnej wyprawie w świat, zwraca się ku pamięci: „A przede mną znów otworzy się pamięć. Droga rozwinie się jak dywan i wskaże na wszystko to, co pozostawiłam kiedyś za sobą i z czym znów przyjdzie mi się skonfrontować. Nie ma rady. Okrutna pamięć” (Du 78). Wędrówka i zbieranie opowieści tworzą symbiozę – podwaliny ruchliwej egzystencji. Nie chodzi tu jednak o kolekcjonowanie artefaktów. Najistotniejsze są ślady-opowieści. Joanna zbiera swoje ślady, pogubione lub porzucone pierwiastki ruchliwego życia, a także ślady innych, pozostawione, zapomniane, niepotrzebne. Trudno złożyć przestrzeń egzystencji tylko z tych elementów, które znalazły się

<sup>14</sup> Tamże, s. 52.

w niej w sposób zaplanowany, a nawet upragniony. A co z resztkami? Są nimi znikające ślady, zacierające się znaki, rozpadające w dziurawej pamięci opowieści. Dlatego też najpewniejszymi śladami-opowieściami są książki. Nie istnieją w przestrzeni obojętnie. Potrafią się upomnieć o należną im uwagę.

Zmiana domu, wyprowadzka wiąże się z przewiezieniem biblioteki. Bez niej nie da się właściwie zamieszkać i choć będzie to zamieszkanie na chwilę, książki stanowią rdzeń człowieka w ruchu: „Usiłując sprzątać półki z książkami, znalazłam opłatek czekający już na Wigilię. Był nadgryziony przez mysz. Zostawiła połowę, podzieliła się ze mną, może świętuje wcześniej, tu działają różne kalendarze” (Dtt 32). Sam kontakt z książkami jest dla *żyjącej uważnie* okazją do opowiedzenia krótkiej historii. Ale na targowisku świata można znaleźć o wiele więcej.

Historia Lanera, miejscowego fotografa, który sportretował „beziemniennego z Dukli”, uwydatnił jego oczy, zakłęta jest w zdjęciu. Fotografie i książki, rysunki i rzeźby – to najcenniejsze ślady, zawierające najwięcej opowieści. „Widzący z Dukli”, a raczej opowieść o nim, spotkanym na starej fotografii Lanera, wybuchająca w świadomości Joanny, zamieszkuje w myśli:

Od tamtej pory często o nim myślę, nie mogę zapomnieć tych jego oczu. Wiem, że i on patrzy na mnie. Na pewno wie, że jestem obca i pamięć tego miejsca nie jest moją pamięcią, a jednak i ode mnie domaga się czegoś, wypatruje w moich oczach śladów świata, którego nie mogłam znać. Być może pamięć i wyobraźnia mają ze sobą więcej wspólnego, niż sądzimy (Dtt 81).

Kooperacja pamięci i wyobraźni jest trudna. Ruchliwa egzystencja w swojej natarczywości, w potrzebie rozjaśniania samej siebie, domaga się czytelności. Ja nie może więc pomylić wyobraźni z pamięcią, na tej drugiej powinno fundować opowieść. Ślad należy odczytywać, poczynając od pierwiastka pamięciowego. Dopiero później dołączamy pierwiastek imaginacji. Dzięki tym dwóm składnikom wprawiamy opowieść w ruch. Pamięć i wyobraźnia muszą się napracować. O ile nie braknie nam pamięci, bowiem ta prócz siedliska w *Selfie* mieszka też w miejscach, to zasadne jest pełne lęku pytanie Joanny: „Czy starczy nam wyobraźni?” (Dtt 81). Siła imaginacji jest potrzebna, by ożywiać i wprawiać w ruch marzenia. Bez nich ruchliwa egzystencja traci siłę. Wyobraźni sprzyja *łóże nomadów*. Przez swoją prowizoryczność prowokuje do dopowiedzeń, stawia pytania, inicjuje opowieści i – niczym gorącego ziemniaka – przerzuca je między dłońmi człowieka w ruchu. Tworzy zabawy, dla bohaterki trudne, ale równocześnie pełne nadziei:

Zabawa numer dwa: „Nasz dom”. Zaczyna się zwykle tak: Jak już będziemy mieli własny dom... A potem już idzie. Każdy coś dopowie: wystrój własnego pokoju i sam własny, oddzielny pokój, swój azyl, wymarzony, potem kuchnia, salon, super wygodny, z hamakiem zawieszonym na mocnych, drewnianych stemplach, z komin-kiem, w którym ogień nie wygasa (Dtt 97).

Wyobrażać sobie to skoczyć w nieznanne, a skoczyć w nieznanne to przekraczać granice, by rozjaśniać egzystencję. Nie wiadomo, co z tych wyobrażeń-marzeń zmaterializuje się i jaka będzie siła oddziaływania tej materializacji. Jedno jest pewne: ruch jest coraz bardziej intensywny.

## 4.

Najgęstszą ciemnością ruchliwej egzystencji jest obcość. Ona, wespół z opowieścią, wypełnia przestrzeń swoim uporczywym i chaotycznym ruchem. Obcość wędruje podobnie jak opowieść, choć niekiedy wybiera inne ścieżki. Przeważnie jednak wędruje razem z Joanną. Prócz potrzebnej w egzystencji uporczywości wrzuca jej do plecaka chaos – jeden z najcięższych kamieni. Joanna nie afirmuje obcości, choć ta gęsto wypełnia przestrzeń, albo nawet jest zasadą przestrzeni. Obdarza Kobiętę w drodze natarczywym poczuciem rzuconego przez ruchliwą egzystencję wyzwania: chciałaś wędrować, musisz czuć się obca – czujesz się obca, musisz wędrować. Paradoksalny imperatyw wynika z trwającej w niej walki i faktu, że: „na razie poczucie obcości i bycia nie stąd po prostu musi być” (Du).

Obcość nie pozwala zamieszkać. Odciąga uwagę świadomości od tego, czym jest zamieszkiwanie. Martin Heidegger zauważa: „Człowiek dopracowuje się rozmaitych zasług podczas swojego zamieszkiwania. Pielęgnuje on bowiem wzrastająco rzeczy ziemi i ochrania to, co mu wzrosło. Pielęgnowanie i ochranianie (*colere, cultura*) są rodzajem budowania”<sup>15</sup>. Joanna nie buduje domu. Nie ingeruje fizycznie w przestrzeń. Jej materiałami są opowieści i ślady. Nimi wypełnia przestrzeń ruchliwej egzystencji. Nie mogłaby przecież postąpić inaczej, czując niecodzienną potrzebę ruchu.

Ruchliwa egzystencja często romansuje z przypadkiem. Wystarczy niedbale postawić krok, nacisnąć mocniej pedał gazu, wykonać nieostrożny gest i można obudzić się o świcie „w obcym łóżku, w obcym mieszkaniu położonym na pierwszym piętrze całkowicie obcej kamienicy. A wszystko to w obcym mieście, do którego los rzucił mnie zupełnym przypadkiem. Chyba przypadkiem” (Dtt 15). Obcość jest dziełem przypadku, ale ta nieprzezwyrodniona, utrzymywana przez Innych już takim dziełem nie jest. Opowieść stanowi próbę oswojenia narastającej w Ja obcości. Skoro nikt nie wyciągnie do mnie dłoni, w której będzie miał najwykleszą uczciwą ciekawość i chęć poznania drugiego człowieka, pozostaje tylko opowiadać sobie i innym, pokazać, co moja ruchliwa egzystencja, obca właśnie tym słuchaczom, pozwoliła zebrać i czego doświadczyć. Następnym etapem jest zagadkowość dotycząca *Selfu*, zagadki dla samego siebie, rozpoznającej w sobie potrzebę zmiany przestrzeni. Nie wiemy, jak cykoria podróżnik – oksymoron, wewnątrz którego lęk (cykor) i odwaga podróży mieszają się ze sobą (DU 170). Każdy ruch jest ryzykiem, a podróż to ruch najbardziej ryzykowny.

<sup>15</sup> M. Heidegger, „...poetycko mieszka człowiek...” [w:] tegoż, *Odczyty i rozprawy*, przeł. J. Mize-ra, Warszawa 2007, s. 187.

## 5.

Ryzyko ukryte w ruchu konstytuuje tożsamość ruchliwego człowieka, którego wciąż nie określiłem żadnym mianem (nomady, pasterza, bieguna, uciekiniera). Przyszedł, być może, na to czas. Być może – ponieważ podróż myślenia jest równie ryzykowna jak podróż w przestrzeniach fizycznych, wiąże się bowiem z tym samym ryzykiem, co marzenie i sen, głęboko ze sobą powiązane. A Joanna nie boi się ani marzyć, ani śnić. Nie boi się podróżować w żadnej z tych przestrzeni. Szukając sposobu istnienia, dochodzi do wniosku: „Sen jest sposobem istnienia, gdy śnieg, biel i cisza. [...] Sen jest jedynym sposobem istnienia, który pozwala przetrwać w opustoszałym krajobrazie” (Du 163). Odwaga bohaterki jest odwagą cykorii, na co sama zwraca uwagę. Marzenie o wyremontowaniu starej szkoły w nieistniejącej wsi kończy się docenieniem snu: „Śnienie byłoby jednym z ważnych zadań realizowanych w szkole” (Dtt 18). Ryzyko, jakie wiąże się z traktowaniem śnienia tak samo serio jak podróż, pokazuje jego istotność w rozjaśnianiu egzystencji. Sen napędza marzenie, które prowokuje ruch zarówno wewnątrz Ja, jak i na zewnątrz niego, w ciele.

Filozofia ruchu, jaką spotykam w prozie Joanny Sarneckiej, nie funkcjonuje bez prymatu przestrzeni: „Wyruszam. Pozostawiam za sobą jesień w twarzą w oknie, która wzrokiem wodzi za mną. Wyruszam, czyli pozostawiam za sobą. Nie będzie już nigdy Tu, zawsze będzie Tam. Krok do prawdy to krok w przepaść. Zabija i uwalnia zarazem” (Du 32). Głęboko ukryta istota ruchliwej egzystencji to jej graniczność. Wystarczy drobny krok, jedno przesunięcie i wszystko może się diametralnie zmienić: życie w śmierć, śmierć w życie, podróż w ucieczkę, ucieczka w podróż marzeń. Niepewny, ale stały powrót jest zasadą ruchu, wypełniającego przestrzeń. Może dlatego świętem człowieka w ruchu są Zaduszki. Joanna wyzna: „Moje święto. Wszystko, co skuteczne uśmierciłam, wróci do mnie na chwilę jeszcze mocniej niż na co dzień” (Du 54).

Skoro „bezruch staje się niemożliwy” (Du 37) i nie można się zatrzymać, bowiem świat może się wówczas skończyć, to najbardziej zasadne jest czerpanie z tego, co terazniejsze bez planu i konstruowania marzeń. Im bardziej fantasmagoryczna perspektywa, tym lepiej, bo zwiększa ona szansę na otwarcie drzwi, w których pojawi się coś (nie)oczekiwanego: „Minęły już cztery lata, odkąd tu przyjechałam, odkąd tułamy się i pasiemy na południowych pastwiskach. I niemal w tę rocznicę pojawia się nowy dom, przygarnia nas w przeddzień jesieni. Zwykły, ale wystarczająco dobry” (Dtt 13). Ryzyko ruchu opłaciło się. Wydaje się jednak, że ruchliwą egzystencję uda się rozjaśnić tylko wtedy, gdy pojmie się ruch tak, jak robi to Joanna: „Ruch budzi moje soki, niebo nasycy się światłem, świat nabiera kolorów” (Dtt 31). Ruch to świadectwo witalności ciała, marzeń, snów i myśli.

Wydawałoby się, że to już wszystko, że zasady ruchu zostały ustalone raz na zawsze. Jednak drgające w *Selfie* marzenia przypominają o cykorii podróżnik:

Podróż cykorii przypomina moje wędrowanie. Zachłanne i niepowstrzymane, ale przecież pozorne. Krajobrazy migają w zawrotnym tempie, ale dokonuje się to jedynie na szklistej kliszy oka. Po jego wewnętrznej stronie. W rzeczywistości tkwimy przyszpilone do naszych przydroży (Du 170).

Życie tej niepozornej rośliny o niebieskich kwiatach wydaje się być tak samo sprzeczne, jak jej nazwa. Bohaterka Sarneckiej przejmując tę zasadę. Wszystkie fizyczne ruchy są niepozorne dlatego, że prawdziwy ruch wydarza się w *Selfie* – tworzą go marzenia i sny, w centrum których pojawia się ogród-biblioteka. Łącząc te dwa byty ze sobą, ponieważ są jednakowo ważne. „O czym świadczy zaniedbany ogród? O tym – rzekł mistrz – że człowiek przestał marzyć” (Du 243). Rozrzucone w stodole księgozbiory mogą świadczyć o kryzysie opowieści, o tym, że o marzenia jest coraz trudniej. Ryzyko ruchliwej egzystencji polega na tym, że jest w stanie pozbawić nas siły do tego, by marzyć. Nie jest istotne, czy jesteśmy bardziej nomadami, pasterzami, biegunami czy uciekinierami. Dla kogoś, kto skacze w ruchliwą egzystencję, o wiele ważniejsze będzie zarzucenie lekkiej kurtki na plecy i wyjście w świat, które widzimy w ostatnim zdaniu zbioru opowiadań *Dawno temu teraz*. Przestrzeń bez dziejącego się w niej ruchu jest pozbawiona sensu. Ja, w którym nie żyje *Self*, kamienieje. Dlatego ruchliwa egzystencja jest mocnym imperatywem bycia-tu-oto.

Myśląc o pożegnaniu miasta, mocuję się z imaginariem ruchu. W przestrzeni pozostają ślad – na drogach będę spotykał kierunkowskazy z napisem „Kraków”, moja pamięć będzie przywoływać to miasto, ilekroć zobaczy coś, co z niego wyręło się we niej szczególnie. To mnie niepokoi. Jeszcze bardziej niepokoić mnie będzie *Self*, które w tym konkretnym mieście poruszało się między Innym a mną. Skok już się dokonał. Wprowadziłem swoją egzystencję w ruch. Zamknąłem książki, odłożyłem je na półkę. Moja biblioteka wchodzi w okres nieładu. Wypatruję chwili, kiedy nowa przestrzeń otworzy możliwość jej uporządkowania. Widmo tymczasowości wciąż jednak zaciemnia egzystencję.

Konrad Sikora

### Bibliografia

- Heidegger M., „...poetycko mieszka człowiek...” [w:] tegoż, *Odczyty i rozprawy*, Wydawnictwo Aletheia, przeł. J. Mizera, Warszawa 2007.
- Jaspers K., *Filozofia*, t. 2: *Rozjaśnianie egzystencji*, Wydawnictwo Naukowe UMK, przeł. M. Żelazny, Toruń 2020.
- Jaspers K., *Rozum i egzystencja. Nietzsche a chrześcijaństwo*, przeł. C. Piecuch, PWN, Warszawa 1991.
- Kunce A., *Źródło i dom. Przyczynki do oikologii* [w:] T. Sławek, A. Kunce, *Oikologia. Powrót*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2020.

- Pessoa F., *Strażnik trzody (I)* [w:] tegoż, *Poezje zebrane. Alberto Caeiro*, przeł. G. Borowski, Lokator, Kraków 2020.
- Sarnecka J., *Dawno temu teraz*, Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Kamila Norwida w Świdnicy, Świdnica 2022.
- Sarnecka J., *Dziennik uciekiniera*, Oficynka, Gdańsk 2017.
- Sendyka R., *Od kultury „Ja” do kultury „Siebie”. O zrotnych formach w projektach tożsamościowych*, Universitas, Kraków 2015.
- Skarga B., *Ślad i obecność*, PWN, Warszawa 2002.
- Tischner J., *Filozofia dramatu*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2011.
- Tokarczuk O., *Bieguni*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022.

### Imaginarium of Movement. Joanna Sarnecka's literary spaces

#### Summary

The article is an attempt to interpret two prose works by Joanna Sarnecka *Dziennik uciekiniera* and *Dawno temu teraz* through the prism of the philosophy of existence and the philosophy of drama. By observing the subject in motion filling successive spaces, one arrives at the unveiling of the Self, which seeks to embrace the Self in a multifaceted and multidimensional way. Sarnecka's prose seems to be an attempt to describe in literary terms the dramatic process of the constitution of identity and to find formulas for expressing this phenomenon. The Self in the works under discussion is constantly confronted with the meaning and value of the spaces in which it exists: inside and outside home. An important element of this problem is the experience of space by the Self, which is on the move and which leaves traces wherever it exists, even for a moment. Based on a peculiar dialectic of brightening and darkening existence, Sarnecka's prose allows one to access the inner life of the Self and the strategies of the imagination at work.

**Keywords:** Joanna Sarnecka, movement, space, existence, subject, Self



# WĘDROWAĆ, POZNAWAĆ, ROZMAWIAĆ

Andrzej Szuba

## POSTSCRIPTUM CMLXXXIX

rad że jest  
po to samo  
co rozgwiżdza i frezja

## POSTSCRIPTUM CMXC

gdy przestaniesz  
mieć siebie  
i ponowi się nicość

## POSTSCRIPTUM CMXCI

a wiara  
niech przenosi  
pagórki



## POSTSCRIPTUM CMXCII

zawsze po albo przed  
ale teraz  
to już nie łaska

## POSTSCRIPTUM CMXCIII

a to czego nie słyszysz  
to przeddzwonne  
przeddzwonne

## POSTSCRIPTUM CMXCIV

wśród ofiar: elgiebetów  
i żydów nie ma polaków  
pan bóg dobry

## POSTSCRIPTUM CMXCV

przydługie międzywojnie:  
zbroić się  
w cierpliwość

## Małgorzata Skalbania

### MAKROUD

Ciasteczka *makroud* (*makrout*, pisowni jest kilka), były w nicejskim domu starego matematyka składnikiem codziennego menu. Wyglądały jak plastry zrolowanego ciasta, ślimaczki ze smakołykiem w środku. Puste pudełko po „algierskich magdalenkach” oznaczało zakończenie tygodnia mojej pracy przy *le quai des États-Unis* i wizytę w *la pâtisserie orientale „Le Carthage”* na Starym Mieście, przy *5 rue St François*. Spośród wielu słodczy, lista nazw wisiała na murze sklepiku (*zalabia, baklawa, cornes de gazelle, kalbelouze*), wybierałam tylko *makroud*.

– To przysmak biedaków – mawiał pan X, właściciel pierwszego piętra kamienicy stojącej naprzeciw Promenady Anglików. X twierdził, że nie trzeba być bogatym, by być szczęśliwym. Wystarczy mały jacht, taki, który zmieścił rodzinę, by zamknąć drzwi mieszkania w Nicei i popłynąć do domu w porcie na Majorce.



Małgorzata Skalbania, *Rheon*, 2020, pastel

– Biedacy jedli ciastka ociekające miodem?

– Tak, na inne nie mogłem sobie w Afryce pozwolić.

Smak mieszanki z kaszy miannej, daktyli z dodatkiem kwiatów pomarańczy, goździków, cynamonu i miodu pomagał starszskowi w odtwarzaniu detali utraconego, algierskiego domu dzieciństwa. Ratował przed traumą, pozostałością po wojnie. Podobną rolę pełniły świeże figi z Algierii. Mimo dalekiej podróży, wielu rąk, którymi były dotykane, miałam zakaz ich mycia. Przynosiły ze sobą prawdziwy kurz z Algierii. Matematyk dzielił się ze mną wszystkim, ale przy talerzyku fig nie mógł się opanować. Zjadał je łapczywie, przy ostatnich sztukach przeproszał, że o mnie zapomniał.

Wróciłam do Nicei po roku tułaczki po Korsyce i La Vallée De Chevreuse-Vallées De La Bièvre. Poprzednie wizyty, jedna kilkunastu u starszej pani z Boulevard de la Madeleine (adres zdradzający skromne warunki, jednak w pobliżu miejsca znanego artystom przyjeżdżającym z Cannes, takim jak Kurosawa i inni, wymienił tu Césara, ponieważ ładnie wpisał się do książki pamiątkowej nicistniejącej dziś restauracji „Poupon et Marinette”).

Druga wizyta na zaproszenie adwokata szukającego opiekunki dla swojej chorej psychicznie, agresywnej matki. Starszuszka mieszkała w Ajaccio. Po rozmowie prawnik zapłacił mi za obiecany nocleg z królewskim śniadaniem na dachu hotelu, z którego oglądałam starówkę i morze. Jednak walka w jego biurze przy *L'avenue Jean-Médecin* o dzień wolny w tygodniu skończyła się dla mnie włóczką po ulicach Nicei. Korsykanin z kontynentu zaskoczony moją stanowczością nie opłacił mi już obiecanego promu na wyspę. Portier hotelu przechował walizkę i już przed południem spacerowałam po ulicach *la capitale d'hiver*, licząc na cud, telefon z nową ofertą. Doszłam wtedy przed *Le Regina Palace*, przyglądając się uważnie detalom architektonicznym w chwili, kiedy wchodził do środka elegancki, starszy pan. Zapytał, z jakiego powodu tu jestem. Z powodu Matisse'a, odpowiedziałam.



Małgorzata Skalbanią, *Claude*,  
18.IX.2021, sucha igła



Małgorzata Skałbania, S. Valentino, 6.09.2006, sucha igła

Proszę wejść ze mną do środka. Rozmawialiśmy o historii pływaków artysty i o tym, że temat zanurzenia w wodzie nurtuje mnie od czasu poznania historii Jonasza, poprzez *tomba del tuffatore* z Paestum, której przedstawienie zmarłego jako młodzieńca skaczącego do wody zestawiałam z obrazem *Portrait of an Artist (Pool With Two Figures)*.

Matisse'a fascynował widok wody nawet w małym akwarium. Z okna wynajętego pokoju w Ajaccio ciągnęłam opowieść. Pod oszklonym dachem zabudowanego szkłem parteru hotelu widok czystego lazuru zasłaniał mu budynek hospicjum. Nieznajomy, wyglądający na arystokratę, kiwał głową, bywał na Korsyce i wiedział również o cyklu reliefów *Nu de Dos* artysty, które pomogły mi w opisanu gnijących pleców i złamanego kręgosłupa klientki z Ajaccio. Umierała tam w hospicjum Eugenii. Spacer po *l'ancien hôtel Régina*, kiedy byłam bezdomną w Nicei, uwolnił moją wyobraźnię, wprowadzał w bramy luksusu wszystkich nędzarzy artystów. Pożegnaliśmy się z nieznajomym przy oknach byłej pracowni Matisse'a w pałacu, skąd już było blisko na jego grób. Stałam wtedy jeszcze przed zrujnowaną willą naprzeciw „Reginy”, gdzie jedna ściana domu zdobiona była odlewami płaskorzeźb fryzu panatenajskiego, dzieła nadzorowanego przez Fidasza, być może częściowo autorstwa artysty skazanego przez swoich rodaków.

Grób Matisse'a, zajmujący dużą kwaterę z oliwką i małym ogródkiem u stóp starej części cmentarza *Cimiez*, był moim ostatecznym celem w trakcie tej podróży. Tu chciałam odpocząć. Poczulałam się tam jak w sadzie dziadków, gdzie łatwo przychodziło mi marzenie o własnym domu. Wspomniałam chłodny Paryż, darmowe *Musée d'Art Moderne*, obrazy *Niedokończony taniec* i *Taniec*. Cierpiałam na ziemi prekursorów impresjonizmu, *La Vallée De Chevreuse – Vallées De La Bièvre* z powodu wilgoci i niskich temperatur na bóle kręgosłupa i opuchniętych stawów. Wrócić do Nicei oznaczało ocaleć. Może tak myślał Sławomir Mrozek. Odzyskać siły na napisanie nowego „marszu na stracenie”, podobnie jak zrobił to Berlioz (Nicea była dla kompozytora miejscem powrotu do zdrowia, gdzie postanowił opisać śmiertelne zagrożenia i stać się we własnym utworze świadkiem swojej egzekucji). Oznaczało spojrzenie w twarz smutnemu muzykowi, którego wizerunek stał w *le Jardin Albert 1*.

Spotkanie z córką nowego klienta odbyło się na tarasie kawiarni przy *Le Cours Saleya*, blisko *La maison de Cadé de Pierlas* (gdzie na trzecim, a potem czwartym piętrze w latach 1921–1938 Matisse tworzył w Nicei). Pani pod pięćdziesiątkę o długich blond włosach i figurze nastolatki pojawiła



Małgorzata Skalbaniya, *Ajaccio*, X 2021, pastel

się z córką nastolatką. Łagodny głos i słodki uśmiech ostrzegał mnie przed dobrze opanowaną rolą sympatycznej Francuzki. Znałam zasady gry, ale nie potrafiłam szczebiotać półszepem, jak ci, którzy najbardziej zaszli mi za skórę. Pani wprowadziła mnie do kamienicy przy *Le quai des États-Unis*. Wyjaśniła, że budynek powstał w 1915 roku na życzenie jakiejś arystokratki. Zauważyłam herb rodowy nad drzwiami do śmietnika. W starej, drewnianej windzie miałam pamiętać o zamykaniu drzwi. W foyer, naszym *Salon de Matisse* (na podobieństwo prawdziwego w *l'hôtel Régina*, nazwanego potem przez artystę swoją pływalnią), wisiały dwie litografie (*Estate of Henri Matisse i wydawcy Artvalue*), ilustracje wycinanek *Nu bleu II* z wiosny 1952, *Nu bleu IV* z tego samego roku, stworzonych dwa lata przed śmiercią artysty.

*Fin de la vie de Matisse* i końcówka życia ślepnącego klienta X stały się moją codziennością. W czasie spaceru z X odkryłam przy wejściu do sąsiedniego budynku kamienicy (105 *Quai des États-Unis*,) tabliczkę upamiętniającą pierwszą wizytę Matisse'a w Nicei. Mieliśmy z artystą niewiele się różniący widok z okna. Kiedy Matisse zdał sobie sprawę, że w każdy poranek będzie mógł oglądać znów to światło, opisanie własnej radości wydało mu się niemożliwe<sup>1</sup>. Ambitne wyzwanie artystyczne zadecydowało o nieopuszczeniu Nicei.

Córka pana X zapewniała, że w moim pokoju z widokiem na ścianę (remontowaną przez ekipę arabskich robotników) będę mieć spokój. Na trzech balkonach, dwóch salonu i jednym pokoju gościnnego poczuć się jak w teatralnych łóżach z *La Belle Époque*. Będę mogła uczestniczyć w niekończącym się spektaklu odgrywanym na Promenadzie Anglików, zresztą do prawdziwej Opery będę mieć pięć minut. Zabrzmiało to jak recytacja wiersza *Hôtels* Guillaume'a Apollinaire'a, gdzie pokój jest wdową, słychać hałas fiakrów, sąsiad pali angielską tabakę i wszyscy mówią językami wieży Babel.

Pan X, mimo że udało mu się przeżyć na frontach wojny francusko-algierskiej, zostać profesorem, czuł się pod koniec życia biedakiem. Co wieczór padał ofiarą wyimaginowanych postaci. Przychodził do niego inspektor edukacji narodowej, żeby upokorzyć go przed studentami. Rzucił wtedy pracę, ale w ostatniej chwili doganiał go dyrektor szkoły, prosząc, by został na swoim stanowisku. Fantomy niektórych uczniów były nieznosne. Miał ochotę ukręcić im głowy. O tak, pokazywał rękami gest wykręcania szmaty. W nocy dobijało się do drzwi wejściowych pałacu, obitych od środka blachą, dwóch mężczyzn. Prawie głuchy, słuchał ich rozmów za kilkoma

<sup>1</sup> H. Matisse, *Écrits et propos sur l'art*, Paris 1971, s. 123.

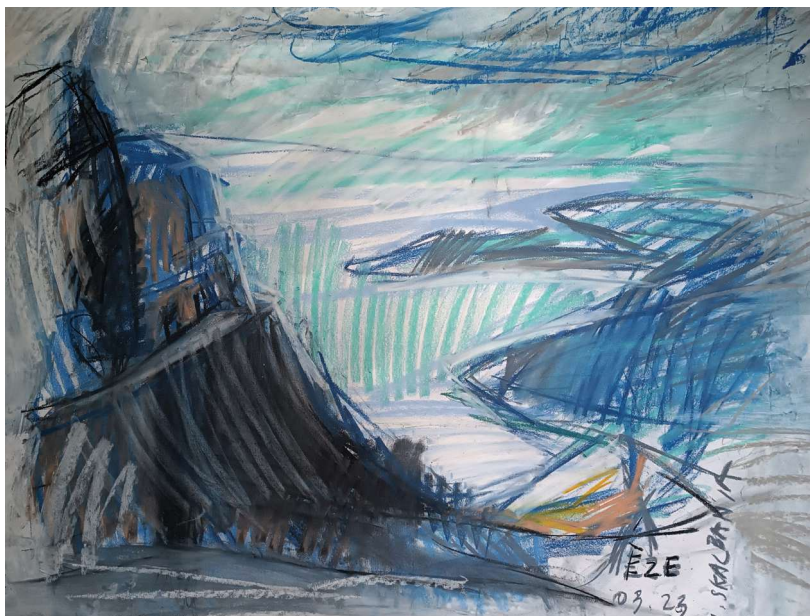
zamkami drzwi. Widziałam w nim wtedy Beksińskiego, który cierpiał na podobną słabość w Warszawie.

W Nicei to byli ci sami żandarmi, ludzie wojny, którzy przyszli po niego w dniu jego wesela z piękną Majorkanką. Skuli go jak bandytę w kajdanki, zawieźli do aresztu. Poznał wtedy w celi towarzyszy niedoli, pacyfistów z cyrku, clowna i gimnastyka powietrznego, *un trapéziste*.

Clown próbował grać żołnierza, rozśmieszając załamanych więźniów. Przedstawienie wyobrażałam sobie tak, jak przedstawił to w adaptacji opowiadania Henry'ego Millera *Uśmiech u stóp drabiny* Henryk Tomaszewski. Trójka kolegów otrzymała hełmy i karabiny maszynowe. Cyrkowcy i X nie mieli żadnego przeszkolenia wojskowego. Dezerterów przyłączono do grupy żołnierzy i rozdzielono do dwóch samolotów. Każdy otrzymał spadochron. Niestety X i clown, dwóch przyjaciół, nie mieli pojęcia o używaniu spadochronu. Clown o imieniu Gustave wiedział tylko, że trzeba wyciągnąć z paska zawleczkę, pokazał ją X, ale nie miał pojęcia, w jakim momencie trzeba ją wysunąć. Wyszkoleni chłopcy na rozkaz dowódcy znikali w chmurach algierskiego nieba. Clown i X pamiętali z tego skoku tylko strach. Spadli za szybko, stracili przytomność w głębokim śniegu w górach. Przemarznięci, odnaleźli się w szpitalu, uratowani przez cudzoziemską armię oczyszczającą teren z trupów. Z sześćdziesięciu czterech żołnierzy pozostali przy życiu tylko oni, clown i X. Reszta, spadająca wolniej niż dezerterzy, została zastrzelona przez algierskich partyzantów. Dowódca źle odczytał mapę. Zamiast do obozu Francuzów rozkazał im skakać na teren algierskich partyzantów. Sam nie wyskoczył z samolotu.

X staruszek tracił słuch, wzrok, rozum i cierpliwość. Rysowałam go czasem, mając w pamięci oczy z czerwonymi spojówkami z autoportretu Laurence'a Stephena Lowry'ego. Patrzył się na mnie bielmem prawego oka i martwym, z powodu zaniedbanej jaskry, lewym. Była w tym spojrzeniu cała jego opowieść, podszywanego się pod własnego ojca, również walczącego w Bir Hakeim. Ojca X znałam tylko z jednej fotografii, reklamującej jego zakład mechaniczny. Siedział w meloniku i garniturze za kierownicą samochodu hamowanego przez leżącego pod kołami rozczochranego, arabskiego chłopca w łachmanach. Dziecko podtrzymywało ręką koło, patrząc smutnymi oczami w stronę fotografa.

X pochodził z francuskiej rodziny kolonizatorów, należał do drugiego pokolenia *les pieds-noirs*. Jego dziadek dostał algierską ziemię od Francji za zasługi militarne. Algieria była krajem, w którym X nauczył się chodzić, mówić, liczyć po arabsku i francusku, pisać, polować, dosiadać nieciosdłanego konia. Geometria, jego ulubiona dziedzina nauki, wpisana była w nazwę miasteczka na przedmieściach stolicy: *Maison-Carrée*.



Małgorzata Skalbania, *Eze*, 03.2023, pastel

Kwadratowy Dom, pierwotnie osiemnastowieczny fort turecki („fort przy moście”), przebudowany w czasie francuskiej kolonizacji, zmienił swoją funkcję, dając dach nad głową osadnikom, którzy przekształcili okoliczne bagna w farmy. Rzekę *Arrach*, jej nazwa służy dzisiaj również jako nazwa miasteczka, zamienili w szlak wodny łączący *Maison-Carrée* z francuskimi portami na kontynencie. Zwierzęta, przede wszystkim owce, kozy, sprzedawane były na *Marché aux Bestiaux*, ładowane na statki odpływające w kierunku Marsylii. Miasteczko posiadało boisko sportowe jako spuściznę polityki Napoleona III, który dbał o kondycję fizyczną młodzieży w celach militarnych, i koszary (w 1962 roku powstanie tam Wojskowe Centrum Wychowania Fizycznego Algierii).

Przyszły konstruktor zegarów był ambitnym piłkarzem, wybranym w drodze selekcji do reprezentacji Francji. Dzięki piłce nożnej przyplłynął do Nicei, by rozwijać tu swoją sportową karierę. Niestety, kopnięcie przez kolegę w kolano uniemożliwiło mu uprawianie sportu. Musiał wrócić do Algierii, do swoich kabylskich nauczycieli matematyki, którzy doprowadzili go do dyplomu wyższych studiów, za co do końca życia był im wdzięczny.



Na krajobraz Kwadratowego Domu składały się wielkie budynki kaplicy i klasztoru św. Józefa, gdzie misjonarze Afryki, „biali ojcowie” (nosili białe burnusy, tradycyjny strój Berberów, wśród zakonników byli Kabylowie *lpapas*), dbali o morale młodzieży francuskiej, arabskiej i żydowskiej. Ojciec Clément wyhodował w klasztorным ogrodzie w 1902 roku pierwsze klementynki, rozpowszechnione potem w całej Algierii. Miejscowi podchodzili jednak do tego miejsca z rezerwą, historie molestowania seksualnego naznaczyły kilka pokoleń. Namiestnik papieża, założyciel instytucji, miał nieograniczoną władzę i postrzegany był przez wielu jako osoba prawie święta. Niestety: „lubił małych chłopców, dziewczynki go nie interesowały”, wyznał zgorzkniały ateista. „Wiara naiwnych ludzi jest potrzebna zbrodniom, żeby mogli uprawiać swoje orgie”, mawiała wcześniej pobożna babka matematyka, która opuściła kościół, dając wnukowi możliwość dojrzewania zgodne z prawami natury. Obawiała się jedynie, kiedy nieosiadłany koń galopował z dzieckiem za szybko.

Mały jeździł wzdłuż wybrzeża, trzymając się uszu lub długiej grzywy ogiera Tornado. który nie każdemu pozwalał na zaszczyt siedzenia na swoim grzbiecie. Zwierzę, objęte w czasie wojny z Hitlerem obowiązkiem służenia w armii, zostało zabrane przez angielskiego żołnierza. Broniło się dzielnie przed wstąpieniem do armii. Anglik przed wykonaniem rozkazu zrzucony był z siodła kilka razy. Oddawaliśmy z X część pamięci Tornado’a w czasie spaceru, przechodząc przy *Carrousel Palace 1900 NICAEA*. Karuzela ustawiona była w parku przy Pomniku Stulecia w Nicei. Nie wiem, czy dostrzegał w niej koniki dla dzieci, wiedział, że tam istnieją. Robiliśmy kilka okrążeń białego i czarnego araba, potem podchodziliśmy do pomnika, do płaskorzeźby leżącej nagiej dziewczyny, alegorii Nicei, by pogłaskać jej łokieć wsparty na starożytniej, przewróconej wazie, z której wylał się strumień wina. Staruszek X dosięgał prawej piersi, pośladków i stóp Nicei. Podnosząc rękę do jej twarzy, dotykał jej ust i czubka nosa. Oczywiście za wysoko. Odór moczu pod Niceą (pomnik zasłaniał sikających przed oczami przechodniów z Promenady Anglików) nie pozwalał na dłuższy kontakt z kamienną niewiastą.

Wspólna wyprawa wąskimi uliczkami starówki po *makroud* była ostatnią X w tym celu. Chciał być moim przewodnikiem po swojej Nicei. Pytałam, czy zna drogę. Tak, to moja dzielnica, dojdziemy na pewno. Ale wszystko mu się mieszało, przechodziliśmy kilka razy wokół tego samego kościoła, tunezyjskiego sklepu nie było na naszej drodze. X kazał mi zaczepiać ludzi i pytać o sprzedawcę *makroud*. Sam podszedł w katedrze do turysty z Ameryki, który pokiwał przecząco głową. Dopiero Arab zamiatający ulicę wyjaśnił nam trasę. Wspinaliśmy się, schodziliśmy w dół. W końcu dotarliśmy do



Małgorzata Skalbanią, *Famille....*, sucha igła

małego sklepiku, gdzie uśmiechnięty chłopak o śniadej skórze i czarnej brodzie podał nam pudełko ciastek. X siedział przy stoliku, słuchając rozmów Arabów, uśmiechał się, był szczęśliwy. Opowiadał o zabawach z arabskimi chłopcami. Wbiegali od czasu do czasu do skromnych domów tubylców. Kobiety ojców kolegów miały oddzielne pomieszczenia. Najczęściej rządziła młodszą pierwszą żoną Algierczyka. Niektóre się lubiły, inne nienawidziły. Matki kolegów X częstowały chłopca domowymi posiłkami. To było pyszne jedzenie.

W ulubionej grze w chowanego szukającym był pies Pax. „Pókój” na polecenie odwracał się od ściany i znajdował każde dziecko, popisując się znajomością wszyst-

kich imion uczestników zabawy. O świcie chłopcy biegli nad rzekę, gdzie pracowali rybacy. Za pomoc w wyciąganiu sieci otrzymywali zapłatę w postaci ryb. Były dni, kiedy mogli czuć się w swoich domach jak żywiciela rodziny. Babka bohatera lubiła *le rouget*. Arabscy rybacy wiedzieli, że temu chłopcu trzeba zapłacić czerwonymi rybkami, które uchodzą za jedne z najsmaczniejszych ryb morskich. Mają jednak tendencję do szybkiego psucia się, dlatego prosto z plaży trzeba było biec do domu, żeby w południe konsumować swoją zdobycz.

Przy arabskim stole X przypomniał sobie obrządek w grupie wyznaniowej swojego dziadka, twórcy religii, w której Bóg kochał tak samo Francuzów, jak Arabów, a nawet Żydów, wszystkich na ziemi niezależnie od koloru skóry. Dziadek przyjmował zagubione dusze i udzielał im rad. Kiedy umarł, Arabowie przynieśli na pogrzeb w darze owce i kozy, przez dom przewinęły się tłumy. Niestety wiara, którą wymyślił, zniknęła razem z nim.

Wieczorem przy stole w kuchni X wypowiadał na swój sposób myśli z *Publicznej spowiedzi* Préverta: *Nous avons tout mélangé. [...] Nous avons perdu notre temps, / c'est un fait, mais c'était un si mauvais temps.* Wokół pojemnika z kremem waniliowym, który był masą Francuzów i Anglików, X zakreślił zaminowane pole, dalej byli Niemcy, wokół deseru, na całym

blacie stołu z Majorki, ale miny ocaliły dzielnych obrońców Bir-Hakeim. Chwilę później przez pole minowe szedł listonosz Kabyl. Nazywał się Said Dżidi. Przeprowadził przez zaminowaną ziemię X, jego rodziców, całą grupę cywilów. Anglicy dali mu medal, ale Francuzi śmiali się z dekoracji Kabyla. Rasiści ginęli od wystrzałów z palca X, podobnie jak de Gaulle. Zwyciężała *Pieśń koła młyńskiego* w wykonaniu Taos Amrouche i natura, która na wzór rzeźby Ernesta Barriasa odsłaniała nagie ciało z szat wykonanych z różnorodnych kamieni algierskich kamieniołomów. Z rozkazu dowódcy, znajomego de Gaulle'a, zginął kabylski chłopiec. Zrzucony z francuskiego samolotu, dlatego że był Kabylem, mimo iż służył po francuskiej stronie. Potem X składał rozpiłowane na pół ciała, porzucone na ulicach, wracał do Francji, gdzie właśnie był strajk kolei i w Marsylii, musiał złapać autostop do Nicei. Wchodził do mieszkania, drzwi otwierała mu żona. Widziałam go w tej scenie jako Przybyszewskiego, który opisywał w pracy *Stanisław Wyspiański: dzieła malarskie* swój powrót do Krakowa: „To było moje pierwsze wrażenie, gdy po dziesięcioletnim pobycie za granicą przybył wreszcie do Krakowa – do Polski i na samym wstępie otrzymałem od Artura Górskiego egzemplarz *Legendy* – podobno piąty z całego nakładu, który nietknięty piętrzył się w ubikacji redakcji «Życia»”.

Małgorzata Skalbania



Małgorzata Skalbania, *Tourette-Levens*, VI 2023, pastel

Sangeeta Gupta

## ROZŚMIESZAJ\*

Twoja podróż tak daleka  
tą nieznaną drogą  
nauczyła cię  
że nic nie jest bardziej  
uduchowione niż  
czysty śmiech  
rozśmieszaj więc  
i zamieniaj  
metaforyczne cytryny  
w *limoncello*.

## DECYDUJĘ SIĘ ISTNIEĆ

Księżyc śmieje mi się  
delikatnie do ucha  
patrzy na mnie  
figlarnie  
jakby mówił  
znam twoje sekrety  
morze wysyła fale  
aby mnie znowu dotknąć  
i przypomnieć uczucie  
muśnięcia duszy  
na kolanach  
samotna plaża  
nie taka samotna  
moje leniwe kroki

---

\* Wiersze napisane oryginalnie w języku angielskim pochodzą ze zbioru *Medusa and Other Poems* [*Meduza i inne wiersze*], New Delhi 2021.

przysięgają się do istnienia  
księżyc, morze, plaża  
są świadome mojej obecności  
przepełnia mnie  
błogość  
troski świata  
i bycia pożądanym  
dlatego decyduję się istnieć.

## ŻYCIE MINĘŁO

Życie minęło  
na próbie doskonałości  
teraz próbuję być sobą

kiedy już stanę się sobą  
nie będę próbować  
będę.

## CZY WIESZ (2)

Czy wiesz  
że jesteś niczym

kiedy dajesz miłość  
stajesz się czymś

kiedy dostajesz miłość  
stajesz się wszystkim

jesteś niczym  
stajesz się  
tylko w miłości.

## ZAUF AJ PROCESOWI

Jesteś tam  
gdzie miałś być  
uznaj to miejsce

porzuć wewnętrznego krytyka

w jednym punkcie czasu  
jesteś jednym i drugim  
dziełem sztuki  
i pracą w toku

ciesz się jednym i drugim.

\* \* \*

Podziel się swoim żniwem  
z tymi, którzy wokół ciebie  
uwierz, że wszystko  
co wkładasz w kosmos  
wróci do ciebie wielorakie

pozostań w energii  
obfitości.

## WYMIENILIŚMY SIĘ

Wymieniliśmy się  
tysiącem słów  
niektóre oddały nasze uczucia  
niektóre zdradziły  
niektóre zrozumiały  
niektóre spłynęły wraz ze ściekiem

słowotwórca w końcu  
dostrzegł swoje ograniczenia  
daremność wszystkich  
tamtych wypowiedzianych słów

czasem chcę popływać  
w przepastnie ciemnym  
gęstym morzu ciszy

noc, ciemność i samotność  
są śmiertelnie atrakcyjne  
dla tego co tworzy.

## ZROBIŁEŚ MI TO

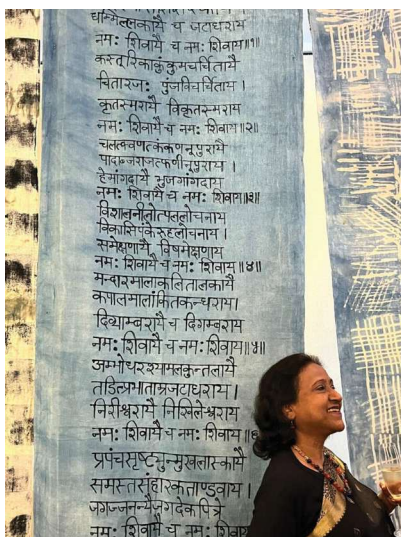
Zrobiłeś mi to  
co wiosna robi tulipanom  
a potem...  
roztarłeś moje serce  
na milion kawałków  
zniknęłam  
zamieniłam się w próżnię  
podróż dość długą  
z nic do nic  
i jestem ci wdzięczna  
bo wiem co to kwitnąć  
bo wiem co to miłość  
bo wiem co to utrata  
i wiem co to życie  
wszystko to dlatego że kiedyś  
zrobiłeś mi to  
co wiosna robi tulipanom.

## MOŻE

Może przetrwamy  
może nie  
ale zawsze będziemy żyć  
w pamięci  
tych chwil  
w których wywołaliśmy  
czyjs uśmiech  
dotknęliśmy czyjeś duszy  
z miłością  
reszta się  
tak naprawdę  
nie liczy.

Sangeeta Gupta

Przełożyła Krystyna Lenkowska



Fot. Archiwum S. Gupty

Sangeeta Gupta na wystawie  
*Podróż w kosmicznym indygo*,  
ambasada Indii w Londynie,  
wrzesień 2024



Arkadiusz Morawiec\*

MIĘDZY „PIĘKNĄ CAŁOŚCIĄ” (1983)  
A „WYSYPISKIEM ŚMIECI” (1995–2008):  
*ROZMOWY POLSKIE... JAROSŁAWA MARKA*  
RYMKIEWICZA

Kilka lat temu Zbigniew Fałtynowicz, przyglądając się walorom literackim *Wędrówek po guberni augustowskiej w celu naukowym odbytych*, ogłoszonych drukiem w 1859 roku, stwierdził:

Świadomy drzemających w suwalskiej ziemi treści, Aleksander Połujański, który jako jeden z pierwszych zaklął Suwalszczyznę w słowo, zawarł w [*Wędrówkach po guberni augustowskiej...*] przesłanie: „Dla was, historycy, archeologowie, poeci i malarze, chcę wskazać drogie okruchy czy też pyłki szacownych zabytków i skarbów naszej prowincji; z tych pyłków utworzyć piękną całość będzie waszym zadaniem”. Podjął się tej próby – *stricte* literackiej – znakomity współczesny poeta, prozaik, eseista i dramaturg Jarosław Marek Rymkiewicz, tworząc *Rozmowy polskie latem roku 1983*, najwybitniejszą – moim zdaniem – powieść, jaką o Suwalszczyźnie napisano, której akcja dzieje się w Gawrychrudzie nad jeziorem Wigry. Wykorzystał w tym utworze [...] motywy zaczerpnięte z *Wędrówek...*, m.in. miejscowe podanie o jeometrze Misiukiewiczu z Jegłówka, legendę o wielkiej miłości Egle i Żaltisa czy niektóre informacje o Tatarach. Służą one pisarzowi do egzystencjalnych i historycznych rozważań, podobnie jak i inne wydarzenia – historyczne! – z przeszłości Suwalszczyzny. Ale to jest już temat na inną refleksję<sup>1</sup>.

Zdaje się, że refleksji tej ani Fałtynowicz, znawca Suwalszczyzny i jej literackich utrwałeni, ani nikt inny dotąd nie podjął. A przecież trudno się nie zgodzić, że *Rozmowy polskie...* są dziełem wybitnym. Tym bardziej zdumiewa ich nieobecność w opracowanej przez Fałtynowicza, wydanej w 2008 roku, antologii *Opowieść o ziemi augustowskiej*, prezentującej utwory poświęcone także Suwalszczyźnie<sup>2</sup>.

\* Prof. dr hab. Arkadiusz Morawiec, Instytut Filologii Polskiej i Logopedii Uniwersytetu Łódzkiego, ORCID: <https://orcid.org/0000-0001-6424-1194>.

<sup>1</sup> Z. Fałtynowicz, *Walory literackie „Wędrówek po guberni augustowskiej w celach naukowych odbytych”*, „Rocznik Augustowsko-Suwalski” 2017, nr 17, s. 64.

<sup>2</sup> *Opowieść o ziemi augustowskiej. Antologia*, wybór, układ i red. Z. Fałtynowicz, posł. T. Budrewicz, Augustów 2008.

Warto zatem przypomnieć *Rozmowy polskie latem roku 1983* – rozważając je między innymi w kontekście regionalistycznym, nie gubiąc przy tym innych, bogatych odniesień: społeczno-politycznych, filozoficznych, literackich.

Przypomnijmy, że zmarły w 2022 roku autor *Rozmów polskich...* był w młodości entuzjastą komunizmu, następnie sprzyjał opozycji demokratycznej, szczególnie estymą darząc Adama Michnika, zaś po roku 1989 zbliżył się do prawicy, stając się jej intelektualnym patronem. Od lat 90. uchodził za jednego z najbardziej kontrowersyjnych polskich pisarzy, przy czym rozpałał wówczas emocje raczej polityczne niż estetyczne<sup>3</sup>. Sam zresztą przyczynił się do tego, udzielając licznych wywiadów, z których część ukazała się w tomie *Rozmowy polskie w latach 1995–2008*<sup>4</sup>, publikując w 2007 roku esejistyczną książkę *Wieszanie*<sup>5</sup>, odczytywaną jako głos w sprawie potrzeby przeprowadzenia lustracji, czy drukując, w dziewięć dni po katastrofie smoleńskiej, wiersz *Do Jarosława Kaczyńskiego*, zawierający te, będące tyleż subiektywną diagnozą, ileż apelem, słowa:

To co nas dzieliło – to się już nie sklei  
 Nie można oddać Polski w ręce jej złodziei  
 Którzy chcą ją nam ukraść i odsprzedać światu  
 Jarosławie! Pan jeszcze coś jest winien Bratu!<sup>6</sup>

O adresacie tego wiersza w jednym z wywiadów pisarz stwierdził: „Wszystko, co robi Jarosław Kaczyński, jest dobre dla Polski. Podkreślam – wszystko”<sup>7</sup>.

O stosunku Polaków do Rymkiewicza, wyznaczanym przez bieguny wyznawczości i skrajnej niechęci, decydowały w ostatnich latach jednak nie tylko jego ostentacyjnie ujawniane poglądy polityczne, lecz i wybory szersze, ideowe. Po przełomie 1989 roku stał się Rymkiewicz patronem konserwatystów, propagatorem idei Polski, jak niegdyś mówiono, samoswojej. A przecież jego dawniejsza twórczość, drukowana od połowy lat 50., była wyrazem fascynacji kulturą śródziemnomorską, jej tradycją, bogactwem, różnorodnością. Tymczasem w 1995 roku pisarz stwierdził dobitnie:

Cywilizacja zachodnia, do której przez lata tak tęskniliśmy i którą tak naiwnie adorowaliśmy (i adorujemy), ukazała nam swoją straszną twarz: maskę śmierci, Polska staje się, nawet już się stała wielkim wysypiskiem śmieci, wielkim śmietnikiem

<sup>3</sup> Por.: „Nie ma w Polsce pisarza bardziej kontrowersyjnego niż Jarosław Marek Rymkiewicz, nie ma też twórcy, który wzbudzałby większe emocje”, *Spór o Rymkiewicza. Wybór publicystyki*, red. T. Rowiński, Warszawa 2012, s. IV okł.

<sup>4</sup> J.M. Rymkiewicz, *Rozmowy polskie w latach 1995–2008*, Warszawa 2009.

<sup>5</sup> Tegoż, *Wieszanie*, Warszawa 2007.

<sup>6</sup> Tegoż, *Do Jarosława Kaczyńskiego*, „Rzeczpospolita”, nr z 19.04.2010, <https://www.rp.pl/publicystyka/art15253771-do-jaroslawa-kaczyńskiego> [dostęp 1.10.2024].

<sup>7</sup> J.M. Rymkiewicz, *Rozmowy polskie w latach 1995–2008*, s. 192 (wypowiedź w rozmowie z J. Lichocką z 17.08.2007 r.).

Europy. Wszystkie śmieci i fekalia zachodniej (może należałoby raczej powiedzieć: amerykańskiej) kultury wylewają się teraz tutaj<sup>8</sup>.

Oczywiście, można uznać tę wypowiedź za przesadny, może prowokacyjny, wyraz niechęci do zalewającej Polskę zachodniej popkultury, a jednak świadczy ona, także i przede wszystkim, o narastającej w Rymkiewiczzu niechęci wobec Europy (i szerzej: Zachodu) oraz jej oświeceniowego dziedzictwa: idei postępu, liberalizmu, pragmatyzmu – jako mających rzekomo wieść do zaniku wartości duchowych.

Pozostawmy jednak na boku wybory polityczne dokonane przez pisarza po roku 1989. Niezależnie od nich Rymkiewicz jest jednym z najważniejszych polskich twórców ostatnich dziesięcioleci. Przyznawali i przyznają to także jego ideowi adwersarze<sup>9</sup>. *Rozmowy polskie latem roku 1983*, opublikowane w 1984 roku równocześnie w Instytucie Literackim w Paryżu i w niezależnym wydawnictwie NOW-a<sup>10</sup>, należą do jego najważniejszych dokonań pisarskich. Jako że zawierają treści antykomunistyczne, autor spotkał się ze zdecydowaną ripostą władz PRL-u – został represyjnie usunięty z Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, gdzie pracował od 1965 roku<sup>11</sup>.

Jednym z tematów *Rozmów polskich latem roku 1983* jest więc polityka. Tytuł utworu przywodzi na myśl frazę: „nocne Polaków rozmowy”, zadowioną w polszczyźnie dzięki Mickiewiczowi, którego wiersz *Do Matki Polki* wieńcza słowa:

Zwyciężonemu za pomnik grobowy  
Zostaną suche drewna szubienicy,  
Za całą sławę krótki płacz kobiecy  
I długie nocne rodaków rozmowy<sup>12</sup>.

Dnia 13 grudnia 1981 roku na snucie podobnych rozmów, niewesołych, skazał Polaków generał Jaruzelski – wprowadzając stan wojenny i niszcząc „Solidarność”, brutalnie przerywając szesnastomiesięczny karnawał wolności. Rozmowy Rymkiewiczowskich bohaterów prowadzone są jednak nie tylko nocą, lecz również za dnia, zresztą nie zawsze w nastroju minorowym. Toczą się podczas grzybobra-

<sup>8</sup> J.M. Rymkiewicz, *Rozmowy polskie w latach 1995–2008*, s. 7 (wypowiedź w rozmowie z T. Marjanem i D. Suską z pierwszych dni lipca 1995 r.).

<sup>9</sup> Opinię taką wyraził m.in. w prywatnej rozmowie ze mną 9.12.2016 r., prof. Michał Głowiński.

<sup>10</sup> J.M. Rymkiewicz, *Rozmowy polskie latem 1983 (fragmenty powieści)*, Paris 1984; *Rozmowy polskie latem roku 1983*, Warszawa 1984.

<sup>11</sup> Zob. J.M. Rymkiewicz, *Do moich kolegów z IBL*, „Kultura” 1986, nr 3, s. 70; A. Podemska-Kaluża, *Próba czasu. „Rozmowy polskie latem roku 1983” Jarosława Marka Rymkiewicza – powieść drugiego obiegu po trzydziestu latach* [w:] *Jarosława Marka Rymkiewicza dialogi z tradycją*, red. L. Banowska, W. Ratajczak, Poznań 2016, s. 77–79.

<sup>12</sup> A. Mickiewicz, *Do matki Polki*, „Goniec Krakowski” 1831, nr 204, s. 784 (pisownię zmodernizowałem).

nia i połowu raków, na pomoście nad jeziorem i na ławeczce pod krzakiem dzikiej róży. Wiodą je ze sobą inteligenci, spędzający wakacje w pensjonacie pani Anieli w Gawrychrudzie nad jeziorem Wigry<sup>13</sup>.

Pierwsza z rozmów, otwierająca utwór, toczy się 22 lipca 1983 roku – w dniu, w którym zniesiono stan wojenny. Dotyczy politycznych i moralnych wyborów, przemocy stosowanej przez komunistyczne władze, amnestii dla więźniów politycznych. Dodajmy, że książka Rymkiewicza uznawana jest za jedną z najznakomitszych literackich diagnoz „Polski Jaruzelskiej”, przy czym, inaczej niż większość podejmujących ten temat utworów, znamionuje ją filozoficzny umiar, brak martyrologicznego zaciętrzewienia i „solidarnościowego” mesjanizmu<sup>14</sup>. Polityka nie jest jednak ani wyłącznym, ani najważniejszym tematem tej książki. Zawartość *Rozmów...* trafnie scharakteryzował, tuż po ich ukazaniu się, Czesław Miłosz w szkicu zatytułowanym *Nad Wigrami*:

Jest to śliczna książka o nieco mylącym tytule, jako że można się po nim spodziewać jeszcze jednej wymiany diagnoz politycznych. Naprawdę opisuje ona wakacje nad jeziorem Wigry i ma za tło, a może nawet za główny temat, przyrodę Suwalszczyzny, tudzież jej przeszłość. Polityka, jakże by inaczej, ciągle powraca w rozmowach, jakie *alter ego* autora, pan Mareczek, toczy z panem Stefanem, z Witkiem-Jankiem, z panem Rysiem, z panią Mareczkową, z panią Żabką, ale wymiar jej inny, szerszy niż słowo „polityka” narzuca: wymiar wielkiego „być albo nie być” jednostek i narodów. Gdyż książka została napisana przez poetę o filozoficznym usposobieniu i filozoficznym przygotowaniu. Zarazem jednak ten poeta, dostatecznie przemysłny, żeby unikać suchego filozoficznego dyskursu, wypowiada się językiem najprostszyc spozrzeń, np. przy zbieraniu malin czy łowieniu raków, albo medytuje nad przeszłością – tutaj, w Suwalszczyźnie, także nad losem pierwotnych mieszkańców tej ziemi, doszczętnie wytępionych Jadźwingów<sup>15</sup>.

Rymkiewicz zaczął pisać *Rozmowy...* w lipcu 1983 roku w pensjonacie Wandy i Antoniego Jasiewiczów, mieszcącym się w Gawrych Rudzie pod numerem 29, goszczącym nieprzychylnie nastawionych do władzy inteligentów<sup>16</sup>. Po latach wspominał:

Siedziałem w pokoiku, który wynajmowaliśmy w pensjonacie nad Wigrami. Patrzyłem przez okienko na jezioro i żaglówki pływające po jeziorze. I pomyślałem, że wszyscy robią coś dla innych, dla społeczności, dla wspólnoty, a ja nie wiem, co

<sup>13</sup> Urzędowa nazwa tej miejscowości brzmi obecnie: Gawrych Ruda.

<sup>14</sup> Zob. M. Orski, *Dialogi z Wielkim Psujem*, „Odra” 1993, nr 4, s. 7–8.

<sup>15</sup> C. Miłosz, *Nad Wigrami*, „Kultura” 1984, nr 10, s. 97.

<sup>16</sup> Zob. wypowiedź Z. Fałtynowicza w filmie dokumentalnym *Rymkiewicz. Historia i metafizyka*, realizacja i scen. P. Dakowicz, B. Netz, Telewizja Polska, Polska 2020. Film dostępny jest online: <https://vod.tvp.pl/filmy-dokumentalne,163/rymkiewicz-historia-i-metafizyka,295782> [dostęp 1.10.2024].

mógłbym zrobić. [...] A potem przyszło mi do głowy, że jedyną rzeczą, którą potrafię zrobić, którą jako tako potrafię wykonać, to jest zapisanie tego, co w sierpniu roku 1983 mówili nad jeziorem Wigry warszawscy inteligenci. To i siedząc przy tym okienku, przy takim koślawym stole, w takich blokach w kratkę napisałem książkę *Rozmowy polskie latem roku 1983*<sup>17</sup>.

W paryskim pierwodruku tej książki widnieje słowo „powieść”. Nie jest ona jednak powieścią, jest raczej, mniej zobowiązująco rzecz ujmując, „opowieścią” – swobodną, pełną dygresji, zawierającą luźno splecione epizody, a przy tym gatunkowo niejednorodną, łączącą w sobie elementy autobiografii, eseju, „rozmów zmarłych”, różnych mikrofabuł. Epizody wywiedzione są zarówno z doświadczeń własnych autora, jak i jego lektur. Bohaterem utworu jest pan Mareczek, pisarz, pracujący – „na oczach” czytelnika – nad swoim nowym dziełem. Wprawdzie przypomina on Rymkiewicza, jednak niezupełnie jest z nim tożsamy<sup>18</sup>. To właśnie pan Mareczek zapewnia *Rozmowom...* spójność. Wsłuchujemy się w jego rozmyślenia, wysłuchujemy jego uwag, czytamy jego najnowsze próby prozatorskie i wraz z nim zwiedzamy bliższe i dalsze okolice jeziora Wigry. Te wędrówki, co ważne, odbywają się nie tylko w przestrzeni, lecz i w czasie. Rzecz jasna – również w pisarskiej wyobraźni.

Geografia splota się więc w *Rozmowach...* z historią i – ze zmyśleniem. Historii dotyczy między innymi, nurtujące bohatera, historiozoficzne pytanie o jej sens, jej determinanty, kierunek rozwoju. Były to pytania w 1983 roku szczególnie ważne – po kolejnym zdławieniu marzeń Polaków o wolności. „Dlaczego nam ciągle ktoś robi coś strasznego?” (s. 86)<sup>19</sup> – zastanawia się pan Mareczek, szukając jednocześnie pocieszenia, wierzy bowiem głęboko, że „istnieje coś takiego jak sprawiedliwość dziejowa, jak moralność w historii. Istnieje bowiem – choć tego pan Mareczek nie jest już taki pewien – Bóg” (s. 31); „Tak, dobro zwycięży. A my jesteśmy po stronie dobra i dobro jest po naszej stronie” (s. 32). Tę nadzieję zdają się nieco osłabiać zawarte w *Rozmowach...* wzmianki o współdziałale Polaków w unicestwieniu Jądzwingów czy polskim antysemityzmie, a także... „wyeksterminowaniu” (s. 104) raków w jeziorach Długim i Mulicznym.

Zagłada, unicestwienie, nicość – to kluczowe tematy tej książki. (Nawiasem mówiąc, zagłada, ujmowana jako masowe unicestwianie ludzi przez ludzi, stanie się tematem kolejnych książek Rymkiewicza: *Umschlagplatz* i *Kinderszenen*)<sup>20</sup>. Wsze-

<sup>17</sup> J.M. Rymkiewicz, wypowiedź; cyt. za: A. Podemska-Kałuża, *Próba czasu...*, s. 74.

<sup>18</sup> Por.: „we mnie wtedy było (może i nadal jest) coś z pana Mareczka. Trochę się z niego śmiałem, a trochę nim byłem”, *W dziesięć lat później (To dzięki Solidarności potrafiliśmy samych siebie przekonać, że chcemy i potrafimy żyć jako Polacy)*, [z J.M. Rymkiewiczem] rozm. B. Sulek, „Tygodnik Solidarność” 1993, nr 44, s. 12.

<sup>19</sup> Cytuję *Rozmowy polskie latem roku 1983* według edycji szóstej, przejrzonej i poprawionej przez autora (Warszawa 2003); numerację stron podaję bezpośrednio po cytatach.

<sup>20</sup> J.M. Rymkiewicz, *Umschlagplatz*, Paris 1988; *Kinderszenen*, Warszawa 2008.

lako niszczą nie tylko ludzie, niewykluczone, że czyni to również diabeł, nazywany w utworze Wielkim Psujem, natomiast z pewnością unicestwia czas, bezlitośnie obchodzący się z wszelkim istnieniem – ludźmi i ich dokonaniem, zwierzętami i roślinami. „Gdzie oni są – myśli pan Mareczek – ci wszyscy nasi zmarli?” (s. 45), „gdzie jest to wszelkie życie, co już nie jest, już przestało być życiem?” (s. 46). Za pośrednictwem bohatera autor zadaje pytania, jakich rzekomo „pisarze XX wieku wstydzą się zadawać” (s. 95). Niestety, niełatwo znaleźć na nie odpowiedzi, dotyczą bowiem kwestii metafizycznych – tego, „czy Bóg istnieje, czy człowiek jest na coś potrzebny Bogu, czy ziemia dana jest we władanie szatanowi, czy życie tu na ziemi jest karą, czy nagrodą, czy ma w ogóle jakiś sens” (s. 95).

*Rozmowy...* podnoszą szereg fundamentalnych problemów, dotyczących, poza już wymienionymi, także wolności i etyki. Wyraża je pisarz na różne sposoby – poprzez dyskurs i fabułę, w tonacji poważnej i komicznej. Środki te są zazwyczaj ze sobą splecione, jak choćby w scenie kuszenia pana Mareczka przez Wielkiego Psuja, oferującego mu różne ziemskie dobra (talon na fiata 125p z eksportowym wyposażeniem, paszport, chwile uniesienia z piękną dziewczyną) w zamian za publiczne oszkalowanie Michnika lub Kazika (domyślamy się w nim Kazimierza Orłosia), który opublikował „u Giedroycia” książkę.

Mimo poważnej problematyki czyta się *Rozmowy...* z przyjemnością, „lekkim”. Autor częściej zadaje pytania, niż formułuje odpowiedzi; pobudza do refleksji, zachęca do niej, okraszając swoje wywody humorem i nie stroniąc od autoironii. Lektura tej książki, jak trafnie ujął to Marek Zaleski:

przynosić ma uspokojenie i rekreację czytelnikowi maltretowanemu przez Historię, na jawie i we śnie. Humor i pogodna afirmacja świata powodują, że nawet jeśli uświadamiamy sobie obecność wszechpotężnego zła, nawet jeśli wiemy, że codziennie się ono o nas ociera, to nasza wiara w realność cudu istnienia, w metafizyczne usprawiedliwienie naszej egzystencji, oddala lęk i trwogę. Zło jest tutaj po to, aby silniej można było doświadczać istnienia dobra...<sup>21</sup>.

W tej „rekreacyjnej” lekturze (a raczej rekreacyjnym modelu lektury) pomagają również miejsce, z którego pan Mareczek, a właściwie Rymkiewicz, wysnuwa swoją opowieść. Jest nim nadwigerska wieś Gawrychruda i, szerzej, Suwalszczyzna, kraina niezwykle piękna (jedna z najbardziej malowniczych w Polsce). Oprócz miejsca ważne są także jego literackie utrwalenia. Mam na myśli przywołane już *Wędrowki...* Połujańskiego<sup>22</sup> czy przewodnik *Puszcza Augustowska* z 1980 roku (dodajmy: Lechosława Herza)<sup>23</sup>, z którego zaczerpnął pisarz informacje dotyczące dziejów tego obszaru. Nie mniej istotne źródło, choć przede wszystkim inspirację,

<sup>21</sup> M. Zaleski, *J.M.R. w brzuchu wieloryba* [w:] tegoż, *Mądrym biada? Szkice literackie*, Paris 1990, s. 110.

<sup>22</sup> A. Połujański, *Wędrowki po guberni Augustowskiej w celu naukowym odbyte*, Warszawa 1859.

<sup>23</sup> L. Herz, *Puszcza Augustowska. Szlaki turystyczne*, Warszawa 1980.

stanowił dlań *Przewodnik po Polsce północno-wschodniej* z 1935 roku. Z jego suchych i zdawkowych, a mając na uwadze powojenną perspektywę, należałoby też rzec: „szczątkowych”, informacji wysnuwa Rymkiewicz barwne i zaskakujące mikrofabuły, w których „spotyka” ze sobą, sytuując ich w wiecznym „teraz”, trzech rycerzy Władysława Jagiełły (którzy mieli ufundować Sejny), rozstrzelanego w Wilnie Szymona Konarskiego, urodzoną w Suwałkach Aleksandrę Piłsudską oraz panią Fligeltaub, właścicielkę jedynej w Sejnach w połowie lat 30. hotelu. Źródłem ostatniej z tych opowieści jest informacja dotycząca bazy noclegowej w Sejnach: „Hot.: Fligeltaubowej, ul. Piłsudskiego – 3 pk. 1 zł. 50 gr. do 2 zł. za dobę”<sup>24</sup>.

Dziełem zaś kluczowym dla uchwycenia sensu ideowego *Rozmów...* okazuje się, czytany przez panią Marczkową i z admiracją traktowany przez pana Marczkę, *Pan Tadeusz*. Znamienne, że bohaterowie *Rozmów...* w niejednym bohaterów Mickiewiczowskiego arcydzieła (notabene, również napisanego po klęsce) przypominają: jedzą, piją, zbierają grzyby, borówki i maliny, łowią raki, obserwują przyrodę i kobiece piękno, i namiętnie dyskutują o kwestiach zasadniczych, nie zapominając jednak o sprawach całkiem przyziemnych, praktycznych. Pana Marczkę zachwyca w dziele poety z Nowogródka zwłaszcza umiejętność opisu – chwytającego świat w jego konkretności, utrwalającego chwilę, wyjątkowość każdego istnienia. W *Panu Tadeuszu*, jak konstatuje bohater, toczy się „wielki bój o istnienie widzialnego świata, o istnienie tego, co jest jednorazowe, jedyne i właśnie dlatego najprawdziwiej jest. To jest bój przeciwko przemijaniu, marnieniu, rozpadowi” (s. 205–206). „O Boże, Boże, żebym ja tak umiał pisać. Żebym choć jedną rzecz, jedno istnienie zdołał tak opisać, żebym choć jeden obłok, jeden liść łopucha uratował od nicości” – lamentuje bohater (s. 206).

Cóż jednak łopuch! Po Jadźwingach zostały się jedynie drobne artefakty, a także kurhany przy szosie nr 11:

tam gdzie za Suwałkami, za Szwajcarią skręca się na Szypliszki. I zostały jeszcze te strzępy języka, strzępy jego fonetyki zachowane w nazwach miejscowych, te wszystkie su, szy, szut, a także wiż, ejsz, szesz, i jeszcze żaj, lisz, ysz, które szeleszczą, gwiżdżą, poświsują w Kadaryszkach, Maszutkiniach, Wiżajnach, Bondziszkach (s. 27–28).

Żona bohatera, odnosząc się do zagłady polskich Żydów, stwierdza wszakże, jakby z większą dozą optymizmu: „Kiedy jakaś cywilizacja, jakaś kultura zostaje zniszczona, to zawsze zjawia się ktoś taki jak Singer, kto zapisuje to, co właśnie zostało zniszczone” (s. 90). Należy tu dodać, że pan Marczek (a niewykluczone, że i sam Rymkiewicz) uważa Izaaka Bashevisa Singera za największego i bodaj jedyne go wartego czytania prozaika drugiej połowy XX wieku; jego wielkość ma

<sup>24</sup> *Przewodnik po Polsce w 4 tomach*, t. 1, *Polska północno-wschodnia*, red. S. Lenartowicz, Warszawa 1935, s. 134.

się przejawiać w tym, iż „dał on świadectwo” (s. 92), a zatem coś ocalał. W stosunku do samego siebie pan Mareczek zachowuje większy dystans:

Zostanie po nim przecież to, co właśnie pisze: ten opis grzybobrania, te rozważania o Jadźwingach, te rozmowy. A także zostaną po nim wszystkie jego wiersze opisujące rozkład, gnicie, próchnienie kości czołowych, piszczele, nerek, wątroby, płuc, gardeli i łokci. Nie bądź taki pyszny, Mareczku. Bo może po tobie zostać akurat to, co zostało po Jadźwingach: czyli nic, nic, nic. Albo co najwyżej [...] strzępy fonetyki, która będzie dla nikogo niezrozumiała, nikomu niepotrzebna: szcz, brzdź, grzdź. Jakiś niezrozumiały, głuchy bełkot, jakiś bełkocik, który z obrzydzeniem wspomni w przypisie zamieszczonym na stronie 729 historyk literatury wieku dwudziestego pracujący w wieku dwudziestym trzecim. Tyle co po Jaćwieży (s. 29).

Unicestwieniu jednak, o czym była już mowa, podlegają nie tylko ludy i narody... Nie są zatem *Rozmowy polskie...*, a w każdym razie nie są przede wszystkim, utworem politycznym – jak zwykło się je czytać. Są, jak ujął to w 1995 roku ich autor, „książką o naszym tutejszym istnieniu nad brzegiem jeziora, pod krzakiem czeremchy”<sup>25</sup>. Warto podążyć tym tropem, nawiasem mówiąc, dostrzeżonym przez Miłosza. Główny urok opowieści Rymkiewicza autor *Doliny Issy* widzi w tym, co stanowi znanie jego własnej twórczości. Jest nim: „żywe odczucie, że cenna jest chwila, że czas ją porywa, ale tym bardziej powinniśmy być wdzięczni za blask wody, kolory nieba, zapachy traw. Jak i smak tego, co dzisiaj jemy na obiad, na przykład pierogów”<sup>26</sup>. Rymkiewiczowi możemy być wdzięczni choćby za wzmiankę o (nieistniejącym już) kiosku z kielbaskami z rożna na ulicy Noniewiczza w Suwałkach. Z każdym dniem ubywa tych, którzy ów kiosk pamiętają...

Zapewne nie znajdziemy w literaturze polskiej wybitniejszego utworu „dziejącego się” na Suwalszczyźnie (miałby więc Fałtynowicz rację). Trudno też znaleźć dzieło, które w sposób bardziej ostentacyjny i zarazem szczerzy wyrażałoby zachwyt nad wigierską okolicą – „która jest rajem, która byłaby rajem, gdyby nie to, że wszystko tu umiera, a nim umrze, cierpi, ponieważ musi umierać i umrzeć” (s. 44). Myśl o przemijaniu, o śmierci jest najtrwalszym znamieniem twórczości Rymkiewicza, tym większą zatem wagę, jako przejaw zmagania się pisarza z nicością, zyskuje zawarty w końcowej partii *Rozmów...* opis, połączony z jeziorem Wigry, jeziora Staw (w utworze nazwanego wszak inaczej):

warto postać trochę nad tym jeziorem, które nazywa się Jezioro, bowiem widok jest tak piękny, że temu, kto patrzy, zaraz przychodzi do głowy taka myśl: Jest bardzo prawdopodobne, jest nawet całkiem pewne, że tak pięknego widoku już nigdy w życiu nie zobaczę, więc muszę zrobić coś takiego, żeby ten widok na całe życie

<sup>25</sup> J.M. Rymkiewicz: *Rozmowy polskie w latach 1995–2008*, s. 19 (wypowiedź w rozmowie z T. Mażeranem i D. Suską z pierwszych dni lipca 1995 r.).

<sup>26</sup> C. Miłosz, *Nad Wigrami*, s. 104.



zapamiętać, a przynajmniej muszę tu trochę postać, żeby tego widoku i tego piękna nie obrazić moją nieuwagą i moim pośpiechem (s. 228).

Wigierskiej okolicy, w której, i dzięki której, poczęły się *Rozmowy polskie latem roku 1983*, nadał Rymkiewicz wymiar tyleż konkretny (poświadczają to topografia i toponimia: droga na Walne, żwirownia w Sobolewie, wigierskie wyspy Ordów, Ostrów i Krowa, jeziora Muliczne i Długie)<sup>27</sup>, co zgoła mityczny. Drocząc się z panią Żabką, pan Mareczek, posądzony przez nią, częściowo nie bez racji, o kulturowanie zaściankowego i anachronicznego patriotyzmu – uznawanie, że oś ziemską jest dokładnie tam, gdzie on właśnie stoi, odpowiada: „Oś ziemską łatwo dostrzec, kiedy pójdzie się drogą wzdłuż jeziora i tam, gdzie przecinają ją tory kolejki, skręci się w prawo. Tam jest taki mały maliniak, a zaraz za nim rosną trzy jałowce. Tam jest właśnie oś ziemską. Wieczorem można nawet usłyszeć, jak skrzypi” (s. 211).

Pomimo że pan Mareczek nie wypowiada tych słów serio, warto by z *Rozmowami polskimi...* pod pachą, tymi z roku 1983, wybrać się w poszukiwaniu tego tajemniczego, jedyne w swoim rodzaju miejsca. W poszukiwaniu tajemnicy, nie zaś po to, by, jak w rozmowach z lat 1995–2008, wysłuchiwać prawd nieznoszących sprzeciwu. Różnicę między tymi książkami trafnie wychwycił Stanisław Gębala. Tytuł zbioru wywiadów z Rymkiewiczem, *Rozmowy polskie w latach 1995–2008* – powiada krytyk –

nawiązujący do tamtych niezapomnianych rozmów z lata 1983 r., może łatwo zmylić czytelnika mającego nadzieję na kolejne spotkanie z panem Mareczkiem lub kimś równie sympatycznym. Tymczasem tu czekają go już tylko spotkania z autorem, który – z całą powagą i bez cienia ironii – co najwyżej powtarza wzniosłe głupstwa, jakie pan Mareczek mówił z wdziękiem i trochę szelmowskim przymrużeniem oka<sup>28</sup>.

Rzecz jasna, Gębala (notabene, w szkicu opublikowanym w periodyku lewicowym, jeśli nie zgoła postkomunistycznym) przesadza o tyle, że Rymkiewicz od czasu do czasu wypowiada się również niewznieśliwie i rozsądnie. Gębala zapewne miał na myśli sądy radykalne, generalizujące i pochopne, jak choćby te: „Cywilizacja polska, niegdyś, w czasach I Rzeczypospolitej, najpotężniejsza, a na pewno najpiękniejsza (obok hiszpańskiej) cywilizacja Europy, właściwie już nie istnieje”, „cywilizacja europejska [...] właśnie zdycha (jak parszywy pies) na naszych oczach”, „Polska jest dla wielu Polaków czymś takim, czego najlepiej byłoby się pozbyć”<sup>29</sup>.

W każdym razie *Rozmowy polskie latem roku 1983*, oprócz walorów intelektualnych, mają jeszcze jedną istotną zaletę, która z pewnością ucieszyłaby

<sup>27</sup> Konkretny wymiar przestrzeni ewokowanej w *Rozmowach...* poświadczają mapy. O rzetelności jej odzwierciedlenia przekonałem się także naocznie, odwiedzając od lat Suwalszczyznę, a w szczególności okolice jeziora Wigry, w tym Gawrych Rudę.

<sup>28</sup> S. Gębala, *Fatalne zauroczenie Jarosława Marka Rymkiewicza*, „Zdanie” 2010, nr 3/4, s. 77.

<sup>29</sup> J.M. Rymkiewicz, *Rozmowy polskie w latach 1995–2008*, s. 41, 135, 260.

Aleksandra Połujańskiego: są one dla Suwalszczyzny tym, czym dla Kielecczyny *Szyfowe prace* i *Puszcza jodłowa* Żeromskiego, dla Łodzi *Ziemia obiecana* Reymonta, a dla Huculszczyzny *Na wysokiej połoninie* Vincenza... Zaiste, z okrucich szacownych zabytków i skarbów suwalskiej prowincji, wszelako nie bez domieszki innych ingrediencji, udało się Rymkiewiczowi, wczasowiczowi z Warszawy, utworzyć – postulowaną w *Wędrówkach po guberni augustowskiej*... – „piękną całość”.

Arkadiusz Morawiec

### Bibliografia

- Fałtynowicz Z., *Walory literackie „Wędrówek po guberni augustowskiej w celach naukowych odbytych”*, „Rocznik Augustowsko-Suwalski” 2017, nr 17, s. 55–64.
- Gębala S., *Fatalne zauroczenie Jarosława Marka Rymkiewicza*, „Zdanie” 2010, nr 3/4, s. 75–79.
- Herz L., *Puszcza Augustowska. Szlaki turystyczne*, Zakład Wydawniczo-Propagandowy PTTK, Warszawa 1980.
- Mickiewicz A., *Do matki Polki*, „Goniec Krakowski” 1831, nr 204, s. 784.
- Miłosz C., *Nad Wigrami*, „Kultura” 1984, nr 10, s. 97–104.
- Opowieść o ziemi augustowskiej. Antologia*, wybór, układ i red. Z. Fałtynowicz, posł. T. Budrewicz, Zarząd Powiatu, Augustów 2008.
- Orski M., *Dialogi z Wielkim Psujem*, „Odra” 1993, nr 4, s. 7–9.
- Podemska-Kałuża A., *Próba czasu. „Rozmowy polskie latem roku 1983” Jarosława Marka Rymkiewicza – powieść drugiego obiegu po trzydziestu latach [w:] Jarosława Marka Rymkiewicza dialogi z tradycją*, red. L. Banowska, W. Ratajczak, Zysk i S-ka, Poznań 2016, s. 73–95.
- Połujański A., *Wędrówki po guberni augustowskiej w celu naukowym odbyte*, Drukarnia „Gazety Codziennej”, Warszawa 1859.
- Przewodnik po Polsce w 4 tomach*, t. 1, *Polska północno-wschodnia*, red. Stanisław Lenartowicz, Związek Polskich Towarzystw Turystycznych, Warszawa 1935.
- Rymkiewicz. *Historia i metafizyka*, realizacja i scen. P. Dakowicz, B. Netz, Telewizja Polska, Polska 2020.
- Rymkiewicz J.M., *Do Jarosława Kaczyńskiego*, „Rzeczpospolita” nr z 19.04.2010, <https://www.rp.pl/publicystyka/art15253771-do-jaroslaw-a-kaczynskiego> [dostęp 1.10.2024].
- Rymkiewicz J.M., *Do moich kolegów z IBL*, „Kultura” 1986, nr 3, s. 69–75.
- Rymkiewicz J.M., *Kinderszenen*, Sic!, Warszawa 2008.
- Rymkiewicz J.M., *Rozmowy polskie latem roku 1983*, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA, Warszawa 1984.
- Rymkiewicz J.M., *Rozmowy polskie latem 1983 (fragmenty powieści)*, Instytut Literacki, Paris 1984.
- Rymkiewicz J.M., *Rozmowy polskie latem roku 1983*, Świat Książki, Warszawa 2003.
- Rymkiewicz J.M., *Rozmowy polskie w latach 1995–2008*, Sic!, Warszawa 2009.
- Rymkiewicz J.M., *Umschlagplatz*, Instytut Literacki, Paris 1988.
- Rymkiewicz J.M., *Wieszanie*, Sic!, Warszawa 2007.
- Spór o Rymkiewicza. Wybór publicystyki*, red. T. Rowiński, Fronda, Warszawa 2012.

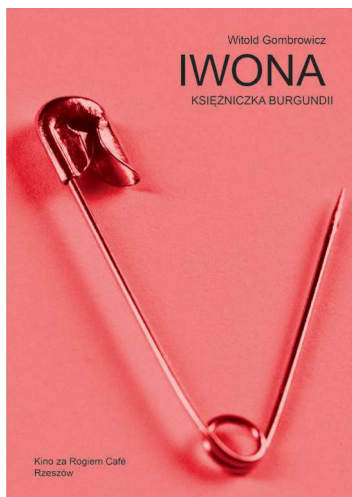
*W dziesięć lat później (To dzięki Solidarności potrafiliśmy samych siebie przekonać, że chcemy i potrafimy żyć jako Polacy)* [z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem] rozm. Barbara Sułek, „Tygodnik Solidarność” 1993, nr 44, s. 1, 12–13.

Zaleski M., *J.M.R. w brzuchu wieloryba* [w:] tegoż, *Mądrymu biada? Szkice literackie*, Li-bella, Paris 1990, s. 107–113.

**Between the “beautiful whole” (1983) and the “garbage dump” (1995–2008):  
“Polish Conversations...” by Jarosław Marek Rymkiewicz**

*Summary*

The article focuses on Jarosław Marek Rymkiewicz’s book *Rozmowy polskie latem roku 1983* [*Polish Conversations in the Summer of 1983*], published in 1984 simultaneously by Instytut Literacki (in Paris) and in the independent publishing circuit (in the Polish People’s Republic). That work was treated mainly as a manifestation of political literature. It was perceived as one of the most excellent diagnoses of “Jaruzelski’s Poland”. Critics have also pointed to the historiosophic, ethical and also metaphysical issues present in the book and analyzed the poetics of the work and its reception. This article takes into account all the contexts mentioned above, but approaches *Polish Conversations...* also from a perspective of literary regionalism. The book should be regarded as the most outstanding work of literature devoted to the Suwałki Region. It is both a description of this region, based on various written sources and the time Rymkiewicz spent in Gawrych Ruda near Wigry Lake, as well as a manifestation of its mythologization by the author – as a paradise land marked with the stigma of death.



Martyna Grabias

## Ana Blandiana

### ZEGAR BEZ GODZIN\*

Wyrwali z zegara godziny  
Tak jak wydłubuje się  
Zwierzęciu oczy,  
By nie mogło już nigdy widzieć.  
W miejscu 12 cyfr  
Pozostało jedynie  
12 czarnych dziur wszechświata,  
Przez które  
Można dostrzec ogromne  
Piekło maszynierii  
Narzędzie  
Obracało nadal  
Wskazówki,  
Które od jednej czarnej dziury po kolejną,  
Na ślepo dotykały tarczy,  
Nie wiedząc, co wskazują.  
Nie wiedząc, że wskazują  
Czas zwany Nigdy.

### POMIĘDZY CHWILAMI

Niczym ścięty kwiat  
Z płatkami-skrzydłami  
Pamiętasz, jak opadałeś

Pomiędzy chwilami?  
A chwile te jak  
Na bok się odsuwały,  
By pomóc ci dotrzeć

---

\* Wiersze z tomu *Orologiul fără ore* [Zegar bez godzin], Editura Humanitas, Bukareszt 2016.

W głąb książki,  
Gdzie martwe gwiazdy  
Przeistaczają się w wiersze  
I nie jest za późno

I nie jest zbyt wcześnie,  
Byś utracił wieczność  
Odpuścił, przebaczył.  
Czy pamiętasz tę ciemność  
Między okładkami?

## BIAŁO NA BIAŁYM

Piszę białą na białym,  
Choć wiem, że nikt  
Nie będzie mógł tego przeczytać,  
Nawet ja,  
Gdy już zapomnę to, co napisałam.  
Dobro jest zawsze  
Trudniej zrozumieć,  
O wiele łatwiej jest zaakceptować grzech  
W raju  
Niż dobrowolną ludzką ofiarę.  
Upieram się,  
By pisać białą na białym,  
Choć mówią mi,  
Żebym używała przynajmniej  
Jaskrawych liter,  
Gdy rysuję gałązki oliwne  
Czy nudne  
Dobre uczynki.  
Lecz  
Tu i teraz  
Mam tylko jeden kolor,  
Który może  
Posłużyć do wszystkiego,  
Więc piszę białą na białym  
Na próżno.

## ODWAGA

Spoglądam na swoje ręce:  
Gałązki, na które  
Nie mrugnęły nigdy  
Powieki liści;  
Czubki skrzydeł, na których  
Pióra nie odważyły się  
Nigdy wyrosnąć  
Ani nawet pazury  
Nie potrafiły na ich końcach  
Wykiełkować,  
Niczym delikatne pąki bestii.  
Spoglądam na swoje ręce  
Jak na litery,  
Które nie mają odwagi  
Same ułożyć się  
W słowo.

## BURSZTYN

Tyle światła w powietrzu,  
Tyle miodu w niebie,  
Aż całe przestworze wydaje się być  
Bursztynową kulą,  
W której zadziwiająco dokładnie  
Dostrzec można  
Zastygłych bogów  
I niedokończone projekty aniołów,  
Niemałże poruszających się.

Ana Blandiana

Przełożyła Matylda Sokół



Fot. Archiwum A. Blandiany

Ana Blandiana

20 rocznica śmierci Czesława Miłosza

## Mariusz Kalandyk

### CZESŁAW MIŁOSZ JAKO PREKURSOR

Poezja jest lękiem przed wpływem, omyłką, zdyscyplinowaną perwersją. Poezja jest nieporozumieniem, błędną interpretacją, fałszywym sojuszem.

Harold Bloom, *Manifest krytyki antyetycznej*<sup>1</sup>

Czesław Miłosz dla wielu był – i jest do tej pory – znakiem traumy. Nie ma ona bynajmniej charakteru fantomowego, nie jest również wymysłem ludzi naznaczonych fobiami lub neurozą. Przyczyn jest sporo. Zaszłości, które objawiły nowe pola napięć, także jest wiele.

Noblista pojawił się przecież dla większości (nie biorę pod uwagę środowisk uniwersyteckich i artystycznych) dość nieoczekiwanie na naszym firmamencie literackim jako właśnie Noblista i skupił na sobie przez bardzo długi czas całe światło lampy. Niewielu znało jego twórczość, wszak władze komunistyczne na jego książki nałożyły zakaz upowszechniania i publikowania. Był więc jak wielki kometa, który właściwie z dnia na dzień zagarnął dużą część literackiego nieba i jego blask przyćmił wszystko. Gwiazda Miłosz naruszyła swoją masą wiele konstelacji, a wiele po prostu zmiotła z pola widzenia czytającej publiczności, tworząc przestrzenie nowych oddziaływań, dających inne możliwości opisu tego niebiańskiego zwierzyńca oraz wpływając bezpośrednio na możliwości zmiany status quo.

Miłosz stał się w pewnym momencie kimś, kto może wpłynąć na losy polityczne nie tylko Polski, ale również naszej części Europy i w sensie mentalnym oraz kulturowym dać pochop do innego zupełnie myślenia o naszej przyszłości, i przyspieszyć zmiany na międzynarodowej politycznej arenie. Był kimś, kto dawał nadzieję oraz jednym z kilku nielicznych symboli zwiastujących nieuchronność owych zmian.

A przecież Miłosz był także dla wielu z nas, a dostaliśmy wtedy w pakiecie właściwie wszystko, co napisał, człowiekiem filozoficznie i artystycznie bardzo niezależnym, mądrym intelektualistą oraz osobą niezwykle głęboko przeżywającą swoje istnienie, pełną wątpliwości, niepewności, podatną na zranienie i cierpienie.

---

<sup>1</sup> H. Bloom, *Lęk przed wpływem. Teoria poezji*, przeł. A. Bielik-Robson, M. Szuster, Kraków 2002, s. 135.

Forma owych uwag, bogactwo treści, uważność i zakres poruszanych problemów nie pozwalały pozostać biernym, wciągały na swoją orbitę i przez dłuższy czas czyniły obojętnym na inne, w wielu przypadkach nie gorsze, propozycje myślowe i artystyczne. Można powiedzieć, że sformułowanie „Mickiewicz, czyli wszystko” – dotyczyło Miłosza. Nie mogło to nie zakłócić wspomnianych już stałych grawitacyjnych, które w każdym społeczeństwie decydują o rozkładzie sił i utrzymują system w miarę w niezachwianej stabilności.

Stał się więc Miłosz dla wielu także „gwiazdą Piołun” – obiektem nie tylko krytycznych analiz, lecz także przemysłnych ataków i zaczepek. Pomijam aspekt polityczny całej tej historii, bo jest on mimo wszystko mało ważny; mam na względzie to, co dotyczyło życia literackiego i sytuacji tzw. młodego pokolenia poetów szukającego dopiero powodów do istnienia w życiu literackim.

Stało się bowiem tak, że Miłosz, jak nikt inny, włączył te wszystkie mechanizmy, które Harold Bloom nazywa „lękiem przed wpływem”. Wielkość artysty bywa mierzona również siłą reakcji młodych buntowników. Znamy to wszyscy z historii nie tylko literatury. „Lęk przed wpływem” nie jest bowiem tylko zgrabnym konceptem teoretycznym. Okazuje swoją potęgę wszędzie tam, gdzie dokonują się określone zmiany, a w obszarze zdarzeń literackich i kulturowych pojawia się osoba, której język, forma, styl budowania własnych światów zdominowały na pewien czas przestrzeń literacką, powołały do życia wielu naśladowców i kopistów oraz zakreśliły, nawet nieświadomie, możliwe granice tego, co można w literaturze uprawiać, a czego robić nie wypada. Zdefiniowały więc poniekąd granice smaku.

Młodych literatów nie interesowało, przez ile faz trzeba przejść, by pokonać w sobie owego dominującego artystę, chociaż intuicyjnie i mocno wyczuwali charakter zagrożenia. Wiedzieli przecież o tym, że tylko wybicie się na niepodległość gwarantuje zażywanie artystycznej wolności i prawo do wytyczania innych estetycznych dróg. Mieli do tego dobre racje i ostentacyjnie z nich skorzystali. Kosztem, oczywiście, Mistra.

Rzecz cała działa się dość dawno i w dość ograniczonych liczebnie kręgach, a zainteresowanych przebiegiem owych spraw było stosunkowo niewiele. Był to bowiem czas – nie wiedzieliśmy tego jeszcze – w którym inne języki i żywioły zaczęły wypierać artystyczne słowo pisane z centrum mediów organizujących ważną część zbiorowej wyobraźni. Ciągłe było ono jednak mocne i dawało nadzieję na dalszy rozwój takiego właśnie trendu. Cóż takiego pisali wówczas młodzi poeci w kontekście Miłosza? Oto kilka przykładów<sup>2</sup>.

---

<sup>2</sup> Artykuł dotyczy poetów w różny sposób związanych z czasopiśmem literackim „Brulion” (1987–1999), które dla młodych literatów było przez długi czas piśmem generacyjnym. Oprócz opisanych w tekście poetów do grupy publikujących tam twórców należeli m.in. Zbigniew Sajnog, Miłosz Biedrzycki, Marcin Senddecki, Grzegorz Wróblewski, Krzysztof Koehler.



**Rozmawianie (na koniec wieku)**

W redakcji „Tygodnika Powszechnego” odezwał się telefon.

Trrr. Trrr.

W redakcji „Tygodnika Powszechnego” odezwał się telefon.

Zawsze mnie лихо kusi w niewłaściwym momencie

i zawsze jestem w niewłaściwym miejscu.

Trrr. Trrr. Podniosłem słuchawkę. – „Tygodnik Powszechny” –

powiedziałem. W słuchawce odezwał się Czesław

Miłosz zdecydowanie głosem Czesława Miłosza.

– Tu Czesław Miłosz – powiedział. – Z kim mówię? – zapytał.

– Marcin Świątlicki – odpowiedziałem, zgodnie z prawdą, głosem

Marcina Świątlickiego. – To ja poproszę z kim innym –

powiedział Czesław Miłosz<sup>3</sup>.

To oczywiście Marcin Świątlicki. A teraz fragmenty wiersza Marcina Barana zatytułowanego *Biedny chrześcijanin traci wycucie proporcji i zwraca się bezpośrednio do Boga w sprawie raczej błażej*:

Trzydziestotrzyletni zakończył w katakumbach  
mało owocną pielgrzymkę w poszukiwaniu  
kobiety i zanosি błagania

*Skoro jesteś Bogiem ludzkich  
trosk i potrzeb, skoro umarłeś  
między innymi po to, bym teraz  
żył grzesznie – to zlituj się  
nade mną i spraw, żebym ją  
spotkał, żeby ona tu przyszła,  
żeby chciała być ze mną! [...]*<sup>4</sup>

I jeszcze ten fragment z wiersza Jacka Podsiadły *W odpowiedzi na wiersz Czesława Miłosza „Sarajewo” a także w obronie własnej*:

W nicość będącą fundamentem Europy wmurowany zostanie kamień także i z twoim  
[imieniem.

Nie nazywałeś skurwielami skurwielei, którzy znaczyli karty narodów i praw, wzięli  
[więc śmiało, bez obaw

stokrotne hołdy milionów, ster władzy, okręciak państwa, wymyślone ordery,  
[niezasłużone nagrody,

najlepiej pokojowe, noszące imię na przykład

<sup>3</sup> M. Świątlicki, *Czynny do odwołania*, Wołowiec 2001, s. 39.

<sup>4</sup> M. Baran, *Biedny chrześcijanin traci wycucie proporcji i zwraca się bezpośrednio do Boga w sprawie raczej błażej* [w:] *Macie swoich poetów. Liryka polska urodzona po 1960 r. Wypisy, wybór i oprac. P. Dunin-Wąsowicz, J. Klejnocki, K. Varga, Warszawa 1997, s. 15.*

wynalazcy dynamitu. Chociaż kwestię apetytu  
 zagłuszała kwestia smaku, pięknem swoich wierszy mogłeś strącać tiary z łbów  
 [bandytów,  
 ale nie sięgałeś podstaw, choć nie raz sięgnąłeś szczytów. Fundamentem jest nicość,  
 wokół nicości wzniesiono mury teatrów, nad nicością rozpięto stropy świątyni.

Ze wszystkich stron Europy ciągną do obłożonych miast konwoje ciężarówek, by dać  
 [ich mieszkańcom nicość.  
 Wychudzone dzieci walczą między sobą o okrawek nicości. A ogarnięci szaleństwem  
 opanowani skurwiele prowadzą rokowania. Żądają dostępu do morza nicości.  
 Przesuwają granice na mapach nicości. Różne barwy nicości komponują na flagach.  
 Nadają nicości tysiąc wdzięcznych imion. Nadymają się i puszą w Organizacji  
 [Skurwionych Narodów<sup>5</sup>.

Nie tak dawno Adam Wiedemann, opisując sposób potraktowania literatów m.in. w *Zniewolonym umyśle*, napisał, iż Miłosz w ten sposób: „przeobraził wszystkich pisarzy polskich w durniów” i „nie życzyłbym nikomu takiego kumpla” (cytuję za artykułem Jasia Kapela z „Krytyki Politycznej” *Sześć rzeczy, których ci nie powiedzą o Miłoszu w szkole*<sup>6</sup>).

Czy wątek, o którym mówię, jest ważny? Cokolwiek by sądzić, ma na swój sposób dramatyczny potencjał oraz poznawczą siłę. Przytoczone wiersze posiadają już walor historycznoliteracki, odsłaniały ważną cechę twórczości pokolenia wstępującego. Stanowiły swoisty antymodel uprawiania poezji, gdy zechcemy go porównać z wierszami Miłosza. W wymiarze obyczajowym stanowiły rodzaj anarchistycznego buntu wobec, wydawałoby się, uswięconych, ucukrowanych, wpiśnianych do literackiego kanonu idei, estetyk, sposobów myślenia o poezji, a nawet poetyckich zobowiązań tzw. Wielkiego Poety.

Młodzi w wielu przypadkach wybrali rodzaj dykcji, której Miłosz nie akceptował. Posługując się – powtórzmy za Jarosławem Markiem Rymkiewiczem – idiomem konwersacyjnym, poetyką wziętą na przykład z doświadczeń poetów amerykańskich, m.in. Franka O’Hary i Johna Ashbery’ego, należących do tzw. Szkoły nowojorskiej, poddali rewizji wiele poetyckich i światopoglądowych tez, które zbudowały niepodlegający dyskusji autorytet Miłosza.

Ja, cichy wielbiciel Poety z Litwy, napisałem i obroniłem pracę magisterską na temat katastrofizmu w jego twórczości, podobny sposób myślenia o Miłoszu traktowałem początkowo jak dadaistyczny wyglup. Same wiersze, w wielu wcieleniach udane przecież i ciekawe, miałem za płaskie i banalne. Sam banalizm w poezji traktowałem zresztą jako infantylny gest przekory wobec poetyckiego mistrzostwa Noblisty.

<sup>5</sup> J. Podsiadło, *W odpowiedzi na wiersz Czesława Miłosza „Sarajewo” a także w obronie własnej [w:] Macie swoich poetów...*, s. 157.

<sup>6</sup> J. Kapela, *Sześć rzeczy, których ci nie powiedzą o Miłoszu w szkole*. „Krytyka Polityczna” 14.08.2017, <https://krytykapolityczna.pl/kultura/czytaj-dalej/szesc-rzeczy-ktorych-ci-nie-powiedza-o-miloszu-w-szkole/>, [dostęp: 20.11.2024].

Z biegiem lat zmieniłem jednak zdanie. Nie idzie o to, że obniżyłem swoje prywatne oceny poezji Miłosza. Nic takiego się nie stało. Rozumiem jednak lepiej intencje tych, którzy poecie wypowiedzieli wojnę. Mieli mocne podstawy, by tak robić. Dobre powody mają zresztą do tej pory. Może jest to nieco egotyczne, czasem sprawia wrażenie mało poważnego, ale impuls, który każe w pierwszym rzędzie obawiać się nadmiaru uwagi w stosunku do Prekursora, jest zdrowy zarówno dla samego młodego poety, jak i dla całego literackiego gospodarstwa. Wszak, jak pisał Harold Bloom w swoim *Lęku przed wpływem*: „Kiedy dzisiaj otwieramy czyjś pierwszy tom poezji, nasłuchujemy odrębnego głosu. Jeśli głos nie odróżnia się jeszcze od głosu prekursorów i współczesnych, to wówczas przestajemy go słuchać – bez względu na to, co próbuje nam przekazać”<sup>7</sup>.

Ciekawym przykładem walki z Prekursorem, którego się wcześniej niezwykle ceniło, jest casus Jarosława Marka Rymkiewicza. Jego debiutancki tom *Konwencje*<sup>8</sup> był właściwie nieustannym dialogiem z twórczością Miłosza, konkretyzowaną poprzez odwołania do wybranych wierszy autora *Trzech zim*. Notabene sam Rymkiewicz właśnie ten tom uważał za jedno z najwybitniejszych dokonań Miłosza jako twórcy nowego modelu klasycyzmu<sup>9</sup>. Nie był to przypadek, lecz przemyślana strategia mająca również na celu zredagowanie swoistej „komedii omyłek”. Autor *Metafizyki* słusznie uważa inkryminowany tom za wybitny, ale jednocześnie przemilcza te aspekty twórczości Miłosza, które w o wiele większym stopniu przyniosły mu chociażby międzynarodowe uznanie. Skupia się dodatkowo na tych, które można zdyskredytować z przyczyn pozaliterackich, światopoglądowych.

Proces wyzwalania się spod niszczącego wpływu Prekursora bywa pełen dramatyzmu i trwa wiele lat. Pamiętajmy jednak: jednym z elementarnych mechanizmów gwarantujących rozwój młodego poety jest odnalezienie Wielkiego Protoplasty i – zaraz potem – *clinamen*, poetycka omyłka. Owa omyłka nie jest przypadkowa; stanowi składnik walki o wybicie się na niepodległość. Tak naprawdę uporczywe czytanie Prekursora u silnego następcy w sposób naturalny wytwarza teksty błędnie interpretujące wypowiedzi poety obdarzanego podziwem.

Najważniejsze jest to, że nawarstwianie się wpływów, czyli ciągłość tradycji, nie sprzyja, zdaniem Blooma, żywotności poezji – wbrew temu, co tacy jak np. Eliot konserwatyści sądzą – ale wręcz przeciwnie, stanowi dla niej ciężar zabójczy. Uzasadnia tę tezę niewątpliwy fakt degeneracji literackiej, której literatura ulega co najmniej od czasów renesansu – czyli od czasów Szekspira<sup>10</sup>.

<sup>7</sup> H. Bloom, *Lęk przed wpływem...*, s. 190–191.

<sup>8</sup> J.M. Rymkiewicz, *Konwencje*, Łódź 1957.

<sup>9</sup> Por.: J. Dembińska-Pawelec, *Jarosław Marek Rymkiewicz w cieniu Miłosza*, „Pamiętnik Literacki” 2012, z. 2, s. 220.

<sup>10</sup> K. Gajewski, „Lęk przed wpływem: teoria poezji”, *Harold Bloom, przeł. Agata Bielik-Robson, Marcin Szuster*, „Horyzonty Nowoczesności”, t. 19, Kraków 2002 [recenzja] [w:] „Pamiętnik Literacki” 2006, nr 97/3, s. 250.

Bardzo pouczająca może być dalsza część owej wykładni, zaproponowanej przez amerykańskiego badacza. Otóż tzw. silny poeta (efeb) w trakcie sześciu „podejść” do wierszy starszego twórcy, będących dlań artystycznym i stylistycznym punktem odniesienia, uzyskuje własną poetycką niezależność. W toku konfrontacji, która ma charakter agonu, bezwzględnej walki, silny poeta poprzez szereg różnego rodzaju psychologicznych gier, tworzących nową mitologię twórczości, nie tylko kreuje własny, niepowtarzalny poetycki język, ale sprawia, że jego propozycja wydaje się być bardziej świeża i odkrywczą, bardziej prekursorską. Owa walka nie bierze się znikąd. Najogólniej wynika z silnej, skrywanej jednak obawy, że „nie zostało już nic do zrobienia”<sup>11</sup>.

Z jakiego powodu efeb podziwia Prekursora? Upraszczaąc nieco: za to, co tamten w sposób wyjątkowo trafny napisał; za to, co najmocniej gra w duszy młodego twórcy. Jak widzimy, nie jest to dla efeba wygodna sytuacja. Pójście tropem starszego poety skazuje go nieuchronnie na bycie naśladowcą, pogardzanym epigonem, twórcą wtórnym i przewidywalnym. Tak więc, by chronić niezależność, młody artysta zmuszony jest zrezygnować z tych twórczych ścieżek, które budzą w nim najwięcej namiętności, są fundamentem jego wrażliwości i talentu. To bardzo dramatyczna sytuacja.

Takim właśnie Poetą Prekursorem był dla młodych efebów, poetów roczników wstępujących w latach 90. XX wieku, Czesław Miłosz. By zaistnieć jako twórcy oryginalni i niezależni, musieli przejść, przynajmniej retorycznie, ową „ścieżkę bólu” lub najbardziej dla siebie ważne jej odcinki – zrozumieć naturę pułapki kulturowej, w którą nieuchronnie wpadli, odnieść się do wybitnych fragmentów twórczości Starego Poety i błędnie je zinterpretować, budząc często zażenowanie lub złość czytelników, wyeliminować te wszystkie składniki własnej wrażliwości, opisane wcześniej przez Prekursora, metaforycznie „oslepnąć”, by następnie pokazać oryginalne wątki w swoich wierszach, obce Prekursorowi, a istotne w obecnym stanie rzeczy i wreszcie dokonać demonizacji Prekursora, by w ostatnim akcie wykazać swoją wyższość nad Mistrzem.

Przyjrzyjmy się teraz bliżej pokazanym wyżej wierszom. Jaka strategię reprezentują, jakie cele w zgodzie z logiką koncepcji Blooma pragną osiągnąć? Ciekawie wygląda z tego punktu widzenia wiersz Marcina Świetlickiego, który przypomina ze względu na treść anegdotę literacką. Oto Miłosz dzwoni do redakcji legendarnego „Tygodnika Powszechnego” w jakiejś sprawie i – słysząc w słuchawce bliżej nieznanego sobie głosu, który jest już wielu czytelnikom nieobcy – prosi o rozmowę z kimś innym. Nie precyzuje jednak, o kogo chodzi. Barbara Myrdzik napisała interesujący tekst na temat tego wiersza jako o rozmowie, która się nie odbyła<sup>12</sup>. Po co było podnosić tę słuchawkę? Się podniosło – się ma. Za swoje.

<sup>11</sup> H. Bloom, *Lęk przed wpływem...*, s. 190.

<sup>12</sup> B. Myrdzik, *Wiersze o rozmowach, które się nie odbyły*, „Polonistyka” 2021, nr 14, s. 41–49.

Owa „nierozmowa” tylko pozornie się nie odbyła. Trwa do tej pory. Została utrwalona w wierszu jako niezwykle ciekawy przykład Bloomowskiej koncepcji wpływu. Świetlicki zapisuje swoje rozczarowanie i oznacza poziom buntu wobec tego, co można nazwać społeczną oraz kulturową nierównością szans, a więc i pozycji nie tyle w banalnej sytuacji, której jesteśmy świadkami, ile przede wszystkim w obszarze poetyckich mocy. Zapisuje niezgodę wobec podobnych faktów i robi to przy pomocy wiersza. Możemy zaryzykować tezę, że młody wówczas sekretarz redakcji wykorzystuje do walki z opisanym stanem rzeczy ostatni element Bloomowskiego modelu: *apophrades*, umowny „powrót umarłych”<sup>13</sup>.

Miłosz, jak widzimy, pojawia się w obszarze literackich pól oddziaływań w wierszu Świetlickiego na warunkach, które ustala sam autor. I nie są to warunki ani okoliczności dające Miłoszowi fory, oddające w jakikolwiek sposób kontrolę nad obszarem poetyckich idei reprezentowanych w tekście, zapisujące spodziewane stany szacunku wobec Noblisty. Oto młody buntownik, przypomina trochę młodego Mickiewicza w Wilnie, ogłasza, że nie podporządkuje się obowiązującym kanonom i pisze własne *Ballady i romanse!* Próbkę poetyki ujawnia w tym właśnie wierszu, biorąc na świadka kogoś, kto stoi po przeciwnej stronie horyzontu poetyckich zdarzeń i z punktu widzenia efebda staje się tak samo mało ważny, jak sam Świetlicki w przytoczonej anegdocie.

Wróćmy teraz do tytułu wiersza Marcina Barana. Brzmi on następująco: *Biedny chrześcijanin traci wycucie proporcji i zwraca się bezpośrednio do Boga w sprawie raczej błahej*. Przypomnijmy fragment wiersza Miłosza *Biedny chrześcijanin patrzy na getto*:

Pszczoly obudowują czerwoną wątrobę,  
Mrówki obudowują czarną kość,  
Rozpoczyna się rozdzieranie, deptanie jedwabi,  
Rozpoczyna się tłuczenie szkła, drzewa, miedzi, niklu, srebra, pian  
Gipsowych, blach, strun, trąbek, liści, kul, kryształów –  
Pyk! Fosforyczny ogień z żółtych ścian  
Pochłania ludzkie i zwierzęce włosie. [...]

Powoli, drążąc tunel, posuwa się strażnik-kret  
Z małą czerwoną latarką przypiętą na czole.  
Dotyka ciał pogrzebanych, liczy, przedziera się dalej,  
Rozróżnia ludzki popiół po tęczującym oparze,  
Popiół każdego człowieka po innej barwie tęczy.  
Pszczoly obudowują czerwony ślad,  
Mrówki obudowują miejsce po moim ciele.

<sup>13</sup> „Potężni zmarli powracają, ale zabarwieni naszą wrażliwością, mówiąc naszymi głosami, przynajmniej częściowo i przez chwilę – chwile te dają jednak świadectwo naszemu uporowi”, H. Bloom, dz. cyt., s. 183.

Boję się, tak się boję strażnika-kreta.  
 Jego powieka obrzmiła jak u patriarchy,  
 Który siadywał dużo w blasku świec  
 Czytając wielką księgę gatunku.

Cóż powiem mu, ja, Żyd Nowego Testamentu,  
 Czekający od dwóch tysięcy lat na powrót Jezusa?  
 Moje rozbite ciało wyda mnie jego spojrzeniu  
 I policzy mnie między pomocników śmierci:  
 Nieobrzezanych<sup>14</sup>.

Już samo porównanie obu tytułów pokazuje charakter anarchicznego, kulturowego gestu Barana. Wiersz Noblisty, jakkolwiek uważany przez samego autora za zbyt publicystyczny, należy do tekstów, które stały się kanwą do dyskusji na temat odpowiedzialności za zło ludzi uczestniczących w II wojnie światowej lub będących świadkami przemocy i ludobójstwa. Pamiętamy również esej Jana Błońskiego *Biedni Polacy patrzą na getto*<sup>15</sup>, opublikowany w drugim numerze „Tygodnika Powszechnego” w 1987 roku. Był on kamieniem milowym w debacie o polskiej odpowiedzialności za Holocaust.

Baran już w samym tytule bierze w nawias to wszystko, co nazwać możemy kontekstem historycznym i – co tu dużo gadać – etycznym. Historia sporu kluczowego, dotyczącego roli nacjonalizmu w kulturze i myśli politycznej Polski, również nie interesuje autora wiersza. Wielu czytelników ten ostentacyjny liryczny gest mocno zaskoczył. Wydawał się być poniżej pewnego poziomu. Tymczasem zamysł Barana można włączyć w omawiany przeze mnie model „lęku przed wpływem”. O co bowiem chodziło poccie? Skąd owa nonszalancja i prowokacyjność? Wiersz ten wpisuje się bardzo ciekawie w inny element modelu Blooma. Mam tu na myśli *kenosis*, czyli kontrwznieśność<sup>16</sup>, oraz to, co autor *Lęku przed wpływem* nazywa demonizacją<sup>17</sup>. Oto idea, która stanowi niezwykle ważny wątek w poważnym dyskursie historycznoliterackim, politycznym i światopoglądowym zostaje przemieniona w banalny wierszyk o poszukiwaniu kobiety. Coś, co miało być wyprawą bohatera po złote runo doświadczenia formacyjnego (spaceruje po katakumbach), zamienia się dosłownie w płaczącą prośbę o możliwość zostania grzesznikiem. Owa eks-trawagancja ma jednak głęboki sens. Jest co prawda zadekretowanym upadkiem z poziomu wyjątkowości i dramatyzmu w banał, ale jednocześnie zrywa więzy, mówi „nie” świętym oczywistościom i wytyczonym ścieżkom myślenia. Bagatelizując przywołany wątek, bagatelizuje również Prekursora. Jednocześnie sugeruje, że istnieją inne sposoby opisywania rzeczywistości, która dla młodych ma odmienne

<sup>14</sup> C. Miłosz, *Biedni chrześcijanin patrzą na getto* [w:] tegoż, *Wiersze wszystkie*, Kraków 2011, s. 211.

<sup>15</sup> J. Błoński, *Biedni Polacy patrzą na getto*, „Tygodnik Powszechny” 1987, nr 2, s. 1, 4.

<sup>16</sup> Por.: H. Bloom, *Lęk przed wpływem...*, s. 119–132.

<sup>17</sup> *Jw.*, s. 139–152.

kształty oraz przestrzenie cierpienia: autentyczne i oczywiste. Mimo wszystko trzeba było mieć dużo odwagi, by coś takiego zadekretować.

Zupełnie inaczej, niezwykle dramatycznie, wybrzmiewa natomiast wypowiedź Jacka Podsiadły w wierszu *W odpowiedzi na wiersz Czesława Miłosza „Sarajewo” a także w obronie własnej*. Autor, jak się wydaje, zajmuje tu stanowisko najbardziej radykalne i bezkompromisowe spośród dotychczas przedstawionych tekstów poetyckich. Jednocześnie mamy okazję obserwować wiersz, który powołuje do istnienia kilka form walki z wpływem, zaprezentowanych w modelu Blooma.

Wspomniany w tytule wiersz Miłosza jest w dużej mierze utworem interwencyjnym; zapisem niezgody poety na barbarzyństwo wojny na Bałkanach. Jest również wierszem oskarżycielskim. Jego autor – co w tych okolicznościach niezwykle ważne – wybiera idiom odwołujący się do bogatej tradycji języka napominającego, konwencjonalnego, uświęconego np. tradycją biblijną, mającego pokazać, iż barbarzyństwo opisywanych zdarzeń jest uniwersalne, a ludzie współcześni, także rządzący, wybierają cynizm i łajdactwo. Pozostają obojętni wobec zbrodni i cierpienia. Tak jak bywa to zresztą od wieków. Czytamy u Miłosza:

To teraz potrzebna byłaby rewolucja, ale zimni są, którzy kiedyś byli gorący.  
Kiedy zabijany i gwałcony kraj wzywa pomocy Europy, w którą uwierzył, oni  
[ziewają].  
Kiedy ich mężowie stanu wybierają łajdactwo, nie odzywa się głos, który by to  
[nazwał po imieniu].  
Kłamliwa była rewolta młodości porywającej się na odnowę Ziemi i tamto pokolenie  
[samo na siebie]  
teraz wydaje wyrok.  
Przyjmując obojętnie wołanie ginących, bo są to ciemni barbarzyńcy mordujący się  
[wzajemnie. [...]].  
Teraz okazuje się, że ich Europa od początku była wmówieniem, bo jej wiarą  
[i fundamentem jest nicość<sup>18</sup>].

Co tymczasem robi Podsiadło? Używa innej formy stylistycznej niż ta, do której się odwołuje poprzez aluzję i nawiązanie. Swoją opowieść obudowuje formą języka potocznego, żywiołowego, niestroniącego od inwektywy, mającą na względzie doświadczenia tzw. zwykłych ludzi i ich sposoby opisu oraz oceny obserwowanych zdarzeń. Jednocześnie wchodzi w spór ideowy z Miłoszem, jakby zapominając, że intencje autora *Sarajewa* są bardzo podobne do jego własnych. Jest to Bloomowski *clinamen* – niezbędna w oczach krytyka korekta wiersza Prekursora. Owa korekta – zaskakująca logika odchylenia ideowej trajektorii – przesłania sensy wiersza Prekursora i wymusza za cenę pewnej manipulacji nowy ogląd zdarzeń oraz ich interpretację.

<sup>18</sup> Por.: C. Miłosz, *Na brzegu rzeki*, Kraków 1994, s. 46–47.

Negatywna ocena tych, którzy dopuścili do wojny, dotyczy u Podsiadły również Miłosza. Autor *Traktatu moralnego* stoi po stronie winnych; jest odpowiedzialny za opisywany stan spraw. Na nic się zdają jego uniki, poetyckie oburzenie i oskarżycielski ton: „Nie nazywałeś skurwielami skurwieli, / którzy znaczyli karty narodów i praw”, a przecież „pięknem swoich wierszy mogłeś strącać tiary z łbów bandytów, / ale nie sięgałeś podstaw, choć nie raz sięgnąłeś szczytów” – pisze Podsiadło.

Czy znajdziemy tu drugi aspekt Bloomowskiego modelu sześciu starć rewizyjnych – aspekt *tessera*, dopełnienie? Owszem – wskazuje na to sam tytuł. „Obro-  
na własna” może być przez nas potraktowana jako gest pojednania, uzupełnienie mozaiki idei o aspekt samousprawiedliwienia się. My, wszyscy poeci – wydaje się mówić Podsiadło – jesteśmy uwikłani w opisywany stan rzeczy, odpowiedzialni za to, co jest i jednocześnie bezsilni; w naszych oczach odbija się nicość, o ile wcześniej nie ma w nich strachu, nienawiści lub bólu.

Czemu to właściwie służy? Jakie jeszcze cele ma na względzie? Impetyczny atak na zło świata symbolizowane przez wojnę w Sarajewie skrywa tak naprawdę cel – kto wie, czy nie ważniejszy: potrzebę ostatecznego wyzwolenia się spod wpływu człowieka, który określił w sposób wiążący to, czym poezja się zajmuje, jakich form używa i szerzej – jak wygląda jej gospodarstwo. Podsiadło – podobnie jak wcześniej przedstawieni poeci – wypowiada Miłoszowi zaproponowane przez niego warunki gry, dąży przede wszystkim do konfrontacji i wyzwolenia się spod wpływu Prekursora. W zbiorze Bloomowskich narzędzi używa jeszcze *askesis*, drogi zaprzeczenia. Otóż, wybierając określone wątki w prezentowanym wierszu, pokazuje co prawda swoje poetyckie możliwości, ale jednocześnie wikła się w spór, który nie może zostać definitywnie rozstrzygnięty. Oskarżenia zawarte w wierszu są – dobrze to wiemy – na wyrost. Zamiast więc rozwijać to wszystko, co stanowi niewątpliwą siłę poetycką (idiom konwersacyjny, eksploatowanie rzeczywistości w jej rudymen-  
tach, tworzenie swoistej mitologii dotyczącej roli poety i miejsca poezji w zupełnie nowym świecie), wikła się w rodzaj skazanej na porażkę konfrontacji. Zawęża pole własnej artystycznej ekspansji.

Ta ofiara może mu się jednak opłacić. Celem jest bowiem *apophrades*: „powrót umarłych”, przypomnienie Prekursorów na warunkach zredagowanych przez ubiegających się o laur oryginalności. Jak widzimy, zarzuty przedstawione w wierszu, dotyczące Miłosza, mają swój atawistyczny wdzięk, w porządku racjonalnym można je jednak stosunkowo łatwo podważyć. Mimo to są w przypadku efeba niebezpieczną i skuteczną bronią. Paradoksalnie, mimo opisanych nadużyć, wiersz Podsiadły zyskuje dzięki swej witalności, dynamice, odwadze i pewnej dozie dezynwoltury, a nawet bezczelności. Siła stylu, sugestywne przedstawienie akcentów, dobitne sformułowanie ocen stanowią domknięcie cyklu i przewrotne pokazanie wagi proponowanych rozwiązań.

Przedstawione wyżej uwagi, jakkolwiek oddają niekiedy dramatyczny charakter dawnych literackich unieważnień, brzmią w niektórych fragmentach dość zabawnie. Potraktujmy więc ten szkic jako swego rodzaju żart. Wolno nam! Żart



ów może nabrać swojej wagi, gdy uświadomimy sobie, że Harold Bloom, pisząc swój tekst, nieustannie odwoływał się do ujęć mitologicznych, które są przecież dla całej naszej kultury tajemnym kodem sensów i polem również nieświadomych oddziaływań. Autor *Lęku przed wpływem* analizował w ten sposób dzieła wybitnych twórców literatury Zachodu i przywoływał jednocześnie ustalenia psychoanalizy. Opowiedział nam historię naszych literackich zmartwień, ale i szans. Agata Bielik-Robson napisała w podsumowaniu, że był zbyt gnostyczny, neurotyczny, a więc mało optymistyczny<sup>19</sup>. W jego książce brakuje bowiem pierwiastka wdzięczności.

Nie bądźmy jak Bloom, znajźdźmy w sobie ów pierwiastek, a wtedy opowiedziana historia nabierze z pewnością słodyczy. Poza tym od opisanego przeze mnie czasu minęło sporo lat. Marcin Baran, Marcin Świetlicki, Jacek Podsiadło i inni efebowie tamtych zmagają się już dojrzałymi twórcami. Warto prześledzić, w jaki sposób młodzi, zafascynowani przecież ich twórczością, konstruują swoje gry, by wejść na drogę niepodległości w relacji z drogimi, godnymi podziwu, a więc i zwalczania, Prekursorami.

Mariusz Kalandyk

### Bibliografia

- Baran M., *Biedny chrześcijanin traci wycucie proporcji i zwraca się bezpośrednio do Boga w sprawie raczej błahej* [w:] *Macie swoich poetów*, wybór i opracowanie: P. Dunin-Wąsowicz, J. Klejnocki, K. Varga, Lampa i Iskra Boża, Warszawa 1997.
- Bloom H., *Lęk przed wpływem. Teoria poezji*, przeł. A. Bielik-Robson, M. Szuster, wstęp A. Bielik-Robson, Universitas, Kraków 2002.
- Błoński J., *Biedni Polacy patrzą na getto*, „Tygodnik Powszechny” 1987, nr 2, s. 1, 4.
- Demińska-Pawelec J., *Jarosław Marek Rymkiewicz w cieniu Miłosza*, „Pamiętnik Literacki” 2012, z. 2, s. 209–226.
- Gajewski K., „*Lęk przed wpływem: teoria poezji*”, *Harold Bloom, przeł. Agata Bielik-Robson, Marcin Szuster*, „*Horyzonty Nowoczesności*”, t. 19, Kraków 2002: [recenzja], „Pamiętnik Literacki” 2006, nr 97/3, s. 247–254.
- Kapela J., *Sześć rzeczy, których ci nie powiedzą o Miłoszu w szkole* [w:] *Miłosz. Przewodnik „Krytyki Politycznej*: <https://krytykapolityczna.pl/kultura/czytaj-dalej/szesc-rzeczy-ktorych-ci-nie-powiedza-o-miloszu-w-szkole/> [dostęp: 20.11.2024].
- Miłosz C., *Biedny chrześcijanin patrzy na getto* [w:] tegoż, *Wiersze wszystkie*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2011.
- Miłosz C., *Sarajewo* [w:] tegoż, *Na brzegu rzeki*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1994.
- Myrdzik B., *Wiersze o rozmowach, które się nie odbyły*, „Polonistyka” 2021, nr 14, s. 41–49.
- Podsiadło J., *W odpowiedzi na wiersz Czesława Miłosza „Sarajewo” a także w obronie własnej* [w:] *Macie swoich poetów*, wybór i opracowanie: P. Dunin-Wąsowicz, J. Klejnocki, K. Varga, Lampa i Iskra Boża, Warszawa 1997.

<sup>19</sup> Por.: A. Bielik-Robson, *Sześć dni stworzenia. Harolda Blooma mitologia twórczości* [w:] H. Bloom, *Lęk przed wpływem...*, s. 201–239.

Rymkiewicz J.M., *Konwencje*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1957.

Świetlicki M., *Rozmawianie (na koniec wieku)* [w:] tegoż, *Czynny do odwołania*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2001.

### Miłosz as a Forerunner

#### Summary

This article attempts to describe, using literary and cultural theoretical categories presented in H. Bloom's *The Anxiety of Influence*, the literary dispute that occurred at the turn of the 21<sup>st</sup> century between Czesław Miłosz and representatives of the "Brulion" generation. The author illustrates, how categories such as clinamen, apophrades, kenosis, and demonization help to clarify the risky lyrical statements posed against Czesław Miłosz and the ideas he represented. The main thesis of the paper is that behind those actions lies a simultaneous fascination with the Nobel laureate's work and a desire to overcome this inclination in order to forge one's own independent poetic path.

**Keywords:** Czesław Miłosz, the "Brulion" generation, Harold Bloom *The Anxiety of Influence*



Monika Hanejko

## Zofia Zarębianka

\* \* \*

Pamiętałam wczoraj  
O moim dziadku  
Jakubie  
Który z dymem uleciał w chmury  
I tylko swąd spalonych ciał  
Rozwiał rozpacz  
Unoszoną w przestrzeń  
Pamiętałam wczoraj  
O jego synu  
Naznaczonym na życie  
Lękiem  
Ucieczką przed sobą  
W obce nazwisko  
Niech odpoczywają  
W pokoju  
Wspólnego Boga

## GENEALOGIA

Kim była zaginiona w mrokach  
Rodzinnej legendy  
Tajemnicza Ewelina de Heydes  
Babka mej prababki Józefiny  
U której w dzieciństwie  
Wychowywała się moja mama  
Rodzinne sekrety  
Niegdysejsze mezalianse  
Etykieta pilnie strzegła cnoty  
Gdy ciocia Kazia  
Kazała małej Lusi

Wrzucić do kominka  
List Józefiny do wnuczki  
A może testament

## KRUCHOŚĆ

Kruchość zmienność  
Wiatr i fala  
Morska piana  
Chwila mała  
Mgła i słońce  
Zmierzch świtanie  
Nasze jutro  
Pożegnanie  
Życia krótkość  
Powitanie

Niech się dobro wspólne  
Stanie  
Niech się dobro  
Nie utopi  
W nocy w lęku  
W czarnej wodzie  
Na przekór  
I wbrew  
Przeszkodzie

*Zapisane podczas rekolekcji w Bychowie, czerwiec 2024*

\* \* \*

Przerdzewiały rdzeń  
Zmurszały pień  
Obrócone w bezbycie  
Życie

\* \* \*

*Dla Pana Mecenasa Stanisława Kłysa.  
Napisane podczas organizowanego przez Niego  
koncertu poświęconego pamięci Jerzego Treli*

Z wielkim hukiem  
Odrzutowce leciały  
Z wielkim błyskiem  
Ciężkie bomby  
Spadały  
Po północnym niebie  
Grzmoty się toczyły  
Od lasu za rzeką  
Błyskawice krwawiły  
Nad domy nad nasze  
I nad świat cały  
Żelazne ptaki  
Śmiercią śpiewały  
Nad morzem nad drogą  
Nad polem nad brzegiem  
Groza i pożar  
Pod martwym  
Niebem

\* \* \*

*Dla Natalii Stencel*

Nie zatrząskuj się w milczeniu  
Ono buduje wysoki mur.  
Nie umiem go przeskoczyć.  
Jest gładki.  
Bez punktów oparcia pod stopy.  
Spadnę z wysokości.  
Polegnę pod płotem.  
Zwinięta w kłębek ciszy.

Pokrwawione żyły.  
Przecięte tętnice.  
Ciemnica bezmiłości.  
To niekoniecznie  
Wiersz.  
A może tylko. Wiersz.

26.09.2024

## RECEPTA

*Dla Księdza Krzysztofa Niedałowskiego*

Panie doktorze  
Panie doktorze  
Poproszę o jakąś tabletkę  
Na szczęście  
Panie doktorze  
Panie doktorze  
Jakieś krople na sens  
Poproszę  
Może maść na miłość  
Niech mi pan przepisze  
Okład na rozpacz  
Zastrzyki może pomogą  
Lekarstwo cudowne  
Na radość i nadzieję  
No bo widzi pan  
Panie doktorze  
Źle się we mnie dzieje  
Panie doktorze  
Panie doktorze  
Jeszcze jakiś bandaż  
Na życie  
A najlepiej od razu  
To miksturę na życie wieczne  
Poproszę

*Gdańsk, 22.10.2024*

## MUŚNIĘCIE

Muśnięcie ćmy  
Cień śmierci  
Ciemne skrzydło  
Anioła?

Piękny motyl  
Paż królowej  
Na kuchennej szybie  
Przez chwilę  
Się szamotał  
W przezroczystości uwięziony  
Przez okno otwarte odfrunął

Odwiedziny Taty to były?

## PRZECIEŻ

*Dla W.W.*

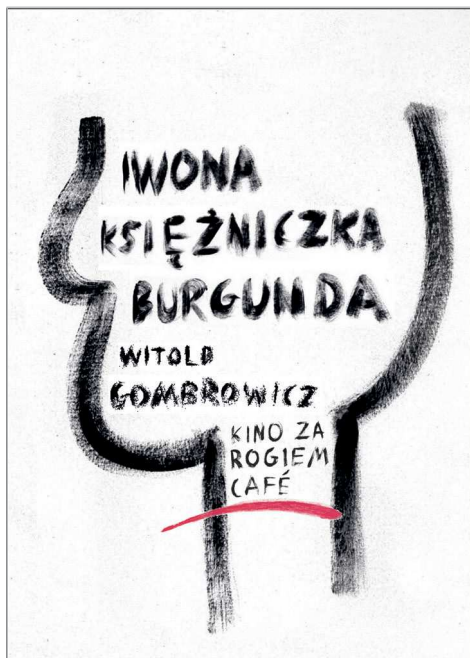
Przecież ja  
Nic  
Nie chcę od ciebie  
Tylko żebyś był  
Przecież  
Nic  
Nie potrzebuję  
Prócz  
Obecności

## NAWET

Nawet dżem figowy  
Słony jest od łez  
Słońce też jest słone  
Przyćmienie myśli  
Na ścianie cień  
Nieobecnych

*Kraków, 29.10.2024*

Zofia Zarębianka



Szymon Jakubski



Anita Frankowiak\*

## (SAMOŚWIADOMOŚCIOWE) OBRAZY EUROPY WSCHODNIEJ I AZJI W PROZIE ANDRZEJA STASIUKA

„[...] Europę dalekie strony interesują tylko w kilku przypadkach: tanie plaże, tanie loty, tanie dymanie, tania ropa. Tylko to. Może ze wstydu się włokłem coraz dalej na ten wschód”<sup>1</sup>. Ten wstyd, który nieprzerwanie, od pierwszych prób pisarskich, nakazuje Andrzejowi Stasiukowi rozpocząć nowe peregrynacje, jest czymś więcej niż tylko metaforycznym opisem braków. Wynika z głębokiej świadomości kultury europejskiej oraz niezgody na uproszczone narracje na temat Europy Wschodniej, Azji, a w szczególności Rosji, o której w *Dojczland* napisał: „to coś, jak azot i tlen, wódka i popitka, jak geopolityczny Flip i Flap”<sup>2</sup>. W jednym z wywiadów pisarz powiedział, że „ten Wschód wszedł mu do głowy bardzo dawno i to jest projekt na resztę życia”<sup>3</sup>.

Przyznać należy, że to zamysł skomplikowany, ponieważ polega na połączeniu tego, co jest dla niego akceptowalne kulturowo z tym, co budzi jego niepokój metafizyczny, a następnie przeobraża się na oczach czytelnika w strach. Tej awersyjnej emocji towarzyszy często bardzo silne pobudzenie emocjonalne (uczuciowe), odruchowe reakcje obronne zapisywane obrazami nasilających się, w obliczu kolejnych podróży, zmian fizjologicznych. W rozmowie z Michałem Sowińskim, przeprowadzonej w maju 2024 roku, zapytany o swoje podróże Stasiuk powiedział, że „marzyły mu się odległe stepy”<sup>4</sup>, lecz woli wracać do tych samych miejsc, dlatego wciąż pisze o Wschodzie. Warto dodać, że jest to obszar wyznaczony granicami prywatnej geografii<sup>5</sup> i kreacji pisarskiej eseisty.

\* Anita Frankowiak, dr hab. prof. Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, ORCID: <https://orcid.org/0000-0001-6898-8738>.

<sup>1</sup> A. Stasiuk, *Osiolkiem*, Wołowiec 2016, s. 74. Dalej cytaty z tej książki są podane w tekście głównym w nawiasie ze skrótem O i numerem strony.

<sup>2</sup> Tegoż, *Dojczland*, Wołowiec 2007, s. 77.

<sup>3</sup> Z Andrzejem Stasiukiem o podróżowaniu, mizantropii, Bogu i brzydkich słowach [w:] *Słowo i sens. Rozmowy Janiny Koźbiel*, Pruszków 2013, s. 99–136.

<sup>4</sup> *Świat jest zawsze ciekawszy niż to, co uda się o nim napisać*. Rozmowę z Andrzejem Stasiukiem przepr. Michał Sowiński, „Tygodnik Powszechny” 2024, nr 21; <https://www.tygodnikpowszechny.pl/andrzejj-stasiuk-swiat-jest-zawsze-ciekawszy-niz-co-uda-sie-o-nim-napisac-187089> [dostęp: 20.09.2024].

<sup>5</sup> Pisała o tym Elżbieta Dutka, podkreślając kartograficzną dokładność Stasiuka. Zob.: tejsze, *Heterotopie: o twórczości Andrzeja Stasiuka* [w:] *Skład osobowy. Szkice o prozaikach współczesnych*, cz. 1, red. A. Nęcka, D. Nowacki, J. Pasternka, Katowice 2014, s. 437–466.

Przebywanie w miejscach znanych nie zakłóca egzystencji tak, jak trwanie w niepokoju. Z kolei lęk przed zerwaniem więzi z przestrzenią i idące za nim potencjalne niezrozumienie okoliczności kulturowych uruchamia strach, który przewrotnie nadaje sens tej przestrzeni. W ten sposób autor popada w pułapkę błędnego koła emocji samoświadomościowych. Dlatego w prozie Stasiuka w jednym momencie narracyjnym pojawiają się opisy nieszczęść kulturowych, rozczarowań historycznych oraz scenariusze przyszłych peregrynacji nasycone nadzieją. Esecista na oczach czytelnika inicjuje procesy, w których przenikając się myśli narratora i emocje autora. Z kolei tak zwane wydarzenia aktywujące (np. przekonania, myśli automatyczne) porządkują układ przestrzenny narracji.

Pisarz opiera te procesy na powtórzeniach. W *Rzecz dziecinstwa* – najnowszej powieści – napisał, że ich się nie boi. One bowiem ujarzmiają strach i wyciszają lęk. Stasiuk wierzy, że „może za którymś razem warstwy czasu rozstąpią się na tyle, że odsłoni się ten najgłębszy, pierwotny sens zdarzeń”<sup>6</sup>, i nie będzie musiał konfrontować się z tymi samymi faktami kulturowymi. Sugeruje czytelnikowi, że chwilowe doznania są ważniejsze niż interpretacja geopolitycznych zdarzeń. Wspominał już o tym Jarosław Fazan, podkreślając w prozie Stasiuka prymat zmysłowości nad faktami<sup>7</sup>. Można więc powiedzieć, że oryginalność tekstów autora *Dukli* opiera się na potencjale, jaki niosą ze sobą wykreowane w nich przestrzenie.

W artykule analizuję<sup>8</sup> dwie książki Stasiuka: *Wschód* (2014) oraz *Osiółkiem* (2016), pod kątem znalezienia odpowiedzi na pytanie, za pomocą jakich obrazów

<sup>6</sup> A. Stasiuk, *Rzecz dziecinstwa*, Wołowiec 2024, s. 7.

<sup>7</sup> J. Fazan, „Kundel, hiena, mieszaniec”. *Geopolityczne wyprawy Andrzeja Stasiuka* [w:] *W ogrodzie świata. Profesorowi Aleksandrowi Fiutowi na siedemdziesiąte urodziny*, Kraków 2015, s. 181–192.

<sup>8</sup> Analiza wpisuje się w nurt wcześniejszych dyskusji na temat twórczości Andrzeja Stasiuka i w zamyśle stanowi ich uzupełnienie. Por. na ten temat szkice: A. Frankowiak: *Swojskość i obcość. Dylematy egzystencjalne w prozie Andrzeja Stasiuka*, „Fraza” 2003, nr 1–2 (39–40), s. 171–179; *Desakralizacja egzystencji w prozie Andrzeja Stasiuka*, „Fraza” 2005, nr 1–2 (47–48), s. 157–162; *Proza Andrzeja Stasiuka w perspektywie personalizmu Miguela de Unamuno* [w:] *Między Złotym a Srebrnym Wiekiem Kultury Hiszpańskiej*, red. M. Jagłowski, D. Sepczyńska, A. Frankowiak, Olsztyn 2008, s. 389–397; „Wszystko zaczynało się od mojej obecności”. *Sekretny przekaz prozy Andrzeja Stasiuka*, „Napis” 2011, t. XVII, s. 71–81, oraz: M. Marszałek, *Pamięć, meteorologia oraz urojenia: środkowoeuropejska geopolityka Andrzeja Stasiuka* [w:] *Literatura, kultura i język polski w kontekstach i kontaktach światowych*, red. M. Czermińska, K. Meller, P. Fliciniński, Poznań 2007, s. 539–547; E. Konończuk, *Mapa jako metafora w „opowieściach przestrzennych” Andrzeja Stasiuka* [w:] *Od poetyki przestrzeni do geopoetyki*, red. E. Konończuk, E. Sidoruk, Białystok 2012, s. 27–48; L. Bugajski, *Dlaczego Stasiuk podróżuje?*, „Twórczość” 2014, nr 12, s. 115–125; J. Fazan, „Kundel, hiena, mieszaniec”..., dz. cyt.; B. Mazan, *Z (naj)nowszej literatury polskiej. Rozwijająca się droga Andrzeja Stasiuka na Wschód*, „Acta Universitatis Wratislaviensis” 2015, nr 3679, „Prace Literackie” LV, s. 169–184; B. Darska, *Śmierć jako część życia, czyli umieranie jako (nie)pamiętanie. Notatki na marginesie wybranych utworów Andrzeja Stasiuka* [w:] *Miejsca, ludzie, opowieści. O twórczości Andrzeja Stasiuka*, red. M. Rabizo-Birek, M. Zatorska, D. Niezgoda, Rzeszów 2018, s. 76–92; S. Iwasiów, „Między Wschodem a Zachodem”. *Podróżowanie (samochodem i nie tylko) w prozie Andrzeja Stasiuka* [w:] *Miejsca, ludzie, opowieści...*, s. 126–144; A. Gleń, *Andrzej Stasiuk. Istnienie*, Łódź 2018; J. Przyklenk, *Podróż w poszukiwaniu tożsamości – geografia i mit we*

pisarz buduje przestrzeń Europy Wschodniej i Azji<sup>9</sup>. Pierwsza jest zapisem wyprawy samochodowej przez Ukrainę i Rosję do Azji. Druga to eseistyczne wspomnienia z dzieciństwa i wyjazdów do: Birczy, Annopola, Lublina, Kazimierza, Przemysła, Jarosławia, Oleszyc, Cieszanowa, Żyrzyna, Bychawki, Żółkiewki, Musikowa, Bąkowa, Chłopskiej Woli, Kurowa<sup>10</sup>, a także refleksje o Rosji, Mongolii i Chinach. Materiałem egzemplifikacyjnym są te fragmenty utworów, które odnoszą się do terenów Europy Wschodniej i Azji.

Jeśli przyjmiemy, że narracja składa się z opisów elementów współtworzących postaci i wydarzenia, to Stasiuk jest w swoich opowieściach narratorem uczestniczącym i emocjonalnie zaangażowanym. Świadomie rezygnuje z komplementarnego wymiaru prezentowania opowieści. Z każdą kolejną książką jest to coraz bardziej widoczne. Pisarz ma wyjątkową skłonność do metaforyzowania swoich tekstów, więc ich jednowymiarowa interpretacja jest po prostu niemożliwa.

Uytuowanie wydarzeń i postaci w przestrzeni jest w twórczości Stasiuka dość specyficzne. Są one bowiem rozpięte pomiędzy złudzeniem poznawczym, połączonym z wszechobecną zagładą materii, a realnymi przestrzeniami. Poetyka pamięci łączy się z poetyką zapomnienia. Chęć poznania czegoś wyjątkowego spleta się z ucieczką od samego siebie. Być może dlatego pisarz wciąż oznacza przestrzeń<sup>11</sup>. Obie książki nasycone są nazwami miejscowości, opisami szczegółów mijanych budynków, niekończącymi się poszukiwaniami punktów orientacyjnych. „Bo jakieś nazwy przecież muszą być. Nie da się jeździć w czystej przestrzeni” – podsumuje w *Osiółkiem* (O 69).

Warto doprecyzować, że Wschód jako konstrukcja narracyjna w twórczości Stasiuka to przestrzeń geograficznie rozciągnięta od wschodnich terenów Polski aż po daleką Azję. To także tereny wyobrażone, oparte na fragmentarycznych wspomnieniach z dzieciństwa. Pisarz mówi wprost, że nie obchodzi go, dokąd jedzie, tylko to, co widzi (O 16). Toponomastyka, którą się posługuje, daje czytelnikowi szansę zlokalizowania na mapie wszystkich miejsc i punktów w przestrzeni, stanowiących w danym momencie dla narratora centrum świata. Tak konstruuje swoje poetyckie centra dowodzenia. Kilka lat temu Joanna Przyklenk analizując *Wschód*, stwierdziła:

---

„*Wschodzie*” Andrzeja Stasiuka [w:] *Wędrownka, podróż, migracja: w języku i kulturze*, red. E. Biłas-Pleszak, J. Przyklenk, A. Rejter, K. Sujkowska-Sobisz, Katowice 2018, s. 251–266; T. Kanasz, *Emocje w kontekście podróży literackich Andrzeja Stasiuka na Wschód: smutek, strach, nostalgia*, „*Zoon Politicon*” 2021 nr 12, s. 1–8; A. Czyżak, *O granicach. „Przewóz” Andrzeja Stasiuka wobec tradycji i współczesności*, „*Białostockie Studia Literaturoznawcze*” 2022, nr 20, s. 209–219.

<sup>9</sup> Kontekstem rozważań będą także odniesienia do niektórych wcześniejszych powieści Stasiuka oraz jego ostatniej książki *Rzeka dzieciństwa*.

<sup>10</sup> Te fragmenty, które dotyczą terenów Polski wschodniej, zgodnie z przyjętą metodologią nie stanowią podstawy niniejszych rozważań.

<sup>11</sup> Pisała o tym E. Mazur w artykule *Literackie podróże, czyli o przestrzeni i miejscu w literaturze polskiej przełomu XX i XXI wieku (na przykładzie poezji Adama Zagajewskiego i prozy Andrzeja Stasiuka)*, „*Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica*” 2020, nr 56 (1), s. 311–330.

odnotowywane w tekście *Wschodu* toponimy tworzą coś na kształt katalogu nazw geograficznych, swoistej kolekcji, której poszczególnym elementom autor nie poświęca jednak większej uwagi, bo liczą się jako całość. Dłuższe opisy znajdujemy tylko w wypadku kilku wybranych miejsc, natomiast w przeważającej większości narrator jedynie wylicza mijane w podróży miejscowości<sup>12</sup>.

Dodać należy, że oznaczanie przestrzeni wiąże się z nadawaniem jej określonego statusu. Pojawiające się nazwy miejscowości są albo degradujące, albo nobilitujące. W dyskusji o Stasiukowych obrazach istotny jest sposób mówienia o Wschodzie, czyli jego metafora bardzo specyficzna, powtarzalna, zatrzymująca pamięć szczegółów, kartograficzna, zanurzona w poetyce pamięci i zapominania, dopominająca się o konkret oraz waloryzująca stratę, a także jego liczne dygresje, anamorfozy oraz fragmentaryzacja tekstu.

### **Znakowanie przestrzeni, czyli „węszenie za mięsem świata”**

Już na początku *Osiótkiem* Stasiuk pisze przewrotnie: „to się tak skończy, jak się zaczęło. Na mapach się skończy i nazwach” (O 16). We wcześniejszym wyborze esejów zatytułowanym *Fado* narrator pytał wprost, czy „w ogóle istnieje lepsza metafora podróży niż zniszczona mapa?”<sup>13</sup>. W późniejszych tekstach autor pokazał, że istnieje. Są nią żółte drogi, którymi uwielbia podróżować. „Całe godziny straciliśmy przez moją miłość do żółtych dróg, z których niby lepiej widać świat” – podsumuje (O 30). Atencja Stasiuka dla tego rodzaju tras wynika z ich bardziej indywidualnego charakteru (w porównaniu z zaplanowanymi i przewidywalnymi autostradami). Może być też efektem skłonności pisarza do konstruowania porównań pomiędzy tym, co lokalne, a tym, co globalne.

Pisanie angażuje wiele zmysłów, a Stasiuk doskonale wie, że gdy zawiedzie wzrok i nie będzie mógł już podróżować (o czym coraz częściej mówi w wywiadach), wykorzysta metaforę oraz swoją pamięć. Uważa, że ona opuści go jako ostatnia. Skończy się więc na przestrzeni, której „ktoś nadał imię”. Zapowiadał to już kilkakrotnie – w *Fado*, *Dzienniku okrętowym*<sup>14</sup>, *Dojczland*, a wypuklił w *Rzecz dzieciństwa*. Nazwy, mapy i drogowskazy z wymienionych książek przenoszą czytelnika na obszar Europy Środkowo-Wschodniej. Można jednak zauważyć, że w utworach Stasiuka powtarza się mechanizm łączenia doświadczania przestrzeni z estetyką melancholii, o czym wspomina Elżbieta Konończuk:

<sup>12</sup> J. Przyklenk, *Podróż w poszukiwaniu tożsamości – geografia i mit we „Wschodzie” Andrzeja Stasiuka* [w:] *Wędrówka, podróż, migracja...*, s. 254.

<sup>13</sup> A. Stasiuk, *Fado*, Wołowiec 2006, s. 39.

<sup>14</sup> A. Stasiuk, *Dziennik okrętowy* [w:] J. Andruchowycz, A. Stasiuk, *Moja Europa. Dwa eseje o Europie zwanej Środkową*, Wołowiec 2007, s. 85–86.

Doświadczenie przestrzeni geograficznej pisarz przekazuje za pośrednictwem dwu różnych sytuacji narracyjnych. Pierwszą jest kontemplacja mapy przypominająca oglądanie ogromnych połaci ziemi z lotu ptaka, drugą – fizyczne doznanie przestrzeni przez wysiłek wędrowania z miejsca na miejsce, często po bezdrożach, w upale lub chłodzie. Pierwsza zaspokaja marzenie człowieka o poznaniu świata z boskiej perspektywy, marzenie o wiedzy i władzy nad światem. Druga natomiast oddaje perspektywę człowieka przytłoczonego bezmiarem otaczającej go przestrzeni<sup>15</sup>.

W *Osiółkiem* i we *Wschodzie* Stasiuk zabiera nas w podróż po Ukrainie, Rosji, Kazachstanie, Mongolii i Turkistanie. Mapy zostają zastąpione drogami. Tytułowy zielony osiołek – „mechaniczne bydłce” – ratuje pisarza przed rutyną przygotowań do wyjazdu. Bowiem tak naprawdę narrator nie lubi wyjeżdżać i mówi o tym wprost:

nie lubię tych wszystkich przygotowań, tej gonitwy, tego uczucia, że się czegoś zapomniało, wypełniania formularzy wizowych, robienia sobie zdjęć, wciskania się w te rubryczki, w których nigdy nic się nie mieści. [...] W ogóle czujesz się jak przestępca. Jakbyś się chciał zakraść, wjechać na lewo, coś im tam ukraść, wynieść z tych ich krajów, do których nikt nie jeździ poza kierowcami tirów, księżmi i paroma plecakowcami. Czujesz się, jakby robili ci łaskę, że cię w ogóle wpuszczą na te swoje bezludzka porośnięte krzakami i zasypane piachem. Rosyjska dwukrotna, kazachska dwukrotna. Jakieś vouchery, jakieś ubezpieczenia, jakieś biura z kosmosu, które za ciężką kasę wystawiają ci lipne zaproszenia (O 12).

Tymczasem Stasiuk lubi podróżować. Lubi odczuwać „fizyczność przemieszczania się w przestrzeni”. „Trzeba oddalić się od domu – mówi w jednym z wywiadów – by dowiedzieć się o sobie chociaż kilku innych rzeczy niż te, których dowiadujesz się w domu. Tak naprawdę strasznie lubię jeździć (podkr. autorki), a cała reszta to szukanek pretekstu”<sup>16</sup>. Pretekstem do konstruowania mentalnych wędrówek są więc niepokojące myśli, swoisty „wir w głowie”: „tysiące metrów taśmy, która przewija się i wyświecła obrazy z przeszłości” (O 19). Znacznie lepszy jest dla Stasiuka strach. Ta emocja samoświadomościowa pobudza go do refleksji: „Boję się przecież Rosji i boję się reszty” (O 25). W wywiadzie przeprowadzonym przez Amelię Sarnowską powie wprost, że Rosja to „niesamowita, ale też okrutna, apokaliptyczna otchłań”<sup>17</sup>.

<sup>15</sup> E. Konończuk, *Mapa jako metafora w „opowieściach przestrzennych”...*, s. 27.

<sup>16</sup> *Nie wiadomo po co się jedzie*. Z Andrzejem Stasiukiem rozm. A. Cytacka, „Czytanie Literatury. Łódzkie Studia Literaturoznawcze” 2015, nr 4, s. 237–238.

<sup>17</sup> *Tam za górką Polaków spalili. I taka to rzeka dzieciństwa*. Rozmowę z Andrzejem Stasiukiem przeprowadziła Amelia Sarnowska, „Onet”, <https://kultura.onet.pl/wywiady-i-artykuly/andrzej-stasiuk-tam-za-gorka-polakow-spalili-i-taka-to-rzeka-dziecinstwa-wywiad/y1vm05e> [dostęp: 15.06.2024].

W *Osiółkiem* doświadczanie przestrzeni Europy Wschodniej zaczyna od Bereżnego na Wołyniu, gdzie widzi „tylko sklepy z wódką”, „pokruszony cement” i kołnierz w środku miasta. Opisy sugerują, że i tam porządkowanie przestrzeni jest niezwykle potrzebne. Stasiuk próbuje więc ujarzmić w jakiś sposób Wschód, nadać mu, po Miłoszowemu, sens, nazwać rzeczy po imieniu. Doświadcza poprzez interpretację<sup>18</sup>:

Na początku chciałem jechać przez wschodnią Ukrainę, przez Zaporozie i Donieck, i wjechać do Rosji gdzieś na wysokości Rostowa nad Donem. A dalej przez Elistę i Kałmucję, żeby zobaczyć suhaki, wielbłądy i pustynię, i europejskich buddystów. Zobaczyć mongolski lud, który rozłożył swoje jurty na skraju naszego kontynentu. A wcześniej może Hulajpole, ziemię Nestora Machny, miejsce narodzin stepowej utopii (O 29).

A jednak jego podróż nie przebiega w sposób zaplanowany. Jest częścią kreacji pisarskiej. Zygmunt Bauman powiedział:

nasz świat, świat płynnej nowoczesności, nieustannie nas zaskakuje: to, co dziś wydaje się pewne i na właściwym miejscu, już jutro może okazać się żalostną pomyłką, czymś płonnym i niedorzecznym. [...] Musimy być stale przygotowani na zmiany, musimy być, zgodnie z modnym ostatnio określeniem, „elastyczni”<sup>19</sup>.

Autor *Dukli* stara się taki być. Obiektywizację łączy z subiektywizacją. Dzięki temu wzmacnia epizody narracyjne. Ponadto patrzy na świat także z perspektywy swoich bohaterów. Przekornie dochodzi jednak do wniosku (rezygnując ze wzmocnienia narracyjnego), że jedzie na Wschód, żeby sobie pojeździć, powyobrazić, zdobyć więcej informacji, poukładać myśli, gdy nic się nie dzieje.

Porzuca na chwilę swoje przywiązanie do żółtych dróg i wybiera trasę jeszcze silniej zindywidualizowaną, która ciągnie się przez góry, za Wołosianką i prowadzi do miejsca, które Stasiuk nazywa, za Stanisławem Vincenzem, „starowieczem”. Tam właśnie po raz pierwszy zestawia dwa obrazy Ukrainy. Początkowy jest efektem przemyśleń na temat polskich wyobrażeń o historii ukraińskich zmaganiach politycznych, a drugi wynika z doświadczania konkretnej przestrzeni kulturowej. Pierwsza Ukraina jest dziecinna i banderowska: „Jak jakieś krwawe dziecko albo odłączona młodsza siostra. Trochę zdradziecka, trochę porwana” (O 30). Przypomina nieco uprowadzoną przez Zeusa na zachód mitologiczną księżniczkę, córkę Okeanosa – Europę.

Zawsze wjeżdżałem tu, jak do obcego kraju. To znaczy obcego, ale bliskiego. Banderę nikogo mi nie zabił. Sowietów niczego mi nie odebrali. [...] Jak wjeżdżałem, to mi przychodziło mi do głowy, że do jakiejś dawnej Polski wjeżdżam. To znaczy

<sup>18</sup> Szerzej na ten temat: J. Derrida, *Marginesy filozofii*, przeł. A. Dziadek, J. Margański, P. Pieniążek, Warszawa 2002.

<sup>19</sup> Z. Bauman, *44 listy ze świata płynnej nowoczesności*, przeł. T. Kunz, Kraków 2011, s. 6.

wiedziałem, że tu Polska była, ale mnie to jakoś nie jarało. Nawet podobają mi się te zrujnowane pałace, klasztory i reszta. Taki mam gust (O 30).

Druga Ukraina jest Baumanowską historią opowieści z podróży. Praktykowanie przestrzeni i dostrzeganie jej skończoności czyni z wędrówki Stasiuka nieopowtarzalny przekaz oparty na zestawieniu obrazów znanych i oczywistych (swoich) z opowieściami zasłyszanyymi (obcych). Jak celnie zauważa Konończuk, Stasiukowa percepcja „przestrzeni w podróży ma charakter chwytania wrażeń kątem oka i gromadzenia szybko mijających obrazów”<sup>20</sup>. Pisarz w obu opowieściach interesuje się najdrobniejszymi elementami, które burzą oficjalne narracje historyczne. Na przykład będąc w Złoczowie, uzmysławia sobie, że w 1941 roku NKWD wymordowało tam swoich więźniów, zaś Ukraińcy z OUN razem z SS wymordowali złoczowskich Żydów i dziwi go, że dziś w tym „bardzo eleganckim i niewinnym Złoczowie”, w tym „niewinnym kraju” tylko dyskretna tablica umieszczona na bocznej ścianie zamku przypomina, że miała tu miejsce ogromna tragedia. „Co mają zrobić kraje, których bohaterowie wstawili się jedynie klęskami?” – pyta nostalgicznie (O 32). Nie tylko o Ukrainę, lecz także o Polskę.

Ciekawym literackim obrazem na mapie podróży jest Kijów. Stasiuk charakteryzuje miasto poprzez konkretne opisy: dziesięciopiętrowych blokowisk, biednych, zaniedbanych domów, wojskowych namiotów oraz doświadczenia Majdanu z wcześniejszej podróży. W tle tej opowieści pojawiają się wizerunki Putina, Miedwiediewa i Bandery poprzebieranych za esesmanów:

Więc tak wygląda zaplecze frontu. Prawie wszyscy robili zdjęcia. Więc tak wyglądał wojenny kraj. A ja byłem tchórzem i nie chciałem przez Donieck. [...] Kto wie: może nawet byłem trochę zły, że się trzeba wlec przez tę Ukrainę, zanim się wyjedzie naprawdę. Zanim zaczniesz się dzikie, dalekie i groźne. Zanim zaczniesz się ta Rosja po prostu (O 34).

Być może „wylapywanie” fragmentów rosyjskości w Kijowie umożliwiło pisarzowi przepracowanie paradoksów historycznych i kulturowych, o czym pisał Sławomir Iwasiów w odniesieniu do jego obrazów Europy Środkowej<sup>21</sup>. Denerwuje go taka Ukraina:

Ze swoją bliskością, pobratymstwem i że mniej więcej wiadomo, o co z nią chodzi. Niby się wyjechało, a zarazem nie bardzo. [...] Banderę to ja miałem w domu. Od dzieciństwa mnie straszyli. Dzikim Banderą, który zamieniał się w czarny i zarazem krwawy sztandar. Łopotał nad dzieciństwem. Nie miałem pojęcia, kto to jest, ale w zasadzie było jasne, że Ukraina i Ukraińcy to nic przyjemnego. Tyle że na

<sup>20</sup> E. Konończuk, *Mapa jako metafora...*, s. 36.

<sup>21</sup> S. Iwasiów, *Postkolonializm wobec podróży: Niektóre przypadki Andrzeja Stasiuka*, „Rocznik Komparatystyczny” 2012, nr 3, s. 54.

szczęście leżało gdzieś daleko. Bóg raczył wiedzieć gdzie. A teraz myk i już. Bez wizy nawet (O 35).

Interesującym motywem w twórczości autora *Wschodu* jest refleksja nad odrębnością konstrukcji kulturowej Europy Wschodniej osadzonej w filozoficzno-metafizycznym tyglu opuszczenia i bezradności. Stasiuk podkreśla: „w naszym świecie jest coraz mniej starych rzeczy i miejsc”<sup>22</sup>. Tym, co najbardziej pociąga pisarza na Wschodzie, jest niejednorodność przestrzeni. W *Fado* pisał o specyficznej środkowoeuropejskiej samotności, „wiecznym sieroctwie, na które nie ma lekarstwa. [...] Wieczna, nieustająca samotność i opuszczenie”<sup>23</sup>. Można zaryzykować twierdzenie, że pisarz boi się swojej selektywnej pamięci, a także egzystencjalnej pustki, która wytrąciłaby go z tego błędnego koła lęku i niepokoju, a przecież właśnie dzięki tej dychotomii emocjonalnej może tworzyć kolejne stylistyczne konwencje.

Mentalna reprezentacja Ukrainy wpisuje się w ten schemat narracyjny. W *Osiółkiem* i we *Wschodzie* (także w poprzednich książkach) Stasiuk stara się przekonać czytelnika do fenomenologicznego ujęcia rzeczywistości i hermeneutycznego sposobu opisu. Robi to poprzez wykorzystanie motywu podróży i ewokowanie wspólnej europejskiej historii. Nie pozwala zapomnieć. Obraz staje się nieco łagodniejszy, gdy pisarz patrzy na mapę i wyobraża sobie drogę, projektuje trasę, liczy odległości i wymawia po cichu nazwy: Zabajkalsk, Buriacja, Irkuck, Woroneż, Borisoglebsk, Saratów, Ułan De, Czyta, Birobidżan, Chabrowsk. Ich zasób nie wystarcza jednak, by zachować emocjonalną równowagę. Ponadto to, o czym pisze Stasiuk, ma charakter uniwersalny. Może spotkać każdego<sup>24</sup>. Każdy może wyruszyć w podróż na Wschód.

### **„Cywilizacyjny botoks”, „trupi czerep” i nieskończoność jakaś**

Pierwszy raz Stasiuk wyruszył do Rosji w 2006 roku. Chciał zobaczyć kraj, w cieniu którego upłynęło mu dzieciństwo oraz młodość i zweryfikować wojenne opowieści matki. Chciał zobaczyć duchową ojczyznę pegeeru<sup>25</sup> i pejzaż barbarii. Lecił do Irkucka, lecz wylądował w Bracku, który przywitał go szarym betonem, cementem, starą blachą i „wojskową zielenią mokrych drzew”. Przeraziła go pustka

<sup>22</sup> A. Stasiuk, *Fado*, s. 65.

<sup>23</sup> Tamże, s. 28.

<sup>24</sup> Pisał już o tym: Z. Kloch, *Andrzej Stasiuk, tekstowe figury doświadczenia*, „Images. The International Journal of European Film, Performing Arts and Audiovisual Communication” 2020, nr 27(36), s. 281–288; <https://pressto.amu.edu.pl/index.php/i/article/view/27373> [dostęp: 20.05.2024].

<sup>25</sup> A. Stasiuk, *Wschód*, Wołowiec 2022, s. 20. Dalej cytaty z tego wydania książki oznaczone w tekście głównym skrótem W i numerem strony.



poza lotniskiem. „Jakaś szosa, jakieś budynki [...], ale niezbyt to wszystko istniało” (W 21). Narrator „wykorzystuje” ten obrazowy sposób interpretacji przestrzeni do postawienia fundamentalnych pytań o bezwzględną siłę Rosji „Spaceruję po krawędzi zamieszkałych ziem, a [...] dalej jest już tylko geografia” (W 22). Wie także, że przestrzeń może go pokonać. „Jezu, jak ciemno było w tej Rosji. [...] Oni wszystko mogli” – wyzna zaniepokojony (W 22).

Siła tego kraju to kwestia rozbudowanego systemu czynników mentalnych i jego etnosu. Tę potęgę zbudował między innymi lęk Rosji przed Rosją. Wynikiem tak skonstruowanej narracji jest wprowadzenie czytelnika w rejony niebezpieczne i nierozpoznane. Narrator szybko znajduje uzasadnienie swojej podróży. Jest nim ciekawość i strach, „że jednak można inaczej” (W 43). Ciekawość zaspokajają kolejnymi obrazami mijanych po drodze miasteczek i wsi, a strach zamyka w słowach. W ten sposób konkretyzuje się na oczach czytelnika przestrzeń Rosji. Cały ten kraj jest nieokreślony, z drogami donikąd – napisze w *Osiółkiem*, a we *Wschodzie* doda, że nie ma tam stron:

Wyobrażałem sobie, że w cały kraj od Moskwy po Kamczatkę powtykane są słowa wyklepane i pospawane z blachy, słowa z laminatu, z żywicy epoksydowej, ze zbrojonego szkła, z żelaznych prętów, z dykty, z betonu, z drewna, z czarnej gumy, z aluminium, z fibreglasu, z resztek, słowo za słowem, żeby ludzie mieli wszystko, żeby mogli czytać, ponieważ świat nareszcie miał na powrót należeć do nich. Żeby mogli wymieniać wszystkie nazwy, tak jak na początku, gdy praojciec nadawał imienia wszelkiemu stworzeniu (W 36).

Szczegóły zamienione na słowa mają moc sprawczą. Są niezbędne w procesie poznawania przestrzeni. Dzięki słowom drogi donikąd stają się bardziej rozpoznawalne. Conceptualizacja Rosji przybiera w prozie Stasiuka różnorodne formy. Od dezodorantu i tanich papierosów (ujęcie socjologiczne), poprzez pustkowia (egzystencjalizm/melancholia) do strachu i pogardy (emocje/psychologia). To „monstrum i ludojad pożerający cywilizowane narody” (O 46) – tak narrator podsumuje swoje peregrynacje. Anna Stryjakowska uważa, że Stasiuka wyobrażenia o Rosji:

ukształtowały się w dużej mierze właśnie w czasach demokracji ludowej, kiedy Polska pozostawała w stosunku politycznej zależności od Związku Radzieckiego. Jako uczeń Stasiuk był karmiony wyidealizowanym obrazem wschodniego protektora, kontrastującym z doświadczeniami rodzinnymi z czasów wojny. Mimo szczerych chęci, wyobraźnia młodego człowieka nie przyjmowała do wiadomości mitu o potędze wielkiego sąsiada<sup>26</sup>.

<sup>26</sup> A. Stryjakowska, *Rosja Andrzeja Stasiuka. Ku oswojaniu mentalnych antywartości*, „Przegląd Rusycystyczny” 2012, nr 1–2, s. 130.

Rosyjska przestrzeń jest surowa, przepelniona ciszą i bezkresna w swojej tajemnicy. Po przekroczeniu granicy w Junakiwce eseista wyzna wprost:

Co tu kryć: trochę się bałem. Wiedziałem, że to jest wielkie, jak nic na świecie. Mogło nas pochłonąć na wieki i bez śladu, jak miliony przed nami. Co to takiego zielony osiołek, skoro przypadły tu całe pociągi, narody i kraje. Ledwo kropelka w tym oceanie ładu. [...] Trochę jak do bezkresnego pieca się wjeżdżało. Takiego staroruskiego z chlebową czeluścią (O 38).

Ten demoniczny wymiar Rosji podkreśla Stasiuk w wielu swoich utworach. Jednakże w tym opisie kluczowe jest zwątpienie i przewlekły kulturowy niepokój, który może być pokonany jedynie poprzez zrozumienie rosyjskiej duszy i specyficznej tożsamości. Stasiuk eksploruje więc bogatą historię Rosji od caratu po okres postkomunistyczny. Zwraca uwagę na miejsca o znaczeniu historycznym. To one są początkiem rosyjskiej przygody, podobnie zresztą jak ukraińskiej. Opisuje mentalność i sposoby myślenia Rosjan, ich odmienny stosunek do czasu, relacji międzyludzkich i wiary. Fascynuje go ten kraj – silny, dumny, a jednocześnie zapomniany, zanurzony w niekończącej się przestrzeni. Zastanawiając się nad fenomenem Rosji, wyzna: „Może jakiegoś większego Bandery potrzebowalem? Nie takiego prowincjonalnego, tylko z rozmachem wszechświatowym? Dlatego może do tej Rosji chciałem, do kraju oberbanderowskiego, gdzie wszystko się robiło z gestem i na globalną skalę?” (O 35).

W Timie, przy okazji poszukiwania bankomatu, próbuje podpatrywać codzienne życie tego czegoś „w rodzaju miasteczka”. Tak jak w poprzednich obrazach kataloguje ronda, „posterunki psiarni”, murowane baraki i targowiska. To one skłaniają „niespiesznego narratora”<sup>27</sup> do melancholijnej refleksji:

Co ja tu robię w tym Timie? Też na nich patrzyłem i zaraz za nimi widziałem step, Saratów, Wołgę, Ural, Magnitogorsk, Jemaka i Kołczaka, Batuchana i Trockiego i Spirydonową i Srogiego i Groźnego i skopców, prygunów i chłystów, popowców i bezpopowców, protopopa Awwakuma i von Sternberga i jego Daurię, Workutę i Kolykę i Ob. W czarnym deszczu tamtej jesieni sprzed czterech lat, i zimną trupiarnię, i wieczność całą w pajęczynach, i wskrzeszenie wszystkich zmarłych, i Bogdanowa i Bugulmę, i Bakunina i batkę Machnę i Szumszu, Onekotan, Pramuszyr, Ketoj i Iturup, i listy do kniazia Kurbskiego, Murziłkę i Panfiłkę, korzińkę, kartoszkę, kartonkę i Wielką Bramę Kijowską, i tamtą czarnobylską wiosnę, gdy w sklepach pojawiło się białe mołdawskie wino. Zabrakłoby dnia, żeby wszystko wyliczyć. Więc co tu, do chuja, robiłem z tą swoją przywieszoną mądrością? (O 52)

W ten oto sposób Tim, położony kilka kilometrów od A144, staje się metaforą dziejów rosyjskiej kultury i historii. Pomędzy obrazami ewokowanymi

<sup>27</sup> P. Czaplinski, *Wzniosłe tęsknoty. Nostalgie w prozie lat 90.*, Kraków 2001, s. 131.

a rzeczywistymi szybko pojawia się dysonans: tanie chińskie ubrania i zwykły strach, że im głębiej na Wschód, tym niebezpieczniej. Wszystko „siedziałno w stepi” – podsumuje swoje rozważania. Fascynuje go ten bezmiar przestrzeni. „Im bardziej na wschód, tym bardziej melanco. Ledwo ludzkim przyprószono” (O 55) – wyzna. Niekończący się horyzont pobudza do dalszych metafor. Pisarz w pewnym momencie dochodzi do wniosku, że jest dzieckiem dwóch kontynentów: euroazjatyckiego i amerykańskiego, a więc ma szczególny przywilej i umiejętność opanowania tego bezmiaru przestrzennego oraz kulturowego. Robi to tak, jak zawsze, poprzez konkretyzację przestrzeni. Rosja wciąż pachnie odurzająco, aż kręci się w głowie. Nie poddaje się Stasiukowemu urealnieniu. Można się jej naprawdę bać. To po prostu i aż Rosja: „To znaczy nieskończoność jakaś, którą sobie tak przyjemnie wyobrażać, gdy się siedzi przed mapą” (O 34). Chronotopia jest bardziej metaforyczna, niż świadczą o tym realne obrazy:

Można nie lubić tego kraju, można się w nim nudzić. [...] Można narzekać, że syf, że daleko, że kilometrami nie nie ma, a jak już jest, to żadna Wenecja z Teneryfą. Można kwękać, że Azja, Kałmucja i barbaria. W porządku. Można po rejtanowski rozdzierać bieliznę i pokazywać rany oraz ślady knuta na własnym ojczystym ciele. Można z zatkany nos i zamkniętymi oczami udawać się tutaj jedynie na funeralne pielgrzymki, rajdy katyńskie, zbiórki kości i palenie świateł w imperialnej otchłani. [...] Tak więc można nie przepadać za tymi stronami, mając w pamięci wiekową niewolę, Sybir i Szlisselburg oraz pokrzyżowanie mocarstwowo-kolonialnych planów za ojczyzną od morza do morza. Za Katarzynę można nie lubić, jednego i drugiego Mikołaja, z obu Aleksandrów, za Paskiewicza i Murawjowa Wieszatiela, za Lenina, Stalina i Breżniewa i w ogóle za wszystko, ale za jedno trzeba ten kraj cenić: benzyna jest circa po dwa pięćdziesiąt. I żadna pamięć ani polityka historyczna nie są w stanie zmienić (O 54).

Kolejnym miejscem, które fascynuje pisarza, jest Jamska Słoboda. Tam urodził się Andriej Płatonow. „Nie można myśleć o Rosji, nie myśląc o Płatonowie” (O 63) – konstatuje. W Woroneżu uzmysławia sobie, że Rosja „poszła na wschód”, bo na zachodzie już było ciasno i nie było dla niej miejsca. Papież, Rzym, porządek, jakieś obce języki, granice, „koni wolno nie puścisz” – więc Rosjanie udali się na Wschód. I taka wielkomocarstwowa, Płatonowowska Rosja bez nazw, opętana historią, podoba mu się coraz bardziej. W kolejnych miejscowościach: Krasnokamieńsku, Zabajkalsku, Engelsie i Saratowie, dostrzega horyzontalny *axis mundi* „ruskiego wszechświata”. Wylicza chałupy, komary, chatynki, zielsko, powystawiane wersalki, blaszaki, żelazne płoty. Przedstawia – jak wcześniej w *Opowieściach galicyjskich* – zagładę materii: „Ile byście sobie kremu nałożyli, cywilizacyjnego botoksu wstrzyknęli, to i tak trupi czerep pozostanie” (O 79) – napisze. Tylko Wołga jest piękna i dumna<sup>28</sup>.

<sup>28</sup> Motyw rzeki to oddzielny, ważny temat prozy Stasiuka.

We *Wschodzie* doda, że ten teren to tylko: „smutek, upał i beton” (W 145), śmieci, brud, piasek i wiatr. Wyrusza więc dalej i głębiej na Wschód. Przejżdża przez: Pridoroznyj, Biezymiannoje, Krasnyj Partizan, Zołotaja Stiep, Pionierskoje, Stieпноje. Otoczenie staje się coraz uboższe. Dominuje step, gorąca ciemność, coraz bardziej surrealne nazwy: „dziwna przestrzeń podobna do snu albo kolejnych narodzin” (O 119). Obrazy Rosji są u Stasiuka bardzo emocjonalne. To imperialna otchłań ze skorupami domków, brudnymi ulicami, wszechogarniającą tandetą i sakralną chronotopią.

### Jakiś step na Wschodzie

Kazachstan wita autora *Dukli* piaskiem ułożonym w nowe wzory, tirami, furgonetkami i ludem wędrownym: „Ciężki był ten Kazachstan i od razu miało się wrażenie, że jest nieprzeciętnie wielki. Że mu nie podskoczysz, nie zakombinujesz i że nie ma zmiłuj, tylko trzeba jechać. Nic na skróty. [...] Żadnej litości” (O 123). W Taskale mija rozrzucone felgi i wyprute wnętrza samochodów. Szarobury horyzont wciąga narratora w apokaliptyczną wizję Wschodu. Krzaki zasłaniają drogę. Ratunkiem okazuje się Uralsk (Oral) z sowieckim neoklasycyzmem w zabudowie, dużymi rondami, pomnikami jeleni i wesołymi, kolorowymi banknotami. Taka „przyjemna rozpierducha” – podsumuje Stasiuk. Jednakże ani Aktiubińsk, ani Aralsk, tym bardziej Arał-kum, ani mijane po drodze wyschnięte rzeki, jeziora, zasypane lepianki, białe płoty z patyków, nie wypełniają wyobraźni na tyle, aby budowana na oczach czytelnika „punktowa panorama” (określenie Przemysława Czaplńskiego<sup>29</sup>) została wreszcie zapełniona nie tylko metaforami, lecz także realnością przestrzeni Wschodu.

W semiotyce Stasiuka granice w przestrzeni wyznacza fizyczna obecność narratora, który, niestrudzony, kolejny raz próbuje wejść mentalnie w tę przestrzeń. Wierzy, że da radę z przedwieczną nieskończonością, że opanuje tę „rozgrzaną i nudną emanację kosmosu” (O 149), że poradzi sobie z tą niekończącą się otchłanią. Mija Bajkonur i dociera do Kyzylordu. Kazachstan Stasiuka rozpościera się pomiędzy „zabitymi dziurami”, gdzie „myć się za bardzo nie trzeba”, a nieskończonością stepu i wszechogarniającą wolnością, którą uwielbia. Lubi patrzeć, jak „Europa zmienia się w Azję” (O 130). Wpatrzony w pustkę, projektuje dalszą trasę. Nie patrzy jednak na mapę, bo Kazachstan w dalszym ciągu jawi mu się jako mentalna i fizycznie dokuczliwa pustka.

Z kolei opisy Turkistanu utkane są z gorącego piachu, słonych zapadlisk, kolczastych krzaków, starej baraniny, barakowisk, zrogowaciałych pięt starych mężczyzn, szklanych supermarketów, monumentalnych budowli i czarnego, równiutkiego asfaltu. Z tej krainy pozbawionej cienia narrator wyrusza na południowy

<sup>29</sup> P. Czaplński, *Wzniosłe tęsknoty...*, s. 129.

wschód, przez Törtköl, Köktöbe, Bögen, w azjatycką dal. Jadąc, wyobraża sobie, jak cudownie byłoby przemknąć się „przez tę postsowiecką pustac” jeszcze dalej w stronę Tienszanu, na drugą stronę Gór Niebiańskich, na południe, do stóp Hindukusu i Karakorum, Chin i Indii. Dochodzi do wniosku, że w Azji może doświadczyć oświecenia: „z tym swoim zachodnim indywidualizmem wyglądasz jak jakiś zasraniec. [...] Azji się zachciało. Że niby przemkniesz z tymi wszystkimi myślami, że ładnie, że nieskończoność, przedwieczność, że jakaś geologiczna religia, że krew może i wycieka, ale szkielet żyje przecież wiecznie, a więc można” (O 191). Surowa natura pełni ważną rolę w tworzeniu atmosfery narracji obu opowieści. Organiczną częścią krajobrazu są mijani po drodze ludzie i zwierzęta. Nie ma tu ani postępu, ani rozwoju. Turkistan jest zamknięty w powtarzającej się scenerii „pragnienia podboju i opanowania bezkresu”<sup>30</sup>.

W Ułan Bator w Mongolii jest nieco inaczej. Na oczach czytelnika powstaje obraz utopii: „realizowanej w bezkresie stepu i w „znieruchomiałej historii” (W 158). W Ulaangom powraca wizja „czarnej przestrzeni”. Stasiuk uważa, że to miasto jest jakby za karę zbudowane na stepowym pustkowiu, a pejzaże dziwne, bo „zwierają w sobie najdalszą przeszłość i niewyobrażalną przyszłość” (W 225). Jeśli założymy, że każda operacja myślowa Stasiuka jest wtórną fazą procesu poznania, to każde zinterpretowane przez niego znaki materialne same w sobie są sposobem tego poznania<sup>31</sup>.

W zaprezentowanych opisach Wschodu widoczna jest otwarta postawa pisarza wobec kolejnych doświadczeń oraz wrażeń zmysłowych i wspomnień. Zamrożone w ciele emocje są uwalniane, co daje Stasiukowi poczucie sprawczości. Powstają obrazy z głębi lęku, czyli „coś tak wielkiego, jak ten płaski Wschód”. Europa Wschodnia i Azja to w prozie Stasiuka mapa miejsc jednocześnie ulotnych, fantasmagorycznych, romantycznych i przerażających. Rupieciarnia szczegółów, śmietnik polskich wyobrażeń o tym terenie. Ciekawy jest także sposób jej wizualizacji. Autobiograficzna konstrukcja narratora połączona z fragmentarycznością toponimii daje czytelnikowi możliwość hierarchizacji obrazów i emocji.

W typowej dla Stasiuka narracji topograficznej toczy się ukryta walka pomiędzy zachwytem a poczuciem klęski. Jego rozumienie Europy Wschodniej i Azji wykracza poza myślenie geopolityczne. Jest to oczywiście przestrzeń geograficznie namacalna, historycznie zakorzeniona, lecz kulturowo podzielona, politycznie skłócona, a mentalnie bardzo trudna do interpretacji. „Groza materii strasznej i rozległej aż po Chabarowsk i Władywostok” (W 85) powoduje, że Stasiuk na chwilę staje się derwiszem i ucieka od swojego Wschodu, tego „wysypiska człowieczych

<sup>30</sup> Szerzej na ten temat pisała Elżbieta Rybicka. Por. też: *Literatura, geografia: wspólne terytoria* [w:] *Od poetyki przestrzeni do geopoetyki*, s. 11–25; *Geopoetyka. Przestrzeń i miejsce we współczesnych teoriach i praktykach literackich*, Kraków 2015; *Wschód wyobrażony. Wokół najnowszej prozy Andrzeja Stasiuka*, „Przegląd Humanistyczny” 2015, nr 4, s. 102.

<sup>31</sup> Szerzej: A. Krąpiec, *O filozofii*, Lublin 2008, s. 16.

resztek” (W 112). Odurzenie przestrzenią jest jednak na tyle silne, że gdy jest na granicy w Hrebennem, wyobraża sobie, jak wstają z grobów miliony zastrzelonych, zasypanych, spalonych, zarżniętych, uduszonych, utopionych, zagłodzonych: Żydów, Polaków, Ukraińców, Białorusinów, Rosjan, Kałmuków i Turkmenów, przestaje być derwiszem. Wraz z odurzeniem nadchodzi nieuchronna zagłada materii. Obrazy białoruskich kolchozów przeplatają się z opisami zapadających się domów i wydłubionych wsi: „W żyłach tych ziem, w jej podziemnych rzekach krąży narkotyki, który podsyca szaleństwo, i dostaje się zawrotu głowy od ogromu tej przestrzeni i od złudzenia, że można ją opanować i przemienić (W 113).

W *Osiótkiem* i we *Wschodzie* odżywają też historie zapamiętane z dzieciństwa: pierwszy Rosjanin widziany niedaleko Dworca Wschodniego w Warszawie, „nierozgarnięty Rusek” z opowieści matki, bogate pociągi do Moskwy, rosyjskie pocztówki trójwymiarowe i kolorowe matryoszki. Do budowania literackich obrazów Stasiuk wykorzystuje strategię inkluzywną. Włącza czytelnika w narrację, aby przypomnieć mu, że Europa Wschodnia i Azja to wciąż tereny, które chcemy mentalnie opanować. Jego i nasza podróż na Wschód musi więc trwać, ponieważ „obraz utopii realizowanej w bezkresie stepu i znieruchomiałej historii ma nieodpartą siłę” (W 158). Jest ona silniejsza od lęku i niepokoju.

Anita Frankowiak

## Bibliografia

- Andruchowycz J., Stasiuk A., *Moja Europa. Dwa eseje o Europie zwanej Środkową*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2007.
- Bauman Z., *44 listy ze świata płynnej nowoczesności*, przeł. T. Kunz, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011.
- Bugajski L., *Dlaczego Stasiuk podróżuje?*, „*Twórczość*” 2014, nr 12, s. 115–125.
- Czapliński P., *Wzniosłe tęsknoty. Nostalgie w prozie lat 90.*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2001.
- Czyżak A., *O granicach. „Przewóz” Andrzeja Stasiuka wobec tradycji i współczesności*, „*Białostockie Studia Literaturoznawcze*” 2022, nr 20, s. 209–219.
- Derrida J., *Marginesy filozofii*, przeł. A. Dziadek, J. Margański, P. Pieniążek, Wydawnictwo KR, Warszawa 2002.
- Dutka E., *Heterotopie: o twórczości Andrzeja Stasiuka* [w:] *Skład osobowy. Szkice o prozaikach współczesnych*, cz. 1, red. A. Nęcka, D. Nowacki, J. Pastarska, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2014, s. 437–466.
- Fazan J., „*Kundel, hiena, mieszaniec*”. *Geopolityczne wyprawy Andrzeja Stasiuka* [w:] *W ogrodzie świata. Profesorowi Aleksandrowi Fiutowi na siedemdziesiąte urodziny*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2015, s. 181–192.
- Gleń A., *Andrzej Stasiuk. Istnienie*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2018.
- Frankowiak A., *Desakralizacja egzystencji w prozie Andrzeja Stasiuka*, „*Fraza*” 2005, nr 1–2 (47–48), s. 157–162.

- Frankowiak A., *Proza Andrzeja Stasiuka w perspektywie personalizmu Miguela de Unamuno* [w:] *Między Złotym a Srebrnym Wiekiem Kultury Hiszpańskiej*, red. M. Jagłowski, D. Sepczyńska, A. Frankowiak, Instytut Cervantesa w Warszawie, Instytut Filozofii UWM w Olsztynie, Instytut Kulturoznawstwa OWSliZ im. T. Kotarbińskiego, Olsztyn 2008, s. 389–397.
- Frankowiak A., *Swojskość i obcość. Dylematy egzystencjalne w prozie A. Stasiuka*, „Fraza” 2003, nr 1–2 (39–40), s. 171–179.
- Frankowiak A., „Wszystko zaczynało się od mojej obecności”. *Sekretny przekaz prozy Andrzeja Stasiuka*, „Napis” 2011, t. XVII, s. 71–81.
- Iwasiów S., *Postkolonializm wobec podróży: Niektóre przypadki Andrzeja Stasiuka*, „Rocznik Komparatystyczny” 2012, nr 3, s. 51–68.
- Kanasz T., *Emocje w kontekście podróży literackich Andrzeja Stasiuka na Wschód: smutek, strach, nostalgia*, „Zoon Politicon” 2021, nr 12, s. 1–8.
- Kloch Z., *Andrzej Stasiuk, tekstowe figury doświadczenia*, „Images. The International Journal of European Film, Performing Arts and Audiovisual Communication” 2020, nr 27(36), s. 281–288, <https://pressto.amu.edu.pl/index.php/i/article/view/27373> [dostęp: 20.05.2024].
- Konończuk E., *Mapa jako metafora w „opowieściach przestrzennych” Andrzeja Stasiuka* [w:] *Od poetyki przestrzeni do geopoetyki*, red. E. Konończuk, E. Sidoruk, Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku, Białystok 2012, s. 27–48.
- Krapiec A., *O filozofii*, Wydawnictwo KUL, Lublin 2008.
- Marszałek M., *Pamięć, meteorologia oraz urojenia: środkowoeuropejska geopolityka Andrzeja Stasiuka* [w:] *Literatura, kultura i język polski w kontekstach i kontaktach światowych*, red. M. Czermińska, K. Meller, P. Fliciński, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2007, s. 539–547.
- Mazan B., *Z (naj)nowszej literatury polskiej. Rozwijająca się droga Andrzeja Stasiuka na Wschód*, „Acta Universitatis Wratislaviensis” 2015, nr 3679, „Prace Literackie” LV, s. 169–184.
- Mazur E., *Literackie podróże, czyli o przestrzeni i miejscu w literaturze polskiej przełomu XX i XXI wieku (na przykładzie poezji Adama Zagajewskiego i prozy Andrzeja Stasiuka)*, „Acta Universitatis Lodzianensis. Folia Litteraria Polonica” 2020, nr 56 (1), s. 311–330.
- Miejsca, ludzie, opowieści. O twórczości Andrzeja Stasiuka*, red. M. Rabizo-Birek, M. Zatorska, D. Niezgoda, Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza” – Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2018.
- Między Złotym a Srebrnym Wiekiem Kultury Hiszpańskiej*, red. M. Jagłowski, D. Sepczyńska, A. Frankowiak, Olsztyn 2008.
- Nie wiadomo po co się jedzie. Z Andrzajem Stasiukiem rozm.* A. Cytacka, „Czytanie literatury. Łódzkie Studia Literaturoznawcze” 2015, nr 4, s. 237–248.
- Przyklenk J., *Podróż w poszukiwaniu tożsamości – geografia i mit we „Wschodzie” Andrzeja Stasiuka* [w:] *Wędrowka, podróż, migracja: w języku i kulturze*, red. E. Biłas-Pleszak, J. Przyklenk, A. Rejter, K. Sujkowska-Sobisz, Katowice 2018, s. 251–266.
- Rybicka E., *Geopoetyka. Przestrzeń i miejsce we współczesnych teoriach i praktykach literackich*, Universitas, Kraków 2015.
- Rybicka E. *Literatura, geografia: wspólne terytoria* [w:] *Od poetyki przestrzeni do geopoetyki*, red. E. Konończuk, E. Sidoruk, Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku, Białystok 2012, s. 11–25.
- Rybicka E., *Wschód wyobrażony. Wokół najnowszej prozy Andrzeja Stasiuka*, „Przegląd Humanistyczny” 2015, nr 4, s. 95–104.

- Stasiuk A., *Fado*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2006.
- Stasiuk A., *Dojczland*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2007.
- Stasiuk A., *Osiółkiem*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2016.
- Stasiuk A., *Wschód*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2022.
- Stasiuk A., *Rzeka dzieciństwa*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2024.
- Stryjakowska A., *Rosja Andrzeja Stasiuka. Ku oswojeniu mentalnych antywartości*, „Przegląd Ruscystyczny” 2012, nr 1–2, s. 129–139.
- Świat jest zawsze ciekawszy niż to, co uda się o nim napisać. Z A. Stasiukiem rozmowę przepr. Michał Sowiński, „Tygodnik Powszechny” 2024, nr 21, <https://www.tygodnikpowszechny.pl/andrzej-stasiuk-swiat-jest-zawsze-ciekawszy-niz-co-uda-sie-o-nim-napi-sac-1870-89> [dostęp: 20.09.2024].
- Tam za górką Polaków spalili. I taka to rzeka dzieciństwa. Rozmowę z A. Stasiukiem przepr. Amelia Sarnowska, „Onet”, 03.12.2024, <https://kultura.onet.pl/wywiady-i-artykuly/andrzej-stasiuk-tam-za-gorka-polakow-spalili-i-taka-to-rzeka-dziecinstwa-wywiad/1vm05e> [dostęp: 15.06.2024].
- Z Andrzejem Stasiukiem o podróżowaniu, mizantropii, Bogu i brzydkich słowach [w:] *Słowo i sens. Rozmowy Janiny Koźbiel*, Wydawnictwo JanKa, Pruszków 2013, s. 99–136.

### (Self-aware) depictions of eastern Europe and Asia in the prose of Andrzej Stasiuk

#### Summary

The aim of this paper is to analyse the works of Andrzej Stasiuk in order to uncover the imagery employed by the writer to construct the space of Eastern Europe. The article draws upon insights coming from the analysis of two of Stasiuk's novels, "Osiółkiem" [A Little Donkey] and "Wschód" [The East]. I do not overlook Stasiuk's earlier body of work within the adopted research framework. Instead of relying on the contemporary humanistic approach of a "toolbox of research instruments", as it is commonly proposed, I examine Stasiuk's texts from various perspectives, i.e., humanistic, societal, sociological, psychological, and communicative. The conclusions have been developed through descriptive and problem-oriented methods. This approach allows me to demonstrate how the images of Eastern Europe are constructed in Andrzej Stasiuk's literary oeuvre, and the arguments employed therein.

**Keywords:** Eastern Europe, Asia, awareness of space, metaphysics in the prose of Andrzej Stasiuk, the destruction of matter, concrete and intoxication, the poetics of memory, imagined history.



## Osip Mandelsztam

\* \* \*

Nazwy miast, co wśród innych wiodą prym,  
Niech pieszczą uszy znaczością doczesną.  
Nie samo trwa przez wieki miasto Rzym,  
Ale człowieka we wszechświecie miejsce.

To o nie toczą zmagania cesarze,  
Dla niego dają kapłani iść w bój,  
Niewarte wzmianki, jak na polu gnój,  
Są też bez niego domy i ołtarze.

1914

## ACHMATOWA

W obrotu pól, o przygnębienie,  
Spojrzała. Nic? A sześć ich pal!  
Spływając z ramion się zamieniał  
W kamień pseudoklasyczny szal.

Złowieszczy głos jak gorzki chmiel  
Rozkuwa z kajdan duszę biedną:  
W roli wzburzenia pełnej Fedry  
Stała przed laty tak Rachel.

1914

Adam Ochwanowski

## DLACZEGO TŁUMACZĘ POEZJĘ JESIENINA I WYSOCKIEGO

W 1967 roku stałem się subskrybentem serii wydawniczej „Biblioteka Poetów” firmowanej przez ZSMW, redakcję „Nowej Wsi” i Ludową Spółdzielnię Wydawniczą. Ta kapitalna inicjatywa wydawnicza pozwoliła mi poznać życie i twórczość znakomitych poetów, na całej szerokości geograficznej, zarówno tworzących w zamierzonych czasach (Safona), jak i współcześnie. Każdego miesiąca poczta przynosiła kolejny tom wierszy i było to dla mnie wielkie święto. W drugiej klasie liceum trafił do mojej biblioteki tom wierszy Sergiusza Jesienina. Zakochałem się w jego poezji do tego stopnia, że postanowiłem nauczyć się solidnie języka rosyjskiego, aby móc czytać go w oryginale, choć nie byłem pilnym uczniem. Ale nie jego wiersze sprowokowały mnie do pierwszej translatorskiej próby. Moja starsza koleżanka, studentka filologii rosyjskiej, wiedząc, że zajmuję się, nieśmiało, pisaniem wierszyków podrzuciła mi wiersz *Sobota* Eugeniusza Jewtuszenki, a żeby mi było łatwiej, dołączyła przekład filologiczny tego wiersza z prośbą o przekład. Pomimo dobrych chęci nie sprostałem wyzwaniu i dałem sobie spokój z translatorskimi próbami na kilkadziesiąt następnych lat. Przypadek sprawił, że w 2015 roku znalazłem się na koncercie znanego piosenkarza (lubię jego autorską twórczość), który zmierzył się z pieśniami mojego idola Włodzimierza Wysockiego. Zarówno przekłady zaproponowane przez artystę, jak i ich anemiczna transmisja wprowadziły mnie w stan buntu i irytacji. Dlatego postanowiłem sam spróbować i dziś mam w szufladzie ponad dwadzieścia przekładów jego pieśni. Nie było łatwo, ale ośmielił mnie i pomógł przypadek. Mianowicie trafiłem na skromną książeczkę, wydaną w 1986 roku, pt. *14 piosenek w przekładach Ziemowita Fedeciego*, gdzie we wstępie tłumacz – klasyk przekładów z języka rosyjskiego – napisał między innymi:

Chcąc utrafić we właściwy ton, już z góry trzeba zrezygnować z dosłowności, wyrzec się ślepego naśladowstwa. Tłumacz Wysockiego powinien, jak sądzę, pokusić się o przekład bliski oryginałowi, a zarazem, co wydać się może paradoksalne, odmien-

ny. Taki, który zabrzmiałby jak piosenka, napisana przez rosyjskiego pieśniarza po polsku dla Polaków<sup>1</sup>.

To był bardzo dobry i potrzebny drogowskaz. Swoje przekłady wysłałem do nieodżałowanej Marleny Zimnej z prośbą o ocenę i ewentualne uwagi. W krótkim czasie otrzymałem bardzo ciepłą i sympatyczną odpowiedź, zachęcającą do dalszych translatorskich prób z kilkoma istotnymi uwagami i radami, które wyszły moim przekładom na dobre i są bardzo przydatne przy kolejnych próbach. A do wierszy Jesienina wróciłem za namową jednej ze znajomych na Facebooku, gdzie pochwaliłem się kilkoma przekładami Wysockiego. Poszło mi o wiele łatwiej, co jest niewątpliwie zasługą Ziemowita Fedeckiego i Marleny Zimnej.



Daria Jarosz

<sup>1</sup> Z. Fedeki, *Wstęp* [w:] W. Wysocki, *14 piosenek w przekładach Z. Fedeckiego*, Warszawa 1986, s. 19.

## Sergiusz Jesienin

\* \* \*

Niewolniku rymów. Księżyc w pełni  
Wiersz pijany zagląda ci w oczy  
Gdy niestałość wchodzi w świt marudny  
Miłość karty zaznacza z niemocy

Patrz jak łuna podstępnie się skrada  
Nic nie widać, chociaż płoną oczy  
Z damą pik napić się mam ochotę  
A tu nagle czarny as wyskoczył

Przełożył Adam Ochwanowski



Magdalena Kania

Włodzimierz Wysocki

## ZDARZENIE W RESTAURACJI

Drzwi do knajpy otwarte. Przywitał mnie gwar  
Pachnie wódką i duszno od dymu  
Przy stoliku samotnie – siedzi kapitan  
Mogę usiąść – spytałem. On skinął

Papierosa wyjmuję i mówi mi: pal  
Ja, dziękuję – „Kazbeków” nie palę  
Pełną szklanekę podsuwa i prosi mnie: pij  
A ja wódki nie odmawiam wcale

Galopują kolejki, na stoliku tłok  
Bohaterska fantazja nas bierze  
Więc – na zdrowie – pijemy za życie, za zdar  
I klepiemy pijackie pacierze

Wali pięścią kapitan, kołysze się stół  
Dzikim krzykiem w krzeselko mnie wbija  
Ja pod Kurskiem za ciebie chodziłem na bój  
Abyś dzisiaj gorzałę mógł pijać

Chciałbym widzieć, jak idziesz w ataku na czołg  
Popatrz durniu, na piersiach mam blizny  
Moja młodość na wojnie została, byś ty  
Z wolnej dzisiaj korzystał ojczyzny

A ty kto włóczykiju? Skąd ojciec? Skąd ród?  
Czy nie wstydzisz się swojej rodziny  
Jesteś swolocz i cham, tylko wódkę byś chlał  
I lży kapią mu z rudej szczeciny

Ja milczałem, choć wspomnień ogarnął mnie szal  
Bo po prawdzie, gdy on był kapralem  
Ja na polu, pod Kurskiem, gdzie toczył się bój  
Jedną kulę pod żebro dostałem

Ile można wytrzymać, gdy trafia cię szlag  
Więc uniosłem się wreszcie honorem  
Zamknij dziób kapitanie, to było nie tak  
Ty na pewno nie będziesz majorem

## PIEŚŃ O ŻOŁNIERZU, CO NIE POWRÓCIŁ Z BOJU

Dzisiaj wszystko nie tak, życie leży na wznak  
Boli pamięć i drży z niepokoju  
Zgasło słońce, śpi las i zatrzymał się czas  
Bo nie wrócisz z ostatniego boju

Garniec marzeń i sny, wspólne noce i dni  
Dłoń braterska, co chroni od znoju  
Kiedy pleni się zło, nagle pytań jest sto  
No bo ty nie powrócisz już z boju

Wspólny pacierz i grzech, czasem łzy, czasem śmiech  
Smak nadziei, gdy nie ma spokoju  
Choć nakryty jest stół, nie chce stopić się ból  
No bo ty nie powrócisz już z boju

Kiedy nas dziki los rzucił na wojny stos  
Chcąc poetę zamienić w gieroja  
Papierosa ci dam, to jest wszystko, co mam  
Ale on nie powrócił już z boju

## DAJCIE PSOM MIĘSA

Dajcie pieskom mięsa kęs, pijakom gorzałę  
Może jest w tym jakiś sens, choć nawyki stare

Wrony strachów boją się, można sypać ziarno  
Młodym dajcie stały kąt, jasność – gdy jest czarno

Mnie pozwólcie godnie żyć, wśród normalnych ludzi  
Psy o mięso nie żrą się, wódka czoła studzi

Gdy wron sytych słyhać gwar, plon do góry pnie się  
Zakochani burzą mur, miłość warkocz plecie

Na kolana upadł Bóg, przed zamkniętą bramą  
Razem z nami modli się – zawsze o to samo

Można upiec z ziarna chleb, do żniw się sposobić  
Mnie dziś spadła wolność z chmur. Nie wiem co z nią zrobić...

## O CZYM JA ROZMAWIAĆ Z TOBĄ MAM...

O czym ja rozmawiać z tobą mam  
Jesteś głupia, szkoda strzępić język  
Pójdę do chłopaków wódkę chlać  
Gdzie uczona toczy się rozmowa

Tam poważny i gorący spór  
Kto ma słabą, a kto głowę tęgą  
Z kim się nie da, a z kim można żyć  
A monopol myśli jest potęgą

Tam filozof z chamem – za pan brat  
I z tematu żaden z nas nie zboczy  
Mądrych pytań czasem bywa sto

Kto postawi, kto po wódkę skoczy  
Ty mi rano dajesz w szklance kwas  
A mnie jest potrzebne zrozumienie  
Poziom intelektu dzieli nas  
Podnieś lepiej swoje wykształcenie

## NIE LUBIĘ

Nie lubię plotek, które łamią życie  
Nie lubię krzyku nadgorliwych służb  
Nie lubię zimnej rękokości bata  
Buńczucznych pieśni i fatalnych wróżb

Nie lubię, kiedy człowiek – nie brzmi dumnie  
Gdy do medali pierś wypina łgarz  
Nie lubię, gdy się święta z dziwką swata  
Gdy chcą mi strzelać w plecy albo w twarz

Nie lubię bajek, co pachną cynizmem  
Durnych zaszczytów też nie mogę znieść  
Nie lubię, kiedy plują na ojczyznę  
Bo w moją duszę mogą napluć też

Nie lubię, kiedy rozpacz gardło ściska  
Nie lubię książek, co się kończą źle  
Nie lubię chałtur prawdziwych artystów  
I szefów, którzy poganiają mnie

Nie lubię świty i durnych statystów  
Umyślnych kresek w witrażowym szkle  
Nie lubię białych i czarnych rasistów  
I śmiesznych hasła w narodowym tle

Ja nienawidzę tych, co się staczają  
Mierzi mnie sztuczność i maskowy bal  
Nie lubię tych, co się na wszystkim znają



Tylko Chrystusa męki jest mi żal

Nie lubię, kiedy słabość tłamsi siłę  
Gdy się dobiera do mnie zwykły lęk  
Kiedy mi każą farbować siwiznę  
I gdy bełkoczę, zamiast śpiewać dźwięk

Nie lubię aren i klaszczącej tłuszczy  
Choć im sprzedają pospolity chłam  
I nie polubię, nie polubię wcale  
Gdy kicz się cieszy z połączanych ram

Włodzimierz Wysocki

Przełożył Adam Ochwanowski



Wojciech Kapłon

20 rocznica śmierci Czesława Miłosza

Adam Lizakowski

## KALIFORNIJSKA SOSNA I BRZOZA CHICAGOWSKA. O KORESPONDENCJI CZESŁAWA MIŁOSZA I TYMOTEUSZA KARPOWICZA UWAGI OSOBISTE

Ukazała się w tym roku korespondencja Czesława Miłosza i Tymoteusza Karpowicza<sup>1</sup>, epistolografia nieobfita, ale ważna, gdyż już za życia zaliczano ich obu do grona najświetniejszych poetów i ta opinia utrzymuje się do dziś. Obaj zasługują na miano „poeci poetów”. Tak się w moim życiu złożyło, że miałem szczęście i zaszczyt poznać obu w miejscach ich zamieszkania w Ameryce – Miłosza spod hippisowskiego San Francisco w Berkeley, Karpowicza spod Chicago, w miasteczku Ernesta Hemingwaya Oak Park. Jak możliwa była przyjaźń pomiędzy nimi, tak różniącymi się od siebie nie tylko dykcją poetycką, ale sposobem wyrażania świata? Karpowicz jest nazywany ostatnim wielkim modernistą oraz mistrzem polskiej poezji lingwistycznej<sup>2</sup>, Miłosz zaś gospodarzem literatury polskiej, czasem jej ogrodnikiem<sup>3</sup>.

Omawianie korespondencji tych poetów to analizowanie dwóch wielkich postaci, ich relacji wobec siebie i wobec czytelników ich wierszy. Relacji bardzo skomplikowanych w przestrzeni, w której żyli nie tylko jako poeci, ale i ludzie. Ich znajomość musiała być oparta na jakichś zasadach i nie mogła polegać tylko na tym, że obaj byli poetami. Musieli od siebie nawzajem czegoś oczekiwać. Co miał z tej znajomości Miłosz, a co Karpowicz? Niejeden czytelnik ich listów może zadać sobie takie pytanie. Jasnej i jednoznacznej odpowiedzi na nie w nich nie znajdzie.

San Francisco i Kalifornia to zupełnie inna kraina niż Chicago i Illinois. Nie mam na myśli tylko natury, bo wiadomo, że Kalifornia ma klimat śródziemnomorski, a Illinois to zimna północ. Aby to zrozumieć, trzeba zobaczyć samemu,

---

<sup>1</sup> Wszystkie cytaty, jeśli nie ma podanego źródła, pochodzą z książki Czesław Miłosz / Tymoteusz Karpowicz, *Korespondencja [1965–2003]*, zebrał, opracował i notą edytorską opatrzył E. Pasierski, Wrocław 2024.

<sup>2</sup> M. Wieliczko, *Tytan poezji zakodowanej. Tymoteusz Karpowicz*, [www.wroclaw.pl/dla-mieszkanca/tymoteusz-karpowicz-tytan-poezji-zakodowanej](http://www.wroclaw.pl/dla-mieszkanca/tymoteusz-karpowicz-tytan-poezji-zakodowanej)

<sup>3</sup> Czesław Miłosz jest często nazywany „gospodarzem literatury polskiej” ze względu na jego ogromny wkład w rozwój polskiej literatury i kultury.

jaka wielka różnica dzieli monotonną, nużącą, płaską panoramę amerykańskiej prerii wokół Chicago od przepychu – jako pierwszego wrażenia wizualnego – intensywnej palety kolorów wokół San Francisco. Może to być pustynia i jej piasek zmieniający kolor w zależności od godziny, dnia i pory roku, życiodajne doliny lub Góry Skaliste, których materię natura namalowała tak, że oczy wchłaniają odcienie kolorów.

Przede wszystkim jednak ta „inność” polega na stosunku do polskości w obu wymienionych miejscach USA. Miłosz przebywał w środowisku amerykańskim, daleko od polskości i Polaków, a Karpowicz nie, i to on był, wbrew pozorom, w bardziej dramatycznej sytuacji niż przyszły noblista. Miejsce Karpowicza było niezwykle, ale on tej niezwykłości praktycznie nie wykorzystał, bowiem od półtora wieku miejsce jego życia w Stanach było skrawkiem polskości na ziemi amerykańskiej. Niezwykłość polega na tym, że poeta w środowisku ciężko pracującej Polonii jest postacią bezbronną i z braku siły nie może przeciwstawić się światu zarządzanemu przez ludzi, dla których kultura jest ostatnią rzeczą na długiej liście materialnych potrzeb.

Profesor Karpowicz w stolicy Polonii zachowywał się tak, jakby nigdy nie wyjeżdżał z Wrocławia. Chicago traktował jak część Polski, zapominając nie tylko o położeniu geograficznym miejsca, w którym było dane mu żyć, ale i sytuacji, w jakiej się znalazł. Pisze, a raczej układa wiersze całkowicie oderwane od polonijnej rzeczywistości. Nie dostrzega otaczających go ludzi, tego, co oni czują i myślą, zapomina, dlaczego znaleźli się z tej strony Atlantyku.

Chicagowska Polonia prawie nie wie o istnieniu Karpowicza mieszkającego na wyciągnięcie ręki, ale zna nazwisko Miłosza przebywającego tysiące kilometrów w Kalifornii. Wie, że sława Miłosza po Noblu zaczęła go wyprzedzać. To powinien być dla niej powód do dumy, a jest wręcz przeciwnie – jego światowa rozpoznawalność nie jest tu mile widziana. Dla żołnierzy walczących z bronią w ręką na wszystkich frontach świata, którym Stalin ukraść Polskę, bowiem poprzesuwał granice, poeta Miłosz był problematyczny między innymi dlatego, że, podobnie jak redakcja paryskiej „Kultury”, zbyt łatwo zaakceptował postanowienia Konferencji Jałtańskiej.

Studenci poety z Berkeley to przede wszystkim rodowici Amerykanie, dla których Polska była egzotycznym krajem. Większość z nich nie miała w życiu żadnego kontaktu z polsnością. Uczenie ich literatury i kultury polskiej wymagało nie lada sprytu i podejścia takiego, które nie zniechęciłoby ich, ale wręcz przeciwnie



Fot. Adam Lizakowski

Czesław Miłosz w swoim gabinecie w domu na Grizzly Peak, Berkeley 1988 r.

– zachęciło do nauki. Bycie nauczycielem/profesorem to nie jest łatwy zawód, wymaga wiele pracy oraz wysiłku, w szczególności od tych, którzy sami są twórcami i muszą dzielić swój czas na przygotowanie się do zajęć i własną twórczą pracę. Miłosz wyglądał na twardego, wyrachowanego gracza. W korespondencji z Karpowiczem zakładał maskę człowieka obdarzonego żywotną inteligencją, który ma niewiele złudzeń co do swoich studentów, mierzy ich uważnym i nieufnym spojrzeniem.

Studenci Karpowicza z Oak Park byli emigrantami solidarnościowymi (wyemigrowali z Polski po 1980 roku) albo dziećmi pierwszego pokolenia Polaków, których rodzice, na dobrą sprawę, nigdy nie nauczyli się dobrze języka angielskiego. Na pewno były też osoby niemające nic wspólnego z tą częścią Europy, której kulturę chciały poznać, studiując literatury słowiańskie i bałtyckie.

Na marginesie dodam, że w Oak Park mieści się stacja radiowa 1490 AM, której właścicielem stał się z czasem Związek Narodowy Polski. Z niej praktycznie przez 24 godziny na dobę nadawane są audycje w języku polskim lub angielskim, prowadzone przez Polaków urodzonych w Polsce lub w Stanach Zjednoczonych. Kontakt z żywym językiem polskim dla kogoś, kto chce się go nauczyć, jest zatem na wyciągnięcie ręki. W Chicago znajduje się ponadto największe poza granicami kraju Polskie Muzeum i wspaniała biblioteka z interesującym księgozbiorem, liczącym tysiące tomów.

Mówiąc o Karpowiczu, autorze *Z przedsonka polskiego piekła*, nie sposób jest nie wspomnieć o jego żonie Marii, lubianej i szanowanej pracownicy biblioteki przy Polskim Muzeum w Chicago, do której zwracano się: „pani Marylo”. Poznałem ją, odwiedzając wiele razy bibliotekę. Drobna, szczupła pani, z którą rozmawiało się bardzo cicho, miała szeroki uśmiech i życzliwość wypisaną na twarzy. To przez nią skontaktowałem się z profesorem Karpowiczem. Nie musiałem się przedstawiać, dużo o mnie wiedział, pani Maria dobrze mnie zapowiedziała. Dzięki niej poznał mój tomik wierszy *Złodzieje czereśni*<sup>4</sup>, wydany w San Francisco. Pamiętał także moje wiersze z łam paryskiej „Kultury”.

Żona była doskonałą łączniczką między mężem a polskością. Dzięki pracy w bibliotece miała dostęp do polskiej prasy, także tej sprzed lat, wydawanej w kraju i na emigracji. Karpowicz miał też własną, legendarną, domową bibliotekę i to, czego potrzebował, zawsze pod ręką. Łatwość dostępu do fachowych bibliotek plus perfekcjonizm i wygórowane standardy literackie mogą być przeszkodą w pisaniu własnych utworów. Karpowicz był tego doskonałym przykładem. W jego gabinecie wszędzie leżały kartki i fiszki (na przykład niedokończony poemat *Rozwiązywanie przestrzeń*). Ciągłe niezadowolenie z siebie i uparte dążenie do ideału prowadziły go do artystycznej klęski, wynikającej z dociekliwości i ciągłego braku czasu. Tworzenie, które słusznie można nazwać „grzebaniem w słowie”, przyniatało go i całkowicie pochłaniało. Ucieczką od frustracji była dla niego praca w domu

<sup>4</sup> A. Lizakowski, *Złodzieje czereśni*, Stevens Point 1990.

– zwłaszcza zajęcia ogrodnicze, stanowiące „furtkę”, przez którą wychodził na „świeże powietrze” i odrywał się od pożółkłych, utleniających się kart książek.

Dla wielu może być dziwne, że emigrant zgromadził tysiące książek pod własnym dachem, aby mieć dostęp do polskości, gdziekolwiek by ona nie powstawała. A Karpowicz tęsknił za polskością, czego dowodem była biała brzoza posadzona przez niego koło domu, o której opowiedziała mi jego żona – symbol Polski w dalekiej Ameryce, Wiosną 1993 roku urwał się mój kontakt z nią, bo zmieniła pracę – po siedmiu chudych, bibliotekarskich latach powróciła do zawodu nauczycielki w Chicago Public Schools.

Dzwoniłem do profesora od czasu do czasu, ale nie za często. Nie zawsze czułem się dobrze podczas tych rozmów. Karpowicz potrafił być miłym i ujmującym człowiekiem na początku rozmowy, ale wraz z upływem czasu stawała się ona „jazdą bez trzymanki”. Nasze rozmowy nie kleiły się, były udziwnione poprzez zlepkę słów, których nie rozumiałem, przez wyrazy, których nie znałem, gdy mówił o literaturze czy kulturze w szerokim słowa tego znaczeniu, nawet wtedy, gdy przekazywał mi tylko informacje. Jak choćby tę, że należy czytać wiersze Krystyny Miłobędzkiej z Puszczykowa. „Czy ją znam” – zapytał mnie. – „Nie, nie znam, ale podoba mi się nazwa miejscowości”.

Karpowicz był zawili w swoich wypowiedziach, czasem miałem odczucie, że udaje kogoś, że specjalnie chce być trudnym do zrozumienia. Najciekawsze były dla mnie jego monologi o pracy w ogrodzie albo o tym, że coś trzeba w domu naprawić, bo sam wykonał wszystkie meble, łącznie z kuchennymi. O swojej twórczości czy pisaniu wierszy raczej nie mówił, unikał tego tematu, jakby uważając, że ważniejsza jest pielęgnacja ogrodu. O uprawie kwiatów, warzyw i ziół rozprawiał z wielkim znanstwem.

Znając obu autorów korespondencji, z radością rozciąłem folię, w którą była zapakowana książka licząca 150 stron i prawie pół wieku historii w niej zawarte między 1965 rokiem a 2003 – od rewolty studentów w San Francisco po wejście Polski do NATO i Unii Europejskiej. Kilka dekad zmagania Polaków w „budowaniu” komunizmu, a później kapitalizmu, okres Solidarności i stanu wojennego, dwa literackie Noble dla polskich poetów. Ale ani o polityce, ani mijającym czasie historycznym nie ma w tej książce mowy. Można także powiedzieć, że jest to skromne 150 stron, jak na takich gigantów literatury, największych poetów polskiej emigracji mieszkających w XX wieku w USA wśród Polonii chłopsko-robotniczej, z którą ani jeden, ani drugi nie miał prawie nic wspólnego.

W książce znajduje się 27 listów, w tym jedenaście autorstwa Miłosza. Jest też w tej korespondencji sporo dziur czasowych, obejmujących nawet dziesięć lat. A nie były to czarne dziury, które – jak pisał znajomy Miłosza Albert Einstein – zakrzywiają czasoprzestrzeń tak bardzo, że człowiek może jednocześnie zobaczyć swoje narodziny i śmierć, nawet własne plecy, jednym słowem całe życie.

List pierwszy Miłosza z 1963 roku rozpoczyna się jego irytacją jako tłumacza, że Karpowicz zamiast wyrazić zgodę na publikację czterech wierszy

w przygotowywanej przez niego w Ameryce antologii poezji polskiej powstałej po II wojnie światowej – słynnej *Postwar Polish Poetry*<sup>5</sup> – zasłania się ZAiKS-em. Jakby miał obawy przed komunistami, że bez ich „błogosławieństwa” nic nie można zrobić. W odpowiedzi Karpowicz dziękuje tłumaczowi za przekład i pamięć, przy czym skarży się: „na Zachodzie tłumaczy się moje wiersze [z] okresu wcześniejszego, «publicystyczne», tak bardzo dla mnie w zasadzie nietypowe. Trudno” (s. 40). Nie wiem, kto jeszcze poza Miłoszem tłumaczył na Zachodzie wiersze poety z Wrocławia, ale list kończy się serdecznym podziękowaniem i najmiłszymi pozdrowieniami.

Znajomość poetów, dość powierzchowna, przetrwa jednak prawie 50 lat, aż do śmierci Miłosza. Poza literaturą polską i troską o nią będzie w niej rozmowa o Julianie Przybosiu, *spiritus movens* awangardowej polskiej poezji, dziesięć lat starszym od Miłosza. Karpowicz i Miłosz byli mistrzami w prowadzeniu rozmów, ale ich wzajemna rozmowa się nie powiodła, nie miała właściwego klimatu, cieniem kładł się na niej ten trzeci poeta.

List szósty autorstwa Karpowicza pochodzi z marca 1971 roku. Ósma dekada XX wieku jest wyjątkowa, z tego okresu zachowało się najwięcej listów obu poetów, bo aż dziewięć. Lata te są „środkiem ciężkości” tej korespondencji, ani wcześniej, ani później już się tak przed sobą nie tworzą. W liście z marca poeta z Wrocławia pisze o ewentualnym zaproszeniu go do pracy na którymś z uniwersytetów amerykańskich. Gdyby nie przypis wyjaśniający, że to Leon Szwed przebywający w Stanach w latach 1970–1971 nawiązał kontakt z Miłoszem i zasugerował mu, aby pomógł poecie z Wrocławia, list ten byłby zagadką. Karpowicz chce przyjechać do Stanów, ale jest, jak pisze: „obłożony pracą i obowiązkami”. Musi dokończyć to, co rozpoczął. Chciałby przyjechać do Ameryki później, bo wtedy dopilnowałby wydania tomu wierszy *Odwrócone światło*, oddałby także do druku książki o Leśmianie i Przybosiu. Karpowicz jest zajęty, praca go pochłania. Wspomina o tym, że gdyby się spotkali, mogliby porozmawiać o „skompletowaniu materiałów do mego studium o Panu” (s. 47). Z tego listu możemy się dowiedzieć, nad czym poeta pracuje. Oddanie Leśmianowi i Przybosiowi pozostanie z nim do końca jego życia, jednak zapowiadanego studium o Miłoszu nigdy nie napisze. Pomiędzy listem piątym a szóstym jest „dziura” trzech lat.

List siódmy jest autorstwa Miłosza (adresat jest już w Stanach od października 1973 roku). Informuje on Karpowicza, że jest już osoba, która zamierza napisać książkę o jego twórczości. Nie zdradza jednak, kim ona jest, i zastanawia się, z jakiego powodu poeci tak od siebie odmienni, jak Leśmian, Przyboś i on, mają być omawiani w jednej książce. Sugeruje z lekką ironią, że Karpowicz traktuje go zbyt poważnie: „Jakże mogę przedstawić siebie, że podoba się Panu moja poezja, jeżeli cokolwiek jest w niej dobre, jest karygodną zbrodnią według poetyki Przybosia – i na odwrót” (s. 51). Miłosz miał uprzedzenia do Przybosia jeszcze sprzed wojny,

<sup>5</sup> C. Miłosz, *Postwar Polish Poetry. An anthology*, Garden City, New York 1965.

podzielał też nie najlepsze o nim zdanie Aleksandra Wata<sup>6</sup>, którego wysoko cenił jako człowieka i pisarza.

List kończy się genialnym wycuciem sytuacji w Polsce lat siedemdziesiątych XX wieku. Miłosz jako gospodarz literatury polskiej martwi się zbyt dużym zamilowaniem w kraju do poezji anglosaskiej, a także niskim poziomem tłumaczonych wierszy. Stwierdza też, że „dobrych poetów na Zachodzie [jest] niewiele” (s. 51). Trafnie przeczuwa, że w następnych dekadach amerykańska poezja, przede wszystkim nagminnie przekładana szkoła nowojorska, tak zdominuje poezję polską, że poeci urodzeni w drugiej połowie XX wieku, zafascynowani nią, obniżają jej poziom. List dziewiąty jest najdłuższy w całej korespondencji. Karpowicz odpowiada w nim na siódmy list Miłosza, wyjaśniając, dlaczego chce w swej monografii połączyć Leśmiana, Przybosa i Miłosza. Jest datowany na 24 grudnia 1973, pisany w Iowa City. Ma aż 42 przypisy, sam w sobie stanowi małe arcydzieło.

W liście jedenastym Miłosza pobrzmiewa echo siódmego listu. Poeta raz jeszcze uzasadnia, co jest, według niego, literaturą, a co nie jest, Dowiadujemy się, że Mickiewicz nie jest literaturą, a są nią twórczość Żeromskiego, Reymonta i Kasprzowicza. Dla Miłosza Mickiewicz jest czymś więcej niż tylko pisarzem. To instytucja, jego oddziaływanie na czytelników Polaków było dużo większe niżli tylko literackie. Po raz kolejny powraca sprawa Przybosa, którego Miłosz traktuje z dystansem, podejrzliwie, przeciwstawiając mu Gombrowicza.

List trzynasty jest pisany przez Miłosza, który nadal nie może zrozumieć, dlaczego Karpowicz ciągle wspomina Przybosa. Poeta z Berkeley stwierdza: „Ładnie, że Pan broni Przybosa, brzydko, że na niego napadam” (s. 84). Jest też troska o przyszłość Karpowicza, któremu starszy poeta daje do zrozumienia, że jeśli chciałby zostać w Ameryce, może mu w tym pomóc, uprzedzając go jednakże: „Dla polskiego poety niezdrowe miejsce” (s. 85). W przypisach znajdujemy informację, że wkrótce po liście do Karpowicza Miłosz napisał dla niego rekomendację do szefa Wydziału Sławistyki Uniwersytetu Illinois w Chicago, gdzie jesienią Karpowicz rozpoczął pracę, którą kontynuował przez dwadzieścia lat, aż do emerytury w 1993 roku.

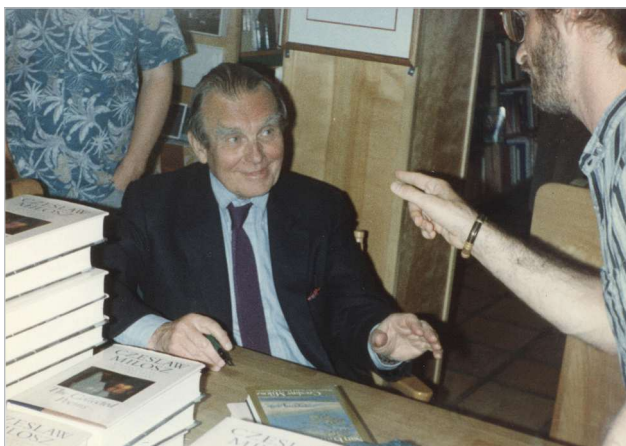
W Miłosza liście czternastym powraca sprawa Przybosa. Powołuje się na wspomnienia Wata, chce oddać Karpowiczowi taśmy z nagraniem swojego głosu, które z czasem przepisze i wyda jako książki. Poezję Przybosa określi jako „poezję głęboko i mimo woli komiczną, łącznie z całym systemem «dyskretnych» rymów” (s. 90). Przybós nie daje spokoju Miłoszowi, Karpowicz jest cały czas podejrzewany przez niego o to, że próbuje mu „sprzedać coś, czego on tak naprawdę nie potrzebuje”. Przybós jest „małą kością niezgody”, a także przeszkodą w „głębszej znajomości”. Jednak w trzecim wydaniu swojej antologii, w 1983 roku, Miłosz umieścił jego wiersze<sup>7</sup>.

<sup>6</sup> Aleksander Wat w 1964 roku objął posadę asystenta w Center for Slavic and East European Studies na Uniwersytecie Berkeley. Wtedy udzielił Czesławowi Miłoszowi serii wywiadów, które ukazały się w opracowaniu Miłosza jako *Mój wiek*.

<sup>7</sup> C. Miłosz, *Postwar Polish Poetry. An Anthology*, Berkeley–Los Angeles–London 1983.

List siedemnasty Miłosza to kolejne arcydzieło samo w sobie. Autor opisuje w nim amerykański system nauczania i daje młodszemu koledze profesorskie wskazówki. Opisuje, jak widzi amerykańskich studentów i jak należy do nich podejść w nauce literatur słowiańskich. List datowany na 14 sierpnia 1974 roku, czyli po czternastoletnim doświadczeniu Miłosza z uczeniem amerykańskiej młodzieży, jest rozpisany w punktach od jeden do cztery. Punkt czwarty wydaje się najciekawszy, jest podzielony na podpunkty a, b, c, d. Autor *Widzeń nad Zatoką San Francisco* stwierdza między innymi: „Uczenie polskiej literatury jest przedsięwzięciem niemal beznadziejnym, bo kogo ma Pan uczyć – to zasadnicze. Umysły to zupełnie dziecięce i należałoby wyliczyć błędy najpospolitsze wykładowców” (s. 102).

Fot. Adam Lizakowski



Czesław Miłosz w Black Oak Bookstore, Berkeley, jesień 1988

Czy Karpowicz zgadza się pod tym względem z Miłoszem, tego nie wiemy, sprawa ta w ich listach już nie wraca. Miłosz wymienia całą gamę problemów w nauczaniu. Padają nazwiska pisarzy – od Kochanowskiego po Gombrowicza oraz tytuły książek. List kończy się następującym stwierdzeniem: „Ogólna obserwacja: nie chcecie im wyłożyć za dużo. Utrzymać się na poziomie dla nas najzupełniej elementarnym, pamiętając, że dla nich to są już pojęcia zawile” (s. 103). Te słowa pisze twórca, który za kilka lat otrzyma literacką Nagrodę Nobla, wykładowca uczący literatury „drugiej” Europy, właściwie nieznaną studentom. Można dziś, po pięćdziesięciu latach, dodać, że to się niewiele się zmieniło. Nadal Europa Wschodnia, Polska, jest dla Amerykanów gdzieś blisko Alaski, w najlepszym przypadku – blisko Rosji. Amerykańskich studentów trzeba ostrożnie uczyć polskiej literatury i historii naszej części świata, w przeciwnym razie szybko się zniechęcą i tracą zainteresowanie nimi.



List dwudziesty pierwszy autorstwa Karpowicza jest krótki, ale treściwy. Został napisany nie w Stanach, ale z Monachium 11 lutego 1978 roku i jest ostatnim listem z burzliwej ósmej dekady XX wieku. Sygnalizuje w nim Karpowicz osobiste tragedie ich żon, które rozegrają się na przestrzeni nadchodzących dwóch dekad. Zacznie się wszystko od ciężkiej choroby żony Miłosza, Janki, która Karpowiczowie poznali podczas wizyty w Kalifornii. Karpowicz może by się pomodlił za jej szybki powrót do zdrowia, ale, jak pisze Miłoszowi, jest osobą niewierzącą. Bardzo chciałby ujrzeć ją w Berkeley, w ich cudownym, przydomowym ogródku pełnym kwiatów. Napomyka, że jego własna żona popełniła wielki błąd, wracając do kraju, bo nie może tam znaleźć pracy i są problemy z jej powrotem do USA, a także, że on nie może publikować swoich sztuk teatralnych w Polsce. Donosi także o tym, że naucza w dwóch uczelniach w Niemczech.

W ostatnich dwudziestu latach w korespondencji między poetami niewiele się już dzieje. Dynamika lat siedemdziesiątych ulotniła się. Miłosz stał się noblistą, poetą międzynarodowym, a Karpowicz nie napisał swojej książki o nim, przytłoczony ogromem materiału, który do niej zebrał. Pomiędzy listem 21 a 22 jest aż pięcioletnia dziura czasowa.

List dwudziesty drugi z maja 1983 roku rozpoczyna dziewiątą dekadę XX wieku. Jest to ważny rok dla Karpowicza, bowiem sto lat wcześniej zmarł Cyprian Kamil Norwid. Miłosz jest trzy lata po Nagrodzie Nobla. Karpowicz przygotowuje się do konferencji poświęconej poecie zmarłemu w przytułku św. Kazimierza w Paryżu. Próbuje zaprosić Miłosza do Chicago. Czterdzieści lat od tego wydarzenia wciąż są Polacy pamiętający występ Stana Borysa, który wyreżyserował sztukę Karpowicza o Norwidzie, jego genialne wykonanie wiersza *Po to właśnie*:

Coraz to z Ciebie jako z drzazgi smolnej  
Wokoło lecą szmaty zapalone  
Gorejąc nie wiesz czy stawasz się wolny  
Czy to co Twoje będzie zatracone  
Czy popiół tylko zostanie i zamęt  
Co idzie w przepaść z burzą.  
Czy zostanie  
Na dnie popiołu gwiazdzisty dyjament  
Wiekuiściego zwycięstwa zaranie?

Część materiałów pokonferencyjnych została opublikowana w akademickim czasopiśmie w języku angielskim „The Polish Review” w Nowym Jorku.

Dwudziesty trzeci list – Karpowicza do Miłosza – jest datowany na 27 grudnia 1991 roku, zatem ponownie po wielkiej dziurze czasowej. Karpowicz przygotowuje się do następnej, trzeciej już (po Norwidzie była także konferencja o Leśmianie), przygotowanej przez siebie w Chicago konferencji naukowej, poświęconej tym razem Przybosiowi, która ma się odbyć wiosną następnego roku. Chicagowska Polonia nie jest z tego powodu zadowolona, jak zawsze mało pomaga

finansowo, a nawet utrudnia organizację imprezy. Przyboś był przecież komunistą. Dlaczego Karpowicz lansuje go w stolicy światowej Polonii? Argumenty profesora, że był to wielki poeta, jeden z najważniejszych przedstawicieli awangardy, na nikim nie robiły większego wrażenia. Przyboś był dla nich chłopskim synem, który – jak tysiące innych synów chłopskich – skorzystał z ustrojowej przemiany i wspiął się w górę po drabinie awansu społecznego. Zatem komunistą i karierowiczem, nic więcej.

Polonia widziała tylko dwa kolory – czarny i biały, innych nie znała i nie zna. Zapowiadała się wielka burza, ale wiadomo, że z wielkiej chmury często powstaje mały deszcz. Ani władze Kongresu Polonii Amerykańskiej, ani Polskiego Związku Narodowego, do którego należy wychodzący ponad sto lat „Dziennik Związkowy”, nie powiedziały stanowczego nie inicjatywie Karpowicza. Dzięki żonie poety Jacka Bierzina, Ewie, absolwentce łódzkiej polonistyki, która pracowała w „Dzienniku Związkowym” jako redaktorka działu polonijnego, już kilka miesięcy wcześniej materiały dotyczące konferencji były publikowane w weekendowych wydaniach pisma, łącznie z rozmową, którą przeprowadziła z profesorem Karpowiczem. Amerykańska Polonia mogła poznać sylwetki przyszłych uczestników konferencji, zamieszczane były nawet ich zdjęcia. Podobnie było z polskim radiem w Chicago. Radiostacja WPNA 1490 Am w Oak Park nie szczędziła czasu antenowego na promowanie zbliżającej się konferencji.

Karpowicz pisze do Miłosza: „Znając Pana stosunek do Przybosia, nie zaprosiłem Pana do grona prelegentów” (s. 119). Noblista nie bierze udziału w konferencji, ma inne wcześniej zaplanowane zajęcia. Organizator konferencji postawił na piedestale swojego ulubionego poetę, jednego z trzech największych – jak to widział: Norwid – Leśmian – Przyboś. Dla ateisty Karpowicza była to święta trójca poezji polskiej, nowatorzy, którym się pokłonił. Można się domyśleć, że widział siebie na czwartym miejscu, po Przybosiu, w gronie nowatorów poezji polskiej. Chicago zaczęło żyć Przybosiową konferencją, bowiem profesor i jego studenci docierali do tych wszystkich, którzy powinni dowiedzieć się o tym spotkaniu naukowców oraz potrafili im w jakikolwiek sposób pomóc.

Na marginesie trzeba dodać, że w roku 1991 przypadała 70. rocznica urodzin poety z Wrocławia. W związku z tym studenci zaplanowali jubileusz mistrza w konsulacie polskim w Chicago. Konsulem był wtedy Andrzej Jaroszyński, który miał wspierać kontakt z Polonią chicagowską. Na uroczystość zaproszono osoby związane z życiem kulturalnym Polonii. Dla wielu sensacją był list gratulacyjny nadesłany przez Miłosza. Karpowicz wyraźnie się nim ucieszył, ale wydawał się być zaskoczony jego treścią. Miłosz stał po drugiej stronie barykady, miał własne zdanie i swoją drużynę, która miała udowodnić czytelnikom, że jest inna droga prowadząca w las polskiej poezji XX wieku. Konsul od spraw polonijnych Sławomir W. przeczytał list Miłosza, w którym najbardziej zapadły w pamięć słuchaczy słowa, że autor „nic a nic nie rozumie” z poezji szanownego jubilata. Na twarzach zebranych ukazało się zdziwienie i lekka konsternacja.

Jubilat tymi słowami za bardzo się nie przejął, tym bardziej, że z dalszej wypowiedzi Miłosza wynikało, iż „niezrozumienie” nie umniejsza znaczenia jego twórczości. Noblista zakończył list słowami, które naprawdę mogą się podobać, że „pisze do niego nie jak do profesora, ale jak do kolegi poety” (s. 143). Wśród zebranych nie zabrakło byłych studentów Karpowicza, którzy bardzo go lubili, mówili o nim z wielkim szacunkiem, życzliwością i dumą. Nie spytałem ich, czy na wykładach jego język polski był tak uduchowiony, jak ten, którego używał w rozmowach ze mną, bowiem jego zajęcia odbywały się w języku angielskim. Dzisiaj, po trzydziestu trzech latach od tamtego wydarzenia, przeczytałem list gratulacyjny Miłosza i mogę spokojnie powiedzieć: Pięknie Pan to napisał, Panie Czesławie, sam Karpowicz nie mógł napisać o sobie lepiej.

W następnym roku w kwietniu odbyła się Przybosiowa konferencja zapowiadana od miesięcy na łamach „Dziennika Związkowego”. Uczestniczyłem w niej w galerii Jurka Kenara. Ku mojej radości Wooden Gallery była wypełniona ludźmi. Mieliśmy możliwość nie tylko zobaczenia i posłuchania uczestników konferencji, ale i porozmawiania z nimi, na przykład ze Stanisławem Barańczakiem, który wpadł do Chicago jak po ogień. Nadarzyła się okazja rozmowy z profesorem Edwardem Balcerzanem, który zaprosił naszą grupę poetycką „Niezapłacony Rent”<sup>8</sup> do hotelu Blackstone w centrum Chicago. Razem ze mną pojechali tam Arnold Warchał, Darek Wiśniewski oraz właściciel Teatru Chopin Zygmunt (Zyggy) Dyrkacz. Przybysze z kraju i Europy rozsiedli się na hotelowych łózkach i słuchali polskiej poezji tworzonej nad jeziorem Michigan. Każdy z nas przedstawił się i przeczytał kilka wierszy. Odbyła się dyskusja między słuchaczami – profesorami Wiesławem Pawłem Szymańskim, Marią Delaperrière, Zdzisławem Łapińskim i córką poety, Utą Przyboś. Największym zainteresowaniem cieszył się Zygmunt Dyrkacz, który przedstawił siebie jako piszącego doktorat o języku pszczoł. Jego zdaniem porozumiewają się one ze sobą za pomocą tańca. Najwięcej pytań do niego miał profesor Balcerzan. Goście profesora Karpowicza zrobili na nas jak najlepsze wrażenie i tym profesor, nawet o tym nie wiedząc, zrobił nam największą przyjemność.

Ostatnim listem jest dwudziesty siódmy, z dnia 21 września 2003 roku. Obaj panowie przeżyli straszny XX wiek i wkroczyli w XXI z chorobami. Druga żona Miłosza, Carol, już nie żyje, za rok umrze w kwietniu pani Maria, żona Karpowicza, a 14 sierpnia tego samego roku Miłosz. O Karpowicza śmierć upomni się rok później, pod koniec czerwca 2005 roku. Ale zanim to nastąpi, napisze do Miłosza: „z głębi mojego wileńskiego (wciąż!) serca dziękuję Panu za upomnienie się o moją twórczość i «byt ekonomiczny» u ministra Dąbrowskiego” (s. 127).

<sup>8</sup> Grupa Poetycka „Niezapłacony Rent” działała w Chicago w latach 1991–1998. W jej skład wchodził: Adam Lizakowski (założyciel), Maria Zamora, Dariusz Wiśniewski, Arnold Warchał, Anna Powichrowska, Leonard Gogiel, Adrian Wiśnicki oraz Aneta Sierżęga. Grupa wydawała kwartalnik „Dwa Końce Języka” od 1993 do 1996 roku.

Dzięki Aneksowi książki dowiadujemy się, że w lipcu 2003 roku poetka Anna Frajlch napisała z Nowego Jorku list do Miłosza, w którym przedstawiała katastrofalną sytuację Karpowicza, określając ją „finansową niezaradnością” (s. 144). Sytuacja rodzinna profesora była wówczas nie do pozazdroszczenia: „żona chora na raka od kilka lat na chemioterapii a on jest opiekunem, pielęgniarzem, kucharzem. Wszystko jedną ręką” (s. 144). Aby dopełnić obraz, trzeba dodać, że Karpowicz stracił w dzieciństwie lewą dłoń. Nie miał samochodu ani prawa jazdy, bez których życie w Ameryce jest prawie niemożliwe. Przerażające jest to, że polskie placówki dyplomatyczne, także konsulaty w Chicago, nie wiedziały, że organizator międzynarodowych konferencji poświęconych literaturze polskiej mieszka kilkanaście kilometrów od ich siedziby i znajduje się w dramatycznej sytuacji życiowej: „W konsulacie nikt nawet nie wie, kim jest Karpowicz i nawet nie wiedzą, że tam mieszka” (s. 144).

Miłosz błyskawicznie zareagował na list pani Anny. Napisał do ministra kultury z prośbą o pomoc dla poety w uznaniu jego zasług dla promocji polskiej kultury w Ameryce. Ten w liście do noblisty z 3 września 2003 roku poinformował go: „postanowiłem przyznać prof. Tymoteuszowi Karpowiczowi – w uznaniu doniosłych dokonań literackich, naukowych i dydaktycznych – order Zasłużony dla Kultury Polskiej wraz z nagrodą pieniężną w wysokości 20 tysięcy złotych” (s. 148). Trudno jest dziś powiedzieć, czy to dużo, czy mało. Ci, którzy znali profesora Karpowicza, wiedzieli, że nigdy na nie się nie uskarżał, poza brakiem czasu, pieniędzy i na starość – zdrowia.

Z perspektywy czterech dekad możemy dostrzec, że poeta i intelektualista nie był najlepszym organizatorem swoich konferencji od strony ich finansowego zabezpieczenia. Nie nadawał się także na lidera nawet tej niewielkiej grupy ludzi, którzy robili wszystko, aby mu pomóc zrealizować ambitne zamierzenia. Za każdym razem musiał dopłacać z własnej kieszeni, nie wspominając o wkładzie pracy. Lista osób broniących polskiej kultury w Ameryce, które dają swój czas i pieniądze na promocję polskości, jest długa. Wkład profesora Karpowicza w promocję polskości i polskiej poezji w Ameryce w końcu XX wieku był ogromny. Wydawać by się mogło, że Chicago, potężne polskie środowisko, powinno być najlepszą glebą dla takiej działalności, wydać piękne owoce. Niestety, po raz kolejny okazało się, że jest to ziemia jałowa.

Korespondencja poetów zaczęła się od ponaglenia przez Miłosza Karpowicza o zgodę na druk przekładów jego czterech wierszy, a zakończyła się listowną prośbą Miłosza do ministra kultury o pomoc dla młodszego kolegi. Ostatnie listy poetów są bardzo osobiste, dominują w nich tematy egzystencjalne, pojawia się ton przygnębienia i bezradności wobec starości naznaczonej chorobami. Na końcu śmierć dochodzi do głosu i to ona stawia kropkę.

Miłosz powrócił do Polski na stałe, przywitał go krakowski dwór znajomych redaktorów czasopism i wydawnictw, przyjął go Uniwersytet Jagielloński, zjazd tłumaczy i interpretatorów jego twórczości. Rozpoczęły się pod jego patronatem krakowskie Spotkania Poetów, z czasem powstał Festiwal Miłosza. Dwadzieścia lat po śmierci poeta wciąż żyje i jego duch krąży po Krakowie.

Karpowicz po śmierci żony skazany był na podwójną samotność. W stanie ciężkiej depresji nie myślał o powrocie do Polski. Pisanie wierszy uważał za poznanie samego siebie, ale poczuł się zraniony brakiem odzewu ze strony czytelników i krytyki. Wydany w kraju tom jego wierszy *Stoje zadrzewne*<sup>9</sup> nie spełnił pokładanych w nim nadziei, nie wywołał takich dyskusji, jakich by sobie życzył autor. Nie powinien się temu dziwić, przecież uważał się za spadkobiercę trudnej poezji Norwida, Leśmiana i Przybosa. Uśmiechał się, gdy jego uczeń Frank Kujawiński<sup>10</sup> miał ogromne trudności z przekładem na angielski jego wierszy, które umieszczal w nieregularnym kwartalniku „2b”<sup>11</sup>, ukazującym się w Chicago w ostatniej dekadzie XX wieku. Nie martwił się tym, jego marzenia się spełniły, stał się poetą trudnym, a nawet hermetycznym, co uważał za komplement.

Obaj poeci byli profesorami amerykańskich uczelni, ale tak jeden, jak i drugi prowadzili zajęcia i wykłady jakby z przymusu, bo życie i potrzeby zarobkowania ich do tego zmusiły. Obaj byli przede wszystkim poetami i praca pedagogiczna nie pomagała im nimi być w takim stopniu, jakiego by sobie życzyli. Od liczby studentów zależało ich życie codzienne, płacenie rachunków, spłaty kredytów, robienie zakupów, etc. Jeśli ich nie mieli, nie mieli pracy. Miłosz był nie tylko poetą. Czuł się gospodarzem literatury polskiej i na jej strony zapraszał gości, którzy, jego zdaniem, powinni się tam znaleźć. Obaj mają dla siebie szacunek. Miłosz dla nowatorstwa Karpowicza i wyrażania idei pisania po swojemu, w indywidualnym idiomie. Ten zaś ma szacunek dla Miłosza w kwestiach poszukiwania i wypracowywania własnej problematyki i dykcji poetyckiej.

Miłosz, mistrz wielkich historycznych tematów, dla którego ważna była przeszłość, odwoływał się do osobistego przeżycia historii i własnej biografii. Tej drogi wstecz Karpowicz wybrać nie mógł, podobnie jak Miłosz nie mógł wybrać jego drogi. Ale pomimo wielkich różnic w poetyce Karpowicz nosił się z zamiarem napisania książki o Miłoszu, ten zaś zaangażował się w ten pomysł. Korespondencja prowadzona jest w tonie wzajemnej uprzejmości i szacunku, nawet jeśli respondenci się ze sobą nie zgadzają. Obaj poeci wpisują się w amerykański, chłodny wzór uprzejmości. Z listów przebija jednakże troska o polską poezję i czytelnik jest przekonany, że pisarze robią wszystko, co tylko możliwe, aby była ona szerzej znana w świecie amerykańskim.

Istnieje powoli rosnące grono miłośników i czytelników poezji Karpowicza. Wydawnictwo Biuro Literackie opublikowało najwięcej książek autora wiersza *rozkład jazdy*. Publikuje ono także poezję nowojorczyków, przed których złym

<sup>9</sup> T. Karpowicz, *Stoje zadrzewne*, Wrocław 1999.

<sup>10</sup> Frank Kujawiński (1940–2008), wieloletni wykładowca, profesor nadzwyczajny na Uniwersytecie Loyola. Tłumacz poezji Karpowicza, którego był studentem na University of Illinois at Chicago.

<sup>11</sup> Kwartalnik „2b” ukazywał się w Chicago w latach 90. XX wieku. Elitarny, wielojęzyczny periodyk; zawierający głównie teksty w języku angielskim i polskim. Założycielem pisma i jego redaktorem naczelnym był Tomasz Tabako.

wplywem na polską poezję Miłosz pięćdziesiąt lat wcześniej ostrzegwał Karpowicza. We Wrocławiu od kilku lat prężnie działa wydawnictwo Warstwy, które opublikowało omawianą przeze mnie korespondencję. Istnieje także Fundacja Na Rzecz Kultury i Edukacji im. Tymoteusza Karpowicza. Nie wolno również zapomnieć o pamiętającym o Karpowiczu dyrektorze Wydawnictwa Dolnośląskiego, Janie Stolarczyku<sup>12</sup>. Powstały o poezji Karpowicza ciekawe prace doktorskie Karoliny Górniak-Prasnal<sup>13</sup> i Joanny Roszak<sup>14</sup>. Samotnik z Oak Park (Dębowego Parku) nieopodal Chicago miewa się dużo lepiej po śmierci niż za życia. Powstaje może nie dwór, ale krąg wielbicieli, którzy cenią i analizują jego trudną poezję. W 2025 roku będzie okazja, by ją przypomnieć, wtedy bowiem przypada dwudziesta rocznica śmierci poety. Mam nadzieję, że powstaną kolejne prace na temat samotnika z Oak Park i poeta emigrant Karpowicz na stałe zawita do ojczyzny tak, jak jego starszy kolega Miłosz.

Jesień 2024

Adam Lizakowski

Ps.

Pisząc ten komentarz do korespondencji Miłosza i Karpowicza, nie udało mi się uniknąć osobistych wątków. Będąc w Ameryce ponad trzydzieści lat, a od ośmiu lat w Polsce, mogę stwierdzić, że czytelnik w kraju wie tyle samo o Polonii amerykańskiej, ile Amerykanie o Polakach w Polsce. A przecież obaj poeci jedli przez dekady chleb amerykański. Chęć wypełnienia tej luki w wiedzy oraz wspomnienia ze spotkań z obu wielkimi poetami wzięły tym razem górę nad refleksjami czytelnika i miłośnika poezji.



Czesław Miłosz podpisuje książki po spotkaniu na Marquette University, Wisconsin, 20.10.1991

<sup>12</sup> Jan Stolarczyk, kurator spuścizny Tymoteusza Karpowicza, edytor twórczości i nieformalny sekretarz Tadeusza Różewicza. Był dyrektorem Wydawnictwa Dolnośląskiego. Mieszka we Wrocławiu.

<sup>13</sup> K. Górniak-Prasnal, *Dwudziestowieczna poezja polska w kontekście anglo-amerykańskiego modernizmu*. „*Słoję zdrzewne*” Tymoteusza Karpowicza i „*The Pisan Cantos*” Ezry Pounda.

<sup>14</sup> Joanna Roszak, adiunkt w Instytucie Sławistyki Polskiej Akademii Nauk. Autorka dysertacji doktorskiej *Synteza mowy Tymoteusza Karpowicza*.

## Jewgenij Czigrin

*GRIFFONNAGE*

Ma trochę calvadosu kawiarnia niedroga,  
Za solidną wypłatę niech dadzą i mnie;  
O co jeszcze poprosić francuskiego Boga  
W tym zielonym zaciszu? Brak mi czegoś? Nie.

Całe niebo spowite jest w królewski błękit,  
Różnie odbieram stary głos Léo Ferré –  
To jak sztandar poezji rajskim tchnieniem wzdęty,  
To jak muzykę zboża, jak światło we mgle.

\* \* \*

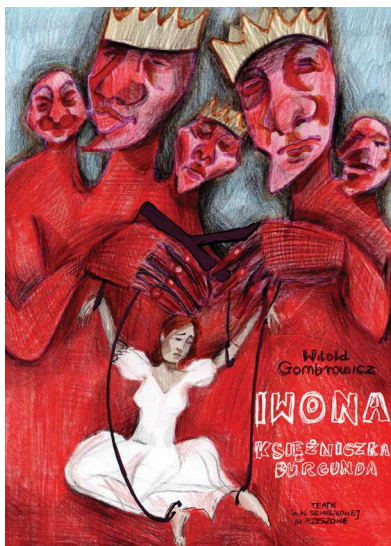
Słońce już zaszło, lecz świeci księżyc, jest pełnia.  
Męczy bezsenność, tak chciałbym zasnąć, lecz nie.  
Czytać sny Boga – kto za mnie dzieło to spełnia?  
Kto mój, chcę wiedzieć, ogląda film w złotej mgle?

Tak zasnąć, zajrzeć do nieznanego mi nieba,  
W rajskim ogrodzie w bezsenność wdążyć się chcę.  
Spać na edeńskiej poduszce z czarnego chleba,  
Umarłych dzieci w serso podziwiać też grę.

## DO MUZYKI ALESSANDRA MARCELLA

...Przyszła jesień, nie jako staruszek  
Wlewam w rozkład jesienny jak w słój  
Ogród, co się z muzyką zasuszył,  
Słabe słońce mi zleca ten znój.  
I nieważne, że idzie mi jakoś,  
W sercu refren pojawia się ów:  
Alessandro! A gdybym ja taką  
Skomponował... Lecz pustych mych słów  
Głos nie niesie tam, w Pańskie podwoje.  
W chmurach jakiś zaczyna się ruch...  
Czy wśród sytych, czy głodnych, z obojem  
Twym, Marcello, jesteśmy we dwóch.

Jewgenij Czigrin  
Przełożył Maciej Froński



Dominika Kiciński



Konrad Sikora

## AUTOBUS LINII 134

Zmarszczyłem czoło albo ono zmarszczyło się bez mojego udziału. Po karku przebiegł dreszcz i stopniowo rozlewał się po całym ciele. Ledwo otwarte oczy nie szukały źródła dziwnego, raczej niespotykanego w autobusach dźwięku. Początkowo zignorowałem chrypiący głos, mechaniczny, jakby dobywający się z otchłani starego radia. Nerwowo sprawdzałem godzinę, nie wiedząc, czy zdążę na przesiadkę. Spóźniłem się na wcześniejszy kurs, a jeśli raz się gdzieś spóźnię, to wszędzie będę spóźniony – począwszy od szkoły, a skończywszy na kawie ze znajomymi. Autobus linii 134 ruszył z przystanku punktualnie. Lekko szarpnęło.

– *Halo, odbiór!*

W jednostajny szmer silnika elektrycznego wbił się metaliczny dźwięk i trzaski, spomiędzy których dało się słyszeć pojedyncze słowa. Gęsia skórka pojawiła mi się na całym ciele, a oczy wreszcie otworzyły się na żądaną szerokość. To jednak jeszcze zbyt mało, by oprzytomnić inne myśli i mózg wciąż działający na pół gwizdka.

Piąta piętnaście. Nerwowo spoglądam to na zegarek na lewym przedramieniu, to na ten w komórce, zsynchronizowany z siecią. Musiałem mieć pewność, że nie spóźnię się nawet minutę. Zegarek mówił coś innego, jakby dało się słyszeć: „Utkniemy tu na długo”. Wczesną jesienią godziny mijają inaczej. Ich pozorne nic wypełniają kolory, nieśmiało odchodzące od zieleni w kierunku żółtego, brunatnego i czerwonego. Temperatury jeszcze potrafią się wahać. Wczesnojesienny autobus, pokryty pomarcinkowym pyłem, też zdawał się zasypiać, może nawet kierowca zasypiał.

Piąta dwadzieścia jeden. Zaczęła mnie nawiedzać chęć krótkiej, międzyprzystankowej drzemki. Chyba zarażliwa.

– *Wstawaj, kurwa!*

Podskakuję, ale nie patrzę za siebie. Nie odwracam się. Po prostu mi się nie chce, ale wiem, skąd dobiegają te dźwięki. Gdzieś z tyłu autobusu linii 134, dojeżdżającego właśnie do przystanku Baba Jaga.

Zacinające się drzwi otworzyły się z hukiem. Do środka weszli dwaj młodzi faceci, na oko po dwadzieścia kilka lat. Jeszcze są ciepłe noce – pomyślałem. – Lasek Wolski jeszcze jest miejscem uciech – westchnąłem z dziwną zazdrością.

– *Ani mi się waż, kurwa! Odbiór!* – wrzasnął ktoś o metalicznym, trzaskającym głosie. Nie jechał z nami, a jednak był obecny. Gdzieś na końcu autobusu biło źródło wszystkich tych otchłannych dźwięków.

Mężczyźni, bardzo lichej budowy, byli sobą tak bardzo zainteresowani, że nie zwrócili najmniejszej uwagi na hałaśliwy, kakofoniczny miks, dobywający się gdzieś z okolicy ostatnich siedzeń autobusu linii 134. Jeden z nich (na pewno byli dużo młodszy ode mnie) miał zupkę chińską na głowie – mocno kręcone, farbowane blond włosy; drugi chyba wyłysiał – resztki czupryny zakrywał czarną chustką w białe ornamenty, zawiązaną do tyłu.

Autobus wałęsał się po zakrętach, ciągnął nas w dół, ku miastu. Kierowcy donikąd się nie spieszyło, w końcu w ciągu dnia pokona tę trasę jeszcze nie raz i nie dwa. Każdy ostrzejszy zakręt powodował, że mężczyźni ocierali się o siebie. Ani jednemu, ani drugiemu w niczym to nie przeszkadzało. Co więcej, jakby polubili tę zabawę. Gdyby tak mnie dotknęli, padłbym chyba trupem. Od miesiący moje ciało jest napięte jak struna, jakby czekało na ostrze miecza, które ma spaść na czubek głowy. Moje rozciągnięte w czasie życia wygląda jak ta krótka chwila, kiedy spodziewasz się uderzenia z tyłu, wciągasz głowę między barki, zaciskasz zęby, mrużysz oczy i czekasz na cios. I ja tak czekam, choć cios nie nadchodzi. Błąka się jednak we mnie przekonanie, że dostanę to, na co czekam, albo raczej na co czeka mieszkający we mnie obłąkaniec.

– *Odbiór! Wymarsz z jednostki za trzy minuty! Ruszać dupy, to nie żarty!*

To chyba ta długa fraza wydobywająca się z krótkofalówki sprawiła, że wszyscy trzej spojrzeliśmy w stronę źródła dźwięku. Starszy mężczyzna, może osiemdziesięcioletni, manipulował pokrętle małego, trzeszczącego urządzenia. Słuchał każdego, nawet najmniejszego urywka zdania. Skulony za pleksą, oddzielającą ostatnie krzesła od tylnych drzwi wyjściowych, w brudnej kurtce, śledził wszystko, co go otaczało. Zerkał przez okno, patrzył na nas, kręcił pokrętle, chował twarz w kurtce. Popatrzył na nas, tym razem krócej, przystawił krótkofalówkę do ucha, pokręcił pokrętle, znowu nasłuchiwał, znowu spojrzął przez okno. Schował się w kurtce.

Na przystanku Sielanka wsiadła kobieta z dzieckiem w wózku. Ona: na oko dwadzieścia pięć lat; dziecko: góra roczek. Zaparkowała wózek w wyznaczonym miejscu. Zanim zamknęły się drzwi, zmieniłem miejsce. Siedziałem tak, żeby patrzeć na tył autobusu. – Dziewczyna pewnie jedzie o świcie na jakieś ważne badania, przecież nie ma jeszcze szóstej – pomyślałem. Jeżdżąc codziennie o tej nieludzkiej, jak mawiają niektórzy, porze, widywałem przeważnie dwa typy ludzi – zaspanych pracoholików z podkrążonymi oczami albo jeszcze pijanych „przodowników pracy”, z trudem

utrzymujących pion. Kobiet z małymi dziećmi prawie nigdy. Może kiedyś – jedną albo dwie. Na pewno nie więcej. Chciałbym nieco skrócić głowę w lewo, ale coraz bardziej spięte i zeszywniałe ciało nie współpracuje z wolą. Drobną kobietą z jeszcze drobniejszym maleństwem wywołuje we mnie dziwny niepokój. Wkrótce i on dołączy do grasującego w moim ciele obłąkańca.

– *Planowana inwazja. Ruszać się!*

Staruszek potrząsnął krótkofalówką, pogmerał w kurtce i wyciągnął chyba miętówkę. Zamlaskał, cmoknął. W ciszy zmieszanej z lekkim szumem silnika elektrycznego autobusu dobrze było słycać wyraźne odgłosy starczego życia. Westchnienia, cmoknięcia, ciamkanie ustami i szum krótkofalówki stopniowo zajmowały autobus, który – o dziwo – w połowie trasy był już wypełniony sennymi oczami dzieci, ziewającymi gębami nastolatków, trwałymi ondulacjami emerytek spieszących zapewne do Instytutu Reumatologii.

Jesienny chłód spowodował, że z ust wprost na szyby wstąpiła para i pokryła je szczelnym, szarym nalotem. Nachuchaliśmy porządnie. Parowanie wypełniło pojazd ciepłem ludzkich ciał i oddechów. Jednorodna mieszanina szybko została uzupełniona o młdące zapachy perfum. Pot kryjący się pod niedomytymi pachami młodzieży snuł się od nosa do nosa pod rękę z kremami do golenia dwóch facetów, nienatrętnym zapachem starczego ciała pasażera z krótkofalówką i smrodkiem fekaliów maleństwa, które zaczęło się niecierpliwic. Głowa matki poruszała się mechanicznie. Przeskakiwała z maleństwa na staruszka, ze staruszka na pasażerów, dwa razy lypnęła w moją stronę. Poczulem, że nie jestem obok, ale w samym środku tej ludzkiej zbieraniny. Straciłem moc obserwacyjną. Narastała we mnie jakaś nienazwana konieczność, poczucie, że muszę coś zrobić, ale nie wiedziałem co ani po co. Zaczęły mi drżeć dłonie.

Na kolejnym przystanku wsiadły dwie staruszki o jednakowym, różowym kolorze włosów. Rozbieganym wzrokiem próbowały zorientować się, gdzie są jeszcze wolne miejsca, żeby nie stać przez te kilka przystanków, zanim autobus nie znajdzie się na samym dole, tuż przy Błoniach. Zaglądały każdemu z nas w twarz, jakby chciały dosadnie i sugestywnie zapytać, czy ktoś nie zechce im ustąpić miejsca. Przez moment wlepiąły wzrok w staruszka z krótkofalówką, z której regularnie płynęły trzeszczące dźwięki, mieszające się z wyciem silnika autobusu, gdy kierowca zmieniał bieg. Jakby chciały do niego zagadać, ale nie znały języka. Kręciły znacząco różowymi czuprykami, wychylały się zza drążków, szeptały coś do siebie i tylko ja – tak mi się przynajmniej wydaje – byłem ciekaw, o czym mówią. Wychylałem się tak samo, jak one – dyskretnie, ale chyba na tyle, na ile

trzeba, bo kilkakrotnie mój wzrok spotkał się z ich wzrokiem. Poczułem, jak mięśnie na moim karku spinają się, twardnieją, jakby chciały się przygotować na natychmiastową ewakuację z autobusu linii 134.

*– Czekać! Jeszcze pół minuty! Teraz!*

Pobudzony testosteronowym, chrapliwym okrzykiem jakiegoś wachmistrza czy majora ze skrzeczącego puzderka staruszek wyciągnął lewą dłoń przed siebie, jakby chciał palcem wskazującym przebić przednią szybę albo komuś wydłubać oko. Z krótkofalówki dobiegały okrzyki, szarpnięcia, tupot ciężkich butów. Matka małego dziecka, wcześniej niespokojnie kwilącego, teraz już płaczącego wniebogłosey, zaczęła się wiercić. Sprawdzała coś w telefonie i na tablicy informującej o przystankach na trasie. Nerwowo wyjmowała telefon, spoglądała na niego i chowała do kieszeni, uciszając maluszka. Delikatnie bujała wózkiem, ale bezskutecznie. Dziecko płakało coraz głośniej. Krótkofalówka szumiała i trzeszczała. Małe zanosiło się płaczem, ledwie oddychało, kaszłało. Matka szukała wyjścia z tej niemożliwej (do chwili zatrzymania autobusu) sytuacji. Różowogłowe chciały interweniować – tak sędzę. Ustawiły się między nią a starcem. Szumiały troskliwym „ciiii” i próbowały spojrzaniem wyłapać spojrzenie mężczyzny z krótkofalówką.

Chciałem przeciąć tę drogę, ale nie wiedziałem gdzie, jak i po co. Bycie biernym obserwatorem, jadącym do pracy, to zajęcie nicangażujące i dające mi niewiele satysfakcji. Wieczorem będę sobie opowiadał ten przejazd, pomyślałem. Bo lubię sobie opowiadać dzień. Mam wtedy poczucie udanego dnia. Brak materiału do opowiadania oznacza pusty przebieg i dzień, którego nie chciałoby się pamiętać, bo nie ma po co.

Gdy rozległa się pierwsza seria z broni maszynowej, staruszek aż podskoczył, a wszyscy razem z nim. Tu i ówdzie było słyhać wybuchy, to znaczy wtedy, gdy pokrętko potencjometru pozwalało czarnej kostce z antenką krzyczeć. Kierowca dopiero teraz żywiej zainteresował się tym, co dzieje się w autobusie, spoglądał raz po raz w lusterko wsteczne i na rozkład jazdy, na którym odfajkowywał zaliczone przystanki. Kobiety o różowych włosach spjrzały może ze dwa razy w kierunku staruszka i machnęły na wszystko ręką. Dwóch młodych mężczyzn, tych z przystanku uciech zwanego Babą Jagą, wyprężyły się jak struny. Wcześniej swobodnie poddawali się przechyleniom pełzającego między zakrętami autobusu. Teraz kurczowo trzymali się czego tylko się dało.

Matka z dzieckiem gorączkowo szukała wyjścia. Naciskała raz po raz guzik STOP i ten otwierający drzwi. Nie krzyczała jeszcze, co prawda, do kierowcy, by się zatrzymał, ale widać było, że bardzo tego chce. Jedna z pięknie pachnących pasażerek przykleiła się do szyby tak mocno,

że zostawiła na niej odrobinę makijażu. Ocknęła się, jakby ukłuta szpilką i w pośpiechu wysiadła na przystanku Przegon. W ślad za nią poszła matka z dzieckiem, które traciło już głos od płaczu. Wysiadając, potknęła się i gdyby nie przytomność dwóch facetów z lasku, pewnie przewróciłaby wózek z synem już maluchem.

Zrobiło się nieco ciszej. Najwidoczniej staruszek coś przekręcił w swoim urządzeniu, bo do nas, siedzących w przedniej części autobusu, docierały zaledwie jęki i nieśmiały stukot. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje w tym czarnym puzderku. Byliśmy ciekawi – ja i faceci z lasku. Przyjrzałem się im uważnie, gdy zdecydowali się zagadać do mnie z zapytaniem, czy nie powinniśmy uspokoić staruszka.

– Przecież wszystkich straszy – rzucił ktoś podsłuchujący naszą rozmowę.

Odpowiedziałem, że teraz nic się nie dzieje i trudno się czepiać. Może dał sobie spokój. Ledwie skończyłem to krótkie zdanie, a znów padły strzały. Potem znów długo nic się nie działo. Ta dialektyka ciszy i szumu, rozpedzone kanonady z broni maszynowej ozdobione koralami kurew wyrzucanych z ust jakichś pasażerów – wszystko to składało się w naszych głowach w dobrze znane obrazy z filmów. Wojna ma w wyobraźni całkiem duży dom i często do niego zagląda. Trudno było podejść do staruszka i go pouczyć, skoro interwały ciszy trwały już dość długo. Może skończył się bawić...

Autobusem wstrząsnął wybuch. Wydostał się z czarnego puzderka. Staruszkowi udało się coś przekręcić.

– *Ale jebnęto! Spierdalamy!*

Dwa ozdobniki, doklejone do dźwięków w czarnym puzderku, zmusiły dwóch młodych mężczyzn do zmiany planów. Nieco wcześniej umówili się między sobą, że nie będą wysiadać, choć strasznie ich to wszystko denerwuje i że w ogóle jest dziwnie. Jakiś stary facet jedzie sobie autobusem i nasłuchuje, co się dzieje na jakimś froncie. No nie, muszą wcześniej wysiąść, nie da się tego słuchać. Na dokładkę zaczęli się w tym krótkofalówkowym jazgocie doszukiwać ludzkich jęków.

Różowogłowe podeszły do mnie i zapytały, czy też słyszę konanie ludzi w tych trzaskach, wrzaskach i wybuchach. Odpowiedziałem, że coś tam słyszę, ale niewyraźnie. W rzeczywistości słyszałem bardzo wyraźnie, ale skupiłem się na staruszkach, dlatego nie myślałem o tym, co wydobywa się z czarnego puzderka. Widzę człowieka w jego działaniu – pomyślałem. Robię to na co dzień. Przecież jako nauczyciel wciąż patrzę na młodych ludzi i zadaję sobie oraz im mnóstwo niecznośnych pytań: Dlaczego to zrobiłeś?

Co chciałeś przez to udowodnić? Po co? Dlaczego? Okazuje się, że pytanie o powód jakiegoś zachowania jest dla każdego najtrudniejsze.

Atmosfera w autobusie była nierówna. Mimo wczesnej pory nikomu już nie chciało się spać. Zwykle wszyscy śpią – pomyślałem, ale teraz każdy ma na rękach gęsią skórę, serca walą nam jak młotem, czekamy, aż coś spadnie nam na głowę. Wyteżyłem swój słaby wzrok. Jaśniało, więc mogłem wyraźniej zobaczyć staruszka. W sztucznym świetle ginęły detale i nie widziałem go dość dobrze. Jego ciężki oddech był jak uderzenie krótkich, intensywnych fal. Rozbijał się z hukiem o moje spojrzenie, współczucie czy cholera wie co. Może to wczuwanie się w niego nie byłoby tak trudne, gdyby nie te trzaski, wrzaski, piski, przekleństwa i okrzyki. No i wybuchy. Teraz były słyszane coraz częściej, bo dziadzio coraz rzadziej majstrował pokrętle, dlatego łapał długie sygnały. Na kolejnym przystanku kierowca włożył słuchawki, choć do końca trasy została raptem chwila. Młodzi mężczyźni i kilka innych osób, kręcąc głowami, wysiadło w pośpiechu. Zostałem ja, dwie różowogłowe i staruszek, który teraz patrzył przed siebie apatycznie i nieco tragicznie. Odprowadzał wzrokiem współpasażerów.

– Wojna będzie, idzie, jest tuż, tuż. Idzie dużymi krokami i w trepach. Słyszysz, jeden z drugim?

Nie spodziewałem się takiego ryknięcia, różowogłowe za to najwyraźniej tak, bo wzruszyły ramionami, a staruszek ryczał dalej.

– Jedna była, druga, trzecia i za każdym razem myśleli, że nas ominą! Słyszysz, jeden z drugim, że nas nie ominą? Słyszysz wyraźnie?

Kierowca przyspieszył. Chciał już pewnie być na przystanku końcowym i triumfalnie oznajmić, że dręczący go delikwent powinien niezwłocznie wysiąść. Nie trzeba być filozofem, by wiedzieć, że granice cierpliwości kierowcy dawno zostały przekroczone. Tak jak myślałem: podszedł do staruszka i dobitnie rzekł, że ma natychmiast wysiąść z autobusu linii 134. Oczywiście do słowa „wysiąść” dołożył kilka sążnistych inwektyw, na które staruszek odpowiedział zwiększeniem poziomu głośności. Załapał się na transmisję tak silnego wybuchu, że kierowca zrobił krok wstecz.

– Dziadku, znowu się dziadek wybiera na wojnę?

Do autobusu podszedł postawny, młody mężczyzna w mundurze z naszywką batalionu z Wrocławskiej.

– Dziękuję za sygnał – zwrócił się do różowogłowych.

– Nie ma za co. Pan Kaziu, widzę, w formie – odpowiedziała niższa.

– Z setką na karku jeszcze wyrusza na takie poranne wojaże?

– Podstuchuje ćwiczenia na poligonie. Znowu zwędził mi krótkofalówkę – tłumaczył wojskowy.

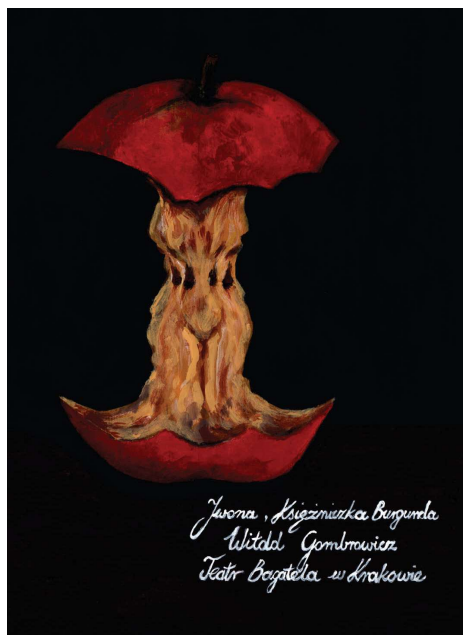
– On tam swoje wie – ciągnęła kobieta. – Wojnę na Bałkanach przeżył, na Bliskim Wschodzie też. Nie podsłuchuje naszych. Wie, co robi.

– Dziadziu potrzebuje odpocząć. Mężą go wspomnienia – skwitował żołnierz.

Staruszek pokornie stanął przy aucie wojskowego. Niemal na baczność. Krótkofalówkę chował za plecami. Nic się z niej nie wydobywało. Mundurowy jeszcze raz nas przeprosił, powiedział kilka słów do kierowcy, pocałował w policzek jedną różowogłową i zapytał, czy gdzieś je podwieźć. Podziękowały, w sąsiedzkim stylu pouczyły o koniecznym wzmożeniu troski o nestora rodu, a niższa rzuciła na odchodne:

– Jak pan Kaziu mówi, że będzie wojna, to będzie. On swoje wie.

Konrad Sikora



Weronika Kiwior

## Jekatierina Polańska

## WIATR

Wiatr cicho dyszy za plecami tuż  
I lekko senne kołysze zasłony,  
Wtem się odwraca – jest ostry jak nóż,  
Niepowstrzymany, dosłownie szalony.

W prawo i w lewo, to w dół, to znów w górę,  
Patykiem kreśli parabole dwie,  
Leci, zaciekle wstrząsa życiem, które  
Nad śmiercią złapać równowagę chce.

\* \* \*

Petersburskie anioły... Już ich mało ma miasto,  
Boli krzyża trzymanie, lecz wciąż uścisk jak stal.  
Petersburskie anioły patrzą ciężko, choć jasno,  
Jak budynki i mosty odpływają gdzieś w dal.

Petersburskie anioły... To już nie jest ta pora,  
Nie te lata, gdy strzegły, choć mrok zbierał się w krąg.  
Wicher wszystko przenika, mocniej, zimniej, i coraz  
Smutniej widzieć anielskich poddawanie się rąk.

W nocy zaś, gdy przeszłości miasto podjąć chce brzemię,  
Pałacowe drżą sale, a nuż zjawi się car,  
Petersburskie anioły schodzą z nieba na ziemię,  
Przez dziedzińce złożonych skrzydeł sunie sznur par.



\* \* \*

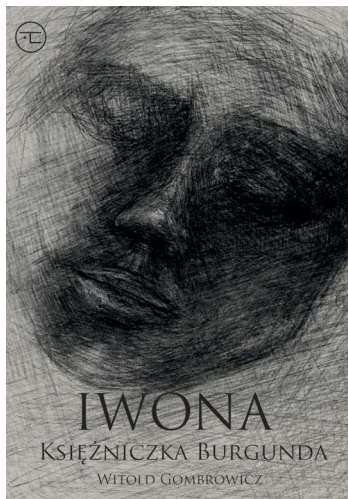
*Dokoła zdrada, tchórzostwo i gra.*

Z dziennika Mikołaja II

Dokoła zdrada, tchórzostwo i gra.  
Z ciężkim uporem wołu jeszcze raz na-  
Piął wiek arkan jak się tylko da –  
I już go jucha zadławiła własna.

Dźwig niebosiężny na pustkowiu trwa,  
Jak wódz, wyciągnął pustą dłoń. Rzec co by –  
Dokoła zdrada, tchórzostwo i gra,  
I dym trawiącej ojczyznę choroby.

Przełożył Maciej Froński



Antonina Krupa

Piotr Michałowski

## CZAS NISZCZARKI

No, teraz będzie prawie 80 sekund, jak wyświetla na czerwono sygnalizacja, a wszystko dlatego, że nie chciało się w porę wyprzedzić tej wlokącej się szafy, może wtedy by zdążył. Trudno, stało się, poczeka, zresztą już po wszystkim i naprawdę nie ma powodu do pośpiechu.

Zwłaszcza że za szybą wyrasta nagła rekompensata: jest co poczytać. O, w dodatku coś *à propos*, jak na zamówienie! U góry czarnym, wielkim wersalikiem: „BIURO AKTYWNOŚCI ZAWODOWEJ”. Dotychczas nie słyszał o takim zwierzu, widocznie jakiś mutant pośredniaka? Pod spodem już mniejsze i kursywą „oferuje”. No to dawać dalej, dużo tego i w dwóch kolumnach.

To tylna kłapa śmieciarki albo czegoś w tym rodzaju. Wypełniona po brzegi literami. Może nie najlepsze miejsce na publikację ogłoszeń o pracę, ale trudno. W lewym słupku: „catering, konserwacja zieleni, stolarstwo, sprzątanie powierzchni przemysłowych”. Dziwny zestaw. Z prawej chyba jeszcze dziwniejszy: „obsługa turystyczna, hotelarstwo, montaż urządzeń biurowych, niszczenie dokumentów”.

Hmm... Oferta całkiem bogata. I bardzo różnorodna, jakby przypadkowa nawet, bo nie wszystko tu do siebie pasuje. Ale jaja! I nawet niealfabetycznie. Nie wszystko pasuje do siebie, a wszystko razem i z osobna nie pasuje do mnie – pomyślał w pierwszej chwili.

Ale powoli! A jeśli miałyby się okazać, że nie ma innego wyjścia? Że to już ostatnia szansa? Ostatnia podpowiedź Opatrzności z Niebiańskiego Wydziału Pracy? Najostatniejsza z ostatnich? Nie, w tej sytuacji nie ma co grymasić, wszystko trzeba rozważyć na spokojnie...

„Catering”. Na pewno nie. Słowo to zawsze wywołuje mdłości, choć brzmi całkiem, całkiem, nawet ładnie, zagranicznie. A jednak, nie pamięta już czemu, kojarzy się tylko z żarciem nieświeżym i odgrzewanym, z surówkami wożonymi gdzieś z głębi Wielkopolski do nadmorskiego Pustkowa. Pewnie to bzdura, nie zawsze wszak musi tak być, ale co zrobić, skoro jakieś dawne dolegliwości gastryczne spowodowały ukryty uraz i trwałе uprzedzenie, choćby tylko miało podstawy, no powiedzmy: wyłącznie somatyczne...

„Czyszczenie”? Odpada. Zwłaszcza, że nie napisali czego: srebro czy kibli?

„Stolarstwo”? No, bez przesady, na to chyba potrzebne jakieś papiery, patent czy coś takiego, przynajmniej kurs przysposobienia zawodowego...

Czerwonego zostało 40 sekund. A wsteczny sekundnika w sygnalizacji nie da się zatrzymać.

„Sprzątanie fabryk” odrzuca, kwitując myślowym bluzgiem, który w najlepszym razie da się przetłumaczyć „na drzewo!”, i prędko przeskakuje na prawą kolumnę.

Trzydzieści siedem, trzydzieści sześć...

O! „Niszczenie dokumentów”! Na samym końcu – nawet logicznie. I pierwsza myśl: zniszczyć wszystkie swoje dyplomy, do niczego już niepotrzebne... No dobra, to też, zawsze znajdzie się czas, ale tak na poważnie, przyszłościowo? To może być nawet ciekawe. Celowe i pożyteczne, a w dodatku nie wymaga większego wysiłku...

W każdym chyba siedzi jakiś instynkt destrukcji, jakaś głupia radość burzenia. Nie jest wyłącznie domeną niegrzecznych dzieci, które rozwalają budowlę z klocków, gdy starzy gonią je spać. Zemsta? Nie, to coś innego... Raczej autoagresja, coś bliżej samobójstwa...

Ale natychmiast w sukurs bieży imaginacja: wyrasta trzydziestopiętrowy biurowiec, a w nim z wszystkich piętér windami zwoją w dół... Nie, to nie żadna „piwnica”, mówi się teraz „poziom -1”. Więc w wózkach zjeżdżają stopy potencjalnej makulatury. On je przyjmuje, najwyżej coś tam dla picu odhacza w laptopie, a potem... jest już panem życia i śmierci. Ale przede wszystkim ma czas, by kartka po kartce delektować się wrzucaniem w górną szczelinę ogromnej szafy, przy w akompaniamencie jej wdzięcznego brzęczenia i patrząc, jak z dolnej szpary wyrastają pocięte faliście, cienkie do nieczytelności paski, z rozkrajonymi rządkami liter... „W pięć sekund gotowe” – parafrazując Hrabala. I pewnie dla potwierdzenia działania urządzenie mruga zielonym światełkiem jak w drukarce i ksero... A potem ten papierowy złom wpada do przepastnego jak grobowiec, szufladowego pojemnika... Nicodwracalnie i na wieki wieków...

Dwadzieścia osiem...

No, niezupełnie tak. Bo paski wpadają niewidocznie, chyba że ten wysuwany pojemnik jest przeźroczysty? Nie, takiego nigdzie nie widział. I czy są w ogóle tak ogromne, czy najwyżej wielkości fotela? Chyba że mają ich tam kilka, które będzie obsługiwał naraz, dla większego przerobu? Ale wtedy musi być brzęczenie w tej fabryce makaronu jak w chińskiej pasiece. A co potem? No właśnie, trzeba to jakoś opróżniać. Są może zgniatarki i potem formuje się to chyba w szczęciach czy walce, jak siano na polu, i jedzie

do papierni. Najlepiej, gdyby to już kto inny. A stamtąd... nowy papier na nowe dokumenty? Nie, nie, to przecież błędne koło, robota głupiego!

Dwadzieścia cztery...

I czy tych pasków naprawdę nie da się jakoś skleić, odzyskać? A *Kazania świętokrzyskie*? Brückner podobno jakoś je pozlepił. Zresztą zostaje zapis elektroniczny i chmura! Nie, zniszczenie nigdy nie jest ostateczne, a przynajmniej w przyrodzie nic nie ginie, tylko zmienia postać, stan skupienia, jak materia i energia, w tę i z powrotem, proces nie ma końca, są tylko nieskończone metamorfozy...

Zresztą nieważne, i tak będzie mógł sobie poczytać, zanim wrzuci do tego zmodernizowanego po Orwellu „grobu pamięci”. No jasne, że w większości to nuda, jakieś głupie faktury, kwity, bzdurne sprawozdania i tak dalej. Niemniej zawsze trafi się coś ciekawszego, godnego lektury, jakiś donos czy inny hak...

Dwadzieścia, dziewiętnaście...

I pomyśleć, że kiedyś w podstawówce robili coroczne zbiorki makulatury, a niełatwo było uezierać nawet obowiązkowe minimum, czyli kilogram, zresztą głównie z gazet, bo dokumentów do wyrzucenia jakoś nie było.

W ogóle za komuny hasłem była oszczędność papieru, którego zawsze z niewiadomych powodów brakowało, a toaletowy stanowił rarytas, którego powszechny brak stał się niemal symbolem ustroju. Zresztą pamięta, jak wydawnictwa odrzucały publikacje niewygodnych dla władzy książek właśnie „z powodu braku papieru”, co było argumentem wygodnym i wiarygodnym, zresztą po części prawdziwym, choć bezczelnie zastępczym, gdyż najczęściej chodziło o cenzurę przewencyjną...

Szesnaście, piętnaście...

Swoją drogą, wiadomo, że wszędzie cyfryzacja. Ale ona nie zlikwidowała wcale papierologii. Nawet ją spotęgowała. To nie tylko jego wrażenie, ale wszystkich, którzy pamiętają jeszcze epokę sprzed. Tak, potwierdza to i osobiste doświadczenie, przecież pęczniejące skoroszyty, z całą tą z konieczności albo „na wszelki wypadek” przechowywaną urzędową makulaturą w koszulkach, zajmują już drugą półkę, spychając książki na niższą. Bo zawsze i tak musi być wydruk, i koniecznie w formacie a4, nawet gdyby chodziło o jedno zdanie, podpis i pieczętkę.

Tak, to musi być zajęcie przyjemne i pożyteczne. Choć nie od razu dla ratowania Planety. I odpowiedzialne! Chodzi przecież o tajność, poufność i RODO. W domu niszczy dokumenty po amatorsku, więc nie wiadomo, na ile skutecznie, właściwie wydiera jedynie pieczętki, niektóre adresy, podpisy oraz wrażliwe dane osobowe, resztę beztrząsko wrzuca do

kosza, a potem do podwórzowego kontenera z napisem PAPIER i kto wie, czy w papierni czegoś tam nie czytają. Ubecy na początku transformacji podobno palili akta na wysypiskach... To przecież nieekologiczne, ale wtedy nikt się tym nie przejmował, chodziło o ustrój, a nie Planetę. A teraz przynajmniej byłoby profesjonalnie i to on będzie decydował o zacieraniu śladów – niby wszechwładny cenzor Historii!

Dziewięć, osiem...

Ciekawe, jak nazwą ten zawód, może całkiem nowy, czy raczej stanowisko? „Niszczacz dokumentacji”? „Niszczەر”? Nie, też słabo. Przecież nie może to być „niszczyciel"! Może „delator” albo „destroyer”? Po angielsku wszystko brzmi lepiej, co podnosi prestiż zawodu, chociaż nie marną zapewne pensję, jeśli nie będzie to *nomen omen* „umowa śmieciowa”. „Devaster”?

Sześć, pięć...

Uwaga! Szybko, bo śmieciarka mruga i zaraz zmieni pas na prawy, do skrótu, a nie spisał telefonu, jest na samym dole klapy! No to pstryknąć fotkę... Gdzie ta komórka? No jest, w ostatniej chwili... Wprawdzie ukosnie, będzie niewyraźnie, ale może da się odczytać...

Jak tylko dojedzie do domu, z kątów świadomości wypełzną zapewne jeszcze na chwilę przykre strzępy ostatniej rozmowy z szefem, który z udanym przygnębieniem oznajmiał mu utratę pracy. Zwykła mowa-trawa, z której zostają drętwe formułki: „aktualna sytuacja firmy”, „restrukturyzacja”, „konieczność redukcji etatów”, „cięcie kosztów” i takie tam. Była to tak zwana „krótka piłka”, zresztą nieszczelnie opakowana w złoty papier. Na szczęście te przykre reminiscencje tłumi rozrastająca się wizja, która nie pozwoli nawet porządnie zaparkować auta i pogna go na piętro, by jak najszybciej ją zmaterializować: odczytać z komórki numer telefonu, zadzwonić, dopytać, sięść do laptopa i napisać podanie.

Trzy, dwa...

Odczyta, zadzwoni, dopyta.

Usiądzie, otworzy, napisze.

A potem: wydrukuj w dwóch egzemplarzach na wszelki wypadek, zeskanuj i wyślij. Jeden egzemplarz musi jeszcze dostarczyć na miejsce, a drugi, dla siebie, powędruje *ad acta* – do nowo założonego skoroszytu, bo w starym z etykietą „PRACA” już się nie zmieści.

Żółte.

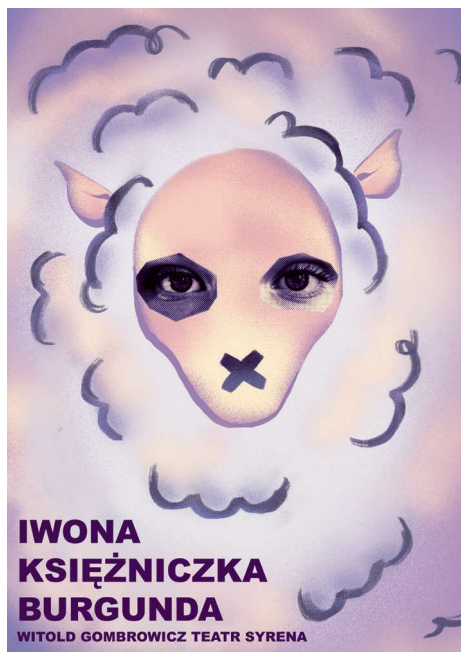
Właśnie, warto pomyśleć o jakiejś selekcji domowych papierów.

Nazajutrz podanie zostanie przyjęte i łatwo otrzyma tę pracę. Radość będzie podwójna, bo pojawi się *bonus*, dodatkowa korzyść: nie będzie musiał już kupować prywatnej niszczarki.

Zielone.

Piotr Michałowski

7 września 2024 r.



Wiktoria Lis

Zbigniew Dmitroca

## WARIACJE ZADUROWSKIE

\* \* \*

jasna cholera  
wszystko się zżera

owady ptaki  
gady i ssaki

ryby i płazy  
tryliardy razy

nie masz odrazy?

wszystko się zjada  
sąsiad sąsiada

kuzyn kuzyna  
matko jedyna

a człowieczysko  
pożera wszystko

boć to panisko

*14 lipca 2024*

\* \* \*

jak ten czas leci  
dorosły dzieci

i wiesz że życie  
już po zenicie

znikli znajomi  
rzadko kto dzwoni

oprócz natrętów  
od prób przekrętów

(i innych sztuczek  
pod hasłem wnuczek)

lecz mimo wszystko  
nie wierzysz chłystkom

że czas się zbierać  
(im też źle nie radź)

*18 lipca 2024*

\* \* \*

chleb nasz powszedni  
hejt nasz powszedni

z sutą omastą  
wytrawnych bredni

hejt pospolity  
z nizin po szczyty



małe i duże  
mdłe gównoburze

czcze licytacje  
na święte racje

piątek i świątek  
rzeż niewiniątek

zrobisz wyjątek?

*20 lipca 2024*

\* \* \*

wszystko się zmienia  
punkty widzenia

pogoda klimat  
pejzaż i prymat

drobnoustroje  
nastroje stroje

buty bieliznę  
czasem ojczyznę

potrawy trunki  
ludzkie stosunki

premierzy rządu  
posłów poglądy

gusta zwyczaje  
kto z kim przystaje

bzdur himalaje

*22 lipca 2022*

## WARIACJE MANDELSZTAMOWSKIE

Można tędy lub owędy  
Czemu nie  
Pójść w te pędy w owcze pędy  
Jak we mgłę

Owcze pędy owcze trendy  
Cały czas  
Wiodą tędy i owędy  
Drogą mas

Owcze pędy i obłądy  
Ludzka rzecz  
Wyznaczają różne trendy  
W przód i wstecz

Ludzkie błędy i obłądy  
Wieczny trend  
Całe szczęście czuwa święty  
Happy end

Można tędy lub owędy  
W skos czy wspan  
Lecz niestety happy endu  
Często brak

*20–21 lipca 2024*

Zbigniew Dmitroca

Fryderyk Hunia

## SKOPAĆ OGRÓDEK I POSADZIĆ DRZEWKO

*Łukaszowi Trzczańskiemu*

Istnieje tylko jeden smutek,  
a jest nim utrata raju; i istnieje  
tylko jedna nadzieja i jedno  
pragnienie – odzyskanie go.

Leon Bloy

Ciągle pytamy dlaczego,  
jak natrętni dzieci.  
To Dlaczego jest grzechem  
pierworodnym.

Ernst Schönwiese

Drzewo życia nie jest drzewem  
poznania dobra i zła.

Raimon Panikkar

### I

„Cóż więc jest? Co zostało nam, co wszystko wiemy, / dla których żadna z dawnych wiar nie wystarczy?”<sup>1</sup> – pisał na przełomie XIX i XX wieku Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Postawione przez poetę pytania są aktualne także dziś – dla nas, którzy weszliśmy w XXI wiek, dla których jeszcze bardziej stały się podejrzone dawne i nowe wiary. Czyż bowiem także nam – ludziom, których Emil Cioran określał jako niegdysiejszych wierzących, o umysłach religijnych pozbawionych wiary – nie towarzyszył na początku tego stulecia i tysiąclecia podobny nastrój rozczarowania i z wątpienia?

Nie sposób odmówić racji tym, którzy minione stulecie nazywają wiekiem epifanii diabła. Mierzone skalą ludobójstwa (ponad sto milionów ofiar), nie miało precedensu w dotychczasowej historii ludzkości. Nic dziwnego, że po bestialstwach obydwu wojen światowych i hekatombach ofiar złożonych na ołtarzu historycznych utopii, jakich świadkiem był wiek XX, u dzisiejszego człowieka mamy do czynienia

<sup>1</sup> K. Przerwa-Tetmajer, *Koniec wieku XIX* [w:] tegoż, *Poezje*, wybrał i wstępem opatrzył Jan Zygmunt Jakubowski, Warszawa 1974.

z totalnym kryzysem zaufania. „Ginie zaufanie do czasu – kreśli topografię jego atrofii niemiecki teolog Jürgen Moltmann – jeśli się nie wie, czy istnieje jeszcze przyszłość. Rozpada się zaufanie do ziemi, gdy staje się ona śmietnikiem. Przez nowoczesne masowe mordy zostaje także zniszczone zaufanie do człowieka”.

Pamiętamy, jak czyniono filozofii zarzut, że zajmuje się tylko interpretowaniem świata, zamiast go zmieniać. Minione stulecie pokazało aż nadto boleśnie, czym kończy się wcielanie w życie zuchwałych rojeń o transformacji świata i człowieka – w imię ich „udoskonalania”. Przejdzie ono do historii jako wiek totalnego bankructwa wszystkich – poczętych z ducha mesjańskiej nadziei, idei: rajy Marksa, rajy kapitalizmu, rajy Ameryki. Na naszych oczach dogasa nadzieja tych, którzy są „ewangelizowani” rajem technologicznym.

Dwie największe utopie polityczne XX wieku – nazizm i komunizm – pokazały, jak kruche są fundamenty, na których został wzniesiony gmach zachodniej cywilizacji. Zawiodły z takim zapalem głoszone przez nią, tak przecież szczytne, ideały i wartości. Zawiodły nie tylko społeczno-polityczne systemy. Nie sprawdziły się także kluczowe dla duchowej homeostazy każdej kultury domeny – filozofia i religia. Ta pierwsza dlatego, że zaczęła pogrążyć się coraz bardziej w oderwanej od życia abstrakcji i tym samym oddalać od prawdziwych problemów człowieka. Używając znanej w buddyzmie metafory, można powiedzieć, iż zawiodła, ponieważ miała tyle wspólnego z rzeczywistością, ile wskazujący na księżyc palec z samym księżycem. Zawiodła, gdyż z czasem zaczęła ulegać procesowi fragmentaryzacji i mieć coraz mniej wspólnego z mądrością, a coraz więcej z Norwidowym „upiorowym myśleniem myślenia”. W przeciwieństwie na przykład do indyjskiego myślenia, dla którego prawda – jak pisze Mircea Eliade: „nie jest wartością sama w sobie, lecz staje się wartością dopiero poprzez funkcję soteriologiczną, w tej mierze w jakiej poznanie prawdy pomaga człowiekowi w wyzwoleniu”. Artur Schopenhauer zadawała się konstatacją, że jako filozof ma – jak drogowskaz – tylko wskazywać drogę, a nie iść nią.

Także religie zawiodły, gdyż nie zdołały powstrzymać niszczenia biosfery i doprowadzić do zachowania globalnego pokoju. Znaleźliśmy się w sytuacji, w której – jak pisze Raimon Panikkar – nie wystarczają już ani Bóg religii, tak jak one go nam ukazują, ani Absolut filozofów. Generalnie można rzec, iż w całej rozciągłości zawiodł historyczny imperatyw. Wszak to na bazie świadomości historycznej powstały wszystkie świeckie mesjanizmy, obiecujące „złoty wiek” ludzkości. Żyjemy zatem w krytycznym momencie historycznego mitu ludzkości. Człowiek historyczny zwykł lokować swoje marzenia o szczęściu w przyszłości. Jest on przekonany, iż trzeba transcendować czas. „Trzeba zawsze iść poza i dalej. Trzeba podróżować i zdobywać przestrzeń” – napisał Panikkar.

Wszystkie świeckie religie XX wieku bazowały na przekonaniu, że spełnienie nastąpi w przyszłości. Jako zsekularyzowane mutacje eschatologicznego myślenia religii abrahamicznych rzutowały w przyszłość to, co w tych ostatnich było rzutowane w kierunku wertykalnym (wymiar transcendencji). Jak powiada Jean Gu-

itton: „Nowożytnym wydawało się, że mogą obiecać na ziemi to, na co chrześcijanie mieli nadzieję w życiu pozagrobowym. Spencer, Renan, Hugo, Bergson, Teilhard de Chardin, wszyscy spirytualiści śpiewali przed Hiroszimą ten sam hymn”. Wszystkie te historyczne sny człowieka o potęgę skończyły się gigantycznym fiaskiem. Znany angielski filozof John Grey pisał:

Świat na początku nowego tysiąclecia pokrywają ruiny utopijnych projektów, które choć sformułowane w języku świeckim, przeczącym prawdzie religii – były w istocie nośnikami religijnych mitów. Mit o zbawieniu w historii jest, jego zdaniem, najbardziej problematycznym darem, jaki chrześcijaństwo przyniosło historii. Dziś, jak nigdy dotąd, wiemy, do jakich potworności może doprowadzić takie – ubóstwiające historię i absolutyzujące przyszłość – myślenie. Zmęczony i rozczarowany historią dzisiejszy człowiek dochodzi do wniosku, iż – jak sądził malarz i teolog Jerzy Nowosielski: „w historii nie uda nam się lepiej urządzić. Nie pomogą reorganizacje systemów społeczno-politycznych czy gospodarczych [...]”<sup>2</sup>.

I nieco dalej, w iście profetycznym, przenikającym zaślone czasu, wlocie ducha obwieszczał: „W historii znaleźliśmy się w punkcie, z którego widać już koniec. W metahistorii – w okresie eschatologicznej nadziei”<sup>3</sup>.

Trzeba pamiętać, iż świat nowoczesny jest dzieckiem żydowskiej i chrześcijańskiej nadziei, która legła u podstaw nowej wizji czasu. Po „starożytności” i „średniowieczu” – ten „nowy czas” (niem. *Neuzeit*) miał być ostateczną epoką historii, „trzecim wiekiem” ludzkości, epoką bezpośrednio od Boga danego nam Ducha. Założyciele „nowoczesności” wierzyli, że będzie to nowy, chwalebny wiek całego ludzkiego rodzaju, ostatni „złoty wiek” przed końcem świata. Oto jak ostatecznie fiasko tych, tak wzniosłych przecież i szlachetnych w swych założeniach, idei opisuje Moltmann:

Naukowe odkrycia i techniczne opanowanie natury nie uczyniły ludzi obrazem Boga. Humanistyczne idee „Oświecenia” ani nie udoskonaliły moralnie ludzkiego rodzaju, ani nie „zakończyły” historii. Owe obrazy o „pięknym nowym świecie” po „końcu historii” pogłębiły tylko nędzę historii i przybliżyły ludzki rodzaj do końca. Nie wiemy już dokąd prowadzi nas ten, tak bardzo zaklinany „kryzys orientacji”. Nie wiemy już, czy nasze myślenie i praca w tym nowoczesnym projekcie służą życiu czy śmierci. To jest tak zwany kryzys sensu.

Wszystko to pokazuje, że życie mitem historii i inherentnie z nim związanym mitem postępu prowadzi ludzkość nieuchronnie do katastrofy. Już w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku Georg Picht wiedział, iż niemożliwe jest „zastrzymanie przez ludzki rozum zniszczenia biosfery ni zagwarantowanie globalnego

<sup>2</sup> Cyt. za: Z. Podgórzec, *Mój Chrystus. Rozmowy z Jerzym Nowosielskim*, Białystok 1993, s. 24.

<sup>3</sup> Tamże, s. 25.

pokoju”. Jego konkluzja była nieubłagana: „Sen naukowego rozumu człowieka o panowaniu nad światem skończył się”. Wizja historii jako zwycięskiego pochodu ku „słońcu przyszłości” legła w gruzach. Tworzenie „ludzkiej przyszłości” skończyło się gigantycznym – okupionym dziesiątkami milionów ofiar – Holokaustem.

## II

Autorem ciekawej refleksji o stanie świadomości człowieka końca XX wieku i zarazem początku nowego tysiąclecia jest socjolog Włodzimierz Pawluczuk, który w posłowniu do drugiego wydania swojej najbardziej znanej książki *Wierszalin. Reportaż o końcu świata* (1974) pisał:

Bohaterami końca wieku są zawiedzeni i wątpiacy. Począwszy od Husserla i Grotowskiego, a na bohaterach Wierszalina skończywszy. [...] Faktycznie wszyscy w mijającym wieku ponieśli klęskę, nikomu się nie udało. Nie udało się Husserlowi stworzyć filozofii bezdyskusyjnie pewnej i trwałej, prorokowi Ilji zbudować stolicy świata w Wierszalinie [...], Jerzemu Grotowskiemu stworzyć Teatru Człowieka.

Nie udało się komunistyczny raj, ani postkomunistyczna Pax Ameryka, państwo dobrobytu i świat wolności. Klęskę ponieśli i Sartre i Heidegger, i ci ze Świętyni Ludu w Gujanie, próbujący stworzyć boską wspólnotę z dala od grzesznego i zepsutego świata<sup>4</sup>.

Rozczarowanie i poczucie klęski, o których pisze Pawluczuk, wynika w moim przekonaniu z błędnego założenia, że spełnienie człowieka jest możliwe do osiągnięcia w historii. Wiele z wymienionych przez myśliciela postaci poniosło klęskę, ponieważ zamiast szukać rozwiązania ludzkiego dylematu w (wiecznej) terażniejszości (*nunc aeternam*), pokładało nadzieję w (wiecznej) przyszłości, a więc *de facto* w czymś, co jest wiecznie nieaktualne (przyszłość jest wszak niebytem). Wiele z nich dało się uwieść „mistryce” ostatecznego spełnienia (w przyszłości), zamiast otworzyć się na „mistrykę Teraz” – mistrykę terażniejszego doświadczenia istnienia. Ich światozbawcze projekty i rojenia nie skończyłyby się całkowitą porażką, gdyby było dla nich oczywiste, że prawdziwe życie nie odbędzie się dopiero jutro, lecz że jest tożsame z rzeczywistością tego konkretnego tu i teraz; że inaczej mówiąc, spełnienie naszego życia nie dokonuje się w linearnej przyszłości, lecz w czasowiczności.

Na postawione na początku naszych rozważań pytanie poety: „Co zostało nam...?” możemy zatem odpowiedzieć: zostało nam właśnie otwarcie na tę nieustannie obecną pod powierzchnią naszej codziennej egzystencji Rzeczywistość – obecną w niej jak „ogień we wnętrzu bytu” (Alexander Schmemann). Kto potrafi całym ciężarem swojego bytu spoczywać w chwili obecnej i przeżywać ją w jej czasowicznej głębi, dla tego „sens życia nie polega na przyszłości ani na tworzeniu

<sup>4</sup> W. Pawluczuk, *Wierszalin. Reportaż o końcu świata. 30 lat później*, Białystok 1999, s. 132.

społeczeństwa, ani na przekształcaniu natury, lecz na samym życiu, które przeżywa się w obecnej i rzeczywistej głębi” (Panikkar).

W eseju *Po trzydziestu latach* na temat losów Wierszalina (zarówno jako książki, jak i mitu), Pawluczuk – skonstatowawszy totalne bankructwo wszystkich XX-wiecznych projektów obiecujących ludzkości szczęśliwą przyszłość – notuje zgoła zaskakująco: „Nic to. Wiosna idzie. Potrzeba wyjechać na wieś, skopać ogródek, zasiać kwiaty, posadzić drzewka”<sup>5</sup>. To kończące esej stwierdzenie pada w kontekście relacji z jego spotkania na Soławkach z pisarzem Mariuszem Wilkiem, który chciał tam tworzyć – jak to określił – „ludzką przyszłość dla siebie i świata”<sup>6</sup>.

Te zdumiewające słowa Pawluczuka brzmią jak zwiastowanie nowego dnia po końcu świata. Wskazują na obecność w naszej świadomości wymiaru, który nie podlega władztwu historii, który, choć do niej należy, to ją immanentnie przekracza. Oddanie się tym prostym zajęciom – zdaje się mówić autor *Wierszalina* – stanowi zbawienne remedium na hektyczność naszego życia wydanego na pastwę historii, wiedzonego pod znakiem historycznej przyszłości. Jest to życie całkowicie oderwane od kontaktu z ziemią, pozostające w całkowitym rozbracie z rytmem kosmosu.

Proponowane przez Pawluczuka autorowi *Wilczego notesu* zasadzenie drzewka (najlepiej dębu) jest receptą na wyrwanie się spod jedynowładztwa historycznego mitu, który w świadomości człowieka Zachodu został tak wywindowany: „jak gdyby był materia, z której utkana jest cała rzeczywistość” (Panikkar). Aby móc uwolnić się od opresji świadomości historycznej – zdaje się mówić Pawluczuk – nie jest konieczne udawanie się na daleką Syberię, by tam szukać spełnienia swych marzeń o powrocie do utraconego raju. Wystarczyłoby oddanie się całkowicie – i bez reszty – takim prostym zajęciom, jak kopanie ogródka, sianie kwiatów czy sadzenie drzewek. Że taki powrót – choć są to bardzo rzadkie momenty łaski – jest możliwy świadczy wiersz Czesława Miłosza *Dar*:

Dzień taki szczęśliwy.  
Mgła opadła wcześniej, pracowałem w ogrodzie.  
Kolibry przystawały nad kwiatem kaprifolium.  
Nie było na ziemi rzeczy, którą chciałbym mieć.  
Nie znałem nikogo, komu warto byłoby zazdrościć.  
Co przydarzyło się złego, zapomniałem.  
Nie wstydziłem się myśleć, że byłem, kim jestem.  
Nie czułem w ciele żadnego bólu.  
Prostując się, widziałem niebieskie morze i żagle<sup>7</sup>.

Czy to niezwykle przeżycie poety nie jest z gatunku tych, które francuski filozof Louis Lavelle nazywa „doświadczeniem terażniejszości bytu”? Jest to według

<sup>5</sup> Tamże.

<sup>6</sup> Tamże, s. 131.

<sup>7</sup> C. Miłosz, *Dar* [w:] tegoż, *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*, Paryż 1974.

niego „pierwsze doświadczenie, zawarte we wszystkich innych doświadczeniach i używające mu swej głębi i wagi”. Spotykamy się z nim u wielu mistyków, poetów, pisarzy i filozofów. Z tych ostatnich wystarczy tu przywołać Jana Jakuba Rousseau, który w swoim dzienniku *Przechadzki samotnego marzyciela* opisuje stan duszy „gdzie czas się nie liczy, terażniejszość trwa nieprzerwanie [...], gdzie nie mamy uczucia niedostatku ani przyjemności radości, ani smutku, nadziei, ani bojaźni; gdzie żadne inne uczucie nas nie przepelnia, poza uczuciem naszego istnienia (*sensiment de l'existence*) i to w całej rozciągłości tego istnienia!”<sup>8</sup>.

Innym sposobem na wyrwanie naszej, wiedzonej pod znakiem historycznej przyszłości egzystencji, jest wyruszenie na pielgrzymkę do – jak to ujmuje Panikkar – „świętych miejsc» ludzkiego ducha i ludzkiej ziemi”. Tak właśnie czyni ten indyjsko-kataoński myśliciel. Dobięając osiemdziesiątki, postanawia udać się – gwoli uczczenia pięćdziesięciolecia święceń kapłańskich – w pielgrzymkę na najświętszą górę Tybetu, Kajlaś (6714 m. n.p.m.). Czyni to wbrew zaleceniom lekarzy; wie, że ryzykuje życie. W trakcie wspinaczki przechodzi poważny kryzys. Czuje się – jak dyskretnie napomyka w swojej relacji z tej wyprawy – „obejmowany przez ramiona śmierci”. I zaraz po tym pisze:

Podczas nocy trwa to subiektywne odczucie, ale przez dzień górę biorą obiektywne wrażenia. Ludzka historia, osobista i zbiorowa stają się nieistotne. W ciągu godzin i dni sceneria jest beczasowa, krajobraz trwa poza historią, znikają wszystkie ludzkie, związane z czasem, pragnienia. Rozległe doliny, dalekie szczyty, brak drzew, skały i rzeki, potężne płaskowyże. Wszystko to istnieje bez historii. Nie biorą się one z jakiegoś początku, nie spieszą się do jakiegoś eschatonu. Po prostu są.

Czyż skierowana do Wilka propozycja zasadzenia drzewka nie jest symbolicznym wskazaniem na możliwość wyjścia z kolein świadomości historycznej, z owej „ucieczki naprzód”, jak nazwał historię Emil Cioran, i zamieszkania „w tych chwilach, których ona nie skazała”? Na tybetańskich szczytach historia – ten „pośpiech ku stawianiu się” – znika. Życie jest tu przemóżną terażniejszością. Pisze Panikkar: „Taką przemóżną terażniejszość posiada ziemia. Jest tu razem z księżycem, słońcem – są tutaj także gwiazdy, które poruszają się, wirując – równo, bez pośpiechu”. Widziany z tybetańskiego szczytu cały ten sztuczny kram, związany z „ucieczką naprzód” rwetes, rozwiewa się jak poranna mgła pod naporem promieni słonecznych. Nasza świadomość stapia się w jedno z intensywną terażniejszością surowego górskiego krajobrazu.

Czego doświadcza człowiek, któremu choćby na moment udaje się wyłamać z horyzontu świadomości historycznej? Doświadczenie to jest podobne do tego, jakie staje się udziałem mistrzów zen. Jest ono – jak opisuje je współczesny

<sup>8</sup> J.J. Rousseau, *Przechadzki samotnego marzyciela*, przeł. M. Gniewiewska, wstęp B. Baczeko, Warszawa 1967.



nauczyciel tej szkoły medytacji, Kenneth S. Leong – tym, „co się wydarza, gdy zatopieni w chwili, zapominamy o sobie, odczuciem, że zatrzymuje się czas, cały świat i zapanowuje harmonia i głębszy pokój”. W tych błogosławionych chwilach dochodzi do zatrzymania się całego procesu ja (ego), wskutek czego „ustają własne oczekiwania, życzenia, troski i lęki. Doświadczamy wtedy siebie samych żyjących w teraźniejszości i jesteśmy wypełnieni pełnią radości i pokoju”.

Można rzec, że w tych rzadkich „błyskach błogosławieństwa” wchodzimy w coś, co buddolodzy nazwali metanoezą – to znaczy wyjściem poza racjonalny stan świadomości i wejściem w niedualistyczną płaszczyznę rozumienia, która jest właśnie celem buddyjskiej medytacji. Ten osiągany przez medytację szczególnie stan świadomości udowadnia, że istnieje w nas wymiar, który wykracza poza świadomość historyczną. To, co Pawluczuk nazywa „świadomością i potrzebą Jedni [...]; jedni aktu twórczego i samego życia; jedni rozumu i uczucia; jedni opisującego z opisywanym”<sup>9</sup> niełatwo urzeczywistnić w zdominowanej przez świadomość historyczną epoce, w której cała nasza aktywność jest nastawiona na zdobywanie przyszłości, a nie na pogłębienie w teraźniejszym doświadczeniu bytu. Nic dziwnego, że historia dla Ciorana jest „najdziwniejszym w dziejach kosmosu rozdziałem”. Pisząc o jej końcu, nie ukrywa, że chciałby poznać to: „szybkowe powodzenie, kiedy uda się uciec przed następstwem pokoleń i napieraniem kolejnych dni i gdzie w rozpadlinach czasu historycznego – istnienie, w końcu tożsame z samym sobą, stanie się na powrót tym, czym było, zanim przemieniło się w historię”.

W zaabsorbowanej przyszłością, zdominowanej przez rozum i wolę epoce historycznej świadomość Jedni (o której pisze Pawluczuk) i pojednane z samym sobą istnienie (o którym wspomina Cioran) stają się rzeczywistością tylko dla tych nielicznych, spośród nas, których nazywamy mistykami. Chodzi wszakże o to, by stały się one doświadczeniem powszechnym, mahajaną dzisiejszej i przyszłej ludzkości.

Całkiem słusznie autor *Wierszalina* upatruje przyczyny klęski wymiennych przezeń filozofów i twórców kultury w tym, iż usiłowali oni „za pomocą rozumu przezwyciężyć rozum, poprzez refleksję przywrócić zagubioną spontaniczność, zaplanować szaleństwo, odzyskać wiarę poprzez sceptycyzm [...] wrócić do świata rzeczy poprzez wysiłek intelektu”<sup>10</sup>. To nie mogło się udać, jako że usiłowanie przezwyciężenia rozumu rozumem jest racjonalistycznym urojeniem i arogancją. Jest częścią racjonalistycznego snu o omnipotencji rozumu. Usiłowanie to jest tak samo beznadziejne, jak przysłowiowy pomysł wybijania klina klinem, co – jak wiadomo – prowadzi do jeszcze większego zakleszczenia. Operujące w płaszczyźnie horyzontalnej myślenie racjonalne nie jest w stanie wyjść poza zrodzone przez siebie antynomie, przeciwieństwa i aporie.

Trzeba pamiętać, że rozum jest tylko środkiem i narzędziem, a nie instancją, która odkrywa rzeczywistość i prowadzi nas do bezpośredniego z nią kontaktu.

<sup>9</sup> W. Pawluczuk, dz. cyt., s. 111.

<sup>10</sup> Tamże, s. 127.

„Trzeba przejść przez intelekt – pisze w swojej książce o mądrości Panikkar – nie negocjować go, lecz rzeczywiście przekroczyć. Tylko wówczas wiedza nie jest przeszkodą dla życia”. Rozum racjonalny, który na Zachodzie został wywindowany do rangi najwyższej instancji w życiu człowieka, staje się przeszkodą na drodze do mądrości – jeśli nie zostanie włączony w wyższą formę poznania i tym samym przekroczony.

Toteż aby wyjść ze ślepego zaułka rozwiedzionego z mądrością rozumu (*ratio*), w którym się znaleźliśmy, musimy – mówią buddyści – dokonać skoku świadomości poza wszystkie pytania, które pochodzą ze świata przeciwności, w „otwartą przestrzeń” pustki bez centrum i peryferii. Musimy, innymi słowy, wejść w transakcyjne doświadczenie d(D)ucha. Nasze skupione wyłączenie na „wysilku pojęcia” (jak Hegel nazwał zachodnią filozofię) myślenie potrzebuje zatem otwarcia na „święty luz” d(D)ucha.

Usiłowania przewyciężenia rozumu za pomocą rozumu, przywrócenia poprzez refleksję zagubionej spontaniczności, musiały skończyć się fiaskiem, ponieważ zamiast do zablźnienia rany zadanej świadomości niekrytycznej przez świadomość racjonalną – rany dualizmu podmiot-przedmiot, poznanie-istnienie – prowadzą tylko do jej pogłębienia. W jej zablźnieniu może nam pomóc tylko osiągnięcie „nowej niewinności”, która – jak pisze Panikkar: „nie ma już nic do powiedzenia, ponieważ odczuwa, że wszystko jest już powiedziane, że mówienie nazbyt często zasłania rzeczywistość, a nawet ją tłumi”.

### III

Ta „nowa niewinność” jest w holistycznej wizji rzeczywistości Panikkara synonimem trzeciego kairolologicznego momentu świadomości, zwanego przezeń momentem kosmoteandrycznym (trójjednia Boga, człowieka i kosmosu), który zachowuje rozróżnienia drugiego momentu (świadomości krytycznej), nie rezygnując jednakże z jedności pierwszego (który proponuje on nazywać partycypacją niekrytyczną). „Musimy – powiada – ponownie odkryć poczucie jedności z rzeczywistością, które wszakże nie zamazuje różnic”. (wyróżnienie F.H.)

Bodajże Lew Tołstoj zanotował, że świadomość jest największym nieszczęściem człowieka. Świadomość (a właściwie samoświadomość, świadomość refleksyjna) inherentnie wiąże się z rozszczepieniem rzeczywistości na podmiot i przedmiot<sup>11</sup>. Rozszczepienie to stanowi moment naszego rozbratu ze stanem pierwotnej niewinności, całkowitej tożsamości z istnieniem i tym samym skazania nas na to, co Thomas Merton nazywa „byciem widzem”. „To bycie widzem – pisze on – jest naszą wrodzoną raną, rodzajem grzechu pierworodnego [...], który pilnie potrzebuje zostać uleczoney”.

<sup>11</sup> Szerzej o nierozdwojonej świadomości pisałem w szkicu *Kilka uwag o świadomości nierozdwojonej*, „Twórczość” 2014, nr 1, s. 129–133.

Bycie samoświadomym oznacza wypadnięcie ze stanu niewinności. Nic dziwnego, że od momentu upadku w samoświadomość mamy do czynienia z widoczną u mędrców wszystkich epok prąteksnotą za pierwotnym zjednoczeniem, uleczeniem tej rany naszej jaźni; za tym – mówiąc słowami Jeana Onimusa – by „przywrócić raj ciszy, istniejący przed odkryciem i przywłaszczeniem sobie przez człowieka ja, czas szczęśliwości, w którym nie było jeszcze słowa, a oczy ludzkie widziały tylko świat zewnętrzny”. „Nie wychodzi się z drzewa środkami drzewa” – napisał w jednej ze swoich poetyckich próz francuski poeta Francis Ponge. Analogicznie można powiedzieć, że nie wychodzi się z rozumu środkami rozumu.

Zaczynamy przeczuwać, że z obecnego błędnego koła, w jakim się znaleźliśmy, nie możemy się wywikłać za pomocą samego rozumu i woli. Coraz wyraźniejsza staje się świadomość, że aby wyjść z niego, niejako uzyskać doń styczność, musimy zrewitalizować ów – ukryty w głębi naszej (duchowej) duszy – „organ” „uważnie miłującej percepcji”, który według Panikkarra otwiera nas na mistyczny wymiar rzeczywistości – wymiar, który przekracza zmysły i rozum. Zdaniem myślicielea musimy dziś jako ludzkość zdobyć się na osiągnięcie „nowej niewinności” – nowej, nie drugiej, po tej, która została bezpowrotnie utracona. „Jesteśmy zmuszeni – pisze – do tego, by przewyciężyć wiedzę przez niewiedzę, przez skok... skok wiary, ufności, uczucia, intuicji”. Oznacza to osiągnięcie stanu umysłu, w którym „moja potrzeba poznania nie wyemancypowała się od mojego istnienia”.

Mówiąc językiem filozofii, ta „nowa niewinność” stanowi przewyciężenie rozszczępienia między ontologią i epistemologią; przewyciężenie intelektualnego zwątpienia, „które pojawia się, gdy odkrywamy, że nie możemy wyłamać się z błędnego koła – ani przez akt intelektu, ani przez akt woli” (Panikkar). W stanie niewinności proces zapytywania zatrzymuje się, ponieważ „ona wierzy, że dotknęła prapodstawy (pragruntu), który czyni zbytecznymi dalsze pytania”. Świadomość refleksyjna niszczy spontaniczność. Refleksja, przyznaje indyjsko-kataloński myśliciel, ma wielką siłę, ale jednocześnie płaci za nią utratą niewinności. Musimy zatem zdobyć się na nową konwersję, metanoię, aby „wytworzyć postawę, w której stanie się możliwa autentycznie ludzka (a nie zwierzęca) spontaniczność, w której możemy ponownie uczyć się mówić, patrzeć i cieszyć”.

Może więc warto pochylić się nad słowami Ponge’a, który pisze: „Najlepsze, co można jeszcze uczynić, to uznać wszystkie rzeczy za nieznanne, iść na przechadzkę lub rozłożyć się pod drzewem czy na trawie i wszystko rozpocząć od nowa”. Może rzeczywiście powinniśmy postawić pod znakiem zapytania wszystkie wzniesione przez nasz rozum konstrukcje, zburzyć całe to – zbudowane z naszych myśli, aspiracji i dążeń – rusztowanie, do którego przywykliśmy dla własnej wygody i zacząć żyć od początku, słuchając tego, co i jak mówi do nas byt? Ale by mogła dokonać się w naszym życiu ta duchowa przemiana, potrzeba mądrości. Bez mądrości, powiada Panikkar, nie można żyć. Niemal wszystkie religie mówią zgodnie, iż mędrcy utrzymują świat. Jednym z fundamentalnych wymiarów mądrości jest prostota, proste życie. Bądź prosty, żyj prosto! – to jedna z głównych reguł mnichów i mistrzów zen.

Imponująca jest ich – będąca emanacją oświecenia – zdolność sprowadzania umysłów uczniów ze stratosfery konceptualnej abstrakcji na ziemię, do tego konkretnego teraz i tutaj. Opowiada się, jak kiedyś chiński mistrz tej szkoły medytacji Nansen (784–834) pracował razem z mnichami na polu, gdy pewien wędrowny mnich zatrzymał się przed nim i nie przeczuwając, że ma przed sobą samego mistrza, zapytał: „Gdzie wiedzie droga do klasztoru Nansena?”. Na te słowa mistrz, podnosząc do góry sierp, którym właśnie pracował, odpowiada: „Zapłaciłem za niego 30 sztuk szczerzego złota”. Mnich: „Nie pytałem o cenę, tylko o drogę, która prowadzi do Nansena”. Mistrz: „Tnie znakomicie”. Mistrz chciał już na wstępie uprzytomnić nowicjuszowi, że jego klasztor nie jest miejscem, gdzie mnich może zdobyć tylko abstrakcyjną wiedzę czy dyskutować na temat różnych systemów filozoficznych bądź szkół medytacji. Swoimi niekonwencyjnymi z pytaniami mnicha odpowiedziami i gestem mistrz dał mu do zrozumienia, że tym, co ostatecznie się liczy, jest koncentracja na wykonywanej tu i teraz czynności. Bowiem życie, jak mądrze pisze Panikkar, ma swoje źródło w bezpośrednim spotkaniu z tym, co konkretne: „ono zaczyna się rozwijać, gdy jesteśmy w stanie zobaczyć i doświadczyć całości w tym co konkretne”.

Chciałbym wierzyć, że to, co Pawluczuk zawarł w słowach: „wiosna idzie...” – pochodzi z podobnego rozpoznania i nie jest tylko literacką frazą. Kopanie ogródka i sadzenie drzewek – czy nie jest to najlepszy sposób na pozbycie się zuchwałych rojeń o zbudowaniu na Sołowkach „wyspy dobra i prawdy”, wyjścia z zakłętego kręgu świadomości historycznej? A więc powrót do prostoty, do prostych zajęć, w bezpośrednim kontakcie z materią ziemi – to najlepsza lekcja mądrości. Prawdziwa lekcja zen.

„Myśl całkowicie i bez reszty o tym, co czynisz w tej chwili – a jesteś wolny, jak ptak” – pisze, próbując wysłowić najgłębszą istotę zen, Reginald H. Blyth. Kenneth Leong nazywa zaś zen „cudem zwyczajności”, dodając: „W całkiem zwykłym otaczającym nas świecie tkwi ukryty wymiar piękna, bogactwa i harmonii, na który w samej rzeczy rzadko zwracamy uwagę. Zen próbuje wzmocnić odczucie tego naturalnego cudu i w ten sposób ponownie wprowadzić do naszego życia radość”. Według mistrzów zen tylko intelektualne poszukiwanie prawdy rozszczepia naszą istotę (i całą rzeczywistość) na dwa dualistycznie ustrukturyowane stanowiska: jednym jest to, co transcendentne, drugim to, co konkretne. Tak widzi to chiński znawca azjatyckich szkół duchowości Chang Chung Yuan:

Poszukując transcendencji, porzuca się konkret; pozostając w sferze konkretnym, nie można go przekroczyć. Jednakże dla buddysty *chan* (jap. zen) nie ma transcendentnego poza konkretnym. Innymi słowy człowiek *chan* zajmuje się zwykłymi codziennymi sprawami, jednocześnie je przekraczając, tak że to, co konkretne i to, co transcendentne są jednym i tym samym [...]. Dla niego to, co skończone przebywa w nieskończonym, a nieskończone w skończonym.

Nic dziwnego, że w przekonaniu Jürgena Moltmanna najgłębszą mistyką jest mistyka codziennego życia, a proste istnienie jest życiem w Bogu. Jeśli tak, to doświadczenie Boga jest nieoddzielne od kopania ogródka, siania kwiatów i sadzenia drzewek – jednakże pod warunkiem, że wykonujemy je w „absolutnie bez domieszki” uważnym skupieniu, wolni od jakichkolwiek myśli o przeszłości czy przyszłości, opróżnieni z wszelkich oczekiwań, trosk i niepokojów. Dopiero wtedy, gdy całym ciężarem swojego duchowo-psycho-cieleśnego bytu jesteśmy obecni w tym konkretnym tu i teraz – o niczym innym nie myślimy i niczego innego nie chcemy, poza tym, co przynosi nam to konkretne Teraz – dopiero wtedy rzeczywiście istniejemy w Bogu, a Bóg istnieje w nas. Jeśli tę konkretną chwilę teraz przeżywamy tak, „jak gdyby na całym świecie nie istniało nic więcej, czego można by oczekiwać” (Jean-Pierre de Caussade), to – jak pisze Panikkar – „jest we mnie jakaś siła bez ego, moc, (*exousia*), którą zsyła na nas Duch”.

Owe zalecane przez Pawluczuka proste czynności: kopanie ogródka, sianie kwiatów i sadzenie drzewek, mogą stać się dla nas modelowymi ćwiczeniami w sztuce terażniejszego doświadczenia istnienia – pod warunkiem jednak, że będą wykonywane z namysłem kontemplacyjnym, to znaczy przeżywane ze świadomością, że każda z nich jest jedynym w swoim rodzaju darem, i że każda jest wystarczająca samej sobie i ostateczna – a nie środkiem do czegoś innego.

Wykonywane przez kontemplatora czynności mają sens same w sobie. Kiedy tak usposobiony kontemplacyjnie człowiek kopie ziemię, to kopie ziemię, kiedy sadzi drzewko, to sadzi drzewko – i nic dlań innego, poza tą konkretną czynnością, nie istnieje. Nie wiemy, czy ówczesny mieszkaniec Sołówek Mariusz Wilk posłuchał rady Pawluczuka, by zasadzić drzewko (najlepiej dąb). Gdyby jednak to uczynił – a najlepiej, gdyby czynił to regularnie, a kopanie ogródka uczynił swą medytacją (jak Beppo ze znanej książki Michaela Endego *Momo* uczynił nią zamiatanie ulicy), to najpewniej przestałby śnić o zbawianiu ludzkości (w historii); powstrzymałby swoje myślenie przed „ucieczką naprzód” ku „słońcu przyszłości”; krótko mówiąc, uwolniłby je z miazmatów historycznego mitu.

Bezpośredni kontakt z ziemią uprzytomniłby mu, że życie jest przemożną terażniejszością; pozwoliłby mu zrozumieć, że na drodze prawdziwego życia cel znajduje się w każdym kroku, że każdy krok jest spełnieniem. Kontakt z ziemią pozwala nam odczuć, że człowiek jest nie tylko istotą historyczną, lecz także... telluryczną (człowiek, *homo*, jest *humus* – wzięty z ziemi). Bezpośrednie z nią obcowanie przywraca w nim świadomość, że człowiek jest także istotą kosmiczną.

Po co szukać szczęścia na północnych krańcach Europy, na Syberii, skoro droga do niego jest drogą, której cel nie jest oddalony od tu i teraz. Droga ta nie przebiega ani w przestrzeni, ani w czasie, lecz w (wiecznej) terażniejszości chwili, „która jest swoim własnym początkiem i swoim własnym końcem” (Panikkar). Mówią nam o tym mistycy i oświeceni wszystkich czasów i wszystkich religii. Chodzi więc o powrót do prostoty, do rzeczy „małych”, które czynimy, angażując całe nasze – złożone z ducha, psyche i ciała – jestestwo. Marcin Luter zapytany podczas

sadzenia jabłunki, co by zrobił, gdyby się dowiedział, że jutro będzie koniec świata, odpowiedział spokojnie, że dalej sadziłby jabłunkę. Ojciec Amphilous, najstarszy Kościoła na wyspie Patmos, zwykł zaś mówić: „Powinieneś kochać drzewa [...]. Kiedy sadzisz drzewa, sadzisz miłość i otrzymujesz Boże błogosławieństwo”.

Na postawione przez poetę – sobie i ówczesnym, wchodzącym w XX wiek mieszkańcom tej planety pytanie: „Cóż więc jest? Co zostało nam, co wszystko wiemy...” – od którego zacząłem te rozważania, można odpowiedzieć słowami francuskiego pisarza (pierwszego biografa Pierre’a Teilharda de Chardin) François’a F. Viallette’a, pochodzącymi z jego dziennika pisanego w czasie pobytu w jednym z klasztorów zen: została nam „świadomość, że każda chwila jest ważna, że wszystko wokół nas jest wiecznością, której nie wolno prześlepić”.

Porzucamy tym samym karmiącą nas mirażami przyszłego raju „mystykę postępu”, wmawiającą nam nieustannie, że „musimy wraz z naszymi współobywatelami, naszym narodem, nawet naszym całym światem posuwać się naprzód w przyszłość” (Panikkar); głoszącą bałamutnie, że prawdziwe życie odbędzie się dopiero Jutro. Porzucamy ją, aby zakotwiczyć nasze życie w „mistyce Teraz”, urzeczywistnianej w aktach kopania ogródka, siania kwiatów, sadzenia drzewek i w tym podobnych zwyczajnych, prostych, codziennych czynnościach i zajęciach.

Fryderyk Hunia



Kornelia Mach

## Magdalena Bielska

*DEAD NET CORD*

Festiwal literacki w Wiśle w czerwcu, wszędzie tłum;  
spotkania w parku nad rzeką,  
ludzie rozciągnięci na leżakach w trawie, biją dzwony kościelne,  
czternasta, słońce, ale grzmi już za Skolnitym.  
Próbuję uchwycić, że wszystko jest jednym, czas & oni, i ja,  
ale tutaj w żyłach zaczyna płynąć ten mroczny nurt,  
tutaj hawajskie kontemplacje odpadają od ściany Stożka,  
morski okrąg rozpiłowuje się w okolicach tartaku,  
obok most, z którego kiedyś zeszła Ronette Pulaski  
(oboje, ja i ojciec patrzymy na ten most – teraz pusty –  
a może nie,  
może tak szczerlnie wypełniony widmami, że aż przezroczysty?)  
To miejsce, gdzie zaczynasz słyszeć: szum,  
uderzanie brunatnej strugi o ścianki,  
zbutwiałe liście w końcu ruszają w dół razem z błotem,  
(ich) szczęście, ale stop!  
bo oddalasz się na kilka godzin –

SOR w Cieszynie, wściekle gigantyczna kolejka,  
tu bardziej można dostrzec tę jedność,  
po paru godzinach  
przez opustoszałe uliczki niesiesz gorące panini z cheddarem  
[i pieczarkami  
tak wspaniale podgrzane przez panią w Żabce;  
wytatuowany Ślązak z czułością przemawia przez telefon  
(do zapłakanego synka:  
*Nie płacz, Damianku, jeszcze tu posiedzimy, jest duża kolejka,  
też cię kocham, pozamykaj okna.*  
Kolejka, czułość, zamykanie okien przed burzą.  
Czy w Cieszynie burza jest w ogóle możliwa?  
Niebo intensywnie ciemnoniebieskie, srebrne chmury,  
cisza i spokój sobotniego popołudnia w małym mieście,  
drzewa aż drżały od tego spokoju.

W telefonie oglądałam na żywo wiślańskie szaleństwo – pokaz mody  
[kapeluszy,

quizey literackie, zapasy, disco,  
wycieczka biegiem na szczyt Baraniej i z powrotem –  
w tym czasie kolejka przesunęła się o dwie osoby.

Ula napisała: *Niech służbę zdrowia piekto pochłonie*,  
ale tego absolutnie nie chciałam: przecież ta cisza, cierpliwe drzewa,  
telefony od Patryków i nade wszystko – tamte wyblakłe pieczarki!

[Wcześniej rano smętnie  
siedziałam nad arcycytnym ciasteczkiem w kawiarni festiwalowej,  
nie wiedziałam, jak wytłumaczyć sympatycznej siwowłosej pani  
[z obsługi,

że to nie ja popsułam ekspres do kawy.

Ściana za mną była wytapetowana zdjęciami uśmiechniętego ojca.  
Goście wchodzili i wychodzili, witali się i ściskali, panowała radość.

Spoglądałam na nich spode łba, a ojciec za mną z wesołością,  
jakby widział przed sobą tylko jednego człowieka albo obiektyw.

W każdym razie okrąg.

Tak usiąść, żeby widzieć, ale nie być widzianym.

W drodze powrotnej w nocy z nami biegł lis, galopowała sarna,  
wszystkie kapelusze zostały już zapakowane do pudeł,  
czas dla tej grupy stworzeń nie istniał. Wróciliśmy na naszą górę,  
była 3.05, na Rolandzie Garrosie Novak Djoković ciągle grał mecz.  
Nad Skolnitym nadal słychać było pomruk burzy.

1 VI 2024



Fot. Archiwum M. Bielskiej

Magdalena Bielska



Iwona Matuszkiewicz

## „DUCH BOWIEM JEST WOLNYM WĘDROWCEM”

W najnowszej książce Henryka Wańka *Wędrowiec śląski*<sup>1</sup> wśród czterestu esejów znajdziemy tylko kilka niepublikowanych w jego wcześniejszych książkach. Są to teksty niemowe – *Zapis wycieczki pieszej z naszego stulecia do wieku siedemnastego i z powrotem* pisany był w latach 1984–1987, *Karetą do piekła, piechotą do nieba* w latach 1989–1999, w części publikowane w prasie: *Opisanie świata na przykładzie Szalejowa Górnego* w kolejnych numerach „Regionów” w latach 2000–2001; *Polak mały* w dodatku „Plus–Minus” dziennika „Rzeczpospolita” (2004); *Ślęzaczek w Polsko* w kwartalniku „Borussia” (2005). Pozostałe eseje znajdziemy w książkach Wańka: *Hermes w Górach Śląskich* (1994: *Sobótka alias Ślęza, Hermes na rozstaju, Theatrum Mundi, czyli Mała Hyszowa, O Olbrzymach*); *Opis podróży mistycznej z Oświęcimia do Zgorzelca 1257–1957* (1996: *Mappa mundi, Śląsko-Silesia-Schlesien*, esej tytułowy); *Pitagoras na trawie* (1997: *Do ciemności*), *Inny Hermes* (2001: *Ząbkowice Śląskie recte Frankenstein*).

Rodzi się pytanie, skąd pomysł wydania znanych tekstów w nieco tylko zmienionych wersjach i nowym układzie? Odpowiedź może być prozaiczna. Znanne wydawnictwo zaproponowało Wańkowi wydanie autorskiego wyboru tekstów w edytorsko dopieszczonej, trwałej formie (twarda okładka ozdobiona motywem z mistycznego, „śląskiego” krajobrazu autora), a tym samym umożliwiło przypomnienie esejów, które stanowią (niekiedy nieco zapomniane) kanon współczesnej literatury i wiedzy o Górnym i Dolnym Śląsku. Powstała w ten sposób eseistyczna summa śląskich refleksji Wańka. Dobrym pomysłem jest zamieszczenie na końcu książki indeksu osób, czego nie znajdziemy w poprzednich publikacjach autora. Jego erudycja jest bowiem imponująca i bez tej quasi-naukowej pomocy trudno byłoby się poruszać w kreowanym przez niego śląskim labiryncie.

Wybitny eseista zabiera czytelników w *Wędrowcu śląskim* w podróż w czasoprzestrzeni wyznaczonej przede wszystkim przez koleje jego życia. Doświadczenie nabyte podczas pobytów w śląskich miejscowościach i miejscach staje się punktem wyjścia do bardzo osobistej opowieści, którą trudno jednak nazwać pamiętnikarską czy kronikarską. Narrator esejów wie dziś o wiele więcej niż jego niedydysyjne wcielenia; ba, ma do opisywanej rzeczywistości stosunek krytyczny.

<sup>1</sup> H. Waniek, *Wędrowiec śląski*, W.A.B., Warszawa 2024. Tytuł szkicu jest cytatem ze strony 205. Kolejne cytaty z tej książki zaznaczone podaniem numeru strony w tekście głównym.

Meandruje między cienkimi krawędziami zależności Śląska od rozmaitych wpływów, mających się nijak do stereotypów polskości. I właśnie świadomość własnej odmienności pozwala mu sięgać wnikliwiej w problemy wynikające z dziejowych zawieruch i komunistycznej propagandy:

Jakkolwiek trud powojennego życia był faktem ogólnokrajowym, to jednak na Śląsku miał postać szczególną. Krajobraz mojego dzieciństwa powleczono farbą, mającą przesądzać o czystej lokalnej polskości. Bezowocnie. Zawsze coś spod niej przeświecało, mimo bezwzględnych restrykcji reżimu (s. 52).

Tom rozpoczyna esej *Polak mały*, którego tytuł dość przewrotnie nawiązuje do popularnego patriotycznego wierszyka Władysława Bełzy z początku XX wieku. Waniek sprzeciwia się pojmowaniu Śląska wyłącznie w kontekście Polski: „Błędem jest mniemanie, że Śląsk to obszar niepodzielnie polski. W wielkim godle narodowym Czech, na jednym z czterech heraldycznych pól, widzimy piastowskiego orla śląskiego” (s. 15). Prezentuje jednakże rozumienie tego regionu z polskiego punktu widzenia, a wiemy, że czym innym jest Śląsk dla Polaków, a czym innym dla Czechów (podobnie ma się sprawa z Sudetami, które w Polsce są nazwą geograficzną pasma śląskich gór, podczas gdy dla Czechów są pojęciem historycznym). Niemniej nie omieszka przypomnieć: „źródła Odry, choć biją na Śląsku, to jednak w Czechach” (s. 15).

Urodzony podczas drugiej wojny światowej (w 1942 roku) w zamieszkiwanym wcześniej głównie przez żydowską społeczność Oświęcimiu, nazywającym się wówczas Auschwitz, na dawnym Śląsku Austriackim, tak opisuje swój „kraj lat dzieciennych”: „Mam tu na myśli większy obszar, określane jako aglomeracja górnośląska. Na jej dalszych planach jawiła się śląskość w swych lokalnych odcieniach: ziemia opolska, Śląsk Dolny, śląskie peryferia aż po ziemię kłodzką lub Łużyce” (s. 11). Dorastał w Katowicach i tego okresu nie wspomina najlepiej:

Przez trzydzieści lat wstydzilem się więc tego, że dzieciństwo, młodość i kawałek dojrzałości spędziłem w centrum miasta, w którym skupiły się największe plagi powojnia. [...] Katowice były latryną Europy (Środkowej? Wschodniej?) przez dwie trzecie minionego stulecia. Części tego byłem naocznym świadkiem (s. 10).

Bytom i Gliwice, dobrze prosperujące niemieckie miasta, po wojnie straciły na znaczeniu. W pierwszym z nich autor *Wędrowca* przeżył olśnienie wynikające ze spotkania ze starannie wydаныmi i bogato ilustrowanymi, niemieckimi książkami, które, być może, zadecydowało o jego artystycznych i poznawczych fascynacjach: „Na przykład *Księga Ognia*. Otwarta, wybuchała płomieniem. Albo inne, między stronami których pojawiały się symboliczne przedmioty – złote jajo, żelazna rękawi-

ca, żywa jaszczurka. [...] Takie dziecinne doświadczenia stawiały mnie przed manifestacjami tajemnicy” (s. 19–20). Po drugiej wojnie światowej w PRL-u intensywnie pracowano nad zmianą paradygmatu kulturowo-społecznego tzw. ziem odzyskanych. Bogate niemieckie dziedzictwo nie dawało się jednak zatrzeć, było wszechobecne i w zasięgu ręki: „To było doświadczenie zapierające dech. Jakie to niezwykle, gdy ma się pięć lat i wchodzi na strych opuszczonego domu, pełnego tajemniczych rzeczy pozostałych po kimś. Pełnego widm i możliwych niespodzianek” (s. 23–24).

Doświadczenie obcości i jednoczesnego „odzyskiwania” czegoś, co do nas przez wiele wieków nie należało, musiało być przeżyciem osobliwym. Podobne były losy tych, którzy stracili rodzinne domy na kresach i przyjechali na Śląsk. Waniek określa ich mianem „spóźnionych repatriantów z ówczesnego ZSRR” (s. 21). Opowieść, którą snuje autor, zaprowadziła go – przez Wałbrzych, Bogatynię, okolice Środy Śląskiej – do Warszawy. I wtedy właśnie Śląsk, niczym zatopiona Atlantyda, ukazał mu swoje mityczne oblicze. A w mieście prawda chwili (choćby dziejowej) nie gra już takiej roli, „choć krajobraz bywa uparty” (s. 25).

Subiektywizm narratora/autora *Wędrowca Śląskiego* w postrzeganiu zjawisk i ludzi sprawia, że nie mamy do czynienia z przewodnikiem historycznym operującym zestawem znanych faktów, opinii i ich interpretacji, czyli z tzw. wielkimi narracjami, ale z osobistym świadectwem o bogatym kolorystyce emocji i mniej lub bardziej dokładnych wspomnieniach: „Szkicuję tylko z grubsza geograficzne ramy świata – jedyne, o którym dziś mam prawo mówić. W końcu byłem tam osobiście” (s. 11). Świadomość, że obcujemy z tekstem literackim, pomaga nabrać dystansu do tzw. prawdy historycznej, której nie musimy usilnie tropić w esejach Wańka. Wystarczy, że uwierzmy autorowi na słowo:

Natomiast historia, o której tu myślę, pisała się sama, żywym, ludzkim językiem i pamięcią. Wecliała się w kamienice, w podwórka, ulice, zakamarki i nie mieściła się w książkach. W ogóle jej do nich nie wpuszczano, podobnie jak do instytutów, katedr i naukowych towarzystw. Można by to tłumaczyć parszywością czasu, gdy przeciw prawdzie ustanowiono paragrafy w kodeksach karnych. [...] Ale dlaczego jeszcze i dzisiaj prawda historii przegrywa z ciepłutkim kłamstwem, które nosimy pod skórą, jak coś drogiego? Jak serce (s. 14).

Drugi esej książki, *Ślęzaczek w Polsko*, to próba przywołania „raju dzieciństwa”, „który sam w sobie nie jest ani prawdziwy, ani ostateczny” (s. 30), nie przypomina też biblijnego Edenu i trzeba go rozumieć *à rebours*. Miejsce, w którym przyszedł na świat autor, zostało poddane „totalnemu demontażowi” (s. 30) nie tylko za sprawą wojny oraz ludobójczych, okrutnych praktyk stosowanych w pobliskim obozie koncentracyjnym, ale również w wyniku porządków zaprowadzanych przez zwycięzców:

Polityczny targ, jaki dokonał się w Jalcie, przypieczętowany później w Poczdamie, był wielkim demontażem świata. Przede wszystkim Europy Środkowej. [...] Polityka

nie trudziła się spojzeniem w głąb czasu i poszła na ślepe skróty. [...] Istny cud, że się to nie skończyło trzecią wojną, o której słyszałem od dziecka. Przekonani, że są świetnymi znawcami polskiej historii i ziemi – bo znali ją z map niemieckich, rosyjskich, austriackich oraz z podręcznikowych wrywków – sowieccy, amerykańscy i angielscy dygnitarze wycharowali nowy porządek przestrzenny (s. 38–39).

Utrata raju pociąga za sobą jeśli nie wygnanie czy wypędzenie, to przynajmniej ucieczkę lub dobrowolną emigrację. I z tym fenomenem próbuje zmierzyć się autor, odwołując się do osobistych kontaktów ze znajomym uciekinierem, do których doszło „po słonecznej stronie żelaznej kurtyny”, w Monachium (s. 42). Wynikające z nich poczucie inności w sposobie postrzegania spraw polskich utwierdza go tylko w przekonaniu, że punkt widzenia zależy od miejsca urodzenia: „Jak mógłbym przeto mojemu przyjacielowi z odwiecznie warszawskiej rodziny nakreślić przekonującą obraz tak biegunowo odmienny? Wszak każdy z nas, na własny rachunek, w epizodzie życia tak decydującym jak raj osobistego dzieciństwa, postrzegał inną rzeczywistość” (s. 53).

Waniek, potomek „zawziętego Polaka i [...] spokojnej Niemki” najbliższy sobie świat postrzega jako niegdysiejszy „wycinek krajobrazu obiecującego symbiozę” między narodami (s. 55). W zakończeniu eseju znajdziemy wyjaśnienie jego tytułu, będącego trawestacją siedemnastowiecznego, anonimowego dialogu, którego autor daje upust swobodnym asocjacji językowym. Dzięki nim bogaty krajobraz kulturowy Śląska oprócz wątków niemieckich i żydowskich wzbogacony zostaje o element czeski:

Śląsk jest tam [w utworze *Polak w Śląsko* – przyp. I.M.] nazwany Śląsko, bo taka gwarowa forma adiustowała go do Czechów, u których jest to *Slezko*. I tak też w wieku XVII Ślązaków traktowano jako poniekąd Czechów. Zatem Ślączek postrzegał Polskę wzrokiem poniekąd Czecha, dla którego jest to oczywiście Polsko. Zaś Ślączeczka wzięła z pierwszego wiersza, gdzie czytamy: Pomóż ci Bóg uciесzny Ślączczku... (s. 57)

*Mappa Mundi*, esej odsyłający do starożytnego dzieła kartograficznego Ptolemeusza Klaudiusza, to swoisty hołd Wańka dla starych map, które uważa za odmianę pejzażu (s. 63). Ich magiczna moc wyraża się w sile ewokowania obrazów wykraczających poza trywialny odbiór rzeczywistości i zbliżona jest do tej, jaką posiadają obiekty sakralne:

Mapy [...] były przekazem sekretnym i być może pilnie strzeżonym. Zawierały bowiem tajemną prawdę o świecie. [...] Sanktuarium, którego ikoną jest mapa, to otwarta przestrzeń świata. Świątynią mapy jest rzeczywistość miejsc i dzielących je odległości. A także czas potrzebny na ich pokonanie (s. 65).

Dzięki mapom zyskujemy łączność z duchem przestrzeni, jak to się dzieje w przypadku najstarszej mapy Śląska Martina Helwiga z 1561 roku. I nie muszą

to być koniecznie duchy dobre. Mapa Helwiga zaznacza bowiem regiony będące domeną złowrogiego Rubenczala, którego znamy dziś pod mianem Karkonosza.

Mapa wyobrażona prowadzi narratora kolejnego eseju, *Do ciemności*, na historyczne manowce. Nie chodzi w nim bowiem o precyzję topograficzną czy dziejową, a o dziwne zbiegi okoliczności, które tworzą historie fantastyczne, potencjalne, z natury rzeczy o wiele ciekawsze od prawdziwych. Tak się stało za sprawą wzmianki w śląskiej prasie o tajemniczej cegle z czasów rzymskich, znalezionej w XIX wieku na plebanii kościoła parafialnego w Münsterbergu (Ziębice), która trafiła w ręce autora eseju wraz z innymi pseudokronikarskimi zapiskami. Niepewne źródło nie przeszkadza autorowi i czytelnikom w śledzeniu zajmującej opowieści o cesarzu-filozofie Marku Aureliuszu, jego synu Kommodusie oraz egipskim magu Harnupiusie, rzekomo wysłanym w tajemnej misji do pogańskiego sanktuarium na górze Ślęży.

Błyby lepiej, gdyby kolejny esej książki – *Śląsko-Silesia-Schlesien* – został zamieszczony tuż po *Ślęzaczku w Polsko*, ponieważ zawiera wyjaśnienie parafrazy użytej w jego tytule (nawiązanie do pamfletu *Polak w Śląsku*). Sytuuje on problematykę śląską w kontekście europejskim, podkreślając główny atut historyczny tego regionu – jego wielokulturowość i wielojęzyczność:

W XVI wieku czeski był językiem urzędowym na całym Śląsku. Czesko-niemiecko-polski wolapik z ówczesnych dokumentów bezwiednie wyraża europejski kosmopolityzm. Z takiego językowego poplątania wyłania się świat otwartych granic [...]. W tamtych czasach Śląsk dla Polski był przedpokojem zachodniej cywilizacji, mostem do Europy, a nawet – w latach swej pomyślności – samą Europą. Mogłoby podobnie być i dzisiaj (s. 129).

Waniek wlicza również uprzedzenia kolejnych uzurpatorów wobec Śląska na przestrzeni dziejów. Jako osoba obserwująca od ponad piętnastu lat antagonizmy w czeskim społeczeństwie nie zgodziłabym się z wyrokiem: „Spośród aktualnych sąsiadów Śląska – Niemców, Polaków, Czechów i Morawian – tylko dwaj ostatni wolni byli od grzechu pychy i traktowali Śląsk w poczuciu równości. Nie przesadzali z głoszeniem swej supremacji, uznając pełną suwerenność tej ziemi i jej prawo do swobodnych związków” (s. 133). Może w przeszłości wyglądało to nieco lepiej, ale pogarda wobec innych, obcych, choć w pewnym sensie bliskich, nie ominęła i tej przesadnie w Polsce hołubionej nacji. Wystarczy obejrzeć film Jana Hřebejka *Na złamanie karku*, aby się o tym przekonać... W eseju tym Waniek formułuje geopolitycznie *credo*, uzasadniające jego fascynację Śląskiem:

Nie ma mowy o sublimacji ludzkiego ducha, dopóki nie są określone przestrzenne ramy egzystencji. Jak długo człowiek nie ma pojęcia, jak nazywa się i gdzie znajduje jego „ziemia święta”, tak długo jest wrakiem ludzkim, dryfującym z tragicznymi prądami. W moim przypadku „ziemię świętą” – raczej wybraną niż obiecaną – do-

strzegłem w przestrzeni rozciągniętej równoleżnikowo od źródeł Wisły do zlewiska Nysy Łużyckiej i Odry (s. 149).

U podstaw owego zauroczenia leży wspomniana, najstarsza mapa Śląska Helwiga z 1561 roku wraz z opisem regionu w języku staroniemieckim (*Księstwo Śląskie jest lennem króla Czech w Cesarstwie Rzymskim*, s. 154), spotkanie z pewnym historykiem sztuki, a przede wszystkim czytanie z książki natury (s. 151). Zafascynowany ezoteryką Waniek przyznaje, że sięga również do jej ukrytych pokładów: „Księga natury, w którą czytywałem się poprzez ziemię śląską, ma też swoje treści ukryte. Pod tym, co widoczne na powierzchni jej kart, znajduje się też przekaz głębszy, wykraczający poza historię” (s. 151). W swoich refleksjach o Śląsku często dopuszcza do głosu pseudokronikarzy oraz mistrzów duchowych z okresu własnej młodości, który przypadł na czas kontrkultury (np. Carlosa Castanedy). Półprawdy i domniemania mają bowiem większy potencjał w snuciu barwnej materii fikcji. Suchość akademickiego dyskursu nie ma uprzywilejowanej pozycji w esejistyce Wańka.

W kolejnym esaju, *Opis podróży mistycznej z Oświęcimia do Zgorzelca 1257–1957*, autor kontynuuje refleksje zainicjowane w *Śląsko-Silesia-Schlesien*, ponownie pochyla się nad ulubioną mapą i objaśnia trajektorię swoich „mistycznych” rozważań: „Komuś, kto w lipcowy wieczór spojrzy z Oświęcimia w kierunku zachodzącego słońca, będzie ono wskazywać właśnie Zgorzelec. Tutaj otwiera się, a tam zamyka cały świat ujęty w kartograficznej optyce Martina Helwiga. Dalej już tylko granica, a za nią inne światy” (s. 224). Korowód postaci, z jakim mamy do czynienia w tym obszernym tekście, tworzy rodzaj trzyczęściowej, rozgrywającej się na przestrzeni kilku wieków, sztafety wybitnych Ślązaków.

Zapoczątkowuje ją Mikołaj z Oświęcimia – zakonnik i nadworny lekarz, który przeszedł do historii dzięki podpisowi złożonemu w drugiej połowie XIII wieku na dokumencie potwierdzającym książęce nadanie dla klasztoru szpitalników św. Macieja we Wrocławiu. A że jest to Wrocław, pałeczkę sztafety przejmuje Witelon – „mistrz magii naturalnej” (s. 173), a po nim kolejni wędrowcy śląscy z Angelusem Silesiusem oraz starszym od niego Jakubem Böhmem, szewcu mistyku – wywołanym wspomnieniem o parającym się szewstwem pradziadka Wańka. Pojawienie się bohaterów podlega wolnym skojarzeniom autora, o czym informuje czytelników w autotematycznych wtrętach. Przekonujemy się więc, że tytułowa podróż, częściowo odbywana pociągiem, do którego niczym *deus ex machina* wskakuje w Mikołowie Rafał Wojaczek, więcej ma wspólnego z fikcją niż mistyką. Podróż odbywa się pod auspicjami Żyda Wiecznego Tulacza, legendarnego Ahaswera, którego spotkać można przecież gdziekolwiek.

W esejach Wańka wędrujemy wraz z nim po mniej lub bardziej wydeptanych śląskich szlakach. Wehodzimy na Ślężę (*Sobótka alias Ślęża*), którą eseista chętniej nazwałby Sobótką (niezgoda na polską toponimie to częsty motyw esejów). Poznajemy przypisywane tej świętej górze moce i legendy. Autor wprowadza ko-

lejne wątki i przytacza wciąż nowe anegdoty. Gubimy się w tym gąszczu faktów, mitów i reminiscencji, całkowicie zdajemy na przewodnika, który zyskuje nad nami absolutną władzę. Wędrówkę po gromowej górze autor przerywa na chwilę skokiem do Ząbkowic Śląskich, niegdysiejszego Frankensteina (*Ząbkowice Śląskie recte Frankenstein*), gdzie otwiera przed czytelnikami nową szkatułkę anegdot i literackich nawiązań.

Rozochocony narratorską supermocą w kolejnym eseju *Zapis wycieczki pieszej z naszego stulecia do wieku siedemnastego i z powrotem* sięga po wehikuł czasu. Do eskapizmu skłania go smutna konstatacja: „Jesteśmy w Polsce Ludowej. Na Śląsku, który znika w oczach”. Rozkłada przed nami dokumenty w nieznanym języku, z suchych faktów tworzy barwne opowieści o ludziach i miejscach: Złoty Stoku, Srebrnej Górze, Bardzie Śląskim, Górach Sowich, Świdnicy („Niegdyś Czechy. Niegdyś Niemcy. Polska. Rosja. Pomieszczenie z poplątaniem”, s. 331). Napisane po staremu i nowemu ożywają za sprawą wezwanego z 1646 roku z Pragi alchemika Joachima von Hartenberga oraz niefortunnego następcę jego szalonych eksperymentów.

W eseju *Hermes na rozstaju* poznajemy historię domku w Rzeczcze, która kiedyś nazywała się Engelwasser, i autorską teorię na temat kamiennych krzyży zwanych pokutnymi. Natknęliśmy się na słupy, mostki i toporki i tylko jeden Hermes wie, co one wszystkie mają ze sobą wspólnego. W wędrówce po górach śląskich z tym niezwykłym greckim bogiem jako przewodnikiem zdarzy się nam odwiedzić dwa szczyty Gór Stołowych – Szczeliniec Mały i Wielki, które w eseju *Theatrum Mundi, czyli Mała Hyszowa* pod tymi nazwami nie występują. I kogóż my tu nie spotykamy... Pomińmy znaczne grono znanych postaci historycznych, literackich, filozoficznych, aby zatrzymać się przy osobie sołtysa Pabela, któremu ponoć Szczeliniec zawdzięcza sześćset sześćdziesiąt pięć schodów prowadzących na szczyt.

Schody te pojawiają się także w kolejnym eseju – *Karetą do piekła, piechotą do nieba*, zadedykowanym Oldze Tokarczuk. Rzeczą dotyczy Wambierzyca i tajemniczych pięciu świec znajdujących się blisko ołtarza tamtejszej bazyliki. Z zacięciem detektywa tropi autor niedorzeczności i nieścisłości tam, gdzie rządzi antylogika lokalnych legend. Co chce w ten sposób udowodnić? Podważa przecież to wszystko, z czego sam chętnie korzysta, omijając naukowy dyskurs. W efekcie kokietuje nas kolejnym erudycyjnym popisem. Przecież niemający zacięcia naukowego czytelnik, oczekujący lekturowej przyjemności, nie będzie wszystkiego sprawdzał! Odpowiedź na te dylematy podsuwa nam autor: „Zatem co? Mistyfikacja? Kalumnia? Propagandy dodatek do dziejów czcigodnego miejsca? Legenda potrafi być tym wszystkim po trochu” (s. 436).

Szalejów Górny to kolejny punkt na mentalnej mapie Śląska. Nie będziemy wnikać w osobiste powody, dla których to miejsce jest dla autora ważne. Widać, że zna je dobrze i tradycyjnie rozpoczyna swój opis od zakwestionowania i wyśmiania jego polskiej nazwy. Dlaczegoż nie miały pozostać Oberschwedeldorfem? – pyta,

udając Greka i zaraz usprawiedliwia swoje oburzenie: „Bo wynajdywanie nowych nazw dla rzeczy starych i wciąż istniejących kojarzy mi się jak najgorzej” (s. 453). Niemniej „środek świata” pozostaje na swoim miejscu, choćby i w Szalejowie, dokładnie tam, gdzie stoi słupek maryjny z XVII wieku.

W scenarii popegeerowskich zniszczeń autor rozmyśla o różnych szkołach filozoficznych z ich lokalnymi przedstawicielami. Dokonuje przeglądu ludności, studiuje dostępną literaturę przedmiotu w miejscowej bibliotece, rewiduje majątek ruchomy, słowem prowadzi dochodzenie i domaga się wyjaśnić tajemniczych zniknięć. Po raz kolejny daje o sobie znać detektywistyczne zacięcie pisarza. Wprawdzie nie dowiemy się z eseju, jakie powody zdecydowały o wyznaczeniu właśnie w Szalejowie Górnym środka świata, ale za to w *Codzie* eseju znajdziemy opowieść o tużpowsyjnych, polsko-czeskich walkach o przynależność Ziemi Kłodzkiej, zakończonych przyznaniem jej w groteskowych okolicznościach Polsce.

W ostatnim z esejów, *O Olbrzymach*, Waniek sięga do XV-wiecznej *Trutnowskiej księgi walońskiej*, aby tropić w niej ślady Ducha Gór, występującego pod kilkoma nazwami (Rübenzahla, Liczyrzepy, Karkonosza). Zamek Wieczorny (Abendburg) w Górach Izerskich, miejsce prastarego kultu łużyckich Słowian, kończy peregrynacje zawarte w *Wędrowcu śląskim*, otwierając przed czytelnikami mistyczny klimat malowniczych miejsc przy sudeckich szlakach turystycznych.

Eseje Wańka to rodzaj gawędy podanej w wyrafinowanym stylu i języku. Liczne dygresje, nadmiar erudycyjnych skojarzeń, celebrowanie detali, sprawiają jednak, że można mieć się zagubić w śląskim *silva rerum*. Autor daje nam to zresztą jasno do zrozumienia:

W naszym podróżowaniu jesteśmy skazani na pewną niezgodność chronologii i topografii. Bez dbałości o logikę następstw, szukając w kartograficznej przestrzeni Śląska dróg krótszych (które zwykle okazują się dłuższymi), to odnajdujemy szlak wędrowania, to znów go gubimy. Zupełnie jak w barokowym płąsaniu (s. 205).

Czytając, musimy zachować czujność, aby nie zabłądzić w lesie informacji. Równocześnie Waniek, gorliwy czytelnik silesianów ze skłonnością do parafraz, daje nam tytułem książki wyraźny drogowskaz. Nawiązuje on bowiem do siedemnastowiecznego *Cherubowego wędrowca* Angelusa Silesiusa (właśc. Johanna Schefflera)<sup>2</sup>, o którym w *Podróży mistycznej...* pisał:

słowa rozmijają się z symbolami i pojęciami, z których Scheffler konstruuje poetyckimi gmach wiary. Niemożność pogodzenia mistycznej egzaltacji z ciasnotą konwencjo-

<sup>2</sup> Waniek (s. 203) nawiązuje do wydania książki w przekładzie Marcina Brykczyńskiego i Jerzego Prokopiuka (Instytut Mikołowski, Mikołów 2000). Przypomnę za Pseudo-Dionizym Areopagita, że cherubini w anielskiej hierarchii należą do tych, „którzy są pełni wiedzy”, „rozlewają mądrość”. Cyt. za: K. Wierzbicka, „*Sam pismem bądź*”. *Analiza struktury „Cherubowego wędrowca” Aniola Ślązaka*, „Pamiętnik Literacki” 2004, nr 1 (95), s. 40.

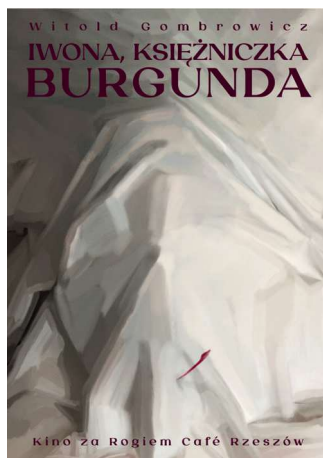


nalnego języka skazuje Cheruba na wędrowanie wokół ciągle tych samych idei, po ich powierzchniach, bez schodzenia w głąb (s. 204).

To trafne spostrzeżenie charakteryzuje także styl Wańka, który wie, że o sprawach duchowych nie da się pisać wprost i jasno. W jego śląskich esejach zawilość topografii i przewrotność chronologii, erudycyjne popisy sygnalizują duchowy potencjał regionu. Pisarz daje nam do zrozumienia, że możemy go odkryć w krajobrazie, bowiem: „jedynym wiarygodnym opisem świata może być tylko zapis utrwalony na powierzchni ziemi” (s. 150).

Za Angelusem Silesiusem zaprasza nas do uczestnictwa w nieprzerwanym *theatrum mundi* i wspinania się w górę. „Jestem górą w Bogu i muszę się wspiąć na siebie” – pisał *Cherubowym wędrowcu* ten śląski mistyk<sup>3</sup>. Waniek zachęca nas do uważności, wpatrywania się w pozornie nieznaczące detale, w których kryje się tajemnica. Daje ona o sobie znać w elementach krajobrazu, przedmiotach i opowieściach. Waniek – pisarz i malarz – podobnie jak w innych swoich książkach i tu dopełnia słowo obrazem. Na okładce *Wędrowca śląskiego* zamieścił fragment obrazu *Silesiae descripti* (*Opisanie Śląska*) z 1988 roku. Duchowy uczeń Caspara Davida Friedricha, malującego śląskie góry niemieckiego romantyka, pokazuje nam dobrze znany skądinąd świat od najciekawszej strony.

Iwona Matuszkiewicz



Aneta Mierzwa

<sup>3</sup> Cyt. za: K. Wierzbicka, dz. cyt., s. 52.

## Antoni Matuszkiewicz

### LAM QUANG MY

Bliscy nam z daleka  
egzotyczni widywani rzadko  
których przemiana  
zaskakuje po latach  
cudzoziemcy  
co zdają się tak inni  
aż nieśmiertelni

Umarł Lam  
Wietnamczyk  
dla mnie młody wciąż  
niedojrzałą zażyłością  
prawie rówieśnik chłopiec  
z podwórka poezji  
co śpiewał wiersze  
wysokim głosem  
wysoka mowa  
uniosła z ziemi  
garstkę ciała

*28 lipca 2023 r.*

### ZENGA

Odpyw wzgórz są już poza  
sylwetką siedzącego  
w pozyceji zen

Jakby i jego miejsce  
było puste

choćbyś to tylko ty  
był na jego miejscu

Podłużny  
kleks tuszu  
Fudzi

Jakbyś się rozebrał  
do naga niczego  
własnej żrenicy  
wpatrzony  
w czarny okrąg  
w którym ktoś  
zobaczył wszystko

Zamienieni sobą on i ty  
w objęciu bez dotyku

Kto widział był  
wszystkimi  
przekwitłe hieroglify  
płatki chryzantem  
z wydrążonej ziemi

Tchnienie muskające  
trzcinę ktoś się rodzi  
umiera wchodzi  
wychodzimy

Już wiesz jesteś  
niczym  
zwycięzcą

Widnokrąg zapustnej  
stolicy lasy  
zrastające się czernią

*Praga, 18 lutego 2023 r.*

\* \* \*

Mielibyśmy tutaj pozostać  
co krok leżą spadłe gruszki  
mirabelki węgierki szliśmy  
dalej trawą rdzawą ścieżką  
jakbyśmy śpieszyli wyłonić  
z trzech helleńskich kobiet  
boginię ową najpiękniejszą  
z oddali falującego błękitu  
dokoła obnażała się ziemia  
z uwodzicielską jedynością  
wybierała sobie na zawsze  
każdego z osobna do serca

*Smrdąky, 3 sierpnia 2024 r.*

\* \* \*

*To pewne, żeśmy byli kiedyś?  
Albo że byliśmy tutaj w czas?  
[...]  
a deszcze czasu myły, zmyły  
obrazy białych wiosek i miast.  
[...]*

Zbyněk Hejda

Widzieliśmy białe miasta wioski  
i tak ujrzałem panoramę Skalicy  
z rozwalonych murów u rotundy  
na tle dalekich winnic pobielone  
światłem wieże rozjarzone kości  
święte w relikwiarzu pełne życia  
urodzaj pod całunem tysiąclecia  
zachwył jakbym się lękał utracić  
siebie jak można by było nie być

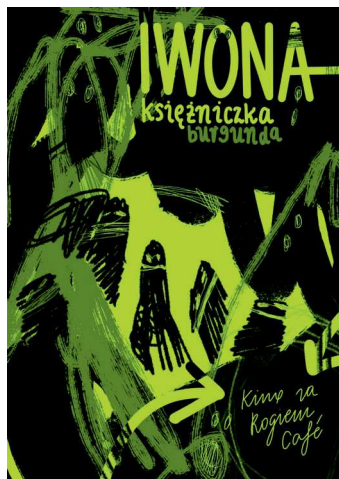
*Skálíca, 3 sierpnia 2024 r.*

## CUD ŚW. SEBALDA

Tutaj jest wszystko jasne  
srebro złocona skrzynka  
ale ten czarny baldachim  
przeciążony przepychem  
swej popiętrzonej formy  
pająk trzymujący w głębi  
wody świetlistą kropelkę  
by nie umknęła do nieba  
pod nieważki piaskowiec  
gotyckiego prezbiterium  
aby nie powtórzył się cud  
o soplach które zapłonęły

*Norymberga, 11 lipca 2024 r.*

Antoni Matuszkiewicz



Julia Nowak

## Katarzyna Szweda

### DO ZOBACZENIA

ta droga może ale nie musi prowadzić do miejsca

granica wypycha wnętrzności  
wirus domaga się reakcji obronnej  
ta droga teoretycznie się skończy

potrzeba negatywu może być silniejsza  
święte psy rzucają się nam do gardeł

albo to się załatwi

śmierć jest nieoswajalnym zwierzęciem  
śmierć miejsca bywa jeszcze smutniejsza

chodź

tam są równiny pochyle jak góry  
równania według których

chodź

na granicy światła wyczerpują się rzeczy warte zobaczenia

### PRZESTRZEŃ NA ZNAK

w lesie jest dużo kobiet ubranych na jasno  
włosy wplątane w śliskie bukowe gałęzie

mówią po wsi

oddycha za nie wiatr

znaczą przestrzeń

w lesie jest dużo kobiet ubranych na jasno  
mają włosy potrzebne do odganiania ptactwa

mówią po wsi

to przez nie z biegiem czasu kurczy się czas

## WIDOCZNIE

drzewa są niewyraźne wiatr musiał poruszać liśćmi  
kiedy szłam z wrzosowej przez sad z pustą bańką na mleko  
to musiał być inny kadr  
kiedy wilki spotkały w lesie matkę

biegły tak szybko  
już ich nie widać

może to jednak sosna  
albo babka z nieswoim ojcem

twarz lekko zamglona

to było jeszcze gdzieś indziej drzewa niewyraźne jak oczy  
poruszone liśćmi krawędzie mknącego orlika krzykliwego

i pies w budzie buda bez psa  
przelatujące psy

Zbigniew Masternak

## TRZY HISTORIE Z ŻYCIA PISARZA

### 1.

– Kiedy się stąd wyprowadzamy? – zapytała Renata, zmieniając pampersy wierzgającemu nóżkami Wiktorkowi. Mały ewidentnie zapowiedział się na świetnego piłkarza. Jeszcze nie byłam pewien: będzie napastnikiem czy obrońcą?

– Jak tylko uda mi się zdobyć jakieś pieniądze – odpowiedziałem. Rozważałem sprzedaż rodzinnej ziemi, ale było mi żal. To w końcu była moja mała ojczyzna. Ale przecież świat stawał się coraz bardziej kosmopolityczny, może nie powinienem się bawić w sentymenty.

– Wywieszisz pranie? – poprosiła Renata. – I jeszcze jedno: jak ojciec wróci z pracy po południu, pojedziemy na grzyby.

Wziąłem kosz z wilgotnymi ubraniami i poszedłem do niewielkiego ogrodu, który znajdował się za budynkiem stacji kolejowej w Nałęczowie. Budynek bardziej przypominał pałacyk niż dworzec. Stacja znajdowała się w odległości kilku kilometrów od centrum miasteczka – car ukarał w ten sposób Nałęczów za udział mieszkańców w powstaniu styczniowym. Przyjeżdżający tu z wielkimi walizkami musieli brać taksówki, bo nie było innego sposobu, by dotrzeć z dworca do tutejszych sanatoriów. To była dla mnie ważna stacja, bo założyłem tutaj rodzinę, a ponieważ rodzice Renaty byli kiedyś kolejarzami – mieszkali w budynku dworca, a my z nimi.

Po pobycie w Krakowie, gdzie przez kilka miesięcy cztery razy więcej wydawałem niż zarabiałem, dopadł nas tak duży kryzys finansowy, że znów musieliśmy wycofać się do rodziców Renaty. Miejsca nie było dużo, mieliśmy swój pokój, Wiktor spał w łóżeczku. Było ciasno, ale dało się żyć. Największy problem miałem z pisaniami – mogłem to robić tylko w garażu.

Rozwiesiłem rzeczy Wiktorka, a na koniec swój piłkarski strój. Zamierzałem znowu grać w piłkę, bo dostałem zaproszenie od lokalnej drużyny. Grali w piłkę błotną. Myślałem o tym, jak planowałem, że będę najlepszym piłkarzem na świecie i jak te marzenia się nie spełniły. Nie udało się także wiele innych spraw. Czuję, że coraz bardziej oddalam się od tego, co było dla mnie ważne, traciłem pewność siebie. Potrzebowałem impulsu, który odrodzi moją energię.



W ogrodzie spotkałem Mordoniową. Baba wielka jak locha dzika rządziła domem, w którym jak myszy pod miotłą siedzieli jej zahukany mąż i syn – wyrosnięty nastolatek. Mordonic mówili jakąś dziwną gwarą. „Łun aby czeko na piłkę w polu karnym”. Brzmiało to prawie jak gwarachachłacka. „Wezmu” zamiast „wezmą”, „bedu” zamiast „będą”, „patrzum” zamiast „patrzą”. Gwary i dialekty zawsze mnie interesowały, zwłaszcza pogranicza językowe. Bez wątpienia oboje starsi byli chorzy psychicznie, zwłaszcza kobieta. Wprowadzili się niedawno do sąsiedniego mieszkania i kompletnie nie potrafili się zachować, jako ludzie wyrwani z dziczy, czyli z rozpadającej się stacyjki PKP w Siekirkach. Młody próbował dominację matki odreagować na przykład sikaniem moim teściom na klatkę schodową.

– Pan jest bezrobotny? – zapytała bezceremonialnie baba. Nawet ta koza chciała wejść na pochyłe drzewo, którym się ostatnio stałem.

– Czy ja jestem bezrobotny? No chyba nie... – Spuściłem wzrok. Kiedyś splunąłbym jej pod nogi z pogardą.

– A co pan robi?

– Piszę książki. – Poczulem się jak u siebie na wsi, gdzie żyła Jehówka. Kiedy mówiłem o sobie „pisarz”, czasem wydawało mi się, że brzmi to dumnie, ale niekiedy – że dziwnie.

– No to jest pan bezrobotny.

– W jakimś sensie to prawda – przyznałem. – W starożytnym Rzymie uprawianie sztuki uważano za niepróżnujące próżnowanie.

Popatrzyła na mnie tępo wyblakłymi oczami. Była coraz bardziej wścicka, bo niedawno syn narozrabiał i prysnął za granicę. Miała, zdaje się, obsesję na naszym punkcie. Ciągłe nas śledziła. Niedawno teściowie założyli ogródek, Mordonic także. Teściowie kupili blaszany garaż – tamci również. Kojarzyli mi się z ludźmi ode mnie ze wsi, bo ciągle dążyli do zwady. Na przykład specjalnie nie używali kibla – załatwiali się do wiaderka i wszystko wylewali przed budynek stacji. Oprócz smrodu w domu kolejarzy pojawiło się także, wraz z Mordoniami, zło i nieszczęście. Zdechły dwa psy, jeden w dziwnych okolicznościach. Następnie ktoś pogruchotał kości kota, który także długo już po tym wypadku nie pożył. Zmarła jedna ze starszych sąsiadek, repatriantka z Kazachstanu – zaczadzona. Jej mąż wyprowadził się do Poniatowej, do córki. Tutaj wpadał tylko wypić kielicha z moim teściem i żeby raz na jakiś czas się pokazać, i mieć argument za posiadaniem meldunku. Potem w wypadku zginęła młoda sąsiadka z parteru – uderzyła autem w drzewo, wszyscy podejrzewali samobójstwo, bo nie dogadywała się z mężem. Sąsiadka z piętra wyżej trafiła do wariatkowa, a jej syn się rozpił. Rozchorowała się także moja teściowa.

– Zajmij się pani swoim synem! – warknąłem i ruszyłem do garażu. Pisałem książkę o Jezusie, liczyłem na jakąś zaliczkę.

W samochodzie teścia wziąłem laptopa na kolana i próbowałem pisać. Tak byłem zdenerwowany na to wścibstwo, że nie mogłem się skupić. Chciałem uciec z rodzinnej wsi, a trafiłem do jeszcze gorszego wieśniactwa. Nałęczów kiedyś nazywał się Cisów i na pamiątkę tak nazwano jedną z wytwarzanych tutaj wód – „Cisówka”. Kiedyś bywali tutaj Sienkiewicz, Witkacy, Prus i Żeromski... To było ładne miasteczko, ale nudne poza sezonem.

Od czasu do czasu wyprawiałem się stąd do Warszawy jak po złote runo, którego jednak nie mogłem znaleźć. Niedawno dostałem propozycję pisania znanego serialu, chociaż uznawałem to za gównianą robotę. Napisałem jeden odcinek, w którym skondensowałem dziesięć historii. Gruba baba szybko mnie zwolniła, stwierdzając, że w ten sposób wykończyłbym serial w dwa miesiące, a on ma potrwać jeszcze ze trzy-cztery lata. Na nic zdało się tłumaczenie, że serial także może być dziełem sztuki.

Studiując prawo w Lublinie, nigdy nie zawiązałem do Nałęczowa. Nie dlatego, że zakuwałem paragrafy, ale po prostu nie było budżetu na wędrówkę po okolicy. Dopiero sprzedając moją pierwszą książkę z chodników w tym miasteczku poznałem Renatę, dzięki której z czasem się tutaj osiedliłem. Wspólna szalona podróż po Francji – to ona nas zbliżyła. Wróciliśmy stamtąd, kiedy moja żona była już w ciąży. Wtedy zaczęły się ukazywać moje książki. Jednych założenie rodziny ogranicza – idą do byle jakiej roboty, a ich ideały trafiają na śmietnik. Mnie zmusiło do szukania nowych rozwiązań. Kolejne dni były dniami walki, z trudem dryfowaliśmy na powierzchni, podszczyptywani karami za stare grzechy. Ale płynęliśmy. Odważnie omijałem kolejne przeszkody, szydziłem z tych, którzy się na mnie zasadzali. Duch kieleckiego łotrzyka rozpierał moje piersi.

Przez uchylone drzwi widać było stację kolejki wąskotorowej, która jeszcze niedawno tutaj jeździła. Można stąd było dojechać do Karczmisk, Opola Lubelskiego, Piotrawina. Kiedyś miała charakter przemysłowy, z czasem przekształciła się w kolejkę turystyczną. Okazała się jednak nierentowna, więc ją zamknięto. Niedawno Renata wykazała się dużym talentem fotograficznym i pomysłowością. Wpadła na pomysł, żeby ustawić wagoniki kolejki, którą kupiliśmy dla Wiktorka, na torach dla dużych pociągów i sfotografować je. Wyszło to niesamowicie. Zdjęcia trafiły do antologii zdjęć i tekstów poświęconych kolejnictwu. Byłem dumny z mojej żony.

Kiedy skończyłem pisać, wybraliśmy się z Renatą i teściem do nałęczowskich wąwozów na grzyby, których w tym roku było wyjątkowo dużo. Teściowa została w domu z Wiktorkiem.

W wąwozach się rozdzieliliśmy, miałem więc okazję, żeby w ciszy pomyśleć. Grzybobranie szło mi całkiem nieźle, przypomniało mi nawet dzieciństwo w Puszczy Jodłowej. Kiedy tak szedłem, nagle w zaroślach ujrzałem wielkiego dzika. Wdrapałem się więc na rozłożysty dąb, a później siedziałem w konarach drzewa i spoglądałem z góry na starego odyńca. Nie musiałem się spieszyć – w koszyku miałem sporo grzybów, do wieczora było jeszcze dużo czasu. Dzik buszował między dębami, ryjąc w ściółce w poszukiwaniu jedzenia. Był ogromny, tłusty. Myślałem o tym, żeby go upolować, ale miałem przy sobie jedynie stary scyzoryk – sprawdził się, co prawda, parokrotnie w porachunkach z ludźmi, jednak na dzika mógł nie wystarczyć. Poza tym od dawna w ogóle się nim nie posługiwałem, straciłem wprawę. Zwierzę chrząknęło z zadowolenia, zawzięcie ryjąc w ściółce. W nocy padał deszcz i ziemia była miękka. W Puszczy Jodłowej także spotykałem dziki, niekiedy całe stada.

Oglądałem swój scyzoryk. Piękny nóż, stary, ale w dobrym stanie. Prezent od ojca. Patrząc tak na ten scyzoryk, pomyślałem, że życie pisarza współczesnego kojarzy mi się z życiem pierwotnego myśliwego: prawie codziennie trzeba było upolować jakąś publikację albo spotkanie autorskie, żeby było za co nakarmić rodzinę. Taszczyło się później zdobycz do domu i dzieliło między bliskich.

Dzik był duży. Na jego krótkiej, ale grubej i muskularnej szyi tkwił klinowaty łeb, który zwierz trzymał blisko ziemi. Wysoko osadzone słuchy w kształcie trójkąta były gęsto owłosione. Co chwila rozglądał się dokoła brunatnymi ślepiami. Miał silne, czteropalczaste biegi. Na końcu dość długiego ogona znajdował się skudłacony chwost. Skórę pokrywała elastyczna szczecina. Ubarwienie miał brązowo-czerwone, sierść na bokach była tak pozlepiana żywicą, że tworzyła usmoł. O tym, że odyniec był stary, świadczyły jego rozrośnięte fajki. Krzyżowały się one z dolnymi kłami zwanymi szablami, to był bardzo groźny oręż. Palce środkowe miał większe i dłuższe, zwieńczone raciczkami, a zewnętrzne – mniejsze i krótsze, zakończone stosunkowo dużymi szpilami o półksiężycowatym kształcie. Na miękkiej ściółce raciczki pozostawiały charakterystyczny ślad. Kiedy spotykałem te tropy w Puszczy Jodłowej, rozglądałem się z niepokojem – ojciec często ostrzegał mnie przed dzikami, zwłaszcza rozjuszone lochy z małymi bywały groźne.

Myślałem o ludziach ode mnie ze wsi. Dlaczego mnie tak irytowali? Wnerwiało mnie ich wścibstwo. Na przykład kiedy zacząłem biegać w czerwonych spodenkach piłkarskich po lesie, musiałem wysłuchiwać utyskiwań sąsiadek, że jestem wariatem. Innym razem, gdy biegłem przez las, spoglądałem na stoper, bo robiłem interwały. Szły jakieś babki ze wsi, niosąc

kosze z jagodami. Wystraszyły się i rozsypały wszystkie jagody. Potem po wsi ludzie gadali, że straszę w lesie!

Kto wyruszył w świat z tak małej wioski, jak moja – nie miał odwrotu, mógł tylko iść naprzód albo ginać. Zwykle wymykałem się z większości pułapek jak sprytny lis, a osaczony – gryzłem i drapałem. Nigdy nie wiadomo, jaki zwierz czai się za kolejnym drzewem albo która ścieżka wiedzie w dobrym kierunku. Dlatego trzeba być czujnym, zawsze gotowym na walkę.

– Bawoła mogłem zabić nim – oglądałem nóż i przypominałem sobie wiersz – ciąć na ogniska trzaski, a gdy się włókł już gęsty dym, rzeźbić psi łeb na lasce...

Nóż dostałem pod koniec podstawówki. „Zawsze uderzaj pierwszy” – powiedział ojciec, kiedy mi go dawał. Sam tak nie potrafił i pewnie dlatego mnie chciał tego nauczyć. I chyba mu się udało. Liczba pokonanych wrogów znaczyła szlak, który przebyłem.

W moim koszyku było dużo grzybów. Spojrzałem na prawdziwki i podgrzybki, i przypomniało mi się takie zdanie: „Jego kosz zapełniały już twarde kapelusze borowików, królów lasu, i prawie wierzyłem, że jak zwierz widzi nocą, kiedy z zamkniętymi oczami kosił ze ściółki smukłe podgrzybki, które jak strażnicy stoją zwykle na rozstajach dróg”. Cóż to za grafomania mi się przyplątała? Borowiki – królowie lasu? Smukłe podgrzybki? Cóż za antymistrz wymyślił takie metafory? I który cymbał temu przyklasnął? Tak właśnie objawiały się konszachty wydawców i dziennikarzy, którzy z przeciętnych pisaczy robili następców Schulza.

Nagle zauważyłem, że w moim – i dzika! – kierunku idzie niczego niespodziewająca się Renata. Zdenerwowany nagłym hałasem odyniec zaczął szarżować i wyglądał przy tym, nie przymierzając, jak rozjuszona Mordoniowa! Ostrze mojego noża błysło w słońcu i zaraz potem skoczyłem na dzika ze szczyrykiem. Ostrze rozorało tarczę ryjową, utkwiło w niej. Leśna Mordoniowa kwiknęła przeraźliwie i zwiła z moim nożem w ryju. Wraz z nim uciekło dzieciństwo i wczesna młodość. Renata zamarła z przestachu. Otrzeptałem się ze ściółki i objąłem żonę.

– W kąciakach flechtów wieczór już lśni jak poręczka krwawa – powiedziałem, a krew znów szybko krążyła w moich żyłach – Ukradkiem z rdzy wycieram nóż i między bajki wkładam...

## 2.

Budynek kojarzył mi się z gniazdowiskiem jaskółek, pomieszczenia były do siebie przyklepione w taki sposób, że trudno było odnaleźć w tym jakiś zamysł architektoniczny. Już slumsy Johannesburga były wznoszone

z większą wyobraźnią. Było to legendarne w Uplawach bistro „Zanzi-bar”. Znajdowało się przy wylotówce na Lublin. Ten teren należał kiedyś do osobnej wsi, ale Uplawy anektowały go i Zabłocki, właściciel lokalu, stał się mieszczuchem, choć urodził się wieśniakiem, o czym zresztą niezbicie świadczyła jego pospolita gęba.

– Czy jest szef? – Ruszyłem holem w kierunku recepcji, którą obsługiwała dość ładna, choć tłustawa blondynka.

– Właśnie schodzi. – Dziewczyna uśmiechnęła się zalotnie, kiedy jednak zobaczyła obrączkę na moim palcu, uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Dobrze, że już jesteś. – Franek Zabłocki zszedł po schodkach. – Zaroż ci powim, co mos robić...

– To znaczy? – Zawsze byłem sceptycznie nastawiony do swoich przełożonych. Nie lubiłem być niczyim podwładnym i pewnie dlatego zewsząd mnie zwalniano. Cóż, desperacko wręcz potrzebowałem pieniędzy. Kasa z Francji bardzo szybko się rozeszła. Wydanie książki w dużym wydawnictwie było ciekawą przygodą, ale nie miało nic wspólnego z działalnością dochodową. Honorarium za scenariusz filmowy też szybko przejeździłmy. Stypendium literackie dostałem tylko jedno, na kolejne przy mojej niewyparzonej gębie nie mogłem liczyć. Nie potrafiłem być lizydupem.

– Bedzies pracowol jako stróż nocny... No, jakby mój ochroniorz. Kozlak opowiadał mi o twoich przypadkach na Ukrainie i we Wrocławiu. – Puścił do mnie oko. – Trzeba mi ludzi z doświadczeniem, bo ostatnio mom trochę kłopotów.

Wzruszyłem ramionami, bo spodziewałem się właśnie takiej oferty.

– Proszę pamiętać, że to było dawno, wyszedłem z wprawy...

– Poradzis sobie. – Zabłocki pociągnął mnie za łokieć. – Wcześniej zatrudniłem takiego Ukraińca, Timofiejuk się nazywał. Paweł. Dobry był chłop, ale cały czas mi kozę, co się paśla za lokalem, gwałcił. Zwolniłem go, bo w końcu koza zdechła.

Zabłocki oprowadził mnie po swoich włościach. Opowiadał przy tym sporo o sobie. Najpierw kupił jeden niewielki lokal, a potem zaczął do niego dobudowywać kolejne segmenty – co parę lat dolepił następny. Obecnie znajdowały się tutaj hostel, sklep spożywczo-przemysłowy, zakłady wędliniarskie, kwaciarnia, pierogarnia i sala weselna. Wszystkie szyldy miały nazwisko Zabłockiego wypisane fontem o tym samym kroju i kolorze. W planach miał jeszcze otwarcie tu myjni samochodowej i stacji paliw.

– Przy jedny dziurze każdy kot zdechnie – wyluszczył swoją taktykę dywersyfikacji zysków.

W hostelu smród kiełbasy mieszał się z zapachem kwiatów.

– Uczyć się trzeba od mistrzów... – powiedziałem, spoglądając w pospolite ryło Zabłockiego i myśląc o tym, że mojemu dziecku na pampersy i na mleko nie starcza, a ten dziad śpi na kasie.

– Jodeś kolację? – Widocznie schlebiło to Zabłockiemu, bo zaprowadził mnie do kuchni.

– Moja żona – przedstawił mnie kobiecie lepiącej pierogi z kapustą, których na miskach leżały już całe stopy.

Obwisłoucha słonica zerknęła na mnie spode łba i w końcu podała mi na powitanie ubrudzoną mąką dłoń.

– Pisorzem jest. – Franek rozsiadł się przy stole i położył oba łokcie na blacie. – Może być głodny, wiadomo, że pisorze som bez kasy. Odgrzejesz nam pirogów?

Mruknęła coś niechętnie, ale przygotowała dla nas po porcji.

– Zacynotem od sprzedawania kapusty z wozu przy drodze – rzekł Zabłocki, zabierając się do jedzenia. – Potem kupili my blaszaną budę, w który my handlowali. Do budy przybudówka doszła i pierogi z kapusty my sprzedawali. – Uśmiechał się do swoich wspomnień.

– Jo zem ci wszystko podpowiadała, pamiętaj o tym! – upomniała go słonica.

– W kuńcu my jus bar mieli. A potem się przerobiło w bistro. A do bistra doszła sala weselna, hostel, sklep. Trzydzieści lat to trwało, ale się udało. Ale pirogi z kapustą som dlo nos najważniejsze...

– Po co pan te ksionzki pises? – Nie wytrzymała w końcu słonica, byłem dla niej dziwniejszy od ufoludka, którego opisałem w opowiadaniu *Jean kombajnista*.

– Sam się nad tym często zastanawiam. – Oblizalem wargi, pierogi były naprawdę smaczne. – Próbowałem przestać, ale to jest silniejsze ode mnie.

– Może to jakaś choroba? – burknęła – Do się na tym zarobić? – zapytała, ale kiedy tylko wzruszyłem ramionami, stwierdziła: – Nie do się, skoro u nos bedzies robił. Popracujesz, to ci głupoty z głowy wyleco – obiecała. – Zobocys, weźmies się za swoje życie, nie bedzies się opierdaloł. – brzęczała. Smarkała przy tym bez przerwy. Od Kozłaka wiedziałem, że była to zaradna kobita. Nie wiadomo, czy Franek doszedłby do majątku, gdyby nie jej zapobiegliwość. Za to ich dzieci okazały się kompletnie niewydarzone. Zabłocki kupił im mieszkania, a te się na niego wypięły, w każdym konflikcie stawały po stronie matki. Gardziły ojcem, nie pozwalając mu się bawić z wnukami. – Jo tam wierzu aby w kapustę – Zabłocki zdradził mi swoją kolejną życiową mądrość, zając się pierogi. – Kapusta była dlo mnie zawsze ważno, nojpierv

pomagałem ojcu, potem som hodowałem – zaciągał gwarą jakby chachłacką, ale w końcu znajdowaliśmy się na ścianie wschodniej.

Nagle usłyszeliśmy jakiś brzdęk w salonie, czyli przy recepcji – brzmiało to tak, jakby rwący potok monet wybił gdzieś w pobliżu. Słonica ruszyła tam cała umorusana mąką. Wróciła z gębą wykrzywioną z wściekłości.

– Cześków chłopok dziesińc tysięcy wygroł na naszym automacie!  
– Wachlowała nerwowo odstającymi uszami, a jej ciemne cygańskie oczy miały gromy.

– Wygroł to wygroł – Zabłocki zjadał się kolejną porcją pierogów – jego szczęście.

– Jak on śmiał! – Babka była wściekła. – Skurwiel! Moje piniondze!

W milczeniu dojedliśmy resztę pierogów. Myślałem o tym, że pisanie to jednak nie jest robota dla każdego. Oto utwierdziłem się w przekonaniu, że muszę być pisarzem, bo w zasadzie to nic innego nie potrafię robić. Wiele przede mną doszło do podobnego wniosku, po mnie będzie wielu takich.

Gdy słoniczka ochłonęła, spakowała ugotowane pierogi do wielkiego pojemnika.

– Pomóż mi! – rozkazała.

– Nie najmowałem się na tragarza... – bąknąłem pod nosem, ale spojrzała na mnie z taką złością, że posłusznie złapałem pakunek i zaniem do furgonetki zaparkowanej przed budynkiem.

– Jutro rano wrócę – fuknęła obuwisłoucha. – Ino mi tutaj nie rozrabiać! – Pogroziła tłustym paluchem Zabłockiemu i trzasnęła drzwiami od bistro.

Ledwo drzwi się za nią zamknęły, a już zaczęli się zjeżdżać koledzy jej męża. Zasiadali przy stole w salonie, rozmawiali o seksie i interesach. W Uplawach i okolicy było wielu kombinatorów i ruchaczy.

– Jom wypierdolił nawet swoju chrzestnu matke, wszystkie mogu wypierdolić – chwalił się Zabłocki, którego największą pasją obok kapusty były kobiety. W zasadzie to nie same kobiety, ale ich pierdolenie. – Lubię ruchać i pić – mówił, a ja zastanawiałem się, czy to on może być Wolandem, który przyszedł na ziemię, ale szybko uznałem, że to raczej kolejny drobny diabeł. Mimo wszystko o jego życiu można byłoby coś napisać, choć nie powieść łotrykowską, a raczej tanie romansidło. Opowiadał o swoich sprawach bez skrępowania, nikogo się tutaj nie bał. Znał w okolicy wszystkich, co byznesy kręcili: Gienka z Poniatowej i Wieśka z Klementowic, kolegował się z Zenkiem z Opola Lubelskiego, a nawet Janem z Sycyny zwanym Kochanowskim, mimo że na poetę nie wyglądał. Zjawił się również Wiatek, szef lokalnej kablówki, któremu opowiedziałem o planowanym filmie piłkarskim oraz o pomyśle na serial – był tym zainteresowany i kazał mi się

następnego dnia zjawić w jego firmie. W ciągu jednego wieczora dostałem więcej dziwnych zleceń niż przez całą swą pisarską przygodę.

– Oni wszyscy jeżdżą ze mną na kurwy – szepnął do mnie Zabłocki. – Nagrałem ich i teraz mam na wszystkich haki, muszą tańczyć, jak im zagrom.

Stałem pod oknem i się im wszystkim przyglądałem.

– W Uplawach grasują moherowe berety, jakieś marsze się odbywają – rzucił Wiesiek z Klementowic, który kiedyś chciał zostać księdzem, ale zrobił sąsiadce dwójkę dzieciaków i od tej pory nie znosił kleru.

– Raz jedna z nich zaatakowała mnie w pociągu. – Ruszyłem między nich i rozsiadłem się wygodnie na sofie, nie czułem się gorszy. – Bo za głośno rozmawiałem przez telefon. Trzymała w ręku czasopismo „Któż jak Bóg”. Zapytałem, czy Bóg każe się jej tak zachowywać. Zwyzywała mnie.

Zabłockiego niezbyt to zainteresowało, bo zaczął rozmawiać z Gienkiem z Poniatowej, który bardzo lubił hazard. Sporo już na tym stracił, ale miał szkółkę drzewek ozdobnych i sklep ogrodniczy pod Ciepelowem, w związku z czym posiadał ciągły dopływ gotówki. Rozmawiano o tym, kto kogo zrobił w wała i które z obecnie obowiązujących przepisów podatkowych można łatwo obejść.

– Polska jest obecnie na etapie niszczenia własnej kultury – wygłosił tezę Jan z Sycyny, gdy dowiedział się, że jestem pisarzem. Niedawno otworzył browar, w którym produkował tanie piwo. Poczęstował nim zresztą nas wszystkich, mówiąc, że to spełnienie jego marzenia. Piwo smakowało jak siki starej kobyły. Poradziłem mu, żeby zajął się produkcją cydru. Uplawy to była sadownicza okolica, jabłka tutaj były najlepsze i zawsze twierdziłem, że to właśnie Polska, a nie Bretania powinna być ojczyzną tego napoju. Mimo wielkiej miłości do Bretanii.

– Niszczące ją grupy chcą zrobić z Rzeczypospolitej kraj taniej siły roboczej i bezmyślnych konsumentów – ciągnął Jan, który, jak by nie było, skończył zaocznie socjologię w miejscowej prywatnej szkole wyższej. – Powinno się cenić indywidualność, mądrość, dyscyplinę, kulturę, wychowywać młodych ludzi z późniejszą korzyścią dla całego kraju. W Polsce rządzą ubecy, WSI, postkomuniści, grupy biznesowe związane z nacją żydowską. To niewielu ludzi, ale mają wielki wpływ na kraj. Tym ludziom nie są potrzebne polskie talenty. Oni nic z tego nie mają, tylko kłopoty. Dla nich liczy się bezmyślna masa narkotyzującej się i pijanej młodzieży, marzącej tylko o kupnie smartfona do kręcenia żalonych filmików. Oglupiały Polak harujący za grosze i łaknący rozrywki przed telewizorem lub w hipermarkecie, to jest ich cel i wielka potrzeba... – zamilkł. Wszyscy wiedzieli, że będzie startował w wyborach na wójta gminy i to jedna z jego



przemów, w których wprawiał się od pewnego czasu. Miał młodą żonę, która go puszczała kantem, mimo że opłacił jej studia pedagogiczne. Mieli dziecko, tylko nie było wiadomo, kto je zrobił, bo jemu – jak twierdził Zabłocki – już nie stawał.

Ci wszyscy ludzie nie wyglądali na szczęśliwych. Dobrze zarabiali, przynajmniej w upławskiej skali, lecz ich sposób życia niezbyt mnie interesował. Drobne kombinatorstwo na co dzień, a co jakiś czas kurwy i wódka.

Zabłocki gdzieś zniknął, więc poszedłem na recepcję, gdzie zasiadłem w fotelu, wyciągnąłem notes i pograżyłem się w rozmyślnościach. Próbowaliśmy pisać, ale brakowało mi koncentracji.

Wtedy otworzyły się drzwi i stanął w nich Zabłocki. Prowadził pod rękę jakąś podstarzałą brzydulę, której jedynymi atutami były cyce wielkie jak dynie z podupławskiej uprawy. Za nimi weszło kilka dość ładnych dziewczyn. Były to Ukrainki, które przyjechały do Polski niby po to, żeby rwać truskawki. Zabłocki puścił do mnie oko i poprowadził swoją cyncatkę na zaplecze.

Geniek z Poniatowej obmacywał dziewczyny z Ukrainy, jakby sprawdzał towar w swojej hurtowni. Musiał zauważyć mój wzrok, bo rzucił z pogardą:

– Nie dla psa kiełbasa.

Byłem dla niego zwykłym ciciem, chociaż przeżyłem i widziałem więcej od niego, napisałem trzy książki, które miały być filmowane, ale brak kasy czynił mnie w jego oczach nikim. Bo cóż on o mnie wiedział? Choćby o mojej przeszłości na Ukrainie. Moje dziewczyny stamtąd były dużo ładniejsze, nie musiałem za nie płacić, same przychodziły. Kiedyś mi się wydawało, że Ukraina może być bogatsza niż Polska. Nie pozwolili na to sami Ukraińcy, za dużo sprzecznych interesów tam się ścierało. Wielu z nich przyszło do nas, tak jak my kiedyś poszliśmy do Niemców.

Wróciłem do swojej kanciapy, znów sięgnąłem po notes i próbowałem pisać.

– Książ, chodź na chwilę! – Usłyszałem wołanie Zabłockiego.

Poszedłem na zaplecze, a tam Zabłocki brał swoją brzydulę od tyłu, na podłodze, a ona spuściła się na linoleum, jak w pornolu.

– Przez to nadciśnienie nie chce mi opaść – powiedział, nie przestając. – Podaj mi butelkę z winem...

Wręczyłem mu otworzoną butelkę, pociągnął z gwinta, oddał mi flaszkę i dalej jebał krasawicę. Wróciłem do holu. Był tam Jan z Sycyny, który nie uczestniczył w orgii, bo mu nie stawał.

– Zabłocki ma kłopoty? – zapytałem, mając nadzieję, że w końcu sobie pójdzie, bo chciałem wreszcie popisać.

– Zajął się mężatką, brzydactwo takie, ale cycki to ma... – powiedział z rozmarzeniem, jednak posmutniał, jakby sobie uświadomił, że ten etap ma już za sobą.

– To ta na zapleczu?

– Tak. Jednego razu mąż brzyduli ukrył się w bagażniku jej auta, pojechał do lasu i przyłapał ich na leśnym seksie. Parę razy chciał wpierdolić Zabłockiemu, ale ten zawsze się wywinął.

W końcu wszyscy się rozjechali, a Zabłocki poszedł spać. Usiadłem w recepcji, założyłem słuchawki na uszy i zacząłem pisać. O Jezusie, który usiłuje zostać polskim prezydentem.

Przestałem pisać, bo nagle na moich oczach rozegrała się następująca scena: goły Zabłocki gonił z przedwojennym obrzynem jakiegoś ryżego fagasa. Błyskawicznie ściągnąłem słuchawki.

– W domu bedzies mnie nachodził?! – Strzelił za uciekającym, ale trafił tylko we framugę drzwi.

– Będą budować autostradę – krzyknął rogacz. – Ominie twój przybytek! Zbankrutujesz!

Zabłocki machnął ręką lekceważąco.

– Od Gienka wim już nawet, gdzie będzie zjazd z autostrady. – Strzelił ponownie. – Plac tam kupiłem, żeby nowy lokal postawić. A ciebie zabiję...

Fagas schował głowę i zniknął. Zabłocki podszedł do blatu recepcji, w której siedziałem. Zobaczył, że mam rozłożony notes, a w nim notatki do *Jezusa*.

– Zwolniom cie! Nie bedzies, chuju, pisał, zamiast mnie pilnować! Wypierdalaj stąd, ale to już!

– A moja wypłata? – upomniałem się drwiąco.

Zabłocki poszedł do kuchni i wrócił po chwili, niosąc pudło pierogów z kapustą.

### 3.

W hotelu koło dworca kolejowego w Kielcach działało nocne kasyno. Kiedyś zagrałem tutaj za kasę z kilku spotkań autorskich i wszystko przegrałem. Od tamtego wieczoru omijałem ten przybytek z daleka. Dodatkowym ostrzeżeniem był przypadek pewnego piłkarza, który występował w Koronie Kielce – hazard go wykończył. W kasynach przegrał wszystko, co zdobył dzięki karierze piłkarskiej. Potem, po tej porażce, nie potrafił już pracować w swym wyuczonym zawodzie i być elektrykiem. Powiesił się.

Było jeszcze ciemno, gdy wsiałem do pierwszego busa jadącego do mojej miejscowości. Podczas podróży rozmyślałem o książce, którą pisałem. Kryzys twórczy nie ustępował. Przyczyny? A to małe dziecko, a to

dużo rachunków do zapłacenia, a to zepsuła mi się maszyna do pisania, na której napisałem trzy swoje pierwsze książki. Z tą maszyną było najgorzej. Miałem dużo notatek do powieści o Jezusie, jednak ta jakoś nie chciała się napisać, robota bez przerwy się rwała.

Stwierdziłem, że potrzeba mi solidnego biurka – bo co to za pisarz bez biurka? Pieniądze uzbierane za spotkania autorskie postanowiłem zainvestować nie w hazard, a w biurko. Wiedziałem, kto może je dla mnie sporządzić – Kunefal, stolarz ode mnie ze wsi. Zadzwońm do niego, zgodził się. Cały czas wysyłał mi kolejne projekty, aż w końcu jeden z nich zatwierdziłem i pozwoliłem mu zabrać się do roboty. Wczoraj zadzwonił, że biurko wreszcie gotowe.

Wysiadłem na przystanku i ruszyłem pełną drogą do domu. Zjawiłem się tu o brzasku, jak zły duch. Bo może byłem takim złym duchem, dlatego mnie stąd przepędzono? A może sam uciekłem? Chciałem uciec? Była niedziela. Spłoszyłem stadko kuropatw, kiedy wszedłem w zboże. Ledwie już rozpoznawałem, co to za kłosa. Żyto? Pszenica? A może pszenżyto? Zbliżały się żniwa. Kiedyś pomagałem rodzicom w polu, ale nie byłem dobrym rolnikiem. Niewiele wiedziałem o żniwach, o zbożach. Uciekłem od tego. Tylko świętokrzyskie legendy zabrałem ze sobą w świat jako jedyny bagaż.

Pamiętałem, że w zbożu mogą mieszkać południce. Bałem się ich przez całe dzieciństwo. Wierzono, że jeśli ktoś usnie w południe na snopach zboża, południce usiądą na jego klatce piersiowej i będą próbowały wydusić z niego życie. Tak kiedyś się stało ze starym Mistrzykiem. Chciał sobie chłop odpocząć po machaniu kosą, położył się spać i już się nie obudził. Życie w tej wsi, leżącej u stóp Łysej Góry, przesiąknięte było zabobonami, a religia katolicka mieszała się z pogaństwem. W ludziach siedziała prymitywna moc i zwierzęcość. Gotowi byli w każdej chwili skoczyć sobie do gardła. Starcy co wieczór przy ognisku opowiadali nam o czarownicach, diabłach i strzygach. Przez całe dzieciństwo żyłem w strachu, bo moja wyobraźnia była wypełniona przez rozmaite zjawy – niektóre zresztą straszły mnie do tej pory.

Widać już było zarysy domostw. Polska wieś się zmieniała. Znikały niedbale sklecone, drewniane chatynki. Na ich fundamentach powstawały wystawne wille, wznoszone za kasę zarobioną na Wyspach Brytyjskich albo w Skandynawii. Wieś wyglądała na wymarłą – większość tych domów była pusta, bo ich właściciele zostali wyrobnikami u obcych. Nędzopolami.

Dróżka była kamienista, co chwila potykałem się, idąc prawie po omacku. Pozdzierałem sobie kolana. Zapomniałem już, jak się chodzi wśród pól, za rzadko przyjeżdżałem do rodzinnej wsi. Zjawiałem się tu zresztą zwykle późno w nocy i znikalem nad ranem. Ludzie nie wiedzieli, co

o mnie sądzić – udało mi się odnieść sukces, czy jednak przegrałem? A to widzieli mnie w telewizji, a to za jakieś stare grzechy tropił mnie komornik. Wielu cieszyło się z tych potknięć: taki był prymus, no i proszę – na psy zszedł. A nasz Władzio w szkole się nie uczył, w piłkę nie grał, a na ludzi wyszedł – ma zakład samochodowy.

Nie pozwalałem sobie jednak na zwątpienie – wierzyłem, że systematycznie i z uporem buduję swoje Księstwo. Z polnej drogi wyszedłem na szosę wiodącą przez wieś. Asfalt pachniał nowością. Środkiem drogi szedł Dżony Dudek. Wyglądał jak zombie. Siwe, rozwiane na wietrze włosy, stare, brudne ciuchy. Był kompletnie pijany. Nie rozpoznał mnie.

Wieś się zmieniła – odnowiono wiele chałup, stały zupełnie nowe płoty. Wszyscy nosili głowy wyżej niż kiedyś. Jedno było pewne: te nowe domy i płoty to z pracowitości ludzi się wzięły, nie z kasy od Tuska czy Kaczyńskich.

Mogłem uważać się za człowieka sukcesu, czy jednak przegranego? Czasem czułem się księciem życia, który zrealizował wszystko, co chciał, a niekiedy – jak ostatni słabeusz, który nawet nie zrobił prawa jazdy, nie kupił mieszkania, nie zasadził dębu. Dobrze, że przynajmniej spłodziłem syna.

– Wreście jesteś! – Suchy czekał na progu domu, widocznie wiedział, że przyjadę. – Mom do ciebie sprawę...

Wsunąłem zardzewiały klucz w zakurzony zamek. Drzwi otworzyły się do środka i wszedłem do przedsionka, a Suchy za mną, zakładając jeden palec na drugi dla zażegnania złego. Bał się, że duchy mojej matki i ojca grasują po pustym, rzadko odwiedzanym domu. Było tutaj duszno i nieco wilgotno, ale nie aż tak, jak to zapamiętałem. Przez okno na przeciwległym krańcu kuchni zaczęły się wlewać potoki słonecznych promieni.

W kominku leżały stare gazety z moimi wywiadami sprzed lat. Podпалиłem je.

– Opowiedz, co się dzieje. – Zacząłem czyścić i szorować mebel po meblu, zerkając na Suchego. Stracił prawie wszystkie włosy. Zęby też mu się przerzedziły. Wychudł. Nie przypominał już tego beztróskiego chłopaka z dzieciństwa. Nie rozczulało mnie to zbytnio, czas płynął szybko, było jeszcze sporo do zrobienia, należało się spieszyć. – Co tam słychać we wsi? – powtórzyłem pytanie, bo był świetnym informatorem. Wystarczyło go posłuchać przez godzinę, potrafił w tym czasie streścić całe półrocze. Niekiedy myślałem, że to on powinien zostać pisarzem.

– Niedawno zginął Flisek – tłumaczył. – Wszyscy giną na drodze, rozjechani po pijaku jak zające. Tutaj jest tero droga szybkiego ruchu. TIR-y jeżdżą po kamiń do kopalni. Jak pijoki wracajo spod sklepu, to gino. Inne

się wieszają, bo nie potrafią żyć. Ot, taki to smutny czas nastał... – Spuścił wzrok, bo sam także popijał. Przez święta wielkanocne leżał w śpiączce, bo ktoś go poczęstował alkoholem dziwnego pochodzenia. Rok temu prawie zmarł od zatrucia jadem kiełbasianym, po tym jak zjadł z jakiegoś starego słoika zepsutą kiełbasę. Opowiadał mi o tych tragediach, a ja myślałem o moim Księstwie – że ciągle za łatwo rozwalić je jednym kopnięciem nogi obutej w trampki hipstera albo wyglansowany mokasyn komornika.

– Ziemie chco mi odebrać. – Suchy posmutniał.

Od dawna zastanawiałem się, co zrobić z moją ziemią. Leżała odłogiem, a tego moja matka z pewnością nie chciała. Czy powinienem sprzedać ojcowiznę i stracić korzenie? Niedawno dałem ją w dzierżawę Dudkowi, ale słabo sobie radził z jej uprawianiem. Alkohol go wyniszczył. Suchy także coraz więcej popijał, bo rok temu odeszła od niego żona z córką.

– Kto?

– Stachurszczoki – powiedział, a ja nadstawiłem uszu. To była kiedyś jedna z najbiedniejszych rodzin we wsi, ale dzięki sprytowi, oszustwom i chciwości zaczęli trząść całą okolicą. – Godały, ze ciebie tyz wykupio! Zobacysz! Pomozesz mi?

Kiedyś Suchy straszyl pod sklepem pijaczków, że jak będą mu dokuczać, to on ma kolegę pisarza i poprosi, żeby im ich opisał. I przestali go bić. Stachurscy zdobyli gotówkę, zrywając jabłka we Włoszech. Potem handlowali autami z zagranicy, zwykle kradzionymi, ale nikt ich za rękę nie złapał. Następnie otworzyli komis z samochodami, już legalny, na czym trzaskali ciężką kasę. Jako sprytni zbójcy inwestowali pieniądze w nieruchomości. Powoli stawali się lokalnymi latyfundystami – należało do nich już prawie pół wsi. Niektórych rolników uczynili swoimi parobkami, innych podstępnie wykupili, pojąc wódką, a potem podsuwając papiery do podpisania. Suchy nie zamierzał jednak być niczym parobkiem i nie chciał im oddać nawet kawałka ojcowizny.

– Rodzinna ziemia to prochy przodków. Ja też nikomu nic nie sprzedam – postanowiłem.

W południe poszedłem do kościoła. Budowla pamiętała czasy, kiedy nasza wieś była majątkiem biskupim, a nawet gminą. Ale z czasem utraciła ważność i stała się małą przydrożną wioszczką. Kolejne pokolenia nie wniosły nic do rozwoju, skarłowaciały. Wiele razy robiłem podchody do różnych księży i zakonników, żeby ochrzczili mojego syna. Okazało się, że jest problem – nie mieliśmy z Renią ślubu kościelnego. Proboszcz przebiegał właśnie przez kościelny dziedziniec.

– Pochwalony! – cisnąłem za księdzem jak kamieniem. – Mam sprawę...

– Proszę na mnie poczekać po mszy! – odrzekł.

Od dawna nie wiedziałem, w co mam wierzyć. Nie wątpiłem jedynie w kosmiczną przyszłość ludzkości. Nie chciało mi się zaprzętać głowy przyziemnymi przepychankami, marzyłem o zasiedlaniu innych planet, to była przyszłość naszej cywilizacji. Od jakiegoś czasu doceniałem autorów science fiction. Wielu z nich wyprzedziło swój czas. Na pewno było to bardziej wartościowe niż roboty autorów kryminałów, których popularności nie rozumiałem. W ich powieściach zawsze ktoś kogoś mordował, różniły się tylko metody.

Kiedyś chodziłem do kościoła często, ale potem przestałem. Nie pozwoliłem zrobić z siebie ministranta. Poprzedni proboszcz chciał, żebym został księdzem, bo się dobrze uczyłem, ale także nie dałem się namówić.

– I jak ci się tam żyje? – spytała stara Jankowska, której dawno nie wiedziałem; zdziwiłem się, że jeszcze żyje. Może to dzięki swoim ziółkom tak dobrze się trzymała?

– Jakoś się żyje...

– Wis, że się będzie działo w najbliższym czasie na świecie – tłumaczyła starucha. – Ptaki krzywo lotajo, a powietrze się faluje... I nic na to nie poradzimy. Wojny bedo wielkie na świecie... – Przyglądała mi się uważnie.

Wiedziałem, że czytała moje książki.

– Źeś ty mnie tak pieronie łopisoł. Źeś tak móg.

– Mogłem, to i zrobiłem – odpowiedziałem ze śmiechem, bo wiedziałem, że się tylko ze mną droczy. Po moich książkach zielarka zyskała wielu nowych klientów. Zjeżdżali do niej nie tylko z Kielc, ale nawet z Warszawy.

– Zioła coraz mniej skuteczne, bo chemią wszystko przyskają. Deszczu kwasne niszczą zioła. Magia się kończy... – Zrobiła nad moją głową jakiś dziwny znak ręką. – Żeby ci się dobrze wiedło... – wyjaśniła z uśmiechem i odeszła.

Wszedłem do kościoła, zaczynała się msza. Kościół był odnowiony. Handlarze krów i drobne cwaniaczki ufundowali ławki – ich nazwiska widniały na marmurowej płycie opiewającej darczyńców. Było sporo ludzi.

– Wynocha – nadał się Prokop, jeden z handlarzy byłem, gdy próbowałem zasiąść na ławeczce – to moje miejsce...

Odsunąłem się. Pamiętałem go z podstawówki. Mocno się utuczył, wyłysiał.

Gdy zaczęły grać organy, handlarze za moimi plecami rozmawiali o sprzedanych krowach, o jarmarkach. Gdyby przyszedł Jezus, to czy chciałby tego słuchać podczas mszy? Czy nie rozpędziłby ich na cztery strony świata?

– To ile zarobiłeś?

– W ełro? Bo jo to ino w ełro liczę – roześmiał się któryś cicho.  
– Ale tero to nom się dobrze zyje – dorzucił kolejny.  
– Książd to kiedyś w więzieniu kapelanem był, do roboty naszych zagunił.

Ludzie robili drobne przekręty. Jakoś się żyło. Wielu wyemigrowało za granicę.

– Patrzta się, patrzta. Przed nami siedzi ten skurwysyn, co nos tak łopisoł! Czy my dło niego złe byli? – Usłyszałem w końcu to, czego się obawiałem. Będą ploty i złośliwostki.

– Chuj się na nos dorobił. Łopisoł nos, a oni mu za to w dolarach zapłacili. W telewizji zem go widzioł.

– Jo to słyszołem, że długi mo. Komorniki go ciągle szukają, wiele spraw się za nim ciągnie.

No rzuć kamieniem, jeszcze niech ktoś rzuci kamieniem! Niech kamień leży na kamieniu, to będzie dla mnie podbudówka do lepszego życia...

– A pamiętota, że ten chuj nie umi rwać truskawek?

Cóż, okazało się, że nie moje książki, nie filmy, tylko to, że nie potrafię rwać truskawek, pozostało dla nich najważniejsze. Myślałem o tym, że powinienem wieszczyć, ale chyba coś ze mną było nie tak. Bo dla siebie, nie narodu, snułem historie. To siebie chciałem ocalić od zapomnienia.

Wreszcie msza się skończyła i poszedłem do księdza.

– Chcę ochrzcić syna.

– Kiedy się urodził?

– Trzy lata temu...

– Dlaczego dopiero teraz go chcesz ochrzcić?

– Wcześniej jakoś się nie złożyło.

– Dobrze. Proszę pokazać akt urodzenia i akt ślubu.

– Mam akt urodzenia. A ślub – tylko cywilny.

– Czytałem gdzieś, że piszesz nową książkę. *Jezusa na prezydenta!*

Nie wolno mieszać tego, co boskie i tego, co cesarskie. Idź stąd!

– Widzę, że dorabia książd jako krytyk – Odwróciłem się na pięćce i ruszyłem do domu.

Drogę na kościelnym dziedzińcu zastąpili mi dwaj Stachurscy.

– Nie szkoda ci zimi? – Świdrowali mnie swymi małymi ciemnymi oczkami, ukrytymi głęboko w otłuszczonych mordach. Kiedyś podpowiadałem im na lekcjach, bo kiepsko się uczyli. Dzisiaj byli najbogatsi w okolicy. Mnie nauka nie przydała się na zbyt wiele, zwłaszcza, że potem zawałiłem jedne i drugie studia.

– Domy ci dobro cene.

– No? – Podpuściłem ich.

Powiedzieli kwotę, która była ceną raczej za jeden hektar niż za całość działki.

Roześmiałem się.

– Lubisz się targować – powiedział starszy – Niech ci będzie. Domy dwa razy więcej.

– Spierdalać.

– Co mówisz? – spytał młodszy, Fleja. – Co mówisz?

– Spierdalać, ale to już!

– Pozałujes tego! – rzucił starszy, z nienawiścią w oczach, gdy ruszyłem przed siebie.

Szedłem przez wieś. Nowobogackie domy, oklejone gównianymi ozdóbkami – po chuj to wszystko? Enerdowskie krasnale na podwórkach i greckie kolumny przy drzwiach. Widać, że Polacy podróżowali po świecie, pracowali za granicami – to się odbijało w zabudowie podwórek.

Nagle usłyszałem potężny huk, jakby świat pękał na pół. To pracowały kamieniołomy świętokrzyskie – kopalnie rujnowały całe góry, niedługo nie zostanie tu kamień na kamieniu. Nic sobie nie robili z faktu, że była niedziela. W kraju budowano w końcu wiele nowych dróg i potrzeba było dużo surowca.

Uporządkowałem trochę teren wokół domu, ale dalej nie mogłem się przekonać do pracy w świąteczny dzień. Cały czas wydawało mi się, że za chwilę z domu wybiegnie matka lub ojciec i skrzyczą mnie, że nie wolno kosić trawy w niedzielę.

Wieczorem poszedłem do tartaku, który był kiedyś siedzibą kółka rolniczego. Lubilem zapach drzewa. Kunefal kojarzył mi się z majstrem z przeszłości, bardziej rzeźbiarzem niż zwykłym stolarzem, bo jego meble były dziełami sztuki.

– Mos jescie te książkę? – Drogo zastąpił mi jakiś pijany gość. – No te, coś mnie w ni opisoł? – wybełkotał.

Z trudem rozpoznałem w nim Ajmsorrego. Bardzo się zmienił od czasu, kiedy pracowałem z nim w tartaku.

– W telewizji cie widziołem – rzucił – żyjesz jak pan... Zawsześ chcioł być panem.

Nie chciało mi się mu tłumaczyć, że z tym pańskim życiem z literatury to raczej przesada.

– A ty jak sobie radzisz?

– W tartoku downo nie robie – powiedział. – Kunefal mnie zwolnił.

Pieron jeden. Ale przyszła kryśka na matyska, jebaniec bankrutuje.

– Co? Przecież dobrze sobie radzi! Taki mistrz!



– Holendry w chuja go zrobiły. I dobrze. Towaru nabrały i nie zapłaciły. Chłop osiwiał w ciągu miesionca. Tako to ta nasa Europa.

Wszedłem w obręb zakładu, w którym panowała przejmująca cisza. Wszędzie piętrzyły się sterty desek i kłocce drzew, były też belki ze starych domów i obór. Z takich Kunefał najchętniej robił meble. Kiedyś sprzedałem mu drewnianą oborę i z jej zdrowych jeszcze bali zrobił wiele dobrych mebli. Był pracowitym cieślą, takim wprost ze świętokrzyskiej legendy. To był przykład człowieka, któremu się udało, a może raczej: udawało. Zawsze miał smykałkę do stolarki i w końcu wykupił tartak, i otworzył przy nim mały zakład stolarski. Wkrótce wybudował dom. Jego pracowitość kłuła w oczy pijanych leniwców spod sklepu. Zaczął sprzedawać swoje meble za granicę, głównie do Holandii. Tacy ludzie budowali w Polsce dobrobyt, nie politycy.

– Holendrzy mnie oszukali – powiedział zdławionym głosem. – Na milion złotych. Nie rozliczyli się z kasy za meble, które teraz sprzedają dużo drożej i to w dodatku tu, w Polsce.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc w milczeniu obejrzałem biurko.

– Wspaniale! – pochwaliłem, a on się ucieszył. Zapłaciłem mu i poszedłem do domu.

Położyłem się spać. Śniło mi się, że piszę na nim swoje genialne dzieło, wielkie *Księstwo*. Cykl rozlewa się szeroko jak Amazonka, do której źródeł zawsze chciałem dotrzeć.

Rano obudziły mnie syreny. To płonął tartak i warsztat Kunefała, w nim moje nowe biurko. Kunefał się powiesił.

Wróciłem do miasta Uplawy załamany, bez biurka. Na kredyt kupiłem biurko w IKEI, ze sklejki. Poszedłem spać. Śniło mi się, że moje nowe biurko też się pali. W pewnym momencie przyjechała straż i zaczęła gasić pożar. Słyszałem wyraźnie krople wody. Obudziłem się. Poszedłem do pokoju biurowego, a tam mój mały syn robił eksperyment. Pod biurkiem stała maszyna do pisania. Nasikał do jej środka, chcąc sprawdzić, czy przecieknie. Pomyślałem, że urodziło się dziecko i olało moją literaturę.



Fot. Archwum Z. Masternaka

Maciej Froński

## TYCHY, ANDERSA, KLONÓW ZŁOTE LIŚCIE...

Tychy, Andersa, klonów złote liście  
Melancholikom porządkują świat;  
Jedzie trolejbus – pantograf sprężyście  
Sunie po trakcji i tak już od lat.

Zaraz przystanek, powoli, powoli,  
W kierunku wyjścia zmierza ten i ów...  
Może wysiądzie jakiś melancholik?  
Nie wysiadł? Zaraz coś pojedzie znów.

Kto nic nie stracił, tego czeka strata,  
Jakiś rozbitek ma na dzisiaj dość...  
No dobra, wziąłem go z mistrza Bułata,  
Mistrz mi wybaczy, bo to równy gość.

*Katowice, 22 października 2021 roku*

## DUBNE

Dubne... Lecz z Dubnem nie się żenić nie chce,  
Drewnianej cerkwi nie dopełnia rym,  
Łagodnych garbów melodia nie łechce,  
Z komina chyży słów nie leci dym.

Co więc zostaje? Wspomnienie ulotne,  
To był słoneczny bardzo wczesny maj...  
Chowam je zatem między myśli słotne,  
Kładę wysoko na sam nieba skraj.

*Mikołów, 18 marca 2022 roku*

## MASKONUR

Czy chciałby ktoś być maskonurem?  
Spojrzenie taki ma ponure  
I czy się komuś to podoba,  
Pęk ryb mu zwykle zwisa z dzioba.  
Co więcej – barwa ich niebieska  
Przy tej czerwieni – to groteska!  
Nie dziw, że alka krzywonosą  
Wzdycha do zdjęcia albatrosa.

*Mikołów, 1 marca 2023 roku*

## KALESONY

„Sire, musi się pan zgodzić, że pod Borodino  
Mogliśmy bić się lepiej, niż to miejsce miało –  
Zaczęliśmy z przytupem, lecz z każdą godziną  
Dawaliśmy mniej z siebie i wróg uszedł cało.

Prawda, na sprawę można patrzeć z drugiej strony,  
Przecież nie twierdzę, żeśmy nie walczyli godnie...” –  
Co rzekłszy, podciągnąłem sobie kalesony,  
Które w tamtej epoce robiły za spodnie.

*Bielsko-Biała, 22 grudnia 2023 roku*

Marek Kusiba

## SZATKOWANIE. PODRÓŻE Z ANDRZEJEM BOBKOWSKIM\*

### Autostopem do Paryża

LIPIEC 1975. Jestem już po studiach i po lekturze *Szkiców piórkciem*. Z moją narzeczoną Basią Krawczyk lecimy do Holandii, na zaproszenie Ada van Rijsewijk, poety i wagabundy poznanego przed kilku laty w Bieszczadach. Pewnego dnia pakujemy plecaki, zabieramy śpiwory i jeden namiot, wybieramy się autostopem do Paryża. W paszportach nie mamy wiz francuskich, a konsulat Francji w Eindhoven nieczynny, bo piątek. Konsjerżka radzi jechać bez wiz, będzie tanciej, a i tak na granicy nie sprawdzą. Jasne, co tam wize, najwyżej nas nie wpuszczą.

W Antwerpii nocujemy u znajomych Ada – ona jest Belgijką, on Amerykaninem. Nie możemy spać, komary tną jak oszalałe, całe roje tłuką się o siatkę w oknie. Upał. Bobkowski przeżył podobną inwazję nad brzegiem Varu: „Komary atakują nas w locie nurkowym i głośne klapnięcia po udach, po rękach, po twarzy są jak wybuchy”<sup>1</sup>.

Brukselę przeszliśmy na piechotę, za miastem odbiera nas Belgijka, jadąca do Amiens. To trochę nie po drodze do Paryża, ale wskakujemy do jej saaba z ochotą, nie byliśmy przecież w Amiens! „Madame Hortens” poznaje nasz sekret: jesteśmy z komunistycznej Polski, a nie mamy francuskich wiz. Holenderski przyjaciel prosi ją o radę. – Na granicy będziecie udawać moje dzieci, *bien?* – mówi Hortensja z uśmiechem i każe nam schować plecaki do bagażnika. Ad siada z przodu, ja z Basią z tyłu, jedziemy trochę z duszą na ramieniu. Na granicy jesteśmy bardzo zaspaną parą, francuski celnik zagłada do auta i salutuje: – *Bienvenue en France!*<sup>2</sup>.

Dojeżdżamy do Amiens, a Hortensja pyta, czy słyszeliśmy o pisarzu o nazwisku Jules Verne. Jeszcze jak słyszeliśmy! Basia czytała *Dzieci kapitana Granta*, ja *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*, a cała trójka,

\* Dokończenie tekstu z poprzedniego numeru.

<sup>1</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkciem (Francja 1940–1944)*, Londyn 1985, s. 127. Kolejne cytaty z tego wydania oznaczone w tekście głównym numerem strony.

<sup>2</sup> *Bienvenue en France!* (franc.) – Witajcie we Francji!

razem z Adem *W osiemdziesiąt dni dookoła świata*. Hortensja leje miód na nasze serca informacją, że też czytała wymienione książki, w ogóle jest wielką fanką Verne'a. – Biedak, zmarł siedemdziesiąt lat temu na cukrzycę... w Amiens był radnym miejskim – mówi ożywiona nieoczekiwanym odkryciem pokrewnych dusz – aha, i leży na *Cimetière de la Madeleine*<sup>3</sup>... A jak chcecie, to wam pokażę dom, możemy też podjechać na cmentarz. Czy chcemy? Oczywiście, jasne, jak najbardziej!

44 (a imię jego czterdzieści i cztery?) Boulevard Jules Verne. Okazała kamienica, dzisiaj zamknięta na cztery spusty, jedziemy na cmentarz. Grobowiec Verne'a szokuje nagim torsem pisarza, który poprzez rozwaloną płytę wstaje z własnego grobu z ręką wyciągniętą w niebo. Wizja rzeźbiarza Alberta Roze'a z 1907 roku przyciąga tłumy turystów. Pielgrzymują do grobu także setki miłośników książek. Basia kładzie przy popiersiu pisarza polne kwiaty, zerwane pod ogrodzeniem nekropolii, ukradkiem dotyka ręki z marmuru.

Amiens... Zaraz, z Amiens pochodziła madame Grodnicka, niania córki Józefa Wittlina. Tak o niej pisze Elżbieta Wittlin Lipton: „Mademoiselle pochodziła z Amiens i w rzeczywistości wcale nie była Mademoiselle, lecz Madame – jako żona polskiego weterana pierwszej wojny światowej, który stracił nogę we Francji”<sup>4</sup>.

Hortensja podwozi nas na wylotówkę, czeka z nami na okazję i odjeżdża, gdy pakujemy się do ciężarówki jadącej do Creil. A potem jest Chantilly otoczone lasami, St. Denis, podparyskie miejscowości opisane w *Szkicach*... Bob wyprawiał się tędy rowerem po wałówkę do znajomych Polaków w Monceaux, w departamencie Oise, niedaleko Clermont. Aż się prosi odszukać farmę państwa M., ale nie mamy jeszcze w planach wyprawy szlakiem francuskich peregrynacji Boba. Może kiedyś...

Pod Chantilly łapiemy okazję. Pierre, farmer, wiezie do Dzielnicy Łacińskiej warzywa i owoce. Poznałem dość dobrze *Quartier latin*<sup>5</sup> za poprzednim pobytem, zaglądałem na Sorbonę, włóczyłem się po Ogrodzie Luksemburskim, obsianym setkami rzeźb, łącznie z kopią Statui Wolności i pustym miejscem na popiersie Chopina<sup>6</sup>, bywałem nieopodal Pałacu Luksemburskiego, siedziby senatu, i przy osmiokątnej sadzawce,

<sup>3</sup> *Cimetière de la Madeleine* (franc.) – cmentarz św. Magdaleny.

<sup>4</sup> E. Wittlin Lipton, *Z dnia na dzień. Reportaż z modą w tle z czasów zawieruchy*, wstęp J. Zieliński, przeł. L. MacMillan, Toruń 2012, s. 28.

<sup>5</sup> *Quartier latin* (Dzielnica Łacińska) to dzielnica uniwersytecka, gdzie w średniowieczu mówiono prawie wyłącznie po łacinie, stąd jej nazwa.

<sup>6</sup> Oryginał z 1900 r., dłuta Georges'a Dubois, zniknął z cokołu w 1942 r., nowe popiersie dłuta XIX-wiecznego rzeźbiarza Bolesława Syrewicza ustawiono w 1999 r.

zwanej basenem, gdzie dzieci puszczały drewniane żaglówki. Zapis Boba z 13 czerwca 1941 roku: „W Luxemburgu cicho. Szelest kamyków pod stopami przechodniów i pokrzykiwania dzieci nad basenem. [...] Coś jest w otoczeniu – jakby unosząca się łatwość życia, myśli... To może wiele zastąpić. I naprawdę zastępuje” (s. 240–241). Łaziłem po dzielnicy artystów Montparnasse i bulwarze Saint-Germain, przysiadłem przy okrągłych stolikach, notowałem nazwy kawiarni: Les Deux Magots, Cafe de Flore, Bonaparte... Bob: „Na Place Saint-Germain siadamy w cafe Bonaparte na tarasie i pijemy lodowaty, musujący «cidre». Jest upalne popołudnie ze świeżym wiatrem. Wokoło nas suną strumienie rowerów. [...] Rowery, spódniczki w kratę i jedwabne sukienki, sandaiki, wystawa nóg aż do pasa, bo wiatr podwiewa lekkie tkaniny. Aż dławię się poczuciem cudowności życia” (s. 404). Miałem te same odczucia i atrakcje wzrokowe, a gdy podchodził kelner, rezygnowałem z zamówienia: I changed my mind<sup>7</sup>. I wtedy, i teraz, nie miałem grosza przy duszy.

Wysiadamy na skrzyżowaniu Boulevard St.-Germain i Boulevard St.-Michel, naprzeciw Ristorante Del Arte, ale nie wступujemy tam z wiadomych powodów. Głodni, przy stoisku z kebabem rzucamy się na tanie kanapki z bardzo ostrą papryką, zapijamy sodówką z saturatora. Na deser Ad funduje nam *Doktora Żywago* w pobliskim kinie. Na sali, oprócz nas, cztery osoby. Chłoniemy zakazany w peerelu owoc z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku kontestatorów komuny. Bobkowski nie mógł widzieć nagrodzonego pięcioma Oskarami filmu Davida Leana z Omarem Sharifem i Julie Christie z 1965 roku (nakręcono go w cztery lata po jego śmierci), ale w 1958 przeczytał powieść Pasternaka po angielsku (polski przekład Hostowca, czyli Jerzego Stempowskiego, wyszedł w Instytucie Kultury w 1959 roku). W liście do matki Stanisławy napisał: „Cały świat czyta tę powieść z wyjątkiem jego własnych rodaków, bo w sowietach nie pozwolili na opublikowanie. Co tu gadać o ciemnocie wieków średnich?”<sup>8</sup>. W liście informował matkę o przyznaniu Pasternakowi Nagrody Nobla i antycypował represje wobec pisarza: „już w «Prawdzie» go wstrętnie opluli. Pewnie nie pozwolą mu pojechać do Sztokholmu albo wymuszą zrzeczenie się”<sup>9</sup>. Co też się stało – na Borysa Pasternaka i „oszczerczą powieść” – w opinii „wybitnego krytyka” Nikity Chruszczowa – rozpoczęto nagonkę, usunięto pisarza ze związku literatów, a koledzy po piórze gorliwie podpowiadali władzom wydalenie z kraju „parszywej owcy”

<sup>7</sup> *I changed my mind* (ang.) – Rozmyśliłem się.

<sup>8</sup> A. Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, Warszawa 2008, s. 221.

<sup>9</sup> Tamże.

i „chwastu literackiego”. Wystarczyło zaszczuwanie w reżimowych mediach (innych nie było) oraz wymuszenie odmowy przyjęcia nagrody, by doprowadzić do trzech kolejnych zawałów i przedwczesnej śmierci Borysa Leonidowicza Pasternaka, 30 maja 1960 r. (nagrodę odebrał dopiero w 1989 jego syn Jewgienij Borysowicz, a *Doktora Żywago* opublikował „Nowyj Mir” w kolejnych numerach z 1988 roku<sup>10</sup>).

Fot. archiwum autora



Ad van Rijsewijk (z lewej) z autorem, 1975 r.

Po długim seansie wlecemy się przez Paryż, niczym Jurij Żywago i Lara Guichard przez Moskwę, w poszukiwaniu miejsca na rozbięcie namiotu. Nocujemy w ruinach rozebranego domu, jak się okaże rano – w pokrzywach. Ale najpierw, niczym Bob pod Niceą, „zbieramy suche trzciny, robimy z nich sprężystą podściółkę, i nad tym tapczanem rozbijamy namiot” (s. 127).

Rano Luwr.

Zwiedzamy muzeum, a równoległe z nami przechodzi z sali do sali japońska wycieczka. Co tam przechodzi – Japończycy pędzą od obrazu do obrazu z szybkością światła swoich fleszy (są to jeszcze lata względnej wolności, lata kontestacji, można palić w restauracjach i samolotach, pstrykać w muzeach). Zatrzymują się obowiązkowo i na dłużej niż kilkanaście sekund przed portretem Mona Lisy (lub autoportretem Leonarda,

<sup>10</sup> Korzystałem częściowo z artykułu *Piękniał we wrzółku – o Borysie Pasternaku w 55 rocznicę śmierci pisze Anna Żebrowska*, „Gazeta Wyborcza” z 6 czerwca 2015.

bo jest i taka wersja, podobno naukowa). Muszą go zatopić, niczym muchę w bursztynie, w szklach aparatów. Przyszpilić, niczym Nabokov, rzadki okaz motyla do korka. Przypominają drużynę snajperów: pierwszym ruchem, jaki wykonują, jest podniesienie kamer jak karabinów na wysokość oka i wzięcie portretu na muszkę celownika. Jest to odruch bezwarunkowy, jak pierwszym gestem wchodzącego do kościoła jest wykonanie znaku krzyża. Jest coś przerażającego w tej skrupulatności, w tym zapamiętaniu, w tej skrzętności dokumentacyjnej potomków samurajów. A przecież uśmiech Mona Lisy wcale nie jest ani bardziej powabny, ani piękniejszy, ani weselszy od uśmiechu Bolesława Krzywoustego (który „miał usta po jednej stronie nieco skrzywione, skąd zwano go Krzywoustym” – jak pisał Długosz). No tak, ale skąd nasi bracia z Kraju Kwitnącej Wiśni mogą znać uśmiech Bolesława Krzywoustego, skoro nawet my go nie znamy, a tylko sobie wyobrażamy na podstawie obrazu Johanna Gottlieba?

Obok portretu Mona Lisy stoi o wiele piękniejsza – no i o 500 lat młodsza – pracownica Luwru w mundurze strażniczki. (22 sierpnia 1911 roku skradziono z Luwru dzieło Leonarda, odnaleziono je w dwa lata później, od tego czasu pilnuje obrazu strażnik lub strażniczka). Z holenderskim przyjacielem próbujemy interweniować, też fotografujemy, ale tę żywą i piękną. Padamy przed żywą Mona Lisą na kolana, łamanym francuskim przełamany z angielskim prosimy ją w triplecie o rękę. Żywa chichocze, a Japończycy ani na chwilę nie odrywają kamer od martwej, nawet na jedno ujęcie pięknego uśmiechu paryżanki. Zupełnie lekceważą happening, jakby widok dwóch długowłosych brodaczy i zgrabnej blondynki, kłęczących przed zgrabną szatynką, był dla nich codziennością. Dalej napychają swoje elektroniczne pończochy XVI-wiecznym uśmiechem, pstrykają i przewijają błony aparatów; jest rok 1975 i daleko jeszcze do ery cyfrowej. Słowem: repetują broń marki Cannon i Nikon w celu dalszej kanonady, trwa to długie minuty, aż wreszcie w jednym momencie zapada cisza.

Jak na komendę kończą filmowanie i pstrykanie, jakby otrzymali rozkaz: przerwać ogień, w tył zwrot! Odwracają się na pięcie od martwej Lisy i kierują canony i nikkony na nas. Przez chwilę trwa zawieszenie broni, patrzą na nas przez wizjery i lunety, niczym snajperzy oczekujący rozkazu. Wreszcie Ad wstaje z kolan i mówi do nich, niczym Gary do Nicole w *Pieśni kata* Mailera: *Go ahead and shoot!*. Na tę komendę rozpoczyna się kanonada, czyli klikanie, pstrykanie, ciche warczenie silniczków kamer, a po kilkunastu sekundach zapada cisza jak kataną uciął. Robią w tył zwrot i w zwartym szyku drepczą, by nie powiedzieć: maszerują do następnego obiektu kultu swoich kamer.



Na kolejny nocleg jedziemy najpierw metrem do stacji Saint-Denis, a potem wlecemy się noga za nogą w kierunku lotniska Le Bourgeot. Na przystanku nocnego autobusu siedzą dwie młode kobiety, jedna z dzieckiem przy piersi, druga, nieco starsza, ze skrętem w zębach. Ad pyta, czy nie znają jakiegoś miejsca, gdzie można by rozbić namiot. Młodsza proponuje: – Jedźcie z nami. Starsza: – Jasne, zaraz będzie autobus. Nie muszą nam dwa razy powtarzać, jesteśmy wykończeni, właściwie wszystko nam jedno.

Trafiamy na spore wysypisko śmieci (jak się okazało rano), na środku placu płonie ognisko, grają dwie gitary. Na powitanie wybiegły do nas półnagie dzieciaki, cała hurma. Przybiegły i ustawiły się rzędkiem na powitanie. Młode dziewczyny i chłopcy, może piętnastoletni, tańczą flamenco. Plac otacza wianuszek nowoczesnych trailerów, wrzeszczy umorusana dzieciarnia, szczekają psy. Współczesny tabor cygański, satelitarne dysze na dachach, materace rozłożone na ziemi, do spania pod gołym niebem, w telewizorze corrida.

Starsza, Angelita, mówi coś po hiszpańsku do nobliwego jegomościa przy ognisku. Ten zwraca się do nas donośnym: *Hola y bienvenidos amigos de Polonia!*<sup>11</sup>. Podchodzimy, *buenas tardes*<sup>12</sup>, poklepujemy się po plecach, obejmujemy w pasie. *Gitanos*<sup>13</sup> przyjechali z Andaluzji, z Kordoby, w odwiedziny do znajomych w Paryżu. – *Periodista?*<sup>14</sup> – pyta mnie starzec. I zaczyna mówić o generale Franco. Same nieprzyjemne rzeczy. *Bastardo, fascista, el diablo con el!*<sup>15</sup> – powtarza w kółko. Ma wszak jak najlepsze zdanie o Polakach, boję się, że za chwilę usłyszę o *generalissimo* Walter i jego walkach w obronie Republiki. Świerczewski prześladowuje mnie od dziecka, mieszkalem w Krośnie przy ulicy Świerczewskiego, każda wycieczka w Bieszczady musiała zaliczyć szpetny pomnik pod Jabłonkami, gdzie zginął generał. Od Durnej już nie strzelają, co najwyżej wyskoczy z za rogu jakiś dureń uzbrojony w rozpędzonego opla...

Ad otwiera wino i puszcza butelkę wokół ogniska: *salud!*<sup>16</sup>. Pociągam spory łyk, jest mi dobrze, ciepło, sennie. Budzę się w namiocie, choć nie wiem, jak się tam znalazłem. Basia patrzy na mnie przerażona: jesteście cały w krostach! I Ad także! I ty też – mówię i podsuwam jej lusterko. Pierwsza podejrzana to butelka. Piliśmy z Romami wino z gwinta... Zwija-

<sup>11</sup> *Hola y bienvenidos amigos de Polonia!* (hiszp.) – Witam i zapraszam przyjaciół z Polski!

<sup>12</sup> *Buenas tardes* (hiszp.) – dobry wieczór.

<sup>13</sup> *Gitanos* (hiszp.) – Cyganie.

<sup>14</sup> *Periodista* (hiszp.) – dziennikarz.

<sup>15</sup> *Bastardo, fascista, el diablo con el!* (hiszp.) – drań, faszysta, do diabła z nim! Pobożne życzenie Roma spełniło się tego samego roku, Francesco Franco zmarł 20 listopada 1975.

<sup>16</sup> *Salud!* (hiszp.) – na zdrowie!

my namiot, dziękujemy za gościnę, żegnamy się: *Arrivederci Roma!*. Angelita odpowiada w tym samym stylu: *Arrivederci Varsovia!*. Basia zauważa przytomnie, że na dziewczynach wysypki ani śladu, pewnie są uodpornione na własne bakterie...

### Powrót do Holandii

Wracamy do Holandii mini-cytryną<sup>17</sup> Citroenem 2 CV. Zaraz, chwileczkę, takim samym autkiem jeździł po Vence i okolicach Witold Gombrowicz z żoną Ritą! Prowadziła Rita, Gombri kontemplował okolicę. „Okolice Vence są tak piękne i urozmaicone, że były dla niego wyprawą w inne światy – wspomina Rita Gombrowicz – zwłaszcza do jego dwu ojczyzn, Polski i Argentyny. Strona północna i góry przypominały mu Tatry. Strona południowa i morze – Argentynę”<sup>18</sup>.

Pan za kierownicą, w wieku matuzaleмовym, zatrzymał się na widok samotnej autostopowiczki. O dziwo nie odjechał, gdy z pobliskich krzaków wyszło dwóch „jej towarzyszy podróży”, jak nas przedstawiła. Na granicy francusko-belgijskiej w Ardenach celnik zagląda do środka i co widzi w malutkim autku, poza kierowcą? Dwóch dryblasów i blondynkę z plecakami pod brodą, cała trójka uśmiecha się doń niewinnie. *Passeports, si'l vous plait*<sup>19</sup>. Znika za drzwiami okratowanej budy z napisem: BUREAU DE DOUANE<sup>20</sup>. Ad radzi nam siedzieć jak mysz pod miotłą, on wszystko załatwi. Po dłuższej chwili celnik wraca z dwoma innymi mundurami, proponuje opuszczenie pojazdu, zaprasza do biura. Siadamy, a on stuka w paszporty palcem i w rytm uderzeń cedzi komunikat: – *C'est un problème*<sup>21</sup>. Po czym następuje monolog, w którym idą w ruch ręce i nogi, bo chodzi po pokoju i gestykuluje: – Jesteście zza żelaznej kurtyny, a nie macie wiz, jak się dostaliście do Francji?! Jak długo na terenie Republiki?! I gdzie, z kim, dlaczego, podać nazwiska, adresy, to prowokacja, a może nawet, no, na pewno, afera szpiegowska!

Protestujemy, teraz my machamy rękami, *non, non, non, c'est impossible!*<sup>22</sup>, robi się potworne zamieszanie. Ad buja, że przy wjeździe jego koledzy nie pytali nas o paszporty, co do pewnego stopnia pokrywa się z praw-

<sup>17</sup> Cytryna – popularna w Polsce nazwa Citroena.

<sup>18</sup> R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie. Świadectwa i dokumenty 1963–1969*, przeł. O. Hede-mann i in., Kraków 1993, s. 335.

<sup>19</sup> *Passeports, si'l vous plait* (franc.) – poproszę paszporty.

<sup>20</sup> BUREAU DE DOUANE (franc.) – urząd celny.

<sup>21</sup> *C'est un problème* (franc.) – To poważny problem.

<sup>22</sup> *Non, non, non, c'est impossible!* (franc.) – Nie, nie, nie, to niemożliwe!

dą. A gdzie oni przekroczyli granicę, celnik pyta Ada, na którym przejściu, jak?! Oczywiście nikt z nas niczego nie pamięta, nawet gdyby mieli nas tu pokroić na plasterki, nie zdradzimy Hortensji. – „Bo jam nie zdradził... nawet nieprzyjaciół” – leczę Norwidem<sup>23</sup>. Celnik pyta Ada: co on powiedział? Ad „wyjaśnia”: – To wariat, ciągle recytuje jakieś wierszyki, nie bierzcie go poważnie... Wyrzucają nas z budy, każą zaczekać na ławce, Basia prosi o kawę – Tylko ze śmietanką, *si'l vous plait*. Trzaskają drzwiami, są wyraźnie zdenerwowani, naradzają się. Przez zakratowane okno widać tę samą gestykulację, ale już wszystkich trzech panów, słyhać powtarzaną w kółko nazwę naszej narodowości: *les Polonaise, les Polonaise*. Po chwili wszyscy trzej wiszą na telefonach. Konferencja z władzami w Paryżu, jak się później dowiemy, trwa wicki całe. Siedzimy tam już ponad trzy godziny, a oni nie wiedzą, co z nami zrobić.

Z końcem czwartej godziny wpadają na szatański pomysł, który referują Adowi: – *Les Polonaise* zapłacą po 500 franków od łebka za brak wiz, to ich przepuścimy. Mówię, Ad tłumaczy: – Chętnie zapłacę, ale proszę mi przysłać rachunek do Polski. Celnik wraca do telefonu, raportuje wyniki negocjacji z nielegalnymi przybyszami. Po kolejnej godzinie pojawia się przed nami wyraźnie zrezygnowany, oddaje nam paszporty i proponuje ugodę: „Zwracam wam wolność – *je te donne la liberté*”, tak właśnie mówi – ale musicie mi obiecać: was tu nie było, myśmy się nie spotkali, *vous comprenez?!<sup>24</sup>*. Basia zaczepnie: – Wiesz, gdzie ja mam twoją *liberté, égalité, fraternité<sup>25</sup>*? Celnik patrzy na nią wzrokiem mordercy seksualnego, biorę ją za rękę i oddalamy się w kierunku zachodzącego słońca. Maszerujemy do dźwięków Marsylianki, buczanej artystycznie przez Ada. „Nasz” celnik puka się w głowę, zakończoną rondlem, czyli kepi, i chyba się uśmiecha. Basia macha do niego: – *Merci, ma chère<sup>26</sup>*...

Celnik nie bujał, zwrócił nam paszporty bez śladu pobytu w kraju, którego symbolem jest galijski kogut. „Kogut – trudno o lepszy symbol tego narodu – notuje Bob na kilka dni przed wyzwoleniem Paryża, 22 sierpnia 1944. – Całe to bractwo rajcujące po bramach i bistrach trzepie skrzydłami i pieje, potrząsa grzebieniem – i czeka na amerykańską czekoladę i konserwy. A gdy z daleka nadjeżdża motocykl niemiecki, w przeciągu trzech sekund ulica jest pusta, bramy zamykają się i przy dziurkach od klucza następuje

<sup>23</sup> „Bo jam nie zdradził... nawet nieprzyjaciół” – ostatni wers wiersza Cypriana Norwida *Czy podam się o amnestię*.

<sup>24</sup> *Vous comprenez?! (franc.)* – Zrozumiano?!

<sup>25</sup> *Liberté, égalité, fraternité (franc.)* – wolność, równość, braterstwo – hasło Rewolucji Francuskiej, jest częścią godła Francji.

<sup>26</sup> *Merci, ma chère (franc.)* – Dziękuję kochanie.

walka wręcz, by «zobaczyć». Paryż «walczy»” (s. 436). Gdy Bob zapisuje te uwagi, w Warszawie rozpoczyna się trzeci tydzień krwawego powstania; jest bezlitosny w ocenie francuskiej *courage*<sup>27</sup> i paryskiej „rebelii”.

Przekraczamy granicę francusko-belgijską na piechotę i w Bruły de Couvin wstępujemy do restauracji Chez Pierre. Zjadamy po talerzu frytek z jakąś ogromną kanapką z serem i krojonym mięsem, zapijamy *double espresso* i czujemy się znowu wolni, równi, niezależni. Gdy wychodzimy na drogę, jest już wieczór, ruch prawie ustał. Wypchnęliśmy Basię na przynętę, trzyma baner „Eindhoven”, sami czaimy się w cieniu. Podstęp nie działa, bo nie nie jedzie, drogą snuje się tylko wieczorna mgła. Jest tak cicho, że słychać każdy szelest w trawie, poszum dalekiego strumyka. Bob: „Usiedliśmy przy drodze. Była taka cisza, że lecący chruścik warczał, jak silnik samolotu. Opadający liść potraçał gałęzie ze stukiem. Powietrze zamarło i nawet smukłe trawki nie drgały. Mówiliśmy szeptem. Czym bardziej ściemniało się, tym warkot latających chruścików stawał się częstszy” (s. 292).

Fot. Ad van Rijsewijk



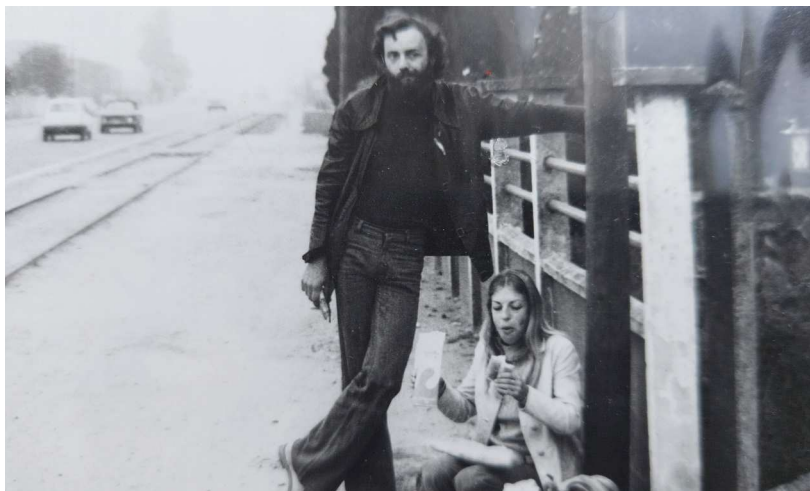
Wypchnęliśmy Basię na przynętę, trzyma baner „Eindhoven”.

Gdy ściemniło się na dobre, usłyszeliśmy znajomy warkot volkwagena, podjeżdżającego do stacji benzynowej. Poszliśmy tam napić się

<sup>27</sup> *Courage* (franc.) – odwaga.

kawy z automatu, skorzystać z łazienki, zapytać miejscowych o miejsce pod namiot. Pomarańczowa Westfalia ma koło zapasowe, wyeksponowane na przodzie niczym tarczę, za kierownicą mężczyzna pod czterdziestkę. Ad pyta go, czy nie jedzie w kierunku Brukseli. – *Ich gehe nach Essen*<sup>28</sup>, ale chętnie nas zabierze, *wohin gehst du?*<sup>29</sup>. – *Den Bosch, Nederlands...* – *Oh, Niederlande, kein Problem*<sup>30</sup>, zawiozę was. Hojność i bezinteresowność, solidarność byłego *hitchhikera*<sup>31</sup>, który nie raz stał nocą na drodze, zziębnięty i głodny. Dobry Niemiec ma na imię Hans, aby dojechać do domu nadkłada ponad sto kilometrów. Na pożegnanie wymieniamy się adresami, zapraszamy do Polski, Basia rzuca mu się na szyję i całuje z dubeltówki.

Po powrocie do Holandii lekarz zadał nam tylko jedno pytanie: co jedliście w Paryżu? Butelka wypita z Romami zyskała dyspensę, sprawcą wysypki okazała się ognista tunezyjska papryka z kanapki w Dzielnicy Łacińskiej. Po kilku dniach i pastylkach wysypka ustąpiła.



Fot. Ad van Rijsewijk

*Po powrocie do Holandii lekarz zadał nam tylko jedno pytanie:  
co jedliście w Paryżu?*

<sup>28</sup> *Ich gehe nach Essen* (niem.) – Jadę do Essen.

<sup>29</sup> *Wohin gehst du?* (niem.) – Dokąd jedziecie?

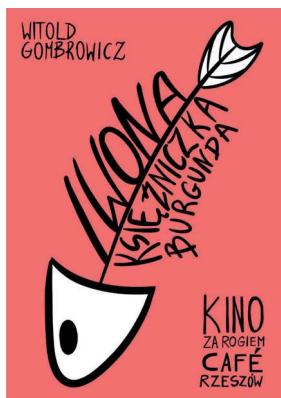
<sup>30</sup> *Oh, Niederlande, kein Problem* (niem.) – Holandia, nie ma sprawy.

<sup>31</sup> *Hitchhiker* (ang.) – autostopowicz.

\* \* \*

Dwie francuskie podróże sprzed pół wieku – autostopem z Holandii do Paryża w 1975 roku i wcześniejsze o dwa lata peregrynowanie autem po „zachodnich zboczach Alp” (opisane w poprzednim numerze „Frazy”) częściowo pokrywały się z (nie tylko) rowerowymi eskapadami Andrzeja Bobkowskiego z lat 1940–1944, opisanymi w *Szkicach piórkem*. „Szatkowanie” z Bobkowskim, zapoczątkowane przez młodzieńcze wyprawy piszącego po francuskich śladach pisarza, uzyskało nowy wymiar z chwilą podjęcia decyzji o emigracji z PRL. Podobnie jak Andrzej Bobkowski z Barbarą Birtus wyjechali z komunizującej się Europy Zachodniej do Ameryki Środkowej w 1948 roku, ja emigrowałem z moją Basią z komunistycznej Europy Wschodniej do Ameryki Północnej w roku 1984, będącym odwrotnością liczby 1948: 84/48. A zatem w roku 2024 minęło 40 lat od podjęcia przez nas decyzji opuszczenia Polski i Europy, podobnej w swej wymowie – *tute propositions garde!* – do decyzji o opuszczeniu Europy, jak i do całej filozofii życiowej Bobkowskiego, ujętej trafnie przez Jana Zielińskiego: „Opuszczając Europę chciał się zarazem wyrwać z polskich uwikłań, ze stereotypów i klisz myślowych. Uciekał od narodowych «powinności» i sentymentalnych więzi. Jak przed nim Conrad, w szerokim świecie szukał dla siebie punktu, z którego będzie mógł swobodnie patrzeć na świat”<sup>32</sup>.

Marek Kusiba



Izabela Babińska

<sup>32</sup> J. Zieliński, *Pożegnanie Europy. Tryptyk*, wstęp do: A. Bobkowski, *Tobie zapisuję Europę. Listy do Jarosława Iwaszkiewicza*, oprac. J. Zieliński, Warszawa 2009, s. 19.

## Al Purdy

## ARKTYKA

(fragment)

## CMENTARZ ESKIMOSÓW

Spacerując po lodowcowym śmietniku  
przy wrzącym mrozie widać  
kamienne dno starego ujścia rzeki  
gdzie żywa jak srebro woda  
zmienia zdanie co pół wieku  
i obiera nowy kierunek  
w błękitnym fiordzie  
Pracownik budowlany który jest ze mną  
mówi że zawsze znajdzie się dobry żwir  
do cementu w pobliżu cmentarza  
gdzie kopanie jest łatwe być może  
wyjaśniające ludzki charakter  
Na zmarzniętej ziemi  
owinięte starannie leży ciało starej kobiety  
(powiedziano mi że od kilku tygodni)  
bez żadnego grobu czy znaku  
A sto metrów dalej  
grób misjonarza anglikańskiego  
z wyblakłym krzyżem  
co jest tu bez znaczenia  
Miękki łoskot rzeki  
wlewa się do mojego ucha i zmienia  
tonację wraz ze zmianą wiatru  
lodowe odłamki topnieją w morzu  
a pracownik budowlany jest zadowolony  
że znaleźliśmy dobry żwir  
do budowy szkoły

którego nie trzeba będzie  
dostarczać na statkach z Montrealu  
szczęśliwe komary dołączają  
do naszej konwersacji Chwilę później  
budowlaniec staje aby skonsultować się  
ze swoim majstrem  
Ja idę dalej  
w kierunku namiotów ludzi  
Kilometr dalej  
w rogu tego samego obrazka:  
matki z dziećmi na plecach  
w czystych białych parkach<sup>1</sup>  
dumne z tego że  
kupują artykuły spożywcze w H.B.C.<sup>2</sup>  
mali chłopcy siedzą pod sklepem  
w miejscu gdzie drewniane podpory  
podtrzymują konstrukcje nad zmarzliną  
dwóch z nich siedzi ramię w ramię  
tak jak eskimoscy przyjaciele  
Po obiedzie  
spaceruję pomiędzy namiotami  
i nagle powraca myśl o starej kobiecie  
ani świętej pomiędzy zmarłymi  
ani zupełnie zapomnianej pośród żywych  
i ciekawi mnie jak często  
jej myśl zahacza o życie  
ludzi których znała przedtem  
i jaki to jest rodzaj egzystencji  
kiedy światło przeistacza  
noce w odwieczny blask  
a myśl o moim istnieniu  
sprowadza na mnie komary  
Wciąż spaceruję  
tak jakby coś się miało wydarzyć  
(ale nie wiem co)  
ze słońcem rozciągającym

---

<sup>1</sup> Parka – kombinezon futrzany z kapturem.

<sup>2</sup> H.B.C. – Hudson's Bay Company.



żółtą orkiestrę w poprzek wody  
od jednego urwiska do drugiego  
przy wysokim przypływie w fiordzie  
zamykającym wszystkie domostwa  
tak jakby nie było żadnego wyjścia  
i rzeczywiście takiego nie ma  
chyba że krążące Canso<sup>3</sup> przepłynie  
przez wysokie górskie wrota  
Tamtą stara kobieta?  
Wydaje mi się  
że mogłem myśleć  
o ludzkiej księdze inwentarzowej  
z debitem lub kredytem to wszystko  
albo z zarobkiem lub mankiem  
(śmieję się z siebie idąc  
pomiędzy białymi namiotami  
skrzącymi jak białe łabędzie  
mające nadzieję  
na rzecz nieprawdopodobną  
nowe narodziny)

*Pangnirtung*



Elżbieta Rokosz, *Grenlandia I*

---

<sup>3</sup> Canso – w wierzeniach Eskimosów dziewczynka o imieniu Sedna wyrzucona przez ojca z łodzi do oceanu, jako że nie chciała wyjść za mąż za żadnego mężczyznę. Jest obrończynią wszystkich uwięzionych.



Elżbieta Rokosz, *Grenlandia 2*

## DRZEWA NA KOLE PODBIEGUNOWYM ARKTYKI

*(Salix Cordifolia)*

Wysokie na około pół metra  
może mniej  
raczkujące pod skałami  
zawstyżone pomiędzy paprociami  
skrzywione i pokręcone w ucieczce  
kurczące się ciągle  
by znaleźć nową kryjówkę  
Tchórzliwe drzewa  
jestem zły widząc je  
właśnie takimi  
bez ich własnej dumy  
kłaniające się pogodzie zamiast  
zadbać o siebie  
zmartwione o kolor chmur

obawiające się obnażyć swe ramiona  
niczym staroświeckie małżeństwo

Przywołuję w pamięci wielkie sosny  
widzę wysokie klony falujące zielenią  
i dęby jak bogowie złotej jesieni  
cały horyzont ciemny jak dżungla  
i ja sam zgięty pod bezbrzeżną nocą  
Ale one  
nawet karłowate ontaryjskie krzewy  
szydzą z nich  
Tchórzliwe drzewa

A jeszcze – a jeszcze  
ich strączkowate nasiona lśnią  
jak delikatne szare kolczyki  
ich liście z siateczką poplątanych żyłek  
wyglądają jak haftowane chusty  
Mają około trzech miesięcy  
aby zapewnić ciągłość gatunkowi  
i właśnie w ten sposób spędzają czas  
żadna ludzka opinia nie zawraca im głowy  
tylko wkopują się tu i teraz  
wysyłają swe korzenie w dół  
w dół  
w dół  
pół metra  
metr  
korzenie muszą dotknąć wiecznej zmarzliny  
czyli lodu który na zawsze pozostanie lodem  
a one używają go jako swojego pokarmu  
używają śmierci aby pozostać żywymi  
Widzę że poniosło mnie zbyt daleko  
w szydzeniu z karłowatych drzew  
to był najgłupszy z moich osądów  
Odebrać dumę komuś  
nawet jeśli ten ktoś nie potrafi zrozumieć  
znaczenia słów

to tak jak uczynić życie trywialnym  
a z siebie samego Pontifexa Maximusa niczego

Byłem zupełnie głupi w wierszu  
lecz nie zmienię tego poematu  
zatem pozwólmy głupocie pozostać ponadczasową  
jak tym drzewom  
w wierszu  
Karłowate drzewa Ziemi Baffina

*Pangnirtung, Ziemia Baffina*



Elżbieta Rokosz, *Grenlandia 3*

## PSIA PIEŚŃ

Obudź się o brzasku a usłyszysz je  
leżąc jeszcze sennym w swoim śpiworze  
zawodzące głosy  
osiągające progi słyszalności  
odpowiedniki całej ludzkiej gamy  
baryton bas kontralt  
tenor sopran chłopca z chóru szkolnego  
cała koloratura nocny sentymentalny klub  
Arktyczna opera  
W ulewnym deszczu i wietrze od morza  
usłyszysz je  
rozrywające fokę do skóry i żeber  
w zakrwawionej wodzie  
usłyszysz je  
biegnące watahą po kamiennej plaży  
podążające za przewodnikiem poprzez góry  
od urwiska do urwiska  
stąpając delikatnie  
Te silniejsze  
wyszczierzają swoją władzę  
jak nadęci magnaci  
przed skomlącym szczeniakiem  
(brzuch do góry kiedy prosisz o litość)  
Odwieczny nienaruszony porządek  
nierozwiązana historia  
Zawsze głodne  
zawsze walczące  
pomiędzy pogubionymi wyspami  
w trzaskach zimowego wiatru  
usłyszysz je  
zadzierające głowy wysoko do góry  
na jakiś niewidzialny sygnał  
Niemożliwe jest stwierdzenie że to nic nie znaczy  
żadna puryfikacja emocji czy upust energii  
w której przypominałyby część nieszczęśliwych ludzi

postawionych przed zagadką życia  
którzy nie mogą jej zrozumieć  
którzy nigdy jej nie rozumieją  
i nie znajdują odpowiedzi  
a psy zapominają odpowiedź  
zaangażowane w śpiewanie pytań  
później zapominają same pytania  
i myślą o niczym  
Pusty dźwięk przeszywający dreszczem  
dzikich psów zaprzęgowych  
które śpiewają na czubku świata

*Kikastan Islands, Ziemia Baffina*

Al Purdy

Przełożył Waldemar Kontewicz



Elżbieta Rokosz, *Grenlandia 4*

Kazimierz Brakoniecki

## BRETANIA/BREIZH/PARYŻ 2004

### 7 XII 2004, Saint-Brieuc

Zakwaterowanie, jak poprzednio, w służbowym studio w kamienicy przy ulicy Lammartine'a.

Powrót z pracy w radzie generalnej departamentu Côtes d'Armor. Mam w ręku jeden egzemplarz pięknie wydanej typograficznie antologii *Terra nullius* z wierszami w moim wyborze kilku poetów Warmii i Mazur w przekładzie Frédérique Laurent, opublikowanej staraniem wydawnictwa Folle Avoine Yvona Prié z Bédéc. To kolejne osiągnięcie w kulturalnej międzynarodowej współpracy międzyregionalnej (warmińsko-bretońskie!) z dziedziny literatury.

W międzyczasie zapaliłem dwie świece w bocznym i jedynym zachowanym (barokowym) ołtarzu w gotyckiej katedrze w intencji zmarłych rodziców. Nie miałem na to czasu w rocznicę ich śmierci (ojca pierwsza, matki trzecia) w ich parafialnej katedrze olsztyńskiej. Zdążyłem jedynie przed wyjazdem zapalić świeczkę w mieszkaniu rodziców – pustym teraz i oczekującym na nowych właścicieli. Zamyka się jeden z wielkich cykli mojego życia: nie ma już nade mną ochrony, czyli żywych rodziców. Teraz ja... Po śmierci mamy jeszcze teraz się otrząsnąłem. Śmierć ojca (taty!?, kiedy to wypowiem to słowo z czułością) wydaje się zamknięta. Jego dwutygodniowe umieranie uznałem za godne naśladowania: mężne i milczące. Jak wcześniej mówił cały i zdrowy: dwa razy umierałem (ciężko ranny jako młodziutki partyzant AK, z czego się wylizał, i po pięćdziesiątce – dwie operacje, z których wylizał się równie szczęśliwie, lecz z większym trudem). Nieżywa matka to wyrwanie ze mnie części najbardziej intymnej, nieżywy ojciec – to zamknięcie we mnie rany otrzymanej w walce z nim o niezależność i duchową tożsamość.

W biurze Mission Internationale zmiany. Na początku mojej kariery od sierpnia 1995 roku biuro ds. współpracy międzynarodowej, w tym z naszym województwem olsztyńskim (późniejszym warmińsko-mazurskim) prowadzone było przez Pierricka Hamona (cudownie rozstrojonego i przyjacielsko nastawionego urzędnika) oraz przemiłą i zorganizowaną Ewę Kubasiewicz-Houée, była ofiarną działaczkę Solidarności, która pracowała jako bibliotekarka w gdyńskiej szkole morskiej, dostała wysoki wyrok w stanie wojennym, ale udało się jej opuścić kraj dzięki akcji Amnesty International i udać się do Paryża, a stąd do Saint-Brieuc,

gdzie wyszła za mąż za aktywistę ruchu Solidarité avec Solidarność i współorganizatora transportu pomocowego do Olsztyna w tamtej epoce.

Te moje pierwsze lata 1995–1999 w charakterze „poety pracującego na niwie” zdecentralizowanej współpracy międzynarodowej – początkowo jeszcze nie w pełni u nas samorządowej – dzięki Ewie Kubasiewicz zaliczyłem wzorowo: kontakty, rozmowy, przecieranie szlaków biurokratycznych (a francuskim podówczas mówiłem jeszcze, mimo bardzo dobrej znajomości biernej, nieskładnie). Zaufano mi i potoczyło się całkiem, a to całkiem nieźle, a ja po pewnym czasie skoncentrowałem się na współpracy kulturalno-oświatowej i stowarzyszeniowej (a nie ekonomiczno-politycznej). Pamiętam dyplomatyczny uścisk dłoni, rozmowę, spojrzenie przewodniczącego rady generalnej Charlesa Josselina, który pełnił zarazem funkcję senatora, a zaraz potem ministra w socjalistycznym rządzie Jospina. To on miał zdecydować, czy się nadaję. Tutaj człowiek instytucja i mąż opatrnicowy (rząd był lewicowy i departament od lat także). Tak naprawdę to była formalność, ponieważ i tak mianowany zostałem przez właściwego ówczesnie pracodawcę, czyli wojewodę olsztyńskiego, ale obowiązywała zasada grzecznościowa...

W nocy dużo snów, zawsze tutaj dużo śnię. Rok czy dwa lata temu po raz pierwszy, po jakimś szczególnie zapracowanym dniu, śniłem po francusku i mówiłem we śnie tylko w tym języku...

### Środa, 23 X

Powrót ze spotkań z animatorami kultury teatralnej w historycznym miasteczku Dinan; po południu na monodramie o ludobójstwie w Rwandzie. Spektakl w ramach corocznych „Paroles d’Hiver”. Mam uczucia mieszane. Szeffowi trupy Ericowi Prémel przekazuję antologię. Praca nad wystawą fotograficzną *La visite*. Dinan to malownicze miasteczko z zachowanymi murami, starodawnymi domami szachulcowymi (jak z baśni) poniżej dolina rzeki Rance. Mam tutaj swój ulubiony kościół Saint Severin: na kolumnach romańskich egzotyczne zwierzęta, maski, twarze (pokłosie wypraw krzyżowych).

W czwartek dwa spotkania o literaturze polskiej i olsztyńskiej na podstawie antologii w liceach w Lamballe i Saint-Brieuc. Towarzyszą mi tłumaczka wierszy Frédérique Laurent, profesor i krytyk literacki Yannick Pelletier, autor między innymi monografii o Maxie Jacobie rodem z Quimper, przyjacielu Picassa, awangardowym poecie i malarzu (jego żydowski dziadek pochodził z Prus Wschodnich). Młodzież albo zdyscyplinowana, albo naprawdę zainteresowana. Wychodzimy zadowoleni. Zapisuję uwagi o Bretanii, które usłyszałem, w tym od dyrektora liceum:

1. Alkoholizm i samobójstwa w Bretanii traktowane są jako fatum, wykonywana jest wielka praca z młodzieżą i starszymi, żeby te negatywne cechy zmienić, zrozumieć (motywy nie są jasne, ponieważ kraina od lat 60. XX wieku świetnie się rozwija: celtyckie geny, zmienna pogoda nadmorska?); uczniowie nad-



używają alkoholu w czasie wolnym (jak ich rodzice w rozsianych rolniczych koloniach);

2. Presja rodziców (z niedawnego awansu) na dzieci, żeby się dobrze uczyć; każde niepowodzenie uważane jest za ciężką porażkę;
3. Bretania wbrew pozorom pozostaje nadal krainą rolniczą, odwróconą od morza, wiejską; na morzu się ginęło, przymusowo harowało z dala od małej ojczyzny;
4. Druga wojna tutaj to zupełnie coś innego niż u nas; stacjonowały w Bretanii nieniepokojone wojska niemieckie, wiele Bretonek miało narzeczonych, swoich Niemców, sporo też poślubionych lub zakochanych kobiet opuściło z okupantami kraj rodzinny;
5. W prywatnej szkole Diwan uczniowie uczą się bretońskiego, w niektórych liceach zdają w tym języku maturę (najwięcej w zachodniej części Bretanii); nauka języka ułatwia podobno przyswajanie niemieckiego; uczniowie ci często są dziećmi pokolenia '68, dawnych lewicujących kontrkulturowców powracających do korzeni.

Wieczorek literacki poświęcony antologii w bibliotece miejskiej w centrum Saint-Brieuc. Dołączył do nas sympatyczny wydawca i poeta Yves Prié. Jednoosobowo prowadzi wydawnictwo, drukuje na starą modłę typograficzną (za pomocą linotypu), jest poetą i z zawodu poligrafem. Wśród publiczności, większość znam osobiście, członkowie naszego stowarzyszenia. Młodszych wiekiem nie widzę: przyszedło 25 osób. Tłumaczenia na wysokim poziomie, wszyscy to przyznają. Atmosfera przyjacielska. Prawie każdy kupuje, my podpisujemy. Książka dostępna będzie w kolportażu w całej prawie Francji.

## Piątek

Na targach edukacyjnych, dużo znajomych i zaaferowanych nauczycieli, którzy z młodzieżą odwiedzili Warmię i Mazury, nie tylko zaprzyjaźnione olsztyńskie trzecie LO. Zbieramy i rozważamy oferty oświatowe i dotyczące studiów, konkursy młodzieżowe, wspólne inicjatywy szkolne. Cały czas smutne myśli przelatują przez głowę, czuję się źle, może tęsknię (?) za domem rodzinnym. Zaczyna dokuczać rwa kulszowa. To niedobrze. Tabuny młodzieży w poszukiwaniu informacji o dalszym kształceniu. Kuśtykając, dotarłem do księgarni, w której pracuje na pół etatu znajomy rysownik Tanguy Dohollau – nie zastałem go, do końca roku wziął urlop. Na swoje pięćdziesiąte drugie urodziny kupiłem *Le jeu du monde* Kostasa Axelosa (1994, 21 euro), *Méditerranée* Baltasara Porcela (tłumaczenie z hiszpańskiego) – esej o Morzu Śródziemnym (powinienem taką monografię o Bałtyku i krajach nadbałtyckich przeczytać). W drodze powrotnej ładnymi uliczkami śródmieścia zauważyłem tabliczkę z nazwiskiem Staniszewski (to dentysta chirurg).

Marie Le Gec przeproszającym tonem pyta mnie, czy to prawda, że dzieci w Polsce rodzą się z zarejestrowanym poziomem alkoholu we krwi. Niezłą mamy tu opinię. Bretania też przecież nie wylewa za kołnierz. Jej zakłopotanie jest urzekają-

ce. Stereotypy, to jedno z moich zadań: uświadamiać miejscowym prawdziwą historię i rzeczywistość polską (i Europy Środkowo-Wschodniej; robię to bez kamuflażu).

O godzinie siedemnastej nadchodzi zmierzch. W łóżku przeglądam ustawienia rodzinne Berta Hellingera (trzeba wejść w żałobę a nie uciekać przed nią...); takie ustawienia robię w swojej poezji, która w dużym stopniu była osobistą terapią.

Zaglądam też do *Le temps qu'il faut* Armanda Robina (1912–1961), wielkiego ekscentryka, poligloty bretońskiego: emocjonalna opowieść o matce, ojcu, synu – Bogu, Jezusie, Maryi i ich bretońskim, bolesnym, materialnym, ubogim świecie. Autentyczne fizyczno-mistyczne uniesienia. Żar. Pragnienie miłości, zmiłowania, dziecięcy lęk o wszystko i wszystkich. Na granicy szaleństwa. Jakie to mi bliskie! „Wszystko jest wolnością, wszystko jest nietrwałe, powiedział Jezus i zniknął w niebiosach”.

Max Jacob: „Kocham tylko ocean!”.

## Wolna sobota

Długa podróż autem z fotografikiem i patriotą (właściwie nacjonalistą) bretońskim Rogerem Moizanem. Lubimy ze sobą przebywać w drodze. Dużo wie i lubi opowiadać.

Długotrwałe stereotypy i przesady międzybretońskie. Bretania dzieliła się na dziewięć historycznych regionów, które się nie lubiły, kłóciły, a ponadto dzieliły się na mniejsze terytoria zwane *pays* (krajiny). Regiony powstały na fundamentach plemion celtyckich tutaj mieszkających oraz tych przybyłych między V a VIII wiekiem naszej ery z Brytanii jako Brytowie (Bretończycy to krewni dzisiejszych Walijszczyków). Uporczywe waśnie i wojny domowe uniemożliwiały solidne założenie jednego państwa. Duch klanów i plemion celtyckich przeważał nad ujednoczeniem i wzmocnieniem władzy w średniowieczu. Stałe zagrożenia: wikingowie, Francuzi.

Mieszkańcy zachodniej krainy Léon (północna część departamentu Finistère: *finis terrae*: koniec ziemi, po bretońsku Penn-ar-Bed: głowa świata) byli najbardziej zdyscyplinowani, odpowiedzialni, pracowici, żarliwie religijni (trójca: pan, książdz, wójt/sołtys/chłop); to Prusacy Bretanii. W jednej ręce trzymają różaniec, a drugą zaciskają w pięść. Typowy lud wiejski, w XIX stuleciu bardzo biedny. Ambicje życiowe konkretnie upostaciowane w księdzu, wojskowym, funkcjonariuszu – wtedy rodzina nie zginie. Południe Finistère to Kornwalia z kultowym miastem Quimper: tradycjonalistyczna, nacjonalistyczna, dużo pochodzi stąd artystów, bazarzy, literatów, działaczy społeczno-narodowych.

Z Trégor (Bro-Dreger, obszar nad kanałem La Manche mniej więcej w północnej części Côtes d'Armor) oraz z okolic Vannes (południowy departament Morbihan) wywodzą się utalentowani artyści, ludowi i profesjonalni, głównie pieśniarze. Od rewolucji francuskiej ustalił się wyraźny podział na rojalistów (biali, katolicy, prawica, nacjonalisci) i republikańców (rewolucjoniści, lewica, socjaliści). Podczas rewolucji wybuchło powstanie w Wandei, które rozlało się i na Bretanię jako po-

wstanie szuanów. Z tej i tamtej strony wiele popełniono bestialstw. Na początku XX wieku odsłonięcie w Tréguier pomnika Ernesta Renana (1823–1892), wybitnego religioznawcy, historyka, myśliciela, autora demitologizującej monografii Chrystusa, doprowadziło do niesłychanego konfliktu światopoglądowego i polaryzacji społeczeństwa (wierni Kościołowi katolicy kontra prorządowi republikanie, zwolennicy laickości państwa). Renana można nazwać agnostykiem i kulturowym chrześcijaninem, ponieważ w głębi duszy zachował sentymenty kościelno-katolickie (celtyckie) z powodu autentycznej miłości do ziemi rodzinnej oraz tradycji rodzimno-religijnej. Kolejne regiony to terytoria wokół Saint-Brieuc, Saint-Malo, Dol, Rennes, Nantes.

Menez-Bre (302 m) – duże wzgórze z rozległą panoramą. Teren wyraźnie sfalowany: wielki, łysy, okrągły, trawiasty pagór omotany wiatrem. Na jego „Ibie” pojedyncza, kamienna kapliczka świętego. Hervé’go (patron artystów, egzorcystów – niewidomy święty obdarzony okiem wewnętrznym). Budowla przycupnęła jak ślimak z jednym rogiem, od zachodu przedsionek otwarty – dwie kamienne ławy.

Osada Plonévez – kościółek z resztką grobowców miejscowych rodów szlacheckich. Jeden bardziej okazały z marmurową, białą płytą – w jej centrum herb z koroną i trzy sowy. Na pionowym nagrobku korona i dwa lwy. Ten sam symbol na drugim grobie. Księstwo Normandii w okresie panowania Normanów miało dwa leżące lwy w herbie, ale chyba nie tędy droga. Odczytuję szlacheckie nazwisko: Ici reposit Me Piere Marie Marc de Kersauson du Vijeac epoux (mąż) de Madame Félicité Julie Urvoy de Portramparc décédé le 6 avril 1860 agé (wieku) 73 ans...

Okiennice domów zawarte, większość to teraz drugie siedliska, martwy sezon. Wsie pustoszeją. Widzę staruszkę, nadchodzą dwie nastolatki, zatrzymują się i rozmawiają, widocznie tutejsze. Oto grób wichrabiny: Vicecomtesse de Rials du Gullot (1855-1924)...?

Roger ma 65 lat, ćwiczy, hartuje się, ma celtycką duszę niezłomnych. Wychodzi zimne słońce. Ja czuję chłód. Ten chłód nie jest mroźny, ale wilgotny, wietrzny i gorzej go znoszę niż prawdziwy (kontynentalny) mróz.

Adwokat des Cognets zmarł w 1922, żona urodziła się w 1852 (ja sto lat później), zmarła w 1925: chyba przywiózł sobie kobietę z bratniej Irlandii.

Teraz Vieux-Marché w stronę Lannion. Niedaleko stąd na rolniczej farmie mieszkała samotnie po śmierci rodziców największa dwudziestowieczna poetka bretońska pisząca w języku przodków, Anjela Duval (1905–1981). Utalentowana poetycko patriotka bretońska z mocnym charakterem. Zaczęta po drodze staruszka tłumaczy nam jak dostać się do jej kolonii na uboczu; określa ją jako zającą osobę. I dalej: „Pozostała panienką (*mademoiselle*), jedyną córką *papa et maman*; na starość nie wychodziła, ale przyjeżdżali do niej z wizytą młodzi ludzie (jak mój przyjaciel i poeta Paol Keineg, który teraz sam ma ponad 60 lat). Boczna, wyasfaltowana dróżka, lokalna linia kolejowa, stary, rozłożysty dąb i oto kamienna chałupa Anjeli Duval – zamknięta. Obchodzimy. Podobno wykupiona na letnie pobyty przez Anglików, jak wiele takich i lepszych domów w całej nadmorskiej Bretanii (i Francji). Dla nich to taniocza i blisko.

To miejsce nazywa się Traon-an-Dour (dolina, wąwóz wodny). Chałupka przechodząca w komórkę i obórkę, usytuowana na lekkim stoku, poniżej domowy ogród, zadbane krzewy iglaste (tuje też są), dwie wanny wypełnione deszczówką (jedna cynowa, druga ma wyrzeźbione gadzie nóżki). Jedno żółte jabłko na pomarszczonej jabłonce wisi na wysokości mojej twarzy i patrzy się zmęczonym okiem poetki, na trawie kilka innych. Zbieramy i jemy, aby nabrać magii miejsca i poetyckiej miłości do ziemi. Dziękujemy Ci niezwykła Poetko! Zabieram porzucony w zielonej trawie żeliwny ćwiek. Obok innych skromnych granitowych domów, raczej zadbanych, stoją auta z angielską rejestracją. Bretania dla Bretończyków!? Dobrze, że Anjela tego nie widzi. A może by się nie zmartwiła? Pomstowała na Francuzów, którzy niszczą tożsamość jej rodzinnej krainy.

Plouaret – miejsce pochówku jej i rodziców: rodzinny grobowiec Duval-Olivier. Tabliczka z napisem po bretońsku i flagą: STOURM ARAN WAR EPO TACHEN. Co to znaczy? Walka o trwanie u siebie (na swojej ziemi)? Na krawędzi prawie niewidocznie: Angela Duval 1905–1981. Mało znana w Polsce karta z dziejów wielkich (kiedyś autonomicznych albo zupełnie niezależnych) regionów historycznych we Francji (Bretania, Baskowie, może i Burgundia), jak i tych późno zdobytych (Korsyka, Flandria, Alzacja).

Kawalkada jeźdźców – starszych osób na koniach zagubiła się i pyta nas o drogę. Jak zwykle bardzo uprzejmie. Sept-Saints – kaplica pod wezwaniem Siedmiu Świętych w malutkiej osadzie, w której mieszkają dwie osoby. Staruszka, dawna sklepowa (oberżystka?) oraz czerstwy osobnik, który powrócił na emeryturę w strony rodzinne z Paryża. Budująca legenda o męczennikach z III wieku z Efezu, wspomniana też w Koranie. Dlatego oprócz chrześcijan przybywają tutaj na odpust muzułmanie. Ponadto w to święto modlą się z nimi, lecz pozostając na zewnątrz, nigdy nie wchodząc do środka, ubrani w białe szaty celtyccy druidzi. Założenie kaplicy oraz kult śpiących i wskrzeszonych braci wiąże się ze wczesnośredniowiecznym handlem zamorskim. Początki kultu podobno przywieźli kupcy przejazdem z Grecji i Bliskiego Wschodu (nieдалekko znajdował się port handlowy w dzisiejszym Lan-nion). W I połowie III n.e. panował zły cesarz Decjusz, który prześladował chrześcijan w Bizancjum. W Efezie siedmiu braci sprzedało swoje dobra, rozdali wszystko biednym, uciekli przed prześladowaniem, chroniąc się w jaskini. Po prawie trzystu latach obudzili się, kiedy w rodzinnym Efezie zapanowała religia chrześcijańska. Uznano to za cud, a bracia zmarli w chwale świętości.

Zapaliłem wysoką i cienką świeczkę w intencji Anjeli, Wiktorii (mojej wiejskiej, mazowieckiej babci analfabетки, która zazdrościła „alfabetom” – jej szkolne lata to końcówka zaboru rosyjskiego, brak szkoły, I wojna światowa).

W skrzydle transeptu na podwyższeniu leży spory głaz, tak zwany dolmen. Kaplica postawiona została na czczonym przez miejscowych Celtów kamieniu. To dlatego i oni tutaj się gromadzą, pozdrawiając magiczne dla nich miejsce. W piwnicy kryta z przodkami, częściowo rozkradziona.

W Plouzunet pomnik Mar'chavit Fullup (1837–1909), ludowej pieśniarki (*gwerz, sônes*) i bajarki zwanej cykadą bretońską. Silnie wpłynęła na Anatole'a Le Braza (1859–1926), popularnego i zasłużonego barda oraz folklorystę.

Lanmeur (Lanneur po bretońsku lann-klasztor: dużo miasteczek i wsi o podobnym rdzeniu, np. Lannion) – już za granicami Côtes d'Armo. W kościele parafialnym krypta prawdziwie romańska z X wieku; ponoć pochowano w niej Méléra, którego wuj Rivod, po zabiciu swego ojca, króla Miliana (władcy Kornwalii albo Dommonée), okaleczył królewskiego syna (dlatego święty królewicz trzyma odciętą dłoń), a następnie go zamordował. Uznanych i ukoronowanych królów bretońskich było zaledwie dwóch: Erispoe (koronacja w 851 n.e.) i Salomon (857 n.e., morderca swego poprzednika i sam zamordowany z zemsty przez członków rodziny).

Ciemna i ponura krypta, przysadziste kolumny, świecimy sobie latarką, wzory roślinne na głowicach, pochylam się: w głębi statuetka świętego „królewicza” (panteon świętych bretońskich jest ogromny, większość nieznana w Rzymie i nieuczawana). U wejścia do krypty źródółko. Z okien auta widzę Kermitron, starodawne opactwo z kościołem romańsko-gotyckim. Wzbudza respekt. Wejście południowe z tympanonem i licem romańskim, na którym widnieje postać Chrystusa. Zamurowane okna.

Okolica intensywnie uprawiana, śmierdzi potężnie obornikiem – sadzą tu na potęgę karczochy na sprzedaż Anglikom i Paryżanom. Podstawa bogactwa, ale zaczął się kryzys z powodu konkurencji z naszej wschodniej Europy, która weszła do Unii. Chłopi są z tego niezadowoleni, naciskają urzędników i deputowanych, ich presja w rządzącej partii socjalistycznej jest realna i silna, potrafią być gwałtowni w swoich protestach (sam widziałem).

Rybolówstwo to nie była historyczna domena Bretończyków, którzy przybyli na Półwysep Armorykański (Bretoński) jako celtyccy Brytowie z historycznej Brytanii (teraz terytorium Walii i Anglii). Część tych schryścianizowanych od dawna uchodźców, uciekając przed nawałą germańskich i pogańskich Anglosasów i Duńczyków, dotarła aż do północnej Hiszpanii (Galicji). Rodowici Bretończycy to chłopci, rolnicy, a nie marynarze z powołania, chociaż z powodu biedy zmuszeni byli do pracy na morzu. Większość z nich nigdy nie nauczyła się pływać. W czasie sztormów ich małe kutry rybackie rozbijały się o przybrzeżne niebezpieczne, skaliste wybrzeża albo wypadali pijani i wyczerpani za burtę wielkich żaglowych szkunerów gdzieś tam, na sztormowych łowiskach u brzegów Kanady czy Grenlandii.

Cypel Pointe de Primel i Le Diben nad brzegiem La Manche, na północ od Morlaix – brązowe skałki, głazy, kamienie, bardzo rzeźbiarskie. Morze-ocean, kamienne wybrzeże. Patrzymy z góry na żywiol. Wiatr od łądu południowy. Robi się zimno, nakładam wełnianą czapkę. Obok nas kilka aut, czarnoskóra Bretonka przejeżdża na rowerze. Dziwne, zamglone światło słoneczne. Prawie horyzontalne. Po południe. Wrzosowiska, kolcolisty. Czarne wrono-gawrony (?), sroki, kosy, rudziki.

Saint Jean du Doigt i legendy: ostatnia księżniczka bretońska Anna Bretońska, która w wianie królowi francuskiemu wniosła Bretanię, miała dotrzeć ze swoim orszakiem w to miejsce i nie dalek, ponieważ wieziony ze czcigł. palec św. Jana

Chrzcziciela nie chciał dalej podążać. Inna powiada, że Anna przybyła do relikwii w celu uleczenia oka. Kolejna, że palec św. Jana Chrzcziciela dotarł tutaj cudownie z Normandii z pewnym Bretończykiem i kiedy ten w kapliczce modlił się, mając ze sobą tę relikwię, palec „sam schronił się” na ołtarzu, co spowodowało podjęcie decyzji o wybudowaniu kościoła w miejscu małej kaplicy.

Armand Robin słuchał w czasie wojny dla rządu Vichy, a potem dla samego siebie, sowieckich rozgłośni w celu uzyskania informacji innych niż niemieckie; po wojnie czynił to w celach zarobkowych, nasłuchując wielu zagranicznych stacji i prowadząc z tych nasłuchów specjalne noty. Wiedział, co to jest propaganda, ponieważ w 1934 roku był krótko w ZSRR (jak wielu komunistów lub sympatyków z Francji, np. André Gide czy Henri Barbusse) i powrócił rozczarowany. Jako syn chłopca bolał nad nędzą proletariuszy w Kraju Rad – Raju Krat. Znał 26 języków, w tym polski (tłumaczył Adama Mickiewicza). Przez lata żył w podwójnym świecie: tym z zagranicznych (głównie wschodnich aż po Chiny) nasłuchów oraz własnym, także bardzo wewnętrznym, dziwnym. Wyszukiwał z tej skomplikowanej materii radiowej prawdę o świecie, którą przekazywał m.in. przedstawicielom Watykanu. Był anarchistą, zmarł w niewytłumaczonych okolicznościach na paryskim komisarjacie. Wałęsał się dniami i nocami po ulicach, nie miał dokumentów, więc go zatrzymali do wyjaśnienia.

Autor genialnej *Czarnej krwi* (wydanie polskie dopiero w 1962), Louis Guilloux z Saint-Brieuc, ideowy socjalista (odwiedził z Gidem ZSRR i rozczarował się tak samo) pod koniec życia powrócił do chrześcijaństwa, a raczej do chrześcijańskiej lewicy. Komentarz Rogera Moizana: „Szedł [L.G. – uwaga K.B.] z wnuczką na targ po chleb i winogrona, zachodził do katedry, gdzie początek i koniec, siadali w ławce i zjadali to święte pożywienie, patrząc na witraże...”. Ja też do tej katedry zachodzę, kilka dni po śmierci matki siedziałem samotnie w jej zimnym, gotyckim, kamiennym środku i patrzyłem na witraże – nagle pojawiło się słońce i promyk ożywił czerwony kawałek szyby-lustra-uczucia.

Roger przestał utrzymywać kontakty z dobrym znajomym, kiedy ten w jego obecności wziął z kamienistej plaży (*grève*) pięknego otoczaka (*galef*): „W ten sposób za 10 lat nie będzie żadnego kamienia na wybrzeżu”... Nie powiedziałem, że ja kilka takich kamieni w ciągu tych kilku dobrych lat w plecaku zawiozłem na Warmię...

Zaczynam notować wiersze o Armorze (tutejszym Atlantyku i Pomorzu).

### Poranek w niedzielę, 12 XII

52 lata i kolejna rocznica urodzin obchodzona tutaj w Bretanii, a nie w domu w Olsztynie. Przed południem wyjeżdżamy do Morlaix we wczorajsze okolice. Niebo uwalnia się z chmur, jest prawie wiosennie. Roger opowiada o sobie, o zmarłej żonie, swojej operacji, przyjęciu zasad ezoterycznego chrześcijaństwa celtyckiego.

Powtórnie w Lanmeur-Kermitron. Duża kaplica wielkości kościoła – to Notre Dame de Kernitron, imponujący przedsionek romański z XII stulecia. Tympanon

z Chrystusem w mandorli starty przez erozję i przemijanie. W środku olśnienie: romańskie pilastry, rzeźby, reliefy. Na ścianach polichromia. Twarze i liście winogron – motywy dekoracyjne rzeźbione na wysokości kapiteli. Krzywe, poruszone kamienne luki. Trzy z początku XIX wieku wesoło wyglądające konfesjonały: niebieskie, zielone o dziwnych kształtach. Odsuwam zasłonę: zwykle krzesło z wyplatany, słomianym siedzeniem. Słońce silnie i ukośnie wpada przez okna transeptu na posadzkę i ścianę – mówi nam *Demat czy Bonjour?* Stawiamy i zapalamy dwie świece, moja zaczyna słabnąć, Roger chce pomóc, nie pozwalam, ale ruch dłoni pomaga i tak – płomyk odzyskuje siłę. W imię umarłych tutaj w Armoryce i tam, na mojej ziemi rodzinnej: Mazowsze (rodzice) i Warmia (ja i moje pokolenie Jałty–Poczdamu). Bretania staje się moją drugą małą ojczyzną. *Kenavo – Au revoir!*

Locquirec na granicy między Finistère a Côtes d'Armor – miasteczko nad La Manche. Kościół niewielki, zawiera obiekty religijnej sztuki regionalnej typu barokowego. Ołtarz *Notre Dame du Bon Secours*. Na drewnianych stropach transeptu oraz prezbiterium polichromia z początku XVIII wieku. Głównie główki aniołków: *CLERAIN FECIT 1712* („wykonał to Cleran”). Posadzka częściowo ze starych płytek. Bretania słynna jest z kalwarii: z przedstawienia na dziedzińcu świątyni Męki Pańskiej (na dziedzińcu chowano też zmarłych parafian). Niekiedy to cała prezentacja drogi krzyżowej z posągami i miejscem (kazalnica) dla proboszcza na kazanie na wolnym (co tu często znaczy: deszczowym) powietrzu. Całość tego kościelnego kręgu ze świątynią (kaplicą), kalwarią, bramą, kostnicą nazywa się *enclos paroissial*. Najbogatsze przedstawienia, liczące kilka dziesiątek, a nawet ponad setkę, posągów z Ewangelii znajdują się właśnie w wioskach i miasteczkach departamentu Finistère, na południe od Morlaix. Taka kamienna *biblia pauperum*, Budowano je najczęściej w okresie bretońskiej prosperity między XV a XVIII w., kiedy kwitła produkcja płótna (żaglowego) i rozwijał się międzynarodowy handel. Bretania gospodarczo podupadła po rewolucji w 1789 roku i w tej biedzie trwała właściwie, z niewielkimi zmianami powojennymi, do lat 50. i 60. XX wieku. Widziałem filmik, na którym pokazano, jak Bretonki dla niewielkich zapewne pieniędzy dają sobie ścinać piękne czarne włosy, które handlarze zawozili do Paryża na damskie, naturalne peruki. Wieśniaczki w czarnych strojach i bielutkich czepcach na głowach. Wieśniaczki albo robotnice w zakładach rybnych (układały niezbyt czystymi rękami złowione przez rodaków krewetki w konserwach).

Jedziemy wybrzeżem na wschód. Wsiadamy, spacerujemy plażą. Widzimy powolny powrót, przytył morza. Atlantyckie pływy morskie są ogromne i zadziwiające. Klify, kolcolisty, janowce (?), żółte kwiatki, małe zielonkawe ptaszki. La Pointe Corbeau. Plestin-les-Grèves. Le Yaudet – onegdaj zwiedzane w towarzystwie Tanguy Dohollau – nad estuarium rzeki Léguer. Starodawny port, osada celtycka, rzymska, a teraz kilka zaledwie granitowych domów. Najważniejsza jest kapliczka zbudowana w połowie XIX wieku na średniowiecznych fundamentach, której wewnątrz chroni bardzo rzadko przedstawianą scenę: Matka Boska z Jezusem u piersi (*Vierge Couchée allaitant l'Enfant Jésus*). Obok kobiecej postaci leżącej nad stołem ofiarnym tkwi zadowolony i poważny Bóg Ojciec, Boski Kochanek

Maryi. Niewykluczone, że w tym miejscu znajdowało się święte miejsce celtyckiej dziewicy-bogini – po zajęciu Armoryki Rzymianie postawili świątynkę ku czci bogini płodności Kybele (tak ją właśnie przedstawiano). Wyeksponowany przylądek wiatrów, widoków, wirujących fal morskich w estuarium oraz nakładania się kultur i wierzeń. Kefan Itron Maria ar Goz-Yeaudet. Zapalam świeczkę za jedno curo ku pamięci moich zmarłych kobiet – mamy i babć.

Tubylcy w kaloszach chodzą po brunatnych skałkach i głazach, zbierając małże, mięczaki i inne skorupiaki. Ja również lubię jeść owoce morza, a szczególnie świeże ostrygi. W lipcu i sierpniu kąpałem się w zimnym Atlantyku, chociaż bywały lata ciepłe, jak to w 2003 roku – jednak z powodu przemiennych zimno-ciepłych prądów, które znicznacka zaskakują pływaka, ucierpiał mój kręgosłup. W kałuży po odpływie, a jest ich немало w skalistych zagłębieniach, uchował się mały krab i bokiem sunie – dotykam go, wstrzymuje ruch. Wilgotny, zimnawy piasek. Jest ciepło, jakby wiosennie, przyjemnie, boczne światło dzienne.

Teraz do miasteczka Paimpol. Kiedyś wielkie znaczenie rybackie miał ten lokalny port; obecnie głównie rekreacyjne. Płyne się stąd na słynną wyspę Bréhat. Dostrzegam kilka kutrów rybackich. Bulwar, knajpki, turyści. Latem musi być tu tłok. Niedaleko stąd Roger ma swój domek na stoku klifu, który od lat remontuje (raz mnie tam zaprosił); podziwiamy zatokę i wracamy do Saint-Brieuc. Dochodzi godzina osiemnasta.

## Poniedziałek

W nocy sny pełne tęsknoty, pożądania. Poranek mam dla siebie, więc dłużej się gimnastykuję w sąsiednim pokoju. Tutaj na zachodzie później wstaje jasny dzień. Na ulicy, jak zwykle, pusto. Nikt nie chodzi, czasami pojawi się starsza kobieta z pieskiem (uważać na kupy!), czasami przejedzie auto, to wszystko. To ulica mieszczkańskich, stylowych i drogich kamienic z początku XX stulecia. Raczej rezydencjonalna. Boulevard Lamartine. Czterech robotników naprawia łupkowy, szary dach. Z kominów dymki. Są więc i mieszkańcy. Dużo okien pozamykanych drewnianymi okiennicami. Niedaleko stąd w mniejszym, ale też granitowym, domku z ogródkiem mieszkał najsłynniejszy pisarz i humanistyczny socjalista Louix Guilloux. Zainstalowano w nim małą rezydencję literacką. Blisko jest cmentarz, na którym spoczywa, niedaleko kilku żołnierskich grobów z I wojny światowej. Wśród pochowanych jest i ojciec Alberta Camusa, zmarły od ran w tutejszym szpitalu. Opowiada o tym niedokończona powieść autobiograficzna Camusa *Pierwszy człowiek*. Zresztą wybitna (wolę ją od *Upadku*). W ten sposób to prowincjonalne bretońskie Saint-Brieuc połączone zostało z wielką literaturą i jej postaciami: Camusa (przez ojca na cmentarzu, którego zresztą nie zapamiętał); Louisa Guilloux (zaprzyjaźnili się). Pojawił się i ten trzeci, który ich połączył na niwie literackiej i ideowej; pisarz i myśliciel Jean Grenier (1989–1971, uczył się w tym samym liceum, co Louis Guilloux, po studiach



został profesorem filozofii młodego Camusa w liceum w Algierze). W tym samym liceum wcześniej nauki pobierał słynny Alfred Jarry, ten od *Ubu króla*.

Przygotowuję sobie śniadanie – jest kuchenka elektryczna i lodówka. Kilka ważnych spotkań przede mną – między innymi przygotowuję wyjazd grupy szantowej z Olsztyna do Paimpol, wystawę fotograficzną o znanych Bretończykach (wybór zdjęć itp.)... Wracam z pracy po osiemnastej w wilgotnej i zimnej mgle. Taką ponurą pogodę trudno mi tu znieść – mglistą, wilgotną, wietrzną, wcale nie aż tak zimną, ale przesywającą mokrym chłodem. A domy tradycyjnie są z zimnego kamienia. Jak to ogrzać?

Mgła tak gęsta  
że widać fizyczny czas  
jak wzbija się zimnym morzem  
nad portem i ulicami.

Wieczorem lektura Kostasa Axelosa *Le jeu du monde*. Tworzy pojęcie *CELA* – TO. Czyżby Czesław Miłosz znał ten koncept filozoficzny? To 440 stron refleksji o świecie, o bycie: Najczęściej TO pozostaje nieokreślone, nieostre. Nie ma ani obecności, ani nieobecności. Jest tylko ich wymienna gra, w której pełnią funkcję znaków. Trzeba nam zbudować typologię „nie-miejsca” (*non-lieu*). To samo wcale nie jest tożsame z samym sobą. I to dla mnie ważne: „Jeśli człowiek stwarza swoich bogów, to bogowie też stwarzają w ten sposób człowieka”. Albo i to: „Cały świat jest wielkim pytaniem. Świat ten nie należy do nikogo”.

Zapisuję wiersze o Atlantyku. Może będzie cykl wierszy?

W nocy sny zmieszane z pisaniem wierszy, wodami życia i śmierci. Druga w nocy. Mgła w ataku.

## Wtorek

Rano – zawieszistej mgły dalsze oblężenie miasta. Ostatnie i podsumowujące pobyt przyjacielskie w tonie i rzeczowe w konkretach zebranie ze stowarzyszeniem Côtes d'Armor-Warmia i Mazury, które obecnie reprezentuje Marie-Jo Huguenin (emerytowana nauczycielka). Wcześniej przesował Albert Trevien, a pierwszym przewodniczącym, na przełomie lat 80. i 90., kiedy oficjalna współpraca dopiero się zaczynała, był Dominik Le Bailly (przewodniczący). Musiałem stworzyć podobne stowarzyszenie na bazie wcześniejszego, które zmarło śmiercią naturalną po osiągnięciu pierwszych, jakże ważnych celów (otwarcie za francuskie pieniądze Centrum Francusko-Polskiego Côtes d'Armor-Olsztyn w 1993 roku – taka była pierwsza nazwa naszej instytucji). We Francji pracuje wiele różnorodnych społecznych stowarzyszeń, łatwo je założyć, ale też prawdą jest, że wspierane są dotacjami z budżetu (np. samorządowego). Bretońskie stowarzyszenie wspiera dotacjami rada generalna departamentu, realizują razem wspólne projekty społeczno-oficjalne, natomiast partnerskie olsztyńskie stowarzyszenie pełni przy „moim” Centrum Polsko-Francuskim w zasadzie funkcje i role społeczno-międzyludzkie.

Wracając, spotkałem Rogera, zaczął mi po drodze o powiadać anegdotę o dziennikarzu, który – jak wielu innych intelektualistów lub studentów lat 60. i 70. we Francji, wtenczas poddanej buntowi młodego pokolenia, poważnie zmieniającemu scenę obyczajowo-polityczną kraju – był goszystą, trockistą, maoistą, zwolennikiem Pol Pota, a od lat 90. jest umiarkowanym w poglądach centrystą i burżujem. W tamtych latach zadawał sobie trud „wyszukiwania” szpiclów i prześladowców sprawy rewolucyjnej, chodząc po ulicach, rozglądając się pilnie, czyli inaczej mówiąc „ideologicznie węszył”, żeby potem w knajpach rozpowiadać co lewackimi oczami zauważył. „Typowe dla goszystów w liberalnej demokracji” – zakończył Roger. Przyjaźń została zerwana kłótnią o lokalnego pisarza, który właśnie zmarł, kiedy ujawniono jego postęпки z czasów II wojny światowej – wówczas zbliżył się do faszystujących nacjonalistów bretońskich. Roger uważa, że nikt od niego nie zna lepiej historii Bretanii, że wystrzeżga się nacjonalizmu, jest po prostu przekonany patriotą, potrafi wybaczać: Trzeba umieć krytykować, zostawiać miejsce na pojednanie, tym bardziej że historia Bretanii była taka skomplikowana...

Z tego wszystkiego po drodze w antykwariacie kupiłem *Grammaire bretonne* (szóste wydanie z 1970) Roparza Hamona, tego najsłynniejszego i mającego największe zasługi w odbudowywaniu języka bretońskiego i kultury bretońskiej w XX stuleciu nacjonalisty bretońskiego i kolaboranta (zmarł po wojnie na emigracji w Irlandii).

Po południu ostatnie zajęcie i moje ulubione – wybór i zakup książek i płyt do biblioteki Centrum Polsko-Francuskiego, dzięki funduszowi przyznanemu na wniosek Bernarda Plouzenneca, dyrektora biblioteki departamentalnej, której statutowa praca nie polega na prowadzeniu własnej wypożyczalni i czytelnii, ale na obsłudze sieci bibliotek gminnych: kupuje i dostarcza książki, płyty, filmy, organizuje ekspozycje, a nawet wydarzenia kulturalno-oświatowe.

Jest godzina osiemnasta i zapada zmierzch. Pojawia się rogalik księżycy. Ludzie wyszli na świąteczne zakupy. Na kolację jadę do Ewy Kubasiewicz i jej męża Yvesa Houé do Binic nad zatoką. Ewa wspomina swoją działalność w Solidarności, głównie przy boku Andrzeja Gwiazdy. Opowiada o Solidarności Walczącej Kornela Morawieckiego. O uwieżnieniu swoim i syna. Jest na emeryturze, ale intensywnie działa w naszym stowarzyszeniu, w Amnesty International, nie cierpi Lecha Wałęsy. Trochę się migam z ocenami. Jest pełna godnej podziwu i dobroczynnej energii. Dużo mi pomogła na początku mojej pracy.

## Środa, 15 XII

Wyjeżdżam TGV (większą prędkość ten pociąg osiąga dopiero od stacji Rennes) do Paryża. Mgła. Wagony pełne. Młodzi i starzy. Podobno wiele osób wsiada w Rennes i codziennie dojeżdża do pracy w stolicy (te około 300 kilometrów pociąg pokonuje w dwie godziny jazdy). Opłaca się kupować tańsze bilety z dużym wyprzedzeniem.

## 16 XII

Wczoraj wieczorem dojechałem do Robinson-Plessis do Zbyszka Żebrackiego i Lotus Goyon (wysiadłem na Gare de Montparnasse, gdzie od dziesięcioleci wysiadają Bretończycy w poszukiwaniu zatrudnienia; przesiadłem się na metro, a następnie na RER B: mam to opanowane). Dzisiaj osiem godzin w aucie ze Zbyszkiem na trasie Robinson-Montmorency-St Denis-Paris-Robinson. Straszny ruch samochodowy. Po drodze wypadek: zabita motocyklistka.

Cmentarz polski w Montmorency – w kolegiacie znaki polskie, pomniki nagrobne Niemcewicza, Kniaziewicza, obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, witraż... Szukamy długo w deszczu „swoich” grobów, po drodze mijamy mogiły gen. Kazimierza Sosnkowskiego, historyka Pobóg-Malinowskiego, rzeźbiarza Bolesława Biegasa, Aleksandra Wata... W końcu znajdujemy:

Bronisław  
Ginet-Pilsudzki  
21 X 1868–12 V 1918

Bronisław Piłsudski, brat Józefa, marszałka, twórcy niepodległości, rzucił się do Sekwany, Sybirak i naukowiec plemienia Ajnów – szalenie bogata i tragiczna postać wiele mnie interesująca. Ciemny, stary kamień grobowy.

Po latach ponownie w ciemnej katedrze Saint-Denis. Warto było. Chociaż zimno w środku (rwa kulszowa odezwała się natychmiast). W transepcie mauzoleum dwa rzeźbione grobowce królewskie Henryka II i Katarzyny Medycejskiej; drugi – w pozycji konania. Ich wielkie nagie stopy, które połaskotaliśmy. Białe i czerwony marmur. Z tyłu piękny grobowiec z białego marmuru króla Ludwika XII i Anny Bretonki, która w wianie wniosła Francji Bretanię. Też konających. Postacie wyolbrzymione. Na „dachu” marmurowego sklepienia grobowca ich sylwetki klęczą w modlitwie. Króla twarz nieco zmartwiona i zwyczajna. Reliefy z kampanii włoskiej. Sztuka porażająca swoim czystym mistrzostwem. W katedrze na Wawelu znajdują się grobowce królewskie, w tym genialny sarkofag Kazimierza Jagiellończyka autorstwa Wita Stwosza. Ciekawy kontrast – bazylika-mauzoleum białego królestwa Francji, a na zewnątrz sami czarnoskórzy mieszkańcy.

Powrót, francuskie *dîner* po godzinie dwudziestej z dużą ilością wina, rozmowy w kuchni o Francji i Polsce, kapitalizmie i socjalizmie. Lotus jest lewicowa w stylu bardzo francuskim, taka zmysłowa i ceniąca dobre życie goszystka. Zbyszek, świetny artysta grafik, emigrant z PRL-też lewituje i lewicuje, bo inaczej by w dyskusjach z inteligentną i błyskotliwą, a mu pyskującą Lotus przegrał. Zresztą Francji zawdzięcza rozum i zdrowie, bo w Polsce chlałby wódę z nieszczęśliwymi artystami, a tutaj smakuje sobie spokojnie wino, już nawet nie z artystami, ale po prostu do obiadu.

Grobowce Franciszka I oraz małżonki Claude de France, córki Ludwika XII i Anny. Anne de Bretagne jako pierwsza kobieta koronowana została w bazylice

w 1492 roku. Właściwie to jej córka Claude „wcieliła” Bretanię do królestwa francuskiego. Katarzyna Medycejska do Francji wniosła smak i zbytek starych, wielkich Włoch – to opinia Lotus. To kraj bogatej kultury życia codziennego i świątecznego. Sam Franciszek I to król wojownik, zwycięzca w Italii, ale i władca renesansowy o wielkim rozmachu cywilizacyjnym. Kuchnia włoska jest lepsza i bardziej urozmaicona od francuskiej, w sumie kuchnia śródziemnomorska jest idealna – Lotus wie, co mówi. Królowa Bona Sforza również wzbogaciła polską kuchnię i kulturę warzywami i przysmakami włoskimi. Genialna epoka renesansu XVI stulecia – epoka prawdziwej wielkości I Rzeczypospolitej (szybko zaprzepaszczonej). Gaszę światło. Jestem lekko pijany. Zmoczone znicze na Montmorency. Na polskich grobach wygnańców.

### Piątek

Dochodzi północ, relacjonuję dwie wystawy w Grand Palais. *Turner, Whistler, Monet* – genialne akwarele Turnera z wypraw do Francji i Włoch, niektóre prawie abstrakcyjne z magicznym słońcem, wodą, barwną kurzawą. Whistler „muzyczny” (przypomniały mi się „symfonie plastyczne” litewsko-polskiego Čiurlionisa). Moneta seria obrazów angielskich z wedutami parlamentu, Tamizy, istne cudo! Cézanne, nowoczesny klasyk, to jednak mistrz odbudowy przestrzennego znaku malarskiego. *Monde flottant* – grafika japońska z XVIII stulecia i malarstwo na jedwabiu: sceny frywolne, erotyczne, dworskie, zajęcia i rola kobiet, gejsze – smakowanie egzotyki.

Ulewa, wichura nad Paryżem, porywy wiatru do stu kilometrów na godzinę. W telewizji podają o ofiarach śmiertelnych. My jakoś tu i tam ze Zbyszkim sobie pojeździliśmy niebieskim samochodzikiem i na *dîner* (obiadokolację) dotarliśmy. Rozmawiamy o stosunkach damsko-męskich w Polsce i we Francji. Wolność obyczajowa i tym podobne a rola Kościoła katolickiego w Polsce – Lotus jest wstrząśnięta jego autorytaryzmem.. Tajemnicą poliszynela jest jednak dużo przemocy we francuskich rodzinach – i to wcale nie tylko z marginesu albo z muzułmańskich przedmieść...

Sobota, piękna pogoda, spacerkiem po Dzielnicy Łacińskiej, głównie po księgarniach, przysiadając tu i ówdzie, bo rwa kulszowa dzisiaj ostro daje. Randka literacka z Fryderyką Laurent, której przedstawiam propozycje wierszy moich i znajomych z Warmii i Mazur do przetłumaczenia. Jestem jej wdzięczny za takie autentyczne zainteresowanie naszą Atlantydą Północy. Późnym popołudniem wraca deszcz i ja powracam także. Kolejka B na stacji Saint-Michel.

Kolacja, rozmowy przy telewizorze, wino i w nocy dużo snów o zagrożeniu – goniące lisy, polujące wilki, zbliżają się do mnie leżącego na ziemi (pyski otwarte, oczy gorejące), nadjeżdża w pędzie ciężarówka, hamuje, wypada z niej facet, rzuca się na ziemię, pojawiają się moi dwaj synowie, mężczyzna ma broń i wymierza w stronę sfory? Pojawia się młoda kobieta, wyciąga rękę, chwyta moją, spływa z niej

spokój, czułość, bezpieczeństwo. Podteksty erotyczno-chtoniczne, gra pierwiastków męsko-żeńskich...

### **Niedziela, 19 XII**

Poranek w deszczu, jedziemy w południe prawie opustoszałymi ulicami do kina Grand Pavois w 15. dzielnicy na nagrodzony w Cannes film *Chihwaseon* (2002) południowokoreańskiego reżysera Im Kwon-taeka o XIX-wiecznym malarzu. Dzieło wybitne, końcowa scena do zapamiętania – zmęczony życiem, chory na zapalenie płuc genialny i nieprzystosowany malarz wchodzi do płonącego pieca, w którym wypalają się wazy z jego ostatnimi malunkami.

Potem do Luwru na wystawę, żeby podziwiać gobeliny arrasy, np. dziesięć arrasów wykonanych w Brukseli w latach 1531–1533: *tapisseries*, np. cudowny *Le mois de décembre* – polowanie na dzika w lesie, gęsty, zielony bluszcz na drzewie, a na nim (na buku?) siedzi duża wrona, powyżej wiewiórka i inne ptaszki... Pan Maksymilian w czerwonym kubraku i berecie zamienia się w potężnego dzika, którego obskakują myśliwskie psy; powyżej inne sceny z polowania, przyjemna przyroda... Inne gobeliny z Flandrii – Brugia, Bruksela z XV i XVI wieku. Ile tego oni tutaj mają, u nas kilka sprowadzonych i zachowanych sztuk z XVI stulecia to i arcydzieło, i rarytas...W księgarni muzeum dużo przeglądania i podziwiania. Spacer po bulwarze Saint-Michel. Księżyc. Chłodniej. Bukiniści nad Sekwaną zamykają stragany. Nie ma tłoku, ale odróżniają się Paryżanie od turystów (Azjatów i Amerykanów). Kuleję. Rozmowa przy stole o filmie, o tej ostatniej scenie w piecu odlewniczym. Spełnienie-poświęcenie, ale i coś potwornego, dzikiego, pierwotnego. Życie i sztuka splecione ogniem. I krajobrazy. To taki południowokoreański Rublow. Towarzyszy nam wnuczka Lotus urody kreolskiej.

### **Poniedziałek, 20 XII**

O godz. 10.15 na lotnisku Paris-Roissy. Słońce i przymrozek. Słońce z tyłu samolotu rzucało ognistą obręcz na chmury, a na niej pojawiał i znikał cień samolotu. Niezwykłe wrażenie. Powrót wieczornym pociągami do Olsztyna.

Kazimierz Brakoniecki

Jerzy Bartonezz

## SMAK WIERSZA EWY FILIPCZUK

Byłem tam w sierpniu  
a niebo jak ostryga  
i nóż był pod ręką  
czułem sól i cytrynę

„Patrzę tam i wiem wszystko  
że później upadnę  
że ojciec będzie milczał  
że nadejdzie noc”

Czytam jego list i wiem  
że teraz upadnę  
że mnie wydziedziczył  
i nazwał alkoholikiem

Czuję nic  
nic się nie zmieni  
Newton się mylił  
daleko pada jabłko od jabłoni

Hölderlin miał rację –  
każdemu własne jest sądzone  
i każdy dojdzie dokąd zdoła  
Nicht wahr?

Atak w Halifaxie, litry nitro  
angiogram, dwa stenty  
dalej nic, jak zawsze  
wieńca się nie wybiera.

## OSOBOWY PRZEMYSŁ–SZCZECIN

w moim przedziale wszyscy trzej  
czekają na okazję  
by opowiedzieć historię swego pecha  
„wylać się” – jak z termosu, letnia kawa Turek

więc potakują, czekając tylko  
by się zrewanżować – dojść do słowa  
w nerwowy sposób obierając jajko  
w odcieniu denaturatu

ten pociąg pospiesznych relacji  
Przemysł–Szczecin *via* Wrocław  
bez miejscówek  
na bocznicach bez erekcji  
wyczekuje na węglarki z koksem

w spoconym przedziale drugiej klasy  
lubiłem patrzeć na studentki –  
ich *quasi* erotyczny sposób  
palenia długich amerykańskich papierosów

w moim przedziale wszyscy trzej  
czekają na okazję  
by opowiedzieć historię swego pecha

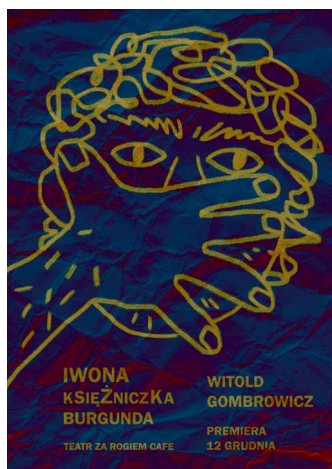
## KLASYKA

stoisz jak grecki posąg  
jak alabastrowa bogini  
chłodna jak mosiądz  
bez skruchy i bez winy

stoję obok zmartwiony  
nadmiarem mikropęknięć  
nie wiem jak się odezwać  
co robić nie mam pojęcia  
czas – nie mija  
miejsce – to samo  
imiona – pomijam  
klasyczny dramat

czy jest jakaś recepta  
na pasywną agresję w depresji  
na pozbawione powietrza serce?  
Może Ty wiesz coś w tej kwestii?

Jerzy Bartonezz



Alicja Piwońska



## Marek Pogorzelski

### UPADEK

Opuszczali budynek niewielkimi grupami. Gospodyni – Bożena, kobieta tak wiekowa, jak jej imię – nie chciała, by robić na ulicy zamieszanie. Dlatego nikt nie przyjechał przed bramę samochodem. Robert i Anna wyszli z Julią jako jedni z pierwszych. Nie było to trudne. Zawsze po mszy niemal wszyscy chcieli zamienić parę słów z Piotrem. Oni ograniczali się do kiwnięcia głową, uśmiechu, czasem kurtuazyjnego uścisku dłoni. Po opuszczeniu posesji od razu weszli do rozciągającego się po drugiej stronie ulicy parku, dołączając do licznych w to niedzielne popołudnie spacerowiczów.

Zima skończyła się w połowie kwietnia. Jeszcze tydzień wcześniej na ulicach leżał brudny, nadtopiony śnieg. Dziś nie było po nim śladu. Zegarek wskazywał 23 stopnie, jednak Robert czuł, że w pełnym słońcu temperatura sięga niemal 30. Pomyślał o kremie. Wciąż smarował się tym zimowym przeciw wysuszeniu i odmrożeniom. Pora zmienić na letni – z filtrem UV. Regularnie szczepił się na raka, był jednak dumny z jasności swojej cery i chciał ją zachować.

Anna była w złym nastroju, co stało się już normą. Robert zdążył się do tego przyzwyczaić. Partnerka trudno znosiła wolne niedziele. Tworzyli rodzinę, kochali się, jednak dzień pozbawiony wyzwań zawodowych oboje uznawali za bezproduktywny. Takie były jednak, niestety, zalecenia korporacyjne, a nawet obowiązujące prawo – jeden dzień w tygodniu trzeba spędzić z rodziną, wychowując kolejne pokolenie Europejczyków.

Robert też czuł się nieswojo. Nie potrafił nigdy zrozumieć autorów starych tekstów kultury opisujących oczekiwanie na odpoczynek. A już zwłaszcza lewicowych ekstremistów, którzy wymyślili ośmiogodzinny dzień pracy, a potem zrobili dwa dni wolnego w każdym tygodniu! Szczęśliwie po ponad stu latach tendencja się odwróciła. Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych uznało spełnianie ambicji zawodowych za podstawowe prawo człowieka, co wielu komentatorów nazwało pierwszą istotną decyzją w dziejach organizacji. Pociągnęła ona za sobą wydłużenie dnia i całego tygodnia pracy na całym świecie. Tylko kilka ekstremistycznych demokracji, przede wszystkim w Skandynawii, nie zastosowało się do decyzji, ściągając na siebie i swoich obywateli drastyczne sankcje, z blokadą mediów społecznościowych włącznie.

Obserwował Julię. Dziecko zdawało się nie przejmować zupełnie niczym. Ani dniem z rodzicami – w odróżnieniu od większości przedstawicieli swojego pokolenia nie miała z tym problemów – ani ich złym nastrojem. Julia chwyciła jakiś patyk i to się nim podpierała, to uderzała o ziemię, o drzewa czy mijane krzaki. Za każdym razem przykładała do tej bezsensownej czynności bardzo dużo uwagi. Zupełnie jakby miała ona jakieś znaczenie.

[...]

Obiad poprawił im nastrój. Atmosferę rozluźniła rozmowa o pracy. Anna skupiała się nad implementacją na rynek europejski opracowanej w Beijing strategii sprzedaży wycieczek do Japonii. W kraju niedawno wybuchła wojna domowa i biura podróży – jak zwykle w takich przypadkach – ściagały się o żadnych ekstremalnych wrażeń turystów. Pokrótce opisała Robertowi, co Chińczycy wprowadzają na swoim rynku.

– Sam bym chętnie pojechał – podsumował, gdy skończyła.

– No właśnie. To uniwersalna strategia, która powinna mieć zasięg globalny. Ale model funkcjonowania ExtremeRest zakłada lokalizację geograficzną wszystkich działań marketingowych. Muszę więc wprowadzić zmiany.

– Jakie? – zapytał, by podtrzymać rozmowę, która wreszcie nabrała tempa.

– W tym rzecz. Nie mam pojęcia. Jeśli zmiany za daleko pójdą, wywrócą strategię i nie zrealizujemy targetu. Ale muszą być też na tyle znaczące, żeby... – Podniosła do ust kieliszek z bezalkoholowym Porto szukając odpowiedniego słowa.

– Żeby Bejing zauważył wasz wysiłek – dopowiedział za nią. Kivnęła głową.

– Zleciłam badania. Potem będę przerabiał. Choć wszystkie zasoby, media, budżet, mam pod strategię chińską. Wymyślę coś. Najgorsze, że jest mało czasu.

Oboje wiedzieli, z czego to wynika. Media donosiły co jakiś czas o możliwych rozmowach pokojowych. Samo ich podjęcie było wysokim ryzykiem dla projektu, a ich powodzenie pogrzebałoby jego sens.

Praca Roberta była co najmniej równie ciekawa, szczególnie musiał jednak trzymać w tajemnicy. Anna wiedziała jedynie, że pracuje w Biurze Ochrony Kapitału. Nie dopytywała więc, czerpiąc ze swojego życia zawodowego wystarczająco dużo wrażeń.

Biuro Ochrony Kapitału utworzono kilka lat po koronawirusie, w czasie szalejącego kryzysu. Dokładna data jego powołania jest tajna, przez

kilka pierwszych lat o jego istnieniu wiedzieli tylko ci, którzy zdecydowali o jego powstaniu oraz pracownicy. Dopiero w połowie lat trzydziestych, gdy media społecznościowe na poważnie zabrały się za weryfikowanie miejsc pracy użytkowników, okazało się, że taka instytucja istnieje i zatrudnia całkiem sporo osób. Niewielu wiedziało jednak, czym się zajmują.

Biuro chroniło menedżerów i właścicieli firm, najważniejsze osoby w strukturze ekonomicznej Systemu. Dbało o ich bezpieczeństwo fizyczne i kontrwywiadowcze, ale również śledziło stan zdrowia, dietę, aktywność oraz życie prywatne. W razie stwierdzenia zagrożeń dla prawidłowego funkcjonowania zawodowego obserwowanej osoby – interweniowało.

Robert pełnił funkcję Senior Analyst. Zadaniem jego i kilkudziesięciu innych analityków zatrudnionych w Sekcji Polski Północnej i Kaliningradu było analizowanie zachowań i postaw podopiecznych BOK tak, by zawczasu wykrywać i eliminować przypadki potencjalnie zagrażające Systemowi. W praktyce praca sprowadzała się do wyłapywania ze wszystkich dostępnych źródeł (raporty agentów, monitoring wizualny, skrzynki pocztowe i społecznościowe figurantów, podsłuchy, badania lekarskie) ponadnormatywnych zachowań i cech oraz uzupełnianie o nie profilu osobowego. Rolą analityka było też określenie granicy, po której przekroczeniu figurant był eliminowany, co sprowadzało się do degradacji na nieznaczące stanowisko i radykalnej zmiany środowiska.

Podobnie jak Robert, wszyscy figuranci byli native'ami. Wychowywani od najmłodszych lat w angielskojęzycznym środowisku przy permanentnej immersji językowej, stanowili elitę gospodarczą. Wiązało się to z przywilejami materialnymi i władzą, ale też bardzo dużą odpowiedzialnością. Przekroczenie limitu cech ponadnormatywnych mogło więc oznaczać zagrożenie dla całego Systemu. Takie podejrzenie eliminowało figuranta z grupy native'ów, degradując go do roli zwykłych ludzi, people'ów.

Praca wymagała dużego zaangażowania, ogromnej wiedzy o ludziach, ale przede wszystkim intuicji. Nadmierna lub niedostateczna liczba romansów, skłonności do uzależnień, oryginalne gusta artystyczne, dziwny styl ubierania się, nietypowe hobby, problemy z prostatą czy religijność – same w sobie były nieszkodliwe, jednak w pewnych konfiguracjach stanowiły potencjalne zagrożenie dla Systemu, dodatkowo potęgowane stanowiskiem native'a.

Robert opiekował się trzydziestoma sześcioma figurantami – trzema klasy A, sześcioma klasy B, dziewięcioma klasy C i osiemnastoma standardowymi. Podział na klasy ułatwiał szacowanie ryzyka i zarządzanie analizą. Najwięcej uwagi i zasobów analitycy poświęcali klasie A, a kolejnym klasom proporcjonalnie mniej. Wśród figurantów Roberta w klasie A było

dwóch europejskich menedżerów globalnych spółek – jeden z branży IT, drugi healthcare – a także jeden z najbogatszych Europejczyków (druga dziesiątka), właściciel największego na kontynencie koncernu bezalkoholowego. Wbrew pozorom praca była spokojna. Od dawna żaden z podopiecznych nie zbliżył się do granicy zagrożenia. Wszyscy wiedli fascynujące, nieodbiegające od norm życia. Czujność była jednak niezbędna, dlatego Robert metodycznie analizował wszelkie dostępne dane.

Po dwunastu godzinach pracy i zajęciach dodatkowych (sesja Co-unter Strike we wtorki, siłownia w czwartki i coaching mentalny w piątki) nie było wiele czasu na życie rodzinne. Robert odbierał Julię z przedszkola (o tej porze dzieci już śpią, wywozi się je do samochodu na specjalnych wózkach) i jechał do domu. We środy i soboty zgodnie z zaleceniami GlobalHealth uprawiali z Anną seks, o czym zawsze przypominała aplikacja. W pozostałe dni do odstresowania wystarczyły domowe gry wideo.

Przez weekend nie zdarzyło się nic szczególnego. Pierwszą czynnością Roberta po przyjeździe do pracy było przejrzanie raportów z nocy, a w każdy poniedziałek także z całej wolnej niedzieli. Wyglądały standardowo. Kilku figurantów odwiedziło rodzinę – zwykle własnych rodziców lub dzieci, kilku odpoczywało, większość jednak omijała zalecenia GlobalHealth i w tajemnicy pracowała w domu. Robert skrupulatnie odnotowywał tę cechę ponadnormatywną z pełną świadomością, że nie ma ona niemal żadnego znaczenia. Było też kilka przypadków szczególnych – jeden figurant był w teatrze, dwóch czytało powieści, a jeden w sobotę wieczorem pojechał do miejscowości Elk i tam w niedzielę trafił do lekarza. Robert odnotował, że po meetingach należy sprawdzić ten przypadek.

Pracy było mało. Meetingi – kolejno: raport globalny, odprawa sekcji, konsultacje kluczowych przypadków (Robert takich nie miał, ale chętnie pomagał kolegom) – zakończyły się już po siedemnastej. Robert raz jeszcze przejrzał raporty. Nadeszły wyniki badania moczu jednego z figurantów klasy A, prezesa z branży healthcare. Wszystko w normie, jednak kilka pozycji wykroczało poza znacznie ostrzejszą normę BOK. Robertowi te dane niewiele mówiły, mogły jednak oznaczać realne zagrożenie, zamówił więc interpretację w dziale medycznym.

Otworzył monitoring wizyjny i po kolei sprawdzał, co robią figuranci. Na ekranie wyświetlał się widok z kamery, aktualny podgląd ekranu personalnego figuranta, lista wiadomości i połączeń głosowych. Nic szczególnego. Pracowali. Większość o tak wczesnej porze – nie minęła jeszcze osiemnasta – była w swoich biurach, kilku na spotkaniach, dwóch na lunchu, jeden w toalecie, a jeden szedł korytarzem, lekko utykając.

Robert zatrzymał się na nim. To figurant klasy B o tickerze CE-O96215FBC@, prezes FB Corp., firmy produkującej mrożone pieczywo. Ten sam, który dzień wcześniej miał wizytę u lekarza w Elku. Analityk przyjrzał się obrazowi na ekranie. Figurant ewidentnie utykał. Lekko, ale jednak. Wcześniej Robert tego nie zauważył.

Zalogował się do systemu medycznego i odnalazł wizytę u lekarza w Elku. Niektóre lokalne systemy wciąż nie uwzględniały przeprowadzonego niemal dziesięć lat wcześniej upgrade'u języka eliminującego wszelkie znaki diakrytyczne. Miało to między innymi ułatwić wyszukiwanie, skutek często był jednak odwrotny. Pod adresem „Elk” nic nie znalazł. Dopiero dawna nazwa – Elk – dała pożądane wyniki. Dokumentacja pacjenta była wyjątkowo uboga, prowadzona według dawnych standardów, obejmujących jedynie kwestie medyczne, lekceważących bezpieczeństwo Systemu. Robert zanotował w pamięci, że należy to zgłosić.

„Pacjent skarży się na ból prawej stopy po urazie przy wstawaniu z łóżka. Podejrzanie skręcenia. Wykluczono złamanie” – opis był wręcz skandalicznie lakoniczny. Dalej następowały absurdalne zalecenia z poprzedniej epoki, takie jak oszczędny tryb życia, nieforsowanie nogi, odpoczynek etc.

Robert westchnął. „Wiem, że nic nie wiem” – zacytował w myślach żartobliwą sentencję. Niedzielny wyjazd poza miasto w przypadku figurantów klasy B oznaczał zdjęcie z całodobowego monitoringu. Jediną szansą w takich sytuacjach były kamery w miejscu pobytu, jednak nie wszystkie hotele je miały. Wciąż nie wprowadzono takiego obowiązku. Nawet jeśli monitoring hotelowy obejmował pokoje, rzadko było to widoczne w systemie. Robert bez większych nadziei sprawdził rezerwację i nazwę hotelu, po czym przekleił kod do wyszukiwarki. Monitoring był! Analityk szybko znalazł właściwy pokój.

Jedyna kamera swoim zasięgiem obejmowała dużą część pomieszczenia z wyłączeniem łazienki. Najważniejsze było łóżko. W tym momencie zajęte przez dwie zwinne, prawdopodobnie młode osoby. Zgodnie z regulaminem BOK Robert powinien unikać takich przypadkowych widoków, cofnął więc nagranie do niedzielnego poranka. Jakość była bardzo słaba. Robert nałożył kilka filtrów i wygładził obraz. Dało to tylko tyle, że widoczna była sama sylwetka figuranta.

Mężczyzna obudził się wcześniej. Czas nagrania wskazywał 6:23. Wstał, po czym od razu stracił równowagę i przewrócił się na podłogę. Leżał przez kilka sekund, po czym podniósł się i mocno kulejąc, wyszedł z kadru, prawdopodobnie do łazienki. Wrócił po kilku minutach, wciąż utykając, jednak już nieco mniej. Robert przyspieszył obraz. Figurant kręcił

się po pokoju jeszcze ponad dwie godziny. O 8:58 był spakowany i kulejąc, opuścił pokój.

Analitik cofnął nagranie do momentu wstawania z łóżka i upadku. Widział tylko sylwetkę, w jej ruchach było coś dziwnego, niezdarnego. Proces wstawania poprzedziła chwila wiercenia się, przekładania na łóżku, potem nienaturalne zgięcie, wyprostowanie i wreszcie – upadek.

[...]

W kolejnych dniach wypadek prezesa FB Corp. nie dawał Robertowi spokoju. Nie miał jednak czasu zajmować się tym w godzinach pracy. Wysłał tylko zlecenie analizy stanu zdrowia figuranta. Badanie błędnika nie wykazało nic niepokojącego, poza potwierdzeniem skręcenia nogi w kostce pozostałe wyniki również nie przyniosły żadnych interesujących informacji. Robert podświadomie wracał do tematu w samochodzie, na siłowni, przed zaśnięciem. Zaplątał się w pościel? Uraz był wcześniejszy, a upadek to efekt niezdarności związanej z unikaniem narażenia na ból? Poranna masturbacja? Do głowy przychodziły mu różne opcje. Postanowił, że w wolnej chwili jeszcze raz przeanalizuje temat.

Taki dzień nadszedł w czwartek. Meetingi zajęły zaledwie cztery godziny, w życiu figurantów nie wydarzało się nic szczególnego, wyniki raportów również nie wskazywały na cokolwiek niepokojącego. Robert odkopał się z zalegającej przez kilka dni papierkowej roboty. Rozliczył budżet za poprzedni miesiąc i z ulgą odebrał potwierdzenie wyjazdowego szkolenia w pierwszym tygodniu czerwca.

To była świetna wiadomość. Co roku zostawiali Julię na tydzień w przedszkolu i starali się wymyślić w tym czasie pilne i z pozorów niezależne od nich wyjazdy służbowe. Napisał wiadomość do partnerki. Odesłała emotikonę z uśmiechniętym jajkiem. Żadne z nich nie wiedziało, co ona oznacza, i czym się różni od uśmiechniętego drzewa, psa, penisa, czy ciastka. Ważne, że przoduje w trendach, więc wypadało jej używać.

Delegacja Anny nie była jeszcze potwierdzona. Kobieta wahała się między wycieczką do ogarniętej wojną Japonii – wyjazd przyjemny, lecz bezproduktywny – a szkoleniem z technik sprzedaży neurologicznej (level IV) w Beijing. Druga opcja oznaczała nudne i również bezproduktywne powtarzanie wyuczonych schematów, a jedyne, co dawała, to kolejny certyfikat. Wszystko było jednak lepsze od przebywania w tym czasie w domu razem z Piotrem. Anna skłaniała się ku szkoleniu. Certyfikat i tak należało wcześniej czy później zdobyć.

W przypadku Roberta zorganizowanie delegacji było znacznie bardziej skomplikowane. Pracował głównie stacjonarnie. Dostanie się na szkolenie, zwłaszcza wyjazdowe, w instytucji publicznej, jaką był BOK, nie

było takie proste. Robert był zaliczany do drugiej ścieżki awansu – nie najszybszej i nie najwolniejszej. Oznaczało to również drugą kolejność przy przydzielaniu szkoleń i kursów – dawało się na nie zapisać, jednak było to trudne i wymagało nieco szczęścia.

Tym bardziej cieszył się, że kolejny rok z rzędu się udało.

Po siedemnastej postanowił wrócić do tematu upadku figuranta. Ponownie odszukał nagranie i kilkakrotnie obejrzał je uważnie, również w zwolnionym tempie. Przejrzał też pliki z soboty – nic nie wskazywało na to, że przed upadkiem prezes FB Corp. odczuwał uraz lub dyskomfort, który mógłby spowodować niekonwencjonalny sposób wstawania.

Po trzydziestu minutach analityk wyeliminował swoje dotychczasowe przypuszczenia, ani trochę nie zbliżając się, a wręcz oddalając od zrozumienia tego, co wydarzyło się w niedzielny poranek w Elku. Brak wyjaśnienia na pozór błażej tajemnicy tym bardziej intrygował. Robert po latach pracy wiedział, że podstawą jest pełne zrozumienie przyczyn objawu. Dopiero wtedy można w należyty sposób ocenić jego wagę.

Przełączył monitoring na podgląd figuranta. Mężczyzna był w swoim gabinecie i rozmawiał z kimś przez połączenie głosowe. Robert włączył dźwięk i posłuchał chwilę. Temat optymalizacji procesu dostaw – z perspektywy BOK nicistoty. W zamyśleniu zaczął przeglądać widok z pozostałych kamer przypisanych do prezesa FB Corp. Kilka z biura, pozostałe pokazywały puste wnętrza apartamentu, który zajmował on wraz z partnerką – hall, kuchnię, salon, gabinety, łazienki, sypialnię.

Robert zatrzymał się na ostatnim widoku. Obszerny pokój urzędowy w modnym, ascetycznym stylu. Jedyne pojedyncze elementy – zasłony w oknach, kilka poduszek i beżowy fotel – nadawały mu ciepły, nawet nieco staromodny charakter. Robert wiedział, że pomoc domowa przychodzi do nich jedynie w poniedziałki, środy i piątki, mimo to w czwartkowy wieczór w pokoju i na samym łóżku panował nieskazitelny porządek.

Prezes FB Corp. i jego partnerka mieli niehigieniczny i coraz rzadszy wśród innych par zwyczaj sypiania w jednym łóżku. W gronie przydzielonych Robertowi figurantów były poza nimi jedynie dwie takie osoby – menedżer wodociągów tuż przed emeryturą, który spał z żoną, oraz młody prawnik. W tym ostatnim wypadku wynikało jednak ze względów praktycznych. Figurant bardzo często zmieniał partnerki, a z aktualnymi współżył po kilka razy na dobę. W tej sytuacji jedna sypialnia była dobrym przykładem optymalizacji codziennego życia.

Roberta kiedyś zastanawiało, co decyduje o tym, który z partnerów śpi po której stronie łóżka. Wśród obserwowanych par zauważył pod tym względem daleko posuniętą regularność. Dyrektor wodociągów zawsze spał

po lewej, bliżej okna. Również po lewej stronie, za to dalej od okna, spał młody prawnik. Jego partnerki musiały wybrać prawą stronę, niezależnie od swoich preferencji. Dalej od okna, ale po prawej stronie, spał obserwowany prezes FB Corp.

Analitik przejrzał nagrania z momentu wstawiania z łóżka figuranta z ostatnich tygodni. W żadnym wypadku nie dopatrzył się niczego szczególnego. W ostatnich dniach widać było pewną niezręczność w związku z urazem nogi, jednak poza tym wszystko przebiegało normalnie. Figurant wstawał i szedł do łazienki. Codziennie. Bez żadnych przygód.

Wrócił do nagrania z hotelu. Pokój był z grubsza podobny do sypialni figuranta. Zarówno pod względem urządzenia, jak i wystroju stanowił jej lustrzane odbicie.

Robert cofnął obraz.

Niedzielnny poranek, obrót, upadek.

Zatrzymał. Przełączył na obraz z soboty, z sypialni figuranta.

Figurant wstał.

Robert wrócił do obrazu z pokoju hotelowego.

Obrót, upadek.

Cofnął.

Obrót.

A potem upadek.

A może... – teoria, która przyszła do głowy Robertowi, wydawała się nieprawdopodobna. Próba jej udowodnienia nie była jednak trudna.

Otworzył kalendarz figuranta i przejrzał ostatnie delegacje z noclegami. Kaliningrad, środa w zeszłym tygodniu. Odnalazł hotel i sprawdził monitoring. Spóźnił się, obraz z kamer przechowywany był tylko tydzień. Szukał dalej. Wrocław, dwa tygodnie wcześniej. Obraz z kamery jest. Tylko pokój nie jest taki, jak powinien. Dla pewności Robert przejrzał zapis z poranka. Figurant po prostu wstał i udał się do łazienki.

To potwierdzało podejrzenie. Ale nie dawało ostatecznego dowodu.

Minęła dwunasta godzina pracy. Robert wciąż szukał, chociaż im bardziej cofał się w czasie, tym mniejsze były szanse na znalezienie potwierdzającego nagrania. Figurant miał kilka stałych kierunków delegacji i ulubione hotele, z których zawsze korzystał. Nie prowadziły one monitoring wszystkich pokoiów, a te, które to robiły, nie przechowywały nagrań tak długo. Po przekroczeniu w wyszukiwarce dwunastu miesięcy wstecz Robert stracił już nadzieję. Wiedziony poczuciem obowiązku postanowił jednak szukać dalej.

[...]



Julia spała kamiennym snem. Przejazd z przedszkola do domu i przełożenie z mobilnej leżanki do łóżka nie obudziły jej. Mężczyzna nakrył dziecko i sprawdził stan powietrza w pokoju. Wszystko było w porządku. Na wszelki wypadek uruchomił jednak oczyszczacz. Przez noc poziom alergenów mógł niebezpiecznie wzrosnąć. Przed wyjściem z pokoju zatrzymał się na chwilę, żeby popatrzeć na dziecko.

Wróciło dziwne uczucie, które powtarzało się co jakiś czas. Robert nie umiał go nazwać. W kilku starych książkach, których fragmenty czytał, pisano o tęsknocie, ale – choć większość symptomów się zgadzała – to nie było to. Widywał przecież Julię niemal codziennie. Wieczorem zazwyczaj spała, rano jednak spędzali razem co najmniej kwadrans, a czasem nawet pół godziny. Nie mówiąc już o wspólnych niedzielach.

Robert był usatysfakcjonowany efektywnością wykorzystania swojego czasu. Nie marnował go na bezsensowne hobby. Rodzinie poświęcał nie więcej uwagi, niż wynikało to z zaleceń GlobalHealth. Mimo to niekiedy pojawiało się irracjonalne poczucie marnowania czasu. Irracjonalne, bo niezwiązane z pracą ani rozwojem, tylko właśnie z nią. Chwile spędzone z dzieckiem jawiły się wtedy jako jedyne dobrze wykorzystane. Zwykle odpędzał te uczucia, czasem jednak – i tak było teraz – pozwalał im na kilka minut zdominować świadomość.

Julia spała na plecach z twarzą zwróconą w stronę pokoju. Oddychała miarowo przez otwarte usta. Robert pomyślał o jej idealnym dzieciństwie, o przedszkolu, w którym niczego jej nie brakowało i w którym mogła rozwijać zdolności językowe, informatyczne, behawioralne i inne wymienione w katalogu, który był nie tylko dostępny online, ale też wydrukowany. Zapewniali jej wszystko, czego potrzebowała, powierzając wychowanie profesjonalistom. To gwarantowało dziecku najważniejsze – sukces w przyszłym życiu zawodowym.

Cicho zamknął drzwi do pokoju. Anna jeszcze nie wróciła. Podgrzał kolację i zjadł bez przyjemności. Położył się, nie włączając ekranu. Zasnął szybko.

Wbrew obawom przeszukiwanie archiwum nie zawiesiło systemu. Na liście kilkudziesięciu wyników Robert wyszukał nagrania z monitoringu z badanego okresu. Okazało się, że ścieżka do plików prowadziła przez katalog „projekty specjalne”, a dalej „eventy wewnętrzne”. Sam nigdy by na to nie wpadł.

Najchętniej przejrzałby wszystko od razu, nie mógł jednak zaniedbywać codziennych obowiązków. Na razie zapisał więc wyniki w systemie i sprawdził listę zadań na dziś. Nie wyglądała imponująco. Standardowe

zapoznawanie się z raportami, dwa meetingi i wypełnienie formularza delegacyjnego. To ostatnie musiał koniecznie zrobić do końca dnia.

Sprawa delegacji była dla niego priorytetowa. Musiał wyjechać za wszelką cenę. Alternatywą było pozostanie w domu i tygodniowe towarzystwo Piotra, na co nie miał najmniejszej ochoty. Robert nawet go lubił. Piotr był dobrym duszpasterzem, znacznie lepszym niż jego poprzednik. Angażował się, głosił świetne kazania, nie potępiał tego, że ludzie żyją normalnie. Gościem był jednak fatalnym. Jak niemal wszyscy księża nie miał domu ani źródła dochodu. Pomieszkiwał więc u wiernych. Co jakiś czas każda z rodzin z katolickiej wspólnoty musiała mu dać dach nad głową i utrzymywać go przez tydzień. Piotr, mimo że od dawna było to zabronione, palił tytoń i pił mocny alkohol. Lubił też do późnych godzin nocnych zagadywać gospodarzy rozmowami na nieistotne tematy. „O życiu” – jak sam mówił. Robert dotychczas tego nie doświadczył. Zawsze udawało im się z Anną załatwić na ten czas jakieś pilne delegacje. Zostawiali Piotrowi swój apartament i pełną lodówkę. Potem wystarczało zamówić sprzątanie i odświeżanie powietrza i jakoś dało się nadal funkcjonować.

Raporty załatwił bardzo szybko. Jeszcze przed meetingami wypełnił formularz delegacyjny. Niestety, spotkania przeciągnęły się do osiemnastej. Dopiero pod wieczór mógł więc wrócić do sprawy upadku figuranta w Elku.

Otworzył zapisane dane z kamer silesiańskiego hotelu.

Trzy pobyty.

Dwa pierwsze na liście nic nie wniosły ze względu na ustawienie mebli w pokoju. Robert otworzył monitoring z pobytu w trzecim pokoju. Od razu na jego twarzy pojawił się uśmiech. Ustawienie mebli w pokoju było takie, jak w Elku, i dokładnie odmienne od tego w domu figuranta i poprzednich pokojach. Suwakiem przewinął do poranka. Z doświadczenia wiedział, że prezes FB Corp. wstaje około 6:30. Ustawił 6:28, włączył z rzeczywistą prędkością odtwarzania, oparł się na krzesło i patrzył.

Mimo panującego w pokoju mroku obraz był bardzo dobry. Figurant spał szczelnie przykryty. Robert widział twarz i jedną rękę – druga była pod koldrą.

Przez kilkadziesiąt długich sekund nie działo się nic. Robert czekał cierpliwie.

Nagle dostrzegł pulsacyjne światło zegarka na szafce nocnej. Oznaczało to, że włączył się alarm. Figurant poruszył się. Przez chwilę wiercił się niespokojnie, walcząc o sen, w końcu podniósł głowę i sięgnął po zegarek, prawdopodobnie wyłączając alarm lub uruchamiając tryb drzemki. Przez

kilkanaście sekund leżał, po czym energicznie usiadł na łóżku. Rozejrzył się. Pomału obrócił całe ciało frontem w kierunku pokoju i dopiero wtedy spuścił nogi na podłogę.

Robert zacisnął kciuki w geście radości. Zagadka rozwiązana! Podejrzenia się potwierdziły!

Figurant na ekranie wstał z łóżka i udał się do łazienki.

Robert szybko przeanalizował sytuację. Mimo wszystko miał za mało danych, by wpisać do raportu. Nie lubił oznaczać cech ponadnormatywnych jako „podejrzenie”. To nic nie dawało. Musiał mieć pewność!

Widok z kamery w łazience pokazywał, jak prezes zarządu FB Corp. się wypróżnia. Potem mężczyzna wstał i udał się pod prysznic.

Robert sprawdził, czy znajdzie inne nagrania figuranta z hotelu. To było ostatnie. Przeanalizował szybko szansę na odszukanie jeszcze czegoś w archiwum. Była minimalna i oznaczała kilka dni żmudnej pracy. Raczej trudnej do wytłumaczenia w timesheetach. Pozostawała prowokacja.

Cofnął nagranie raz jeszcze do momentu przebudzenia figuranta.

Budzik. Wyciszenie. Podniesienie się. Obrót. Spuszczenie obu nóg i wstanie z łóżka.

Robert w milczeniu wpatrywał się w dowód swojego triumfu.

Figurant wstaje zawsze prawą nogą! Nawet gdy wymaga to zmiany pozycji na łóżku. Nawet gdy ryzykuje upadek i skręcenie nogi! Jest przesądny! Kolejna cecha ponadnormatywna. Wystarczy ostatecznie potwierdzić i wpisać do akt.

[...]

O ile przełożenie delegacji menedżera firmy nie jest niczym niezwykłym, o tyle jego zachowanie w wieczór urodzin mocno odbiegało zarówno od jego trybu życia, jak i ustalonych w podobnych sytuacjach schematów. W związku z rocznicą urodzin w grafiku GlobalHealth prezesa FB Corp. nie figurowały na ten dzień żadne zajęcia (normalnie we wtorki miał basen i co dwa tygodnie seks z partnerką). Schematyczne zachowania większości figurantów w rocznicę własnych urodzin obejmowały spotkania z rodziną i/lub znajomymi, wyjście do restauracji lub klubu, ewentualnie seks, zazwyczaj poza stałym związkiem. W tym wypadku figurant zachowywał się jednak inaczej niż wszyscy.

Pracę skończył wcześniej niż zwykle i już kilkanaście minut po osiemnastej siedział w samochodzie autonomicznym kierującym się w samo serce Centrum. O osiemnastej trzydzieści dwa wysiadł przy jednym z trzech największych węzłów przesiadkowych w Warszawie, po czym od razu skierował się do podziemi. W tym momencie na półtorej godziny Robert stracił

go z oczu. Labirynt centrów handlowych i przejść między nimi w podziemnych centrum miasta był monitorowany, do większości kamer nie było jednak dostępu w czasie rzeczywistym.

Robert postanowił zająć się czymś innym. Do zakończenia pracy pozostała niespełna godzina. Aby nie tworzyć zbędnych zaległości, musiał przejrzeć kilkanaście raportów i z kilku z nich sporządzić notatki. Przed wyjściem – dziś jechał na sesję CS'a – zerknął jeszcze na profil figuranta. Pojawiła się nowa informacja – płatność w sklepie muzycznym w centrum handlowym. Jedną z wcześniej ustalonych cech ponadnormatywnych figuranta było zamiłowanie do muzyki ludowej i to kupowanej na staromodnych nośnikach. Prawdopodobnie kolejne płyty – pomyślał Robert, wyłączając ekran.

Prawdziwą przyczynę wizyty figuranta w sklepie muzycznym analityk poznał dopiero rano. W szczegółowej informacji o dokonanej płatności znalazł tylko tak enigmatyczne określenia, jak „akcesoria muzyczne” (trzy pozycje w różnych cenach) i „instrument muzyczny” (jedna pozycja, zdecydowanie najdroższa). Wszystko wyjaśniło się dopiero po sprawdzeniu monitoringu z wieczoru z sypialni figuranta.

Robert po raz pierwszy w życiu widział taki instrument. Składał się z dwóch części. Pierwsza wyposażona była w rząd klawiszy, takich jak w pianinie. Było ich jednak znacznie mniej. Drugi element był zbliżonej wielkości. Pokrywała go klawiatura kilkudziesięciu takich samych drobnych okrągłych guzików. Obie części instrumentu były ze sobą połączone czymś na kształt przegubu o prostokątnym przekroju.

Figurant siedział wyprostowany na brzegu łóżka i trzymał instrument przed sobą na wysokości klatki piersiowej. Stopniowo oddalał i przybliżał oba elementy. Ruch ten powodował wydawanie przez instrument skrzypliwego dźwięku. Naciskanie klawiszy i guzików miało prawdopodobnie zmieniać jego wysokość, a w efekcie tworzyć melodię. Na razie nie wychodziło to jednak dobrze.

Robert wyłączył dźwięk nagrania i przejrzał dostępne materiały na temat instrumentów muzycznych. Szybko odnalazł interesującą go pozycję. Instrument nazywał się akordeon i – co nie stanowiło zaskoczenia – był często wykorzystywany w muzyce ludowej. Na podstawie nagrania Robert ocenił, że dodatkowymi akcesoriami kupionymi przez figuranta w sklepie było czarne pudło do transportu instrumentu, pasy na ramiona i prawdopodobnie niewielka papierowa książeczka, do której przez cały wieczór figurant co chwila zaglądał.

Zachowanie prezesa FB Corp. było niewątpliwie dziwne, ponadnormatywne. Wymagało głębokiej analizy zawierającej wszystkie aspekty funkcjonowania figuranta.

Robert oderwał wzrok od monitora. Zamyślił się.

Należało uporządkować fakty. Lista dotychczasowych cech ponadnormatywnych była edytowalna. Robert otworzył tryb notatek. Wpisał kolejno „skłonność do przesądów” i „akordeon” po czym obu pozycjom nadał status „do potwierdzenia”. Skłonność do przesądów zostanie potwierdzona lub zanegowana (w to Robert nie wierzył) po przeprowadzeniu prowokacji. Kwestia akordeonu wyjaśni się w ciągu kilku tygodni. Sam zakup był dziwaczny, tym bardziej poświęcenie całego wieczoru na próby gry. Na tym etapie trudno jednak było cokolwiek oceniać. Pozostało czekać.

Robert popatrzył w ekran, który odtwarzał zapis monitoringu z wczorajszego wieczora. Prezes FB Corp. siedział na łóżku w sypialni, na kolanach opierał instrument. Jedną ręką próbował poprawić pas nieustannie zsuwający się z ramienia, drugą kartkował niewielką książeczkę. Wyglądał na zupełnie zadowolonego, spokojnego, może nawet szczęśliwego. Robert przewidywał, że jeżeli obie nowe cechy ponadnormatywne się potwierdzą, spełnią tym samym przesłanki do eliminacji figuranta. By wszystko pozostało tak, jak dawniej, wystarczyło, by zostawił akordeon, wstał lewą nogą lub zanegował jedną z wcześniejszych cech ponadnormatywnych, na przykład zdradził partnerkę. Daj mi szansę – pomyślał Robert.

Wyłączył ekran i zabrał się za przeglądanie pozostałych raportów.

Przez kolejne cztery dni figurant codziennie próbował gry na akordeonie. Grał wieczorem, po pracy i wypełnieniu zaleceń GlobalHealth na dany dzień. Zajmowało to od dwóch do ponad czterech godzin.

Robert obserwował nagrania, niechętnie włączając dźwięk. Początkowo instrument wydawał z siebie serie nieuporządkowanych tonów o różnej, niepasującej wysokości. Figurant działał jednak systematycznie. Po kilku godzinach zaczął próbować grać jedną, kilkunastodźwiękową melodię. Gubił rytm, nie trafiał w przyciski i klawisze. Robert nie odtwarzał całości nagrań – nie miał na to czasu. Stopniowo dało się jednak usłyszeć postępek. Melodia była prosta. Po kolei, w mniej więcej równych odstępach, figurant grał osiem dźwięków, nie powtarzając żadnego, od niskich, do wysokich, a potem z powrotem, te same dźwięki – od wysokich do niskich.

Robert znał tę melodię, na razie nie zadał sobie jednak trudu, by sprawdzić, skąd. Była bardzo prosta, wyglądała na idealnie nadającą się do ćwiczeń dla początkujących muzyków. Z perspektywy pracy analityka istotny był jedynie czas poświęcany przez figuranta na to bezproduktywne

działanie i systematyczność, która stanowiła negatywny prognostyk na przyszłość. Postanowił jednak, że wstrzyma się jeszcze z wyciąganiem ostatecznych wniosków.

W niedzielę obudzili się później niż zwykle. Pogoda była pochmurna, na szybach okien wciąż widniały krople po porannym deszczu. Jak zwykle w wolny dzień śniadanie zjedli razem. Dziecko spędzony wspólnie czas traktowało tak, jakby było to coś oczywistego. Dorośli – jak zazwyczaj – czuli się nieswojo. Anna maskowała to jednak, opowiadając o swojej pracy.

Strategia promocji wyjazdów do Japonii była już gotowa, w sobotę została wysłana do Beijing do akceptacji. W połowie tygodnia spodziewana była odpowiedź, asystentka Anny miała przeprowadzić prace przygotowawcze tak, by go live mogło nastąpić w przyszły poniedziałek. Na szczęście obie strony przeprowadziły bombardowania obiektów cywilnych, w tym szkół, szpitali, a nawet serwerowni, co doprowadziło do zawieszenia rozmów pokojowych. Wszystko wskazywało na to, że projekt będzie sukcesem, co więcej, że może wypełnić KPI Anny na cały drugi kwartał.

Do Bożeny dojechali tuż przed mszą. Byli tam już wszyscy, same znajome twarze ludzi, których prawie nie znali. Tego dnia przypadła niezrozumiała dla nikogo ewangelia z przypowieścią o właścicielu winnicy, który wszystkim pracownikom zapłacił tyle samo niezależnie od tego, jak długo pracowali. Ksiądz Piotr podczas kazania usprawiedliwiał Jezusa. Tłumaczył, że przypowieści stanowią metaforę i nie należy ich odnosić do relacji gospodarczych, że dosłowne interpretowanie rzeczywiście może budzić wątpliwości, ale jeżeli przyjmiemy, że właścicielem winnicy jest Bóg, a ludzie są robotnikami, to ma to głęboki sens.

Dla Roberta nie miało. Widział w tym niesprawiedliwość. Nie obchodziły go relacje ekonomiczne sprzed przeszło dwóch tysięcy lat, lecz przekładanie ich na relacje współczesnego człowieka z Bogiem budziło już sprzeciw. Piotr swoim kazaniem nie przekonał go, zasiał tylko wątpliwości. Mieli jednak ważniejsze, znacznie mniej przyjemne sprawy do załatwienia. Tym razem nie wyszli od razu.

– Słyszałem, że wyjeżdżasz – zagadnął Piotr Annę po zakończonym nabożeństwie.

Przytaknęła.

– Pilna delegacja – spojrzała na zegarek. – Dziś po siedemnastej mam hyperloopa do Moskwy. Potem przesiadka do Beijing. W przyszłym tygodniu nie będę na mszy.

– No to zostaniemy sami z Robertem i Julią – Piotr uśmiechnął się ze zrozumieniem. – Nie musisz się obawiać, poradzimy sobie.

Robert odwzajemnił uśmiech, mimo wysiłków chyba nie wypadło to szczerze. Tydzień z Piotrem był ostatnią rzeczą, jakiej w tym momencie potrzebował, a nawet więcej – był ostatnią rzeczą, jakiej w ogóle chciał. Termin pobytu księdza u nich w domu był już jednak dawno umówiony. Do tego konieczność przeprowadzenia prowokacji akurat w tym czasie powodowała, że Robert musiał ten tydzień spędzić w Biurze, a wieczory w domu, razem z zaproszonym, choć niemile widzianym gościem.

– Julia zostanie na tydzień w przedszkolu. Mam dużo pracy, więc raczej nie będę mógł dotrzymywać ci towarzystwa. Ale postaram się, by ci niczego nie zabrakło.

Piotr pokiwał głową.

– Lepiej się poznamy. Przecież minęło już tyle lat, a tak naprawdę nic o sobie nie wiemy. – Poklepał Roberta po plecach. – Przyjadę jutro. Gdy wrócisz wieczorem, już będę.

Robert przytaknął, dodając do tego mocno wymuszony uśmiech. Zdało mu się, że kątem oka dostrzegł współczujące spojrzenie Anny.

[...]

– Nalać ci? – Piotr pytającym gestem pokazał butelkę. Wyraźnie czuł się u Roberta jak gospodarz. Nie miał własnego domu, ale wszędzie zachowywał się pewnie. Na tyle, że chyba żadnemu z parafian jego wizyta nie sprawiała radości. Nie było jednak innego wyjścia.

– Nie piję. – Temu krótkiemu stwierdzeniu Robert postarał się nadać tyle mocy, by zawrzeć w nim nie tylko samą informację, ale i niezgodę na spożywanie alkoholu w domu i w ogóle potępienie dla mocnych alkoholi jako takich. Bez rezultatu. Piotr wruszył tylko ramionami. Nalał niewielką ilość alkoholu na dno szklanki. Mrugnął i wypił jednym haustem. Lekko się skrzywił, wziął głęboki oddech i wypił łyk herbaty. Gestem zaprosił Roberta, by usiadł.

– Pogadamy?

Niby proste pytanie. Wymagające tylko jednej z dwóch odpowiedzi: tak lub nie. Mimo to zaskoczyło Roberta. Czy to zwykłe pytanie, czy propozycja? Po co mają pogadać? Dlaczego akurat w tym gronie? Dlaczego teraz – w poniedziałek, trzy minuty przed dwudziestą pierwszą?

Usiadł przy stole. Piotr wyjął papierosa.

– Wiem, że w tym domu nie palicie. To mi chcesz powiedzieć, tak? Robert w milczeniu kiwnął głową.

– Ale ja palę. A tu nawet nie mam gdzie, nie ma balkonu, ogródka, nie ma gdzie wyjść. Jakoś to przecierpisz.

Zapalił papierosa. Robert od razu poczuł ostry zapach palonego tytoniu. Przez chwilę w milczeniu obserwowali niebieskawy dymek uno-

szący się cienkimi smugami od papierosa ku sufitowi. Piotr zaciągnął się kilka razy. Wydychany przez niego dym przypominał parę unoszącą się z ust w mroźne dni. Usłyszeli szum samoczynnie przełączającej się w tryb turbo wentylacji. Trochę pomogło. Mimo to Robert czuł, że dym szczypie go w oczy. Uchylił okno, jedyne w całym mieszkaniu, które dawało taką możliwość. Piotr przerwał milczenie.

– Zasmrodziłem ci mieszkanie.

– Nie ma sprawy, przewietrzy się – Robert próbował ukryć irytację.

– Teraz przynajmniej wiem, dlaczego mnie nie lubicie – Piotr ręką powstrzymał protest Roberta. – Wiem przecież. Nie lubicie, gdy musicie mnie nocować. Uciekacie. Anna wyjechała w delegację. Ty też wyjeżdżasz, jak wypada wasza kolej. Teraz nie wyszło?

– Wiesz, jak jest. Ciągłe gdzieś nas wysyłają... – Usprawiedliwienie Roberta było na tyle niemrawe, że Piotr nawet nie uznał za stosowne, żeby wziąć je pod uwagę. Zaśmiał się tylko, po czym uśmiechnął do Roberta serdecznie. Tak, jakby niczego nie miał mu za złe.

– Nie przejmuj się, większość parafian, gdy mam u nich nocować, nagle wyjeżdża. Albo tylko udają, że wyjeżdżają. Jeden, jak mu się nie uda załatwić delegacji, przenosi się na tydzień do hotelu, żeby tylko z proboszczem nie siedzieć.

Pomysł genialny w swojej prostocie. Robert zdziwił się, że sam na niego nie wpadł.

– Kto taki? – zapytał.

– Tajemnica spowiedzi. Ale przyznał się! – Piotrowi mówienie o niechęci do samego siebie wyraźnie sprawiało dziwną satysfakcję. – Za szczerść zmniejszyłem mu pokutę.

Robert nalał sobie herbaty. Piotr irytował go. Był księdzem, jedynym w Warszawie. Podobno niezłym. Czytywał opowieści o innych duchownych. Wynikało z nich, że mogli trafić o wiele gorzej. Inna sprawa, że mogło być też lepiej.

Piotr pił alkohol. I to nie tylko wino, które jako jedyny trunek było jeszcze dopuszczane przez prawo. Pił wódkę, która była dostępna tylko na czarnym rynku. Podobnie papierosy, które palił, i których zapach jeszcze długo po jego wyprowadzce unosił się w mieszkaniu. Poza tym nie był jednak zły. Jako gość nie wymagał wiele, poza tolerowaniem jego osoby. Nic nigdy nie zniszczył, żaden z parafian nie miał przez niego nigdy kłopotów.

Był też dobrym pasterzem. Nie był zacietrzewiony, nie wymagał od parafian nadzwyczajnych poświęceń, nie zmuszał do heroizmu. Robert słyszał o księżach, którzy oczekiwali od wiernych de facto wypisania się z Systemu, grożąc usunięciem ich z Kościoła. Piotr nie był aż tak zasadniczy. Co



prawda potępiał cudzołóstwo, aborcję i eutanazję, kwestionując podstawy prawne Systemu. Było to jednak zgodne z tkwiącą wciąż w przeszłości nauką Kościoła. Prawdopodobnie nie miał więc innego wyjścia. Utyskiwał na zanik – jak to nazywał – życia rodzinnego i relacji we wspólnocie. Nie żądał jednak od wiernych rozdawania majątku, pochwalał działania prywatnego CSR i, w odróżnieniu od innych duchownych, starał się znajdować w rzeczywistości więcej dobrego niż złego.

Robert wypił łyk herbaty. Było mu go trochę żal. Piotr był na swój sposób sympatyczny. Nie miał domu. Tułał się, tydzień po tygodniu, po mieszkaniach kolejnych wiernych. Warszawska wspólnota nie była duża – praktykujących katolików było w mieście nieco ponad 150. Każda rodzina przyjmowała Piotra mniej więcej raz w roku.

– Mogliście trafić gorzej – Piotr jakby czytał w myślach. – Wiem, że to dla was uciążliwość. Ale wiecie przecież, że to nie mój pomysł. Przed Soborem było inaczej. W kościele odprawiano nabożeństwa, obok była plebania – jakieś mieszkanie dla księdza. Ksiądz mógł pracować, na przykład w szkole, nie zwracał wiernym głowy. Raz w roku tylko chodził po domach z wizytą duszpasterską. Posiedział dziesięć minut, pomodlił się i wychodził.

Robert wiedział. Trzeci Sobór Watykański zmienił wszystko. Biskupi uznali, że receptą na odpyły wiernych z Kościoła może być jedynie radykalne zaostrenie reguł. Księżom zabroniono podejmowania pracy zarobkowej i posiadania majątku, nakazano utrzymywanie się jedynie z jałmużny, co w praktyce wymuszało dobrowolne opodatkowanie wiernych. To z kolei skutecznie ograniczyło ich szeregi do najbardziej wytrwałych. Przez jakiś czas wspólnoty usiłowały utrzymywać swoich pasterzy, wyprzedając pozostałości kościelnego majątku. To źródło dochodu jednak szybko się skończyło i wierni stanęli przed dylematem – zapewnić pasterzowi mieszkanie, co wiązało się z dodatkowymi kosztami, przyjmować go pod własnym dachem, co było uciążliwe, czy w ogóle z niego zrezygnować. Ta ostatnia opcja niektórym wydawała się najkorzystniejsza, w efekcie w wielu krajach msze święte odprawiane były zaledwie kilka razy w roku. Frekwencję na nich zapewniali przede wszystkim studenci i naukowcy specjalizujący się w historii, etnologii i religioznawstwie.

Milczeli. Oczy łączyły od papierosowego dymu, jego zapach nie był już jednak tak uciążliwy. Piotr wypił dwa kieliszki. Nalewając, za każdym razem kierował delikatnym gestem szyjkę butelki w stronę Roberta i patrzył pytająco. Robert przecząco kręcił głową.

– Dlaczego... – przerwał milczenie po kilku, a może już kilkunastu minutach. Zamilkł zaskoczony własnym głosem szukając w myślach tego, o co chciał zapytać.

– Co dlaczego?

– Dlaczego... – Robert zawiesił głos. – Dlaczego zostałeś księdzem?

Piotr zapalił kolejnego papierosa. Zaciągnął się i wydmuchał dym, patrząc w jakiś punkt ponad głową Roberta.

– Słyszałeś o powołaniu?

Robert przytaknął. Słyszał, słuchał o tym od Piotra i innych duszpastrzy, których czasem oglądał w internecie. Powołanie, czyli jedyny słuszny powód zostania księdzem, a w szerszym znaczeniu jedyny sensowny powód zostania kimkolwiek przez katolika.

– No widzisz. Ja też słyszałem – Piotr po chwili milczenia mówił dalej. – I wtedy nawet wierzyłem. Wierzyłem, że to, co wtedy się działo, to znak od Boga, że on mi każe iść do seminarium, żyć w celibacie i zostać księdzem.

– Teraz już nie wierzysz?

– W tamto? – zawiesił głos. – Nie wierzę. To zbiór przypadków, z których każdy ma logiczne uzasadnienie, i żaden z nich wzięty osobno ani wszystkie razem, do niczego nie prowadzą.

– Co się stało?

Piotr wzruszył ramionami.

– Nic. Naprawdę. Byłem po szkole i przed studiami. W jedne wakacje zmarł mój ojciec i nie dostałem się na kierunek zgodny z obraną ścieżką kariery. Byłem wtedy bardzo wierzący i miałem dziewczynę, też bardzo religijną. I Magda – tak miała na imię – Magda wtedy, choć dostała się na prawo korporacyjne, o czym każdy marzył, postanowiła nie iść na studia, wyjechać na prowincję i uczyć w szkole publicznej.

– Dlaczego?

– Chciała czynić dobro. Zresztą zrobiła to i żyje w Bodzentynie. Ma męża, dzieci i jest dobra. Wtedy chciała mnie namówić, żebym jechał z nią, ja się nie zgadzałem i mówiłem, żeby została. Rozumiesz? Ja bez perspektyw, ona przyjęta na studia i taka sytuacja. Zagroziłem, że z nią zerwę, jak wyjedzie. Ona się popłakała i wyjechała.

Zaciągnął się papierosem. Robert zastanawiał się, gdzie jest Bodzentyn i dlaczego ktoś miałby tam żyć. Piotr miał to już najwyraźniej przemysłane, bo nie rozwijał tematu.

– Mówiłem ci, że nic się nie stało. Potraktowałem jak znak od Boga i poszedłem do seminarium.

– Bez powołania?

– Z powołaniem. Tak mi się wtedy wydawało. Teraz rozumiem, jakie to głupie. Ale samo to moje myślenie, że to powołanie, nieważne, czy słuszne, z dzisiejszej perspektywy samo w sobie wydaje się być powołaniem.

Robert uniósł brwi zdziwiony. Był wykształcony, uważał się za inteligentnego, jednak to przerastało jego rozumowanie.

– Pan Bóg nie potrzebuje powodu, by przywołać nas do siebie. Wystarczy, że to postanowi. I wpłynie na to, co się dzieje w naszej głowie, w sercu. Mimo że nie miałem tak naprawdę powodów, zdecydowałem się iść do seminarium, i to było powołanie.

Piotr uśmiechnął się, widząc, że Robert zrozumiał. Przynajmniej tak mu się wydawało, Robert robił zresztą wszystko, by nie wyprowadzać księdza z błędu. Historia była banalna, stwarzała jednak płaszczyznę porozumienia. Rezygnacja z kariery, zwłaszcza tak obiecującej, jak po prawie korporacyjnym, również dla Roberta była trudna do zrozumienia.

– Nie wszystko można zrozumieć. Wiara, Bóg, wymyka się rozmowi i człowiek go umysłem nie ogarnie – Piotr jakby czytał w myślach swojego rozmówcy. – Nie mamy takiej siły ani takiego narzędzia, nawet sztucznej inteligencji, by zrozumieć świat, a co dopiero Boga.

– Wszechświat jest opisany w sześćdziesięciu ośmiu procentach – przypomniał Robert powszechnie znane fakty. – Za sto pięćdziesiąt lat mamy osiągnąć dziewięćdziesiąt osiem procent, a przez kolejne stulecie sto procent bez kilku promili.

– Dobrze, że przypomniałeś – zaśmiał się Piotr serdecznie i nalał sobie wódki. Wypił jednym haustem i skrzywił się bardziej niż przedtem.

– Jako wszechświat rozumiesz świat fizyczny, a jako jego poznanie rozumiesz zapisanie danych na serwerze.

Robert przytaknął.

– A czy do 2200 roku, albo nawet sto lat później ludzkość opíše Boga?

Robert milczał. W prognozach nie było mowy o żadnych zjawiskach nadprzyrodzonych.

– Powiem ci coś o zrozumieniu Boga przez człowieka. Codziennie odmawiamy modlitwę powszechną... *Ojcze nasz* – poprawił się, widząc zdziwienie Roberta. – I wiesz co? Wydaje mi się, że nie ma na świecie człowieka, który wypowiadając ją, jest w stanie rozumem objąć znaczenie tych słów. Każdy wers, każde słowo i litera, są w niej tak pełne sensu, że modlitwa, odmawianie jej z pełnym zrozumieniem, jest niemożliwe. Sam akt modlitwy jest wyrazem wiary w to, co niepojęte. Musimy wierzyć, wierzyć w sens tych słów. Najważniejszych słów.

– Przecież to proste... – zdziwił się Robert. „*Ojcze nasz*”, w odróżnieniu od innych modlitw, prawie nie zawiera niezrozumiałych słów, odwołań, wielokrotnie złożonych myśli, w których gubi się sens.

– Proste?

– No tak, rozumiałe – Robert zgañił się w duchu za podejmowanie polemiki. Zmuszał Piotra do riposty, niepotrzebnie wydłużając rozmowę.

– „Przyjdź królestwo Twoje”.

– Słucham?

– „Przyjdź królestwo Twoje” – powtórzył Piotr. – Co to znaczy?

Robert zmieszał się. Nigdy nie lubił odpowiadać, zwłaszcza ustnie, a teraz właśnie tak się czuł, jak w szkole, podczas odpowiedzi, a nawet egzaminu. Z uchylonego okna napływało chłodne powietrze. Dym gryzł w oczy. Piotr nalał sobie na dno szklanki i patrzył wyczekująco.

– Żeby przyszło królestwo boże... – zaczął niepewnie. Uśmiechnął się zadowolony z odpowiedzi. – To przecież jasne.

– Jasne. Tylko co to znaczy? „Przyjdź królestwo Twoje”. Popatrz, jak to zdanie jest pojemne, jak wielka jest to prośba człowieka do Boga. Wypowiedzenie tego jednego zdania z pełną świadomością, z pełną odpowiedzialnością wykracza poza ludzką zdolność rozumowania. Tak wiele w nim treści. A takich prośb w tej jednej modlitwie jest siedem. I każda przepełniona niepojętym sensem.

Robert wstał i podszedł do okna, usiłując odetchnąć nieco świeższym powietrzem. Wydawało mu się, że rozumie, co Piotr ma na myśli. W pewnych okolicznościach mógłby spróbować podzielić to doświadczenie – spróbować zrozumieć i być może również stwierdzić, że to niemożliwe. Może to nawet coś by mu dało, czegoś nauczyło. Nie umiał tego jednak przewidzieć, zdefiniować potencjalnych korzyści. Miał zresztą ważniejsze sprawy na głowie.

Było już dobrze po północy, gdy skończyli rozmowę. W miarę upływu czasu jej tematy były coraz bardziej błahe, a słowa Piotra coraz mniej czytelne. Gdy Robert wstał od stołu i udał się do sypialni, ksiądz tylko bez słowa odprowadził go wzrokiem.

[...]

Obserwował zegar na ekranie. Sekundy biegly bardzo wolno. W słuchawkach słyszał miarowy oddech prezesa FB Corp. Jeden cykl, wdech i wydech, zajmowały około siedmiu-ośmiu sekund. Dużo. Robert nie był pewien, czy nie za dużo. Ale chyba normalnie. Na razie to nie miało znaczenia. Kilka sekund przed wpół do siódmej przeniósł wzrok na leżący na szafce nocnej zegarek figuranta.

O szóstej trzydziestej zegarek zaświecił się i zawibrował. Po kilku sekundach zaczął wydawać dźwięk – prostą, gwizdaną melodię. Obserwowany drgnął, jego oddech się skrócił. Wyciągnął rękę i dotknął zegarka. Gwizd i wibracje ustały. Robert sprawdził. Funkcja drzemki została uruchomiona. Zajrzał do ustawień szczegółowych – trwała osiem minut. Robert

oparł się na fotelu, westchnął i przymknął oczy. Słyszał znowu miarowy oddech figuranta.

Po chwili usłyszał ruch. Obserwowany ponownie sięgnął po zegarek, prawdopodobnie sprawdzając godzinę. Przewrócił się na plecy i podsunął do góry, opierając barki i głowę o wezglowie łóżka. Sięgnął po tablet. Robert włączył podgląd ekranu. Mężczyzna czytał wiadomości, które przysłało mu w ciągu ostatnich godzin. Potem zajął się newsami i przeglądał nagłówki. Zatrzymał się na chwilę przy informacji o rozmowach pokojowych w Japonii, szybko jednak porzucił artykuł i przeszedł do tekstu o zatrzymaniu prezesa firmy Middle, największego generatora muzyki rozrywkowej w internecie. Robert – jak wszyscy – znał tę aplikację, często używał jej na siłowni, a nawet jadąc do pracy. Middle nie korzystała z baz gotowych utworów, tylko generowała muzykę specjalnie dla odbiorcy, uwzględniając jego gust, porę dnia, a nawet tętno. Była wprost idealna. Z artykułu wynikało, że firma, mimo generowanego zysku i rosnącej wartości akcji, nie spełnia oczekiwań rynku. Jej prezes i założyciel został więc oskarżony o niewystarczający wzrost i aresztowany. Samo oskarżenie jest równoznaczne z eliminacją z grupy native'ów, a jeśli zarzuty się potwierdzą, grozi mu do pięciu lat pozbawienia wolności.

Figurant, a razem z nim Robert, przeczytał cały tekst. W końcu mężczyzna odłożył tablet i chwilę leżał bez ruchu. Po kilku sekundach zsunął się niżej i przewrócił na brzuch. Powoli przysunął się do krawędzi łóżka. Spod kołdry na podłogę zsunęła się prawa noga. Palce oparły się na miękkiej wykładzinie, w tym czasie mężczyzna unosił górną część ciała na rękach, podniósł biodra i opuścił lewą nogę na podłogę. Na chwilę zastygł z wypiętą pupą, stojąc na podłodze i opierając się rękami o materac. Przeniósł ręce bliżej krawędzi, ugiął nieco nogi przenosząc na nie ciężar ciała i wyprostował się. Wyciągnął ręce do góry rozciągając zastygłe przez noc mięśnie.

Analitik upewnił się, że wszystko się nagrało. Zapisał plik i dla pewności zrobił kopię w chmurze. Uzyskał potwierdzenie. Figurant miał kolejną cechę ponadnormatywną – skłonność do przesądów.

Robert spojrzął na zegarek. Była szósta czterdzieści cztery. To będzie dobry dzień – pomyślał.

[...]

Anna była wściekła. Zazwyczaj spokojna, wręcz chłodna, nieulegająca emocjom, tym razem wyraźnie dała im się ponieść. Jej głos podnosił się, by po chwili się załamywać, sugerując bliski wybuch płaczu. Zaraz wracała jednak irytacja, przechodząca z czasem w poczucie rezygnacji. Robert trzymał słuchawkę przy uchu i nie wtrącał ani słowa, ograniczając się do wydawania nieartykułowanych dźwięków sugerujących zaangażowane słuchanie.

We wtorek rano Anna otrzymała z Beijing akceptację swojej strategii sprzedaży wycieczek do pogrążonej w wojnie domowej Japonii. Centrali ExtremeRest najwyraźniej bardzo się spieszyło. Jak się okazało – słusznie. W nocy z wtorku na środek (w Japonii była już środa) nadeszły pierwsze informacje o rozmowach pokojowych. Należało się więc spieszyć. I to bardzo. Anna zdecydowała, że działania promocyjne rozpocznie już w czwartek, nie czekając na początek przyszłego tygodnia. W każdej chwili mogła jednak nadejść informacja o zawieszeniu broni lub nawet zawarciu pokoju, co nieweczyło wszystkie plany.

Robert był zadowolony z niespodziewanego telefonu od partnerki, miał nadzieję, że dzięki niemu uda się dziś uniknąć kontaktu z Piotrem. Anna zadzwoniła, gdy właśnie wchodził do apartamentu. Piotr siedział w jadalni i coś czytał. W powietrzu unosił się nieznośny zapach palonego tytoniu. Robert kiwnął mu głową, wskazał na słuchawkę i bezgłośnie, wykonując tylko ruch ustami, powiedział „Anna”. Skierował się do sypialni.

Sytuacja w ExtremeRest była naprawdę trudna. Uruchomienie środków na kampanię nie wynikało z decyzji Anny, podobnie jak ryzyko związane z kosztami rezygnacji z już wykupionych wycieczek po ewentualnym podpisaniu pokoju. Te decyzje zapadały w Beijing. Wojna w Japonii była jednak dla Anny wielką szansą nie tylko wypełnienia, ale też znaczącego przekroczenia KPI w tym kwartale. Poza premią wiązało się to z uznaniem i kolejnymi punktami do przyszłego awansu. Pokój w Japonii oznaczał przekreślenie tych nadziei.

Rozmawiali kilkadziesiąt minut. Mówiła głównie Anna. Nudziło go to, znacznie chętniej zająłby się czymś innym, ciekawszym. Alternatywą była jednak kolejna rozmowa z Piotrem, na którą dziś nie miał najmniejszej ochoty.

Przerwali dopiero, gdy Anna musiała wyjść z pokoju, by wziąć udział w nocnej integracji, jednym z kluczowych elementów wyjazdów szkoleniowych ExtremeRest. Robert nie wiedział, na czym ten punkt programu polega, nigdy nie dopytywał i nie zamierzał tego robić.

Wyjazd do Kaliningradu tylko na krótko przerwał figurantowi ćwiczenia gry na akordeonie. W kolejnych dniach każdy wolny wieczór poświęcał niemal wyłącznie na tę czynność. W ocenie Roberta powtarzana od przeszło tygodnia melodia, choć irytująca, była wykonywana niemal bezbłędnie. Raz za razem, w górę i w dół, i jeszcze raz, setki razy każdego wieczora. Błędy rytmiczne i fałszywe ożywiały monotonię, pojawiały się jednak coraz rzadziej.

Robert nie słuchał wszystkiego, starał się jednak w miarę dokładnie przeglądać nagrania z monitoringu. Tym bardziej więc ucieszył się, gdy w zapisie z jednego wieczora usłyszał inne dźwięki. Nie przewijał, obserwował dalej. Figurant zmuszał instrument do wydawania kolejnych nieuporządkowanych zgrzytów. Po kilku nieudanych próbach w miarę czysto zagrał kilka dźwięków. Robert poznał melodię. Tę samą, co poprzednio, tylko zagrana na innych dźwiękach. Znów w górę i w dół, w nieskończoność. Przewinął nagranie.

Na niedzielną mszę pojechali we dwóch. Anna miała wrócić dopiero po południu, a Julia wciąż była w przedszkolu. Robert nie chciał, by dziecko musiało znosić towarzystwo Piotra i wdychać zapach palonego tytoniu. Miał nadzieję, że ta zakazana już używka wkrótce zupełnie zniknie nawet z podziemnego rynku i córka nigdy nie będzie musiała się z nią stykać.

Jechali sami. Piotr całą drogę dziękował Robertowi za gościnę. Mówił, że docenia towarzystwo, że nie liczył na to, że rzadko można tak dobrze poznać swoich parafian. Robert wygłosił kilka grzecznościowych zdań, skupiając się na tym, by nie wynikało z nich zbytnie zadowolenie z towarzystwa Piotra, a już na pewno nie zaproszenie do ponownych odwiedzin wcześniej, niż było to konieczne. Kolejny raz Piotr miał u nich zamieszkać w przyszłym roku. Robert postanowił, że wtedy na pewno załatwi delegację albo będzie nocował w hotelu.

Nie mógł się skupić na mszy. Podczas czytań i kazania myśli uciekały w najróżniejszych kierunkach. Czuł się zmęczony. Towarzystwem Piotra, smrodem papierosów, a nawet pracą. Z niechęcią myślał o powrocie Anny i Julii, a nawet o pójściu do pracy w poniedziałek. Mechanicznie uczestniczył w ceremonii, bezmyślnie powtarzając wyuczone przez lata gesty i słowa, takie jak „Wysłuchaj nas Panie” podczas modlitwy wiernych. Wśród wielu intencji Piotr wymienił pokój w Japonii. Dobrze, że Anny tu nie ma – pomyślał Robert.

Ostatnie doniesienia były bardzo niepokojące. Uzgodniono już warunki zawieszenia broni, które miało wejść w życie w najbliższych dniach. Jediną szansą na kontynuowanie działań mógł być jakiś niespodziewany incydent, na przykład kolejne bombardowanie kluczowych obiektów. Nagła eskalacja konfliktu mogłaby spowodować zerwanie dotychczasowych ustaleń.

Kochał Annę i zależało mu, żeby była szczęśliwa, a więc żeby odnosiła sukcesy zawodowe. Pokój w Japonii przekreślał szansę na kolejny spektakularny sukces, nie był klęską, tylko porażką. Mimo to dotkliwą. I to na tyle, że Robert wiedział, iż odbije się to negatywnie na ich relacjach w kolejnych tygodniach.

Z zamyślenia na chwilę wyrwały go słowa modlitwy – „Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie i na ziemi”. Przypomniawszy sobie, co Piotr o niej mówił. Spróbował się skupić na wypowiedzianych słowach. Każdy wers przysłał jednak swym znaczeniem kolejne. Usta wypowiadały je zbyt szybko, by treść mogła dotrzeć do umysłu. Spojrzał na księdza, spodziewając się jego wzroku. On jednak patrzył ponad głowami wiernych, w jakiś punkt znajdujący się pewnie gdzieś na styku ściany i sufitu.

Najgorsze scenariusze sprawdziły się. Działania wojenne zamiast ulec eskalacji, wygasły, a formalne zawieszenie broni weszło w życie we wtorek europejskiego czasu, a o północy z wtorku na środek czasu japońskiego. Wcześniej, dzięki kampanii promocyjnej Anny w Europie, ExtremeRest udało się sprzedać tylko kilka wycieczek. Klientów zniechęciły wcześniejsze doniesienia o rozmowach pokojowych i ustaleniu warunków zawieszenia broni. Niska sprzedaż ograniczyła straty firmy wynikające z konieczności odwołania wyjazdów, w opinii Anny położyła się jednak cieniem na jej skuteczności. Mimo pochwały zawartej w jednej z wiadomości z Beijing była wyraźnie niezadowolona, czemu dawała wyraz, gdy wieczorem spędzali z Robertem kilkadziesiąt minut razem.

Kłopoty w domu skutecznie psuły nastrój. Przy wymagającej pracy cenił porządek i spokój w życiu prywatnym. Wiedział, że kryzys minie, jak tylko Anna otrzyma kolejny ambitny projekt i gdy odniesie wymierny sukces. W tej chwili sytuacja nie była jednak komfortowa.

Mimo braku nadmiaru zajęć przebywał w Biurze dłużej niż zwykle. Zalecenia GlobalHealth dotyczące czasu pracy wymagały w takich sytuacjach pisania wyjaśnień, czego nie lubił, na razie wolał jednak unikać towarzystwa partnerki. Nadmiar czasu wykorzystywał na dokładną obserwację prezesa FB Corp. Było to dość monotonne – każdy dzień pracy figuranta wyglądał tak samo. Biuro, meetingi, telekonferencje, przeglądanie dokumentów, dyktowanie, zatwierdzanie. Po pracy aktywności zgodne z grafiką GlobalHealth wypełniane zawsze bardzo sumiennie, posiłek. I akordeon. Kolejne godziny poświęcone na wygrywanie stale tej samej melodii w różnych wersjach.

Któregoś dnia Robert postanowił ją sprawdzić, co okazało się niezwykle łatwe. Wyciął fragment nagrania, w którym wykonanie było czyste i rytmiczne. Profesjonalne narzędzia dostępne analitykom BOK nie dawały możliwości rozpoznawania melodii, wystarczyło jednak ściągnąć z sieci za niewielką kwotę aplikację od AppInc. Nie miała żadnego problemu z rozpoznaniem melodii. To gama. Opis zaciągnięty przez aplikację z internetu.



towej encyklopedii wyjaśniał wszystko. To szereg dźwięków ułożonych według reguł danej skali muzycznej. Dalej w definicji następował niezrozumiały dla Roberta i nieistotny z jego punktu widzenia szczegółowy opis techniczny i na koniec kluczowe zdanie: „Nauka gry poszczególnych gam często stanowi podstawowe ćwiczenie przy nauce gry na instrumentach muzycznych”.

W środę minęły dwa tygodnie od zakupu przez figuranta akordeonu i dwanaście dni ćwiczeń. W sumie według obliczeń Roberta figurant na same ćwiczenia poświęcił w tym czasie dwadzieścia sześć godzin i szesnaście minut, a więc ponad dobę.

Po południu Robert otworzył dossier figuranta. Na liście cech ponadnormatywnych otworzył nową pozycję – nauka gry na akordeonie. Załączył kopie dowodu zakupu instrumentu, harmonogram ćwiczeń z ostatnich dwóch tygodni, podpiął pliki z nagraniami z monitoringu. W skrócie opisał sytuację.

Zatwierdził. Pomarańczowa ósemka po prawej stronie ekranu zmieniła się na dziewiątkę, która przybrała jeszcze bardziej jaskrawy, zbliżony do czerwieni odcień. Tuż pod nią pojawiło się ponowne żądanie dokonania oceny przez analityka. Robert otworzył okno oceny i zaznaczył opcję „Ryzyko wpływu na stabilność Systemu”. Było to równoznaczne z koniecznością przygotowania rekomendacji eliminacji figuranta.

[...]

Robert był przekonany, że jego decyzja jest słuszna. Figuranta prowadził od samego początku swojej pracy. W pewien sposób zdążył się nawet z nim zaprzyjaźnić, choć tamten nie wiedział nawet o jego istnieniu. Rekomendacja musiała być jednoznaczna.

Wykaz cech ponadnormatywnych był przytłaczający. Począwszy od ukończonych publicznych szkół i publicznego uniwersytetu, w dodatku na kierunku humanistycznym (historia), poprzez nietypowy gust artystyczny (zamiłowanie do muzyki ludowej) i ponadnormatywnie jednostajne życie erotyczne (przez jedenaście lat ani jednej zdrady partnerki). Do tego odkryta niedawno skłonność do przesądów. Szałę przeważał jednak zakup przez figuranta akordeonu i zapał do nauki gry na tym instrumencie.

Wszystkie dokumenty były w porządku. W formularzu wniosku Robert kliknął „Wyślij”.

Za kilka dni przydzieli mu nowego figuranta.

Mimo wiszącego wysoko na niebie sztucznego słońca w pomieszczeniu panował półmrok. Robert podeszedł do okna. Zajmujące całą ścianę

szyby były od zewnątrz zalane wodą. Przez chwilę obserwował ściekające po nich krople. Zmieniały kierunek, łącząc się w mikroskopijne strumyki, które jednak konsekwentnie zmierzały w jednym kierunku. W dół.

Anna wyjechała w delegację, Julię znowu zostawili na kilka dni w przedszkolu. W ostatnich dniach Robert sypiał dużo, jednak mimo to odczuwał senność i zniechęcenie. A dziś czekało go jeszcze trochę pracy. Otworzył moduł sterujący funkcjami pokoju i włączył ciepłe światło. Ciśnieniomierz wskazywał w pomieszczeniu zaledwie nieco ponad dziewięćset dziewięćdziesiąt hektopaskali. Ustawił na tysiąc i usiadł przy biurku. Z klimatyzacji słychać było cichy szmer tłoczonego powietrza. Wypił kilka łyków wody, by uniknąć uczucia zatkanych uszu i zabrał się do przeglądania raportów.

Figuranci nie sprawiali kłopotów. Ich funkcjonowanie było monotonne i bezpieczne dla systemu. Od ponad tygodnia nie zdarzyło się nic wartego odnotowania. Ich życie, a co za tym idzie praca Roberta, były standardowe i schematyczne. Raporty nie wносиły nic. Robert skatalogował je i odpisał na kilka wiadomości przesłanych przez współpracowników. Otworzył panel analityka, by przy każdym figurancie zaznaczyć brak zmian. Gdy już kończył, zauważył w katalogu „inne” nieprzeczytane powiadomienie. Otworzył. System informował o zakończeniu sprawy figuranta CEO96215FBC@. Robert prowadził go do maja, a po wykryciu zamiłowania do gry na akordeonie rekomendował jego wyeliminowanie.

Powiadomienie zaciekało go, choć nie zawierało innych informacji. Robert postanowił to sprawdzić. Figurant – w oficjalnych dokumentach, jak każdy native, określany jedynie indywidualnym tickerem CEO96215FBC@ – nazywał się Janusz Piekarski. Po eliminacji w maju i automatycznej degradacji z grupy native’ów do people’ów Biuro nie zbierało już informacji na jego temat, Robert musiał się więc posiłkować zewnętrzными bazami danych.

Znalezione w publicznej wyszukiwarce informacje były bardzo skąpe. Po zatwierdzeniu rekomendacji Roberta figurant został z dnia na dzień pozbawiony stanowiska i razem z partnerką przeniesiony do innego środowiska. Okazała się nim niewielka miejscowość o nazwie Włodawa, jeszcze w Polsce, tuż przy granicy Obszaru Białorusi i Ukrainy. Piekarski dostał tam mieszkanie i pracę nauczyciela historii i zastępcy dyrektora miejscowej szkoły publicznej. Jego pensja została znacząco zmniejszona, uwzględniała jednak dotychczasowy status i była wciąż zawrotnie wysoka jak na warunki placowe people’ów.

Więcej informacji nie było. Poza jedną notatką z dzisiaj.

O śmierci Janusza Piekarskiego. „Na skutek powieszenia, prawdopodobne samobójstwo”.

Deszcz przestał padać, więc do apartamentu wpadało więcej światła niż za dnia. Robert zdjął kurtkę i wszedł do skąpanej w sztucznym słońcu kuchni. Siadł przy pustym stole, opierając się na krzesło i prostując nogi. Przez chwilę nasłuchiwał. W apartamencie panowała niczym niezmącona cisza. Rozpiął dwa górne guziki koszuli, wstał i wyciągnął ją ze spodni. Otworzył szafkę i wybrał jedną z najmniejszych szklanek, jakie były w domu. Z zamrażalnika wyciągnął pokrytą szronem szklaną butelkę. Była pełna mniej niż w połowie, ale i tak zaskoczyło go, że Piotr zostawił aż tyle. Odkręcił zakrętkę i nalał na dno szklanki. Szkoło od zewnątrz szybko pokryło się drobnymi kroplami pary wodnej.

Podniósł szklankę i przysunął do ust. Przezroczysty płyn miał zaskakująco gęstą konsystencję. Delikatnie wydzielał ostry, wierzący aromat. Robert znał ten zapach, nigdy go nie lubił. Teraz jednak mu nie przeszkadzał. Albo przeszkadzał mniej.

Przytknął szklankę do dolnej wargi i uniósł ją, odchylając do tyłu głowę.

Wódka wlała się do ust.

Smak taki, jak aromat – ostry i delikatny. Zimny.

Szybko przełknął.

Chłód w przełyku, potem drapanie, coś jak ogień, tylko zimny.

Robert z powrotem usiadł przy stole. W okolicach mostka, gdzieś w środku, poczuł przyjemne ciepło.

Mój pierwszy raz – pomyślał i sięgnął po butelkę.



Fot. Archiwum M. Pogorzelskiego

Marek Pogorzelski

## Hubert Czarnocki

\* \* \*

Kto będzie kiedyś pamiętał,  
że był taki rok, taki miesiąc i dzień.

Nawet my sami pomyślimy,  
że to wszystko spotkało jakby nie nas.

I gotowi bylibyśmy w to uwierzyć,  
gdyby nie niezbite dowody.  
Zdjęcia, które z rozczuleniem przeglądamy,  
notatki z wykładów, wycięte prognozy pogody.

Zapiski wynieść śmieci, zrobić zakupy,  
napisać wiersz i niezdarnie, nieporadnie,  
koślawym pismem przeżyć następny dzień.

## PUSTE DŁONIE

Nie posiadała siebie ze szczęścia  
ani czegokolwiek innego.

Otworzyła ręce i wypuściła,  
w jej duszy wiał wiatr.

## ŻYCIE

Życie to długi spacer  
na cmentarz przedłużany  
jak tylko się da.  
Opóźniany na wszystkie sposoby.  
Pełen krętych alejek,  
przymusowych postojów.

Zaciska się je w dłoni jak  
strzęp płótna albo sięga  
co chwilę do kieszeni,  
żeby sprawdzić czy jeszcze jest.

Trzyma się życia jak chłopiec,  
który boi się zastrzyków, płacze  
i nie chce puścić parapeetu.

Nie ma urlopu od życia,  
nie odkłada się oddechu na później.  
Kiedy dojdiesz do końca  
reszta będzie już tylko formalnością,  
bo właśnie teraz jaśniejac ciemniejesz.

Właśnie teraz tracisz, gubisz, niktujesz,  
właśnie teraz toczy się w tobie wojna,  
zostawiasz siebie w miejscach  
i nawet o tym nie wiesz.

Więc dalej opóźniaj,  
przecież chcesz opóźniać.  
Choć lepiej byłoby poddać się,  
pozwolić, żeby już stało się to,  
co i tak się staje.

Janusz Pasterski

*Notatnik otwarty*

## ZACIEKAWIENIE I NAMYSŁ

Zaciekawienie patronuje wielu ludzkim aktywnościom. Tyle jest przecież spraw, miejsc, rzeczy czy wszelkich możliwych odniesień, wobec których trudno uniknąć ekscytacji i nie dać się porwać nieznanemu. Nie omija to również pisarskich poszukiwań, tym bardziej istotnych, że literatura rzadko odwraca się od rzeczywistości. Może też dlatego sięgamy po wiersze, że są one – poza wszystkim innym – również jakimś rodzajem odpowiedzi na to, co widzimy, co nas otacza i wobec czego stajemy wyposażeni we własne emocje oraz język, który jest też naszym okiem i uchem. To zarazem odpowiedź funkcjonalna tylko warunkowo, odsłaniająca swój sens wtedy, gdy jesteśmy gotowi zaakceptować subiektywność, metaforyczność, niepełność, a czasem nawet zagmatwanie czyjegoś głosu.

Głód wiedzy, dociekliwość, czujność, zaduma, zamyślenie, chęć poznania mogą stać u podstaw niejednego utworu, który przyciąga odbiorcę sposobem przedstawienia świata, nasycenia go znaczeniami i metaforami, jednostkowym, niepowtarzalnym zindywidualizowaniem oglądu. I choć bez trudu można znaleźć inne, bardziej zobjektywizowane formy ujęcia tych samych (?) zjawisk, to jednak tylko poetyckie zorganizowanie języka nadaje im złożone w jedno emocje, refleksyjność, uniwersalizm i poczucie współodczuwania.

W takiej perspektywie postrzegam wiersze Ryszarda Kołodzieja, które odsłaniają niezwykle silne zaciekawienie światem, chęć zaglądania we wszystkie zakamarki rzeczywistości, także historii i kultury. Nie jest to jednak niezaspokojony głód obserwacji i nazywania wszystkiego, a raczej potrzeba poznania i gotowość do refleksji. „Nie chodzi / o poznawanie historii / tylko jej zrozumienie” – napisał w wierszu *Historyk*. Śledzenie pergaminów czy kronik nie może być celem samym w sobie. Twórczy sens działania spełnia się bowiem w myśleniu, rozumieniu, budzeniu refleksji. Wszystko, co nas otacza (realnie i symbolicznie), nie tylko zasługuje na uwagę i opis, ale może być zaczynem emocji lub źródłem namysłu.

Poetyckie „pocztówki” na przykład odsyłają do kulturowo odmiennych światów, egzotycznych dla nas miast Dalekiego Wschodu, zadziwiających przybyszów połączeniem nowoczesności i tradycji, organizacją masowej turystyki i równoczesnym przywiązaniem do dawnych rytuałów, wierzeń i zabobonów: „handlarze amuletów / sprzedają zdrowie / szczęście / i bezpieczeństwo” (*Pocztówka z Bangkoku*). Obecność drapaczy chmur, rzesz turystów i wielojęzycznych przewodników nie zmienia jednak tego, co cywilizacyjnie, religijnie i mentalnie nawarstwiło się

od setek, a nawet tysięcy lat. Przygodny obserwator może jedynie przez krótki czas smakować tę wyjątkowość, odmienność, inność.

W wierszach Ryszarda Kołodzieja jest też miejsce na refleksje płynące z zaintrygowania samym istnieniem czy też ludzką naturą i relacjami z drugim człowiekiem. To ogromnie ciekawe, jak język poezji unosi tego rodzaju namysł, jak jego wewnętrzna kompozycja i stylistyczne możliwości zwielokrotniają sensy i znaczenia. Autor wykorzystuje do tego idiom prostoty i skrótowości, lapidarny, oszczędny, a zarazem sugestywny. W opisie postaci biblijnej na plan pierwszy wysuwa się ufność we „własny głos” wewnętrzny jako wskazówka moralnego porządku (*Maria Kleofasowa*). Z kolei obserwacja nieba i widocznego na nim księżyca przywodzi myśl o początkach ludzkiego istnienia: „kiedy chemia / stała się / biologią...” (*Kiedy...*). Podobna zwięzłość cechuje wiersze-„przebłyki”, niezwykle celnie wychwytyjące zwykle odczucia, na przykład dzielenia z kimś drugim smutku i radości albo też przeciwnie – pozostawania wyłącznie w sferze własnych przekonań, a może idiosynkrazji.

Poetyckie refleksje Ryszarda Kołodzieja wyróżnia różnorodność poszukiwań, obserwacji, spostrzeżeń. Wielość i heterogeniczność rzeczywistości, i tym samym życia jest bowiem nadrzędnym odczuciem autora. Dlatego w gotowości na ciągłe zaskoczenia, nowe sytuacje i wrażenia wyraża się jego podejście do świata.



Daryna Osypova

## Ryszard Kołodziej

### HISTORYK

zarywasz noce  
przy nikłym świetle  
lampki oliwnej  
śledząc  
stare kroniki  
dekrety władców  
opisy bitew  
kiedy  
wodzisz palcem  
po pergaminie  
albo rytym rylcem  
kamiennych tabliczkach

nie chodzi  
o poznawanie historii  
tylko jej zrozumienie

### KIEDY...

księżyc  
otulony  
szalem chmury  
mruga  
do ziemskich istot  
narodzonych  
z gwiazdnych popiołów

przypomina czas  
kiedy chemia  
stała się  
biologią...



## MARIA KLEOFASOWA

ufaj  
własnemu głosowi  
bardziej niż uszom  
rozdawaj dobroć  
jak witaminy  
smakuj życie  
jakbyś  
przed chwilą  
przyszędł  
na świat  
a nie będzie ci  
duszno  
ani ciasno...

## POCZTÓWKA Z SZANGHAJU

drapacze chmur  
pozują turystom  
do zdjęć  
na promenadzie  
zygzakowaty most  
strzeże herbaciarnie  
przed złymi duchami  
apteki zachwalają  
tajemnicze mikstury  
latawce unoszą się  
jak kolibry  
tubylcy przechodzą  
i przejeżdżają  
na czerwonych światłach  
charczą  
plują

gdzie popadnie  
gemblują  
na ulicach

ale  
głaszczą  
łapy lwa  
odlanego z brązu  
na szczęście...

## POCZTÓWKA Z BANGKOKU

w złotej czedi  
przegląda się  
słońce  
drzewa  
przed pałacem  
ogolone z liści  
w kanałach  
pytony  
bawią się  
w chowanego  
handlarze amuletów  
sprzedają zdrowie  
szczęście  
i bezpieczeństwo  
mnisi  
proszą o strawę  
a stada przewodników  
wypluwają płuca...

## PRZEBŁYSKI

\* \* \*

smutek  
dzielony z drugim  
jest półsmutkiem  
radość  
podwójną radością

\* \* \*

ja swoje  
ty swoje  
nieswoi  
oboje

Ryszard Kołodziej



Julia Piątek

# FRAZY OSOBISTE

Antoni Matuszkiewicz

*Góry Orfickie*

## CHEŁMSKO

Plik snów z 24/25 lipca, o powierzchowności i głębi, i o przekładzie znaczeń, coś, co jest tekstem, co widzę i odczytuję, dwa zapisy literackie, ma być dopełnione, dorozumiane, przez odwiedzenie kościoła, to jest gdzieś poza najbliższą okolicą, potem zdaje mi się, iż w Warszawie, to może katedra, może nie, ale zaraz świadomość, jak ją odbudowano, że nie tę zburzoną przez Niemców, ale tę, jaką była niegdyś, mazowiecko-gotycką, idę w tamtym kierunku z I., już jest pod wieczór pewnie, bo niedowidzę wszystkiego w tle, są komplikacje, jest zamknięte albo nie ma tam tego, czego potrzebowałem, lecz zaraz ów widziany tekst staje się czymś o wiele bardziej materialnym niż kartka papieru, nabiera głębi, gruzłowatej struktury, jest osobliwą substancją, w której brutalnie działam nożem bądź innym podobnym narzędziem, tymczasem staje się ranek, przed sobą mam jasną warszawską niby ulicę i spostrzegam, że w prawo, całkiem blisko tamtej świątyni są dwa inne jeszcze znaczniejsze kościoły, także z czerwonej cegły i uświadamiam sobie, że to coś za dużo, za wielkie jak na średniowieczną Warszawę, ale jeśli tak to odbudowano, nawet ponad pierwotne gotyckie zniszczone budowle, to nic, to jest wspaniałe, jeden stoi na wprost, na skraju niedużego placu, sięgającego ku temu wieczornemu kościołowi, drugi w głębi wąziutkiej uliczki, nieco na prawo, ale prawie przylegając do drugiego, doceniam smukłość ścian, gotyckiego okna, przykrytą blaszanym hełmem sygnaturkę, kojarzy mi się teraz Gdańsk, Antwerpia, tym bardziej, że wspomniany plac i ową uliczkę dzieli niewiarygodnie cienki cypel kamienicy, na którego licu pojawia się kunsztownie profilowane okienko, ale już wizja się zmienia, przeplata sensami, jesteśmy u Věry Kopeckiej, która leży, jest wyraźnie niedysponowana, zmęczona, wiemy, że po wczorajszym, kiedy coś zrobi-

ła, przetłumaczyła zapewne z tego magmowatego czegoś, dla nas, jesteśmy tydzień później z Vokolkkiem w Krzeszowie, potem w Chełmsku, całkiem więc na rubieży, w przeciwieństwie absolutnym wobec wszelkiej warszawskości, stołeczności, dojmujące wrażenie, i tu znów jaskrawe przeciwieństwo upadku miasteczka, i co krok przypominanie sobie jego niemieckiej przeciwieź przeszłości, po odwiedzeniu „Jedenastu Apostołów” i zabudowywanej willowo pustki po zburzonych ostatecznie w 1958 roku (!) „Ewangelistach”, po przejściu podcieniami, koło renesansowej ruiny, na sprzedaż, nieszczęśliwie opiętej siatką, której gwoździe bezceremonialnie dziurawią stylową, pięćsetletnią kamieniarkę, stajemy na przykościelnym cmentarzu, właściwie już lapidarium, gdzie trochę osiemnasto-, dziewiętnastowiecznych nagrobków, interesujących ekspresją, żywotnością niegdysiejszą, w murze przyległego budynku kamienna tablica z dzieciątkiem w powijkach, przypominająca mi grafiki Blake’a z *Pieśni niewinności*, obok pamiątkowa inskrypcja na pięćdziesięciolecie Rodzin Kolpingowskich, z 1893 roku, szeregi nazwisk, w tym momencie podchodzi dosyć młoda jeszcze Niemka, ma potrzebę podzielenia się tym, po co tutaj właśnie przyjechała, jest przyjazna, uśmiechnięta, po angielsku nie mówi, Václav rozmawia z nią po niemiecku i ona pokazuje jedno z nazwisk, Julien Stiefer, jej pradziadek, oni, jej przodkowie, mieli kamienicę, tam, po prawej stronie Rynku, ona i inni potomkowie mieszkają w Niemczech, ale pamiętają, dwa czy trzy lata temu byli tu autobusem, ponad pięćdziesiąt osób, o, teraz też jest nas więcej, zbliża się w tym momencie kilka osób, inteligentnie prezentujący się starszy mężczyzna, drobna staruszka i dwóch młodych, wszyscy witają się z nami serdecznie, widząc, że już został nawiązany kontakt, jednak gdy niemieczyzna Vokolka dogasa, rozchodzimy się, ja z dojmującym przeświadczeniem, że z banalnej przyczyny coś umyka w tej chwili, rwie się szkic rysującej się intensywniejszej znajomości opartej o tutejszą przeszłość, jakby rwały się naszkicowane stronicie tekstu, to przecież niebywała okazja, jakby zjawiony pomysł, zesłana z niebios inspiracja, oto dwóch pisarzy, z narodów spadkobierców, zastępujących dawnych mieszkańców Sudetów, styka się z żywą, aktywną ich tradycją, jakby sięgając w głąb wspólnej kulturowo pra-prapamięci, teraz schodzimy już sami lekko pochyłoną uliczką, oglądam się jeszcze i widzę, że ten budynek, na którym widzieliśmy wspomniane tablice, którego ścianę pokrywa zupełnie zszarzałe renesansowe sgraffito, ma z tej strony, w częściowo widocznej ścianie, także ujęte w piaskowcowe obramowanie typowo renesansowe okno i rozpoznaję, wraca wizja ze snu, tak, to ta niby Antwerpia, to znaczy artystyczna, architektoniczna wartość, jak sama Antwerpia odległa i zaskakująca w wyrazie, to ten kościół, jaki we śnie pozostał niedostępny, a potem jeszcze podwojony w tle, poza owym kunsztownym okienkiem, okienkiem na rogu, na rozdrożu, ale dokąd już nie sięgnąłem widzeniem, nie wszedłem, pozostałem w turystycznej jakby zewnętrżności, w trudzie dogrzebywania się sensów, w warszawskości, zatem polskości swojej, w tych stronach nazbyt wyłącznej, także przy udziale czeskich pisarzy, we śnie Věry, na jawie Václava, to także, jak mi się zdaje, rekapitulacja mojej sytuacji, kogoś przecież z dolnośląskiego „stąd”, jednak pozbawionego, wiekiem swoim,

splotem wewnętrznych i zewnętrznych zahamowań, językowego kontaktu, trwającego w niechcianej, choć jakoś tam zawinionej obcości, w pisaniu i losie płynącym zupełnie inaczej niż sobie to imaginował, niewiedzącym, czy to, co jest, czy to, co było, takie jak było, to był, to jest – sen.

2016

## IKONY

Niedziela, przez poprzednie trzy dni mieliśmy u siebie w ogrodzie wolontariuszy ruchu Focolare, trzy trójki, zawsze jeden mężczyzna i dwie dziewczyny, ludzi z różnych zakątków kraju i różnych zainteresowań, zmagaly się z niwelowaniem terenu przy naszym potoczku i koszeniem zielska. Dawaliśmy im obiady, umożliwiali wzięcie prysznicu, ale ponieważ byliśmy siebie wzajemnie ciekawi, trwały w przerwach między zajęciami rozmowy, często na zasadnicze tematy, o tworzeniu poezji i duchowości Wschodu i Zachodu, ale dzisiaj rano stoimy po mszy kończącej tę akcję, przed kościołem w Bożanowie, po chwili dopiero orientuję się, że pod nogami mamy troszkę wklęśniętą, nierówną ziemię, że to miejsce zlikwidowanych pomniekich mogił, z których pozostały kamienne stele pod kamiennym murem, wszyscy jesteście radośni, z wdzięcznością wzajemną i nadzieją na dalszy kontakt, jakbyśmy stali we wzajemnie otwartych drzwiach, zaraz potem zabieramy z Broumova poetkę i tłumaczkę, Lenkę Kuhar Daňhelovą, którą dość niezwyklem zbiegiem okoliczności poznaliśmy internetowo i wnet jedziemy do Krzeszowa i do Bukowca, gdzie poznajemy młodzianką malarzkę, pisarkę ikon, dziewczyna studiowała na uczelni metropolity Andrzeja Szeptyckiego i jest, trzeba to powiedzieć, sama ikoną, porywającą ikoną młodości, niezwyklego oddania powołaniu, jakie w bardzo skonkretyzowanej formie spadło niejako na nią, całkiem niespodziewanie, a potem się rozrosło, przeplatając z nadzwyczajnym umiłowaniem Lwowa, z którym nie łączyły jej wcześniej żadne rodzinne więzy, bije od niej energia, natchnienie po prostu, widoczne w kilku pracach, jakie ma w pracowni, a które wraz z potokiem słów i namiętnej gestykulacji autorki zdają się oknami w surowym ceglany murze, siostrzanimi wobec szerokiego okna i wypełniającej je zieleni, uderza wewnętrzną radością, pewnością drogi przy całym kryjącym ją jeszcze „obłoku niewiedzy”, żywiołową więzią z najbliższymi, z matką przede wszystkim, i blaskiem „cudownego dziecka”, zarazem obdarowanego pokorą wobec tajemnicy, w powrotnej drodze zatrzymujemy się na platformie widokowej za Chełmskiem, gdzie ponad wierzchołkami młodych jodeł, na całej szerokości horyzontu widoczne są góry, z Karkonoszami, ze Śnieżką pośrodku, przed chwilą przeszedł deszcz i jeszcze jest na niebie sporo szarych, burych chmur, spoza których, spoza pociemniałych już grzbietów przebija jaskrawa wiązka promieni zapadającego Słońca, a na lewo odeń obłok rozproszonego świetlistego kurzu, unoszący się prawie niedostrzegalnie wraz z pogrążaniem gwiazdy,

zastajemy tutaj opartą o barierkę czwórkę okolicznej młodzieży, trzech mężczyzn i dziewczyna, patrzą na tę tapetę przed sobą, którą „anieli boży w niebie rozpostarli”, patrzą prawie bez przerwy, rozmawiając o swoich sprawach, językiem grubym i prostym, o imprezach, klubach, o palecie sposobów ćpania, nie krępując się nas zupełnie, i niczym coś z innego zupełnie świata uderza to, że tu są, że przyjechali, zatrzymali się tutaj, że trwają, jakby coś zupełnie innego, coś zza tej przyciężkiej mowy, powszedniej świadomości siebie, znajomości tzw. życia, przyciągnęło, nie pozwalało odejść, realizowało potrzebę całkiem innego rzędu, zostali wezwani, by spoza samych siebie kontemplowali ów ikoniczny widok, dalekosiędną prawdę i nic straconego na świecie, póki spotkać na nim można ludzi tak, choćby nieświadomie, nie dla własnych oczu, przejrzystych.

26 lipca 2020 r.

## KOŚCIÓŁ W RZESZOWIE

Byliśmy tam przed kwadranssem, szwendaliśmy się potem po ulicach, a teraz przechodzimy tędy znowu, wtedy weszliśmy, właśnie skończyło się nabożeństwo i kościół był pełen ludzi, był pełen siebie, takiego, jakim go zamierzono, jaki znałem z dzieciństwa, młodości, wszystkie ławki zajęte i nikt prawie nie śpieszy ku wyjściu nim umilkną organy, wspólnota rysuje się już, lecz trwa jeszcze w dokonanym, jakby głębokim echem odprawiała się w sobie po każdymu, i czuje się zapach, oddech ciepły ludzi, i swoistą pobożną uprzejmość, a ponad tą ludzką bożością biały i złoty barok, jakby sędzony przezsłami nawy, wprost z nieba zgarnięte złoto, niby tamto bogactwo połowu, od jakiego aż się łódź zanurzała, jakby w tym niewielkim interiorze miało zgromadzić się, spotkać ze sobą nieskończone wszystko, postać z postacią, od wielkiego Ukrzyżowanego unoszącego się na wprost poczynając, symbol z symbolem, artyzm z artyzmem, uwielbienie z zachwyceniem, i tak właśnie z tego wielozmysłowego i nadzmysłowego zacerpnałem całym sobą przed kwadranssem, a teraz przechodzimy, mijamy tylko, wrota wciąż są otwarte, a drzwi pomiędzy nimi na pół otwarte, na pół przejrzyste, pięciu kapłanów w zielonych szatach wokół ołtarza, główny celebrans dopiero co wypowiedział modlitwę i w uderzającej stamtąd ciszy, dokładnie na osi kościoła ujrzałem uniesiony wysoko biały krążek, a wewnątrz swego ciała, pośrodku piersi, poczułem współobecność, wzajemność uważności, mimo iż pomiędzy trwał uliczny rozgardiasz, i byłem jak tamten, co nie mógł wydobyć z głębi mnóstwa ryb, a potem wobec rzeczywistości przemienienia, coś mówił, *nie wiedział bowiem, co ma powiedzieć*.

26.10.2023 r. 18.30

Antoni Matuszkiewicz

## Grzegorz Strumyk

### ŁATANINA 45

Skąd się wziąłem, dlaczego taki. Nie mogę spać albo śpię za dużo, ta historia żyje we mnie i chcę w niej kilka rzeczy ponazywać. Każdy jest geniuszem indywidualnego życia i nawet to jedno, jak się nazywał, pozostawia na krótko.

Piszę z wielką niepewnością, gdyby mógł ktoś mi odpowiedzieć, nie pisałbym. Jestem pełen podejrzeń, że pisanie w gruncie rzeczy jest zabiegiem na sobie zapelniającym pustkę uczuć w życiu. Jaka przepaść dzieli pojawiające się przy pisaniu uczucia od działań pod ich wpływem. Pustka zawsze i wszędzie. Trudno będzie mi ponazywać, ale postanawiam brnąć dalej. Pustka, kiedy nie ma ujścia. Pustka, kiedy już nazwę. Wystarczy słowom taka rola, żeby się nie zabijać o to, co za słowami stoi.

Matka wyszła z wojny. I to jest najważniejsze w całej historii. Organizm, ciało uratowało się na razie. Składałam urywki z jej pamięci i swojej. Wiem, jak świat oddziela się od ciała w samotności dojrzewania i mogą do siebie już nie wrócić na stałe. Dlaczego mama miałaby być inna? To wtedy powstawałem w jej przyszłym życiu, kiedy dorastała w wojnę.

Wszyscy zależeliśmy od wojny: matka, ojciec, umarli bracia, mój brat i ja na końcu, który ich pozbierałem. Krok po kroku, dotyk po dotyku, otarcia, które unieruchamiają, zagarniają życie tak, że odskakuję w miejsca pozbawione cielesnej tkanki, jak papier, gryzmoły, zdania. I cały czas liczę na niezawodność słowa dla siebie – to wszystko, co teraz mogę.

Z każdej wojny wychodzi się z rozszczępieniem jaźni, z takiej, jaką była ostatnia, matka mojej matki wydostała się inną stroną świadomości. Chciałem zrelacjonować wydarzenia w życiu dziewczynki, dziewczyny między jedenastym a szesnastym rokiem życia, ale chyba zrezygnuję już na samym początku. Nie wybiorę z rosnących obrazów. Słów, obrazów, było już tak dużo, może została tylko opowieść samego ciała.

Po wojnie matka mojej matki nie pozwala rozpałać ognia w domu, zapalać żadnego płomienia, wychodziła i zmywała klatki schodowe okolicznych domów, nic nie mówiąc. Później babcia miała swój pokój w szpitalu w Stroniu Śląskim do końca życia. Przyjeżdżała do nas z przepustką i biletem. Mówiła o dokuczliwych, niedobrych ludziach i wracała jakby już chciała tam wrócić. Bo tam miała miejsce.

Musiałem dużo wcześniej być wśród matek, gdy zapanował chaos, rozpacz, gdy próbowały wyciskać dzieciom zastrzyki robione w miejscu wezwania. I wtedy, gdy zostaliśmy wyrzuceni z domu do innego domu po wyrzuconych. Szron na ścianie, pod tapetą zwierzęta żywiące się nami. Ojciec mojej matki poprosił o od-



wrócenie łóżka od okna i przestał nazywać ją zdrobniale, mówił tylko Aleksandra. Dziewczynka zrozumiała. Powiedział do niej, że nie ma już matki i matka mojej matki to słyszała, zesła jej twarz z twarzy, choć była już coraz dalej od takiego świata, ciało nie chciało już tu być, i po uderzeniu w twarz podczas rewizji, takie nie w arsenale zbrodni, już nie wróciła do świata, jaki był.

Czy ja już nie napisałem, jak nagła strata ma swój przedłużony koniec? Taka strata zdarza się, gdy nie może być żadnego wytłumaczenia, oszukania zmysłów. Ten ciągły brak kogoś, czegoś w historii. Nieobecność najpotrzebniejszego. W liściach dziadka, babci, ojca, brata, które wyrwykowo czytam, zawsze kogoś brak, piszą do brakującego, są smutni i spokojni zarazem, jest się *do niczego, gdy brakło prawdziwego opiekuna*. Gdy brak ciała.

Ciało choruje. Brat wypisał się ze szpitala i po tygodniu do niego wrócił. Lekarka mi powiedziała, że nie jest najmądrzejszy. Mogłem wtedy powiedzieć coś mądrego, że nie wiadomo, co o nas powiedzą, jak zadecydujemy wobec klęski ciała. Najgorsza ta gipsowa twarz oceniających. W słowach. Bywa się niemową, a ciało w takich chwilach bliskie złapania i zabrania w nieznane miejsce, chce tylko uciekać od ludzi. Ojciec próbował na koniec wyrwać sobie kroplówkę. Nigdy by się nie spotkali, nie było szans bez wojny na spotkanie się moich rodziców. Matka do końca się uczyła, jak żyć w coraz gorszym zdrowiu, nie widząc, nie wiadomo, co rozumiejąc, czego znieść nie mogłem i zdradziłem ją, to jeszcze nie najgorzej brzmi.

Bezwładny trzeźwy, bezwładny pijany, bezwładny w rozdzieleniu życia od ciała. Ale dalej nie widzę szansy, żeby mogło się to inaczej potoczyć, najwyżej trochę inaczej. Nie byłoby wojny, braku ojca matki, oddalonej matki mojej matki, ratowania przez matkę naszego życia, jej dzieci, naszego ojca, roślin, wróbelków, kwiatów, syna siostry, dzieci z domu dziecka, nieruszającego się na ulicy pijanego – nie byłoby mnie – mówiącego, że lubię ożywiać ciało, cokolwiek staje się nim w spojrzeniu i znikać w środku pochodu drzew.



Grzegorz Strumyk, bez tytułu, tempera

## Roman Sabo

*Kondygnacje czasu i przestrzeni*

### GÓRY

Bardzo ładnie mówimy w naszym języku: chodzimy w góry, chodzimy po górach. W moim, wzbogaconym doświadczeniem uchu, brzmi to ciekawiej od: zdobywamy szczyt, wchodzimy na górę. Jakie znaczenie ma wysokość góry? Pewnie znikome, z wyjątkiem sytuacji zdobywania. Zdobywanie ma swoje atrybuty: wysokość, niedostępność, nieucstepliwość, zagrożenie, temperaturę, sta-lub-nie-bilność. Jeżeli nie zdobywamy i po prostu chodzimy po górach? Ten ładniejszy zwrot przypomina, że góra to nie sam szczyt, a wszystko, co szczyt współtworzy: zbocza, doliny, lasy, strumienie, polany, ścieżki ludzkie i zwierzęce. Zamiast tunelowego zdobywania szczytu, rozlewające się jak rzeka w delcie wchodzenie w górę, obchodzenie góry, włóczenie się po górze, poznawanie góry. Wsłuchiwanie się w górę, baczne przyglądanie, uprawianie czegoś w rodzaju mentalnej, werbalnej, fotograficznej kartografii.

Góra ma swoje ścieżki, swoje strumienie, swoje drzewa, swoje krzewy. Ma wszystkie pory roku, które potrafią zmienić ją do niepoznania. Ma rozmaite ptaki – takie, które trzymają się jednego miejsca przez wszystkie sezony, i takie, które wędrują, peregrynują, szukają odpowiedniego dla zaistniałych okoliczności miejsca. Ma wodę bystrą, chłodną, lodowatą, lodem skutą, przykrytą śniegiem. Ma szlaki wytyczone i wydeptane, jak również ścieżki zwierzęce, ruchliwe, płochliwe, pełne zawijasów. Ma swój chłód i swoje nasłonecznienie, swoje stromizmy i swoje miejsca łagodne.

Czyli ma wszystko, co współtworzy aurę góry, oprawę wyprawy, wspomagającą kontemplację, pogłębiającą wrażliwość, wzmacniającą uważność.

Z dużej odległości widać gęsto zarośnięte zbocza. Jest to las wtórny, który wyrósł po wycięciu w pień starodrzewu. Kilka drzew ocalało – wysokopienne jodły i sekwoje, niestety do zliczenia na palcach jednej ręki. Reszta to takie tam świerki, krzewy, krzaki, coś rozsianego przez ptaki, coś przez wiatr, szpalery olch wzdłuż byłej drogi do zwózki drzewa. Wnętrze tego lasu ma za poszycie przede wszystkim uschnięte konary i rachityczne krzaki jagód, na których rzadko dojrzewają owoce. W ogóle jest to dominium hub, próchna, pajęczych nitek, którymi lubią wędrować rzadkie tutaj promienie słońca, suchego igliwia. I ciszy, rwanej niekiedy szumem skrzydeł przelatującego kruka, skrzeczącym nawoływaniem sójek, bębnieniem dzięciołego dziobu czy kwilącym piskiem brązowych górskich wiewiórek. Wiatr, jeżeli szumi, to wysoko, wśród zielonych koron, niewidocznych z burego wnętrza lasu.

Zapewne ze względu na swoje odosobnienie, swoją unikalność, wielkie jodły i ogromne sekwoje wywierają katedralne wrażenie. Potężne kolumny, śmiało wspinające się w przestrzeń, grubo obrośnięte szorstką, głęboko pobrużdżoną, ciemnobrązową korą. Wchodząc między nie, trudno oprzeć się myśli o gotyckich ramach przestrzeni, powietrza i skupienia. Stoi też w tym lesie kilkanaście uschniętych, spiralnie skręconych, ogromnych pni. Skręt sprawia, że całkowity brak kory odsłania pasma drewna różnej grubości, trwałości i giętkości. Jedne mają kolor jasnosuchoego drewna, inne rudziejącego próchna czy zwęglonych głowni z czarnymi jak sadza figurami geometrycznymi. Aż chce się utrzymywać, że Jean Nouvel natknął się na jedną z tych kolumn podczas wędrowki po górze i dopiero w fazie przekonywania Hiszpanów do swojego projektu Torre Agbar zaczął bajdurzyć o inspiracji wieżami Gaudiego i kształtem skał w górach Montserrat. W zimie, po opadach śniegu, dochodzi kolor białych, delikatnie osadzonych w szczelinach płatków, wciśniętych wiatrem w szczeliny, białych bandaży.

Czerń podpalanych piorunami pni współistnieje tu często z soczystą rudością próchna czy jadowicie nasyconą wilgocią zielonością mchów. Czasem fragmenty rozsypującego się pod różnymi kątami pnia przypominają megalityczne kręgi ułożone z wielkich głazów, kruszące kamienne warownie, resztki obronnych wałów. Innym razem osypujące się w trakcie próchnienia pnie przybierają sylwetki leśnych stworów, które najdoskonalej opisałby Leśmian. Groteskowe głowy, maskarony żywym przeniesione z gotyckich katedr, jakieś dziwadła tworzone przez rozpad solidnych pni, oderwane od oblicz oczy, spojrzenia, nosy, grymasy.

Galeria sztuki jak najbardziej naturalnej, zaproszenie do obserwacji, mnożenia skojarzeń, do stania się artystą wyobraźni, do wpisania własnego zaistnienia w ten leśny nieporządek, bogaty, barwny, powstający spontanicznie przy ingerencji wiatru, deszczu, słońca, zmiennych temperatur, w końcu – wszechogarniającej grawitacji. Grawitacji, która ściąga ze skał, wznoszących się nad lasem, strumienie. Zimą kryje je śnieg, nie widać ich i nie słyszać. Wzbierają na wiosnę, wypełniając las szumem spływającej, spadającej, pieniającej się między głazami i korzeniami drzew wody. W lecie, które staje się coraz bardziej suche, milkną i trzeba się dobrze nachodzić, żeby znaleźć wodę w korycie na zanurzenie stóp czy przemycie twarzy. Wyżej, wśród skał, leżą świetnie nadające się do kąpeli jeziorka, no, ale tam pójdziemy znacznie później. Może dopiero późnym latem, wczesną jesienią, żeby przy okazji spotkać stadko prowadzonych przez mamę głuszycę głuszyniątek, przyglądać się harcom małych brązowych górskich wiewiórek. Mają w zwyczaju nieruchomieć na pniu drzewa z głową w dół, patrzeć przez chwilę na intruza, zakwilić tym swoim wysoko ustawionym głosem i zniknąć w poszyciu lasu, w swoich podziemnych labiryntach. Mają też w zwyczaju zrzucać z jodłowych i sosnowych wierzchołków dorodne szyszki, które łatwiej jest im rozłupać siedząc na ziemi, niż na chwiejącej się we wszystkie strony koronie drzewa.

Jest też tam, wyżej, polana ulubiona przez niedźwiedzie. Porośnięta jagodami, wygrzewająca się w słońcu, na tyle otwarta, żeby z daleka zobaczyć piechura

i nie spłoszyć się jego obecnością. Niedźwiedź obrzuca intruza, do obecności którego zdołał przywyknąć, obojętnym wzrokiem i zanurza paszczę wśród jagodowych krzaków. A piechur, zawsze tak samo poruszony i odrobinę wyprowadzony z równowagi tym spojrzeniem, idzie dalej w swoją stronę. Tam, wysoko, można też przyglądać się powietrznym akrobacjom kruków. Czasem przeleci nad głową jastrząb, innym razem przesybuje orzeł.

Ogromne ptaki, widziane wysoko nad głową, cieszą swoją obecnością. Ale tu, w lesie, wśród tych kilku ocalałych olbrzymów, gardłowe nawoływania kruków, ich odgłosy przypominające uderzenia kul bilardowych o miękkie sukno brzegów stołu, ich umiejętność wytwarzania w gardle dźwięków rozpryskujących się kropli wody, mają czar tajemniczy. Ucho wsluchuje się w wieści ze świata, w którym uskrzydłone stworzenia żyją według własnych praw, własnymi sprawami zajęte, całkowicie obojętne wobec człowieka. Wyżej, na gołej ścianie szczytu potrafią zachowywać się zupełnie inaczej – wystarczy przysiąść, wyciągnąć jedzenie, żeby natychmiast pojawił się kruk oportunistą, czekający cierpliwie na daninę lub z lisią chytrąścią wykradający nieostrożnie odłożone na bok jedzenie.

Podglądanie ptaków fascynuje. A mimo to, zupełnie innym ptakiem zdaje się kruk zdolny do powietrznych akrobacji, wzlatywania, pikowania, obrotów przez grzbiet czy, podczas rytualnego tańca godów, szepiania się z drugim krukami szponami i podwójnym spadania w przestrzeń. Kruk przechera, bliższy naszym pojęciom o zwierzęcym świecie, mimo dostarczanej oczom rozrywki, jest i mniej tajemniczy, i mniej inspirujący od tego w powietrzu czy w koronach drzew, całkowicie oddanego swoim sprawom. Jego głos, zwiastun, a może cień obecności, odmyka tkwiące w podświadomości furtki, prowadzi myśl przez głębokie pokłady ewolucji i współistnienia różnorodnych przejawów natury.

Cień. Lubię cień na tej mojej górze. Nie tylko dlatego, że chłodzi skórę. Woda w górskim potoku robi to lepiej i skuteczniej. Przede wszystkim dlatego, że zachowuje się często jak projektor, wyświetlając na szlaku, na przydrożnych kamieniach, w jasnych plamach światła, zarysy, sylwetki, szkielety paproci, czarno-białych zaistnień, delikatnych i ulotnych jak blask, jak odbicie, jak delikatny naskalny rysunek, jak zachowana w masie kamienia skamielina paproci czy płatków kwiatu. Traktuję cień jak wiernego, chociaż nerwowego towarzysza podróży, który nigdy nie stoi w miejscu. Jak rozbrzykany dzieciak skacze do przodu, zostaje w tyle, wspina się na pnie drzew, płacze wśród kamieni. A najlepiej zdaje się mieć wśród mchów i na leśnej podściółce. Mchów, szczególnie wiosną, jest tu zatrzęsienie. Nasyczone wilgocią porastają wszystko: kamienie, zwalone przez czas pnie, owijają w swoje futerały gałęzie. Położona na nich dłoń zapada się w miękkość poduszki z pierzem, wilgotniejąc jednocześnie. A oko fascynują te wszystkie figury geometryczne rozwijającego się mchu, uźębione trójkąty, koncentryczne kręgi, rozpełzające się na wszystkie strony sznurki łodyg.

Mech ma tutaj wiernych towarzyszy, paprocie. Uzupełniają się kolorystycznie. Ich symetryczne formy powiązane z energiczną wybujałością wprowadzają róż-

norodność w obszary poszycia lasu. Odrobina wyobraźni, szybki zabieg odwrócenia proporcji, a pomniejszony do rozmiarów mrówki wędrowiec znajduje się w dzikiej dżungli, na nasyczonej wodą, miękkiej polaci jakichś prehistorycznych mchów, w głębokim cieniu rzucanym przez palmy paproci, w miejscu pełnym zagrożeń ze strony wielkich jak pterodaktyle ptaków czy wiewiórek potężniejszych od mastodontów. Tutaj też, w tym wyobrażonym świecie fauny i flory sprzed pojawienia się człowieka, skondensowały się wszystkie leśne zapachy: wilgotnych mchów, pachnących jak tłusta, nawilgotniona, żyzna ziemia, suszu podściółki pachnącej prochem, od którego kręci się w nosie, próchna, które pachnie suchością wielkiej, pamiętanej z dzieciństwa szafy. A jak pachnie kropla rosy na liściach krzaków malin, ktoś inny będzie musiał opowiedzieć.

Mchy pochłaniają nie tylko wilgoć, ale również głośnie. Wiosenny, wilgotny las brzmi miękko, Przede wszystkim cisza paury. W gęstym lesie paury trwają długo. Oddzielają od siebie, a może pozwalają lepiej wybrzmieć poszumom wiatru czy trelom ptaka, stukotowi dzięciołego dzioba czy szumowi strumienia. A także, co najważniejsze, biegowi myśli.

Gdy wchodzi się w las, gdy wielokrotnie wchodzi się w las, otwiera się paleta doznań. Wzrok, słuch, dotyk, węch uaktywniają uwagę. Wędrowiec odkrywa dla siebie gęsty dzieciństwo. Branie do ręki, powielanie kształtu sunącym po przedmiocie palcem, wąchanie, a nawet smakowanie wilgoci, suchości, delikatnej miękkości, czy skalnej twardości. Dotyk. Próchno jest miękkie i łatwo kruszy się w palcach. Opalone drewno lśni czernią i nie brudzi palców. Głębokie bruzdy grubej kory wchłaniają palce. Podnoszone kawałki drewna o różnych, przez naturę stworzonych kształtach, obliczach i wywijasach. Delikatne i miękkie gałązki choinek. Węch, broniący się na co dzień przed wyczuwami wielkiego miasta, budzi się powoli, subtelniej w otoczeniu młodej jedliny, sączącej się z kory sosny żywicy, delikatnego a oczywistego aromatu rozłupanego cedrowego drewna. Wzrok, rozlatany wśród jaskrawych abstrakcji miejskich ulic, krzykliwych reklam, żądających natychmiastowej reakcji znaków drogowych, łagodniej w palcie brązów kory, głębokiej rdzy próchna, zieleni na niebieskim lub szarym tle nieba nad głową, srebrnej i ruchliwej powierzchni potoków.

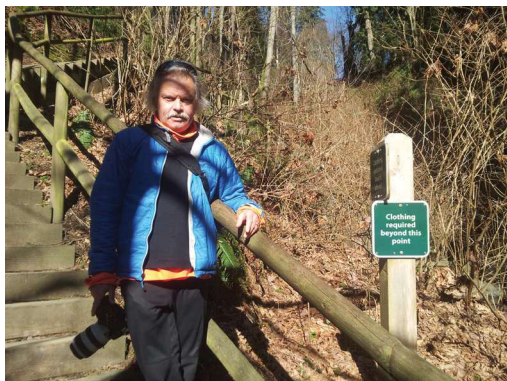
Wnętrze lasu oczyszcza, uwyrażnia, obrysowuje, uwydatnia, wydziela, filtruje. Wzrok, przyzwyczajony do nieruchomości miejskiego krajobrazu, do ostrych brzegów, do niepodważalnej definicji twardości, rygoru kąta prostego, twardości powierzchni, cieszy obserwacją tafli jeziora, gdy wodę tnie zanurzone w niej ciało pływaka. Kiedy tuż obok pojawia się pająk, zdaje się być większy niż w rzeczywistości. Pod jego rozłożystymi odnóżami woda ugina się jak powierzchnia dotykane go palcem balonika, a dotyk jest tak miękki, że spod płóz, na których porusza się po powierzchni, nie rozchodzą się kręgi fal. Pływak, o ileż cięższy i solidniejszy, pcha przed sobą te wodne zakola, w których tańczy las, płasają trzciny, twarde drzewa nabierają gumowej plastyczności, a nadbrzeżne głązy płyną w odbiciu jak starannie odkrawane plasterki kamienia. Ruch, falistość, miękkość. Cały statyczny świat, od-

bity w tafli jeziora, jak w bajce zapamiętanej z dzieciństwa, rusza w tany. W wodzie pojawia się płynne odbicie przelatującego nad jeziorem kruka. Po chwili ochrypliły okrzyk, jakby ponaglanie, dochodzi spomiędzy wysokopiennych sosen. Leżąc na plecach, praktycznie nieruchomo, pływak widzi nad sobą bezkres nieba. Kruk widzi oko jeziora w bezmiarze lasów, nad nimi twardość głazów składających się na górę, która falami szczytów rozchodzi się nieskończoność masywu po wschodniej stronie przestrzeni, a ostrymi brzegami opada w ramy płaskiego południa pół uprawnych i wodnego zachodu, z pasmem kolejnych gór na horyzoncie. Między krukiem a pływakiem rozciąga się wypełniona ciszą przestrzeń, wspólna obu.

A gdy przychodzi zima i pada śnieg, wędrowiec widzi, czym jest cisza. Cisza jak biel śniegu. Cisza próbująca się stać dźwiękiem jak powolne osypywanie się śniegu z koron drzew w nieporuszonym wiatrem powietrzu. Biel jak rozwijająca się w czasie, w przestrzeni cisza. Biel jak nieobecność cieni; cisza jak nieobecność tonów. Biel – pauza w wielobarwności. Cisza – pauza między tymi wszystkimi dźwiękami, którymi komunikuje swoją obecność świat. Wczesny, lekki, puszysty śnieg, delikatny jak płatek kwiatu. I ten późny, zleżały, ciężki, splekany, pomarszczony jak znużona życiem twarz. A wyżej, wśród skał, gdzie śnieg z wiatrem rzeźbią góry, gdzie aż roi się od wyrzeźbionych ze śniegu postaci, może pojawić się myśl o pięknie przemijania; myśl związana z kontemplacyjną akceptacją tymczasowości, podstawowego faktu istnienia w tu i teraz, uważnego pochylania się nad przemijającą chwilą.

Roman Sabo

Fot. M. Kusiba



Roman Sabo na Wreck Beach

## Katarzyna Turaj-Kalińska

*Lampa z końskiej czaszki*

### „DO TYCH PAGÓRKÓW...”

Przed kolejnymi wakacjami dziadek wybrał się do Rabki i objechał ją dorożką, czując się jak za dobrych, przedwojennych, warszawskich lat, gdy był to jeszcze podstawowy środek lokomocji. Kochałam i ja dorożki, i nudziłam o przejażdżki, ale zawsze słyszałam: „nie, Kasiu, to za drogo”.

Nic się dziadkowi nie podobało, a zwłaszcza ceny, aż w końcu woźnica poradził zapuścić się dalej, ulicą Poniatowskiego w stronę Słonego, gdzie może być taniej niż w centrum. Jechali przez chwilę wzdłuż potoku pod nazwą Słonka, uwięzionego w głębokim, sztucznym korycie, mającym zabezpieczać strugę przed wylaniem w razie gwałtownych, górskich opadów. Skręcili wreszcie w lewo i zatrzymali się na końcu stromej, króciutkiej uliczki.

– Stały tam, rozumiesz, takie trzy wille: Mewa, Storczyk i Szczęść Boże – opowiadał po powrocie, niezmiernie z siebie zadowolony. – Zaszedłem do Mewy, ale to pensjonat z wyżywieniem, a to jest, ma się rozumieć, bardzo drogo. Będzicie w nim jadły tylko obiady, śniadania i kolacje zrobicie sobie same. W Storczyku, rozumiesz, spotkałem właścicielkę, no i dogadałem się. Wybrałem dla was narożny pokój z balkonem na pierwszym piętrze i dałem zadatek, ma się rozumieć.

Do Rabki kursowały autobusy, które wówczas zatrzymywały się dość blisko wylotu Poniatowskiego. Dalej – z bagażami o wiele już mniejszymi niż gdy jeździło się na głuchą wieś – pozostawała tylko, ku mojej ucieście, dorożka. I znów mogłam siedzieć na koźle wpatrzona w tanecznie rozhuśtany koński zad, w podskakującą uprząż i grzywę. W majtający ogon, spod którego od czasu do czasu, foremne jak babki z piasku, wyskakiwały kupy o zapachu ostrym, ale nie obrzydliwym przecież jak to bywa u mięsożerców wydalających trupy. Skóra konia wydzielala upajającą woń, nieporównywalną z niczym... Piękniejszą od kwiatów – z wyjątkiem maciejki.

Klap, klap, klap, klap. Gniadosz czy kasztan włócił się leniwym kłusem, góralowi w kapeluszu z muszelkami też się niespecjalnie spieszyło. Nam tym bardziej w drodze na wakacje! Od połowy szosa robiła się coraz bardziej stroma i koń sam z siebie szedł stępa, jakby czuł, że w duchu błagam go o przedłużanie w nieskończoność tej przejażdżki. Choć raczej chyba szosa to czuła, bo zaczynała piąć się coraz bardziej.

Skręciliśmy w lewo na jeszcze większą stromiznę, gdzie koniowi przydałyby się pazury. Ale dał radę. U stóp góry zwanej zabawnie Grzebieniem istotnie stały jak byk: biała Mewa, żółtawy Storczyk i szare Szczęść Boże. Zrosnięte płotami

jak syjamskie trojczki. Zapadał wieczór, w Beskidach zawsze trochę wilgotny od łąk i lasów. Nikogo w pobliżu nie było, a Storczyk wydawał się wymarły. Wejście miał z tyłu, więc po pokonaniu z bagażami z pomocą naszego woźnicy trawiastego podjazdu – genialny wynalazek kółek przy walizkach jest o wiele późniejszy – rozpoczęliśmy z matką długie pukanie bez nadziei, że ktoś nam otworzy. Po chwili jednak wyszła pani w nieokreślonym wieku z taką twarzą, co to wygląda na dziwnie znajomą. Przywitała nas życzliwie, choć bez hałaśliwego entuzjazmu. Zaprowadziła na górę i otworzyła narożny pokój z balkonem. Po czym zniknęła i nie ujrzałyśmy jej do końca pobytu.

Zorientowałyśmy się, że w Storczyku nie ma nikogo poza nami. Wszystkie okna prócz naszego były ciemne, podczas gdy w domach po obu stronach paliło się światło. Nie wiedziałam, że ta willa była przed wojną jednym z ważniejszych pensjonatów w Rabce. Inaczej zaraz by mi się zaroiła od duchów – od gwarów zaczajonych w pustych korytarzach, stukania talerzy w jadalni, garnków w kuchni, śmiechów... Zaryglowałyśmy dół na wszystkie spusty, a klucz w naszym pokoju przekreśliłyśmy do oporu i jak najszybciej wpakowałyśmy się do wygodnych łóżek z śnieżnobiałą, wykrochmaloną na sztywno pościelą o zapachu szarego mydła.

Odtąd już nie wracało się z wakacji do domu w Krakowie, lecz raczej po dziesięciu miesiącach szkolnej męki wracało się na Słone jak do domu. Zamiast stęsknionej rodziny czekali na nas bracia i siostry z innych gałęzi drzewa ewolucji. Cykały świerszcze, kumkały żaby, cierpko i słodko drażniły język czarne jagody, zwane w tej okolicy borówkami. Pachniała końska skóra i mleko prosto od krowy. Pachniały jaśminy i maciejka. Bolały nogi od biegania, piekły otarte kolana, bąble od pokrzyw na łydkach i zadrapania od jeżyn i malin. Jak wielka lampa jarzyła się górka Grzebień oświetlona słońcem lub chłostana biczami rzęsiстых deszczy. W tym miejscu zapuściłyśmy korzenie. Sezonowo jak cebulkowe kwiaty. Raczej mieczyki niż żonkile, bo żonkile dają sobie radę pozostawione na zimę w glebie, a mieczyki trzeba wykopywać.

Tymczasem przenieś moją duszę utęsknioną  
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych

Doprawdy, nie trzeba się fatygować nad błękitny Niemen, wystarczy szaro-złota Słonka schwytna u wejścia do doliny między Maciejową a Szumiącą w głęboką cembrowinę – jak trzepoczący się ptak w sidła. Oślepięna kamiennym kapturem jak sokół i zrywająca się do lotu na krótki czas po wielkich deszczach.

Jeżeli tylko nie padało, co dzień po południu, zalewając się potem, chadzałyśmy na spacer, przeważnie w stronę Grzebienia, choć nie zawsze docierałyśmy na szczyt. Zatrzymywały nas zazwyczaj jagody, skubałyśmy je przez godzinę albo dwie. Niekiedy miałyśmy przy sobie blaszany kubeczek, ale wiadomo, że napełniało się tylko brzuchy i to nigdy do syta. Kiedy z rzadka trafiła się pyszna, leśna, nieporównanie bardziej aromatyczna od ogrodowej poziomka, matka wołała:



– Mam coś dla ciebie! Otwórz buzię, zamknij oczy, a coś ci do buzi wskoczy.

Ja też biegłam do niej z każdą wielką poziomką, ucząc się, że przysmak sprawia o wiele więcej przyjemności, gdy go podarujemy komuś, kogo kochamy. Lekcje te, może najważniejsze na świecie, powtarzałam potem z córką i wnuczętami. Komunia poziomkowa...

Omijałyśmy trwoźnie kupy kamieni zebranych przez górali z niewdzięcznych, trudnych pól, które wciąż je rodziły, nie wiadomo skąd i jak. Na kamieniach podobno lubiły wygrzewać się żmije, lecz nie widziałam ani jednej. Ani nawet zaskrońca. Nieomal całkiem je wytępiono w tamtym czasie, choć nadal cieszyły się złą sławą. Byłam już po pięćdziesiątce, gdy w Wysowej w Beskidzie Niskim zobaczyłam pierwszego w życiu węża w jego naturalnym środowisku – rozjechaną miedziankę. Było za późno na przeprosiny w imieniu ludzkości.

Gwoli geograficznej ścisłości muszę zaznaczyć, że rabczański Grzebień nie jest kwalifikowany przez naukę jako „góra”, tylko jako „wzniesienie”. To wcale nie wynika z jego marnej wysokości nad poziomem morza, nie sięgającej nawet siedmiuset metrów, co zresztą przekracza maksymalną wysokość na przykład Ardenów, z dumą noszących nazwę pasma górskiego. Przeciwnie, byłyby górą i przy wysokości trzystu metrów, gdyby tylko stał samotnie! Liczy się względna różnica wzniesień, a tuż obok Grzebienia rozpycha się Bania, niewiele od niego wyższa. Z drugiej zaś strony, nieco dalej, ale w tym samym masywie wyrasta Szumiąca, sięgająca powyżej ośmiuset metrów bezwzględnej wysokości. Grzebień zapewne wolałby się przytulić do strzelistej, lesistej Szumiącej o imieniu prawie tak pięknym, jak Izolda Złotowłosa. Cóż, kiedy musi żyć u boku krępej i łysej Bani. Sam też jest łysy, przynajmniej od strony Słonego i bezlitośnie poorany na południowych zboczach. Może pocieszyłoby go, że znalazł się w niezgorszym towarzystwie, dzieląc los Plutona, którego zdegradowano z pozycji planety do marnej planetoidy. Dla mnie Pluton na zawsze pozostanie planetą, a Grzebień – górą.

Ze szczytu Grzebienia, po północnej stronie, za przysiółkiem pod pobudzającą wyobraźnię nazwą Zaryte, widać było Luboń Wielki. Wyglądał jak ponure, śpiące zwierzę – nadnaturalnych rozmiarów bizon czy nawet mamut o zjeżonej sierści, porośnięty gęstą szczecinią jodeł i świerków. Sądziłyśmy wtedy, że jest dla nas za daleko i za wysoko. Niemniej wybrałyśmy się w końcu trochę dalej, na Szumiącą. Matkę zachwycała nazwa. Mam wrażenie, że poszłyśmy tam tylko po to, by ona mogła powtarzać po drodze:

– Jak to cudownie brzmi: Szumiąca, Szumiąca, Szumiąca...

Była w takiej euforii, że zaczęła szukać dla mnie i dla siebie przezwisk, które pasowałyby do naszych wypraw.

– Wiesz, kto ty jesteś? – spytała mnie ze śmiechem. – Ty jesteś Kaś Wędrowniczek. A ja... czekaj... czekaj... Mam! Ja jestem Zosia Beskidnica!

Szalała z radości. Frunęła nad polnymi drogami i leśnymi ścieżkami, szumiąc skrzydłami. Na Szumiącą i z Szumiącej. Dziś frunę z nią. Ale wówczas byłam na innym etapie. Chciałam się bawić w Indian, detektywów... Grać w badmintona,

łapać kijanki, zbierać kamienie i patyki. Łaknęłam towarzystwa innych dzieci i uwielbiałam tak się zmęczyć i wybiegać, żebym po kolacji mogła już tylko rzucić się na łóżko w ubraniu. I wypowiedzieć słowa rytualne jak modlitwa wieczorna, na którą brakowało zwykle sił:

– Róbcie ze mną, co chcecie!

Dzieci wyrażają zachwyt nogami. Bieganiem, rozkosznym zmęczeniem i błogim skonaniem pod koniec dnia. Takie rzeczy jak Szumiąca razem z jej nazwą, drzewami, trawami i popołudniowym słońcem przyjmuje się od matki na wiarę i odkłada na później do małej skrzyneczki. Otwieramy ją po wielu latach, gdy te skarby już dostatecznie długo leżakowały, omszały i nabrały smaku. Zwykle już w samotności.

Pewnego dnia matka postanowiła, że pojedziemy na cały dzień w Tatry. Dotarłyśmy autobusem do Chabówki, a stamtąd do Zakopanego pociągiem. Potem znowu autobus do Morskiego Oka. Dojeżdżał wówczas do samego schroniska. Nie było jeszcze takich tłumów turystów jak dziś ani w Zakopanem, ani dookoła stawu. Tylko przyroda i pojedynczy ludzie na szlakach, czasem jakaś para. Turyści byli na ogół odpowiednio ubrani, we flanelowych koszulach, pumpach, grubych, wełnianych skarpetach i buciorach zwanych traktorami. Niekiedy na ścieżkach pojawiali się taternicy z szalowanymi linami na plecach. Nie schodzili, tylko zbiegali jak szaleni po kamiennych stopniach, wyraźnie szczęśliwi, że wciąż żyją.

Nad Morskim Okiem matka próbowała zaprogramować moje wrażenia. Starła się odczedzić dla mnie piękno od kiczu, abym nabierając upodobania do tego pierwszego, nie polubiła przypadkiem tego drugiego! Nie było to łatwe.

– Spójrz jakie ono jest piękne. Naprawdę kawałek morza – zaczęła. – Te skały, te ciemnozielone lasy, które się w nim odbijają. A kolor! Jakby ktoś nalał ciemnozielonego i granatowego tuszu. A woda jaka krystalicznie czysta! I lodowata. Dotknij.

Kucnęłam na brzegu. Gdy zbliżyłam się do wody, małe brązowe rybki buszujące między kamieniami uciekły. Nie podpłynęły jak te z sadzawki w Parku Zdrojowym w Rabce, choć wyglądały podobnie. Zanurzyłam dłoń w wodzie i zaraz ją cofnęłam, czując ból. Była chyba zimniejsza od lodu! Wstałam i zrobiłam krok w tył. A potem drugi – na wszelki wypadek. Jak mogłam podejść tak blisko? Jeden nieostrożny krok i zapadam się w głąb, coraz zimniejszą i coraz ciemniejszą... Potem... może... na dnie słoneczny sad z chatynką wróżki, jak w tej baśni o dziewczynce, która wpadła do studni i dobrze na tym wyszła, a jej zła siostra – wprost przeciwnie. Tymczasem matka zachęcała mnie do ostrożności innego rodzaju.

– Ono jest tak niemożliwie piękne w tym wianuszku poszarpanych skał, chwilami aż kiczowate – powiedziała. – I jeszcze ta samotna limba! Jak z jarmarczego obrazka. Co?

Czy nałożyła jej się rzeczywistość z oleodrukami, popłuczynami po Wyczółkowskim? Była zaślepiona sztuką i wystraszona kiczem. Czy natura może sama z siebie stoczyć się w kicz? Słuszność tego, co mówiła matka, była nie do podwa-

zenia. Porcelanowe pieski z bolącymi zębami przestały mi się od razu podobać, gdy dowiedziałam się od niej, że są paskudne. Jeżeli mama powiedziała, że z tym zachwytem nad Morskim Okiem trzeba uważać, byłam gotowa i na to, cokolwiek by to miało znaczyć. Zresztą nie zajmowało to moich myśli. Odkładałam na później wszystko, co mówiła.

Kiedy poruszyłam później z ojcem temat kiczu, nagle znowu zrobił się istotny. Poskrobał się w głowę i powiedział, że muszę się tego nauczyć. I że pewnego dnia zrobi mi taki test: pokaże dwa obrazy, jeden będący prawdziwą sztuką a drugi jarmarczynym oleodrukiem. Wtedy będę musiała rozstrzygnąć, który jest który. Czekałam na to z zapartym tchem przez pewien czas, drżąc, czy zdam tak ważny egzamin. I jakąż marną okazać się istotą, jeśli się pomył! On, naturalnie, natychmiast o tym zapomniał.

Po stawie kursował prom, który potem zlikwidowano. Właśnie płynął z powrotem, w naszym kierunku. Matka nie omieszkiała podzielić się spostrzeżeniem, że na tle tego niesamowitego jeziora wygląda jak łódź Charona. Prawdę mówiąc, z Charonem kojarzył jej się każdy prom kursujący między dwoma brzegami jeziora czy rzeki. Mnie – wówczas – jeszcze nie, choć recytowałam z pamięci imiona bogów olimpijskich a nawet dziewięciu muz z Parnasu. – Wstyd byłoby nie znać – twierdziła matka w czasach, gdy nie było jeszcze internetowych wyszukiwarek. Zdołała mi wbić do głowy to połączenie łodzi i Charona.

Podobnie jak wiele innych, mniej banalnych. Malarskich, teatralnych, literackich. Matka – Pigmalion. Ale to nie była indoktrynacja. To były dary. Mogłam ich nie przyjmować, zapomnieć o nich lub zamienić na inne w ciągu życia. Mogłam się przeciw nim zbuntować, ale nie zrobiłam tego. Dary pozostały darami, chociaż pewnego dnia zaczęłam kojarzyć łódzie także z innymi opowieściami, bardziej optymistycznymi i mniej pogańskimi. Choćby z ewangelicznym połowem na jeziorze Genezaret.

Płynęłyśmy szarą krypą z kilkoma innymi turystami i z góralek poruszającym wiosłami w dulkach, który nie miał w sobie nic z Charona. Charon przecież stoi – na siedząco nie miałby należycie ponurej sylwetki – i odpycha się długim kijem od dna. Zanurzyłam rękę i próbowałam rozgarniać nią granatowo-zieloną wodę jak małą śrubą okrętową, ale musiałam wyciągać ją co chwila i ogrzewać w słońcu. Tu, na środku Morskiego Oka, woda była jeszcze zimniejsza. Matka zadarła wysoko głowę i z błogim uśmiechem omiatała wzrokiem szczyty porośnięte u podnóżu lasami. Zachęcała do podziwu, ale wolałam gapić się w toń. Wypatrywałam w niej rybek widocznych przy brzegu, takich samych prawie jak te z sadzawki rabczańskiej – tej w kształcie łeczki. Nie było ich widać. Nie zapuszczały się tutaj, bały się lodowatej głębi tak jak ja. Wolałyby pewnie sadzawkę w Parku Zdrojowym, gdyby tylko o niej wiedziały.

Niezbyt długo trwało przepłynięcie płaską łodzią kilkuset metrów na drugi brzeg. Dalej wspinaliśmy się kamienną ścieżką. Graniczące niebezpiecznie z kiczem piękno Morskiego Oka zniknęło nam z oczu. Pojawił się Czarny Staw. Nie

wydał mi się wcale czarny, miał zielonogranatowy kolor podobny do Morskiego Oka. Nadany nie tylko przez odbite lasy, ale i przez bakterie, sinice, które potrafią tak uprzykrzyć wakacje nad morzem.

W porównaniu z Alpami Tatry są takie przytulne! Wszystko jest w nich na wyciągnięcie ręki – szczyty, przełęcze, doliny, jeziora, piargi, upłazy. Poza tym nie rzucają rozległych cieni. Wieczór nie zapada w nich tak nagle i ostatecznie. Zdążyliśmy tylko westchnąć z zachwytu. Pokazać sobie palcami Rysy, najwyższy polski szczyt. I już trzeba było wracać, jeśli miałyśmy zdążyć przed nocą do Rabki. Dziś, kiedy myślę o widoku na Rysy znad Czarnego Stawu, przychodzi mi do głowy obraz René Magritte'a *Le domaine d'Arnheim*. Skalista góra, której szczyt jest głową orła. I gniazdo na dole – z dwoma jajkami. Te jajka to my – ja i moja matka u stóp Rysów nad Czarnym Stawem tamtego lipcowego dnia 1965 roku. Magritte'em też mnie zaraziła. I przekonaniem, że surrealizm kiczem być nie może, bo jest na to zbyt dowcipny.

Może inteligent z jej pokolenia, który bał się kiczu jak ognia, nabrałby większej ufności do Morskiego Oka, gdyby się inaczej nazywało. Gdyby wróciło do którejś z pocziwych, miejscowych, górskich nazw. Biały Staw to przesada – bywa takie chyba tylko w zimie – ale Rybi Staw byłby całkiem na miejscu. Za późno. Wszystkie cepry znają je pod tym szmirowatym imieniem, które podobno jest tłumaczeniem z niemieckiego. To Niemcy czy też może Austriacy, sprawujący swoje zaborcze rządy na tych terenach, zrobili nam taki prezent. Morskie Oko długo nie było jednoznacznie polskie. Toczyły się o nie przepychanki. Za wszelką cenę chcieli je posiadać Węgrzy z imperium habsburskiego, przez pewien czas było własnością prywatną jakiegoś możnego Prusaka... Dopiero polski arystokrata i patriota, Władysław Zamoyski z Kórnika, szarpnął się na jego odkupienie na wypadek, gdyby Polska odzyskała wolność. Trzeba było kilku procesów międzynarodowych, by to wreszcie zatwierdzono, jak się zdaje, raz na zawsze.

Kto wie, jak by je nazwali Polacy, nieostrożnie zachwyceni w XIX wieku pięknem Tatr? Założę się, że nosiłoby imię jakiegoś bohatera – Tadeusza Kościuszki albo księcia Józefa Poniatowskiego. Sto lat później – Józefa Stalina. Jeszcze później wybuchłyby spory: Romana Dmowskiego czy Józefa Piłsudskiego. Rozstrzygnięto by je, nadając imię Jana Pawła II, o ile nie Lecha Kaczyńskiego, o co znów byłaby kłótnia. Niech więc już lepiej będzie sobie tym „niemieckim” Morskim Okiem.

W drodze powrotnej poczułam, że przygoda jest mi wprost nieodzowna, bo inaczej nie będę miała o czym pisać w powakacyjnym wypracowaniu. Zeszłam trochę ze szlaku i przez jakiś czas próbowałam przeskakiwać z jednego głazu na drugi.

– Mamusiu! Zobacz! Jestem taternikiem!

W pewnym momencie poślizgnęłam się i poleciałam całkiem spory kawałek w dół, lądując na kosodrzewinie, która przytrzymała mnie jak wielka, zielona, kosmata dłoń. Było o czym pisać we wrześniu i mama, która zawsze z wielką uwagą – i bardzo krytycznie – czytała moje szkolne wypracowania, wydawała się zadowolona. Rozbawiło ją zwłaszcza słowo „niechybnie”. „I byłabym niechybnie

się potłukła...”. Gdyby towarzyszyły mi babka albo niania Helenka, moim próbom skakania po głazach położyłby tamę nieludzki wrzask. Niestosowny w górach.

– Teraz będziemy zjeżdżać tymi serpentynami, zobaczysz – zapowiedziała matka, gdy wsiadłyśmy z powrotem do autobusu. Miała minę trochę przestraszona a trochę dumna – jakby sama zbudowała tę drogę.

Ruszyliśmy... Nie! Runęliśmy. Nie spodziewałam się takiego brania zakrętów z piskiem opon. Matka robiła dobrą minę do złej gry, a może naprawdę uważała, że to świetna zabawa? Siedzenia w autobusie były dalekie od dzisiejszych wymogów bezpieczeństwa. Twarde, ceratowe – nie dawały podparcia głowie. Zamiast tapicerowanych poduszek miały metalowe poręcze na wysokości szyi, jakby zaprojektowano je do druzgotania karków. Wypadki się zdarzały, lecz przecież nie wszystkim i wszyscy, prawdę mówiąc, na to liczyli.

Przeżyłyśmy. Powrotu pociągami nie pamiętam, możliwe, że go przespałam. Pamiętam tylko wieczorny marsz pustą i zawsze tak się dłużącą ulicą Poniatowskiego na Słone do Storczyka. Pamiętam matkę, uśmiechniętą i szczęśliwą, która co chwila przystawała i mówiła:

– Czujesz, jak pachnie maciejka?

Dopiero próbowałam nauczyć się odróżniać tę woń od wszystkich innych, które mieszały się w ten lipcowy wieczór. A było tam i siano, i pnące róże, i jaśminy. Doprawdy szkoda, że nie udało się stworzyć zapachu wakacyjnych wieczorów w laboratoriach perfumierskich, żeby można było po zbliżeniu nosa do małej buteleczki snuć w nieskończoność wspomnienia. Szwajcarzy mają taką reklamę – starsza pani z zawiązanymi oczami wacha ser i mówi z rozmarzeniem: „Oh! Mine wandere...”. Po czym zamienia się w młodą dziewczynę wędrującą po alpejskich ścieżkach. W Polsce trzeba by zastąpić ser jajkami na twardo, których zapaszek też nie jest elegancki. Stanowczo pozostawmy przy maciejce. Przy różach. Przy jaśminie.

Wydaje mi się, że księżyc był wtedy tuż po nowiu. Matka pielęgnowała kilka zabobonów, ale w przeciwieństwie do niani bez przekonania. Pająk – rano czy wieczorem? Uporczywe szukanie czterolistnej koniczyny albo pięciopłatkowego bzu „na szczęście”. No i to, jedno z ładniejszych:

– Ukłoń się księżycowi w nowiu, a dostaniesz prezent.

„Ona pierwsza pokazała mi księżyc”. Gałczyńskiego też mi pokazała. I to miejsce w nim. Nie zapomniała o niczym. Dygałyśmy obie przed księżycem. Można było dość łatwo sprawić, żeby magia się sprawdziła, przynajmniej jednej z nas, ale jakoś nigdy do tego nie doszło. Długo myślałam, że moja matka bawiła się wtedy równie dobrze jak ja. Jej pamięć przechowała jednak coś zupełnie innego, co się po latach wyraziło zwięźle jako: „Uwiązanie z dzieckiem na całe wakacje w tej koszarnej dziurze, Rabce”.

Teresa Tomsia

*W pamięci, w odbiciu (13)*

## PORTRET POETKI W PORANNYM ŚWIECLE

Parafrazując słowa laudacji wygłoszonych w Leśniczówce Pranie przez poetę i krytyka Bronisława Maja oraz historyka sztuki i literaturoznawcę Marka Zagańczyka, można by powiedzieć, że każdy wiersz może być przyjacielem i odkrywcą, gdyż pozwala przekraczać najtrudniejsze z granic – słowa zatrzymują się nad zagadką czasu i łączą to, co jest, z tym, co było. Bywają też wychylone w nieznanie, pozwalają zapisać uczucia, a obok śmierci jest w nich także miejsce na miłość, na błędzenie śladami cieni, ocalają pamięć o przeszłości, poruszają sumienia głosem pojedynczych losów. Święto poezji przybiera najróżniejsze formy, bywa spotkaniem i metaforyczną rozmową o świecie, w jakim żyjemy, dialogiem dykcji i spojrzeń, wzajemnym przyjaznym poznawaniem w nowych warunkach.

Tegoroczna trzynasta już gala finałowa Nagrody Orfeusza w Leśniczówce Pranie odbyła się w słoneczne sobotnie popołudnie 20 lipca 2024 roku. Mistrz Konstanty Ildefons Gałczyński jako patron konkursu spoglądał życzliwie na poetów z portretów w odnowionych wnętrzach muzeum. Organizatorem konkursu jest od początku poeta Wojciech Kass i on też wraz z żoną Jagienką prowadził finałowe prezentacje. O Leśniczówce Pranie mówi jako o centrum świata, w którym odnalazł swoje miejsce i drogę do innych, bo to ogród sztuk wszelakich, niezwykłych zdarzeń i spotkań z mistrzami poetyckiego słowa. Kass przypomina gości z dawnych lat:

O Tadeuszu Różewiczu mówi się mały wielki mistrz, w skrócie mwm. Podobnie mam o Praniu – małe wielkie miejsce, w skrócie także mwm. Tak samo nazwałbym nagrodę małą wielką nagrodą – mwn. A to dlatego, że za patronów ma olbrzymów, a więc Orfeusza, mitologicznego herosa poezji i Gałczyńskiego, tego tajemniczego poetę kobolda, jak go nazwał Miłosz, który wyszedł z ukrytych jak dotąd lędźwi polskiej literatury. Przyznawana jest ta nagroda w Praniu, co prawda w najsłynniejszej leśniczówce w Polsce, ale chyba w najmniejszym muzeum. Mazury są z istoty swojej kameralne, także leśniczówki oraz poezja. O tak, poezja należy do najbardziej kameralnych i intymnych form wyrazu. Wracając do Różewicza, w Praniu rośnie dąglezja z jego ogrodu przy ul. Promień. Przywiózł ją do Prania Janek Stolarczyk, przyjaciel, redaktor i wydawca poety. Wspólnie nasadziliśmy w kątku obejścia drzewko, które dzisiaj wyrosło na pannicę na schwał. Mała szalupka Pranie, a dźwiga tyle mitów, legend, twórców, w tym również laureatów i finalistów nagrody poetyckiej ORFEUSZ.

A więc było tak jak w wierszu finalisty Marcina Orlińskiego: „późne słońce prześwituje nisko przez świerki”, ogrzewa nasze twarze, wsłuchujemy się w recytacje poetyckich strof i krytyczne laudacje, w muzyczne interpretacje ballad Leśmiana, przepelnieni wspólną obecnością w zaciszu oddalonym od codziennych, pośpiesznych spraw.



Bronisław Maj i Marzanna Bogumiła Kielar, Leśniczówka Pranie, 21.07.2024

Gdy spotkałyśmy się znów z gospodarzami tego uroczego miejsca w niedzielny poranek, światło rozjaśniało nasze twarze i ogarniało całą przestrzeń wokół siedliska. Pozostali finaliści, którzy dotarli na galę: Tomasz Dalasiński, Marcin Orliński, Andrzej Zubkowicz odjechali wcześniej. Laureatka Nagrody Orfeusza Marzanna Bogumiła Kielar przyjmowała wszelkie honory ze wzruszeniem, dyskretnie objawiając radość z uznania dla jej wierszy z tomiku *Wilki*, a otrzymała nie tylko nagrodę główną, ale także nagrodę publiczności i inne ogólnopolskie wyróżnienia. Portret w ogrodzie z laudatorem ukazuje jej subtelną osobowość – skupiona na życiu wewnętrznym, poetka broni się przed natłokiem informacji i kontaktów, chroni to, co dla niej ważne: harmonię, umiar, pokój ducha, a w obecnych czasach ujawniania wszelkich tajemnic i skandali okazuje się to nieocenionym darem; złożone ręce tworzą wieniec podobny gałęziom drzewa, przy którym przystanęła wraz z krytykiem. Jest tak, jak napisała w jednym z wcześniejszych wierszy: „łagodne wzgórza stoją w pysznym świetle, / w trawach, nisko, ściśle się śmierć”, bo nieśmiertelna

miłość pamięta o nietrwalej materii ciała, o nieuchronnej utracie. To moje ulubione ujęcie z tamtego dnia – jest w nim jasna przestrzeń serdecznego dialogu w słowach niewypowiedzianych, lecz nieomal namacalnie obecnych.

Wieczór nad jeziorem Nidzkim długo nie gaśnie, mimo późnej godziny światło przenika między gałęziami i właśnie w takiej chwili, gdy poprzedniego dnia już wstawaliśmy do pożegnań, Paula, córka Marzanny, zrobiła mi zdjęcie z laudatorem Markiem Zagańczykiem na tle Leśniczówki Pranie. Od wody nadciągały lekkie mgły, lecz powietrze stało nieruchome, wstrzymywane wciąż falą lipcowego upału. Rozmawialiśmy przy stole zbitym z drewnianych desek o surowych wyrokach losu, o tych, których wśród nas zabrakło, o cierpiących. Była też z nami ubiegłoroczna laureatka Anna Piwkowska, poetka opiewająca w tomiku *Furtianie* zagrożone gaje z ich śpiewnymi mieszkańcami uczącymi nas wzajemnego słuchania. Twarze z przeszłości przypomniane w lirykach *W znikającym ogrodzie*, a więc dawni goście wieczorów paryskiego domu pallotynów przy rue Surcouf: Paweł Jocz, Michał Milberger, Maciej Niemiec, których metaforycznie wspominam, stały się dziś punktem odniesienia – przeglądamy się w ich twórczych dokonaniach, szukamy podobieństw i różnic w dialogu odmiennych dykcji.



Fot. Paula Kielar

Teresa Tomsia, Marek Zagańczyk  
przed Leśniczówką Pranie, 20.07.2024



Przywołuję z radością nasze serdeczne wieczorne rozmowy w ogrodzie, po uroczystości finałowej, z widokiem na spokojne jezioro Nidzkie, a także niedzielne śniadanie z Barbarą Gruszką-Zych, Agnieszką Czajkowską, Jarosławem Ławskim, Bronisławem Majem, Zbigniewem Fałtynowiczem i jego żoną Ewą, gdy przy kawie wspominaliśmy dawne spotkania z naszymi mistrzami słowa i obrazu: Teresą Ferenc, Krzysztofem Zanussim, Anną Kamińską, Zbigniewem Bieńkowskim, Julią Hartwig. Zabrakło wśród nas tym razem dźwięcznego śmiechu Adriany Szymańskiej i stylowych refleksji Piotra Szewca, lecz odjeżdżaliśmy z Leśniczówki Pranie z nadzieją, że jeszcze kiedyś razem spotkamy się przy drewnianym stole, pod koroną zielonych gałęzi.

Sympatyczna Paula Kielar otoczyła mnie opieką w podróży, za co jestem jej niezmiernie wdzięczna, a z doświadczenia wiem, że gościna w Jagienki i Wojtka Kassów przemienia się w przyjaźń na lata. Spotkanie jest bowiem zawsze otwarciem na nowe, wsłuchiwaniem się w inne głosy, ożywianiem nadziei. Marzannie i Pauli towarzyszył w podróży pies Imbir, który pogodnie znosił gwarne towarzystwo i świetnie rozpoznawał swoje miejsce w plenerze, pozując z nami do zdjęć. Światło wokół leśniczówki delikatnie przenikało materię liści, rozświetlało cienie, smutki i zapomniane zaułki, wskazywało drogę na dalsze spotkania i niespodzianki losu.



Fot. Ewa Fałtynowicz

Bronisław Maj, Marzanna Bogumiła Kielar, Teresa Tomsia, Wojciech Kass, Zbigniew Fałtynowicz, Paula Kielar, Imbir, Leśniczówka Pranie, 21.07.2024

Poetkę Marzannę Bogumiłę Kielar, która przez ponad dwie dekady prowadziła uniwersyteckie wykłady i badania naukowe (nad postkonwencyjnym i postformalnym rozwojem osób dorosłych oraz zagadnieniami twórczości i duchowości w ujęciu integralnym), interesuje doświadczenie, przeżycie i jego skutek dla kształtowania się osobowości człowieka. W 2023 roku odeszła z uczelni, by poświęcić się wyłącznie pracy poetyckiej. Świetne efekty jej działań twórczych są doceniane. Nowe wiersze z tomiku *Wilki* na pewno przyczynią się do głębszej analizy losów polskich kobiet w okrutnych wojennych latach i tragicznych okolicznościach, są bowiem głosem o uniwersalnym losie człowieka w tyglu dziejów, przywracają pamięć imion i miejsc – jak ujął to w laudacji Bronisław Maj: „wyjące wilki pamięci czyhają wszędzie na nasze gardła i serca”. Na łamach pism literackich ukaże się zapewne wiele analiz nagrodzonych utworów, tymczasem radujmy się portretem poetki o poranku, gdy łagodne promienie słońca rozjaśniają twarz i koją żale utraty. Niech syci nas aura niedawno minionych godzin w towarzystwie przyjaznych krytyków podejmujących z nami dialog, gdy „zdarza się pogodna chwila / w objęciach łagodnego wiatru, gdy lato / znaczy spokój, dojrzewanie, / nic więcej”.

Teresa Tomsia



Iwona Piejko

Jacek Uglik

*Z obłądu odsiać wers (21)*

## WYJMIJ MI TO Z CZASZKI

BERTOLT BRECHT

**Pieśń wojenna<sup>1</sup>**

Musi mieć amunicję,  
Kto idzie na krwawe boje.  
Znajdą się różni zacni ludzie,  
Którzy dostarczą mu naboje.  
„Nie ma wojny bez amunicji,  
Dlatego mieć ją musicie!  
Wy za nas idźcie walczyć.  
My ślemy wam amunicję.”

Narobili kupę amunicji,  
Ale brakło im jeszcze wojny.  
Postarają się o nią różni zacni ludzie,  
Można być o to spokojnym.  
„Ojczyzna w niebezpieczeństwie!  
Synu, idź walczyć do zgonu  
W obronie twych siostr i matek,  
W obronie ołtarza i tronu!”

W chwili próby bądź dezterem, który nie pojawia się w tobie z braku odwagi przed stawieniem czoła trudnościom, a zawsze w imię pryncypiów, najbliższych ci osób na świecie; i wiej z nimi dokąd cię nogi poniosą. Ziemia się odrodzi, zakwitnie i wydobrzeje, państwa na szczęście upadną, jak wcześniej upadały i upadać będą, jednak, niestety, przyjdą po nich równie nieistotne nowe, z kolejnymi oznaczającymi je abstrakcyjnymi i martwymi symbolami: hymnem, flagą, godłem. Nie daj się wrzucić w wychowujące w nienawiści szambo zwane patriotyzmem. Państwa rozrywają ziemię na krwawiące fragmenty, patriotyzm sprawia, że inny człowiek chce celować w twoją głowę i w miejsce kwiatów gęsto ściele się trup!

Kiedy pojawia się amunicja, a różni zacni ludzie wymyślają wojny i zapowiadają krwawe boje dla dobra najważniejszego, twoich bliskich, niech sobie wsadzą

<sup>1</sup> B. Brecht, *Pieśń wojenna*, przeł. W. Broniewski [w:] tegoż, *Wiersze wybrane*, Warszawa 1954, s. 53.

ci, za których masz walczyć, oferowane naboje. Im będziesz gorszym żołnierzem, tym będzie lepiej i świat odetchnie.

Nieważne, że porzucisz dom otoczony nieprzyjawnymi granicami nieprzyjawnego państwa, tego pustego powszechnika, nicodpowiadającego żadnej sensualnej rzeczywistości, a pojęciom jednak rzeczywistość odpowiadać powinna. I odpowiada! Ten oto lśniący koń, to oto samotne drzewo, tamten rzucony w pole kamień. Wszystkie podobne elementy, składające się na rzeczywistość, teź rzeczywistości odpowiadają. A państwo? Odbierz ziemi państwo, a nic się nie stanie. Państwo wystarczy na mapie przekreślić i już, dokonuje się pożądana likwidacja wraz z patriotycznym ściekiem, wlewany człowiekowi do głowy od kołyski. Jedno skreślenie na papierowej kartce. Zabawne, ale w podobny sposób nawet muchy nie zlikwidujesz.

Ludzie zacni, dostarczający ci naboje! W chwili wojennej pożogi strzelajcie sobie sami! I sami ze sobą urządźcie krwawe boje. Zacni ludzie? Wy gnoje!

Niech nie zwabią cię nigdy zniewalające umysł, rozpalające gniew i utrwalające siłę władzy odwołania do dumy narodowej, najmniej wartościowego rodzaju dumy – jak mądrze i konsekwentnie mawiał Artur Schopenhauer.

Nie łudź się, nie będziesz, synu, walczyć w obronie sióstr i matek, ponieśiesz ofiarę, życiem zapłacisz za ambicje generałów, za pożądaną wojny, stojącą na straży państwa władzy, pójdiesz walczyć do zgonu w obronie nędznego ołtarza i spróchniałego tronu. W krwawej rzezi będziesz zabijać i ciebie będą zabijać, gwałcić, podpalać i zarzynać. Wszyscy umrą, zgniją albo z sił opadną...

Jacek Uglik



Irmina Portka

# SZTUKA

Ks. Paweł Batory

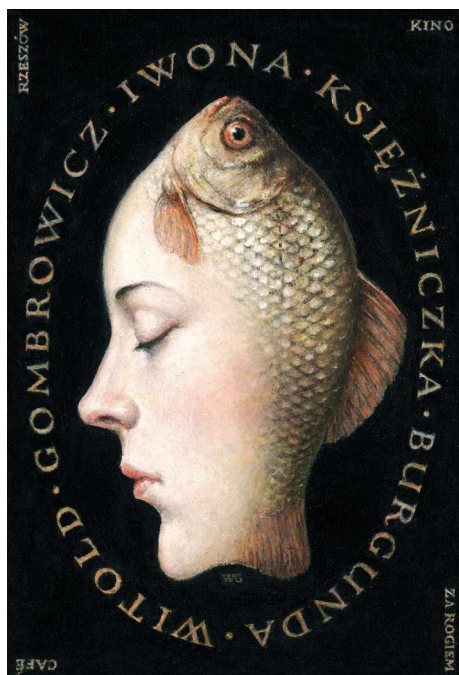
## RYBY I LUDZIE. PLAKATY *IWONY*, *KSIĘŻNICZKI BURGUNDA*

„Gardzi pani? Pogardza pani karasiami Najjaśniejszego Pana?” – te słowa Szambelana stają się początkiem końca życia księżniczki Iwony z debiutanckiego dramatu Witolda Gombrowicza, napisanego w 1935 roku, wydanego trzy lata później i po raz pierwszy wystawionego na scenie dopiero w 1957 roku w Teatrze Dramatycznym w Warszawie. Nic więc dziwnego, że właśnie motyw ryby najczęściej pojawiał się w plakatach, które powstały podczas zajęć z projektowania graficznego II roku kierunku grafika Instytutu Sztuk Pięknych w Rzeszowie, pod kierunkiem profesora Wiesława Grzegorzcyka, doktora Marcina Dudka i magister Moniki Bartosik. W sumie wykonano 42 prace w tradycyjnych i nowoczesnych technikach projektowych: malarstwa, kolażu, fotografii, grafiki komputerowej.

Po *Iwonę, księżniczkę Burgunda* sięgnięto z tego względu, że rok 2024 decyzją Senatu RP ogłoszony został rokiem Witolda Gombrowicza. Trzeba przyznać, że groteskowa satyra na relację jednostki i społeczeństwa, umiejscowiona w baśniowej krainie, była ambitnym przedsięwzięciem i niemałym wyzwaniem dla młodych adeptów sztuki. Cotygodniowe spotkania grupy, polegające na wnikliwych dyskusjach i omawianiu kolejnych etapów procesu twórczego, zaowocowały pracami, które potrafią zaskoczyć „oryginalnością i dojrzałością interpretacji, trafnością użytych metafor i symboli, różnorodnością i jakością” – jak napisali opiekunowie artystyczni w katalogu premierowej wystawy. Tak scharakteryzowali spektrum podejmowanych zagadnień:

Przyszło im [studentom] zmierzyć się z problemami kluczowymi dla plakatu teatralnego. Jak zmieścić całą sztukę, owoc pracy pisarza i wspólnego wysiłku reżysera, aktorów i scenografów, w jednym, nieruchomym obrazie? Jak, przy pomocy środków artystycznych, w sposób najbardziej lapidarny przedstawić sens i przesłanie dramatu? Jak przekształcić plakat we własną, autorską interpretację sztuki? Jak wreszcie urzec publiczność pomysłowością i estetyką dzieła?

Wyjątkowo ciekawa jest praca Wiesława Grzegorzcyka w charakterystycznym dla jego sztuki języku wizualnej metafory. Na ciemnym, neutralnym tle plakacista umieścił wyrazisty znak: połączenie ryby z profilem młodej kobiety o przymkniętych oczach w stanowiącej symetryczną całość hybrydzie. Inskrypcja z imieniem i nazwiskiem autora oraz tytułem sztuki tworzy owalny otok wokół obrazu, a niewielkie napisy za nazwą miejsca umieszczone zostały w narożnikach, każdy skierowany w inną stronę. Zabieg ten podpowiada, że plakat można powiesić w dowolnym kierunku, zarówno w układzie stojącego, jak i leżącego prostokąta – w każdym położeniu jest tak samo czytelny i interesujący. Ten znakomity plakat



Wiesław Grzegorzcyk

bardzo szybko został doceniony. Otrzymał Srebrną Nagrodę w międzynarodowym konkursie Graphis Poster Awards 2025. Zakwalifikował się również do 2. Międzynarodowego Biennale Plakatu Teatralnego w Armenii, 18. Międzynarodowego Biennale Plakatu w Meksyku, 19. Międzynarodowego Biennale Plakatu Teatralnego w Rzeszowie oraz Międzynarodowego Biennale Plakatu „Luga” w Porto. Warto zaznaczyć, że jest to pierwszy od pięciu lat projekt tego twórcy w najbardziej dla niego charakterystycznej technice malowanej miniatury.

Marcin Dudek sięgnął po środki tzw. plakatu ekologicznego, projektowanego w sposób odpowiedzialny, przy minimalizacji śladu węglowego, co wpływa na dobór papieru oraz rodzaj i ilość zastosowanego tuszu drukarskiego. Jego nowoczesne, minimalistyczne dzieło spełnia te założenia bez kompromisów względem treści i formy. Nic dziwnego, że plakat został zaprezentowany na wystawie *Młoda krew. Współczesny plakat polski* w słowackim Bardejowie. Monika Bartosik stworzyła bardzo malarski, nieco mroczny, niepokojący projekt, złożony z nienaturalnie ciasno zestawionych ze sobą pyszczków ryb, którym towarzyszy oszczędna typografia. Praca została zakwalifikowana do 2. Międzynarodowego Biennale Plakatu Teatralnego w Armenii.

Studenci również często sięgali po motyw ryby lub ości, wykorzystując je albo samodzielnie (Izabela Babińska, Julia Piątek, Iwona Piejko, Aleksandra Pydo), albo w zestawieniu z twarzą lub postacią (Amelia Błaszczyszyn, Daria Jarosz, Żaneta Szwed). Inne użyte w plakatach do *Iwony, księżniczki Burgunda* metafory to atrybuty władzy królewskiej, takie jak korona i tron (Jacek Ciejka, Julia Gerus, Dominika Kicińska, Irmina Portka, Weronika Salach, Żaneta Szwed, Julia Tabisz), postać ludzka lub twarz (żeby nie powiedzieć „gęba”) lub jej elementy (np. usta). Niektóre z plakatów akcentują jakiś brak lub rozbitcie formy, czyli temat ważny dla Gombrowicza (Szymon Jakubski, Antonina Krupa, Alicja Piwońska, Aniela Skoczylas, Maksymilian Stopa, Zuzanna Styka, Karolina Zięba). Inne podkreślają np. czynność jedzenia (Weronika Wolf).

Młodzi twórcy sięgają również po takie rekwizyty dramatu, jak pierścionek zaręczynowy (Aleksandra Flak), agrafka (Martyna Grabias), sztucce (Magdalena Kania), czy niekiedy bardzo nieoczywiste dla oryginału przedmioty: ogryzek jabłka (Weronika Kiwior), element układanki (Wojciech Kapłon), zawleczka od puszki (Marlena Cichosz). Pojawia się także motyw zwierciadła i lustrzanego odbicia, mający być aluzją do wyglądu oraz do tego, że tytułowa bohaterka sztuki staje się dla innych swoistym krzywym zwierciadłem, obnażającym nieautentyczność ludzi i niedorzeczność społecznych rytuałów (Daryna Osypova, Daria Wnuk).

Wśród plakatów pojawiają się również pojedyncze prace abstrakcyjne lub na granicy abstrakcji, zarówno minimalistyczne, jak i operujące wyłącznie lub w głównej mierze liternictwem (Monika Hanejko, Szymon Jakubski, Kornelia Mach, Aneta Mierzwa, Nina Natońska, Julia Nowak, Tetiana Oliinyk, jedna z prac Anieli Skoczylas). Na tym tle osobnym przypadkiem jest utrzymana w czerni i bieli niezwykle staranna praca Oliwii Zając, która sięgnęła po motyw zwierzęcia innego



Monika Bartosik

niż ryba. Na jej plakacie księżniczka jest przygarbionym prosięciem stojącym na dwóch nogach, ubranym w falbaniastą sukienkę, naszyjnik z pereł i buty na wysokim obcasie. Ten nieco staroświecki w wyrazie projekt świadczy o znajomości tradycji plakatowej i zadziwia dojrzałą elegancją. Z kolei jako „potulną” owieczkę przedstawia bohaterkę Gombrowicza Wiktoria Lis, używając w swoim projekcie techniki kolażu.

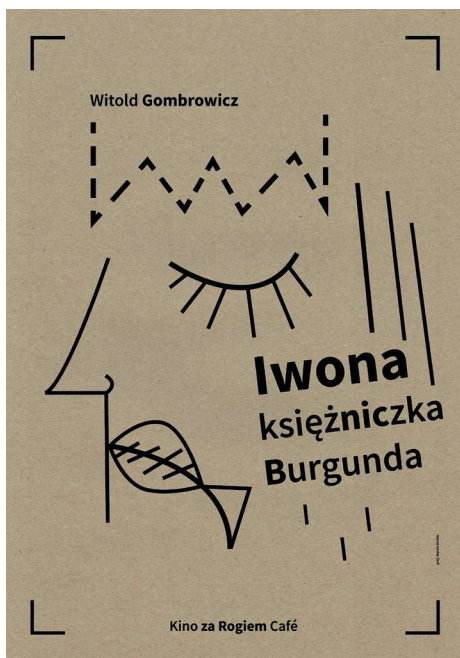
Warto wspomnieć, że prace czwórki studentów zakwalifikowały się do różnych konkursów i przeglądów. Aniela Skoczylas, która była również autorką projektu katalogu i zaproszeń na premierową wystawę, pokazała swoje prace na wspomnianym biennale plakatu w Armenii. Zaistniały tam również prace Maksymiliana Stopy, które ponadto były prezentowane na biennale plakatu w Peru oraz dotarły do finału konkursu International Student Talent Award w Korei Południowej. Syntetyczne, graficzno-typograficzne dzieło Iwony Piejko pokazano na V Międzynarodowych Konfrontacjach Plakatu Studenckiego w Tarnowie, a subtelną i pomysłową, malarski projekt Weroniki Kiwior na biennale w Peru.



Po raz pierwszy wszystkie plakaty można było zobaczyć na wystawie w galerii Kino za Rogiem Café w Rzeszowie, miejscu, które pod kierunkiem Pawła Kadłuczki i Karoliny Marciszewskiej „od dawna wykracza poza zawarte w jej nazwie «Kino» i «Café»” – jak napisano w katalogu. Kuratorką wystawy trwającej od 12 kwietnia do 5 maja 2024 roku była Monika Bartosik. Wydruk prac w wysokiej jakości technice pigmentowej oraz publikacja katalogu były możliwe dzięki finansowemu wsparciu Uniwersytetu Rzeszowskiego, życzliwości prorektorki ds. studentów, prof. Elżbiety Rokosz oraz prorektora ds. Kolegium Nauk Humanistycznych UR prof. Pawła Graty. Wystawie towarzyszyły wykłady na temat sztuki plakatu, które wygłosili opiekunowie artystyczni projektu, prof. Wiesław Grzegorzcyk i dr Marcin Dudek.

Poza prezentacją pojedynczych prac na wspomnianych przeglądach fragmenty projektu były eksponowane w Uniwersytecie Rzeszowskim – w czerwcu na Międzynarodowej Konferencji Naukowo-Artystycznej „Sztuka jako język i narzędzie”, zorganizowanej w Instytucie Sztuk Pięknych (kuratorka Monika Bartosik opowiedziała o wystawie uczestnikom konferencji), oraz jesienią 2024 roku w „Galerii na Pięterku” Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa. Rzeszowskim projektem plakatowym są zainteresowane kolejne instytucje, m.in. Galeria Pracowni Plakatu ASP w Krakowie oraz Muzeum Witolda Gombrowicza we Wsoli. Pozostaje tylko życzyć, by wystawy doszły do skutku, a interesujące plakaty mogły iść w świat, świadcząc o wysokim poziomie kształcenia studentów na kierunkach artystycznych Uniwersytetu Rzeszowskiego.

Ks. Paweł Batory



Marcin Dudek

# O KSIĄŻKACH

Jacek Uglik

## ŚWIĘTY PUŁAP

Wielcy, namaszczeni i wybrani osiągną na pewnym etapie działalności (nie tylko literackiej i nie tylko twórczej) status nietykalności, wchodzi na święty pułap. Wtedy pomazańca się nie rusza, albowiem bije odeń łuna świetlista wywołująca strach. Wydaje się, że taki status stał się udziałem Marcina Świetlickiego, bez wielkich kontrowersji od jakiegoś czasu do rodzimych literackich klasyków zaliczanego. Cokolwiek napisze, będzie publikowane i dyskutowane nie dlatego, że zawsze jest dobre, ale że wydostało się spod jego pióra. A literaturoznawcy i krytycy płyną w obrębie tegoż klasycznego nurtu, nie wychylają się, pokornie lękając się pomazańca. I chyba ja teraz popłynąłem, sugerując, że w polskiej literaturze istnieje jakaś krytyka. Czy ktoś do wielkich się przychrzania, gdy popełnią słabe utwory? Tak tylko pytam, dla kolegi. Niewątpliwie przyjdzie niestety czas, gdy „krytyczni krytycy” (żeby sięgnąć do plastycznej i niestarzejącej się frazy ukutej przez Karola Marksa), będą przetrząpywać

szuflady Świetlickiego i grzebać w koszu na śmieci do niego należącym.

Tak więc Marcin Świetlicki osiągnął poziom Duchampa. *Nie stąd* stanowi potwierdzający wspomniany poziom nietykalności wybór jego liryki wydany w serii „Poezje” pod redakcją Andrzeja Nowakowskiego, a dokonany przez Tomasza Kunza. We wstępie górnolotnie pisze on – pomijam nonszalancko poczynione nawiązania do ontologii i metafizyki (poczynione, co ważne, bez koniecznych dookreśleń, więc, że tak to eufemistycznie ujmę, cokolwiek mgliste) – tak oto: „charakterystyczny, wyrazisty i rozpoznawalny, niemożliwy do pomylenia z nikim innym, niepodrabialny za sprawą indywidualnego stylu, który objawia się zarówno w formie jego wierszy, jak i w niepowtarzalnym – scenicznym i egzystencjalnym – wizerunku...” (s. 9).

Opis jest bardzo apetyczny i namawiający do lektury, w obrębie której znajdujemy jednak chwilę później utwór zatytułowany *Notatka 2001*, który brzmi tak: „Wiersze miłosne kierowane są już w niejasną, utajoną stronę. / A skądinąd wiadomo: przyjdzie po nie Bóg i przywłaszczy je / sobie.” (s. 78). Kto weźmie na siebie ciężar przekonywania, że jest to ten właśnie niemożliwy do pomylenia z nikim innym styl? I co na to egzysten-

cjaliści bądź chociaż czytelnicy sympatyzujący z egzystencjalizmem? Obawiam się, że zupełnie nic. Jeśli zatem nie jest to ten oto niemożliwy do podrobienia styl, to co to jest? Pułap święty!

Co mnie uradowało, zanim wszedłem w posiadanie omawianego wyboru wierszy Świetlickiego? Że poza wstępem zatytułowanym *Nie stąd, nie w porę* (jego autorem jest Kunz) obudowany został komentarzami, w związku z którymi pojawiły się we mnie pewne nadzieje na dopełnienie głosu poety. Ich autorami są Paweł Głowacki, Grzegorz Olszański, Marian Stala i Piotr Słowiński. Pomysł intrygujący, tylko co z tego, skoro i tutaj mamy do czynienia z laurkami, oczywistościami, przesytem slangu literaturoznawczego, tudzież pociągami do misyjności. Słowiński odważa się napisać, że Świetlickiego „błazeństwo niweczy próby sensownej komunikacji, wypacza język, blokuje dostęp do prawdy” (s. 95). Ale czym jest owa mityczna, a może i mistyczna i także skompromitowana „prawda”? W jaki sposób – przez kogoś?, co? – blokowany jest do niej dostęp, nie sposób się dowiedzieć. Szkoda.

pozytywnie wyróżnia się „alfabet” Olszańskiego, w którym przywołuje hasła silnie ze dziełem Świetlickiego się kojarzące, jak: Mistrz, Alkohol czy Nieprzysiadalność. Mimo wszystko nie czuję się przekonany, za pewne dlatego, że oczekiwałem więcej krytycznego „mięsa”, a otrzymałem mdłe warzywa gotowane na parze. Do tego wszystkiego wybór Świetlickiego – któremu rzeczywiście wskazywane jest miejsce na szczycie, skoro wiersze jego publikowane są w serii wydawniczej obok takich autorów, jak Norwid, Wyspiański i Broniewski – zilustrowany został fotografiami redaktora serii Andrzeja Nowakowskiego... Hmm, jak to ująć delikatnie i nie przekłąć? Słabymi raczej. Ja wiem, że *de gustibus non est disputandum*, i tak dalej, ale są jakieś granice tolerancji.

*Nie stąd* nie jest wyborem najlepszych wierszy krakowskiego poety, ale takowe

zawiera, więc mimo wszystko może stanowić zachętę, przede wszystkim dla czytelnika młodego i poszukującego, wkraczającego w dorosły literacki świat. Znajdziemy tutaj: *Tygrysią piosenkę*; *Listopad, niemal koniec świata*; *Korespondencję pośmiertną* czy genialnego *Olifanta* (z wersem dodanym w porównaniu nie tylko z piosenką). Tomik stanowi przekrojową reprezentację poezji Świetlickiego, od *Zimnych krajów* z 1992 roku po najnowsze książki. Na pewno nie obejmuje wszystkich zbiorów, bowiem nie zauważyłem żadnego wiersza z *Niskich pobudek* (2009), być może jednak także utwory z innych tomików zostały pominięte. Tego nie wiem, nie posiadam w swoich zbiorach pełnej bibliografii twórczości krakowskiego autora – w porządku czasowym Tomasz Kunz dotarł do roku 2019, zatem do książki *Ale o co ci chodzi?*.

Zachęcany wyborem potencjalny czytelnik, samodzielnie bądź pod kierunkiem, ma okazję odkrywać sensy i podane przez autora nie wprost konteksty, jak choćby w wielkim utworze lirycznym o tytule *Opluty* (44), dokładnie w wersach:

Ktorego dnia to miasto  
będzie należeć do mnie.  
Na razie chodzę. Na razie patrzę.  
Na razie swój nóż ostrzę.  
Wkładam – zdejmuję kastet.

(s. 34)

– nawiązujących nie wprost do osoby nawiązającego utworu poety krakowskiego zabójcy, Karola Kota. Daleki jestem od stwierdzenia, że brakuje tej książce niepowtarzalnego, wspaniałego stylu Świetlickiego, którego uważam za wybitnego polskiego poetę. Jest tu choćby ta impresja: „Idzie i nie wie, że jest już starą fotografią, jeszcze kilka kroków i zbutwieje” (*Sepia*, s. 79), i ta: „– patrzę przez uchylone drzwiczki na pokój i widzę, / jak się powoli rozżarza, jak popiół / pokrywa szczątki stołu i krzesel, i łóżka” (*Bieguny*, s. 18). Marcin Świetlicki bezapelacyjnie jest

jeden i łatwo go policzyć, no i (proszę zwrócić na stronę 110) niepokój Tadeusza Różewicza „nie jest uzasadniony. Świetlicki to bardzo dobre nazwisko dla poety”!

Jacek Uglik

Marcin Świetlicki, „*Daleko wysunięta placówka liryczna...*”. *Nie stąd. Wiersze*, wybór, redakcja i wstęp Tomasz Kunz, seria Poezje, pod red. Andrzeja Nowakowskiego. t. 10, Universitas, Kraków 2023.

## Jan Belcik

### LISTY Z PRZYSZŁOŚCI

Poezja nie jest i nie może być rekonstrukcją świata, nie bywa też zapewne odtworzeniem nawet fragmentu rzeczywistości, którą przeżywamy. Bo cały jej mikrokosmos bez próby odnalezienia w nim swojego własnego języka okazuje się skazany na niepowodzenie. Zatem każde doświadczenie twórczości jest poszukiwaniem własnego sposobu wyrażenia emocji i prawdy. Nie inaczej dzieje się u serbskiego poety Milijana Despotovića, którego liryki w dwujęzycznym wydaniu ukazały się właśnie w krośnieńskim wydawnictwie Ruthenus.

Jak podają noty biograficzne, autor urodził się w 1952 roku w Subjelu (Serbia). Mieszka i tworzy w mieście Požega. Pisze wiersze, prozę, aforyzmy, teksty krytyczno-literackie. Jest w Serbii zasłużonym popularyzatorem haiku, założycielem pierwszego tamtejszego czasopisma poświęconego tej formie wiersza, zatytułowanego „Paun”. Jego prace literackie były przekładane na wiele języków. Opublikował trzydzieści książek, z czego dziesięć tomów krytyki. Ponadto jest laureatem licznych nagród, twórcą warsztatów wydawniczych „Mislenik”, pomysłodawcą kilku literackich konkursów, redaktorem czasopisma „Svitak”. Należy do

Związku Literatów Serbskich oraz Macierzy Serbskiej.

*Listy z niepewnej przyszłości* są drogowskazem dla każdego, kto poszukuje odpowiedzi na wymagające pytania stawiane przez naszą epokę. Globalizacja, która miała przynieść nam tylko pozytywne efekty szybkiej komunikacji, wymiany dóbr i idei, stała się także platformą do propagowania fałszu, mało znaczących wartości, unifikacji politycznie poprawnych poglądów. Jak stwierdza Umberto Eco, którego autor cytuje: „Kanały komunikacyjne są dziś o wiele lepsze, dzięki temu kłamstwa bardziej i szybciej się rozszerzają”. Tak jest też w wierszu serbskiego poety *Zaczipowane pokrzywy*:

Zło jest dobrem, dobro jest złem!  
Poszerzajmy plantacje pokrzywy,  
jest ona zgodna z oczami,  
które nie odpoczywają,  
nie ma potrzeby patrzeć.

Rozrabiacze przestrzeni  
wreszcie mogą westchnąć,  
upiory z mózgu zrobiły dobre warunki  
do siania kłamstw, w które sami wierzą jak  
[w prawdę].

Wreszcie, dobrze jest być trochę szalonym,  
gdy wszyscy są zaczipowani jak pokrzywy.

Czasem zupełnie przypadkowo odkrywamy, że zostaliśmy zainfekowani banalnością, w tym i banalnością zła, jak pisała Hannah Arendt, która może prowadzić do nienawiści, a nawet rozlewu krwi. Pokrzywa staje się alegorią zaśmiecenia naszego umysłu, czip zaś codziennym, internetowym i telewizyjnym przekazem. Można tu przytoczyć słynny cytat Orwella *Roku 1984*: „Wojna to pokój. Wolność to niewola. Ignorancja to siła”. Nie wymaga interpretacji... Poeta wzywa nas do odrobiny szaleństwa, do refleksji nad rzeczywistością, zachęca do pracy nad oryginalnością własnych myśli i odrzucenia serwowanej nam codziennie papki medialnej.

Współcześnie galeria handlowa staje się dla większości z nas kosmosem najważniejszej

szych konsumencko-merkantylnych doznań, co poeta ukazał w wierszu *Kosmos galerii*. Sentencjonalnie dostrzega, że w tym „bałaganie iskrzą się rzeczy osobiste”, do tego stopnia, że nie da się przejść nad nimi do porządku dziennego bez użycia środków uspokajających. Ale może właśnie wtedy powinniśmy usłyszeć wewnętrzny głos czy fragment zapamiętanej wymiany myśli: „Kontynuuj rozmowę z Goyą”, a więc z klasycznymi wartościami: pięknem, dobrem i prawdą.

Wiersze serbskiego poety są w dużej mierze poświęcone etyce, czasami z pewną dozą dydaktyzmu. Jak czytamy w utworze *Preferans grzechu*: „Możesz wyrzec się wszystkiego, nawet Boga, ale rodziców nie wolno!”. Niekiedy wydaje się nam, że dochodzimy do ściany, gdy nawet nasz sen o zbudowaniu wspólnego pomostu do siebie jest niemożliwy – jak w wierszu *Nadaremny sen o goście*, by już w innym liryku, zatytułowanym *Nos*, znaleźć nutę ukोजना i wyznanie: „Podaję ręce szczęśliwym / i nieszczęśliwym, / by porównać wyroki”.

Poeta, nie ferując jednoznacznych rozstrzygnięć, częściej dostrzega w świecie żło niż dobro. W wierszu *Żło i samo żło* konstataje: „Żło nie pozwala / ani słowa o Dobru wypowiedzieć”. Zauważa, że nigdy nie kończy się ono dobrem, częściej dobro może zakończyć się złem.

W wierszu noszącym trudny do przetłumaczenia tytuł *Wiecznik* podmiot liryczny, zauważając, że była niezrozumiała, również sam dla siebie, wyznaje:

Sobie często niewytłumaczalny  
idę tym nieocalałym śladem  
ku coraz bardziej świetnym kościom,  
próbując zrozumieć  
bezglósną pogawędkę humusu.

Humus (próchnica) jest to część materii organicznej gleby złożona ze szczątków roślinnych oraz zwierzęcych w różnych fazach rozkładu mikrobiologicznego i fizyko-

chemicznego. Nie ma określonego kształtu ani struktury. Humus tworzy wierzchnią warstwę gleby. Bez niego (a tym samym bez śmierci, rozkładu) nie pojawiają się wzrost, narodziny, ale i mówiąc szerzej: artyzm, twórczość, poezja.

Alter ego autora opowiada także o trudnej wojennej przeszłości i jej implikacjach, niezabliźnionych ranach i krzywdach. Wraca też do swojej młodości, jak choćby w wierszu *Esteta, czas*:

Jako piętnastolatek  
opuściłem dom ojca,  
tego  
nie konsultowałem z Edypem  
i wszystkie mistyczne doświadczenia  
przeżyłem przez sen  
i tak stałem się stary,  
by powrócić do domu ojca,  
by dojrzeć.

Właśnie słowo „dojrzeć” wydaje się być kluczem do przesłania poezji Despotovića: dojrzeć do interpretacji świata, refleksji nad jego kolejnymi fazami i językiem, który zbuduje go na nowo.

Milijan Despotović jest dojrziałym i wyrazistym twórcą, nie wodzi swojego czytelnika na manowce pięknoduchostwa subtelnościami fraz. Mówi wypracowanym przez lata tonem, czystym i klarownym, niejednokrotnie zbliżając się do lakoniczności i niedopowiedzenia. Zawieszając często głos, pozostawia nas przed tajemnicą – świata i kosmosu, w którym przyszło nam przebywać. Także nad tajemnicą poezji. I do wejścia w te tajemnice zachęcam czytelników.

Milijan Despotović, *Listy z niepewnej przyszłości / Pisma iz neizvesne budućnosti*, przekład Olga Lalić-Krowicka, Wydawnictwo Ruthenus-Rafał Barski, Krosno 2023.

Tomasz Pyzik

## RÓWNOLEGLĘ ŚCIEŻKI ISTNIENIA

*Pasaże*, kolejny tomik Macieja Bieszczada, potwierdza silne ukierunkowanie liryki tego autora na zagadnieniu tajemnic bytu i stanowi interesującą próbę poetyckiego wnikania w – mówiąc za Czesławem Miłoszem – „drugą przestrzeń”. W swoich artystycznych poszukiwaniach poeta próbuje zgłębić tę wyczuwalną przez siebie metafizyczną sferę istnienia. Tytułowe metafory jego dotychczas wydanych książek (*Elipsa*, *Okolice Gerazy*, *Arnion*, *Pogrzeby wróbbli*, *Kołatanie*, *Niteczka*, *Ulewa*) podpowiadają odbiorcy kierunek jego twórczych poszukiwań oraz naświetlają zastosowany w nich paradygmat. Bieszczad patrzy na świat z pozoru prosto i naiwnie, ale jego recepcja rzeczywistości jest poszerzona o warstwę znaków z innego świata.

Poeta odbiera z otaczającej nas przestrzeni więcej niż większość z nas, słyszy kołatanie z drugiej strony, nadrealne ultradźwięki dobiegające spoza epistemologicznej bariery. Próbuje więc uchwycić tę niteczkę, która niczym nić Ariadny wyprowadza go z labiryntu doczesności w miejsce spotkania nieskończonego, ku przestrzeni wiecznego piękna, światła i prawdy. „Znaleźć się / w gronie / przyprowadzonych / na odwieczną / próbę bezkresnego / chóru” – takie pragnienie domyka wypowiedź podmiotu w *Wieńcu laurowym*, ostatnim wierszu zbioru. Motyw chóru pojawia się w Platońskiej teorii duszy, która przed wcieleniem w materię widziała w czystości największe tajemnice. We fragmencie *Fajdrosa* czytamy: „piękno [...] można było widzieć w pełnym blasku, kiedyśmy wraz z chórem istot szczęśliwych błogosławione widowisko oglądali; [...] kiedyśmy w obcho-

dzie owym udział brali nieskalani i nie znali jeszcze zła, jakie na nas później przyszło, i owe niepokalane, proste, niezmiennie i błogosławione tajemnice oglądali z bliska w blasku przeczystym, czyści sami i niepogrzebani jeszcze w tym, co dziś ciałem nazywamy [...]”. W tym kontekście wydaje się, że w słowach zamykających *Wieńcie laurowy* jest zapisany nie tylko twórczy cel poety, ale i wiara w istnienie wieczystej doskonałości, i nadzieja na powrót do jej „błogosławionego widowiska”, eschatologiczne włączenie do „chóru istot szczęśliwych”.

Wiersze Bieszczada oscylują wokół tak zarysowanej transcendentnej sfery, dając czytelnikom zwiastun niezwykłości, która w swej pełni jest dopiero przed nami. W tym duchu utrzymane są także *Pasaże*. Odpowiedzi na pytanie, czym one są, najlepiej poszukać w utworze o takim tytule, którego treść musi mieć na znaczącą wagę, skoro stała się przesłaniem całego zbioru. Paraboliczny charakter utworu uwydatniają przetożnie, znacząca symbolika oraz pytania retoryczne, które sprawiają, że rezonuje on w czytelniku, domaga się od niego dalszego ciągu, szukania odpowiedzi w dyskursie filozoficznym. Poeta pisze:

[...] Jak dawno

Zasnęliśmy, kto nas wywiózł, kto porzucił  
[półprzytomnych  
Na ziemi niewydającej owocu? Wołamy,  
[staramy się

Ostrzec banitów w przybrudzonych  
[szlafrokach. Ubolewamy,  
Że porwała ich topiel - wehikuł kawalerki na  
[ósmym

Piętrze. Postronny obserwator mógłby  
[powiedzieć:  
Jesteśmy jak dwie rzeki płynące obok siebie

W siostrzanych korytach. Czy w rezultacie  
[się połączą?  
Jeżeli, rzecz jasna, to życzenie nie jest czymś

Drugorzędnym z punktu widzenia morza, jego  
[głębini?

Przytoczony fragment *Pasaży* przedstawia teorię istnienia równoległej przestrzeni bytu, z której człowiek został wyrzucony do znanej sobie rzeczywistości. Tytułowe pasażerze jawią się zatem jako ciągi bytów, które są blisko siebie, lecz pasaż ziemski jest oddzielony od metafizycznego poznawczą barierą. W człowieku pozostała jednak szczątkowa pamięć tamtego świata, pamięć sprzed „wywiezienia i porzucenia” tu i teraz. Duchowa otwartość na przepływy „siostrzanej rzeki”, owego idealnego pasażu, daje nadzieję na dotarcie do celu podróży – morskiej głębin, symbolizującej Empireum, Absolutne Dobro, które jest początkiem i końcem wszystkiego.

Poetyka parabola Bieszczada ponownie odsyła do Platona, tym razem do jego koncepcji granic ludzkiego poznania, wyrażonych w dialogu *Państwo* metaforą jaskini. W *Pasażach* odnajdziemy także bardziej jawne do niej nawiązanie w wierszu *Soar*. Oniryczna konwencja utworu wprowadza możliwość anamnezy, czyli przypomnienia sobie prawdziwej rzeczywistości. To chwilowe przejście do pierwotnego pasażu, znalezienie się po drugiej stronie ściany jaskini, gdzie już nie ma cieni, lecz jest światło dające wgląd w rzeczy same w sobie. „Jaskinię w górach wysokich” z *Soaru* oświetla „nieśmiertelny ogień”, a po jej ścianach płynie „woda dająca życie”.

Do skrzyżowania pasażu dochodzi także w utworach z autobiograficzną nutą. Wiersze *Miejsce*, *Dalsze losy* i *Pominięty* niosą w sobie emocje zrodzone z doświadczeń egzystencjalnych, które przekładają się na momenty wglądu w graniczną przestrzeń bytów. O jej poznawczej atrakcyjności opowiada liryk *Dom*. Fraza: „Mniejsza o to, kiedy dostrzeżesz / światła za szkłem – przemkniesz obok czasu, / ścieżką równoległą”, wyraźnie nawiązuje do owego pasażu, który stanowi drogę do tytułowego domu. Metaforyczną wskazówkę, kto w nim zamieszkuje, daje, być może, utwór *Duch* mówiący o poznaniu tajemniczej istoty, której „nie dotyczą miary

i skale”. Apostrofy budujące tę liryczną wypowiedź świadczą o przejściu przez podmiot liryczny drogi od lęku do ufności. Świadczą o nabyciu doświadczenia, wypracowaniu duchowej relacji z autorem „*Canis Majoris* – największej spośród odkrytych dotąd gwiazd”. Metafizyczna bliskość umożliwiła wyrażenie ufności i zachwytu w pięknym wyznaniu zamykającym *Psalm udręczonego*:

Zachycam się Tobą mimo wojen i chorób.  
Będę Cię czcił na przekór naciskom rozumu.

Wyprzedzasz mnie, dokądkolwiek idę.  
Jesteś tam, gdzie nie powinien być.

Obmywasz moje oczy z niedostatku.  
Spotykamy się w korowodowym tańcu.

Spotkanie, o którym czytamy w ostatnim wersie, jest pełne radości zjednoczenia, stanowi finalny zbieg pasażu, czyli ścieżek ludzkiej duchowości z boskim porządkiem.

Każdy zbiór poetycki Macieja Bieszczada dokładnie poznawczą cegiełkę do jego metafizycznych eksploracji. Poeta skupia się na ukazywaniu ostatecznego celu ludzkiej egzystencji poprzez pryzmat doświadczeń podmiotu mówiącego o autorskich rysach. Tom *Pasaże* prowadzi nas po równoległych ścieżkach istnienia, które – ku nadziei i przekroczeniu człowieczej marności – zbiegają się w bezkresie wiekiutego oceanu, przedstawiając metaforyczne obrazy powrotu do Domu Ojca.

---

Maciej Bieszczad, *Pasaże*, Wydawnictwo Forma, Fundacja Literatury im. Henryka Berzy, Szczecin, Bezzręcze 2023.

## Kazimierz Maciąg

### PYTANIA „DZIECI PORANKA”

Arkadiusz Kamiński był dotychczas znany jako autor dwóch opowiadań, które powstały i zostały opublikowane przed kilkunastu laty – co dla młodego pisarza (rocznik 1985) może wydawać się epoką niemal archaiczną. Jak przekonuje nas jednak powieść *Dzieci poranka*, następne lata były dobrze wykorzystanym etapem w rozwoju jego sztuki prozatorskiej. Ogólny zamysł fabularny, na którym oparty jest powieściowy debiut Kamińskiego, nawiązuje do schematu popularnego w utworach adresowanych najczęściej do czytelnika dziecięcego lub młodzieżowego – opowieściach o wakacjach spędzanych w nowym środowisku, zwykle z rozbudowanym wątkiem przygodowo-sensacyjnym. W gatunku tym duży sukces odniosły m.in. takie utwory jak *Szatan z siódmej klasy* Kornela Makuszyńskiego, *Wakacje z duchami* i *Podróż za jeden uśmiech* Adama Bahdaja, *Czarne stopy* Seweryny Szmaglewskiej, *Klub włóczyków* Edmunda Niziurskiego, a w nowszej literaturze – *Ida sierpniowa* Małgorzaty Musierowicz.

Gatunek ten nie dopuszcza zasadniczo podejmowania jednoznacznie tragicznych problemów. Wakacyjna opowieść może oczywiście zawierać problematykę egzystencjalnie trudną, a ważną dla młodego czytelnika, ale fabuła powinna raczej zmierzać, po licznych perypetiach doświadczanych przez bohaterów – do ich optymistycznego rozwikłania. Początkowe rozdziały *Dzieci poranka* zdają się zapowiadać narrację właśnie tego rodzaju – przygodową historię o być może autobiograficznym charakterze, rozgrywającą się w wiejskich realiach lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Arkadyjski charak-

ter świata przedstawionego może wynikać m.in. z obecności wielopokoleniowej rodziny narratora, w której odnajdujemy nie tylko bezpośrednich opiekunów Franka, reprezentujących pokolenie jego rodziców, babcię, dziadka, ale nawet prababcię, będącą świadkinią rodzinnej historii z lat II wojny światowej.

W takiej prawdziwie wakacyjnej, beztrudnej, bezpiecznej i przewidywalnej aurze dynamicznymi problemami zdają się być wyprawy po lody, przesadne objadanie się „kasztankami” przez brata narratora lub tradycyjna nuda. Efekt ten wzmacnia umiejętna kreacja szkicująca scenierię powieściowych wydarzeń – oto charakterystyczny przykład: „Przed domem życie toczyło się swoim zwykłym rytmem. Świeciło słońce i po niebie przesuwały się pojedyncze kłębiaste chmury, najpiękniejsze ze wszystkich chmur. Liście na drzewach lekko falowały, a chwilami wiatr nieco zawiewał, przynosząc przyjemne, ciepłe powietrze. Prababcia siedziała na ławeczce przed stodołą, dziadziu naprawiał w garażu traktor, a Hania z babcią piekły ciasto, bo pachniało na całym podwórku” (s. 137).

Kreacje bohaterów to jedna z najmocniejszych stron powieści. Autor umiejętnie przedstawia bardzo zróżnicowane grono postaci – i wiekowo, i środowiskowo. Bohaterowie, zwłaszcza ten najważniejszy, nie są statyczni, podlegają ewolucji i wpływom. Stają przed ważnymi wyborami i najważniejszymi pytaniami egzystencjalnymi. Wydaje się, że Kamiński jest także dobrym psychologiem: rozumie ludzi, trafnie obserwuje lub może po prostu zwyczajnie pamięta zakamarki duszy młodego człowieka. Już dość dawno zauważono, że literatura adresowana dla młodego czytelnika może być trudniejszą formą przekazu niż ta przeznaczona dla starszych. Jest jednak i ona zwierciadłem, w którym odbijają się problemy świata dorosłych, a napisanie utworu tego rodzaju wymaga szczególnych umiejętności. W przypadku *Dzieci poranka* relacje między światem „dziecięcym” i świa-



tem „dorosłym” są ukazane na pewno oryginalnie: z jednej strony są one na swój sposób hermetyczne, z drugiej – wyraźnie na siebie wpływają. Właściwie do końca powieściowej akcji dorośli mogą podejrzewać, czy za pozorami ugrzecznionego świata dzieci nie kryje się przypadkiem inna rzeczywistość.

Zakwalifikowanie powieści Arkadiusza Kamińskiego do kręgu literatury dla młodszego odbiorcy byłoby jednak zbyt dużym uproszczeniem: takie wrażenie możemy odnieść już po lekturze jej pierwszych stron. Podejmując refleksję nad całością dzieła, dojdziemy do wniosku, że właściwym jego adresatem jest raczej dorosły, który może dostrzec w *Dzieciach poranka* swego rodzaju przewodnik po nieznanym mu świecie i zapomnianych bohaterach.

Kamiński stopniowo wzmacnia sygnały rozbijające bezpieczny świat przedstawiony na pierwszych stronicach *Dzieci poranka*. Najpierw są to wydarzenia niejako „zewnątrzne” wobec bezpiecznego świata rodzinno-wakacyjnego, w którym zanurzony jest narrator i główny bohater, potem – zagrożenie i niebezpieczeństwo dość skutecznie wkrada się do jego wnętrza. Zło w powieści Kamińskiego na początku uobecnia się w akceptacji zachowań z pogranicza wybrzydzenia i żartu, potem przyjmuje formę przestępstwa, rozprzestrzeniając się niemal do granic maksymalnych, przynajmniej dla realistycznej konwencji świata przedstawionego. W ten sposób powstaje aksjologiczna przypowieść z odwiecznymi pytaniami o dobro i zło, prawdę i fałsz, piękno i brzydotę. I o prawdziwą mądrość – na czym ją budować. Gdy czytelnik dostrzeże zachwianie pierwotnego świata prowincjonalnej sielanki, która tak pociąga na pierwszych stronach powieści, chce zapytać wzorem filozofów: *unde malum?* Skąd zło w świecie, który mógłby być przecież tym najlepszym ze światów możliwych, zamieszkiwanym przez niewinne dzieci?

Tym, co warto szczególnie docenić w prozie Arkadiusza Kamińskiego jest umiejętne poruszanie się w odmiennych stylach narracji: początkowo tym charakterystycznym dla prozy popularnej, potem – dotykającym najważniejszych problemów ludzkiej egzystencji, charakterystycznym dla literatury wysokiej. Autor ma odwagę stawiać pytania o wartości, wracając niejako do źródeł wielkiej literatury i do pytań zadawanych od stuleci przez najważniejszych twórców, którzy – od *Antygony* Sofoklesa – zawsze nadawali aksjologiczny wymiar swoim dziełom. Tendencja ta jest wyraźna także pod względem stylistycznym i kompozycyjnym. Pisarz nie zastępuje wagi treści skomplikowaną lub udziwnioną formą, dbając o to, aby ta ostatnia nie stanowiła bariery między autorem i czytelnikiem.

Niekiedy można odnieść wrażenie, że jednym z większych mankamentów literatury współczesnej jest swego rodzaju solipsyzm pisarzy, którzy pisząc, skupiają się przede wszystkim na próbach oddania własnego „ja”, które powinno być oczywiście wyjątkowe i oryginalne – co, nawet w przypadku udanej egzemplifikacji literackiej, wyraźnie ogranicza krąg czytelników do tych zainteresowanych niezwykłością osoby autora lub innowacyjnością świata wykreowanego w dziele. Kamiński wyraźnie przekracza tę barierę, tworząc opowieść, w której stawia w centrum nie siebie, lecz problemy, które powinny być istotne dla większej społeczności.

Jeszcze inny klucz interpretacyjny i jeszcze inne pytania podsuwa nam pisarz za pośrednictwem ilustracji na okładce książki, z fragmentem znanego obrazu Giovanniego Domenica Tiepola *Koń trojański*, przedstawiającego mieszkańców starożytnego Iliou z zapalem ciągnących efektowny i podstępny dar Greków w obręb murów swojego miasta. Najprostszą interpretacją sensów powieści kazałaby zapewne postawić pytanie o zależność między skutkami zła a naszą wcześniejszą zgodą na koegzystencję z nim.

Trop ten to niejedynie skojarzenie kulturowe, które mogą wywoływać *Dzieci poranka*. Powieść – co nieczęsto zdarza się w literaturze współczesnej i z tej racji stanowi wyrazisty walor dzieła – jest zakorzeniona także w innych kontekstach kultury, metafizycznych, biblijnych, literackich i filozoficznych. Pytanie o obecność zła i śmierci w świecie, który początkowo wydaje się tak jednoznacznie zabezpieczony przed tego rodzaju infiltracją, każe zapytać o jego – zła – źródło, tak jak o to pytał inny malarz, Nicolas Poussin, który przedstawiając krainę wiecznej szczęśliwości, umieścił tam sarkofag z napisem *Et in Arcadia ego* – „i ja tam byłem”. Ta podatność powieści na wielość odczytań na pewno dobrze świadczy o umiejętnościach literackich jej autora.

Kazimierz Maciąg

---

Arkadiusz Kamiński, *Dzieci poranka*, Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2023.

## Piotr Wojtaszek

### RYSIO MUZYKANT

W ostatnich kilkunastu latach młodą literaturę polską zdominowały dwa odmienne nurty prozy. Pierwszy z nich, plebejski i ludowy, jest szerszym zjawiskiem w rodzimej humanistyce, bo dotyczy również prób reinterpretacji polskiej historii, m.in. przez takich badaczy jak Adam Leszczyński, Mateusz Wyźga, Kacper Pobłocki czy Jan Sowa, którego książka *Fantomowe ciało króla. Pearyferyjne zmagania z nowoczesną formą*, wraz z uhonorowaną nagrodą Nike powieścią *Pióropusz* Mariana Pilota, w 2011 roku owo zjawisko zapoczątkowała. Stanowi on kontynuację (reinterpretację) popularnego w PRL-u nurtu chłopskiego, którego ten pi-

sarz był wybitnym przedstawicielem. Drugi, konfesyjny, zainicjowany w roku 2015 książką *Najgorszy człowiek na świecie* Małgorzaty Halber, był kontynuowany z trudnymi do pojęcia sukcesami w prozie Doroty Kotas, Olgi Hund, Miry Marcinów czy Marcina Wichy. Trudnymi, ponieważ uznanie czytelników i krytyki znajdowały książki będące niekiedy pretensjonalnymi pamiętnikami, których wartość zasadzała się nie na wyrafinowanej formie czy wirtuozerskim operowaniu językiem, lecz na efekciarskiej pornografii problemów osobistych.

Pójście w tym drugim kierunku jest kuszące dla wielu debiutujących pisarek i pisarzy, gdyż wiąże się z niemal gwarantowaną, choć raczej krótkotrwałą sławą, dlatego cieszę się, że Aleksandra Tarnowska, debiutująca w 2023 roku powieścią *Wniebogłos*, zdecydowała się popłynąć nurtem trudniejszym, wypływającym ze źródeł takich gigantów polskiej prozy – jak Tadeusz Nowak, Wiesław Myśliwski czy Edward Redliński, a jej łódka nie tylko nie zatoniła ale – jeśli utrzyma kurs – śmiało zacumuje w porcie współczesnych klasyków, gdzie już teraz bawią Maciej Płaza, Wioletta Grzegorzewska i Radek Rak.

Debiut Tarnowskiej cechuje niezwykła dziś „zwykłość”. *Wniebogłos* to tradycyjna formalnie, napisana w trzeciej osobie powieść, która wydaje się przewrotnym retellingiem Sienkiewiczowskiego *Janka Muzykanta*, choć słyhać w niej również echa *Wniebogłosów* Nowaka oraz *Kamienia na kamieniu* Myśliwskiego. Akcja utworu rozgrywa się we wczesnych latach siedemdziesiątych XX wieku we wsi Tukłęcz, a jego głównym bohaterem jest dwunastoletni Rysiek, syn grabarza Mietka, obdarzony pięknym głosem, żyjący marzeniami o występach w ludowej kapeli.

Nad powieścią unoszą się opary śmierci zarówno dosłownej, jak i metaforycznej. Oba jej wymiary są zauważalne już na wstępie – drugie zdanie powieści zawiera frazę:

„jednak wolny grób na podorędziu dobrze by mieć” (s. 5), co stanowi nawiązanie do jednego z pierwszych zdań arcydzieła Myśliwskiego: „Bo wieczność nie wieczność, a swój kąt powinien człowiek mieć”. Rysiek przeżywa najpierw śmierć dziadka, niedługo później ciężarnej matki. Jej utrata otwiera kufer pełen splecionych ze sobą traum i niezagojonych ran. Zmagania z nimi Tarnowska uczyniła motorem napędowym przedstawionej historii. Na pierwszy plan wysuwa się sposób przeżywania żaloby przez głównych bohaterów. Rysiek jest przerażony myślą, że coraz mniej pamięta matkę, odwiedza jej grób i próbuje z nią rozmawiać, wierząc, że jej duch czuwa nad nim i wspiera go w realizacji marzeń. Jego ojciec, wzbudzająca w chłopcu lęk patriarchalna persona, nie potrafi rozmawiać o targających nim uczuciach, kryje się za skorupą milczenia oraz niekontrolowanymi wybuchami złości i gniewu.

Tak widzimy go na początku powieści z perspektywy syna. Kolejne rozdziały odsłaniają tajemnicę mężczyzny, związaną z trzecią bohaterką powieści – Celiną, wiejską nauczycielką (cechem *Konopielki Redlińskiego*), wracającą po latach nauki do rodzinnej wsi z ambicją pomagania dzieciom. Właśnie pochowała znenawidzonego ojca, alkoholika i przemocowca, ale też wybitnego, wiejskiego muzyka, którego w nałóg wpędziły plotki o zdradzie żony. Przed laty, nie mogąc znieść jego pijaństwa i bicia, dziewczyna uciekła do miasta. Zalecający się do niej Mietek nie potrafił wówczas obronić jej przed agresją ojca. Wyrzuty sumienia i poczucie zmarnowanej miłości tkwiły w nim przez wiele lat, co nie przeszkodziło mu w ożenku z matką Ryska. Kiedy ta, przedstawiana w powieści jako ideał tradycyjnej, wiejskiej kobiety, nagle zmarła, a Celina wróciła do Tukłęczu, uczucia łączące ją z Mietkiem odżyły. Próbują ukrywać swój romans przed mogącą ich potępić rodziną i wiejską społecznością.

Główny bohater jeszcze nie rozumie charakteru relacji łączących ojca z Celiną. Czuje silną więź z niezijącą matką – nie jest gotowy na to, by zaakceptować w domu inną kobietę. Najwięcej czasu spędza z rówieśnikami i członkami wiejskiej kapeli, do której chce dołączyć, oraz z owdowiałą babcią, matką jego matki, co pogłębia jego poczucie obcości i wrogości wobec ojca. Tak się składa, że kiedy Rysiek zaczyna śpiewać, a robi to z wielkim talentem, jedna ze słuchających go osób wkrótce umiera. Chłopiec zaczyna wierzyć, że jego głos sprowadza śmierć, zwłaszcza że ojciec uparcie odmawia jego prośbom o możliwość muzycznego kształcenia się.

Motyw zabijania głosem, rodem z horroru, każe się zastanowić, czy Tarnowska mniej lub bardziej świadomie nie nawiązuje do filmu *Omen* z 1976 roku. Jeśli to słuszne skojarzenie, bohater jest zwiastunem rychłej zagłady otaczającego go świata, czyli tradycyjnej, patriarchalnej wsi, kulturywujacej dawne obrzędy i zwyczaje. W taki kierunek interpretacji wpisuje się symbolika harmonii, instrumentu, na którym Rysiek bardzo chciałby nauczyć się grać. Uzyskanie przez chłopca, dzięki pomocy Celiny, zgody ojca na naukę gry i śpiewu wyciąga go wreszcie z międzypokoleniowej sztafety traum. Wieńczący książkę radosny śpiew Ryska zapowiada głębokie zmiany w sferze mentalnej i obyczajowej wsi. W przeciwieństwie do Celiny chłopiec nie będzie już musiał uciekać do miasta, aby realizować swoje marzenia i plany.

*Wniebogłos* jest dojrzałym powieściowym debiutem, wolnym od paternalistycznych tonów w prezentacji mieszkańców wsi. Wiele w książce Aleksandry Tarnowskiej czułości, empatii i wiary w ludzi. Warto ją przeczytać, by samemu doświadczyć tych uczuć.

---

Aleksandra Tarnowska, *Wniebogłos*, ArtRage, Warszawa 2023.

Janusz Pasterski

## PLANETA CZESŁAWA MIŁOSZA

14 sierpnia 2024 roku minęło 20 lat od śmierci Czesława Miłosza, bez którego trudno wyobrazić sobie poezję polską XX, a nawet XXI wieku. Jego długotrwała obecność na firmamencie rodzimej literatury przez wiele dziesięcioleci wyznaczała łączność „pomiędzy dawnymi a nowymi czasami”. Jak pisał, życie w chwili jego urodzenia nie różniło się wiele od czasów autorów romantycznych: dworek, folwark, bryczka, wierzby przy błotnistych drogach. A potem wszystkie radości i klęski XX wieku: wojny, rewolucje, niepodległość, gwałtowne przemiany literatury, komunizm, emigracja, samotność poety. Był Miłosz świadkiem i uczestnikiem, obserwatorem i twórcą. Zawsze odrębny, inny, stojący o krok dalej niż rówieśnicy. Zadziwiał celnością myślenia, szerokością horyzontów, odczytaniem, wiedzą i erudycją. Z czasem nawet onieśmielał, gdy marszczył swoje krzaczaste brwi i mówił coś innego niż wszyscy dookoła. Znał pisarzy z dwudziestolecia międzywojennego, nieco młodszych poetów pokolenia wojennego, a potem wszystkich ważnych twórców współczesnych. Żadne ze zjawisk literackich nie umknęło jego uwadze, choć nie wszystkie cenil. Jak po jego śmierci napisał Janusz Szuber w wierszu pt. *Miłosz* (z tomu *Czerzeż*, 2006):

A on jak górskie pasmo  
Stygnie w objęciach lodowca  
Dla jednych jest częścią pejzażu  
Mistrzem i miarą dla innych.

Dla Adama Lizakowskiego, polskiego poety i emigranta, który od roku 1982 zamieszkał w Stanach Zjednoczonych, autor *Miasta*

*bez imienia* od samego początku był „mistrzem i miarą”. Lizakowski, młody, ambitny człowiek o wyraźnych zainteresowaniach artystycznych, złamanym wprowadzeniem stanu wojennego w Polsce, postanowił budować swoje życie od nowa w Nowym Świecie. San Francisco, do którego trafił najpierw na amerykańskiej ziemi, było wciąż jeszcze prześląknięte dziedzictwem hipisowskiej i studenckiej rewolty. Ale równocześnie miasto to kojarzyło się młodemu człowiekowi z Pięszyc z nazwiskiem poety Czesława Miłosza, niedawnego laureata Nagrody Nobla, przez wiele lat w Polsce nieobecnego w oficjalnym obiegu kulturalnym. To do niego właśnie zwrócił się w sensie ideowym w początkach swego życia w Ameryce, szukając u poety znad Zatoki San Francisco oparcia myślowego i duchowego patronatu, ale także w sensie dosłownym, uczestnicząc w otwartych wykładach i wieczorach Noblisty, a później nawiązując z nim bezpośredni, osobisty kontakt. Z czasem kontakt ten zacierzył się w bliską znajomość, poświadczoną odwiedzinami w Grizzly Peak i godzinami rozmów. Znajomość ta przetrwała aż do śmierci poety w roku 2004. I właśnie teraz bliska relacja z autorem *Gucia zaczarowanego* zainspirowała Adama Lizakowskiego do napisania eseistyczno-wspomnieniowego zbioru zatytułowanego prowokacyjnie *Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?* (Bielawa 2024).

Książka jest swobodną opowieścią o historii znajomości autora z Czesławem Miłoszem, a właściwie o jego fascynacji twórczością i postawą Noblisty. Osobiste kontakty z wybitnym poetą są tu wątkiem głównym, ale obok tej relacji uwagę odbiorcy przykuwa obraz Ameryki kreślony ręką emigranta z fali solidarnościowej, jego spostrzeżenia, odczucia i refleksje na temat kraju, który stał się drugą ojczyzną dla bardzo wielu Polaków. W rezultacie książka Lizakowskiego jest czymś więcej, bo również szkicem o doświadczeniu tego ogromnego kraju, o trudach życia imigrantów (zwłaszcza polskich),

o szukaniu własnej drogi do literatury, a mimochodem niejako także autoportretem autora. Warto ją czytać jako zapis losu człowieka, który na swoich ścieżkach spotyka nie tylko przeciwności i wyzwania, lecz także ma szczęście poznać pisarza największego formatu, od którego otrzymał dar życzliwości i uwagi.

Czesław Miłosz w zwierciadle Adama Lizakowskiego jest poetą, który w najcelniejszy sposób wyraził dwudziestowieczne doświadczenia mieszkańca Europy Środkowo-Wschodniej, ale również potrafił przenikliwie i krytycznie spojrzeć na naszą przeszłość, kluczowe tradycje, zbiorową wyobraźnię, narodową mitologię, kulturowe dziedzictwo. W innej perspektywie Miłosz jest też celnym obserwatorem samej Ameryki, choć – jak twierdzi autor – znał ją „tylko teoretycznie, chociaż mieszkał w niej dekadę” (s. 72). Powodem była – jego zdaniem – „szklana kula” akademickości, zanurzenie w literaturze i pracy pisarskiej („nie znał tego kraju, wyczytane wiadomości z książek, gazet czy przewodników po rezerwach, to było dobre do pisania i kreowania w szklanej kuli, w której żył”, s. 72).

Nie jestem przekonany, czy postawa intelektualisty poznającego rzeczywistość poprzez wytwory kultury, obserwację społeczną i refleksję wyklucza możliwość dogłębnego przejścia tego procesu. Przykład eseistyki Miłosza na tematy amerykańskie, jak choćby *Widzenia nad Zatoka San Francisco*, świadczy bowiem, że są to uwagi najwyższej próby, wnikliwe, odkrywczе i niesłychanie inspirujące. Stanowisko Lizakowskiego w tym względzie wyrasta jednak z życiowego doświadczenia imigranta, który wiedzę o nowym kraju zdobywa ciężką pracą, mozołną adaptacją kulturową, budowaniem społecznych relacji, walką o własną podmiotowość i poczucie wartości.

To silne zaangażowanie w pracę i pełne poświęcenie dla wyznawanych przekonań autor tych zapisków potrafił dostrzec właśnie

w postawie Miłosza – doceniającego wysiłek innych, gotowego dzielić się wiedzą, odpowiadającego na każdy list, życzliwie wspierającego młodych poetów, u których dostrzegł talent. Tak zresztą rozpoczęła się historia znajomości młodego emigranta z Miłoszem – od udziału w spotkaniach i wykładach, kilku listów i wreszcie zaproszenia do odwiedzenia Mistrza w jego domu. Miłosz dostrzegł w nim autentyczną pasję, talent, zaangażowanie, dzielił się opiniami, udzielał cennych rad (np. aby nie pisał po angielsku, którego to języka już nigdy nie opanuje w stopniu potrzebnym poecie). Inna cenna wskazówka dotyczyła podjęcia tematu ziemi rodzinnej Lizakowskiego, powrotu w wierszach do miejsca, z którego wyrosła jego wyobraźnia. Taki życzliwy kontakt z dojrzałym poetą – mentorem to nieczęsty dar, który autor wytrwale pielęgnował, podtrzymując tę znajomość nawet po swoim wyjeździe do Chicago.

Aby zaznaczyć odpowiednio wysoką skalę wyjątkowości Miłosza we wszystkich wymiarach, Lizakowski nazwał go „kosmitą” – mieszkańcem innej planety. To może trochę potoczna metafora, ale wyraziście oddaje bezprecedensowość postawy profesora z Berkeley. Emigrant z Polski widzi w nim „przybysza z innej planety, który za wszelką cenę chce, z uporem, desperacją, ogromną siłą woli – nauczyć czegoś mieszkańców innej planety, podzielić się z nimi swoją wiedzą i doświadczeniem, swoją mądrością życiową i obserwacjami świata” (s. 25). To zatem kosmita – humanista, mędrzec, nauczyciel. Zaden tam Obcy czy groźny Predator z amerykańskich filmów.

Adam Lizakowski dzieli się też swoimi przemyśleniami na temat życia w Ameryce, wpływu kontrkultury lat sześćdziesiątych, popkulturowych ikon osobowych w rodzaju Janis Joplin, Johna Lennona czy Allena Ginsberga, przywołuje amerykańskich poetów, np. Robinsona Jeffersa czy Thomasa Mertona. Na ich tle stara się pokazać odmienność polskiego Noblisty. Do tych uwag

dołączyłbym jeszcze jednak wiersz Miłosza *Do Allena Ginsberga* z 1993 roku, w którym znalazły się takie słowa:

Allen, dobry człowieku, wielki poeto  
 [morderczego stulecia, ty, który upierając  
 się w szaleństwie doszedłeś do mądrości.  
 Tobie wyznaję, moje życie nie było takie, jak  
 [bym chciał.  
 I teraz, kiedy minęło, leży jak niepotrzebna  
 [opona na skraju drogi.

Ważną częścią książki są też fotografie Noblisty wykonane przez Adama Lizakowskiego w różnych okolicznościach, np. przed domem w Berkeley, w gabinecie poety, podczas spotkań autorskich i wykładów. Mają one już swoją wartość dokumentalną, były reprodukowane w wielu opracowaniach, kalendarzach czy prezentowane na wystawach, jak jesienią 2024 roku na Uniwersytecie Rzeszowskim. Lizakowski przez wiele lat podążał za poetą, biorąc udział w niejednym z nim spotkaniu: „Byłem prawdopodobnie jedynym Polakiem, obcym, tzn. niezwiązanym z poetą w żaden sposób, który chodził za nim po księgarniach, teatrach, instytucjach kulturalnych, na wykłady akademickie oraz w miejsca, w których poeta miał odbyty. Nawet jeździłem za nim po miastach wokół San Francisco [...]” (s. 67). W dzień śmierci Miłosza, 14 sierpnia 2004 roku, Lizakowski był właśnie w Krakowie. Tam też zastała go ta smutna wiadomość. Krakowski rynek i „dzień śmierci kosmitę” zapamiętał jako nieprzypadkowy („on to wszystko ukartował. Istne szaleństwo – dodaję w myślach, ale kosmici mogą tak robić”, s. 92). Niedługo potem śladami poety odwiedził Wilno, Szejnie, Świętobrość, Wędziagołę. W ten sposób dopełnił wiedzy o duchowych i realnych źródłach, które przez długie życie poruszały wyobraźnię Noblisty. Pamiętał o sentencji Goethego: „Wer den Dichter will verstehen, Muss in Dichters Lande gehen”.

Miłosz zapewne doceniał to zaangażowanie, dzielił się opiniami na temat wier-

szy młodego poety (świetne są m.in. jego formuły o „czułej brutalności” i „serdecznym okrucieństwie” utworów Lizakowskiego). Historia znajomości okazała się zatem również historią poetyckiego dojrzwania, swoistego terminowania w „szkole” Miłosza. Albo – jak powiedziałby autor – na planie Miłosza.

Janusz Pasternski

---

Adam Lizakowski, *Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?* Seria Bibliotheca Bielaviana, Miejska Biblioteka Publiczna, Bielawa 2024.

## Maria Zielonka

### IRLANDIA JAK POLSKA?

Marta Abramowicz jest dziennikarką, badaczką społeczną i psycholożką. W swojej pracy koncentruje się na zagadnieniach związanych z prawami człowieka oraz sprawiedliwością społeczną. Działalność zawodową i aktywistyczną łączy z głębokim zaangażowaniem w sprawy osób LGBTQ+ w Polsce (jest autorką dwóch największych przeprowadzonych w Polsce badań nad ich sytuacją społeczną). Pełni też funkcję prezeski Kampanii Przeciw Homofobii, koordynuje kampanię społeczną „Niech nas zobaczą” oraz jest redaktorką naczelną Portalu MultiKulti. W 2019 roku została wyróżniona przez „Wysokie Obcasy” tytułem Superbohaterki.

Jako reporterka skupia się na doświadczeniach osób z marginalizowanych grup, którym trudno jest dość do głosu. Jej teksty są cenione za rzetelność, wnikliwość oraz umiejętność ukazania złożoności podejmowanych problemów. Prowadzony we współpracy z Joanną Mizielnińską i Agatą Stasińską projekt zaowocował w 2014 roku książką *Rodziny z wyboru w Polsce. Życie rodzinne*

*osób nieheteroseksualnych*, w której autorki przedstawiły różnorodność konfiguracji rodzinnych i intymnych tworzonych przez osoby nieheteroseksualne.

W 2016 ukazał się pierwszy reportaż własny Abramowicz zatytułowany *Zakonnice odchodzą po cichu*. Rozmówczynie autorki dzielą się w niej doświadczeniem życia w zakonie i prezentują jego ciemne strony. Książka została nominowana do nagrody Okulary Równości 2017 za: „oddanie głosu tym, które mileżały przez wieki”. W kolejnej książce – *Dzieci księży. Nasza wspólna tajemnica* (2018) – autorka podjęła próbę odpowiedzi na pytania: „Co jest ważniejsze: dobro dziecka czy dobro Kościoła? Co usłyszymy, gdy dzieci księży zaczną głośno mówić o swoich rodzinach?”. Publikacja ta skłania do refleksji nad hipokryzją i podwójnymi standardami w instytucjach kościelnych oraz losem tych, którzy muszą żyć z konsekwencjami tego, że są „wspólną tajemnicą”.

W najnowszej książce, nominowanej do Nagrody Literackiej Nike 2024, Abramowicz wyciąga na światło dzienne kolejne tematy tabu, tym razem wykraczając poza granice Polski. Oto, jak sama prezentuje reportaż *Irlandia wstaje z kolan*: „Napisałam tę książkę, bo chciałam dowiedzieć się, jak oni to zrobili. Zrozumieć, co się stało, że ten katolicki kraj rozliczył Kościół ze wszystkich nadużyć, zdetronizował księży, a potem wolą swoich obywateli w powszechnym głosowaniu odrzucił katolicką moralność. Co sprawiło, że Irlandczycy przestali wierzyć w nauki przedmażeńskie i odrzucili wiedzę o seksie wyniesioną z niedzielnych kazań? Czym się od nich różnimy, skoro u nas wciąż to niemożliwe?”<sup>1</sup>. Książka podzielona jest na cztery rozdziały. Pierwszy skupia się na rzeczywistości

Irlandii w latach 1922–1970, drugi opowiada o latach 70. i 80. XX wieku, kolejny o latach 90. i dwutysięcznych. Ostatni, najkrótszy, nosi tytuł *Nowa Irlandia*.

W 1922 roku Irlandia zdobyła niepodległość i uwolniła się spod władzy Wielkiej Brytanii. Choć w 1937 roku podpisano jej konstytucję, w istocie to Kościół katolicki na kilkadziesiąt lat przejął kontrolę nad państwem. Abramowicz podkreśla rolę Charlesa McQuaida – arcybiskupa Dublina, który w istocie rządził Irlandią. To od niego zależała większość, o ile nie wszystkie, z podjętych przez rząd decyzji i prowadzonych działań. Za jego sprawą w konstytucji znalazł się zapis, mówiący o tym, że religia katolicka zajmuje: „szczególną pozycję [...] jako stróża wiary wyznawanej przez większość obywateli”. Kościół katolicki wpajał obywatelom, że nadrzędną wartością jest tradycyjnie rozumiana rodzina, dlatego rozwody były zakazane, a związki homoseksualne były karane więzieniem. Co więcej, wprowadzono zakaz pracy dla mężatek, które miały skupić się na prowadzeniu domu, rodzeniu i wychowywaniu dzieci. To mężczyzna zarabiał pieniądze i dysponował nimi, a także zarządzał życiem rodzinnym.

W rozdziale *Pierwsza rozmowa z Bernadette* poza tytułową bohaterką poznajemy m.in. aktywistki – Alwę i Sabinę, księdza Anthony’ego, Sheila – ofiarę Domu Matki i Dziecka. Bernadette to Irlandka, która dlatego, że była nieślubnym dzieckiem, spędziła młodość w „szkole przemysłowej”, wyznaczonej przez irlandzkiego Kościoła. Trafiły tam sieroty lub dzieci pozamażeńskie. W teorii miały się uczyć zawodu, a w rzeczywistości były wykorzystywane do ciężkiej pracy, bite, wyśmiewane, pozbawione prawidłowej lub jakiegokolwiek edukacji. Po ukończeniu szesnastego roku życia wychowanki i wychowankowie „odzyskiwali” wolność. Jednak dziewczynki, które były „zbyt krnąbrne lub aspołeczne” trafiały do tzw. pralni magdalenek, zaś niegrzecznych chłopców kierowano

<sup>1</sup> Cytat pochodzi z opisu książki na stronie wydawnictwa Krytyki Politycznej: <https://wydawnictwo.krytykapolityczna.pl/irlandia-wsta-je-z-kolan-marta-abramowicz-1196> (dostęp: 26.08.2024).

do zakładów poprawczych, gdzie mieszkali nawet do 21 roku życia. Kościół wierzył, że pracą można odkupić grzechy. A czym była krapka? Na przykład zającem w ciąży bez ślubu (nawet jeśli jej przyczyną był gwałt).

Kilka rozdziałów książki poświęcono papieżowi Janowi Pawłowi II, bowiem Irlandczycy, pytani dziś o najbardziej kontrowersyjne postaci Kościoła katolickiego, często właśnie jego wskazywali. Krytyka papieża uznawanego za moralny autorytet wynika z postrzegania go jako przeciwnika reform w Kościele, nawet tych zaproponowanych po II Soborze Watykańskim. W Irlandii, gdzie w ostatnich dekadach ujawniono liczne skandale związane z nadużyciami w Kościele katolickim, wiele osób traktuje Jana Pawła II jako przywódcę, który nie tylko nie zdołał odpowiednio zareagować na wewnętrzne problemy Kościoła, ale wręcz jako człowieka hamującego wszelkie zmiany mające na celu zapobieganie takim nadużyciom w przyszłości.

Abramowicz porusza również tematy związane z systemem zdrowia. W wielu europejskich krajach wprowadzono bezpłatną opiekę zdrowotną, jednak w Irlandii Kościół upierał się, by pozostała ona płatna. Kolejnym problemem, z jakim mierzył się ten kraj, była cenzura książek, filmów i radia. Wprowadzono ją w 1929 roku – wszystkie media były kontrolowane przez państwo. Na zakazanej liście znalazło się 8000 książek z całego świata, a z filmów wycinano sceny, które mogły nie podobać się ludziom Kościoła lub zabraniano ich emisji (do lat 80. ocenizowano 14 tysięcy filmów). Nadzór nad telewizją okazał się trudniejszy, co przyczyniło się do nieoczekiwanych zmian w mentalności Irlandczyków.

Przełom nastąpił w latach 70. XX wieku. Nadużycia w Kościele powoli wypływały na światło dzienne, a obywatele zaczęli buntować się przeciw narzucanym im ograniczeniom. Kościół stawał się coraz mniej

wiarygodny, zwłaszcza gdy ujawniano coraz liczniejsze historie osób, które przetrwały pobyt w szkołach przemysłowych i Domach Matek z Dzieckiem. Ocaleni, ofiary przemocowych działań, których doznały ze strony państwa oraz Kościoła, zaczęły zabierać głos. Na jaw wyszły przestępstwa seksualne popełniane przez księży. Aktywiści i aktywistki zaczęły walczyć o swoje prawa i wygrywać procesy. W 1973 roku usunięto z konstytucji Irlandii zakaz pracy dla mężatek, w 1993 zdekryminalizowano homoseksualizm, w 1996 zniesiono zakaz rozwodów, a w 2015 zalegalizowano małżeństwa par jedнопłciowych.

Co ciekawe, w badaniach z 2022 roku, tylko 14 procent Irlandczyków zadeklarowało się jako ateści, aż 69 procent określiło się jako katolicy. Jednak – jak pisze Abramowicz – ludzie w Irlandii: „Nie potrzebują Kościoła, żeby rozwijać swoją duchowość. Nie spadł też na nich żaden grom z jasnego nieba”. Kulturowi katolicy – jak sami siebie nazywają – działają na własnych zasadach, skupiają się na tworzeniu relacji i więzi we wspólnocie, bez kościelnego terroru i przemocy.

Reportaż Abramowicz szokuje. Autorka porównuje wydarzenia z Irlandii z tymi, które niedawno miały miejsce w Polsce, gdy restrykcyjny zakaz aborcji doprowadził do śmierci kilku kobiet. Bohaterowie i bohaterki reportażu podkreślają wagę wytrwałości i działania w obliczu trudności. Ich historie pokazują, że nadzieja i upór mogą prowadzić do poprawy sytuacji życiowej, nawet w najbardziej niekorzystnych okolicznościach. W ten sposób autorka nie tylko dokumentuje ich doświadczenia, ale także inspiruje do refleksji nad własnym zaangażowaniem w walkę o lepszą przyszłość.

Podobną tematykę podjęli Artur Nowak i Stanisław Obirek w książce *Babilon: Kryminalna historia kościoła* (2022). Skoncentrowali się na skandalach, przestępstwach i nadużyciach kościelnych instytucji, badali przypadki korupcji, molestowania i innych



nieetycznych działań, które miały miejsce w różnych okresach historii Kościoła, w tym także w Irlandii. Tuż po publikacji książki Abramowicz w Wydawnictwie Czarne ukazał się przekład książki Irlandczyka Dereka Scally'ego pt. *Najlepsi katolicy pod słońcem: Pożegnanie Irlandczyków* w tłumaczeniu Agnieszki Sobolewskiej (2024), w której analizuje on zjawiska związane z katolicyzmem we własnym kraju, ze szczególnym uwzględnieniem wpływu Kościoła na społeczeństwo i kulturę. Autor bada nie tylko historyczną, ale i współczesną rolę Kościoła katolickiego w Irlandii, w tym kontrowersje i skandale, które wstrząsnęły tamtejszym społeczeństwem.

Reportaż Abramowicz jest głosem w międzynarodowej dyskusji o znaczeniu przeciwstawiania się niesprawiedliwości społecznej i wytrwałości w dążeniu do zmiany tego stanu. Porównanie Polski z Irlandią wzmacnia ten przekaz, ukazując, że pomimo różnic kulturowych i politycznych walka o takie uniwersalne wartości, jak potrzeba równego traktowania i zniesienie różnych form dyskryminacji prowadzi do praworządności, a tym samym do lepszego życia.

Maria Zielonka

---

Marta Abramowicz, *Irlandia wstaje z kolan*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2023.

# KRONIKA

## W KOLORZE INDYGO – WYSTAWA SANGEETY GUPTY

18 września 2024 roku w Przyrodniczo-Medycznym Centrum Badań Innowacyjnych Uniwersytetu Rzeszowskiego otwarto wystawę indyjskiej artystki Sangeety Gupty zatytułowaną *Podróż w kosmicznym indygo* wraz z towarzyszącą jej, muzyczno-wizualną prezentacją „Rzeszowskiego Chabra”. Inicjatorem tego wydarzenia artystycznego była znana rzeszowska poetka i tłumaczka Krystyna Lenkowska, kuratorką – pisząca te słowa.

Sangeeta Gupta mieszka w Delhi. Uprawia sztukę abstrakcyjną, jest także dwujęzyczną poetką i twórczynią filmów dokumentalnych. Jej dorobek obejmuje 36 indywidualnych wystaw malarstwa i 25 książek, w tym czternaście zbiorów wierszy w języku hindi i sześć w języku angielskim. Jedenaście książek zostało przetłumaczonych na różne języki, w tym: niemiecki, grecki, mandaryński, węgierski, angielski, bengalski, dogri, tamilski i urdu. Na język hindi przełożyła tom wierszy węgierskiego poety Istvána Turcziego. W uznaniu wybitnego wkładu w współczesną literaturę otrzymała tytuł doktora na 42 Światowym Kongresie Poetów. Napisała też scenariusze, wyreżyserowała i wyprodukowała 35 filmów dokumentalnych. Sześć z nich znajduje się w zbiorach Biblioteki Kongresu Stanów Zjednoczonych.

Twórcze pasje Sangeety Gupty przekładają się na jej naturalne, duchowe malarstwo, które niesie ważne dziś dla świata przesłanie: Musimy wrócić do podstaw, jakie dyktuje Natura. Jeśli chcemy przetrwać, to w każdym aspekcie życia musimy wrócić do zrównoważonej symbiozy z Naturą.

Indyjska artystka we wszystkich różnorodnych formach twórczości, także w projekcie *Podróż w kosmicznym indygo* wyraża to przesłanie. Odnalazła je w osobistym wycinku ziemskiej i kosmicznej przestrzeni – w „naturalnym indy-

Fot. Waldemar Lenkowski



„Dream Team” organizacyjny (od prawej): Kuba Ziajor, Sangeeta Gupta, Krystyna Lenkowska, Anna Baran, Maciej Staszewski i A'tomek

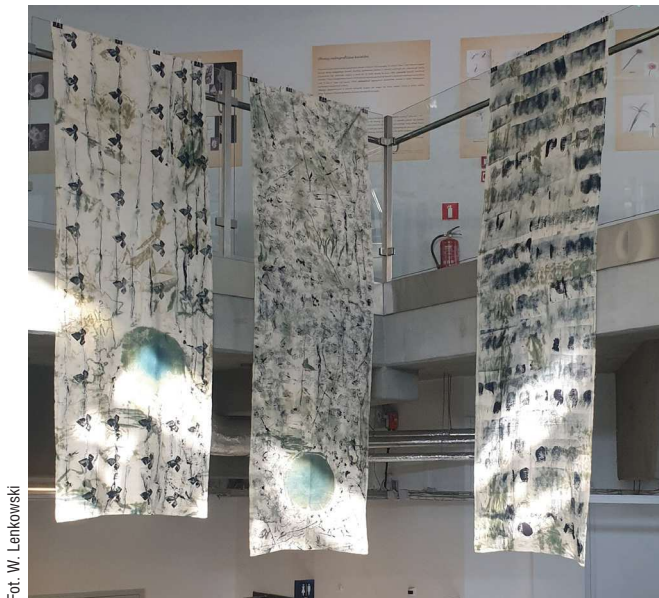
go” – powołując jego kolor i symbolikę jako motto artystycznych działań. W tym wybranym aspekcie życia manifestuje ważne przesłanie dla zepsutych konsumpcjonizmem ludzi XXI wieku, chce powołać ogólnosiwiatowy ruch na rzecz odrodzenia w każdym miejscu Ziemi „swojego, rodzimego, naturalnego indygo”. Nawołuje do przywrócenia jego świętości i szacunku dla naturalnych materii. Mówi: „Ręcznie robione tkaniny są przyjazne dla środowiska. Naturalne kolory i barwniki są wolne od chemikaliów”. W swoim kraju Sangeeta Gupta dostrzega ogromny potencjał w odrodzeniu upraw indygowca barwierskiego oraz tradycyjnych metod uzyskania czystego, naturalnego barwnika indygo, bez jakichkolwiek, szczególnie chemicznych, dodatków.

W przesłaniu jej projektu mieści się także wspieranie lokalnych społeczności Indii, w tym przede wszystkim rzemieślników i rolników. Naturalne indygo może stać się pożądanym produktem eksportowym. Jest pewna, że przekonanie władz i społeczności indyjskiej o słuszności powrotu do uprawy indygowca znacząco poprawi życie rolników w Indiach. W prezentowanym na całym świecie projekcie *Adiyogi Shiva: Podróż w kosmicznym indygo* – monumentalnym dziele o długości 200 metrów na khaddarze (ręcznie przędzonej bawełnie), opracowanym wyłącznie

w kolorze indygo, drukowanym blokowo z naturalnego dąbu – promuje powrót do naturalnych, ekologicznych rozwiązań w sztuce i produkcji.

Indygo, jako barwnik i kolor, jest głęboko zakorzeniony w hinduskiej tożsamości kulturowej. Jego bogata historia i duchowe znaczenie sprawiają, że pozostaje ciągle istotnym elementem duchowości i sztuki. W Indiach ten kolor jest symbolem bogactwa kulturowego i duchowego oraz metaforycznym wyrazicielem walki o wolność i godność.

W twórczości Sangeety Gupty indygo odgrywa szczególną rolę. Artystka fascynuje się nim nie tylko ze względu na jego piękno, ale także głęboką symbolikę. Kocha ten kolor i jego rozliczne odcienie, ponieważ symbolizują niebo i wodę, dwa podstawowe elementy kosmosu. Indygo kojarzone z czakrą trzeciego oka odpowiada za intuicję, wyższą świadomość i połączenie z kosmicznymi energiami. Jest odzwierciedleniem mądrości, sprawiedliwości i uczciwości. Stymuluje nasz mózg i odpowiada za zwiększoną aktywność twórczą. Ludzie z osobowością „indygo” są z natury uporządkowani i nie lubią chaosu. I właśnie dlatego kolor ten pojawia się w wielu dziełach artystki, jako most między tym, co duchowe, a tym, co fizyczne, zachęcając odbiorcę do refleksji nad tajemnicami wszechświata.

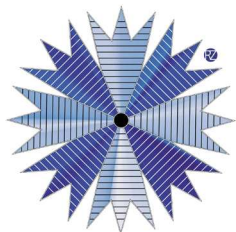


Fot. W. Lenkowski

Tkaniny Sangeety Gupty z wystawy *Podróż w kosmicznym indygo*,  
Hol Industrialny Przyrodniczo-Medycznego Centrum Badań  
Innowacyjnych Uniwersytetu Rzeszowskiego, 18.09.2024

W abstrakcyjnych obrazach *Podróży w kosmicznym indygo* Sangeeta Gupta sięga po geometryczne wzory, a także korzysta z elementów pisma. Geometria symbolizuje w jej pracach porządek kosmiczny. Pojawia się w formie kół, trójkątów i innych kształtów, których zadaniem jest ukazanie harmonii wszechświata. Z kolei pismo, nie zawsze będąc dosłownym zapisem, staje się metaforą uniwersalnej komunikacji ze wszechświatem, pełniąc rolę duchowego kodu, którym artystka przekazuje niewidzialne prawdy. Pismo to przypomina starożytne mantry lub runy i pełni funkcję duchowego przewodnika.

Twórczość Sangeety Gupty jest syntezą sztuki nowoczesnej i tradycji, kodem duchowości. Stosując symbolikę pięciu elementów wszechświata i kolor indygo, artystka tworzy dzieła, które łączą świat materialny z duchowym, zapraszając do refleksji nad sensem istnienia i harmonii z naturą. Dzieła hinduskiej artystki przypominają, że sztuka nie jest tylko formą estetycznej ekspresji, narzędziem duchowego rozwoju, ale również skutecznym „misjonarzem” szerzącym przekazy uniwersalne i humanistyczne. Kolor indygo, geometryczne wzory i pismo są narzędziami Sangeety Gupty, za pomocą których tworzy bogaty, wielowymiarowy świat, w którym duchowość łączy się z nauką, a introspekcja z kosmiczną eksploracją. W dobie rosnącej złożoności świata, artystka oferuje nam możliwość zatrzymania się, zanurzenia w duchowych głębiach i odkrycia własnej, wewnętrznej przestrzeni.



CHABER RZESZOWSKI

Kuba Baptista Ziajor,  
Chaber Rzeszowski,  
projekt logo



Fot. Halima Marlewicz

Sangeeta Gupta z Nataszą, Pawłem i Barbarą Olerkami, Hol Industrialny Przyrodniczo-Medycznego Centrum Badań Innowacyjnych Uniwersytetu Rzeszowskiego, 18.09.2024

<https://artsangeetagupta.com/category/painting/natural-indigo-on-textile/>;



Sangecta Gupta, malarstwo na tkaninie



Fot. W. Lenkowski

Anna Baran (komisarz wystawy) przemawia na vernisazu wystawy Sangecty Gupty, Hol Industrialny Przyrodniczo-Medycznego Centrum Badań Innowacyjnych Uniwersytetu Rzeszowskiego, 18.09.2024

Jako wydarzenie towarzyszące otwarciu wystawy *Podróż w kosmicznym indygo* odbyła się wizualno-muzyczna prezentacja *Rzeszowskiego Chabra* Kuby Battisty Ziajro, który w kulturę Rzeszowa włączyła Barbara Olearka, dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 12, promując go nie tylko jako kwiat, ale również jego intensywną barwę, zbliżoną do indyjskiego indygo, która wpisana jest również w godło Rzeszowa.

Chaber jako rodzimy kwiat pól i łąk odgrywa istotną rolę w kulturze i historii Rzeszowa. Był wykorzystywany jako motyw zdobniczy w regionalnych strojach rzeszowian. W polskiej tradycji chaber ma analogiczną symbolikę, co indygo w Indiach, głębokie zakorzenie zwłaszcza w kulturze ludowej, nie tylko jako ozdoba, ale również element tożsamości regionalnej. Biorąc pod uwagę ekologiczny trend powrotu do natury w urządzaniu miejskiej przestrzeni publicznej, np. zakładanie łąk kwietnych zamiast betonowania terenów, pojawienie się chabra jako motywu towarzyszącego wystawie *Podróż w kosmicznym indygo* Sangeety Gupty, jest w pełni uzasadnione. *Rzeszowski Chaber* nie tylko estetycznie i symbolicznie współgra z wystawą jej tkanin, ale również reprezentuje wartości, które są dziś coraz bardziej doceniane, takie jak ekologia, powrót do natury i ochrona dziedzictwa kulturowego. Chaber, jako symbol polskich (podkarpackich, podrzeszowskich) łąk i pól, znakomicie wpisuje się w proekologiczny ruch, promujący zrównoważony rozwój i dbałość o środowisko.

Anna Baran



Sangeeta Gupta, prace malarskie na tkaninie

## TERYTORIUM WIERSZA PO RAZ DRUGI

16 października 2024 roku odbyło się spotkanie z cyklu „Terytorium wiersza 2. (Podkarpacki) Flisz poetycki im. Jerzego Pleśniarowicza”. Zorganizowane zostało w ramach Literackiego Festiwalu Teatru Siemaskowej „Międzysłów Karpat”. Impreza była okazją do spotkania ze sobą środowiska poetyckiego Podkarpacia. Program wydarzenia obejmował prezentację twórczości zaproszonych poetów, interpretacje wierszy przez aktorów, a także odkrywanie nowych wymiarów słowa w rozmowie uczestników spotkania (m.in. dotyczącej łączenia tradycji z nowymi wyzwaniemami w dobie internetu i sztucznej inteligencji).

Wśród zaproszonych gości znaleźli się tym razem (w odwróconym porządku alfabetycznym): Władysław Włoch, Arkadiusz Tuziak, Jacek Świerk, Małgorzata Szepelak, Andrzej Sondej, Rafał Rżany, Marek Pękala, Jakub Pacześniak, Tomasz Nowak, Krystyna Lenkowska, Janusz Koryl, Grzegorz Kociuba, Adam Decowski, Katarzyna Bolec, Jan Belcik i Roman Adamski. Gościem specjalnym była znana poetka i pisarka Anna Piwkowska. Wieczór poprowadzili Jakub Pacześniak (dyrektor programowy Festiwalu) i Jagoda Skowron (dyrektor artystyczna Festiwalu).

Wiersze zaproszonych autorów znakomicie zinterpretowali aktorzy Teatru im. Siemaskowej Małgorzata Machowska i Robert Żurek. Gośćmi spotkania byli także syn Jerzego Pleśniarowicza, patrona „Fliszu poetyckiego”, Krzysztof, i jego wnuk Jan. W wydarzeniu uczestniczyli rzeszowscy krytycy i badacze literatury Jan Wolski i Aleksandra Smusz.

Z okazji tego spotkania został wydany almanach z wierszami zaproszonych autorów i gościa specjalnego. Wieczór dopełniły długie rozmowy przy wymianie poetyckich książek, ciasteczkach i winie.

Jan Belcik



# AUTORZY „FRAZY” ZAPROSILI NAS, PUBLIKACJE NADESŁANE, KOMUNIKATY

## PAWEŁ BATORY

Ur. w 1979, pochodzi z Gorlic. Historyk sztuki, doktor nauk o sztuce, dyrektor Muzeum Diecezjalnego w Rzeszowie i Diecezjalny Konserwator Zabytków, wykładowca historii sztuki w Instytucie Sztuk Pięknych Uniwersytetu Rzeszowskiego, ksiądz diecezji rzeszowskiej. Interesuje się sztukami wizualnymi, filmem i literaturą. Autor monografii *Muzeum Diecezjalne w Rzeszowie – 25 lat* (2023).

## ANNA BARAN

Malarka, rysownicza, fotografka, aranżerka wystaw artystycznych, zajmuje się również projektowaniem ogrodów. Dr hab. w zakresie sztuki, wykładowczyni Uniwersytetu Rzeszowskiego. Jest członkinią i sekretarzem Związku Polskich Artystów Malarzy i Grafików w Rzeszowie, należy do Grupy Twórczej „Droga”, Międzynarodowej Grupy Twórców Różnych „Złota Linia” i niezależnej grupy artystycznej ABAMAK. Uczestniczka wydarzeń edukacyjno-artystycznych „Apel – My dla Ziemi – Kolorem, słowem dźwiękiem, i w drewnie zapisane”. Autorka kilkunastu wystaw indywidualnych i uczestniczka kilkudziesięciu zbiorowych w kraju i za granicą (Polska, Niemcy, Szwajcaria, Wielka Brytania, Belgia, Czechy, Słowacja, Ukraina, USA). Jej prace znajdują się w prywatnych kolekcjach w Polsce, Niemczech, Szwajcarii, Ukrainie i Wielkiej Brytanii.

## JERZY BARTONEZZ

Ur. w 1966 w Bolesławcu. Poeta, tłumacz, fotograf, narciarz, żeglarz, emigrant. W Polsce był redaktorem, sztygarem w kopalniach węgla i soli, w Kanadzie m.in. wykonywał zajęcia gazetnicarza, pracował w rzeźni i w domu dla psychicznie chorych. Realizuje się literacko w mediach elektronicznych, m.in. w latach 2019–2021 współpracował z portalem „Babiniec Literacki”, publikując tłumaczenia poezji Emily Dickinson, Elizabeth Bishop, Lindy Pastan, Sylvii Plath i Louise Glück oraz własne wiersze, które zamieściła także „Słaska Strefa Gender” i „Fraza”. Mieszka z rodziną w Toronto.

## JAN BELCIK

Ur. w 1960 w Dukli. Poeta, krytyk. Opublikował tomy poezji: *W cieniu Cergowej* (1989), *Fotografie (nie)przypadkowe* (1995), *Incognito* (2001), *Inne cienie* (2009), *Drugi brzeg* (2013), *Cienie Getsemani* (Biblioteka „Frazy” 2017), *Jeszcze inne cienie* (2022). Jego wiersze znalazły się w dwujęzycznej, polsko-węgierskiej antologii *Złoto aszu* (2003). Współautor z Markiem Petrykowskim i Waławem Turkiem *Antologii Krosno i okolice* (2019). Jest laureatem ogólnopolskich konkursów literackich. Prezentował swoją twórczość poetycką i krytycznoliteracką na łamach

pism ogólnopolskich i lokalnych (m.in. „Gazeta Wyborcza”, „Fraza”, „Nasz Dom Rzeszów” „Odra”, „Topos”, „Twórczość”) oraz na antenie Polskiego Radia i Telewizji Polskiej. Laureat Nagrody Miasta Krosna (2019). Jego wiersze przetłumaczono na języki węgierski, słowacki i serbski. Mieszka w Krośnie.

#### MAGDALENA BIELSKA

Ur. w 1980, poetka. Wydała książki poetyckie: *Brzydkie zwierzęta*; *Wakacje, widmo*; *Czarna wyspa*; *Torfowy ogród z mostem i tygrysem*; *Poradnik dla niedawno zmarłych* oraz powieść *Miłość w ziemi*. Laureatka Nagrody im. Wisławy Szymborskiej (2024) i Nagrody K. Iłkiewiczówny oraz dwukrotnie Krakowskiej Książki Miesiąca. Mieszka w Krakowie.

#### ANA BLANDIANA

(właśc. Otylia Valeria Rusan, z domu Coman), rumuńska poetka, esecistka, działaczka społeczna. Jest autorką ponad 30 książek, głównie poezji, ale także esejów, noweli fantastycznych oraz powieści. Jej twórczość została przetłumaczona na 26 języków obcych. W języku polskim wybór jej poezji *Pięta achillesowa i inne wiersze* ukazał się nakładem Wydawnictwa Literackiego w przekładzie Zbigniewa Szuperskiego (1984). W 2016 roku za tomik *Moja ojczyzna A4* (2015) w przekładzie Joanny Kornas-Warwas otrzymała nagrodę Europejski Poeta Wolności. Jej wiersze były kilkakrotnie prezentowane w „Literaturze na Świecie” w przekładzie Ireny Harasimowicz-Zarzeckiej i Zbigniewa Szuperskiego. Jest laureatką wielu nagród literackich w Rumunii oraz na świecie, m.in. Nagrody Księżnej Asturii w dziedzinie literatury (2024). Za czasów komunistycznych trzykrotnie była objęta zakazem publikacji (1959–1964, 1985, 1988–1989). W 1990 ponownie założyła rumuński PEN Club, sprawując funkcję jego prezeski do 2004. Obecnie jest jego prezeską honorową, była także założycielką i prezeską Akademii Obywatelskiej oraz pierwszego na świecie Miejsca Pamięci Ofiar Komunizmu i Ruchu Oporu, które założyła pod egidą Rady Europy w dawnym więzieniu przeciwników władzy komunistycznej w Siget. Członkini Akademii Poezji Stéphane’a Mallarmé, Europejskiej Akademii Poezji i Światowej Akademii Poezji UNESCO. Członek korespondent Akademii Rumuńskiej, doktor *honoris causa* wielu rumuńskich uczelni, Uniwersytetu w Salamance (Hiszpania) oraz Uniwersytetu w Sofii (Bułgaria), Kawaler Legii Honorowej.

#### GRAŻYNA BOCHENEK

Dziennikarka radiowa, filmoznawczyni, absolwentka Wydziału Zarządzania i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, doktor nauk o sztuce (na podstawie pracy *Wizerunki kobiet w kinie PRL-u*, 2008). W latach 2004–2021 dziennikarka Polskiego Radia Rzeszów, w latach 2020–2024 wykładowczyni i rzeczniczka prasowa Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania z siedzibą w Rzeszowie, obecnie współpracuje z Radiem 357. Jej najważniejsze prace radiowe to: cykl reportaży *Podkarpacki Poczet Aktorów*, cykl audycji *Szlakiem Tadeusza Kantora*, reportaże *Nasi Ukraińcy* (I nagroda w Ogólnopolskim Konkursie „Pogranicze” 2015 organizowanym przez Radio Olsztyn), *Normalni ludzie*, reportaże o Fredzie Zinnemannie. Otrzymała stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w roku 2019, w ramach którego napisała książkę *Fredke, Rzeszów, Hollywood. Opowieści o Fredzie Zinnemannie* (2021, Wydawnictwo Austeria). Koordynatorka festiwalu: „W samo południe. Fred Zinnemann wraca do Rzeszowa” (15–19.08.2018), „Jaśnie Pan Waszyński. Spotkania z klasyką filmową” (16–18.08.2019). Autorka podcastu „Rzeszowskichistorie.pl”, pomysłodawczyni i koordynatorka projektu „Mój Rzeszów. Nasz Rzeszów” poświęconego odkrywaniu historii żydowskich rodzin z Rzeszowa (publikacja pod tym tytułem pod jej redakcją ukazała się w 2024). Prezeska Stowarzyszenia Rajsze, w ramach którego podjęto starania o przekład poematu Berisza Weinsteina *Rajsze* oraz organizowano spotkania o nim opowiadające (2023–2024).

#### KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Ur. w 1952 w Barczewie. Poeta, esecista, tłumacz, krytyk literacki, redaktor, animator kultury. Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 1991–1997 redaktor naczelny pisma „Borussia”. Laureat wielu nagród, m.in. nagrody im. S. Piętaka (1991), nagrody redakcji „Czasu Kultury” (1993), Nagrody Ministra Kultury (2001), Lauru UNESCO (2007), Literackiej

Nagrody Warmii i Mazur (2009), polsko-niemieckiej Nagrody im. S.B. Lindego (2016). Debiutował tomikiem wierszy *Zrosty* (1979). W ostatnich latach opublikował m.in. książki: *Cudoziemiec* (Olsztyn 2018), *Twarze świata* (Szczecin 2019), *Poeta i świat. Wyznania, wywiady, wiersze* (Olsztyn 2020), *Pies na wiersze albo Pieczewo* (Mikołów 2021), *Oumnamua. Atlas wierszy światologicznych* (Szczecin, Bezzręcze 2022) oraz przekłady poezji: Paola Keingea, Yvon Le Men, Michela Bouviera i Kennetha White'a.

#### HUBERT CZARNOCKI

Ur. w 1980 w Radzynie Podlaskim. Poeta, prozaik, fotograf. Ukończył polonistykę na KUL-u i Akademię Fotografii. Wiersze publikował m.in. w: „Toposie”, „artPapierze”, „Kresach”, „Portrecie”, „Cogito”, „Czasie Literatury”, „Perspektywach”, „Arkadii”, „Frazie”, „Dwutygodniku”, „Helikopterze”, „Migotaniach”, „Wyspie”, „Elewatorze”, „Odrze” i na jej na stronie internetowej. Laureat m.in. Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. J.I. Kraszewskiego i Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Michała Kajki. W 2008 nominowany do Nagrody Żurawie w kategorii Słowo. Autor kilku indywidualnych wystaw fotograficznych, brał też udział w wystawach zbiorowych. Laureat kilku konkursów fotograficznych. Autor e-booka *Jasność* (2008), tomików poetyckich: *Wołania* (2009), *Opowieść* (2011), *Tropy* (2015), *Oddech światła* (2018). Pracował jako nauczyciel, fotograf, dziennikarz radiowy, prezenter i lektor.

#### JEWGIENIJ CZIGRIN

Ur. 1961, rosyjski poeta i eseista, członek Międzynarodowego PEN-Clubu, Związku Pisarzy Rosyjskich i Związku Pisarzy Moskiewskich, autor wielu książek poetyckich i wyborów poezji, publikujący m.in. w „Literaturnoj Gazietie” i „Nowym Mirze”. Uczestnik międzynarodowych festiwali literackich, w tym Warszawskiej Jesieni Poezji w latach 2008 i 2010 oraz IV Warszawskich Targów Książki w 2013 r. Laureat m.in. Międzynarodowej Nagrody im. Arsenija i Andrieja Tarkowskich (2013) i Wszechrosyjskiej Nagrody Literackiej im. Pawła Bazowa (2014). Tłumaczony na szereg języków obcych, m.in. w roku 2015 w przekładzie Władimira Stokmana ukazała się jego książka *Poganiacz. Wiersze wybrane* (Bydgoszcz 2015). Mieszka w Krasnogorsku pod Moskwą.

#### ZBIGNIEW DMITROCA

Ur. w 1962. Poeta, tłumacz, bajkopisarz. Autor i tłumacz ponad pięćdziesięciu książek dla dorosłych i dla dzieci. Wiele jego wierszy dla najmłodszych znalazło się w podręcznikach szkolnych i poradnikach dla nauczycieli. Jego wiersze były tłumaczone na kilkanaście języków europejskich, m.in. na baskijski i romski. Ważne miejsce w jego dorobku zajmują przekłady poezji rosyjskiej. Wśród tłumaczonych autorów znajdują się klasycy XIX wieku: Tułtcew, Lermontow, Fet, poeci „srebrnego wieku” (Błok, Achmatowa, Cwietajewa, Chodasiewicz, Gumilow, Jesienin, Kuzmin, Mandelsztam, Pasternak, Wołoszyn, Bart) oraz poeci współcześni: Brodski, Britaniszki, Buricz, Kuprijanow, Pomierancew i inni. W jego przekładach ukazały się m.in. Anny Achmatowej *Modlitwa* (1998) i *Milczenie było moim domem* (2008), Władysława Chodasiewicza *Powrót Orfeusza* (2016), antologia współczesnej poezji rosyjskiej *Radio „Swoboda”* (2015). Mieszka na Lubelszczyźnie.

#### ANITA MONIKA FRANKOWIAK

Dr hab. prof. UWM w Katedrze Komunikacji Społecznej i Mediów Instytutu Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, mediator sądowy, coach, mentor, tutor akademicki, psycholog komunikacji. Od 2010 kieruje Instytutem Dyplomacji ([www.institutdyplomacji.edu.pl](http://www.institutdyplomacji.edu.pl)). W 2021 uruchomiła i poprowadziła pierwszą w Polsce w pełni autorską Szkołę Tutorów Międzykulturowych na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Od 2024 Pełnomocnik Wojewody Warmińsko-Mazurskiego ds. Protokołu Dyplomatycznego. Opublikowała m.in. książki: *Być wśród żywych i umarłych. Ewolucja twórczości eseistycznej Gustawa Herlinga-Grudzińskiego* (2003), *Oblicza tożsamości europejskiej na łamach polskich tygodników opinii w latach 2004–2015* (2016), *Śladami Apolonii Szczęsnej. Gerson – Słupski – Stefański – Prószyński – Białoszewski. Szkice o komunikowaniu artystycznym* (2024) oraz po-

wieść historyczną *Być wśród żywych i umarłych* (2003), współautorka monografii *Komunikacja, media, przebaczenie. Wzajemne uwarunkowania* (2019).

#### MACIEJ FRONSKI

Ur. w 1973 w Gliwicach. Poeta, tłumacz poezji i piosenek, z wykształcenia prawnik (absolwent UJ). Jako poeta zadebiutował w 1994. Jest autorem tomików wierszy: *Rozpoznania bojem* (2006), *Poezja spokoju moralnego* (2008), *Efekt zimnej wody* (2016) oraz wierszy dla dzieci *Bielski tramwaj* (2023). Piosenki do słów jego wierszy weszły do repertuaru Michała Łangowskiego i Michała Łanuszki. Publikował w prasie lokalnej i ogólnopolskiej (m.in. „Odrze”, „Lampie”, „Literaturze na Świecie”, „Litieraturnej Gaziecie”, brukselskim „Journal des Poètes”, zagrzebskiej „Pocizji” i odeskim „Jużnom Sijanii”). W 2016 wyróżniony w III Konkursie na Pieśń Dziadowską Nową. Jego utwory tłumaczono na: rosyjski, francuski, ukraiński, czeski i chorwacki. Przekłady opublikowano w: antologii XIII-wiecznej poezji włoskiej *Przed Petrarką*, wyborach poezji Iwana Bunina *Wciąż smutno wierzę w swoje szczęście...* i Michela Houellebecqa *Niepogodzony. Antologia osobista 1991–2013*. W jego tłumaczeniu ukazały się *Przekłady z poetów języka angielskiego 1500–1950* oraz *Wiersze wybrane* Vladimira Stockmana (2023). Jest redaktorem „Pisma Folkowego”, został nagrodzony w Konkursie Polskich Krytyków Muzycznych KROPKA (2014). Jego prace były prezentowane w Médiathèque Voyelles w Charleville-Mézières we Francji (2015), Muzeum Gutenberga w Moguncji (2017), Muzeum Champolliona w Figearc (na przełomie 2021 i 2022). Był gościem Międzynarodowego Festiwalu Literatury „Apostrof” (2018). Mieszka w Bielsku-Białej.

#### SANGEETA GUPTA

Dwujęzyczna indyjska poetka, artystka wizualna i filmowa. Wydała 25 tomów poetyckich. Dzieścię z nich zostało przetłumaczonych na kilka języków, m.in. na grecki, mandaryński, angielski, niemiecki, węgierski, bengalski, dogri, tamilski i urdu. Ma na swoim koncie 36 indywidualnych wystaw obrazów. Zrealizowała 30 filmów dokumentalnych. Pracowała w Ministerstwie Finansów rządu Indii (m.in. jako główny komisarz ds. podatku dochodowego) oraz doradca (finanse i administracja) w Lalit Kala Akademii i National Akademi of Visual Arts. Była członkiem komitetu finansowego Uniwersytetu Jawaharlala Nehru w New Delhi.

#### FRYDERYK HUNIA

Ur. w 1948. Studiował na Wydziale Malarstwa i Grafiki ASP w Krakowie (dyplom w pracowni prof. Czesława Rzepińskiego) oraz przez trzy lata na Wydziale Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zajmuje się malarstwem sztalugowym i projektowaniem witraży, pisze wiersze i esaje na temat sztuki, mistyki, duchowości orientalnej. Te ostatnie publikował m.in. w „Znaku”, „Twórczości”, „Czasie Kultury”, „Albo Albo”, „Frazie”. Mieszka w Krakowie.

#### SERGIUSZ A. JESIENIN

(1895–1925), poeta rosyjski, współzałożyciel ugrupowania imażynistów, w którym reprezentował nurt wiejski, mistrz liryki refleksyjnej, wirtuoz kreacji poetyckich obrazów przyrody, entuzjasta utopijnie pojmowanej rewolucji, anarchista. W późniejszym okresie w jego poezji zaczynają dominować nastroje rozpaczy, pogłębione depresją i narastającym alkoholizmem. Sławne były jego związki z kobietami, szczególnie burzliwe małżeństwo z wybitną amerykańską tancerką Isadorą Duncan. Popenił samobójstwo, które odbiło się szerokim echem w Rosji i całym ówczesnym, artystyczno-intelektualnym świecie. Opublikował m.in. poematy *Inonia* i *Przemienienie* (1918), *Spowiedź chuligana* (1920), *Pugaczow* (1921), *Moskwa karczemna* (1924), inne polskie tłumaczenie to *Moskwa pijacka*, *Czarny człowiek* (pośmiertnie, 1925). Pisał także utwory miłosne: *Motywy perskie*, *Anna Sniegina* (oba 1925). W Polsce jego wiersze ukazywały się wielokrotnie w osobnych wyborach oraz w antologiach w tłumaczeniach m.in. Tadeusza Nowaka (*Poezje*, 1978) i Adama Pomorskiego (*Inonia i inne wiersze*, 1984). Wywarł znaczący wpływ na polską poezję (m.in. Władysława Broniewskiego i wczesnego Andrzeja Bursa).

#### MARIUSZ KALANDYK

Ur. w 1963. Poeta, krytyk, dr nauk humanistycznych, redaktor naczelny „Kwartalnika Edukacyjnego”. Na przełomie lat 80. i 90. XX w. członek grupy poetyckiej Draga, współpracownik

i redaktor „Frazy” (w latach 1993–1996). Zadebiutował w 1997 tomikiem *Powrót Atanaryka* (Nagroda im. Kazimierza Hłakowiczówny za najlepszy poetycki debiut roku). Wydał również zbiory wierszy: *Timbuktu – fuga* (2001, nominacja do „Paszportu Polityki”), *Karczma Rzym* (2006), *Cmentarz gołębi* (2009), *Szrama – deuteronomij* (WBPiCAK, Poznań 2019), *Wyznania miłosne (na czas zarazy)* (Biblioteka „Frazy”, 2021), *Analogie paralele (poemat epistemologiczny)* (Biblioteka „Frazy”, 2023). Autor monografii *Poetycki światopogląd Jarosława Marka Rymkiewicza. Próba antropologii literackiej* (2015). Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Mieszka w Rzeszowie.

#### RYSZARD KOŁODZIEJ

Ur. w 1967 r. w Krynicy, poeta i krytyk. Debiutował w „Twórczości”; publikował również w „Akcentie”, „Arkuszu”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Toposie”, „Wyspie”, wielokrotnie w „Frazie”. W 2001 ogłosił tomik poetycki *Po tej stronie*. Mieszka w USA.

#### WALDEMAR KONTEWICZ

Ur. w 1951 w Braniewie, Prozaik, poeta, tłumacz. Absolwent Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Olsztynie. Z zawodu nauczyciel matematyki, w latach 70. XX wieku pracował w szkołach w Bieszczadach, na Kurpiach i Mazowszu, zaś po osiedleniu się w Kanadzie w 1987 r. w kanadyjskim szkolnictwie średnim. Autor tomów opowiadań *Braniewnik* (2011; nominacja do „Wawrzynu”, Literackiej Nagrody Warmii i Mazur, wyróżniony Laurem Czytelników) i *Gollicja. Braniewnik* (2017) oraz zbiorów poezji: *Wilkie braniewskie i inne historie wierszem* (Toronto–Rzeszów 2013), *Appendix* (2014), *Wilk którego karmisz* (Toronto–Rzeszów 2020; nominowany do „Wawrzynu”), *Tunel pod Ptaszkowską* (Toronto–Rzeszów 2022). Przekłada poetów obszaru języka angielskiego (m.in. Moniza Alvi, Rafi Aaron, Elizabeth Bishop, Irving Layton, Al Purdy i John Weier). Opowiadania, wiersze i tłumaczenia publikował m.in. w paryskiej „Kulturze”, nowojorskim „Przeglądzie Polskim”, londyńskim „Pamiętniku Literackim” oraz w „Borussi”, „Gazecie Olsztyńskiej”, „Migotaniach, Przejaśnieniach”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Polityce”, „Śląsku”, „Twórczości” i „Więzi”. Jest członkiem Związku Polskich Pisarzy na Obczyźnie. Mieszka w Mississaudzie (jedno z pięciu miast tworzących aglomerację Toronto).

#### JOSEF KROUTVOR

Ur. w 1942 w Pradze. Wybitny eseista, historyk sztuki, poeta i rysownik. Ukończył Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Karola w Pradze. Przebywał na pobytach studyjnych w Besançon i Wiedniu. Przed rokiem 1989 publikował w wydawnictwach samizdatowych i emigracyjnych jako Josef K. Przez trzydzieści lat był pracownikiem praskiego Muzeum Artystyczno-Przemysłowego w dziale grafiki użytkowej i fotografii, gdzie był autorem wielu wystaw, katalogów, monografii naukowych oraz audycji radiowych. Jest m.in. autorem eseju *Europa Środkowa: anegdota i historia*, opublikowanego w 1979 r. w emigracyjnym wydawnictwie „Svědectví” („Świadectwo”) i przełożonego na kilkanaście języków (edycja polska 1998).

#### MAREK KUSIBA

Ur. w 1951 w Krośnie. Poeta, reportażysta, dziennikarz, krytyk literacki, tłumacz, wydawca, wykładowca akademicki, pilot miękkoopłatów, instruktor narciarski. Ukończył filologię polską na UMCS w Lublinie. Od 1984 przebywa na emigracji w Kanadzie. W Polsce pracował m.in. w ogólnopolskim miesięczniku „Kontrasty” w Białymstoku, w Kanadzie m.in. w „Books in Canada” (z-ca red. nac.), tygodniku „Związkowiec” i „Dzienniku”. W nowojorskim „Przeglądzie Polskim” (tygodniowy dodatek kulturalny do „Nowego Dziennika”) publikował stały felieton *Żabką przez Atlantyk*. Ostatnio wydał opowieść biograficzną *Ryszard Kapuściński z daleka i z bliska* (Kraków 2018), przetłumaczył także na angielski (wraz z Dianą Kuprel) wiersze reportera – ukazały się w tomach *I Wrote Stone. The Selected Poetry of Ryszard Kapuściński* (Emeryville, Ontario 2007) oraz w dwujęzycznej edycji *Wiersze zebrane/Collected Poems* (Lublin–Toronto 2012). Jest autorem zbiorów poezji: *Tratwa* (1976), *Wszystkie działa na mnie* (1983), *Samobójstwo Marsjan* (1987), *Rozwiązać siebie* (1995), *Inne powody* (Biblioteka „Frazy” 2005), *Admiral Road* (2006), *Alassio* (2011). Wydał tomy felietonów *Podręcznik do kobiet. 100 felietonów (niemal) feministycznych* (2011) i *Cymbał w świecie. Felietony*

*flâneura* (2012), biografię w języku angielskim *Janusz Żurkowski: From Avro Arrow to Arrow Drive* (2003) oraz dwie sztuki: *Eksmisja* (współautor J. Muszyński, 1983) i *Próba Atmy. Rzecz o Szymanowskim* (premiera: Montreal 1989). W roku akademickim 2004/2005 wykładał dziennikarstwo w Wyższej Szkole Komunikowania i Mediów Społecznych im. J. Giedroycia w Warszawie, gdzie założył Instytut Badań i Dokumentowania Emigracji/Migracji (IBiDEM). W 2007 wraz z Franciszkiem Piątkowskim zainicjował Wakacyjną Akademię Reportażu im. R. Kapuścińskiego w Siennicy Różanej. Jest przewodniczącym zarządu Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie, członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz kanadyjskiego PEN Clubu. Mieszka w Mississaudze (część metropolii Toronto) z żoną Barbarą oraz synami Mateuszem i Mikołajem.

#### KRYSTYNA LENKOWSKA

Poetka, prozaiczka, tłumaczka, krytyczka, animatorka życia literackiego. Opublikowała czternaście tomów poezji, m.in. *Tato i inne miejsca* (2010), *Kry i wyspy* (2013), *Zaległy list do przyszczonego anioła / An Overdue Letter to a Pimple Angel* (przeł. Ewa Hryniewicz-Yarbrough, 2014), *Troska / Typóma* (przeł. na j. ukraiński Oleksandr Gordon, 2014), *Carte Orange* (przeł. na j. francuski Karol Wojewoda, 2017), *Kiedy byłam rybą (lub piakiem)* (2020), *Balkon* (2021), *Ono morze/Él el mar* (przeł. na j. hiszpański Xavier Farré, 2023). Wiersze, prozę, tłumaczenia, eseje, noty i wywiady publikowała w pismach literackich w Polsce (m.in. w „Akcentie”, „Frazie”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Pracowni”, „Toposie”, „Twórczości”, „Tyglu Kultury”, „Zeszytach Literackich”), w USA, w tłumaczeniu E. Hryniewicz-Yarbrough (m.in. „Absinthe”, „Boulevard”, „Chelsea”, „Confrontation”), Ukrainie, Rumunii i Czechach. W 2016 zadebiutowała tomem prozy *Babeliada* wydanym Bibliotece „Frazy”. W 2018 ukazał się w wydawnictwie Oficyna w jej przekładzie tom Emily Dickinson *Jest pewien ukos światła. Poezje wybrane*. Jest członkinią Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (SPP), Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury (STL) oraz ZAiKS. Mieszka w Rzeszowie.

#### ADAM LIZAKOWSKI

Ur. w 1956 w Dzierżonowie. Mieszkał i pracował w Pieszczech na Dolnym Śląsku, od 1981 w USA, w 2016 powrócił do Polski. Poeta, prozaik, tłumacz. Laureat Międzynarodowej Nagrody Fundacji Turzańskich (Kanada, 2000), Award World Poetry Day UNESCO (2008), Elma Stuckey Poetry Award (2010). Studiował w Columbia College Chicago na kierunku *creative writing* oraz w chicagowskim Northwestern University. Jest członkiem redakcji kwartalnika „TriQuarterly Online” wydawanego przez ten uniwersytet. Opublikował w języku polskim i angielskim ponad 20 tomów poetyckich. Ostatnio tomy *Gdybym twą miłość miał Ameryko! Wybór wierszy* (Literary Waves, Londyn 2022) oraz *Pieszycka księga umarłych* (SPP, Oddział Warszawa 2022). Przekładał na polski utwory: Walta Whitmana, W.C. Williamsa, Carla Sandburga, Allena Ginsberga, Langstona Hughesa, Boba Dylana, a także Lao Tsy i Rumiego (z języka angielskiego). W serii Biblioteka „Frazy” ukazały się jego prozatorskie *Zapiski znad Zatoki San Francisco* (2004). Jest także autorem sztuk teatralnych. Odznaczony m.in. Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2012). W 2024 opublikował książkę *Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?* (Bibliotheca Bielaviana, Wydawnictwo Miejskiej Biblioteki Publicznej w Bielawie) oraz album *Czesław Miłosz w Ameryce* (Książnica Podlaska, Białystok 2024). Wystawa *Czesław Miłosz w Kalifornii w fotografiach Adama Lizakowskiego* była w roku 2024 prezentowana m.in. we Wrocławiu, Warszawie, Białymstoku, Zielonej Górze i Rzeszowie. Pisarz mieszka w Świdnicy.

#### KAZIMIERZ MACIĄG

Ur. w 1965. Dr hab., prof. w Zakładzie Literatury i Kultury XIX Wieku oraz Badań Mitoznawczych Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa UR, krytyk literacki, współpracownik „Frazy”. Opublikował książki: *W kręgu problematyki „pamiętników mówionych”* (2001), „*Naczelny u nas jest artystą*”. *O legendzie Fryderyka Chopina w literaturze polskiej* (2010), *Sam jeden. Józef Mackiewicz – pisarz i publicysta* (2021). Współredaktor kilku tomów zbiorowych, m.in. *Poe-land. Studia i szkice* (2017). Mieszka w Borku Starym.

## OSIP MANDELSZTAM

Ur. 15 stycznia 1891 w Warszawie, zmarł 27 grudnia 1938 r. w łagrze Wtoroja Reczka pod Władywostokiem, rosyjski poeta, prozaik, eseista jeden z twórców akmeizmu (autor manifestu *Świt akmeizmu*, 1913). Za życia opublikował zbiory wierszy: *Kamień* (1913), *Tristia* (1922), *Wiersze* (1928); miniatury autobiograficzne *Zgiełk czasu* (1925), surrealistyczną powieść *Znaczek egipski* (1928) oraz tom esejów *O poezji* (1928). Niewydana pozostała proza podróżnicza z początku lat trzydziestych *Podróż do Armenii*. W latach 1934–1937 za napisanie i publiczną prezentację antystalinowskiego wiersza \*\*\**Żyjemy tu, nie czując pod stopami ziemi...* został aresztowany, potem zesłany do Czerdynia i Woroneża, gdzie tworzył liryki, które złożyły się na *Zeszyty Woroneskie* (tomy 1–4, zapisane i ocalone przez niezłomną żonę Nadieżdę, wydane po raz pierwszy w Waszyngtonie i Paryżu w latach 1964–1981). Powtórnie aresztowany w 1938, zmarł w drodze na Kołymę. Dramat jego życia i atmosferę stalinowskiej Rosji przenikliwie opisała żona w dwutomowych wspomnieniach *Nadzieja w beznadziejności* (t. 1, 1970, t. 2, 1972). W Polsce poezje, prozę i szkice Mandelsztama tłumaczyli m.in. Stanisław Barańczak, Maria Leśniewska, Adam Pomorski, Jerzy Pomianowski, Ryszard Przybylski i Jarosław Marek Rymkiewicz.

## ZBIGNIEW MASTERNAK

Ur. w 1978. Prozaik, autor scenariuszy filmowych, reportażysta, piłkarz. W 2009 ukończył scenariopisarstwo w Krakowskiej Szkole Filmu i Komunikacji Audiowizualnej. Jako prozaik debiutował na łamach „Twórczości” w 2000 r. Pracuje nad autobiograficznym cyklem powieściowym *Księstwo*, w latach 2006–2008 ukazały się trzy książki: *Chmurolap, Niech żyje wolność i Szczyryk*, na podstawie których reżyser Andrzej Barański nakręcił film *Księstwo* (2011). W 2014 ukazała się książka czwarta pt. *Nędzole*. Wcześniej powstały filmy krótkometrażowe *Wiązanka* (2003) oraz *Stacja Mirsk* (2005). Bohater filmu dokumentalnego *Zbigniew Masternak – skazany na książki* (2014). Autor noweli filmowej *Jezus na prezydenta!* (2010), współautor scenariusza filmowego *Transfer* (wydanie książkowe 2020). W 2016 ukazała się adaptacja komiksowa powieści *Nędzole*. Autor książek o tematyce sportowej: *Bloto dla suchwałych* (2016), *Ciągle na spalonym* (2018), *Marginesy futbolu* (2020) oraz szkiców filmowych *Master shot. Kino jako autoportret* (2019). Laureat Świętokrzyskiej Nagrody Kultury (2011), Nagrody im. Władysława Orkana (2012). Jego książki i opowiadania tłumaczono na język arabski, niemiecki, włoski, serbski, bułgarski, białoruski, ukraiński, macedoński i wietnamski. Kapitan Reprezentacji Polskich Pisarzy w Piłce Nożnej.

## ANTONI MATUSZKIEWICZ

Ur. w 1945 we Lwowie. Poeta, prozaik, eseista, tłumacz, animator życia kulturalnego na polsko-czeskim pograniczu. Od 1946 mieszka na Dolnym Śląsku. Ukończył historię na Uniwersytecie Wrocławskim i podyplomowe studia w zakresie muzealnictwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracował m.in. w Muzeum Dawnego Kupiectwa w Świdnicy i Muzeum Okręgowym w Wałbrzychu. W 1981 członek zarządu Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego NSZZ „Solidarność” Woj. Wałbrzyskiego, organizator i redaktor naczelny pisma „Niezależne Słowo” (1980–1981 i 1989–1990). Internowany 13 grudnia 1981. W latach 80. zaangażowany w działalność Klubów Inteligencji Katolickiej oraz ruch *Communione e liberazione*, organizował poetyckie spektakle w świdnickich kościołach. Debiutował w 1972 w miesięczniku „Odra”. Jest autorem ponad trzydziestu książek poetyckich, prozatorskich, eseistycznych, wywiadu-rzeki z Andrzejem Szyszko-Bohuszem oraz redaktorem kilku regionalnych almanachów literackich. W 1996 zamieszkał na Ziemi Kłodzkiej (Stronie Śląskie, Stary Gieraltów), gdzie założył i redagował pismo Związku Gmin Śnieżnickich „Stronica Śnieżnicka” (1999–2000). Ostatnio opublikował tom wierszy *Wieszczyna i inne wiersze* (Dzierżoniów 2023). Członek założyciel Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, członek honorowy Polsko-Czeskiej Grupy Poeci '97, współorganizator festiwalu Den Poezie w czeskim Broumovie. Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski i Krzyżem Wolności i Solidarności. Od 2008 mieszka w Martinkovicach koło Broumova w Czechach.

## IWONA MATUSZKIEWICZ

Ur. w 1969 r. w Świdnicy. Ukończyła polonistykę i Podyplomowe Studium dla Nauczycieli Języka Angielskiego na Uniwersytecie Wrocławskim. W 2023 obroniła na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Karola w Pradze dysertację z zakresu komparatystyki literackiej na temat aspektów krajobrazu w literaturze środkowoeuropejskiej, głównie czeskiej (Ivan Olbracht, Jaroslav Durych, Jiří Langer, Josef Váchal) i polskiej (Stanisław Vincenz). Kontynuuje drugie studia doktoranckie na Uniwersytecie Palackiego w Olomąncu z zakresu literatury czeskiej (praca o twórczości Václava Vokolka). W roku 2003 wydała debiutancką książkę prozatorską *Gaguly* pod panięńskim nazwiskiem Iwona Mesjasz (ze wstępem Olgi Tokarczuk), w 2023 w Bibliotece „Frazy” ukazała się sylwa *Tańczący dom*. Jest także autorką wierszy, recenzji, szkiców i artykułów naukowych publikowanych w Polsce (głównie we „Frazie”) i w Czechach. Pracuje jako nauczycielka języka angielskiego w gimnazjum w Broumowie. Od 2008 r. mieszka w Martinkovicach k. Broumova w Czechach.

## LILA HELENA METRYKA

Absolwentka filologii rosyjskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie. Nauczycielka języka rosyjskiego (obecnie na emeryturze), tłumacz przysięgły. Od kilku lat pisze wiersze (również dla dzieci) i tłumaczy poezję rosyjską. Swoje przekłady zamieszczała we „Frazie”, na forach literackich (Ogród ciszy, Portal Pisarski) oraz na Facebooku. Zadebiutowała tomem wierszy *Jewgienij Piurnonsensowicz w czasach zarazy* (2022) oraz wyborem przekładów poezji Igora Siewierianina *Ja – geniusz* ze wstępem Anny Bednarczyk (2023). Mieszka w Sosnowcu.

## PIOTR MICHAŁOWSKI

Ur. w 1955 w Bydgoszczy. Literaturoznawca, poeta, krytyk literacki i teatralny. Absolwent filologii polskiej na UAM w Poznaniu, ukończył podyplomowe studia w zakresie bibliotekoznawstwa na Uniwersytecie Wrocławskim. Od 1982 mieszka w Szczecinie, gdzie pracował jako bibliotekarz, zaś od 1993 na Uniwersytecie Szczecińskim, obecnie jako prof. nadzwyczajny w Zakładzie Teorii Literatury. Opublikował monografie: *Miniatura poetycka* (1999), *Granice poezji i poezja bez granic* (2003), *Głosy, formy, światy. Warianty poezji nowoczesnej; Mikro-kosmos wiersza. Interpretacje poezji współczesnej* (2012) oraz zbiory szkiców *Narożnikowo, centralnie, pogranicznie. Szkice szczecińskie i europejskie* (2014) i *Z narożnika mapy* (2017). Ogłosił tomy poezji: *Poemat w czerwieni* (1984), *Powidok powietrza* (1994), *Za czarnym wielokropkiem...* (1999), *Li(me)ryczny plan Szczecina* (1998), *Głosem prawie cudzym. Z poezji okolo-konferencyjnej* (2004), *Rytmy, albo wiersze na czas* (2007), *Pierwowzory i echa. Od Kochanowskiego do Barańczaka* (2009), *Cisza na planie* (2011), *Zaginiony w kreacji* (2019), *Dzień jest wierszem, świat kolorem* (2021). Jego opowiadania ukazały się w antologiach współczesnych opowiadań wydawnictwa Forma (2014, 2017, 2020). Był współzałożycielem i redaktorem dwumiesięcznika „Pogranicza” oraz prezesem szczecińskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Redaktor serii poetyckiej „Tablice” wydawnictwa Forma.

## ARKADIUSZ MORAWIEC

Prof. dr hab. w Zakładzie Literatury Polskiej XX i XXI wieku Uniwersytetu Łódzkiego, krytyk literacki. Jego zainteresowania naukowe obejmują literaturę XX i XXI wieku, zwłaszcza pisarstwo obrazujące totalitaryzm, stanowiące zapis doświadczeń granicznych, literaturę obozową i Holocaustu. Opublikował m.in. monografie: *Literatura w lagrze, lager w literaturze. Fakt – temat – metafora* (Łódź 2009), *Zofia Romanowiczowa. Pisarka nie tylko emigracyjna* (2016, wyróżnienie 20. Poznańskich Dni Książki nie tylko Naukowej w Konkursie na Najlepszą Książkę Akademicką), *Literatura polska wobec ludobójstwa. Rekonesans* (2018, nominacja do Nagrody im. J. Długosza), *Polish Literature and Genocide* (Routledge, New York–London 2022), *Polska literatura obozowa. Rekonesans* (2023). Ponadto zredagował, samodzielnie lub we współpracy, jedenaście tomów, wśród nich: *Nic nie jest pewne. O twórczości Ewy Lipskiej, Antynomie wartości. Problematyka aksjologiczna w literaturze i dydaktyce, Lager, lagier, obóz – zapis. Obszary, The literature in/after concentration and death camps, Lager, lagier, obóz – zapis. Lektury, Zagłada wobec innych ludobójstw*. W latach 2005–2010 był redaktorem



naczelnym rocznika „Literaturoznawstwo. Historia, teoria, metodologia, krytyka”. W latach 2012–2014 należała do Zespołu Badań nad Literaturą Zagłady Żydów w Żydowskim Instytucie Historycznym im. Emanuela Ringelbluma w Warszawie. Współpracował z Forschungskreis Holocaustliteratur und -kultur im mittleren und östlichen Europa, działającym w ramach instytutu slawistyki (*Institut für Slavistik*) Uniwersytetu Justusa Liebiga w Gießen.

#### KSENIJA (KSENIJA) NIEKRASOWA

(1918–1958), rosyjska poetka. Sierota wychowana w sierocińcu, adoptowana przez rodzinę naczyciela. Ukończyła technikum pedagogiczne. Pracowała jako animatorka kultury w dużym zakładzie przemysłu ciężkiego na Uralu. W czasie II wojny światowej z mężem i małym dzieckiem została ewakuowana do Azji Środkowej, gdzie żyli w skrajnej nędzy. Dziecko zmarło, a mąż zachorował psychicznie. Po przyjeździe do Moskwy tułała się po wynajmowanych lub użyzanych pokojach. Jej podanie o przyjęcie do Związku Pisarzy odrzucono mimo poparcia kilku wybitnych twórców. Jej wiersze cenili Anna Achmatowa, Dawid Samojłow i Michaił Swietłow. Debiutowała na łamach pisma „Oktiabr” w 1937. Pierwszą książkę, *Noc z na basztanie* (*Noc na basztanie*), ogłosiła w 1955 r. Drugi zbiorek, *A ziemia nasza piękna* (*A ziemia nasza jest piękna*) ukazał się miesiąc po jej śmierci (1958, 1960). Pośmiertnie wydano *Stichi* (1973, *Wiersze*) i *Moi stichi* (1976, *Moje wiersze*), zawierające także utwory niepublikowane. Niekrasowa jest w rosyjskiej poezji pionierką wiersza wolnego. Odwoływała się do poezji ludowej a w jej krótkich utworach, opartych na obrazie poetyckim, krytycy dostrzegają podobieństwo do poezji Dalekiego Wschodu oraz twórczości anglosaskich imagistów. W języku polskim ukazał się wybór jej utworów *Moje wiersze* (1980) w przekładzie Ałły Sarachanowej. Tłumaczyli ją także Leszek Engelking i Seweryn Pollak.

#### ADAM OCHWANOWSKI

Ur. w 1952 w Złotej Pińczowskiej na Ponidziu, gdzie obecnie mieszka. Absolwent Państwowe- go Studium Kulturalno-Oświatowego w Krośnie. Publikował m.in. w „Twórczości”, „Poezji”, „Nowym Wyrazie”, „Literaturze”, „Sycynie”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Akcentie”, „Frazie”. Jest autorem ponad 20 publikacji książkowych i albumowych, m.in. *Dopóki żyją matki, Dotyk Madonny, Północ, Osławianie świtu, Dwunastu gniewnych błaznów, Erotyki i przytyki, Siedem wierszy głównych, Droga Krzyżowa, Trzyście zmysłów, Póki co..., Pławienie koni, Wspólna garderoba, Wieczory z Pawłem K.* Pisze teksty piosenek, scenariusze widowisk plenerowych i kameralnych, libretta a także tłumaczy z języka rosyjskiego (m.in. pieśni Włodzimierza Wysockiego i wiersze Sergiusza Jesienina). Jest regionalistą i animatorem kultury. Odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi, Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

#### JANUSZ PASTERSKI

Ur. w 1964. Prof. dr hab., historyk literatury, krytyk literacki, poeta. Od 2024 prorektor Uniwersytetu Rzeszowskiego, kierownik Zakładu Literatury Polskiej XX i XXI Wieku Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa UR. W latach 2012–2016 dyrektor Instytutu Filologii Polskiej, w latach 2019–2024 dyrektor Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa UR. Opublikował: *Tristium Liber. O twórczości literackiej Stefana Napierskiego* (2000), *Inne wyzwania. Poezja Bogdana Czaykowskiego i Andrzej Buszy w perspektywie wielokulturowości* (2011), *Świat wiersza. Szkice o polskiej poezji (nie tylko) współczesnej* (2019) oraz tomy poezji: *Plac Kromera* (2009), *Mity i kamienie* (2013), *Księga Likierka* (2018), *Rysunki naskalne* (2021). Współredaktor publikacji: *Proza polska na obczyźnie*, t. 1 i 2 (2007), *Inne dwudziestolecie 1989–2009*, t. 1 i 2 (2010), *Przybóże dzisiaj* (2017); *Kontynenty. Tom pierwszy: Studia i szkice o twórczości Andrzeja Buszy* (2019). Redaktor książki *Dwudziestolecie międzywojenne. Nowe spojrzenia* (2019). Od 1997 w redakcji „Frazy”, gdzie prowadzi dział poezji. Redaktor tomów poetyckich i antologii poezji studenckiej. Mieszka w Rzeszowie.

#### MAREK POGORZELSKI

Ur. w 1983. Autor opowiadań i sztuki teatralnej. Absolwent Wydziału Polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Pracuje w mediach i branży *public relations*, specjalizuje się w komunikacji korporacyjnej. Pisze i publikuje teksty informacyjne i użytkowe.

## JEKATERINA POLAŃSKA

Ur. w 1967 w Leningradzie, rosyjska poetka i tłumaczka z języka polskiego i serbskiego. Ukończyła Petersburski Państwowy Uniwersytet Medyczny im. I. P. Pawłowa w Petersburgu. Publikuje od 1998 r., m.in. w „Litteraturnoj Gazietie”. Członkini Związku Pisarzy Rosji od roku 2002. Autorka siedmiu tomików wierszy. Laureatka kilku nagród literackich w kraju i za granicą. Tłumaczona na języki: angielski, bułgarski, czeski, japoński i polski.

## AL PURDY

(właśc. Alfred Wellington Purdy), 1918–2000, poeta kanadyjski. Dorastał w Trenton w Ontario, kształcił się w Albert College w Belleville, jednak nie wstąpił na uniwersytet. Podczas wielkiego kryzysu przeniósł się do Vancouver, gdzie wykonywał różne zawody, w czasie II wojny światowej służył w Royal Canadian Air Force. Osiadł w Ameliasburgh w prowincji Ontario. Opublikował zbiory wierszy: *Enchanted Echo* (1944), *Pressed on Sand* (1955), *Emu, Remember!* (1956), *The Crafte So Longe to Lerne* (1959), *Poems for All the Annettes* (1962), *The Blur in Between* (1962), *The Cariboo Horses* (1965), *North of Summer* (1967), *Hiroshima Poems* (1972), *Sex and Death* (1973), *The Stone Bird* (1981). Jest również autorem powieści *A Splinter in the Heart* (1990). Odznaczony Orderem Kanady, dwukrotny laureat Literackiej Nagrody Generalnego Gubernatora (1965, 1986). Tłumacz jego poezji, Waldemar Kontewicz, opublikował we „Frazie” 2023, nr 1–2 esej o jego poezji *Al Purdy w klonowym liściu*.

## TOMASZ PYZIK

Ur. w 1975 w Zabrze. Krytyk literacki, historyk literatury związany z Uniwersytetem Śląskim. Nauczyciel w I LO w Gliwicach, współpracuje z International Baccalaureate Organization. Autor książek: *Predestynacja w twórczości Aleksandra Wata* (2004), *Twórczość poetyczna Wojciecha Bąka* (2007) oraz *Sens odzyskany. Szkice o książkach, które koniecznie trzeba przeczytać* (Biblioteka „Topos”, 2023). Publikował artykuły i szkice krytyczne w pracach zbiorowych i czasopismach. Stale współpracuje z pismem „Topos”.

## ROMAN SABO

Ur. w 1957 w Lesku. Studiował filologię polską na Uniwersytecie Śląskim. Poeta, tłumacz, eseista. W 1980 wyjechał z Polski i po rocznym pobycie w Europie Zachodniej przeniósł się do Vancouver w Kanadzie. Uzyskał doktorat po studiach slawistycznych na UBC (Uniwersytecie British Columbia) i na uniwersytecie w Toronto. Wiersze, eseje, przekłady poezji publikował m.in. w „Twórczości”, „Akcencie”, „Przeglądzie Polskim” (Nowy Jork), „Nowym Prądzie” (Toronto). Opublikował tomy wierszy: *Niech będzie* (2005), *Cienie* (2011), *Podwórko* (Biblioteka „Frazy” 2015), *Koliber* (Toronto 2023). W przygotowaniu znajduje się wybór wierszy Seamusa Heaney’a w jego przekładach. Mieszka w Vancouver.

## JOANNA SARNECKA

Antropolożka kultury/etnografka (absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego), artystka działająca w obszarze sztuki opowiadania (grupa Opowieści z Walizki [www.opowiescizwalizki.pl](http://www.opowiescizwalizki.pl)) i eksperymentująca z tańcem butoh oraz performansem. Interesuje się artystycznym współdziałaniem z nowymi technologiami. Działa społecznie na rzecz włączania w kulturę w założonej przez siebie Fundacji na Rzecz Kultury „Walizka”. W 2020 r. zainicjowała działalność Wirtualnego Muzeum Antropocenu. Dwukrotna stypendystka MKiDN. Od grudnia 2021 angażuje się w działania prawno-człowiecze i humanitarne na granicy polsko-białoruskiej i w Strzeżonym Ośrodku dla Cudzoziemców w Przemysłu. Zaangażowana w obronę sadyjskiego dysydenta więzionego w Bułgarii. Autorka dwóch książek dla dorosłych *Dziennik uciekiniera* (2017) i *Dawno temu teraz* (Nagroda Główna XV Ogólnopolskiego Konkursu na Autorską Książkę Literacką Świdnica 2022) oraz dwóch dla dzieci *Dom z duszą. Książeczka do opowiadania i Karpaccy muzykanci*. Pisze i publikuje piosenki, wiersze, recenzje i teksty krytyczne dotyczące literatury oraz współczesnych eksperymentalnych zjawisk tanecznych i teatralnych.

## KONRAD SIKORA

Ur. w 1992. Literaturoznawca, doktorant w Szkole Doktorskiej Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, poeta, dramaturg i eseista. Opublikował pięć książek: epos histo-

ryczny *Dolina Śmierci* (Dukla 2014), tomiki *Napisani na ścianach* (Krosno 2015, nominacja do Nagrody „Orfeusz” im. K.I. Gałczyńskiego, 2016), *To tylko woda* (Krosno 2017), zbiór prozy poetyckiej *Przeprócha* (Brzeg 2022, stypendium Funduszy Popierania Twórczości ZAiKS). W ramach „Sceny Nowej Dramaturgii” w Teatrze im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie z Katarzyną Dudzic-Grabiańską napisał dramat *Podbrzusze* (performatywne czytanie w Teatrze im. W. Siemaszkowej w ramach programu „Przestrzenie Sztuki”, Rzeszów 2023). Jest także autorem dramatu *Klangor*, który ukazał się na stronie projektu *Drama Zoom Zone*.

#### MAŁGORZATA SKAŁBANIA

Ur. w 1965 w Tychach. Pisarka i malarka. Studiowała malarstwo w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (dyplom w pracowni prof. Jerzego Nowosielskiego, staż w ASP w Kampen, Holandia). W Paryżu uczestniczyła w pracowni ADAC. Publikowała wiersze i opowiadania m.in. w „Twórczości”, „Akcenty”, „Toposie”, „Ricie Baum”, „Śląsku”, „Aspektach Filozoficzno-Prozatorskich”, „Latarni Morskiej”, wityrnic literackiej Fundacji im. Tymoteusza Karpowicza, Wydawnictwie j., zbiorach poetyckich i magazynach literackich w USA oraz Indiach. Autorka tomów poezji: *Naleciałości*, *Szmucytul*, *Ćwirko*, miniatury *Jest coś do zrobienia. It something to do. Che barbaro momento*, *Skruchowi*, dramatu *Golej divi-divi* oraz albumu prac plastycznych *Szkice* ze wstępem Lechosława Lameńskiego (2022). Po zwolnieniu ze Starego Teatru w Lublinie podjęła pracę opiekunki w krajach zachodniej Europy.

#### MATYŁDA SOKÓŁ

Ur. w 1984, tłumaczka z języka rumuńskiego. Ukończyła w 2008 filologię rumuńską na Uniwersytecie Jagiellońskim, broniąc pracę z zakresu językoznawstwa dotyczącą ludowych nazw rumuńskich świąt prawosławnych cyklu paschalnego. Doktorantka językoznawczych studiów doktoranckich w Instytucie Języka Polskiego PAN w Krakowie. Prowadzi badania dotyczące polsko-rumuńskiej dwujęzyczności dziecięcej. Przełożyła wiersze Tomasza Różyckiego oraz prozy poetyckiej Jakuba Kornhausera dla rumuńskich czasopism „Revista Apostrof” i „Revista Echinox”.

#### GRZEGORZ STRUMYK

Ur. w 1958 w Łodzi, gdzie mieszka. Prozaik, poeta, artysta sztuk wizualnych. Uczył się w szkole zawodowej stolarstwa, ukończył Liceum Sztuk Plastycznych w Łodzi. Pracował jako rysownik w muzeum, modelator w teatrze lalek, dekorator i grafik w Empiku, domach kultury i bibliotekach, plastyk w miejskich kinach, scenograf przy filmach krótkometrażowych. Debiutował w 1992 wydanym przez Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego w Łodzi zbiorem opowiadań *Zagłada faszoli*. Ostatnio opublikował zbiór opowiadań *Wyjście* (2021) oraz z Martą Zelwan prozę *Próba* (2024). Wyróżniony w Konkursie Fundacji Kultury za powieść *Łzy* (1999, adaptacja w Teatrze Telewizji w reżyserii Filipa Zylbera z Mariuszem Bonaszewskim w roli głównej), dwukrotnie nominowany do Paszportu „Polityki” (za powieści *Łzy* oraz *Pigment*). Prace malarskie i fotograficzne prezentował na kilku wystawach indywidualnych i zbiorowych w Łodzi.

#### ANDRZEJ SZUBA

Ur. w 1949 w Gliwicach, poeta i tłumacz poezji angielskojęzycznej. W ostatnich latach opublikował m.in. *Walt Whitman 400 wierszy i poematów* (2014), *Wiersze z Walii* (2015), *Wiersze ze Szkocji* (2015), *Obraz i wir: Antologia anglo-amerykańskiego imaginizmu* (2016; z Leszkiem Engelkingiem), *Emily Dickinson 333 wiersze* (2016), *Ron Padgett Bezczywność butów* (2018), *Walt Whitman Powrót bohaterów* (2019), *D.H. Lawrence Kici. Kici* (2019), *Edgar Lee Masters Epitafia ze Spoon River* (2020; drugie wydanie) oraz zbiory własnych utworów: *44 strzepy* (2015), *33 strzepy* (2016), *Milczysz* (2016), *22 strzepy* (2016), *11 strzepów* (2017) *Jest tam kto?* (2017), *444 strzepy* (2018), *Wygasić* (2020), *666 strzepów* (2022). Mieszka w Katowicach.

#### KATARZYNA SZWEDA

Ur. w 1990 w Nowym Żmigrodzie, poetka i tłumaczka. Wychowała się we wsi Wrzosowa Polana. Absolwentka studiów nauczycielskich Uniwersytetu Johanna Wolfganga Goethego we

Frankfurcie nad Menem. Nauczycielka języka hiszpańskiego i angielskiego, wyróżniona Stypendium Twórczym Miasta Krakowa (2020). Finalistka 12. edycji Połowu Biura Literackiego. Autorka książki poetyckiej *Bosorka* (Biuro Literackie 2020, w 2021 nominacje w kategorii debiut do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius, Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego w kategorii najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku, Stypendium im. Stanisława Barańczaka, przyznawanego w ramach Poznańskiej Nagrody Literackiej). Za drugi tom poetycki *Zemla vulgaris* (Kolobrzeg 2023) nominowana do Nagrody im. Wisławy Szymborskiej (2024). Mieszkała w Krakowie, obecnie mieszka na Podkarpaciu.

#### TERESA TOMSIA

Ur. w 1951 w Wołowie. Absolwentka polonistyki (UAM), poetka, eseistka, animatorka kultury, autorka prozy dokumentalizowanej *Dom utracony, dom ocalony* (2009), scenariuszy, tekstów piosenki. Jej wiersze tłumaczone były na języki niemiecki i francuski (*Schöner – Piękniejsze – C'est plus beau*, 2000), znajdują się w antologiach: *Poznań Poetów* (2011); *wieczór / vespera. Poezja / antologia „Toposu”* (2020), antologia polskiej poezji katastroficznej *Rzeki ogniste* (2022). Autorka tomików wierszy: *Gdyby to było proste* (2015), szkiców literackich *Niedosyt poznawania* (2018). We „Frazie” publikuje cykl *W pamięci, w odbiciu*. Ostatnio wydała wybór wierszy *W cieniu przelotnego trwania* (2021) i zbiór liryków paryskich *W znikającym ogrodzie* (2023, nominacja do XIII edycji Nagrody im. K.I. Gałczyńskiego Orfeusz 2024). Pochodzi z rodziny o ziemiańskich tradycjach kresowych, w swoich tekstach podkreśla rolę dialogu i otwartości na innego. Pomyślnawczyni i redaktorka almanachu polsko-ukraińskiego *Czas pojąć ten świat – czas ukoić ból* (zrealizowanego przy współpracy paryskim portalem polonijnym „Recogito”), w tłumaczeniu Oleny Stepaniuk (FONT 2024). Od 1993 należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Mieszka w Poznaniu.

#### KATARZYNA TURAJ-KALIŃSKA

Poetka, eseistka, nowelistka; autorka książek: *Klasztor żeński* (1988), *Słabość* (1992), *Innocenty Białe Piórko* (2008), *Bracia Strach i inne opowiadania* (2009; Krakowska Książka Miesiąca), *Szept nad szeptami* (2016), *Wielki Brat Zachód* (2023, drukowany we fragmentach we „Frazie”). Laureatka kilkunastu ogólnopolskich konkursów literackich w dziedzinie poezji, prozy, dramatu i twórczości dla dzieci – wśród nich: im. Poświatowskiej, Grochowiaka, Żeromskiego, Tuwima. Eseje, opowiadania i wiersze drukowała w „Dekadzie Literackiej”, „Nowej Dekadzie Krakowskiej”, „Zadrze” i „Frazie” (ostatnio cykl wspomnień z dzieciństwa *Lampa z końskiej czaszki*). W tłumaczeniach publikowana m.in. w czasopiśmie: „The Rialto”, „Verse” (Wielka Brytania), „Iton 77”, „Pseyfas”, „Gag” (Izrael).

#### MAREK TUSZEWICKI

Adiunkt w Zakładzie Kultury Żydów Instytutu Judaistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego (od 2013) oraz The Katz Center for Advanced Judaic Studies University of Pennsylvania (Ariel and Joshua Weiner Family Fellow 2024). Historyk, badacz kultury żydowskiej, tłumacz. Interesuje się historią medycyny i filantropii, przemianami społeczności aszkenazyjskiej od XVIII do XX w., chasydyzmem, kulturą ludową i szeroko rozumianą literaturą jidysz. Opublikował krytyczny przekład książki pamięci gminy żydowskiej w Szczekocinach (2009). Jest autorem monografii *Żaba pod językiem* (2014), poświęconej wierzeniom i praktykom leczniczym Żydów polskich (wydanie w języku angielskim w wydawnictwie The Littman Library of Jewish Civilization/ Liverpool University Press, uhonorowane Nagrodą Gierowskiego i Shmeruka 2022 oraz nominowane do nagrody The Folklore Society's Katharine Briggs Award 2021). Współpracował z zespołem prof. dr hab. Eugenii Prokop-Janiec przy projekcie poświęconym żydowskiej literaturze w języku polskim oraz z dr hab. Joanną Degler w projekcie *Kanon literatury wspomnieniowej Żydów polskich* (przekład powieści biograficznej Mendelego Mojcher-Sforima, redakcja naukowa innych tomów). Z Agnieszką Żółkiewską wydał 26 tomów dokumentów z Archiwum Ringelbluma, zawierających literackie dziedzictwo getta Warszawy. Obecnie przygotowuje projekt poświęcony starości i instytucjonalnej pomocy osobom starszym w społeczności Żydów polskich. Zasiadał w zarządzie Polskiego Towarzystwa Studiów Jidyszystycznych. Członek

Polskiego Towarzystwa Studiów Żydowskich i redakcji kwartalnika „Cwiszn – Pomiędzy”. Opublikował w języku jidysz tom wierszy *Fun bejde zajnt szpigl* (Tel Awiw 2018). Przekładał Icchoka Lejba Perca, Perca Markisza i Abrahama Suckewera. Pracuje nad przekładem poematu *Rajsze* Berisza Weinsteina.

#### JACEK UGLIK

Ur. w 1976 w Zielonej Górze. Filozof, poeta, eseista. Debiutował tomikiem poetyckim *Jeszcze nie całkiem umarły* (Olsztyn 2005). Autor książek: *Michała Bakunina filozofia negacji* (2007), *Dostojewski, czyli rzecz o dramacie człowieka* (2014), *Aleksandra Hercena dyskurs o człowieku, czyli projekt rosyjskiej filozofii otwartej* (2016). W 2017 opublikował drugi tom wierszy *Trzeba by jakoś umrzeć* (Szczecin 2017). Wybrane teksty własne publikuje pod adresem: jacekuglik.blogspot.com.

#### BERISZ (BERISH) WEINSTEIN

(1905–1967), poeta jidysz. Urodzony w rodzinie chasydzkiej w Rzeszowie, w 1923 r. przeniósł się do Wiednia, a dwa lata później wyjechał do Nowego Jorku. Jego pierwsza książka *Brukhvarg* (*Fragmety*, 1936) została napisana w duchu ekspresjonizmu. Długimi wersami, eliptyczną składnią i galicyjskim dialektem Weinstein opisuje w niej Europę Środkową i Nowy Jork, świat marynarzy, złodziei, Żydów i gojów. Poematem *Rajsze* (*Rzeszów*, 1947), w którym wiernie odwzorował miejsce urodzenia, jego żydowskie realia obyczajowe i religijne, Weinstein rozpoczął autobiograficzną trylogię, kontynuowaną w poematach *Amerike* (1955) i *Dovid Hameylekhs Giter* (*Posiadłości króla Dawida*, 1960). W 1949 r. opublikował wczesne wiersze w tomie *Lider un Poemes* (*Wiersze i długie wiersze*), gdzie pojawia się kilka utworów z *Brukhvarga* w poprawionej wersji, pozbawionej szorstkości i opisowych szczegółów. Jak zauważa Leonard Prager, Weinstein w późniejszym okresie życia pisał „w duchu nostalgii i nacjonalistycznej jedności Żydów, której domagano się po Holokauście”. Ostatni tomik jego wierszy *Basherte Lider* (*Wiersze przeznaczone*) ukazał się w 1965. Poemat *Rajsze* został przełożony na język hebrajski. Z inicjatywy Stowarzyszenia Rajsze w Rzeszowie na język polski przekłada go z jidysz Marek Tuszewicki.

#### PIOTR WOJTASZEK

Absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Rzeszowskim (praca magisterska *Konserwatywna konceptualizacja. Wczesna twórczość Szczepana Twardocha*, 2022) i filozofii (praca licencjacka o historiozofii Karla Jaspersa, 2023). Student literaturoznawstwa II roku Szkoły Doktorskiej UR (przygotowuje pracę doktorską na temat nurtu wiejskiego w polskiej prozie po roku 1984). Recenzje i szkice publikował w „Twórczości”, „Frazie”, „Pracach Literaturoznawczych”, „Kontekstach Kultury”, „Nowym Napisie. Co tydzień”. Współpracownik redakcji „Frazy” – założył i prowadzi media społecznościowe pisma w Internecie.

#### WŁODZIMIERZ (WŁADIMIR) WYSOCKI

(1938–1980), rosyjski bard, poeta i aktor (w latach 1964–1980 występował w Teatrze na Tagance, wcielając się m.in. w legendarną rolę Hamleta). Od 1962 r. wykonywał własne pieśni. Ze względu na ich antypolityczną i antyrządową treść był cenzurowany i szykanowany przez radzieckie władze, które zakazywały publikowania jego twórczości oraz odwoływały jego występy. Cieszył się jednak niezwykłą popularnością, odbywał po kilkadziesiąt koncertów rocznie, grał w teatrze i filmie, występował w serialach telewizyjnych. Nagrania z jego koncertów (w tym wielu domowych) krążyły w ZSRR w obiegu nieoficjalnym. Często podróżował z teatrem i występował z koncertami w Europie i na świecie (od roku 1970 jego trzecią żoną była znana francuska aktorka rosyjskiego pochodzenia Marina Vlady). Od roku 1967 publikował swoje utwory w prasie literackiej. Był niezwykle popularny w Polsce w latach 70. i 80. XX wieku, wzorował się na nim, parafrazował jego utwory i pisał o nim wiersze Jacek Kaczmarski (słynna *Oblawa*, *Nie lubię*, *Linoskoczek*, *Koń wyścigowy*, *Czołg*, *Epitafium dla Włodzimierza Wysockiego*). W czerwcu 1980 r. po raz ostatni przyleciał do Polski, gdzie z zespołem Teatru na Tagance otrzymał pierwszą nagrodę za *Hamleta* na Drugim Międzynarodowym Festiwalu „Warszawskie Spotkania”. Zmarł we śnie 25 lipca 1980. Od wczesnej młodości borykał się

z uzależnieniem od alkoholu, leków i narkotyków, wielokrotnie podejmował próby samobójcze. Spoczął na Cmentarzu Wagańkowskim w Moskwie, żegnany przez tłumy wielbicieli. W Polsce przekładali jego utwory m.in. Ziemowit Fedecki, Michał B. Jagiełło, Wojciech Młynarski, Bohdan Zadara, Marlena Zimna (1969–2016), która napisała doktorat o jego twórczości, założyła w Koszalinie prywatne Muzeum Włodzimierza Wysockiego i zorganizowała szereg poświęconych mu wydarzeń kulturalnych.

#### ZOFIA ZARĘBIANKA

Poetka, eseistka, prof. dr hab. na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, członkini PEN Clubu, SPP, Komisji Historycznoliterackiej PAN, TN KUL, Polskiego Towarzystwa Etycznego. Redaktorka naukowa serii monografii tematycznych związanych z nauczaniem Jana Pawła II, członkini Komitetu Organizacyjnego Dni Jana Pawła II, pomysłodawczyni i redaktorka naukowa serii *Przemiany Sacrum* wydawnictwa Pasaże. Autorka m.in. książek: *Poezja wymiaru sanctum* (1992), *Zakorzenia Anny Kamińskiej* (1996), *Tropy sacrum w literaturze XX wieku* (2001), *Czytanie sacrum* (2008), *Wtajemniczenia (w) Miłosza. Pamięć – Duch(owość) – Wyobrażenia* (2013), *Spotkanie w Słowie. O twórczości literackiej Karola Wojtyły* (2018), *Bóg wpisany w wiersze. Teologia poetów polskich* (2019). Autorka tomów wierszy: *Człowiek rośnie w ciszy* (1992), *Wyrwane z przestrzeni* (1996), *Niebo w czerni* (2000), *Jerozolima została zburzona* (2004), *Wiersze: Pierwsze* (2008), *Tylko na chwilę* (2012), *Wiersze dośmiertne* (2017). Mieszka w Krakowie.

#### MARIA ZIELONKA

Absolwentka Uniwersytetu Gdańskiego, gdzie ukończyła studia magisterskie na kierunku filologia polska na podstawie pracy *Obraz XIX-wiecznego małżeństwa w powieściach Elizy Orzeszkowej „Pamiętnik Waclawy. Ze wspomnień młodej panny” i „Marta”* pod kierunkiem prof. dr hab. Ewy Graczyk. Licencjatka kryminologii kierunku Patologie społeczne i psychologia sądowo-penitencjarna. Opublikowała artykuły naukowe w czasopismach: „Kortowski Przegląd Prawniczy”, „Prace Literaturoznawcze” i „Acta Neophilologica”.

## ZAPROSILI NAS

**Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Kolbuszowej** na otwarcie wystawy malarstwa i rysunku Wojciecha Trzyny – Galeria Miejska w Oddziale Edukacji Kulturalnej i Regionalnej w Rzeszowie – 17.02.2024.

**Koło Naukowe Edytorów Uniwersytetu Rzeszowskiego** na prezentację publikacji *Powolani do twórczości* – Rzeszowski Inkubator Kultury 29.02.2024.

**Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej** na Noc Muzeów (w programie wernisaż wystawy rzeźby Krzysztofa Brzuzana *Recykling Kulturowy* – Spichlerz z Bidzin; projekcja filmu *Big Bang*, reż. Andrzej Kondratiuk – Szopa Garncarska) – 18.05.2024.

**Podkarpackie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych** do Miejskiego Centrum Kultury w Boguchwale na: finisaż wystawy obrazów wielkoformatowych Łukasza Wincentego Dublańskiego *Śpiewajcie ogrody* – 25.07.2024; koncert zespołu Wernyhora w ramach XX Międzynarodowego Pleneru Malarskiego Boguchwała 2024 i Wieczoru Muzyki i Plastyki – 10.08.2024; wernisaż XX Międzynarodowego Pleneru Malarskiego Boguchwała 2024 (uczestnicy: Elżbieta Białaszek, Józef Franczak, Małgorzata Góra-Dereszowska, Iwona Jankowska-Mihulowicz, Romuald Kołodziej, Waldemar Kuczma, Andrzej Markiewicz, Małgorzata Mizia, Bartek Radziszewski, Grzegorz Radziewicz, Anna Schumacher, Sylwester Stabryła, Teresa Szafrńska, Iwona Urbańska-Bać, Elżbieta Wesołkin, Zbigniew Ważydrąg, komisarz i koordynator pleneru: Jacek Krzysztof Nowak) i koncert duetu Angela Gaber & Tomasz Dybała – 17.08.2024.

**Fundacja Skarbnica Sztuki i Podkarpackie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych** na otwarcie wystawy grafiki i ekslibrisów Krzysztofy Lachtary – Galeria Fundacji Sztuki, ul. Działdowska 8A/ lokal 505 w Warszawie, 5.09.2024.

**Dyrekcja i zespół Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie** na: Literacki Festiwal Międzysłów Karpat – spotkanie z Radkiem Rakiem *Jak literatura fantasy spotyka się z historią* – 5.09.2024; Rzeszów OFF Przerzwanie Sztuki Teatr (spektakle: *Modlitwa pod cudowną mozaiką w kościele parafialnym pod wezwaniem samego; Niesamowita Słowańszczyzna; Loo! Matko; Nasza racja; Trzecia godzina gratis; To bitch or not tu bitch*) – 14-18.09.2024; Literacki Festiwal Międzysłów Karpat – spotkanie z Mają Wolny *Gdzie są granice nie do przekroczenia? Granica państw / granica między faktem a fikcją* – 20.09.2024; spotkanie Terytorium wiersza / 2. (Podkarpacki) Flisz poetycki im. Jerzego Pleśniarowicza – 16.10.2024.

**Krośnieńska Biblioteka Publiczna** na: wieczorek artystyczny *Edward Stachura. Missa pagana* w wykonaniu Niezależnej Grupy Teatralnej Wariate – Czytelnia Główna 5.08.2024; promocję XVI almanachu Klubu Literackiego Nauczycieli *W ogrodzie poetyckich doznań* – 2.10.2024; wernisaż wystawy prac Jerzego Nercia – Salonik Artystyczny Biblioteki – 12.11.1024.

**Instytut Sztuk Pięknych Kolegium Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Rzeszowskiego i Biuro Wystaw Artystycznych w Rzeszowie** do BWA w Rzeszowie na otwarcie wystaw Triennale Malarstwa Studenckiego 2 i sympozjum naukowo-artystyczne *Miara talentu. Eksploracja artystycznych zagadnień w malarstwie* – 21.03.2024 (wydarzenie zorganizowane w ramach 670-lecia lokacji Miasta Rzeszowa).

**Biuro Wystaw Artystycznych w Rzeszowie** na wernisaże wystaw: *Ewokacja. Notatki z podróży* Zbigniewa Świącińskiego – 15.02.2024; malarstwa i rysunku Zdzisława Franciszka Bazylewicz *Bazyli/2024*; malarstwa Łukasza Gila *Continuum...* – 25.07.2024; Janusz Rafał Głowacki i Andrzej Paweł Głowacki *Obszar geometrii, przestrzenie znaku*; malarstwa i grafiki Pawła Delekty *W labiryntach geometrii* – 5.09.2024; Elżbieta Grosseová, *Progress* – 10.10.2024.

**Galeria Sztuki Współczesnej w Przemyślu** na: wernisaż wystawy Doroty Sak *Digital garden* i spotkanie z artystką – 9.08.2024; wernisaż wystawy malarstwa Lecha Okołoła *W realu. Obrazy z lat 2008–2021* – 6.09. 2024; na międzynarodowy, interdyscyplinarny projekt Centrum Światów jest tutaj *Uprawa/użycie/zdżyczenie*. W programie m.in. performanse *Kolekcja kamieni* Krzysztofa Maniaka, *Nieosiągalne* Franziki Hänel, *Habitat* Sebastiana Hänela, *Owad* kolektywu Freya Frederic (Dorota Androsz, Dorota Chylińska, Anna Kalwajty, projekcje filmów Justyny Łuczaj *Pod ręką*, Elżbiety Jabłońskiej *Znikając nad Wisłą*, Małgorzaty Ciemierkiewicz *Formy. Duchy*, wystąpienia Lothara Quinkensteina i Natalii Rumik, rozmowy z Magdaleną Rubenfeld (Zielone Upamiętnienie) i Witoldem Szwedkowskim (Miejska Partyzantka Ogrodnicza), oprowadzenie kuratorskie po wystawie *Centrum świata jest tutaj* (kuratorki Lila Kalinowska, Jadwiga Sawicka) – 6–7.09.2024; wernisaż wystawy 43. Słonne Spotkania Artystów 2024 (artyści: Wolfgang Brenner, Janusz J. Cywicky, Łukasz Cywicky, Maria Ferenc, Jan Ferenc, Zbigniew Karaszewski, Grzegorz D. Mazurek, Dariusz Sobociński, Rena Wota, Marzanna Wróblewska, – Kresowy Dom Sztuki w Dubiecku – 13.09.2024; wernisaż wystawy malarstwa Włodzimierza Pawłaka *Ikony industrialne* (kuratorka Wiesława Wideryńska) – 4.10.2024; wernisaż pokonkursowej wystawy fotografii Podkarpacka Ikonosfera 2023 – Przemyskie Centrum Nauki i Kultury Zamek – 3.10.2024; Wieczorne rozmowy o sztuce – wieczór siedemdziesiąty ósmy – wykład multimedialny Grażyny Niezgody *Teraz My! O sztuce feministycznej* – 22.20.2024; otwarcie cyklu Komentaryz w ramach projektu Centrum świata jest tutaj! - instalację Lili Kalinowskiej i Jadwigi Sawickiej *One Man Dead* – przed witryną kamienicy Rynek 11 w Przemyślu – 2.11.2024 (Zaduszki); wystawę Marka Olszyskiego *Obrazki MO. Instrukcja obsługi 1984-2024* – 2-19.11.2024 i spotkanie z artystą 15.11.2024.

**Biuro Wystaw Artystycznych w Krośnie** na: wernisaż Joanny Dudek *Wideo Apoptoza/Ropa* i spotkania z autorką – 9.08.2024; wernisaż wystawy Iwony Demko *Jestem mną, tobą, nią* (kuratorka Magdalena Ujma) – 17.10.2024.

**BWA Galeria Sanocka** na wernisaże wystaw: fotografii Jadwigi Janowskiej i Christophera Myśli *Materia pamięci* – 6.09.2024.

**Adam Rajzer** do Rzeszowskiego Domu Sztuki na wernisaże wystaw: rzeźb Krystyny Nowakowskiej – 1.08.2024; malarstwa Petera Grica – 12.09.2024; malarstwa Andrzeja Folfasa – 10.10.2024.

**Elektromontaż Rzeszów S.A. i Podkarpackie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych** do Galerii Na Najwyższym Poziomie Elektromontażu Rzeszów na wernisaże wystaw: malarstwa Ireneusza Janickiego – 19.09.2024, XVI i XVII Międzynarodowego Pleneru malarskiego Wiśniowa pachnąca malarstwem 2023 i 2024 (uczestnicy: Jacek Balicki, Tomáš Agat Błoński, Jan Bosak, Elżbieta Cieszyńska, Andrzej Cieszyński, Edyta Czeladka, Barbara Dzieduszycka-Sass, Magdalena Cywicka, Małgorzata Dawidiuk, Jadwiga Maria Jarosiewicz, Anna Kałamarz-Kucz, Ryszard Kucab, Anna Misiura, Henryk Ożóg, Giedrė Riškutė, Andrzej Rułka, Magdalena Skowron, Stanisław Stach, Katarzyna de Thieulloy-Mycielska, Agnieszka Włodarczyk-Rułka, kurator: Tadeusz Z. Błoński) – 7.11.2024.

**Marszałek Województwa Podkarpackiego** Władysław Ortyl na otwarciu wystawy *Pruchnik.Art. Opowieść o miejsu* – Galeria Projektor Sztuki, Jarosławski Ośrodek Kultury i Sztuki, Jarosław 21.10.2024.

**Jan Pastula** do Pastula Gallery w Porębach Kupieńskich (Kupno 492) na wernisaże wystaw: Ireny Nawrot *Trzewia* – 27.07.2024; Michała Hedwiga *Ogród zaufania* i fotografii Łukasza Kuśnierza *Szepty* – 7.09.2024; Tomasza Zawadzkiego *Elementy skrajne i pośrednie* i Kuby Maciejczyka *To, czego szukasz* – 26.10.2024.

## PUBLIKACJE NADEŚLANE

### CZASOPISMA

„Akcent” 2024, nr 3, 4.

„Elevator” 2024, nr 1–2 (39), temat numeru: „Koniec świata”.

„Nowy Napis”, nr 23, wrzesień 2024, temat numeru: „Holenderskie ekfrazy i stulecie urodzin Zbigniewa Herberta”

„Odra” 2024: nr 7–8, nr 9, 10.

„Pamiętnik Literacki” 2024, t. LXVII, Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn, czerwiec 2024.

„Topos” 2024: nr 5 (195)

„Twórczość” 2024: nr 7–8, 9, 10.

### POEZJA

Kateryna Babkina, *Nie boli*, przełożył Bohdan Zadura, Wydawnictwo Warstwy, Wrocław 2023.

Łeś Belej, *Lustrzany sześciąt / Дзеркальний куб*, przełożył Bohdan Zadura, seria wydawnicza Wschodni Express, Warsztaty Kultury, Lublin 2022.

Rosa Berbel, *dziewczynki zawsze mówią prawdę / las niñas siempre dicen verdad*, przełożył Paweł Orzeł, Fundacja Duży Format, Warszawa 2023.

Kristin Berget, *a gdy się zrobi jasno będzie fantastycznie*, przełożyła Justyna Czechowska, Wydawnictwo Lokator, Kraków 2023.

Bertolt Brecht, *Elegie bukowski i inne wiersze*, wybór i przekład Ryszard Krynicki, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5, t. 116, Wydawnictwo a5, Kraków 2022.

Jitka Bret Srbová, *Las*, przełożyła Zofia Bałdyga, Convivo Agnieszka Matysiak, Warszawa 2023,



- Charlotte van der Broeck, *Rozcierki z ziemi*, przełożyła Olga Niziołek, seria Nowy europejski kanon literacki 14, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2023.
- Karina Caban, *Niewiele niebezpieczeństwa*, seria Światy niekoherentne, Fundacja Duży Format, Warszawa 2023.
- Paul Celan *Natręctwo światła / Lichtzwang*, przełożył Martin Suchanek, postłowie Tadeusz Sławek, Biblioteka Śląska, Katowice 2022.
- Sophia de Mello Breyner Andersen, *Oto ja. Wiersze wybrane*, przełożył Gabriel Borowski, Wydawnictwo Lokator, Kraków 2023.
- Jaryna Czornohuz, *Owoce wojny / Ярина Чорногуз, Плоди війни*, przełożył Bohdan Zadura, W obliczu wojny / Перед лицем війни, seria trzecia, Biblioteka Poezji Ukrainy, Wydawnictwo Pogranicze, Sejny 2023.
- Opal Ćwikła, *Ufoporno*, prace wizualne Opal Ćwikła, Staromiejski Dom Kultury, Warszawa 2023.
- Łucja Dudzińska, *Bez-Troska. Próby wyrazu / Mis-Concer. Attempts at Expression*, trans. Anna Błasiak, Biblioteka FONT / Profile, t. 2, FONT, Poznań 2024.
- Mirosław Gabryś, *Mglista glista*, Biblioteka Arkadii – Pisma Katastroficznego, Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2023.
- Piotr Gajda, *Malpa apokalipsa*, Fundacja Kultury Afront, Bukowno 2024.
- Andrzej Gałowicz, *Drzazgi światła*, Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2020.
- Louise Glück, *Zimowe przepisy naszej wspólnoty*, przekład i postłowie Krystyna Dąbrowska, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5, t. 120, Wydawnictwo a5, Kraków 2022.
- Wojciech Gniatczyński, *Próby*, linoryty Lala Deszberżanka-Gniatczyńska, (reprint wydania Polskiego Towarzystwa Literackiego, Londyn 1954), Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn 2024.
- Wojciech Gniatczyński, *Wiersze dla Magdaleny*, postłowie Jan Nowak, Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn 2024.
- Hiacynt Górnicki, *Mala kosmogonia. Wiersze*, Wydawnictwo Diecezjalne i Drukarnia Sandomierz, Alma 2024.
- Daryna Hładun, *Radio „Wojna” / Дарина Гладун, Радіо „Війна”*, przełożył Janusz Radwański, Biblioteka Śląska, Katowice 2022.
- Daryna Hładun, Lesyk Panasiuk, *Portret słońca w schronie przeciwbombowym / Дарина Гладун, Лесик Панасюк, Портрет сонця в бобосховищі*, przekład Anna Kamińska, seria Marzenia Herezje, Instytucja Kultury Ars Cameralis, Katowice 2023.
- Roman Honet, *amięć niczyja, cialo moje*, Poezje 278, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2024.
- Genowefa Jakubowska-Fijałkowska, *Wiwisekcja*, Biblioteka Arkadii – Pisma Katastroficznego, t. 214, Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2023.
- Aglaja Janczak, *cechy wspólne*, Fundacja Duży Format, Warszawa 2023.
- Łukasz Jarosz, *Teksty poboczne*, Fundacja Kultury Afront, Bukowno – Stoki Kwaśniewskie – Żurada 2024.
- Dragan Jovanović Danilov, *Balkańska sjesta*, przełożyła Olga Lalić-Krowicka, Wydawnictwo Ruthenus Rafał Barski, Krosno 2023.
- Ilya Kaminsky, *Republika głuchych. Wiersze*, przełożyła Anna Łazar, wstęp i redakcja Jerzy Jarniewicz, postłowie Daniel Kotowski, seria Zakotwiczone, Warsztaty Kultury, Lublin 2023.
- Karolina Kapusta, *fuzja bordo*, Poezje 258, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2023.
- Lidia Karbowska, *Otrzymane*, Wydawnictwo Ostatnia Sobota Lata, Warszawa 2023.
- Claudiu Komartin, *kobalt*, seria Nowy europejski kanon literacki 5, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2022.
- Wano Krueger, *Ostatni pocałunek Iljicza / Процальий поцілунок Ілліча*, przełożył Bohdan Zadura, seria Wschodni Express, Warsztaty Kultury, Lublin 2022.
- Grzegorz Kwiatkowski, *Zagadka*, Poezje 273, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2023.
- Paweł Leksycki, *O takim dniu marzyłem*, fotografie Radosław Kaźmierczak, seria Ut pictura Bibliotheca, t. 24, Biblioteka Śląska, Katowice 2023.

- Ida Linde, *Metro Charona*, przełożyła Justyna Czechowska, Wydawnictwo Lokator, Kraków 2023.
- Adam Lizakowski, *Wiersze spod Krzywej Wieży*, Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy im. Księgi Henrykowskiej, Żąbkowice Śląskie bdw.
- Bartłomiej Majzel, *Nagonka*, seria Biblioteka Poezji Współczesnej, t. 281, Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury, Poznań 2023.
- Maryja Martysiewicz, *Sarmatya / Сарматыя*, seria poetycka Inicjał, przełożył Bohdan Zadura, Wydawnictwo Pogranicze, Sejny 2022.
- Joanna Matlachowska-Pala, *W chmurach światła*, seria 21, Wydawnictwo Forma, Szczecin, Bez-rzeczce 2024.
- Julia Musakowska, *Żelazo / Юлія Мусаковська, Залізо*, przełożyła Aneta Kamińska, W obliczu wojny/Перед лицем війни, seria trzecia, Biblioteka Poezji Ukrainy, Wydawnictwo Pogranicze, Sejny 2023.
- Aaiün Nin, *Pęknięte połówki mlecznego słońca*, przełożyli Adam Partyka, Paweł Łyżwiński, Instytut Kultury Willa Decjusza, Wydawnictwo Lokator, Kraków 2022.
- Nicanor Parra, *Kaftan bezpieczeństwa*, przekład Aleksander Trojanowski, posłowie Marcin Kurek, seria Wygłosy, Wydawnictwo Ossolineum, Wrocław 2022.
- Radmila Petrović, *Moja mama wie, co się wyprawia w miastach*, przełożyła Aleksandra Wojtaszek, seria Nowy europejski kanon literacki, Biuro Literacki, Kołobrzeg 2023.
- Piotr Piątek, *Kołysanie ziemi*, seria Szumy, zlepy, ciągi, t. 63, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi – Dom Literatury w Łodzi, Łódź 2023.
- Sławomir Płatek, *Obszar niejasny*, Fundacja Kultury Afront, Bukowno 2024.
- Izabela Poniatowska, *Papier nożycy*, Galeria Sztuki Współczesnej, Biuro Wystaw Artystycznych w Olkuszu, Olkusz 2024.
- Igor Pomierancew, *KGB i inne wiersze / КГБ и другие стихи*, seria Wschodni Express, Warsztaty Kultury, Lublin 2022.
- Agata Puwalska, *Funky Forest*, seria Szumy, zlepy, ciągi, t. 65, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Łódź 2024.
- Agata Puwalska, *Otwarte światy*, Katalog Press, seria „wśródzie jest na Ziemi równonoc”, t. III, Kraków–Rybnik–Edynburg 2024.
- Olga Rembielińska, *Klaster*, Wydawnictwo Ha!art, Kraków 2023.
- Rafał Skonieczny, *Powracający*, Biblioteka Arkadii – Pisma Katastroficznego, t. 212, Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2023.
- Ivan Sogel, *O morskiej mowie*, przełożyła Katarzyna Dudzic-Grabińska, ilustracje Helmut Bistika, Wydawnictwo Ursines, Czeladź 2023.
- Vladimir Stockman, *Wiersze wybrane*, przełożył Maciej Froński, seria „Faktoria poezji”, t. XXVII, K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Brzeg 2023.
- Jan Škrob, *Real*, przełożyła Zofia Bałdyga, seria Nowy europejski kanon literacki 11, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2022.
- Ostap Sływinski, *Syrnaga / Остап Сливинський, Сирінга*, przełożył Bohdan Zadura, W obliczu wojny / Перед лицем війни, seria pierwsza, Biblioteka Poezji Ukrainy, Wydawnictwo Pogranicze, Sejny 2022..
- Marie Štastná, *Wnętrza*, przełożyła Zofia Bałdyga, Biblioteka Domu Literatury w Łodzi, t. 8, Dom Literatury w Łodzi – Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Łódź 2023.
- Aleš Šteger, *Księga rzeczy*, przełożył Miłosz Biedrzycki, seria Nowy europejski kanon literacki 4, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2022.
- Siergiej Timofiejew, *Niegłośno*, przełożył Tomasz Pierzchała, wydawnictwo j. Jacek Bierut, Wrocław 2022.
- Maja Urban, *Statua wolności*, przełożył Miłosz Waligórski, seria Nowy europejski kanon literacki 6, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2022.

Jan Wagner, *Esej o komarach (wybór wierszy)*, wybór, przekład, wstęp, ilustracje Tomasz Ososiński, seria „wszędzie jest na Ziemi równonoc”, wydawnictwo papierwdole, Trzebiecko Dolne –Ligota Mała–Warszawa 2023.

Agnieszka Wolny-Hamkało, *Wiersze o pojęciach*, Convivo Anna Matysiak, Warszawa 2023.

## PROZA

Roman Ciepliński, *Nogami do góry*, Wydawnictwo Forma – Dom Kultury „13 Muz”, Szczecin, Bezzecze 2024.

Olgerd Dziechciarz, *Zaświatowiec*, seria Polska Proza Współczesna, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2024.

Marta Hożewska, *Miejsce życzliwe. Rzecz o Targu pod Młynem Sulkowice*, Ośrodek Kultury i Sztuki, Wrocław 2024.

Marian Kisiel, *Mały cmentarz*, Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2024.

Grzegorz Strumyk, Marta Zelwan, *Próby*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2024.

Jan Tulik, *Na Puszcy. Legenda o Janie z Dukli*, Wydawnictwo Lisia Góra, Rzeszów 2014.

Henryk Waniek, *Notatnik i modlitewnik drogowy III*, Wydawnictwo Forma – Dom Kultury „13 Muz”, Szczecin, Bezzecze 2024.

*Włoski polskie. Antologia opowiadań*, red. Adam Wiedemann, wstęp Piotr Skalski, Związek Pisarzy ze Wsi, Fundacja Sąsiedzi, Instytut Literatury, Białystok 2023.

## INNE

Henryk Bereza, *Epistoły 2. Listy do Bogusława Kierca / do Halszki Olsińskiej / do Pawła Przywary / do Magdaleny Rabizo-Birek / do Grzegorza Strumyka / do Andrzeja Turczyńskiego*, postłowie Andrzej Śnioszek, Wydawnictwo Forma – Fundacja im. Henryka Berezy, Szczecin, Bezzecze 2024.

Czesław Miłosz w Ameryce. *Na podstawie wspomnień i fotografii Adama Lizakowskiego*, redakcja i wstęp Kamil K. Pilichiewicz, Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku, Białystok 2024.

Czesław Miłosz w fotografiach Adama Lizakowskiego, Oficyna Wydawnicza Klubu Muzyki i Literatury Akwedukt, Wrocław 2024.

Zbigniew Chojnowski, *Prowincjusze, tubylcy i bywalcy*, seria Przełomy/Pogranicza. Studia Literackie, t. LIV, Katedra Badań Filologicznych „Wschód–Zachód”, Wydział Filologiczny Uniwersytetu w Białymstoku–Wydawnictwo Prymat, Białystok 2024.

Janusz Drzewucki, *Chwile pewności. Teksty o prozie 3*, Wydawnictwo Forma – Fundacja im. Henryka Berezy, Szczecin, Bezzecze 2024.

*Iwona książniczka Burgunda. Plakaty studentów i wykładowców ISP UR w Kinie za Rogiem Café*, Uniwersytet Rzeszowski, Kolegium Nauk Humanistycznych, Instytut Sztuk Pięknych, Rzeszów 2024.

Wojciech Ligęza, *Teżknota za istotnością. O prozie Brunona Schulza*, seria „Z rękopisów”, Wydawnictwo Austeria, Kraków–Budapeszt–Syrakuzy 2024.

Iwona Misiak, *My i Wy? Spór o kształt poezji pomiędzy pokoleniem '68 a pokoleniami wcześniejszymi*, seria Polemika krytycznoliteracka w Polsce, t. 36, Wydawnictwo Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauki, Poznań 2024.

*Mój Rzeszów. Nasz Rzeszów/My Rzeszów. Our Rzeszów*, red. Grażyna Bochenek, Fundacja Rozwoju Społeczno-Kulturalnego Inwencja–Wydawnictwo Editorial, Rzeszów 2024.

Marek Olszyński, *Spotkanie*, Dom Praczek Galeria Współczesnej Sztuki Sacrum, Uniwersytet Rzeszowski, Kielce 2023.

- Orzeł biało-orańczowy / An Eagle White and Orange. Festschrift for Arent van Nieukerken*, Pegasus Oost-Europese Studies, t. 39, ed. René Génis, Kris van Heuckelom, Eric Metz, Uitgeverij, Amsterdam 2024.
- Tadeusz Sucharski, *Literatura polska z sowieckiego „domu niewoli”*. *Poetyka. Aksjologia. Twórcy*, Biblioteka Pana Cogito, Instytut Literatury, Kraków 2021.
- Wyjście było taktywne. Religia, metafizyka i historia. Wybór tekstów krytycznych o twórczości Zbigniewa Herberta*, t. II, Biblioteka Krytyki Literackiej kwartalnika „Nowy Napis”, wstęp, wybór i oprac. Józef Maria Ruszar, Instytut Literatury, Kraków 2024.

## KOMUNIKATY

### 7. Bieszczadzki Turniej Jednego Wiersza im. Ryszarda Szocińskiego „O żurawie pióro”

Jury konkursu, organizowanego przez Fundację Kulturalno-Artystyczną „Testudo” w składzie: Józef Bilski, Teresa Paryna, Magdalena Rabizo-Birek, Mirosław Welz, podczas wrześniowych obrad online postanowiło następująco: I miejsce zdobyła **Wioletta Arleta Jaworska** (Nieborzyn k. Konina) za wiersz *Wszyscy święci*; II miejsce ex aequo **Maria Brzoza** (Kobyłany k. Krosna) za wiersz *Z mimozami* oraz **Maria Stefanik** (Żarnowiec k. Krosna) za wiersz *Złoto nieśmiertelności*; III miejsce – **Dominik Ćwik** (Rzeszów) za *Smużę się dymy*. Wyróżnienie otrzymała **Zdzisława Górska** (Strzyżów) za utwór *Jesień na świecie*. Rozstrzygnięcie konkursu odbyło się w Smerku 5 października 2024 roku podczas festiwalu Trombita. Folk – poczja – blues. Patronem turnieju jest kwartalnik „Fraza”.

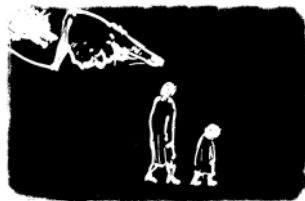
### X edycja Ogólnopolskiego Konkursu „O Pióro Pegaza 2024”

Zadanie tej edycji konkursu organizowanego przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną w Rzeszowie polegało na napisaniu utworu poetyckiego inspirowanego twórczością Czesława Miłosza w ramach obchodów Roku Czesława Miłosza. Konkurs miał charakter otwarty i był adresowany zarówno do debiutantów, jak i twórców z dorobkiem. Komisja w składzie: Ryszard Mścisz, poeta, krytyk literacki, współpracownik Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego „Fraza” (przewodniczący), Barbara Chmura (starszy kustosz WiMBP), Piotr Woszczak (młodszy bibliotekarz WiMBP), dokonała oceny 162 prac zakwalifikowanych do konkursu i postanowiła przyznać nagrody i wyróżnienia następująco: I miejsce **Iwona Świerkula** za utwór *Otwarte wersy*; II miejsce **Mirosław Kowalski** za utwór *Zmierzenie*, III miejsce **Bogdan Nowicki** za utwór *Słowa*. Wyróżnienia otrzymali: **Tadeusz Knyziak** za utwór *Zapiski z podróży*; **Agnieszka Kaczorowska** za utwór *Miłoszu*, **Marcelina Kaźmierczak** za utwór *Miasto na skraju czasu*. Uroczyste rozstrzygnięcie konkursu odbyło się 12 października 2024 roku o godz. 16.00 w Rzeszowskich Piwnicach, ul. Rynek 26. Z koncertem wystąpił Sviatij, którego muzyka i teksty wpisują się w klimat wielokulturowych odniesień w życiu i twórczości Czesława Miłosza. Konkurs objęła patronatem redakcja kwartalnika „Fraza”.

# Nowości „FRAZY”



MIECZYŚŁAWA WAZACZ



WROCŁAW  
OCALAŁYCH

Mieczysława Wazacz, *Wrocław ocalałych*, wydanie II, redakcja Jan Wolski, rysunki Piotr Dumała, posłowie Tamara Włodarczyk, Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Rzeszów 2024, ss. 121.

*Poważne historie opowiedziane są tak lekko, i przez większość tej opowieści z takim humorem, że nie sposób nie podziwiać sztuki pisarskiej autorki. Nie znam wielu książek, które tak urzekająco przywołują przeżycia dzieciństwa i tak przekonująco rekreują wizję świata obserwowanego oczyma dziecka; świata, który nawet jeśli jest groźny i przerażający, może być w jakiś sposób (zapewne jest to jedyny sposób na przeżycie?) „oswojony”, a czasem rozbijającą komiczny.*

Teresa Halikowska-Smith

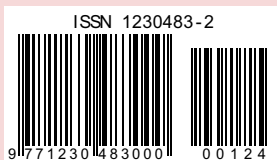
„Tydzień Polski”, Londyn 1.02.2019 r.

Cena: 35 zł

Wydawnictwa „Frazy”, dawne i nowe numery pisma w cenie 20 zł można zamówić pod internetowym adresem [fraza@univ.rzeszow.pl](mailto:fraza@univ.rzeszow.pl), dokonując opłaty na konto: PKO I/O Rzeszów 89 1020 4391 0000 6602 0043 7079

CENA 20 zł

nr indeksu 332593



## W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH

Literatura Cypru: Awgi, Bozkurt, Bzinkowski, Fevzioğlu, Gawłowski, Georgiou, Joannou, Korkmazel, Marangou. Mart, Montis, Neofitu, Nikolaou, Panagiotou, Papakonstantinou, Papaloizu, Patapiou, Peonidis, Stawrinidis, Tapakoudis, Yaşın, Zackheos, Zając i in. Portrety: Grzegorz Strumyk, Grażyna Zambrzycka. Poezja i proza: Dobkowska-Kubacka, Hunia, Kołodziejczyk, Lenkowska, Lewandowska, Mścisz, Nowakowska, Rogowski, Stosur, Szweda, Tomczyk-Maryon, Zając-Czerkies i in. Laureaci XX OKP im. K. Rationia Olkusz 2024. Szkice o polskich pisarkach. Spotkania z cyklu „Frazy Osobiste” (Czarnik, Matuszkiewiczowie, Turaj-Kalińska)